

KRAŃCOWO

TOM 1



JAROSŁAW DOMAŃSKI

Krańcowo

TOM I

Redakcja: Monika Szymankiewicz
Korekta: Monika Szymankiewicz
Grafika na okładce: Jarosław Domański, Szymon Siudak

© Jarosław Domański, 2022
Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2022
ISBN: 978-83-964000-0-0
Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Mikołaja Ciurlionisa 4

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w Internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Człowiek uczy się przez całe życie, zmienia swoje spojrzenie, przelicza wartości.

Gdy zaczynałem pisać Krańcowo, miałem jeden cel – znaleźć wydawnictwo, które zainteresuje się moją twórczością. Dzisiaj wiem, że w tamtym momencie popełniłem największy błąd. Ta książka bowiem nie miała prawa powstać. Nie pisał jej nikt znany. Nie była wsparta kampanią reklamową. Nie poruszała tematów kontrowersyjnych i populistycznych. Nie można na niej było zarobić pieniędzy.

Jakim więc cudem trzymasz teraz w ręku jej gotowy egzemplarz? Bo ta książka powstała siłami czytelników. Garstki wyjątkowych i zaangażowanych ludzi, którzy czytając jej tekst w internecie, postanowili zrobić wszystko by został on przeniesiony na papier.

Dziękując im wszystkim z całego serca, z dumą umieszczam ich na stronie dzieła, do którego powstania tak bardzo się przyczynili.

Alina Kisielowska
Andrzej i Grażyna Grajczak
Arkadiusz Wesołowski
Artur Kwiatkowski
Barnard Banert
Bartek Baradziej
Bartłomiej Pawlak
Bernard Sosulski
Chillinrabbbit
Damian Dobrołęcki
Dariusz Ciesielski
Grzegorz Grajczak
Jakub Krzemiński
Jarosław Górowski
Justyna i Karol Rola
Karol Owsianka
Karolina Przepióra i Piotr Pawłoski
Łukasz Bukorzycki
Łukasz Hejnak
Łukasz Malczewski
Luqsus
Małgorzata i Jacek Domańscy

Małgorzata Pielaszewska
Małgorzata Rudnicka
Malwina Lewandowska
Marcin Siuda
Maria Sobala
Martyna i Patryk Grefkowicz
Michał Zagrodzki
Monika Szymankiewicz
Nebthtet
Patrycjusz Grajczak
Patryk Krakowiak
Paulina Dziedzic
Przemek D
Roman Niemiec
Sławomir Matusiak
Tomasz Sawicki
Wiktoria Grajczak
Wojciech Szul
Zbigniew Wasiukiewicz

W szczególny sposób dziękuję zaś mojej ukochanej Ani – bez Ciebie nigdy nie skończyłbym tej historii. Z największą radością dedykuję ją właśnie Tobie.

Jarosław Domański

Spis Treści

1. [Nowo przybyli](#)
2. [Autobusem do Wolności](#)
3. [Mike](#)
4. [Zatorze](#)
5. [Delimer](#)
6. [Tworząc sobie wroga](#)
7. [Defekt](#)
8. [Coś dla Wspólnoty](#)
9. [Chłodne powitanie](#)
10. [Noc Latarni](#)
11. [Strefa Głodu](#)
12. [Armia Daniela](#)
13. [Bolesny powrót](#)
14. [Eskalacja Błędu](#)
15. [Smutki Nowego Świata](#)
16. [Lizane rany](#)
17. [Dotyk](#)
18. [Za Lasem Ludzi](#)
19. [Powrót](#)
20. [Droga weterana](#)

Rozdział I

Nowo przybyli

— O, Boże... — zajęczał cicho Dziki. Oczy paliły go żywym ogniem, czuł też straszny ból w plecach. Rozchylił powoli powieki, czując zlepiający je piasek. Nie miał pojęcia, skąd wzięło się to nagłe światło. Przeczynał jednak, że gdyby trwało chociaż chwilę dłużej, to raz na zawsze pożegnałby się ze wzrokiem. Musiał upaść, gdy to się pojawiło, bo czuł zimny beton tuż pod swoimi plecami. Spróbował się podnieść, choć przed oczami wciąż miał mroczki.

— Nic ci nie jest? — spytał przestraszony dziewczęcy głos. Słyszając go, prawie podskoczył, jednocześnie otwierając oczy szerzej.

— Chyba zasłabłem — odpowiedział i jeszcze raz spróbował się podnieść. Plecy zakuły go tak, że się skrzywił. — Już mi chyba lepiej, dziękuję — skłamał, próbując zlokalizować właściciela głosu.

Było to jednak trudne, bo wciąż kiepsko widział, mimo że kontury otaczających go rzeczy zaczynały się powoli wyostrzać. Gdy się skupił, dostrzegł w końcu zarys twarzy młodej dziewczyny o blond włosach, wlepiającej w niego przestraszone niebieskie oczy.

— Dzięki za pomo... — przerwał w pół słowa. Teraz, gdy odzyskał wzrok i rozejrzał się dokładnie, dotarło do niego, że coś było mocno nie tak. Jeszcze chwilę wcześniej zmierzał główną drogą w stronę miasta. Nie miał pojęcia jak, ale znalazł się na miejskim cmentarzu, w dodatku zamiast na chodniku – leżał na czymś grobie. Obrócił głowę w stronę tablicy i odczytał:

*Kochanemu Dziadkowi
Pogrążone żałobie wnuki
Igor Wawrzyn
1939-2007*

Pod spodem ktoś dopisał markerem: „Pomoc nie nadejdzie”. Zdezorientowany Dziki odwrócił się w stronę blondynki.

— Powiedz... Ty mnie tu przyciągnęłaś, bo zemdlałem, czy coś? — spytał, choć widząc jej posturę, miał spore wątpliwości, czy dałaby radę wciągnąć go z ulicy na cmentarz i w dodatku ułożyć na nagrobku.

Zgodnie z jego oczekiwaniami dziewczyna pokręciła głową, sama wyglądała

na mocno zagubioną.

— Obudziłam się chwilę przed tobą. Myślałam, że ty mnie tu przyniosłeś, ja chyba też byłam nieprzytomna – odpowiedziała drżącym głosem i przegarnęła nerwowo włosy, rozglądając się jednocześnie na boki. — My chyba nie umarliśmy..., prawda? — zapytała po chwili, sprawiając, że Dzikiemu włosy zjeżyły się na głowie. Nie wiedział czemu, ale gdy obudził się na cmentarzu, myśl o tym, że umarł, była chyba jedną z pierwszych, jaka przyszła mu do głowy.

— Nie sądzę, żeby martwego mogły tak boleć plecy — stwierdził żartobliwie, próbując uspokoić zarówno siebie, jak i dziewczynę. Najwyraźniej jednak nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwała, bo odwróciła lekko przerażoną twarz, znów rozglądając się po cmentarzu.

Westchnął, czując w środku dziwne zaniepokojenie całą tą sytuacją. Zsunął się z mogiły, przeciągając się jednocześnie parę razy, by ulżyć bólowi pleców.

Nie było sensu tkwić dłużej w tym miejscu. Skinieniem głowy zachęcił dziewczynę do wyjścia i skierował swoje kroki w stronę bramy. Idąc betonową drogą, dostrzegł kolejną postać leżącą nieruchomo na jednym z grobów.

— Chodź — rzucił w stronę towarzyszki i mijając kilka mogił zbliżył się do nieprzytomnego chłopaka.

Jego ułożone w nienaturalny sposób ciało drgało rozpaczliwie z każdą próbą złapania oddechu. Dziki pochylił się nad nim i obrócił go na plecy, a następnie otwartą dłonią klepnął go kilka razy po twarzy.

— Hej, obudź się! — krzyknął, starając się docucić młodzika.

Po kilku policzkach, chłopak drgnął niepewnie i otworzył powoli oczy.

— Nic nie widzę! — wykrzyczał nagle przestraszonym głosem i spróbował wstać, wymachując po omacku rękoma. Dziki złapał go jednak za ramię i posadził na jednym z grobów, żeby w szoku nie zrobił sobie krzywdy.

— Zaraz ci przejdzie, posiedź tu chwilę — powiedział zdecydowanym tonem, rozglądając się jednocześnie za innym nieprzytomnymi, w zasięgu wzroku. Nie dostrzegł jednak nikogo więcej. — Zostań z nim — zwrócił się do dziewczyny, a sam zbliżył się do czarnej cmentarnej bramy, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Gdy tylko wyjrzał przez metalowe pręty, dostrzegł coś, co przyprawiło go o zdumienie. Sklep naprzeciwko cmentarza był całkiem zniszczony, jego gruzy wysypywały się na ulicę, jakby w środku wybuchła bomba.

— Co tu się stało? — spytał sam siebie, a dziwny niepokój wypełnił jego umysł, zwłaszcza że ulica przed cmentarzem była całkiem pusta. Nie było

śladów policji albo chociaż gapiów, którzy na pewno zlecieliby się zaraz po wybuchu.

Odwracając się od wyjścia, wrócił do dziewczyny i chłopaka z setkami pytań bombardującymi jego głowę.

— Co się tam dzieje? — spytała blondynka, spoglądając z lekkim przerażeniem w stronę wyjścia.

— Nie jestem pewien, ale chyba coś musiało wybuchnąć. Sklep naprzeciwno jest zawalony — odpowiedział.

— Wybuchło... — powtórzyła dziewczyna. Wydawało mi się, że zanim straciłam przytomność, słyszałam jakiś gwizd. Może to był gaz...

— Sam nie wiem. — Dziki podrapał się po głowie, nie wiedział, co ma o tym myśleć. — Może rzeczywiście był wybuch gazu. Ktoś mógł nas tu przynieść, bo na cmentarzu było bezpieczniej. Ale dlaczego nas zostawił? I gdzie jest straż, albo chociaż inni ludzie? — spytał, kręcąc bezradnie głową. Żadne sensowne wyjaśnienie nie przychodziło mu jednak do głowy.

— Hej, może on coś wie! — krzyknął nagle towarzyszący im chłopak, wskazując palcem na sylwetkę jakiegoś mężczyzny zbliżającego się z głębi cmentarza.

— Chodźmy go spytać! — oznajmiła dziewczyna wyraźnie ucieszona widokiem kogoś znacznie starszego. Dziki pomógł wstać ciągle roztrzęsionemu chłopakowi i wspierając go, ruszył za nią.

Gdy podeszli nieco bliżej do mężczyzny, ogarnął go jakiś dziwny niepokój. Zbliżający się do nich człowiek miał dziwny zataczający się chód, jakby był pijany albo bardzo chory. Nabrał powietrza, by krzyknąć do dziewczyny z ostrzeżeniem, ale ona zdążyła już dobiec do przybysza.

— Przepraszam pana! — zawołała, machając ręką, by zwrócić uwagę idącej do niej bokiem postaci. — Nie wie pan może, co się tutaj sta... — Nim jednak skończyła zdanie, przygarbiony człowiek obrócił się w jej stronę, a jego potężna ręka złapała mocnym chwytem za jej gardło, unosząc ją jednocześnie tak, jakby nic nie ważyła. Dziki przystanął zszokowany, ale po pierwszej chwili zaskoczenia wypuścił chłopaka, który upadł na ziemię, i ruszył w stronę dusiciela.

— Zostaw ją! — ryknął, łapiąc po drodze wazon z pobliskiego grobu. Zamachnął się już, by cisnąć nim w dusiciela, gdy jednak ujrzał go z bliska, całkiem go sparaliżowało. W głowę mężczyzny wbity był ogromny czerwony znicz. Szkło z lampy zespolone było z jego twarzą, zastępując brakującą część czoła i policzka. Przez przezroczysty materiał widać było wnętrze jego głowy

oraz, o zgrozo, wiszący w środku mały płomyk.

Nie mogąc się ruszyć ze strachu, Dziki zobaczył, jak potwór ścisnął szyję dziewczyny, łamiąc jej kręgi niczym suche gałęzie. Gdy jej ciało zawisło bezwładnie w jego wielkiej jak pokrywa od śmietnika dłoni, cisnął nią o jeden z grobów, roztrzaskując ją przy tym jak robaka na szybie samochodu.

Dziki stał, nabierając powietrza, serce biło mu jak szalone, a do ust napłynęły wymiociny. Nim jednak zdążył wyrzucić z siebie cokolwiek, potwór zerknął na niego swoim „okiem” znajdującym się tuż na granicy zetknięcia twarzy i czerwonego szkła. Monstrum wyciągnęło w jego stronę swoje ogromne, zbyt długie jak na człowieka, ręce i ruszyło pokraczynym krokiem do przodu.

Niewiele myśląc, cisnął wazonem, który miał pod ręką w stronę potwora, a potem, przeskakując między nagrobkami, rzucił się do ucieczki. Kątem oka dostrzegł sparaliżowanego ze strachu chłopaka.

— Wiej! — krzyknął w jego stronę, ale przerażony młodzik nawet nie drgnął.

Czując jak serce mało nie wyskoczy mu z piersi, Dziki skręcił w bok i przeskakując przez kolejne groby, dopadł do chłopaka, pchając go w stronę wyjścia. Młodzik pobudzony tym nagłym bodźcem, ruszył pędem prosto w stronę bramy. Dziki starał się dotrzymać mu kroku, ale młodzik mimo mikrego wzrostu był niesamowicie szybki i już po chwili znacznie go wyprzedził.

Wciąż oddalając się od siebie, dobiegli do głównej alei. Tuż przed nimi ukazała się brama prowadząca na ulicę, gdy jednak zbliżyli się do niej, zza pobliskiego grobu wyłonił się kolejny potwór. Chłopak, nie zatrzymując się, pędził na oślep tak, że sam praktycznie nadział się na jego rękę. Odbijając się od niej, upadł prawie przed samym wyjściem. Monstrum nie zdążyło jednak obrócić się w jego stronę, bo chłopak poderwał się z ziemi niczym przerażony zając i pędząc prawie na czworaka, wybiegł za bramę.

Drugi potwór odwrócił się powoli w stronę Dzikiego, swoim wielkim cielskiem blokując mu drogę. Czując przeszywający go strach, odwrócił się i ruszył pędem w głąb cmentarza. Był tutaj kilka razy i wiedział że po drugiej stronie jest jeszcze mała furtka, przez którą ludzie wynoszą śmieci do kontenerów.

Biegając ze wszystkich sił, dotarł do najciaśniejszej części cmentarza, w której grób leżał praktycznie koło grobu. „Byleby tylko nie zwolnić”. Wskoczył z desperacji na pierwszą mogiłę i zaczął przeskakiwać z jednej na drugą.

Po zeskoczeniu z ogromnego rodzinnego grobowca, stanął praktycznie przed bocznym wyjściem. Oblał go jednak zimny pot, gdy zauważył, że mała czarna

furtka zamknięta jest łańcuchem zwieńczonym sporą kłódką. Bez chwili namysłu wskoczył na ogrodzenie, ale wysoki mur cmentarny nie był przystosowany do wspinaczek. Dziki próbował desperacko zaprzeć się nogami, ale jego trampki ześlizgiwały się po wilgotnych ceglach. Walczył tak przez chwilę, mieląc nogami, kiedy poczuł szarpnięcie. Coś uniosło go do góry, trzymając za bluzę i cisnęło o ziemię z taką siłą, że momentalnie stracił cały oddech. Jeden z tych potworów wyrósł tuż nad nim, nie wiadomo skąd.

— Zostaw mnie do cholery... — wysapał twarzą do ziemi, nie mogąc nawet krzyknąć, bo po uderzeniu nie był w stanie złapać tchu. Poczuł, jak serce wali mu z przerażenia, spróbował się podnieść, ale ręce trzęsły mu się tak, że nie był w stanie się poruszyć chociaż o milimetr. Już po chwili poczuł ogromny ból w plecach, najpierw myślał że to potwór nadepnął na niego i przygniótł do ziemi. Dopiero gdy spostrzegł że się unosi, zrozumiał, że bestia chwyciła go za bluzę, jednocześnie łapiąc za spory kawał skóry.

— PUSZCZAJ!!! ZOSTAW MNIE, ZOSTAW! — wykrzyczał, szamocząc się w powietrzu. Machał bezwładnie rękoma i nogami, gdy poczuł, że jego plecy musiały wyszarpać się z uścisku. Niewiele myśląc, rozpiął suwak i wyszarpał się z bluzy, lądując kolanami na ziemi. Spróbował się podnieść, ale ból, który przeszył jego stawy, sprawił, że niemal zeszywniał. Tuż nad nim potwór z czerwonym zniczem zamiast połowy twarzy, spojrzał w stronę tkwiącej w jego ręku bluzy. Orientując się, że czegoś w niej brakuje, cisnął nią na bok i skupił swoje bezmyślne spojrzenie na próbującym wstać Dzikim.

Ten zdążył tylko zasłonić się rękoma, gdy potwór chwycił go za szyję. Jego ciało ponownie zeszywniało, ale tym razem ze strachu. Spróbował złapać oddech, ale dłoń potwora ścisnęła jego krtań jak imadło.

„To koniec...” — pomyślał przerażony. Przez jego głowę przebiegł obraz sprzed chwili: ciało dziewczyny uderzające bezwładnie o grób.

— Neeee! — Długi okrzyk wydarł się z jego gardła mimo uścisku. Potwór zatrzymał się przez chwilę, zdziwiony chyba tym niespodziewanym dźwiękiem i przyciągnął go do siebie, jakby chciał mu się dokładniej przyjrzeć. Twarz Dzikiego i czerwony znicz w głowie bestii niemal stykały się ze sobą.

— Puszczaj mnie... — wysapał, wyrzucając z siebie resztkę powietrza. A potwór, jakby przekornie, ścisnął jego szyję trochę mocniej.

Dziki poczuł, jak strach zaczyna zamieniać się w gotującą wściekłość. Wsadził rękę do kieszeni spodni i sięgnął po tkwiący tam pęk kluczy od domu. Zacisnął go w pięści i nim potwór zdążył całkiem zmiażdżyć jego krtań, rąbnął prosto w jego szklaną część twarzy.

Czerwony znicz ustąpił bez najmniejszego problemu, roztrzaskując się na drobne kawałki, mały płomyk wiszący w głowie potwora zgasł momentalnie, a po chwili bestia zachwiała się i runęła na ziemię, ciągnąc za sobą Dzikiego.

Leżał tak przez chwilę, próbując pozbierać myśli. Z otepienia wydarł go jednak widok dwóch kolejnych podobnych monstrów, pełzających pokracznie między grobami. Podniósł się z ziemi, czując, że ciągle ma problem ze złapaniem oddechu i ruszył wzdłuż muru, szukając możliwości przedostania się na drugą stronę. Po kilku metrach dostrzegł spory marmurowy grób stykający się z murem. Wspinając się po mogile, bez trudu przedostał się na szczyt ceglanego winkla i prześlizgnął się na zewnątrz.

Boczna alejka przy cmentarzu była całkiem pusta, ani jednego samochodu, po pobliskich podwórkach nikt się nie kręcił. Dziki podniósł się i ruszył pędem w stronę głównej ulicy. Przed sobą zobaczył zawalony sklep, ten sam, który wcześniej widział zza bramy. Chciał go minąć i pobiec w stronę bloków, kiedy nagle usłyszał czyjś krzyk:

— Tutaj! — Dziki zobaczył chłopaka z cmentarza wyglądającego niepewnie zza gruzów. Podbiegł do niego i nim ten zdążył coś powiedzieć, rąbnął go pięścią z całej siły. Chłopak upadł na stertę kamieni, zasłaniając twarz rękoma.

— Nie, proszę, nie — zapiał przerażony.

— Zostawiłeś... mnie.... TAM!!! — wycedził Dziki, czując jak jego wściekły krzyk łamie się w gardle i bolącej krtani.

— Przepraszam, ja... — próbował tłumaczyć się chłopak, dalej się zasłaniając.

— Zostawiłeś... TAM!!! — Dziki poczuł jak na zmianę przelewa się przez niego gniew i strach. Miał ochotę udusić chłopaka, a zaraz potem sparaliżowała go myśl o tym, co stało się na cmentarzu. Spojrzał niepewnie w stronę bramy po drugiej stronie ulicy, ale wyglądało na to, że żaden z tych dziwaków nie zbliżał się do niej. Może dalej stali w miejscu, w którym przeskoczył mur? Z zamyślenia wyrwał go cichy głos chłopaka:

— Policja... — usłyszał gdzieś w okolicy swoich kolan.

— Co? — odwarknął poirytowany.

— Chciałem wezwać policję, ale mój telefon... — W tym momencie pokazał swoją komórkę. Oprócz kilku rys wydawała się w porządku, ale nie było nawet jednej kreski zasięgu. Dziki drżącymi rękoma sięgnął do kieszeni w spodniach, na jego telefonie również nie było zasięgu.

— Musimy iść na policję, powiemy im, co się stało... Oni nam powiedzą, co się stało... — wyszeptał, by nie nadwyreżać więcej krtani. Ciągle ledwo

skupiając myśli, pomógł wstać chłopakowi.

— Możesz biec? — spytał, a chłopak pokiwał niepewnie głową.

— Dobrze, pobiegniemy tam. Najszybsza droga będzie przez te bloki — stwierdził, wskazując na stare blokowisko, które rozciągało się za nimi.

Biegając tak szybko jak tylko mogli, minęli pierwszy z szarych bloków i weszli na plac zabaw pełen porzeczonych huśtawek i zdezelowanych karuzeli. W żadnym z pobliskich mieszkań nie było widać żywego ducha, niektóre z nich miały za to powybijane okna. Wodząc wzrokiem po ścianach w poszukiwaniu kogokolwiek żywego, Dziki zobaczył na jednej z nich ogromne kolorowe graffiti:

Nie idź na komisariat. Jest tam gorzej niż na cmentarzu.

Przyjaciół

Pod spodem zaś ktoś domalował czerwonym kolorem:

*Jedyna pomoc na jaką możesz liczyć to Armia Daniela,
podążaj w stronę marketu w centrum miasta*

— Czemu się zatrzymałeś? — Chłopak patrzył się niepewnie na Dzikiego czytającego napisy.

— Nie widzisz, co tam jest napisane? — odpowiedział nerwowo, czując się już naprawdę zmieszany.

— To tylko jakieś bazgroły... Powinniśmy iść dalej... — stwierdził chłopak, patrząc się z nadzieją w stronę drogi na komisariat. — Tam musi ktoś być...

— No właśnie, ktoś albo coś... Widziałeś te stwory na cmentarzu? A jeżeli na komisariacie jest ich więcej? Może ktoś chciał nas ostrzec. Daj mi się chwilę zastanowić...

Dziki poczuł się naprawdę zmęczony. Rozejrzał się i zobaczył jakąś ławkę, upadł na nią ciężko, czując, że zaraz oszaleje. „Nie ma żadnych ludzi” — pomyślał — „Ani żadnych samochodów... Wszyscy uciekli? Dlaczego? Przez te potwory? To dlaczego ich zostawili? I co to było za światło? Jakaś broń?”

Im więcej myślał, tym trudniej mu było to wszystko poukładać. Chłopak kręcił się koło niego, ciągle nerwowo rozglądając po okolicy.

— Chyba nas nie gonią — stwierdził szeptem — gdyby nas gonili, już by tu byli.

— Nie gonią — odpowiedział Dziki. — Oni chyba nie są zbyt inteligentni... — dodał, nie wiedząc czemu. Po chwili przeszło go jakieś dziwne uczucie, miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda.

— Słuchaj, znajdziemy sobie jakieś inne miejsce, w ogóle znajdziemy kogoś normalnego, żywego... Tylko ostrożnie, nie wiem, co tu się dzieje, ale odnoszę

wrażenie, że z całym miastem nie jest za dobrze — wyszeptał w stronę chłopaka i podniósł się z ławki, ciągle czując na sobie czyjeś spojrzenie.

Pośpiesznie opuścili bloki, lecz zamiast na komisariat, ruszyli w stronę szkoły, w której Dziki kilka lat temu kończył technikum. Nie powiedział tego młodemu towarzyszowi, ale chciał powoli kierować się w stronę swojego domu. Nie czuł się jednak na tyle pewnie, by iść sam. Wolał mieć jakiegokolwiek towarzystwo, choćby tego tchórzliwego chłopaka.

Dłuższy czas szli w milczeniu, mijając opustoszałe ulice i domy. Po kilku minutach powolnego marszu, doszli w końcu przed budynek szkoły. Długa pokryta graffiti fasada ciągnęła się wzdłuż ulicy, od strony chodnika można było dostrzec okna sali lekcyjnych oraz boisko do piłki ze starymi pordzewiałymi bramkami bez siatek.

— Zobacz — krzyknął nagle chłopak, wskazując na coś palcem. W jednym ze szkolnych okien stała jakaś postać. — Może ona coś wie... — mówiąc to, dał krok w stronę wejścia na teren placówki. Dziki chwycił go jednak za ramię.

— Widziałeś jej twarz? Była normalna? — spytał, nie będąc pewien, czy bezpiecznie jest wejść do środka.

— Tak — odpowiedział chłopak — nie było znicza.

Przeszli przez furtkę i wejściem dla personelu dostali się prosto na hol. Długi korytarz, na którym uczniowie spędzali przerwy, był niemal całkiem ciemny. Nie wychodziło bowiem na niego żadne okno. Dziki włączył latarkę w telefonie i poświecił po pomalowanych brązową farbą ścianach. W nikłym świetle dostrzegł rozstawione drewniane ławeczki, jedna bardziej zniszczona od drugiej. Z nostalgią spojrział na pierwszą z nich, którą za czasów szkoły sam ozdobił swoim podpisem. Znał to miejsce dość dobrze, uczył się tutaj cztery lata, wiedział więc w oknie której klasy chłopak musiał zauważyć tajemniczą postać. Mijając przypominające akwarium pomieszczenie dyżurnych, stanęli przed salą od matematyki, noszącą numer czterdzieści siedem. Dziki spojrział niepewnie w stronę drzwi, miał wrażenie, że ze środka cuchnęło. Odór był naprawdę okropny, ale nie potrafił go do niczego przypisać.

— Wchodzimy? — spytał niepewnie chłopak.

Dziki miał cichą nadzieję, że młodzik nie spyta i sam otworzy drzwi. Teraz zrozumiał jednak, że nie może na to liczyć. Skinął jedynie głową i delikatnie naciskając klamkę, otworzył wejście najciszej jak tylko potrafił. Wstrętny fetor jeszcze bardziej się nasilił, a Dziki spoglądając do środka, szybko znalazł jego źródło. Cała podłoga lepiała się od krwi i czegoś, co wyglądało jak oderwane kawałki mięsa. W Dzikim wezbrała fala mdłości, gdzieś w jego głowie zrodziła

się myśl, że powinien uciekać.

— I co? — spytał nagle chłopak, zdecydowanie za głośno i wtedy obaj usłyszeli ze środka dźwięk odsuwanej krzesła.

Nie licząc obsmarowanej podłogi, sala wyglądała normalnie. Rzędy zniszczonych ławek stały na swoich miejscach, a na podwójnej czarnej tablicy wciąż widniało nakreślone kredą zadanie z geometrii. Dziki wychylił się bardziej i za ostatnią ławką spostrzegł klęczącą postać jakiejś kobiety. Sądząc po noszonej przez nią koszuli i okularach, mogła być nauczycielką. Sam jednak nie przypominał sobie jej z lat, gdy się tu uczył. Skinął głową i razem z chłopakiem weszli powoli do środka, strzelając klejącymi się do podłogi butami.

Kobieta, schowana za ławką, trzęsała się jak w jakimś amoku, mrużąc coś pod nosem. Gdy on i chłopak byli już w połowie klasy, Dziki zobaczył, że jej włosy pozlepiane są od krwi. Nie mógł również zrozumieć jej dziwnego szeptu.

— Przepraszam, wszystko w porządku? — spytał niepewnie, odruchowo przyciszając głos.

Kobieta przestała się kiwać, wyglądała, jakby zeszywniała. Ucichły też te dziwne dźwięki, które z siebie wydobywała. Stali tak w ciszy przez dłuższą chwilę, Dziki chciał ponownie zadać pytanie, ale nim zdążył wypowiedzieć kolejne słowo, postać się wyprostowała.

Na jej widok złapał się za usta, tłumiąc wymioty, a chłopak za nim jęknął z odrazą. Od pasa w dół była całkiem naga. W jej tali i nogach brakowało sporych fragmentów ciała, a dłonie miała całe we krwi. Wyglądało to tak, jakby odrywała się po kawałku i rozrzucała swoje ciało po klasie. Towarzyszący mu chłopak nie wytrzymał dłużej i rzucił się do ucieczki. Nie wiedział jednak, jak duży był to błąd... Kobieta z krzykiem minęła skostniałego ze strachu Dzikiego i potracając ławki, rzuciła się w pogoń za uciekinierem. Gdy tylko obydwójce zniknęli za drzwiami, Dziki usłyszał wrzask.

W narastającej panice rozejrzał się po klasie, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Przy biurku nauczyciela stały przybory do rysowania na tablicy: linijka, kątomierz i ogromny cyrkiel. Pośpiesznie złapał za cyrkiel i wybiegł z klasy, kierując się w stronę krzyków. Po chwili dostrzegł, jak kobieta przygwoździła chłopaka do podłogi i swoimi pokrwawionymi paznokciami rozszarpała mu bluzę, docierając powoli do pleców.

— Zostaw go!!!! — wykrzyczał Dziki, przygotowując się by uderzyć kobietę. Ta jednak nie zwróciła na niego uwagi, była zbyt mocno skupiona na rozpruwaniu pleców chłopaka. Dziki zamachnął się cyrklem jak kijem bejsbolowym i uderzył kobietę, trafiając w głowę. Choć wydawało mu się, że

cios był silny, bo jej łeb uderzył z impetem o ścianę, przy której przygwoździła chłopaka, to nie przerwała ona rozszarpywania jego pleców. Krzyki, które młodziak wydobywał z siebie, rozchodziły się echem po korytarzu, tworząc niewyobrażalny harmider. Dziki złapał teraz za bok cyrkla i szybkim ruchem zerwał z niego gumową przyssawkę, odsłaniając długi metalowy pręt.

— Ostrzegam cię! — krzyknął, ale kobieta wciąż nie przestawała, zamachnęła się więc i z impetem wbił jej wystający pręt w bark.

Kobieta wygięła się po tym ciosie, próbując dosięgnąć wystający jej z pleców cyrkiel. Po kilku sekundach walki dosięgnęła narzędzia i wyszarpując je z siebie, cisnęła nim wściekle o podłogę.

Dziki cofnął się, widząc, że świdrujący wzrok postaci skupił się teraz na nim. Już po chwili kobieta rzuciła się z rykiem w jego stronę. Była tak szybka, że ledwo zdążył złapać ją za rękę. Przy tym napierała na niego z siłą, której w życiu nie wyobrażałby sobie u kogoś takiej postury. Jej cuchnący, gorący oddech wbijał mu się w twarz z każdym krzykiem, który z siebie wydawała.

— Pomóż! — zawołał w stronę chłopaka, czując że brakuje mu sił.

— Nie mogę — odpowiedział chłopak, płacząc — ja nie chcę już dłużej...

— Pomóż mi do cholery! — krzyknął jeszcze raz Dziki, bo czuł, że pod naporem tej kobiety zaraz pęknie mu kręgosłup. Kątem oka dostrzegł, że chłopak się podnosi, lecz zamiast zrobić cokolwiek, rusza powoli w stronę wyjścia.

— Pomóż mi do cholery, bo przysięgam na Boga, że cię zabiję! — Ten krzyk był jednak aktem desperacji, Dziki czuł, że chłopak nie wróci. Nogi nie wytrzymały mu dłużej i runął plecami na podłogę, wciąż jednak ostatkiem sił trzymał ręce kobiety, by odwlec nieuniknione. Ta czując rosnącą przewagę, zaczęła szamotać się jeszcze mocniej i już po chwili ręce Dzikiego latały jedynie bezwładnie za jej pokrwawionymi kończynami. Po chwili lewa ręka kobiety wyrwała się z jego uścisku i uderzyła go ostrymi paznokciami w brzuch. Zawył z bólu i szykował się na drugi cios, gdy huk, od którego mało nie pękły mu bębunki, rozległ się po korytarzu. Słyszając świst w uszach, poczuł, że kobieta przestała się ruszać, jakby coś ją sparaliżowało. Po chwili jednak jej oczy znów skupiły się na nim, a dłoń wystrzeliła do góry i wtedy drugi huk wypełnił korytarz. Kobieta ponownie zamarła, a po chwili się osunęła, przygniatając Dzikiego swoim ciałem.

— Halo... Kto tu jest? — spytał niepewnie, próbując zepchnąć z siebie trupa. W głębi korytarza usłyszał wyraźnie rozbawiony nieznany sobie głos:

— Poczekaj chwilę, pomogę ci...

Dziki z pomocą nieznanego zrzucił w końcu ciało i opierając się o ścianę, wyprostował się na bolących nogach. W ciemności korytarza dostrzegł jakąś postać. Przez chwilę myślał, że stoi przed nim żołnierz, mężczyzna miał bowiem na sobie mundur w zielone łaty i spodnie wciśnięte w długie czarne buty, ale gęsta broda i długie kręcone włosy bardziej przypominały filmowego najemnika niż prawdziwego wojskowego.

— Czy ona...?— zaczął, spoglądając na ciało kobiety, ale mężczyzna przerwał mu momentalnie, wciąż rozbawionym głosem:

— No chyba po tym, co chciała ci zrobić, nie będziesz mi prawil morałów — zaśmiał się brodac.

Dziki pokręcił głową.

— Nie będę..., dzięki — dodał po chwili. — Posłuchaj, czy ty... — Nim jednak zdążył spytać o to, co się tu właściwie dzieje, mężczyzna przerwał mu ponownie:

— Słuchaj, ja wiem, że masz milion pytań, może nawet więcej, ale narobiliśmy tu sporego hałasu. Zwłaszcza ja — powiedział, pokazując ostentacyjnie pistolet — więc lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy w jakimś innym miejscu. Poza tym wydaje mi się, że za drzwiami twój kolega wymaga pomocy...

Po tych słowach w Dzikim rozlała się jakaś gorycz. Mężczyzna musiał to zauważyć na jego twarzy, bo uśmiechnął się znacznie szerzej.

— Nie będzie z niego najlepszy towarzysz, ale skoro pomogłem tobie, to jego tu nie zostawię. Idziemy i więcej bez hałasu. Z pytaniami się wstrzymaj, aż dojdziemy na miejsce. — Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Dziki nie był do końca przekonany, czy powinien za nim iść, ale brodac wydawał się być przynajmniej normalny. O ile normalnym możesz nazwać kogoś, kto zabija na twoich oczach. Czując jednak brak jakichkolwiek innych opcji, ruszył za nim i drzwiami dla personelu wyszli na zewnątrz.

Gdy byli już na skwerku przed szkołą, mężczyzna szepnął w stronę żywopłotu:

— Wyłaż mały. I tak jak powiedziałem, gęba na kłódkę...

Po chwili zza jednego z krzaków wyłonił się towarzysz Dzikiego, twarz miał bladą, a oczy spuchnięte od płaczu. Spod zielonej bluzy wylewała mu się strugami krew. Brodac spojrział na niego z politowaniem, a potem przeszedł przez furtkę.

Szli dłuższą chwilę drogą biegnącą koło szkoły, aż doszli do parku miejskiego, w którym Dziki jeszcze jako uczeń spędzał czas, gdy w gorące dni

zrywał się razem z kolegami z lekcji. Sam park wyglądał na niezmienny, zdezelowane ławki stały na swoich miejscach, woda w stawku falowała delikatnie, drzewa bez liści też wyglądały tak, jak je zapamiętał. Dopiero gdy skręcali w stronę kolejnego blokowiska, których w Krańcowie było od groma, Dziki zauważył, że z parkiem też było coś nie tak. Brakowało kaczek, brakowało gołębi i jakichkolwiek zwierząt. Jesień dopiero się zaczynała, więc wokół powinno być jeszcze pełno ptactwa. Gdy wchodzili w osiedlową drogę, kątem oka spojrzał jeszcze raz w stronę szarego nieba, ale nic po nim nie latało.

Rozdział II

Autobusem do Wolności

Mężczyzna prowadził ich dalej w głąb blokowiska. Dziki zauważył, że w wielu oknach brakowało szyb, a drzwi do większości klatek były otwarte. Nabrał powietrza, żeby spytać, co się tu właściwie dzieje, ale nim zdążył coś powiedzieć, mężczyzna wszedł mu w słowo:

— Jesteśmy prawie na miejscu, wstrzymaj się jeszcze chwilę, dobrze?

Po jakichś dwóch minutach marszu, weszli do środkowej klatki jednego z bloków, a następnie w górę po schodach do mieszkania na ostatnim piętrze. Idąc, Dziki zauważył, że w większości mieszkań drzwi były po prostu wyrwane, nie było też śladu po ich lokatorach. Ostatnie mieszkanie na ostatnim piętrze jako jedyne było zamknięte.

— Dobra, jesteśmy — odezwał się w końcu prowadzący ich brodacz, otwierając drzwi kluczem. — Rozgośćcie się.

Weszli do pierwszego pomieszczenia, które wyglądało bardziej jak zagracona piwnica niż pokój. Wszędzie wały się bez ładu różne rzeczy: rower górski, siekiery w różnych rozmiarach, ubrania na jednym ze stosów, wojskowe buty (kilka par tuż obok siebie), opakowania po konserwach i chipsach, itd. Dziki spojrzał na mężczyznę, ten jednak zaraz po zamknięciu drzwi zwrócił się w stronę młodego:

— Zajmiemy się teraz twoimi plecami. Ty możesz poczekać w kuchni — dodał do Dzikiego i wskazał mu drzwi na wprost.

Dziki zawahał się przez chwilę, ale gdy zobaczył jak brodacz zdejmuje z chłopaka bluzę i odsłania jego poszarpane plecy (co natychmiast wywołało u młodego falę płaczu), stwierdził, że rzeczywiście nie ma ochoty tego oglądać.

Otworzył drzwi i usiadł obok stołu na krześle kuchennym. Kuchnia wyglądała na nieużywaną. To znaczy nie było w niej takiej graciarni jak w pokoju. Stare białe szafki były pozamykane, a na stole stała tylko jedna szklanka po kawie. Teraz, gdy Dziki usiadł, jego ciało dało mu do zrozumienia, że dostało dzisiaj porcję nieziemskiego wysiłku, a w gardle miał tak sucho, że czuł się, jakby miał umrzeć z odwodnienia. Wstał i z nadzieją zbliżył się do kuchennego kranu, nadzieja jednak szybko prysła, bo nie wyleciała z niego nawet kropla wody. Zdesperowany spojrzał już nawet na szklankę z resztką kawy, ale nie

poddał się pokusie. Opadł z powrotem na krzesło i przez kilka kolejnych minut myślał tylko o tym, jak bardzo chce mu się pić. Miało to swoje plusy, bo teraz każdy inny problem wydawał się jakiś odległy.

Z zamyślenia wyrwał go wchodzący do kuchni brodacz, gestem zaprosił młodego z pokoju do kuchni. Towarzysz Dzikiego miał na sobie nową, trochę za dużą, bluzę granatowego koloru. Wyglądało na to, że mężczyźnie udało się go obandażować, bo ubranie nie nasiąkało z tyłu czerwienią.

— Na szczęście wyglądało to gorzej, niż było w rzeczywistości, ale gdyby posiedziała na tobie jeszcze chwilę, to miałbyś na plecach mielonkę — stwierdził brodacz, rozsiadając się na wolnym krzesle. — Ok. Teraz, kiedy mamy chwilę spokoju, możemy porozmawiać. Wstrzymajcie się jednak z pytaniami aż skończę, w porządku? Szkoda czasu na bezsensowne wywody. Uwierzcie mi, nie jesteście pierwszymi, którym to tłumaczę. Jasne?

Dziki skinął głową. Młody chłopak wyglądał jakby wszystko mu było obojętne, patrzył się jedynie pusto w przestrzeń.

— No to od początku — zaczął mężczyzna, opierając ręce na brodzie, jakby coś sobie przypominał. — Więc tak... pierwsze, co pamiętacie, to Błysk, jak flesz od aparatu i budzicie się na cmentarzu?

Dziki ponownie przytaknął.

— I tak zaczyna się historia prawie wszystkich. Dlaczego? Nie wiem i prawdopodobnie nikt nie wie. Czy żyjecie? Tak, bo można was zabić, o czym boleśnie przekonała się wasza koleżanka.

— Byłeś tam? Na cmentarzu? — przerwał mu Dziki trochę zbyt głośno, a ból gardła momentalnie o sobie przypomniał.

— Byłem... — odpowiedział mężczyzna, nie zmieniając tonu. — Obserwuję was praktycznie od momentu waszego pojawienia się.

— Więc dlaczego nie pokazałeś się wcześniej, na co czekałeś? — spytał Dziki, starając się jednak, by nie brzmiało to jak wyrzut. Bądź co bądź mężczyzna uratował mu życie.

— Zaraz zrozumiesz, obiecuję, ale najpierw spytam się was: obydwaj jesteście z Krańcowa, prawda?

Dziki przytaknął, jego towarzysz wciąż siedział z nieprzytomną miną.

— To dobrze. Zdecydowanie ułatwi wam to sprawę. Więc teraz tak, wyobraźcie sobie, że nagle wszyscy ludzie z naszego miasta zniknęli. A potem, nagle zaczęli pojawiać się pojedynczo, budząc się tak jak wy na cmentarzu. Nie mieli żadnego kontaktu z terenem poza Krańcowem. Nie ma wody, nie ma prądu, wszystko stoi, nie działają telefony i jest praktycznie pusto. Ci, którzy

próbują wyjść poza obszar miasta, umierają. Jeżeli ktoś próbuje przejść przez tory, umiera. Jeżeli ktoś spotka potwory, takie jak wy spotkaliście na cmentarzu, umiera... Zazwyczaj. Co do tych potworów, tak jak wam powiedziałem, ludzie co jakiś czas pojawiają się na cmentarzu. Wygląda na to, że im ktoś jest starszy, tym większa szansa, że na cmentarzu obudzi się jako potwór, a nie jako człowiek. Takich ludzi nazywaliśmy kiedyś niewypełniwykształconymi, a potem przyjęła się krótka nazwa Niewykształcony. Niewykształcony, którego spotkaliście, to po prostu Znicz. Pieruńsko silny, ale dość powolny i ma bardzo oczywisty słaby punkt, uchodzi tu za najsłabsze monstrum. Dlatego czekałem, żeby zobaczyć, czy sobie z nim poradzicie. Jeżeli by wam się nie udało, to szkoda mojego czasu, bo i tak byście tu nie przetrwali — stwierdził gorzko brodaty mężczyzna.

Dziki nie wiedział, co ma sobie o tym myśleć. Jego kolega wyglądał teraz dużo gorzej. Spojrzał na jego otepiałą twarz i rozbiegane oczy. Pewnie próbował nadażyć za słowami ich wybawiciela. Dziki nie miał jednak czasu sam się zastanowić nad jakimkolwiek sensem jego wypowiedzi, bo brodacznów zaczął mówić.

— Idźmy dalej. Wasze rodziny, wasi znajomi i przyjaciele. Mogą tu być, mogli się jeszcze nie pojawić, mogą już nie żyć albo łążą jako potwory i zatruwają nam życie. I zapamiętajcie sobie jedną rzecz: ludzie którzy przekroczyli granicę wieku trzydziestu lat, pojawiają się tu już jako potwory, za to ci poniżej trzynastu... Cóż, takich tu jeszcze nikt nie spotkał, więc pewnie się nie pojawiają. Jeżeli chodzi o wasze rodziny, to cóż... Dla waszych rodziców byłoby lepiej, gdyby się tu wcale nie pojawili — stwierdził i zamilkł na chwilę, dając im chyba czas na wchłonięcie tylu informacji, ile są w stanie. To co powiedział, było tak nieprawdopodobne, że ciężko było to skomentować.

— Czekacie pewnie na to, żeby zasypać mnie pytaniami, co? — stwierdził w końcu, uśmiechając się w dziwny sposób. — Dobra, to kończę już. Jestem Kuba, ale niektórzy mówią na mnie Trzeci. To dlatego, że wedle tego, co ustaliliśmy, w Krańcowie pojawiłem się jako trzeci. Należę do pewnej grupy zwanej Autobus do Wolności, pomagamy nowo przybyłym stawiać tu pierwsze kroki. Ale tylko wybranym nowo przybyłym... — stwierdził po chwili przerwy.

— Dlaczego? — wyrwało się w końcu Dzikiemu. Odchrząknął, bo w gardle czuł jakąś dziwną kluskę. Nie był zadowolony z tego, jak zabrzmiał jego głos. Roztarł nadal bolącą, jeszcze zaczerwienioną szyję i spojrzał na uśmiechniętego Kubę. Ten oparł się wygodniej na swoim krześle.

— Po pierwsze dlatego, że można łatwo tu zginąć, więc szkoda cennych

zasobów na próbę pomagania komuś, kto i tak nie przetrwa.

Dziki nie mógł nie zauważyć, że mówiąc to, Kuba spojrzął prosto na młodego towarzysza.

— Po drugie, nie pomagamy komuś, kto ma wyrok wypisany na twarzy. Dostatecznie wielu bandytów i wszelkiego rodzaju badziewia przelazło już przez cmentarz i teraz gwałci i morduje, bo nie ma policji, która by ich powstrzymała. Dlaczego pomogłem wam? Odpowiedź powinna się nasunąć raczej sama — stwierdził i spojrzął na jedną ze swoich dłoni. — Właściwie to pomogłem tobie — dodał, kierując wzrok w stronę Dzikiego. — Chciałeś pomóc dziewczynie na cmentarzu i stanąłeś do walki, by bronić swojego młodego kompana, więc chyba serce masz po właściwej stronie. Widziałem też, że na cmentarzu powaliłeś Znicza. Broniłeś się, mimo że się bałeś i byłeś na zgoła straconej pozycji. Widziałem wielu, którzy tu trafiali... Nie uwierzysz, jak wielu umiera, bo jedyne, co potrafią zrobić w krytycznej sytuacji, to prosić o litość bezrozumną bestię, zamiast próbować się bronić albo uciekać. — Kuba odwrócił wzrok od Dzikiego i wpatrywał się gdzieś w kąt. — Jeżeli chodzi o dziewczynę, możesz przyznać mi rację albo zniechęcić za to, co powiem, ale dla niej to lepiej, że to skończyło się tak szybko...

— Lepiej? — zapytał Dziki, w którym złość mieszała się z odrazą.

— Jeśli pożyczysz tu dłużej, przyznasz mi kiedyś rację — powiedział brodaty mężczyzna dobitnie w jego stronę. — Takie rzeczy trzeba jednak zrozumieć, ty myślisz jeszcze jak człowiek ze starego świata.

Dziki zawiesił się przez chwilę, słowa "stary świat" uderzyły w niego szczególnie mocno. Wiedział, o co chce spytać, miał jednak trudności ze sformułowaniem tego.

— Powiedz... Czy można jakoś wrócić? — Dziki spojrzął przez okno kuchenne na to szare niebo. Wzrok znów zwrócił na Kubę, który przyglądał mu się z zainteresowaniem, czekając na dalszą część jego wypowiedzi. — Chodzi mi o ten stary świat.

Kuba zaśmiał się.

— Przepraszam, wprowadziłem cię w błąd. Mianem starego świata określa się tutaj wszystko, co było przed Błyskiem. To nie jest tak, że trafiłeś w jakieś inne miejsce, to jest nasze Krańcowo. Jeżeli zaś chodzi ci o to, czy można stąd wyjść i pójść do jakiegoś sąsiedniego miasta, gdzie, no nie wiem... grupa naukowców siedzi i zastanawia się, o co w tym chodzi, a prezydent w telewizji opowiada, jak to wszystko jest pod kontrolą... to niestety, nie. — Kuba zamyślił się przez chwilę i stwierdził jakby do siebie: — Nie jestem nawet pewien, czy

coś w ogóle jest poza miastem — dodał po chwili w stronę Dzikiego. — Jeżeli spróbujesz wyjść poza granice miasta, umrzesz, a ze strefą poza Krańcowem nie ma żadnego kontaktu.

— Ale jak to się umiera? Od promieniowania, czy coś takiego? — Dzikiego wciąż nie potrafił tego zrozumieć, jak można po prostu umrzeć.

— Ciężko to wyjaśnić. — Kuba podrapał się z tyłu głowy. — Właściwie musiałbyś to zobaczyć, żeby zrozumieć. Po prostu przekraczasz pewien punkt, zaczynasz zwalniać, a jak się zatrzymasz, to koniec — stoisz już zawsze. Więc od granicy miasta trzymaj się z daleka. To jedna z podstawowych zasad.

— A jest tych zasad więcej? — spytał Dzikiego.

— Następną sprawą, bo chyba o tym nie wspominałem, trzymajcie się z dala od piwnic, zejść pod ziemię czy czegokolwiek w tym rodzaju. Już się stamtąd po prostu nie wychodzi. Uważajcie na to — powiedział i gładząc się po brodzie, błędził gdzieś wzrokiem przez chwilę, milcząc i zastawiając się. — Ach właśnie! Nie zbliżajcie się też do torów, dużych transformatorów i skrzynek elektrycznych, bo was usmaży żywcem. W mieście nie ma prądu, ale to nie przeszkadza temu elektrycznemu cholerstwu miotać pioruny na prawo i lewo.

— Mieszkam za przejazdem, pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy, to powrót do domu — wtrącił Dzikiego.

— Odradzam ci, ale zrobisz jak będziesz chciał — stwierdził Kuba, kiwając głową. — Słuchajcie, wiadomą sprawą, i już najbardziej oczywistą, jest to, żeby unikać cmentarza. Oprócz tego, omijajcie duże zakłady przemysłowe i miejsca o symbolicznym znaczeniu, bo tam jest najwięcej Niewykształconych. Centrum miasta też nie jest bezpieczne. Bardzo dużo ludzi, którym udało się przetrwać pierwsze dni, koczuje tam w tragicznych warunkach, bojąc się ruszyć gdziekolwiek dalej. Wygłodniali i zdesperowani zabiją was, jeżeli tylko pomyślą, że macie coś do jedzenia. Słyszałem nawet, że zdarzały się tam przypadki kanibalizmu. Tak więc, jeśli nie chcecie trafić na czyjś talerz, tam też nie chadzajcie.

Dzikiego przytaknął, ale wspomnienie o wygłodniałych kanibalach przypomniało mu o dręczącym go pragnieniu.

— Głupio mi pytać... — wtrącił niepewnie — ale, czy masz może coś do picia?

— Jasne, trzymaj — powiedział Kuba, podając mu butelkę z wodą, którą wyciągnął pośpiesznie z szafki za plecami. — A propos jedzenia i picia. Szukajcie wody w butelkach i jedzenia po prywatnych domach, a od sklepów trzymajcie się z dala, bo albo są już okradzione, albo koczują tam ludzie, którzy

niekoniecznie są sympatyczni. Jeśli wiecie, o co mi chodzi...

Znów zapadła między nimi cisza. Po całym tym wywodzie do Dzikiego zbyt wiele jeszcze nie docierało. Ugaszone pragnienie sprawiło, że inne problemy wróciły na swoje miejsce. Przeszło mu przez myśl, że jeszcze chyba nikt nie doznał takich zmian w życiu, w tak krótkim czasie, jak on i ten chłopak. Jego rodzina, jego przyjaciele, całe dotychczasowe życie... To po prostu było niemożliwe. Kiedy teraz miał chwilę, żeby się nad tym zastanowić, prawda uderzyła w niego, jakby dostał od kogoś w twarz. A te pytania, Czy na pewno były istotne? Może przeoczył coś naprawdę ważnego? Z drugiej jednak strony, bał się, że jeżeli dowie się jeszcze czegoś równie dziwnego, to nie wytrzyma i postrada rozum. Dziki milczał jeszcze dłuższą chwilę. O dziwo, ciszę przerwał nagle głos młodego:

— To co ja mam teraz zrobić? — skierował pytanie w stronę Kuby, prawie z paniką na twarzy.

Mina brodatego zrzędła, a on sam, zakładając ręce na piersi i odchylając się na krześle, powiedział chłodno:

— Słuchaj, ja ci nie będę życia układał. Jasne? Dałem ci szansę, której wielu przed tobą nie miało, więc próbuj przetrwać albo się zabić – wybór należy do ciebie.

Chłopak chciał coś odpowiedzieć, ale widząc wzrok brodacza, zamilkł.

— A ty nie chcesz o coś jeszcze zapytać? — rzucił w stronę Dzikiego.

Ostatnie słowa Kuby, choć skierowane do młodego, były dla niego jak kubeł zimnej wody. „Spróbuj przetrwać albo się zabić”. Jak niby ma przetrwać? Gdzie ma teraz pójść? Nawet do domu nie miał po co wracać.

— Jest w ogóle jakieś miejsce, do którego warto udać się na początek? Albo jakaś grupa nowych ludzi, do której warto by było przystać? Chyba raczej ciężko tu przetrwać samemu — stwierdził w końcu, nie wiedząc jak dokładniej sprecyzować pytanie. Kuba zastanawiał się przez chwilę, widać było, że układa sobie coś w głowie.

— Ech, nie będę ukrywał, że porządnym ludziom jest tutaj raczej ciężko. Jest kilka grup, które mogłyby pomóc, ale miejsca są naprawdę ograniczone, rozumiesz... Każdy ma jakichś znajomych, którzy się pojawiają co jakiś czas, no i każdy by chciał, żeby ich przyjąć. — Kuba spojrzął w stronę Dzikiego. — Mógłbyś spróbować szczęścia i zobaczyć, czy w którejś z nich nie masz jakiegoś znajomego ze starego świata, ale — dodał nieco groźniejszym tonem — to już nie muszą być ludzie, których pamiętasz. Nawet nie wiesz, jak ten świat miesza ludziom w głowie.

— A ten Autobus, do którego należysz? Nie ma u was miejsca?

Kuba zmarszczył czoło. Widać było, że znowu coś układa w głowie, ale Dziki podejrzewał już, jaka będzie jego odpowiedź.

— Słuchaj, grupa, do której doraźnie należę, bo większość czasu i tak spędzam przy cmentarzu, jest już przepełniona.

Dziki pokiwał głową, słuchając tej oczywistej odpowiedzi, ale Kuba ciągnął dalej:

— Prawda jest też taka, że utrzymanie Autobusu spoczywa na moich barkach, jako najbardziej doświadczony zapewniam wszelkie możliwe zapasy. A grupa, której przewodzę, nie ma nawet stałego miejsca pobytu, jedynie trochę szczęścia i układów ze starego świata. Czasami ci, którym pomogliśmy na początku, odwdzięczają się, ale każdemu jest tutaj ciężko, nikomu się nie przelewa. Dodatkowo jeszcze poświęcam swój czas, siły i środki, żeby pomagać ludziom, którzy się pojawiają, a wbrew pozorom tych, którzy przechodzą mój przykry test, jest całkiem sporo. — Kuba wstał i spojrzał przez okno. — Rozumiesz więc, że to nie jest pierwsza taka rozmowa i nie mogę zrobić wyjątku i tobie jedynemu zaoferować miejsce. Byłoby to niesprawiedliwe wobec innych, którym pomogłem... Ale — dodał po chwili znacznie pewniejszym głosem — z tego, co wiem, to koło dawnej stacji kolejowej buduje się teraz jakaś nowa wspólnota. Autobus mógłby cię tam podwieźć, jeśli chcesz spróbować szczęścia — zaproponował.

Dzikiemu nie bardzo się to podobało, Propozycja brzmiała raczej jak coś rzuconego na odczepne, z drugiej jednak strony nie bardzo wiedział, co zrobić. Jak nigdy przydałaby mu się jakaś większa pomoc. „No właśnie, pomoc...” — pomyślał, wspominając graffiti, które dostrzegł na jednym z bloków.

— A Armia Daniela? — spytał niepewnie.

Kuba spojrzał na Dzikiego zszokowany. Może nie wiedział, skąd dowiedział się o jej istnieniu.

— Nie — odpowiedział natychmiast zimnym, gniewnym głosem. — I dla twojego dobra spróbowałbym sił we wspólnocie albo samemu. Armia Daniela jest ostatnim miejscem, w jakim chciałbyś się znaleźć. Poza tym, znam się trochę na ludziach. Nie wytrzymałbyś tam, pod każdym tego słowa znaczeniem. Także kolejna dobra rada, mam na nie chyba monopol... Nie przyjmuj się do Armii Daniela. — Kuba skończył i obserwował ich jeszcze przez chwilę. Potem wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju, wrócił po chwili, niosąc dwa szkolne plecaki. — Słuchajcie... — Ton głosu zmienił mu się na znacznie bardziej życzliwy. — Mamy w Autobusie taki zwyczaj, że jeśli ktoś wydaje się być w

porządku i ma szansę przetrwać w tym świecie, to dajemy mu taką małą wyprawkę. To, co najważniejsze: trochę jedzenia, wody i siekiere do obrony. Jeżeli kiedyś uda wam się znaleźć tu swoje miejsce, nie zapomnijcie, kto wam pomógł. A teraz chodźcie ze mną.

Dziki spojrzał w stronę młodego, który oparł swój plecak na kolanach. Nie trudno było zgadnąć, że wcale nie ma ochoty się stąd ruszać. Z korytarza jednak dobiegł ponaglący głos Kuby. Dziki złapał siekiere, a potem skinął głową w stronę młodego. Chłopak zarzucił sobie plecak, po chwili jednak ściągnął go ze zmarszczoną miną. Widać, po tym wszystkim, co usłyszał, zapomniał nawet o ranie na plecach. Nie wziął też siekiery, która została oparta o stół. Przeszli z powrotem przez zagracony pokój i wyszli na klatkę schodową. Kuba spojrzał z uśmiechem na Dzikiego i zmarszczył się, gdy zobaczył, że młody nie wziął ofiarowanej broni, nie powiedział jednak ani słowa. Obrócił się i sięgnął do kieszeni po klucz.

— Od razu was ostrzegę, zabezpieczyłem dobrze te placówkę. Jakbyście chcieli coś stąd zabrać, zginiecie w męczarniach. — Łypnął na nich rozbawiony i przekręcił zamek w drzwiach. — Myślę jednak, że do tego nie dojdzie — dodał po chwili, klepiąc młodszego z chłopaków w ramię. Mijając ich, ruszył wolnym krokiem po schodach na dół. Cała trójka wyszła na zewnątrz blokowiska, a Kuba zaprowadził ich na przystanek autobusowy.

— Dobra, tu was zostawię. Jeżeli poczekać trochę, to powinien przyjechać autobus z moimi ziomkami. Mogą was zabrać do Wspólnoty, na stację albo gdzie tam będziecie chcieli... W granicach rozsądku oczywiście — dodał.

— Ja... — odezwał się niepewnie chłopak — ja chyba spróbuję wrócić do domu...

Dziki i Kuba spojrzeli na niego.

— Jesteś pewien? Nie chcesz poczekać na ten cały Autobus? — spytał Dziki, spoglądając na chłopaka. Widać było, że ten najchętniej poszedłby gdzieś popłakać.

Kuba westchnął i kiwnięciem głowy dał Dzikiemu znać, by odpuścił.

— Ja nie wiem, po prostu chcę wrócić do domu — odpowiedział chłopak, spuszczając głowę jeszcze niżej.

— Więc powodzenia — powiedział Dziki niepewnie i wyciągnął do chłopaka rękę.

Wymienili uścisk i młodzik ruszył chwiejnym krokiem w stronę centrum, ciągle garbiąc się przez zbolące plecy.

— Nie wróżę mu świetlanej przyszłości — stwierdził gorzko Kuba,

obserwując oddalającego się chłopaka. — Mam jednak nadzieję, że tobie uda się przetrwać — stwierdził, wyciągając rękę.

— Tak w ogóle to jestem Dziki. I dziękuję za wszystko.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

— Zapamiętam to sobie — powiedział Kuba i machając ręką na pożegnanie, zniknął między budynkami.

Dziki został sam na przystanku, w głowie ciągle jeszcze czuł jakieś dziwne ośpienie. Nie chcąc za bardzo rzucać się w oczy, już po chwili usiadł w budce, jakby instynktownie starając się zasłonić z każdej możliwej strony. Rozglądając się, dostrzegł na jednej ze ścian przystanku dość koślawo namalowany odręcznie plakat. Przedstawiał krótko obciętego chłopaka, w jeansach i starej wojskowej kurtce. Podpis pod plakatem głosił: „Daniel twoja ostatnia nadzieja – Idź w stronę Marketu”. Odchylił się nieco i przyjrzał plakatowi lepiej. Teraz zobaczył jeszcze, że ktoś dopisał obok na szybie flamastrem: „Jeśli jesteś dziewczyną, nie idź”.

Sens słów Kubby na temat dziewczyny z komentarza zaczął kołatać w jego głowie. „Lepiej, że to skończyło się szybko” — powtórzył w myślach. Jeśli działały się tam takie rzeczy, o których właśnie pomyślał, to faktycznie, nie byli to ludzie, z którymi mógłby trzymać.

Nie wiedział dokładnie, ile czasu minęło, nie miał przy sobie zegarka. Całe miasto wydawało się martwe, a szare chmury zasłaniały słońce tak, że nie było widać nawet skrawka czystego nieba. Trudno było określić, jaka jest pora dnia. Dla zabicia czasu otworzył plecak, w środku były dwie butelki wody, duża mięsna konserwa, paczka chipsów i guma do żucia. Wyciągnął wodę i złapał łyk. Minęło kolejnych kilka minut zanim usłyszał cichy warkot. Warkot nasilał się, a po chwili był już pewien, że był to warkot silnika.

„Moja podwózka” — stwierdził, wychylając się i wstając z miejsca. Na tej pustej drodze i w tej absolutnej głuszy pojazd zdawał się być zbyt głośny. Dziki już prawie przyzwyczaiał się do tej panującej wszędzie ciszy. Warkot silnika roznosił się echem po całej okolicy, jakby zamiast autobusu w jego stronę pędził towarowy ekspres. Odruchowo rozejrzał się dookoła, mając wrażenie, że wszystko, co tylko żyje w tym mieście, wie już, gdzie się teraz znajdują.

Nowoczesny piętrowy autobus zatrzymał się z piskiem tuż przed Dzikim. Logo firmy turystycznej, do której musiał wcześniej należeć, ktoś zamalował sprayem tak, że teraz ogromny kolorowy napis FREEDOM BUS zajmował prawie cały widoczny bok. Dziki spojrział przez okna i zobaczył kilka śpiących postaci, których ten nagły postój wcale nie wyrwał z drzemki. Zanim jednak

zdążył im się dokładnie przyjrzeć, automatyczne drzwi od strony kierowcy się otworzyły, a z wnętrza autobusu dobiegł nieco znudzony głos:

— No wbijaj.

Dziki, nie czekając na dalsze ponaglenie, wszedł do środka. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to kierowca, ogromny nieogolony luzak z burzą dredów na głowie.

— Siemka — powiedział tym samym znudzonym głosem, co wcześniej, wyciągając w stronę Dzikiego rękę. Gdy się witali, kierowca przyjrzał mu się spokojnie, po czym zamykając drzwi przyciskiem, rzucił: — Zajmij sobie wolne miejsce, tylko nie pchaj się na górę, tam są nasze prywatne rzeczy.

Dziki skinął głową i ruszył w stronę tylnych siedzeń, mijając po drodze śpiących w fotelach ludzi. Na końcu autobusu zobaczył schody biegnące na drugie piętro. Gdyby nawet kierowca nie ostrzegł go, pewnie i tak nie dostałby się na górę, bo na jednym ze stopni siedział jakiś krótko obcięty, nieogolony mężczyzna, dzierżący w dłoniach myśliwską flintę. Spojrzał się on badawczo na Dzikiego, ale po chwili kiwnął mu głową na powitanie. Dziki odwzajemnił niepewnie gest, gdy nagle poczuł potężne uderzenie w okolicach brzucha, a zaraz po nim parę dłoni owijających się dokoła jego pleców. Przez chwilę nie był pewien, co się właściwie dzieje. Gdy spojrzął w dół, okazało się, że niska dziewczyna o krótkich czerwonych włosach wtulała się w niego ze wszystkich sił. Sam nawet nie wiedział czemu, ale zrobiło mu się tak miło, że odwzajemnił gest. Stali tak przez chwilę w tym niespodziewanym uścisku, kiedy autobus powoli ruszył. Dziki wyrwał się jako pierwszy i delikatnie odsunął dziewczynę tak, by móc przyjrzeć się jej twarzy. Wbrew jednak temu, czego oczekiwał, nie dostrzegł żadnej znajomej sobie postaci, nikogo, kogo kojarzyłby choćby z widzenia – jakiejś bezimiennej sąsiadki albo dziewczyny spotykanej często na ulicy. Ta, stojąca przed nim, była mu całkiem obca.

— Przepraszam, ale... czy my..., to znaczy... spotkaliśmy się wcześniej? — spytał niepewnie.

— Och — Dziewczyna uśmiechnęła się tak miło, że Dzikiemu zrobiło się jakoś cieplej. — Nie, nie sądzę..., to znaczy... — Postać stanęła na palcach, przyglądając się z bliska jego twarzy. — Nie, nigdy wcześniej cię nie widziałam — odpowiedziała, śmiejąc się.

Dziki również się zaśmiał, choć naprawdę nie wiedział czemu.

— Więc skąd ten niespodziewany atak czułości? — spytał żartobliwie.

— No, bo wiesz... — Dziewczyna zaczerwieniła się i spojrzała na swoje buty. — Pierwszy dzień jest dla każdego tak straszny, więc chciałam, żeby

spotkało cię coś miłego... Takie inne przywitanie od tego z cmentarza — dodała po chwili z goryczą w głosie.

— W takim razie dziękuję i gwarantuję ci, że jest to najmilsza rzecz, jaka mnie dzisiaj spotkała — dodał pewnie Dziki.

— Cieszę się — odpowiedziała, prawie podskakując, po czym złapała go za ramię i pociągnęła na wolną parę siedzeń tuż przed schodami. Kiedy już usiedli, Dziki się uspokoił, autobus wewnątrz wydawał się taki bezpieczny. Jakby całe zło tego świata zostało tam po drugiej stronie szyby, przez którą patrzył.

Dziewczyna wciąż przyglądała się mu z zainteresowaniem, nie była raczej typem osoby, która mogła długo usiedzieć w jednym miejscu, ciągle machała nogami albo przeciągała się, wyginając ręce. Teraz, gdy Dziki przyjrzał jej się uważniej, stwierdził, że musiała być niewiele młodsza od niego, ale przez swoje specyficzne zachowanie i dziwną fryzurę wydawała się dużo bardziej dziecinna.

— Jestem Oli — wypaliła nagle, jakby nie mogła dłużej znieść tej ciszy między nimi.

— O, przepraszam. Przez to twoje niespodziewane wejście zapomniałem się... Mówią na mnie Dziki.

— A nie wyglądasz. Sam sobie to nadałeś? — spytała, wyraźnie krztusząc się ze śmiechu.

Dziki również się zaśmiał, wspominając pochodzenie ksywy, było bowiem dużo mniej oryginalne niż można by przypuszczać.

— To po prostu mój nick w grach online i tak się przyjęło — wyjaśnił.

— Aha. — Dziewczyna zmarszczyła czoło i spojrzała w jego stronę, jakby chciała przewiercić go na wylot. — Jesteś inny niż ci, którzy przychodzą zazwyczaj.

— To znaczy? — spytał Dziki niepewnie.

Ale nim Oli zdążyła coś powiedzieć, do ich rozmowy wtrącił się siedzący na schodach strażnik.

— Widziałeś już Niewykształconego, prawda? — spytał niespodziewanie.

Dziki skinął głową.

— Nawet kilku... — dodał po chwili.

— Więc naprawdę dobrze się trzymasz — stwierdził mężczyzna. — Kuba nie przysyła tu ludzi, co do których ma jakieś wątpliwości. Większość tych, z którymi jechaliśmy, to byli naprawdę twardzi goście. Było nawet paru takich, którzy na dzień dobry załatwili paru Niewykształconych. — Strażnik wstał ze schodów i podszedł do Dzikiego. — Ale wiesz, gdy trafiali tutaj i mieli już chwilę, by zebrać myśli, cóż... załamywali się... albo — dodał po chwili —

siedzieli milczący jak w jakimś transie. Tyle zmian w życiu naraz może naprawdę wejść człowiekowi na głowę, niektórzy po prostu wariują. — Strażnik spojrział teraz na Dzikiego, jakby chciał sprawdzić, czy po tych słowach nie wybuchnie on szaleńczym śmiechem i nie zacznie wymachiwać nożem na prawo i lewo.

Dziki sięgnął do plecaka i wyciągnął wystającą z niego siekiere.

— Jeżeli chcesz, zabierz ją. Bezbronny chyba nie będę wam zagrażał...

— Spokojnie — odpowiedział mu mężczyzna — możesz ją zachować, dopóki zachowujesz się rozsądnie, a gdyby było inaczej, to nawet ona ci nie pomoże.

Mężczyzna wrócił na swoje miejsce, zostawiając Dzikiego z mieszanymi uczuciami. Oli zbliżyła się po chwili i szepnęła mu na ucho:

— Daruj mu. Primo to nasz strażnik i ma prawdziwy kompleks na punkcie naszego bezpieczeństwa, ale jest naprawdę w porządku. Pomoże ci, jeszcze zobaczysz.

Skinął głową, udając, że zgadza się z jej słowami, choć nie do końca wierzył, że Primo spróbuje mu pomóc w jakikolwiek sposób...

Przez tę dziwną konfrontację ze strażnikiem Dziki nie zauważył nawet, że autobus się zatrzymał. Stali teraz po środku jakiegoś pola, a z oddali rysowały się kontury Krańcowa. Musieli więc wyjechać za miasto, ale nie przypominał sobie tej okolicy.

Dredowaty kierowca powoli zbliżył się do niego, przeciskając się między siedzeniami i osobistymi rzeczami mieszkańców.

— Słuchaj..., Kuba na pewno tłumaczył ci, że nie możesz zostać z nami na stałe...

Dziki zauważył, że jego głos był teraz dużo bardziej nerwowy, a Oli odwróciła się i wpatrywała w podłogę.

— Niemniej, bez sensu byłoby ci pomagać, a potem odesłać na pewną śmierć — dodał po chwili. — Dlatego jeżeli ci to odpowiada, zostaniesz z nami parę dni... W tym czasie pokażemy ci trochę w praktyce – jak przetrwać i ułożyć sobie jakieś życie... A potem może ty kiedyś pomożesz nam... To co, pasuje ci ten układ? – spytał.

— Tak — zgodził się Dziki — nie mam zamiaru nadużywać waszej gościnności. Nie jesteście mi nic winni, a i tak mi pomagacie, więc dziękuję i postaram się nie być w tym czasie ciężarem.

Dredowaty otworzył delikatnie usta, być może nie spodziewał się takiej deklaracji ze strony Dzikiego, w każdym razie po chwili się zaśmiał.

— Cholera, chyba po raz pierwszy, od kiedy prowadzę ten autobus, usłyszałem słowo dziękuję.

— Co? — spytał Dziki, nie rozumiejąc w ogóle, o co chodzi. Zamiast kierowcy odpowiedział mu jednak Primo głosem pełnym wyrzutów:

— Większość ludzi jest zbyt zajęta wymyślaniem setek powodów, dla których mieliby zostać z nami na stałe albo błaganiem o litość i narzekaniem, że ich zabijemy, jeżeli będą musieli radzić sobie sami. Nie mają więc czasu pomyśleć o tym, jak wiele dla nich robimy.

— No tak, gdybyście każdego zabierali, to ciągnąłby się tutaj już konwój autobusów — zażartował Dziki, chcąc nieco rozluźnić napięcie.

Nikt jednak się nie uśmiechnął. Primo stwierdził jednak po chwili ciszy:

— Nie byłoby konwoju... Nie przeżylibyśmy.

Dredowaty pokręcił głową, a potem rzucił w stronę Oli:

— Mała, obudzę pozostałych, a ty zacznij już zbierać rzeczy. Rozbijamy obóz, do rana daj naszemu gościowi namiot gościnny, chyba że woli spać w autobusie...

— Siedzenie mi wystarczy — odpowiedział Dziki — ale może mogę w czymś pomóc? Nie chcę siedzieć beczynnie.

— Na razie wystarczy, że nie będziesz przeszkadzał — odpowiedział mu Primo.

Dziki przebudził się zlany potem. Jeszcze przed chwilą stał na cmentarzu otoczony setkami ludzi, którzy ciskali w niego wybuchającymi zniczami. Pokręcił głową, ciesząc się w duchu, że udało mu się nie obudzić z krzykiem. Najwidoczniej jego psychika miała własny sposób na poradzenie sobie z ostatnimi wydarzeniami. Kiedy zastanowił się nad tym przez chwilę, był szczęśliwy, że udało mu się w ogóle zasnąć. Tysiące myśli, które krążyły wieczorem w jego głowie, musiało jednak przegrać walkę ze zmęczeniem, jakie zalało resztę ciała.

Obrócił się na ciepłym siedzeniu, które służyło mu za łóżko i wyjrzał przez okno. Obóz mieszkańców autobusu zdawał się pogrążony w głębokim śnie, ognisko po środku porzrzucanych bez ładu pojedynczych namiotów tliło się resztkami żaru. Wodząc wzrokiem po namiotach, znalazł ten należący do Oli. Jeszcze kilka godzin wcześniej Dziki rozstawiał go własnymi rękami, chcąc chociaż odrobinę przydać się do czegoś. Miał co prawda wrażenie, że sama

właścicielka rozstawiłaby go dużo szybciej bez jego pomocy. Co chwila bowiem poprawiała jakieś drobnostki sknocone przez Dzikiego, który z samym obozowaniem nigdy nie miał zbyt wiele wspólnego.

Dziki przyjrzał się uważnie jej namiotowi. Wewnątrz ciągle paliła się lampka, choć sądząc po braku jakiegokolwiek cienia, Oli musiała już spać... „Może bała się ciemności?” — stwierdził sam do siebie.

Zrobiło mu się jakoś smutno, kiedy pomyślał o niej, żyjącej w tym przerażającym świecie pełnym potworów... Z drugiej strony sama Oli przez cały dzień ani razu nie narzekała. Kiedy pomagał jej rozstawiać namiot i rozmawiali trochę, wydawała mu się naprawdę pozytywną, choć nieco zakręconą osobą. Na pewno było w niej najwięcej życia ze wszystkich mieszkańców tego autobusu. Pozostali chodzili ciągle jak w jakimś amoku albo śnie, a rozmawiali ze sobą tylko o tym, co należy zrobić albo gdzie czegoś szukać. Nawet luzacki kierowca autobusu, jak się wydawało Dzikiemu, od kiedy tylko się zatrzymali, chodził jakiś dziwnie wylękniony i spięty.

Dziki próbował położyć się spać, ale poczuł napierający na niego zew natury. Chcąc nie chcąc, podniósł się i wyszedł na zewnątrz. Oprócz niego w autobusie nie spał nikt więcej. Dziki pomyślał, że ludzie musieli już mieć dość siedzenia w ciągłym zamknięciu. Na zewnątrz było naprawdę chłodno i ciemno. Dziki miał jednak wrażenie, że jakieś światła muszą palić się po drugiej stronie pól, przy których obozowali, bo łuna była tak wyraźna, że bez trudu widział obozowisko i autobus.

Przeszedł kilka kroków, mijając po drodze namioty i zatrzymał się kawałek dalej, gdy zauważył coś, przez co serce na chwilę stanęło mu w miejscu. W oddali pośrodku pola stała jakaś postać. Dziki pochylił się odruchowo, chowając się w wysokiej trawie i licząc na to, że nie zwrócił jej uwagi. Przekonał się już, że w tym świecie wszystko może być śmiertelnie groźne. Wolał więc nie ryzykować. Klęczał tak jeszcze kilka sekund, ale postać zdawała się w ogóle nie poruszać. Dziki pomyślał już nawet, że to strach na wróble, kiedy zza jego pleców dobiegł głos:

— Spokojnie, to tylko Robi.

Primo zaszedł go od tyłu tak cicho, że Dziki prawie podskoczył i ledwo utrzymał potrzebę tam, gdzie powinna być.

— Robi, jaki Robi? — spytał drżącym głosem, przez który zrobiło mu się trochę głupio.

— Jedyny zamarły w tej okolicy. Tam dalej znajduje się granica miasta, jeżeli ją przekroczysz...

— To już słyszałem: zamierasz — wtrącił, wspominając swoją rozmowę z Kubą. Primo irytował go na tyle mocno, że nie chciał wyjść przy nim na kogoś nieświadomego. — To jakiś wasz znajomy? — spytał po chwili, bo Primo nie odchodził i wciąż obserwował go podejrzliwie.

— Nie, jak zdecydowaliśmy się tu zatrzymać po raz pierwszy, już tutaj był. Jego widok denerwował naszych, więc Oli nadała mu imię i zaczęła wszystkim wmawiać, że to nasz patron.

Dziki uśmiechnął się pod nosem, ale Primo, widząc to, zrobił jakiś dziwny grymas i powiedział prawie z groźbą:

— Oli to serce naszej grupy i nie pozwolę, żeby stała się jej jakakolwiek krzywda.

Dziki poczuł, że to ostrzeżenie miało mu dać do zrozumienia, żeby nie próbował niczego głupiego. Denerwowało go przy tym jak bardzo strażnik Autobusu ocenia jego osobę, a jeszcze bardziej jego sugestia, że mógłby zrobić krzywdę Oli.

— Słuchaj, koleżko, nie wiem, gdzie leży twój problem — wypalił w końcu zdenerwowany — nie mam pojęcia, jakim ludziom pomagaliście wcześniej i jak wyglądały wasze relacje. Doskonale wiedziałem, że nie ma tu dla mnie miejsca, ten wasz Kuba zdążył mnie o tym poinformować... I uwierz mi, że gdyby on sam mnie tu nie skierował, to na pewno nie przyszłoby mi do głowy, żeby szukać u was pomocy. Powiedział jedynie, że możecie zawieźć mnie na stację do jakiejś budującej się Wspólnoty i niczego więcej od was nie oczekiwałem, to że zostałem tu dzisiaj, to była wasza decyzja. Mogliście równie dobrze wywalić mnie stąd i ani bym nie protestował, ani do tego protestu nie miał prawa, bo to wasz cholerny autobus, a ja nie mam zamiaru prosić się, żeby w nim zostać — wypalił w nerwach. Po chwili jednak poczuł, że mógł trochę przesadzić. Prawda była taka, że potrzebował pomocy niezależnie od tego, co powiedział wcześniej.

Po jego słowach Primo zmarszczył czoło, ale jego wzrok nieco się zmienił. Przestał być tak jawnie wrogi.

— Choć ze mną — dodał po chwili i ruszył w stronę autobusu.

Po drabinie przykręconej z tyłu pojazdu weszli na jego dach. Najwidoczniej Primo urządził sobie tutaj punkt obserwacyjny, stało tam bowiem krzesło, mały stolik, na którym leżał półmisek orzeszków i woda oraz lornetka. Dziki spojrzał w stronę miasta, ale jego wzrok nie był w stanie przebić się przez ciemność, która rozlewała się nad polami. Miał wrażenie, że z jakiegoś powodu ten obóz jest jedynym jasnym punktem w okolicy.

— Wiesz, dlaczego rozbijamy obóz właśnie tutaj? — spytał go Primo, gdy

już usiadł na krześle.

— Bo jest tu bezpiecznie?

— Bezpieczniej — poprawił go Primo — w tym mieście nie ma miejsc całkiem bezpiecznych, jednak to jest całkiem w porządku... Domyślasz się dlaczego?

— Bo nie ma tu potworów?

— Dokładnie. Praktycznie nie ma tu Niewykształconych, co więcej znajdujemy się na granicy miasta, więc z tamtej strony — wskazał palcem w stronę pól i łuny światła — nic tutaj nie przyjdzie, musimy więc obserwować tylko jedną stronę. Dodatkowo, jeżeli odgradzimy autobusem obóz, to z miasta nie będzie widać ogniska dzięki tej świetlnej łunie za nami. W całkowitej ciemności ognisko widać naprawdę z daleka, a to może ci ściągnąć na głowę kłopoty. Można by rzec, że takie miejsce to prawdziwy skarb, a w Krańcowie są tylko takie dwa. Kiedyś wszystkich, których Kuba przyprowadził z cementarza, woziliśmy do tego drugiego i pozwalaliśmy im tam zostać. Dostarczaliśmy im namioty i sporo innych rzeczy, praktycznie wszystko, czym mogliśmy się podzielić.

— Niech zgadnę, nie okazali się być szczególnie wdzięczni...— westchnął Dziki.

Primo prychnął wściekle:

— Nie, nie okazali się. Był taki jeden koleś, nie pamiętam nawet jego imienia ani wyglądu, dla mnie był taki sam jak każdy nowo przybyły. Pamiętam jak wszedł do autobusu. Oli go przywitała tak jak ciebie. Siedzieli razem i rozmawiali. Wydawało mi się nawet, że ona mu się podoba. Pamiętam, że spędził z nami kilka dni, zanim zawieźliśmy go do obozu. W tym czasie nasza mała cwaniara szarpała dla niego z zapasów, ile tylko mogła, więc niczego mu tu nie brakowało. Obóz natomiast to już inna bajka, nigdy się tam nie przelewało. Jak pobędziesz tu jakiś czas, zobaczysz, jak trudno chociażby o wodę albo ile trzeba się narazić, żeby coś zjeść.

— Pewnie nie był zachwycony tym, że chcecie go zostawić...

— Nie był, ale najgorsze przyszło później. Udało mu się przekonać kilku ludzi z obozu, że my tu opływamy w luksusy, a ich los to tak naprawdę mamy w dupie, więc kiedy następnym razem przyjechaliśmy z nowo przybyłym, zaatakowali nas...

— Co?! — przerwał Dziki, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież im pomagaliście.

— Najwidoczniej uważali, że za mało. Pewnie myśleli, że powinniśmy

tracić życie, żeby oni mogli siedzieć w obozie i biadolić. Nie to było jednak najgorsze. Ten sukinsyn wziął Oli na zakładniczkę.

Dziki poczuł, że ponownie coś się w nim gotuje. Jak ktoś mógłby w ogóle pomyśleć o zrobieniu krzywdy takiej miłej osobie.

— Jak to na zakładniczkę? Co się stało dalej?

— Odstrzeliłem mu łeb. W obozie nie mieli broni... Trzymał jej nóż przy szyi, chciał żebyśmy oddali im autobus z zapasami, więc wymierzyłem przez okno na piętrze, nawet go nie otwierając i rozwalilem mu ten cholerny łeb. Pozostali jak to zobaczyli, schowali się przerażeni, a my już nigdy tam nie wróciliśmy.

— Cóż, to wyjaśnia twoje podejście do nowo przybyłych. Chcę powiedzieć, że...

— Dziki — przerwał mu Primo — jeżeli to, co powiedziałeś, jest prawdą, jeżeli chcesz rzeczywiście kopa na start i zamierzasz radzić sobie sam, to wiedz, że cię szanuje i... KURWA MAC! — Primo krzyknął i poderwał się z fotela.

Dziki obejrzał się w stronę miasta. Z ciemności na ich oświetlone tajemniczą łuną pole wchodziły pokracznie jakieś postacie, przez mrok nie mógł im się przyjrzeć, ale było ich mnóstwo, po chwili zaś usłyszał jakiś huk. Primo wystrzelił w powietrze z rewolweru hukowego, na dole z namiotów zaczęli wybiegać rezydenci autobusu.

— Zabierać, co się da, i do środka — usłyszał w ciemności głos kierowcy.

Sam Dziki, nie czekając, zsunął się po drabinie i spojrzał w stronę pól. Pokraczne postacie były zaledwie parę metrów od nich. Odbiegł w stronę obozu, Oli stała koło swojego namiotu, świecąc dookoła latarką.

— Dziki, sprawdź, czy nikt nie został — krzyknęła w jego stronę.

Dziki podbiegł do najdalszego namiotu i rozchylił wejście.

— Pusto! — krzyknął.

W tym samym czasie z namiotu obok wypadł jakiś chłopak z rzeczami wysypującymi się z niedomkniętego plecaka.

— Oli, do środka! — wrzasnął kierowca autobusu, stojąc w drzwiach.

— Musimy sprawdzić, czy są wszyscy! — odkrzyknęła, świecąc latarką w stronę namiotów.

Dziki odbiegł na koniec obozowiska i spojrzał na jedyny zamknięty namiot. Gdy zajrzał do środka, zobaczył leżącą tam dziewczynę. Złapał ją za ramię, a ta poderwała się przerażona. Z jej uszu wypadły słuchawki od mp3.

— Do autobusu, już! — krzyknął, wyciągając dziewczynę ze środka.

Na zewnątrz Oli sprawdzała ostatni namiot.

— Są wszyscy! — krzyknęła.

Dziki podbiegł do niej i ruszyli w stronę autobusu. Byli już w połowie drogi, gdy tuż obok wybiegła ogromna pozbawiona rąk postać, z głową okrągłą jak piłka. Dziki pchnął Oli w stronę pojazdu i zatrzymując się, rąbnął z całej siły pięścią w ten okrągły łeb. Przez chwilę myślał, że Niewykształcony ma głowę z betonu, nie poruszył się bowiem nawet o milimetr, a Dziki poczuł, że zaraz pęknie mu ręka. Oli krzyknęła, zatrzymując się kawałek dalej. Istota odchyliła swój pozbawiony rąk korpus i celując ogromną głową jak maczugą, rąbnęła Dzikiego prosto w brzuch, wyginając się przy tym w sposób niewyobrażalny dla człowieka. Dziki padł na ziemię jak rażony gromem, nie mogąc złapać tchu. Zobaczył tylko jak Niewykształcony odgina się po raz drugi i ponownie uderza swoją wielką głową, tym razem trafiając go w bark. Dziki wrzasnął z bólu, ale przez jego krzyk przebił się głos Prima:

— Odsuń się Oli, już!

Dziki zobaczył, jak strażnik Autobusu wbija się w nogi istoty i obala ją bez trudu na ziemię.

— Podnoś się szybko! — krzyknął, wyciągając dłoń.

Dziki chwycił rękę Prima i szarpnięty wstał, ciągle czując pulsujący ból. Oli podbiegła do niego z drugiej strony i wchodząc mu pod ramię, pomogła mu dobiec do autobusu. Nim drzwi zdążyły się za nimi zamknąć, kierowca wcisnął gaz i pojazd ruszył.

Dziki wyjrzał przez okno i zobaczył, jak gromada Niewykształconych pozbawionych rąk, za to z ogromnymi okrągłymi głowami porośniętymi twardą skórą, biegnie za nimi. Autobus rozpędzał się powoli, więc ci, którzy zdołali ich dogonić, uderzali łbami w jego boki z gigantyczną siłą. Kilka okien z tyłu pękło, a Dziki usłyszał krzyki współpasażerów, ale autobus nabrał w końcu prędkości i niewykształceni zaczęli się oddalać, gdy zaś wjechał na drogę, praktycznie zniknęli im z oczu.

Dziki odetchnął z ulgą, obserwując ciemniejącą drogę. Przez dłuższą chwilę w autobusie nikt się nie odzywał. Słychać było jedynie warkot silnika wpadający przez rozbite okna. Kątem oka spojrzął w stronę Prima, jego oczy biegały od osoby do osoby, najwidoczniej liczył, czy wszyscy zdążyli uciec. Kiedy skończył, Dziki spodziewał się wyrazu ulgi na jego twarzy, ten jednak szybko odwrócił się w stronę Dzikiego i prawie rykiem przerwał dotychczasową ciszę:

— Co się do cholery tam stało?

— Poprosiłam Dzikiego, żeby sprawdził namioty. Miałam wrażenie, że nie wszyscy wyszli... — wpadła mu w słowo Oli — a potem Dziki wyciągnął

Weronikę...

W tym momencie wzrok Prima powędrował na kulącą się w jednym z siedzeń dziewczynę, tę samą, którą Dziki wyciągnął z namiotu. Przez chwilę miał wrażenie, że Primo spojeli ją samym spojrzeniem.

— Nie słyszałaś sygnału? — spytał jadowicie, prawie sycząc przy tym jak wąż.

Dziewczyna zalała się czerwienią, a ręce zaczęły jej się trząść.

— Ja... nie...

— Zasnęła w słuchawkach, to nie jej wina, po prostu nie usłyszała sygnału.

— Dziki próbował przedstawić to jak drobny wypadek, po chwili jednak pożałował, że w ogóle wtrącił się w rozmowę.

Po jego słowach Primo nabrał ze świstem powietrza, a oczy zawirowały mu ze wściekłości.

— Coo???

W tym momencie Oli stanęła między Primem a Weroniką, prawie zasłaniając ją jak tarcza.

— Przestań się już wydzierać, powinienes się cieszyć, że jest cała!!! — zawołała gniewnym, zupełnie niepasującym do niej głosem.

— A jak myślisz, dzięki komu jest cała?? — odkrzyczał jej natychmiast Primo.

W tym momencie Oli zrobiła zaciętą minę.

— Dzięki Dzikiemu — wypaliła złośliwie, a strażnik Autobusu momentalnie zamilkł.

Wyglądał prawie tak, jakby dziewczyna strzeliła go czymś ciężkim w twarz. Dziki miał nadzieję, że to już koniec tej awantury, ale twarz Prima czerwieniała coraz bardziej, a to mogło skończyć się tylko kolejnym wybuchem.

— Ja naprawdę przepraszam — wykrzyczała drżącym głosem Weronika — nie pomyślałam że usnę tak szybko, ja nigdy bym...

Primo wyciągnął rękę w jej stronę, o włos mijając głowę Oli.

— To nawet nie jest nieodpowiedzialne, to było idiotyczne!!! To ja nie śpię po nocach, próbując utrzymać was przy życiu, a wy nie potraficie nawet...

— Primo odpuść, myślę, że już dostała za swoje i więcej czegoś takiego nie zrobi — wtrącił dyplomatycznie kierowca autobusu — ani ona, ani nikt inny...

Strażnik stał przez chwilę, dysząc ciężko. Dziki czuł, że rozważa, czy dziewczyna aby na pewno dostała odpowiednią lekcję. Nim jednak atmosfera zdążyła opaść, odwrócił się w stronę Dzikiego.

— Chodź ze mną.

Dziki czuł, że coś rozlewa mu się w środku. „Teraz on ma oberwać? Ale za co?” — pomyślał, czując kołatanie serca.

— Dziki nie zrobił nic złego — wykrzyczała natychmiast Oli, tym razem stając przed nim jak wcześniej przed Weroniką.

— Potrzebujesz adwokata, Dziki? Chodź ze mną na górę. — Primo odwrócił się i depcząc potłuczone szkło, ruszył schodami na piętro autobusu.

— Nie musisz — wyszeptała mu Oli.

— Spokojnie, przecież mnie nie zabije — odpowiedział, uśmiechając się, chociaż tak naprawdę nie było mu ani trochę do śmiechu, a i co do swoich słów, zaczynał mieć wątpliwość. Mimo to ruszył za Primem po schodach, tłukąc szkło jeszcze bardziej.

Piętro autobusu wyglądało na dość sprawnie zagospodarowane, wymontowano z niego prawie wszystkie siedzenia, robiąc miejsce na łodówki turystyczne i baniaki z wodą, które zajmowały prawie pół autobusu. Druga część zapchana była sprzętem turystycznym, namiotami, rozkładanymi łózkami, zestawami podróznymi i apteczkami. Primo siedział pośród tych gratów na jednym z ocalałych siedzeń.

— Siadaj — powiedział spokojnym zupełnie niepodobnym do siebie głosem, wskazując Dzikiemu rozkładaną leżankę. Dziki usiadł niepewnie na krawędzi leżaka. Gdyby Primo dostał ataku furii i postanowiłby go udusić, to z tej pozycji miałby jeszcze szansę uciec.

— Dobra robota, Dziki, dziękuję — powiedział do niego głosem ponownie zupełnie innym od jego zwyczajnego opryskliwego tonu. Dziki był tym zupełnie zbity z tropu, spodziewał się, że dostanie raczej reprimendę podobną do tej z dołu, za to, że Primo musiał ratować mu życie lub coś w ten deseń. Nie wiedział w ogóle, co ma odpowiedzieć, więc pokiwał jedynie głową. Primo, widząc, że wiadomość dotarła, kontynuował już swoim normalnym wrednym głosem.

— Cieszę się, że Weronice nic nie jest. Wiem, że może tak to nie wyglądało, ale naprawdę się cieszę. Widzisz, Dziki, oni są jak dzieci, tylko naprawdę traumatyczne rzeczy zapamiętują na dłużej, więc wolę, żeby ta trauma wychodziła ode mnie, niż żeby mieli skończyć... Wiesz, o co mi chodzi.

Dziki pokiwał głową, a Primo uśmiechnął się nieco sztucznie.

— Po tym, co zrobiłeś, jestem pewien, że odwagi ci nie brakuje. Ale gdy zobaczyłem, jak próbujesz sprzedać sierpa Potłukowi, to nie wiedziałem, czy cię ratować, czy posrać się ze śmiechu.

— Potłukowi? Chodzi ci o tego Niewykształconego?

— Dokładnie. — Primo popatrzył się przez chwilę w okno. — To jasne, że

odruchowo próbowałaś walnąć go w coś, co wyglądało jak łeb. Tylko, że widzisz... tak w zasadzie to Potłuk tego łba używa jako bronii, niczym takiej maczugi... więc jest dość twardy.

Dziki odruchowo spojrział na swoją prawą rękę, która wciąż pulsowała bólem.

— Przekonałem się o tym, ale ty go jakoś załatwiłaś...?

— Ja go tylko przewróciłem. Mają strasznie ciężkie głowy i nie mają kończyn górnych, więc podnoszą się dość długo. Zabicie go byłoby już zupełnie inną bajką. To, co chcę ci powiedzieć, Dziki, to to, że musisz się uczyć naprawdę szybko. Samą odwagą niewiele zdziałasz, jeśli nie będziesz wiedział z czym i jak walczyć, a przed czym zawsze uciekać. — Primo zamyślił się przez chwilę i wyjrzał przez okno. — Teraz najlepiej byłoby, żebyś uciekał przed wszystkim. Nawet będąc weteranem tego świata, nie zaryzykowałbym niepotrzebnego starcia, choćby ze Zniczem... Bo to jest zawsze gra o życie.

Dziki był w stanie sobie to wyobrazić, Znicz, z którym miał do czynienia, o mało co nie pozbawił go życia, a przecież był tu najsłabszym Niewykształconym. Czuł jednak, że Primo zmierza do czegoś bardziej konkretnego niż tylko ogólne moralizowanie.

— Dziki, prawda jest taka, że nie będziesz mógł zostać z nami zbyt długo...

Dziki westchnął mimowolnie, wolał raczej odwlekać w myślach ten moment, gdy będzie zdany tylko na siebie w tym chorym miejscu.

— Wiem, jak to wygląda — kontynuował Primo — pewnie myślisz, że jestem cholernie zrażony do nowo przybyłych i nie chcę się dzielić zapasami z kimś, kto może mi potem wbić nóż w plecy... Ale tu nie chodzi o to. Nie wydajesz się być gnidą jak tamten, a jedzenia i wody dla jednej osoby więcej na pewno by starczyło... Problem leży z innej strony.

Dziki zainteresował się teraz znacznie bardziej. Jeżeli nie chodziło o jedzenie i wodę, to o co? O miejsce?

— Widzisz, Dziki, liczba mieszkańców autobusu nie jest przypadkowa. Jest nas dokładnie tylu, ilu powinno być, a nawet o jednego za dużo, a to dlatego, że ludzie przyciągają Niewykształconych.

— Jak to? — Dziki był wstrząśnięty. On będzie wabił te bestie?

— A no tak to, nie wiem dokładnie, na jakiej zasadzie się to odbywa, ale jeżeli w jednym miejscu jest więcej niż troje ludzi przez dłuższy czas, to zaraz coś się na nich napatoczy. Liczba mieszkańców Autobusu wynosi obecnie dwanaście osób. To nie jest ścisła matematyka, ale przy dwunastu osobach atakują nas małe grupy Niewykształconych, przed którymi jesteśmy w stanie się

bronić. Jeżeli jednak dodamy ciebie, robi się nas trzynaście i grupy z małych robią się duże... Oczywiście to nie jest ściśle, liczyłem, że może nie przyciągniesz zbyt wielu.

— To znaczy, że wiedziałeś, że oni przyjdą.

— Wiedziałem, że coś przyjdzie... Gdybym wiedział, że Potłuki, to nawet nie próbowalibyśmy biwakować, i tu wracamy do ciebie. Przez czas twojego pobytu nie będziemy mogli zatrzymać się na zbyt długo. W jadącym autobusie ciężko się wyspać, a i paliwo nie jest łatwe do zdobycia, więc nie możemy jeździć wiecznie... Przez ten czas jednak postaram się przekazać ci tyle wiedzy, żebyś nie zginął zbyt szybko, jasne?

— Rozumiem i dziękuję. Robicie dla mnie i tak zbyt wiele.

— Po to jest ten autobus. Ale ostrzegam, jak na dole się wygadasz, że cię nie objechałem albo, że rozmawialiśmy normalnie, to będziesz żałował, że cię Potłuki nie dopadły...

Rozdział III

Mike

Pierwszy tydzień w nowym świecie minął Dzikiemu tak szybko, że miał wrażenie, iż dni tutaj muszą być w jakiś sposób krótsze.

Pomimo usilnych starań i spędzania każdej wolnej sekundy na słuchaniu rad i nauk Prima, wciąż nie mógł myśleć spokojnie o zbliżającej się chwili, w której będzie musiał opuścić Autobus. Najgorsze w tym wszystkim było to, że zdążył już się przyzwyczaić do tego dziwnego koczowniczego trybu życia, jaki prowadzili autobusiarze. Miał również wrażenie, że zżył się już nieco z nimi, a zwłaszcza z Oli, która była typem osoby, jakiej po prostu nie sposób było nie polubić. Tym bardziej smutny był dla niego moment, gdy Primo i kierowca autobusu Janek przyszli do niego, mówiąc, że już czas, aby podjął decyzję, gdzie chce się udać.

Swój ostatni dzień podróży postanowił spędzić na odpoczynku. Rozsiadł się wygodnie na jednym z siedzeń i oparłszy głowę o szybę, obserwował powoli mijającą drogę.

Mimo że starał się zachować spokój, wyrywkowe nauki Prima ciągle bombardowały mu głowę.

— Trzymaj się z dala od bloków, nie dasz rady uciec, jak Niewykształceni odetną cię na klatce... Szukaj wody, gdzie się da. Tu naprawdę można umrzeć z pragnienia... Nie walcz z niczym, co nie jest człowiekiem, niektórzy Niewykształceni wyglądają na kruchych, a tak naprawdę potrafią rozrywać na strzępy...

Każde kolejne zdanie tego typu, zatrzymywało na chwilę jego serce i sprawiało, że przez całe ciało przelewała się fala strachu. „I jak ja do cholery mam dać radę...?” — westchnął w duchu.

Z błędzących po głowie myśli wyrwał go widok Oli. Dziewczyna szła niepewnie w jego stronę, zaciskając nerwowo pięści. Gdy przyjrzał jej się uważnie, dostrzegł, że mruży oczy, jakby chciała powstrzymać się od płaczu. Czując jego spojrzenie, dziewczyna zatrzymała się na chwilę, a potem przesadnie ciężkim krokiem ruszyła prosto na niego i z impetem padła na boczne siedzenie, opierając swoją głowę o jego tors.

— Jakoś to będzie. Dziki, nie mówię, że będzie dobrze, ale na pewno będzie

jakoś — wyrecytowała dziwnym, przyspieszonym głosem, jakby się bała, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego, zanim się rozklei.

Dziki się zaśmiał. Za każdym razem, kiedy ktoś w Autobusie miał złą chwilę albo moment załamania, Oli zaraz zjawiała się przy nim, po czym dwoiła się i troiła, by poprawić mu humor. Z drugiej strony, on sam znalazł się w sytuacji, w której naprawdę nie było nic realnego, co mogłoby poprawić mu nastrój. Musiała o tym wiedzieć również Oli, bo unikała go prawie przez cały dzień, co w połączeniu z faktem, że większość czasu spędzali zamknięci w autobusie, było wręcz niewyobrażalną umiejętnością. W każdym razie, Dziki był pewien, że dziś, gdy się nie widzieli przez cały czas, myślała, co by powiedzieć, aby jakoś złagodzić ból tego przykrego rozstania. Choć oczywiście ta dziwna, wypowiedziana przez nią sentencja nie niosła w sobie zbyt wiele pokrzepienia, to jednak sam fakt, że Oli tak się starała, mimowolnie poprawił mu humor.

— Nie powinnaś się tak przejmować. W końcu znamy się dopiero tydzień — powiedział, odchylając się, by spojrzeć jej w twarz. Naprawdę nie chciał, by tak miła dziewczyna zadreślała się przez coś, na co i tak nie miała wpływu. Oli zrobiła jednak obrażoną minę i krzyknęła na niego, obracając się w złości:

— Głupek! Jeżeli potrafisz nie przejmować się losem drugiego człowieka, to jesteś głupek... i dupek...

Dziki zaśmiał się po raz drugi.

— Przejmuję się tym, żebyś się nie zamartwiała. Będzie mi tam jeszcze ciężiej, wiedząc, że się martwisz — stwierdził, kładąc jej rękę na plecach.

Oli przestała się dąsać i usiadła normalnie, opierając głowę o ramię Dzikiego. Jechali tak przez dłuższy czas w milczeniu, więc miał chwilę, by spojrzeć przez okno i zobaczyć gdzie są.

Autobus wyjeżdżał powoli na obrzeża miasta, budynki były tutaj dużo rzadziej rozmieszczone i nie wydawały się być tak zdewastowane jak te, które Dziki widział w centrum. Stacja kolejowa, a więc i Wspólnota, do której zmierzał, była zaledwie parę minut drogi stąd. Jego czas w Autobusie kończył się nieubłaganie.

— A więc Wspólnota — stwierdziła Oli, również rozpoznając dokąd jadą.

— Tak, mówił mi o niej Kuba... Myślę, że nie wysłałby mnie w jakieś złe miejsce — stwierdził, chcąc uspokoić zarówno siebie, jak i Oli.

— Hm... a jeżeli tam nie wypali? To znaczy, myślę, że wypali, naprawdę... Ale co, jeśli jednak nie? — spytała dziewczyna, kręcąc nerwowego młynka kciukami.

— To pójdę do domu... do swojego domu. Myślę, że tam będę się czuł

najpewniej — odpowiedział. Myśl o powrocie do siebie wydawała mu się najbardziej logiczna.

— Większość próbuje wrócić do domu — stwierdziła dziewczyna wyraźnie przygnębiona — ja też próbowałam...

Dzikemu zrobiło się nagle strasznie głupio. Przez cały czas jego pobytu w Autobusie, Oli skakała dookoła niego, a jemu nie przyszło do głowy, by spytać się o jej historię... rodzinę... Co spotkało ją w tym świecie? Jak trafiła do Autobusu? Teraz było jednak za późno.

— Obiecuj mi coś, Dziki — powiedziała do niego prawie błagalnie — nie daj się zabić. Ja naprawdę szybko przywiązuję się do ludzi i naprawdę źle znoszę wieść o ich...

Nie dokończyła jednak zdania, tylko przełknęła mocno ślinę i złapała głęboki oddech, mówiąc już całkiem innym tonem.

— Jeżeli nie dasz rady, jeżeli będziesz głodował, jeżeli będziesz czuł, że nie możesz dłużej, znajdź Autobus, znajdź nas. Nawet jeżeli nie pozwolą ci zostać, ja... Pójdę z tobą i pomogę ci... Wiem, że wydaję się słaba, ale znam ten świat i pomogę ci.

— Obiecuję — powiedział Dziki, przyrzekając sobie w duchu, że nawet gdyby miał umrzeć, nie wróciłby i nie naraził Oli na niebezpieczeństwo.

Autobus zakręcił właśnie na rondzie i zaczęli jechać wzdłuż torów, z oddali widać już było okolice stacji kolejowej oraz zabytkowy budynek dworca. Strzelisty gmach z czerwonej cegły o ogromnych drewnianych okiennicach górował nad dużą częścią okolicznych budynków. Gdy wjechali na plac przed budynkiem, Dziki dostrzegł, że był on pełen zdezelowanych autobusów i starych samochodów. Przy peronie, nieco dalej stał pociąg towarowy z gigantyczną linią węglarek. Z tego miejsca widać było też kolejny miejski zabytek – wieżę ciśnienia, czyli ogromną basztę, która lata temu zapewniała dostęp do wody dla mieszkańców okolicy, zanim nie została wyparta na dobre przez hydrofory.

Po placu wokół autobusów kręciło się sporo osób, był to niesamowity kontrast w stosunku do niemal wymarłych okolic miasta, po których podróżował Autobus.

Janek podjechał pod stary budynek baru, który odkąd Dziki pamiętał, stał wiecznie naprzeciwko dworca. Wyglądając przez okno, dostrzegł kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy przyglądali się podejrzliwie autobusowi. Nikt jednak nie zareagował otwartą wrogością, choć wszyscy tutaj wyglądali na gotowych do zaczęcia rozrób.

— Połowa z nich z nami jeździła, a teraz gapią się, jakbyśmy przynosili im

tylko problemy — rzuciła Oli obrażonym głosem.

Dziki podniósł się i wyciągnął swój plecak ze schowka nad siedzeniem. Podszedł do Primo, który siedział z tyłu i uściskał mu rękę.

— Nie daj się zabić, Dziki i pamiętaj o podstawach, których cię nauczyłem.
— Dziki skinął głową i przeszedł dalej, żegnając się z kolejnymi mieszkańcami. Chwilę dłużej żegnała się z nim jeszcze Weronika, która po raz kolejny dziękowała za ratunek. Po serii pożegnań i uścisków rąk, Dziki wrócił do Oli, która czekała przy drzwiach.

— Mam nadzieję, że dadzą ci szansę — powiedziała, wierząc nogami w miejscu.

— Spokojnie, Oli, jak się z nimi nie dogadam, to jakoś sobie poradzę, zawsze tak było. — Dziki uśmiechnął się i podszedł do drzwi. Janek otworzył je, a chłopak zeskoczył ze schodków na kostkę chodnika. Spojrzał do tyłu na stojącą w drzwiach dziewczynę. — Będzie dobrze, jeszcze się spotkamy.

— Oby — odpowiedziała, próbując się uśmiechnąć, ale wszystko, co udało się jej wykrzesać, to zmartwiony grymas. Jej oczy oderwały się nagle od Dzikiego i powędrowały w stronę jednego z mężczyzn spod baru, który odłączył się od swojej grupy i zmierzał pośpiesznie w ich stronę.

Dziki zeszywniał, przyglądając się zbliżającej się wyjątkowo potężnej postaci. Czuł, że w najlepszym wypadku usłyszy, że mają się stąd wszyscy zabierać. Nigdy nie przypuszczał, że nastąpi to, co stało się po chwili.

— No! Nareszcie, Dziki! Myślałem, że się tu zanudzę! — krzyknął nagle mężczyzna, zatrzymując się zaledwie parę metrów od autobusu.

Dziki zmarszczył oczy i przyjrzał się uważnie stojącej przed nim postaci. Minęła dłuższa chwila, zanim udało mu się dopasować właściciela głosu do jego obecnego wyglądu. Być może dlatego, że chyba nikt inny nie miał okazji zobaczyć, jak jego najlepszy przyjaciel z dnia na dzień starzeje się o parę lat. Mike, którego Dziki trochę ponad tydzień temu żegnał pod barem, jako wysokiego chudego pedanta, bez śladu szczeciny na brodzie, stał teraz przed nim jako rosły macho z brudem na twarzy tak naturalnym, jakby dopiero co wyszedł spod naprawianego przez siebie samochodu.

Dziki stał jak sparaliżowany przed drzwiami autobusu, a Mike ruszył w jego stronę i z uśmiechem żółtym jak u palacza najgorszych kiepów prawie podniósł go do góry na przywitanie. Dzikiemu wciąż trudno było zrozumieć, że sam widział przyjaciela trochę ponad tydzień temu, a ten ścisnął go, jakby się nie widzieli latami.

— Dziki, myślałem, że się nie doczekam, albo że cię przegapiłem i leżysz

gdzieś martwy w którymś rowie — zawołał uradowany Mike.

Tylko głos nie zmienił mu się prawie wcale. Dziki ciągle jeszcze był w szoku, nie mogąc powiedzieć nawet słowa. Tuż obok usłyszał głos Oli, która wyskoczyła z autobusu.

— Dziki, jak się cieszę. Mówiłam ci, że jakoś to będzie, mówiłam!

— Mike, jak ty się zmieniłeś... — stwierdził, kiedy już udało mu się wyrwać z szoku i sklecić w końcu w głowie jakieś sensowne zdanie.

— Po tym, co muszę tutaj przechodzić, nawet najmniejszy szczur nabrałby chociaż trochę krzepy. Kurde! Naprawdę dobrze, że jesteś — powiedział z przekonaniem, klepiąc go w ramię. — To prawie, jakbym zobaczył część swojego starego życia. Dzięki, że go tu przywieźliście — powiedział w stronę Oli.

Dziewczyna uśmiechnęła się, przyklękając wdzięcznie na jedno kolano i popatrzyła na Dzikiego z błyszczącymi z radości oczami.

— Musimy już jechać, Dziki. Zobaczysz, że teraz będzie lepiej. Jak masz tutaj kogoś, jest zupełnie inaczej — zawołała Oli i uściśnęła Dzikiego, prawie łamiąc mu przy tym żebra. Potem spojrzała niepewnie na Mike'a, lecz po chwili w niego też się wtuliła. — Zaopiekuj się Dzikim — wyszeptła z twarzą ciągle wbitą w jego tors.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Mike, klepiąc dziewczynę po plecach. Po tej serii uścisków, Oli wróciła do autobusu i machając im, wyjrzała przez pierwszą szybę. Janek zamknął drzwi i zatrąbił na pożegnanie, po czym autobus ruszył powoli w stronę wieży ciśnień.

— Urocza dziewczyna — powiedział Mike, obserwując tył autobusu. Oli zdążyła już przebiec przez pojazd i machała im teraz przez tylną szybę. — Aż żałuję, że nie miałem okazji jej dobrze poznać...

— Tobie nie pomogli? — spytał niepewnie Dziki.

— Oj, ja nie miałem tyle szczęścia. Parę razy minąłem się z mieszkańcami Autobusu, ale wtedy nie byłem już nowo przybyłym. — Mike odkręcił się i podążył w stronę baru, skinieniem głowy dając Dzikiemu znać, by ten poszedł za nim. — Chodź, usiądziemy na chwilę.

Dziki zrównał się z Mikiem i spytał o coś, co nurtowało go od początku ich spotkania.

— To jak długo tu jesteś?

Mike się zatrzymał, marszcząc na chwilę czoło i zaczął coś wyliczać na palcach.

— Rok i cztery miesiące, a ty?

— Tydzień — odpowiedział szybko Dziki, bo nurtowało go kolejne pytanie.
— No właśnie, czyli jak to jest, że ja pamiętam, jak dokładnie tydzień temu pisałem z tobą i mieliśmy się spotkać pod barem... A ty twierdzisz, że jesteś tu ponad rok?

Mike uśmiechnął się pod nosem, drapiąc się jednocześnie po głowie.

— No widzisz, ja też bardzo dobrze pamiętam, jak ponad rok temu spotkałem się z tobą w starym świecie i wiem, do czego próbujesz dojść. Wszyscy zniknęliśmy podczas Błysku w tym samym czasie, ale ci, którzy pojawiają się później, tkwią w jakimś zawieszeniu, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Każdy nowo przybyły myśli, że był nieprzytomny tylko przez chwilę, kiedy tak naprawdę mogły minąć lata.

— Domyślasz się, czym był ten Błysk? — spytał Dziki, chociaż czuł, że przyjaciel nie będzie znał odpowiedzi.

— Niestety nie. Wiem jedynie, że mniej więcej pięć lat temu coś błysnęło i wszyscy zaczęliśmy pojawiać się tutaj.

— Boże, to już pięć lat... — Dziki pokręcił głową. Miał wrażenie, że czuje się teraz jak człowiek wybudzony z długiej śpiączki, który właśnie się dowiedział, że uciekły mu gdzieś lata życia. Chociaż, gdy spojrzął na siebie, wcale nie czuł się starszy, jego ciało też czuło, jakby od Błysku minął tydzień. To było naprawdę dziwne. — Jak sobie tutaj radziłeś, przez cały ten czas?

— Łatwo nie było — stwierdził Mike, znowu drapiąc się po głowie i demonstrując przy tym okazałych rozmiarów biceps. — Przebywałem w różnych miejscach, zanim dołączyłem tutaj. Zdarzało mi się głodować i błędzić bez celu. Czekałem też, aż ten przeklęty świat wywali w końcu kogoś znajomego. No i po roku i czterech miesiącach, pojawiaasz się ty! — Mike uśmiechnął się i złapał Dzikiego za ramię. — Stary, naprawdę nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś! Często myślałem o tym, czy przypadkiem nie wypadłeś przede mną i nie zginąłeś, nim ja zdążyłem w ogóle postawić tu stopę.

Mike spojrzął na Dzikiego w jakiś dziwny sposób, jakby przyglądał mu się po raz pierwszy.

— Hmm... wiesz co? Wierzę, że to dobry znak, nie tylko dla nas, ale i dla całej Wspólnoty. Chodź, teraz musimy zobaczyć się z szefem — stwierdził i ruszył spokojnie dalej, a Dziki podążył za nim.

— Kim jest ten szef? — spytał przezornie.

— Krzak jest jednym z najdłużej żyjących tu weteranów. Wyjątkowa postać. To on trzyma to miejsce w kupie, on też określa zasady i decyduje kto może zostać.

Rozmawiając, zbliżyli się do budynku baru. Pozostali mieszkańcy stojący na zewnątrz, zbili się w ciasną grupę. Dzikiemu nietrudno było zgadnąć, że rozmawiają o nim i Mike'u, bo cały czas zerkali w ich stronę. Z jakiegoś powodu dręczyło go przeczucie, że nie są zachwyceni jego widokiem.

— A, właśnie. Ten bar to nasza baza — powiedział Mike, wskazując ręką na budynek. — Próbujemy tu na stacji zbudować małą samowystarczalną społeczność — stwierdził, spoglądając prawie z dumą na to dziwne skupisko starych, niedziałających autobusów i podniszczonych budynków. — Ale wiesz co, opowiem ci o tym później. Najpierw trzeba cię wprowadzić. Chodź do środka. — To mówiąc, pociągnął za sobą Dzikiego w stronę wejścia.

Ten spojrział na plecy idącego przed nim Mike'a, a potem w bok na grupę ludzi przed barem. Skinął im delikatnie głową. Nikt jednak nie odwzajemnił gestu, zbili się tylko ciaśniej i zaczęli gorączkowo o czymś dyskutować.

— Nie przejmuj się nimi — powiedział idący z przodu przyjaciel — każdy tu miał chociaż jednego kumpla, który nie przeszedł rekrutacji, ale to byli prawdziwi nieudacznicy. Uwierz mi, wiem, co mówię, same takie melepety, wiesz... Co dwóch kroków by nie przeszli, żeby nie zginąć, a to naraża całą Wspólnotę. — Machnął ręką i sam wszedł do środka baru. Dziki spojrział jeszcze przez ramię, ale nie musiał się nawet odwracać, by wiedzieć że wlepiają w niego wzrok.

W środku baru było dość ciemno i chłodno. Małe akumulatorowe lampy rzucały dość nikłe, niebieskie światło na wnętrze budynku. Większość stołów zostało usuniętych, żeby zrobić miejsce na równo ułożone karimaty i śpiwory do spania. „Dosyć spartańskie warunki” — pomyślał Dziki. Minęli część kuchenną oddzieloną ladą, która musiała służyć za spiżarnię, bo stało tu kilka skrzyń z zapuszkowanym jedzeniem, a potem przeszli bardzo wąskim korytarzem pod drzwi starego pokoju socjalnego.

— Krzak to spoko koleś, twardy, ale z zasadami. Poczekaj tu chwilę, zobaczę najpierw, czy nie śpi. — Dziki skinął głową i cofnął się pod ścianę. Mike stuknął głucho w drewniane, zamknięte drzwi i uchylił je. — Krzaku, jest sprawa — zawołał, spoglądając gdzieś w głąb pomieszczenia.

— To włącz, a nie stoisz w drzwiach — usłyszał Dziki i spojrział na Mike'a, który zachęcił go gestem, by wszedł razem z nim.

Weszli do biura. A raczej czegoś, co biuro miało przypominać, bowiem w środku niewiele musiało się zmienić, od kiedy w pokoju tym jadal i spędzali przerwy pracownicy baru. Co prawda stało tu teraz biurko obłupane w kilku miejscach, najpewniej przy przenoszeniu przez ten wąski korytarz, no i skórzany

fotel. Oprócz tego, trochę pojedynczych mebli, a na jednej z wolnych większych ścian, zawieszona była jedna z największych map samego Krańcowa, jaką Dziki widział w swoim życiu. Wyraźnie zaznaczone na czerwono granice i duża ilość pinesek w różnych kolorach, oznaczających najpewniej jakieś ważne punkty. Oczywistym wydawało się, że czerwone pineski najpewniej służyły do oznaczenia miejsc niebezpiecznych. Krzak, jak nazywał przywódcę Mike, stał właśnie przed mapą z założonymi za plecami rękoma.

— No, o co chodzi, Mike? Akurat mam chwilę — spytał spokojnie, obracając się w ich stronę. Jego mina wyrażała nieprzeniknione skupienie. Kiedy jednak dostrzegł dodatkową osobę, której się nie spodziewał, zmarszczył brwi, przybierając dość nieprzyjemny wygląd.

— Już widzę to spojrzenie, ale posłuchaj mnie najpierw — powiedział w jego stronę Mike, robiąc kilka kroków naprzód. — To jest Dziki, mój przyjaciel ze starego świata. Wiem, jak to brzmi, ale... On nie jest taki jak reszta. Może nam pomóc, jeśli my pomożemy jemu.

W tym momencie Dzikiemu zrobiło się nieco niezręcznie, szczególnie że na tej naznaczonej bruzdami i bliznami twarzy Krzaka dość łatwo było wyczytać, co myśli o całej tej sytuacji i że nie był to pierwszy raz, w którym słucha podobnego wywodu. Niezgrabny sposób wypowiedzi i zapewne brak czasu na przemyślenie argumentów przez Mike'a, nie poprawiało wcale sytuacji.

— Nie ma mowy — powiedział Krzak spokojnie, lecz dobitnie, przerywając Mike'owi. — Jeśli w dalszym ciągu nie możesz tego zapamiętać, to specjalnie dla ciebie to powtórzę. Do czasu, aż nie powstanie chociaż jedna część muru, do czasu aż nie uzupełnimy zapasów, nie mogę wziąć nikogo nowego... — Mężczyzna spojrzał na Mike'a karcąco, bo ten chciał już coś wtrącić. Nim jednak zdążył chociaż złapać powietrze, Krzak kontynuował:

— Sam dobrze wiesz, że jest już kolejka. Każdy ma jakiegoś przyjaciela, brata, siostrę, kuzyna albo pierwszą miłość z lat szkoły. Zapasów ledwo starcza dla nas, a każdy wypad po wodę to ryzyko śmierci. Moja ostateczna odpowiedź na tę chwilę brzmi, kategorycznie: NIE.

Mike udawał jednak, że nie słyszał ostatniego zdania i kiedy tylko Krzak umilkł, zaczął natychmiast przekonywać go o wartości przyprowadzonego przez siebie przyjaciela.

— Dziki to nie jakaś siostrzyczka, której trzeba bronić dupy albo kuzynek wymoczek, co siekiery w rękach nie ogarnia. Za czasów szkoły... — zaczął jeszcze raz, próbując bronić Dzikiego i naginając przy tym nieco prawdę.

Dziki czuł, że gdyby Krzak w tym momencie nie przerwał historii, to za

chwilę usłyszeli by jakąś niesamowitą, wyssaną z palca opowieść o dzikim pogromcy.

— Mike! Powiedziałem już coś! Żadnych wyjątków i jest kolejka. Jak ogarniemy wszystkie problemy i starczy miejsca, to w porządku, ale nie wcześniej — warknął wyraźnie już zły lider.

— Więc ja to pierdołę — wypalił bez namysłu Mike.

Krzak uniósł głowę, zaskoczony taką odpowiedzią.

— Wziąłeś tego pizdogłowca od Roberta, który nie potrafi liczyć do dziesięciu, a nie chcesz pozwolić spróbować Dzikemu. To w dupie mam tę twoją Wspólnotę. Będziesz sobie sam chodził po wodę i zapasy, bo wątpię, żeby któryś z tych nieudaczników ruszył w końcu dupę. Życzę powodzenia. Chodź, Dziki, idziemy! — ryknął Mike, ruszając prosto na drzwi i wyładowując swoją złość na kłamce, której mało nie wyrwał.

Nim jednak wyszli z biura, powstrzymał ich głos lidera:

— Czekaj!

Dziki mógł przysiąc, że od tego głębokiego tonu, w jakim ryknął Krzak, ściany się zatrzęsły. Stali tak przez chwilę: Mike dalej w drzwiach, odwrócony tyłem, Dziki, tam gdzie stał, gdy pozwolono mu wejść, no i przywódca Wspólnoty z lekkim niepokojem w oczach, wsparty o swoje biurko.

— I dokąd chcesz z nim pójść? We dwóch w każdym rejonie poza Wspólnotą będziecie martwi do końca tygodnia i tylko się twój karabin zmarnuje, Mike — stwierdził Krzak, siląc się na spokój.

— To już nie twój problem. Poza tym widać, że nie o moje wsparcie ci chodziło, a o to, co mam na sobie — warknął Mike i kiedy już miał zamiar przekroczyć próg pomieszczenia, Krzak usiadł znów za biurkiem i już spokojniejszym tonem, prawie z prośbą w głosie, zatrzymał ich, mówiąc:

— Poczekaj.

Rezygnacja, jaką słyhać było w głosie przywódcy, nie była niczym dobrym. Dziki odniósł inne wrażenie na początku, kiedy zobaczył go przed tą mapą. Twardy, nieustępliwy człowiek, trzymający się mocno swoich zasad, nieidący na jakieś płytkie formy kompromisu. Nawet ten szantaż, jakiego był świadkiem przed chwilą, nie wydawał się w jego stylu. Jednakże teraz, kiedy zobaczył, jak mężczyzna przeciera twarz brudną dłonią, wiedział już, jak bardzo był zdesperowany. Dziki wzdrygnął się, kiedy zmęczone spojrzenie przywódcy padło właśnie na niego. Przez chwilę przyglądał mu się, by w końcu pokiwać głową.

— Wygląda na w miarę ogarniętego. Może rzeczywiście coś by z niego było.

Ale ja też muszę mieć jakąś podkładkę, żeby chłopaki mnie nie rozszarpali. Jeśli chcesz, żeby został, musi przejść całą standardową rekrutację — westchnął lider Wspólnoty.

— I przejdzie — powiedział buntowniczo Mike. — Widzimy się później. — Z tymi słowami zagarnął Dzikiego i już okręcał się z nim do wyjścia, kiedy Krzak zawołał, dobitnym wzrokiem spoglądając na swojego człowieka:

— Mike! Tylko bądź uczciwy! — powiedział, zerkając srogo teraz na Dzikiego. — Nie rób wszystkiego za niego. Niech mam pewność, że da radę — dodał, a Mike, choć zatrzymał się przez chwilę, nie potwierdził w żaden sposób, czy zrozumiał słowa swojego lidera.

— Na razie, Krzaku — rzucił jeszcze na odchodne i wyszli z Dzikim, zamykając za sobą drzwi, znów na ten wąski korytarz. Mike odetchnął, jakby cały czas wstrzymywał powietrze. Dziki spojrzał na jego nieco wystraszoną minę, ale przyjaciel zaśmiał się, klepiąc go w plecy i pokazując kciuk w górę. Wychodząc z korytarza, obejrzeni się jeszcze za siebie, słysząc jak coś szklanego rozbija się o ścianę w pomieszczeniu należącym do Krzaka. Żaden z nich jednak tego nie skomentował. Po drodze Mike podszedł do jednej z zasłanych karimat i zabrał zza niej plecak oraz coś, od czego Dzikiemu zabiło mocniej serce – karabin Kałasznikowa. Mike uśmiechnął się, widząc minę kolegi i skinął głową w stronę wyjścia.

Wyszli z baru tak, jak weszli. Dziki zmrzył oczy, bo jasność, mimo szarego nieba, była porażająca w porównaniu do mroku panującego wewnątrz budynku.

— Nie wyglądał na zachwyconego — stwierdził Dziki.

— Nie zadręczaj się tym i nie miej mu tego za złe. Gdyby zbyt miękko podchodził do przyjmowania nowych, to... Przejdźmy się — przerwał nagle Mike, widząc, że gromada stojąca przed barem zamilkła, usilnie przysłuchując się ich rozmowie. Odeszli kawałek, zbliżyli się do budynku dworca i usiedli na jego schodach.

— To, co chciałem ci powiedzieć — zaczął Mike — to problem, z jakim boryka się praktycznie każda większa grupa. Widziałeś już pewnie Niewykształconego, co?

— Nawet kilku, i to kilku różnych — stwierdził Dziki ze skrzywioną miną.

— No właśnie, przerażające bestie. Pewnie kapujesz, jak niewielu ma odpowiednie warunki fizyczne i dość twardy łeb, żeby się z nimi mierzyć.

— Jestem w stanie to zrozumieć.

Dzikiemu przypomniał się układ sił w Autobusie. Oprócz Primo nikt tam nie wyglądał na gotowego, by stanąć do walki z Niewykształconymi. Nawet

kierowca autobusu, który wydawał się wysoki i dość dobrze zbudowany, wzdygał się na wzmiankę o tych potworach. Dziki podejrzewał że większość ludzi uciekała po prostu przed nimi.

— Rozumiem też, do czego zmierzasz. Jeżeli chcecie tu coś zbudować, nie możecie uciekać, a duże grupy wabią Niewykształconych.

— Dokładnie — potwierdził Mike. — Dysproporcja jest taka, że zawsze jest więcej chętnych do bycia bronionym niż do bronienia. Gdybyśmy nabrali byle kogo, to Niewykształceni zniszczyliby nas. Mamy więc tutaj taką serię wymagań, które każdy musi spełnić, by się dostać.

— To co teraz? W jaki sposób mam spełnić te wymagania? — spytał Dziki, patrząc w stronę Mike'a, ale nim powiedział coś więcej, zobaczył jak przyjaciel wstaje.

— Chodźmy w stronę miasta, wyjaśnię ci po drodze. Szkoda czasu.

Szli dobry kwadrans i dopiero, gdy odeszli od stacji naprawdę spory kawałek, Mike zaczął wyjaśniać zasady rekrutacji. Dziki stwierdził, że nie były skomplikowane, ale mimo wszystko nie każdy byłby w stanie je przejść. Wyglądało na to, że pierwszy i najważniejszy punkt spełniał jednak z automatu: potrzeba było bowiem poręczenia od kogoś, kto już jest częścią Wspólnoty. Drugi punkt był już jednak znacznie trudniejszy.

— Musimy ci skombinować broń — wyjaśnił Mike — a to nie wiem, czy nie będzie najtrudniejszą z rzeczy. To nie Ameryka, nie ma tutaj sklepów na każdym kroku, a komisariat rozszabrowano, zanim w ogóle się pojawiłem... Więc jeżeli nie znasz jakiegoś gościa, który miał coś prywatnie w domu, to jest mały problem. Nie znasz, prawda?

— No nie, nie znam nikogo. — Mike westchnął zrezygnowany na te, jakże przewidywalne słowa, ale widząc minę Dzikiego, uśmiechnął się pokrzepiająco.

— No cóż, będziemy więc musieli udać się do jedyne miejsce, w którym można jeszcze zdobyć broń, czyli do Siwego. — Mike skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowo, co wzbudziło w Dzikim pewne obawy.

— Kto to? — spytał niepewnie.

— Siwy to właściciel jedynej Faktorii handlowej w całym mieście, towar za towar itd. — tłumaczył przyciszonym tonem, kiedy przechodzili tuż przy ogrodzeniu jednego z domków jednorodzinnych, stojącego przy głównej ulicy. — Ciekawy koleś. Podobno w starym świecie przyznał się w szkole, że jest pedziem i od tamtej pory nieźle go tam dręczyli...

Nagle urwał i zatrzymał idącego za nim Dzikiego gestem ręki. Po chwili wciągnął go za wyschnięty żywopłot, jednocześnie wskazując na coś dłonią.

Dziki skulił się, wytyżając wzrok. Zza jednego z ogrodzeń pobliskich budynków wyłoniła się spora grupa ludzi. Na pierwszy rzut oka nie wyglądali zbyt przyjaźnie. Typowa banda osiłków, której nie chciałoby się spotkać na ulicy, uzbrojona dodatkowo w łomy i jakieś drewniane pałki.

— Ludzie potrafią być niewiele lepsi od Niewykształconych — skomentował Mike, wciąż nie poruszając się. Czekali więc, aż gromada przejdzie przez ulicę i wejdzie do kolejnego z budynków. Gdy ostatni z nich znalazł się w środku, Mike w końcu dał znać i ruszyli cicho przy siatce. Z budynku, do którego weszli mężczyźni, słychać było odgłosy roztrzaskiwanych mebli i tłuczonego szkła. Skradali się tak dłuższą chwilę, aż odeszli na tyle daleko, że dźwięki niszczonego domostwa całkiem zniknęły. Wtedy też Mike kontynuował swoją historię o właścicielu Faktorii.

— No więc, jak już mówiłem o Siwym... Dawni oprawcy mieli sporo szczęścia, jeżeli zginęli z ręki Niewykształconych czy czegoś tam innego. Byli i tacy, którzy nie mieli tyle farta. Siwy oferował sporo wartościowych przedmiotów za sprowadzanie mu żywcem ludzi z jego czarnej listy. Aż wzdrygam się na myśl, co się potem z nimi działo — powiedział, potrząsając głową, by odgonić okropne myśli. — Ale nie martw się — dodał Mike z uśmiechem — swoich klientów nie rusza.

— A skąd on właściwie miał te wartościowe rzeczy? Prowadził jakąś hurtownię czy coś? — spytał, zastanawiając się, skąd można byłoby zdobyć większe ilości broni w niezbyt dużym mieście.

— Sam chciałbym to wiedzieć. Handlowaliśmy czasem. Ogólnie dość rozmowny z niego koleś, ale nigdy nie zdradził, skąd miał tyle rzadkiego towaru. Może dowiedział się o czymś jeszcze w starym świecie? Cholera wie. Teraz jest w jeszcze lepszym położeniu, bo ma sporo rzeczy, których nie znajdziesz już nigdzie indziej: broń, narkotyki, amunicję itd. — stwierdził Mike.

Podczas rozmowy weszli w okolicę bloków sąsiadujących z rynkiem, które popularnie nazywano w Krańcowie blokami targowymi. W starym świecie były one jednymi z najdroższych w całym mieście. Zbudowane z nowej płyty, otynkowane kolorowe fasady wciąż robiły wrażenie. Odgrodzony plac zabaw ciągle błyszczał nowością, jedynie porozbijane okna i powyrywane na oścież drzwi od klatek zdradzały, że coś z tym miejscem było nie tak.

Od strony otwartych okien dobiegały sporadyczne krzyki, które zmroziły na chwilę krew w żyłach Dzikiego.

— Co to takiego? — spytał Mike'a, nie odrywając wzroku od bloków.

— Gospodarze — odpowiedział szybko Mike. — Niewykształceni chyba

najbardziej podobni do ludzi. Jak tylko się pojawią, wracają do domów, w których mieszkali w starym świecie, gdzie doraźnie się okaleczają i mordują, co tylko się napatoczy.

— Spotkałem chyba takiego Gospodarza, ale to była nauczycielka w szkole — stwierdził Dziki, wspominając wydarzenia ze swojego pierwszego dnia.

— No tak, mogą też wracać do miejsc, w których często przebywali za życia, no a nauczyciele sporo czasu spędzają w szkole — stwierdził Mike, również spoglądając w stronę bloków.

— Nie zaatakują nas? — dopytywał niepewnie Dziki, widząc, że Mike zaczyna kierować się w uliczki między blokami.

— Nie..., Gospodarze nie wychodzą ze swoich domów — odpowiedział pewnie.

Jeśli Dzikiemu wydawało się, że od stacji w stronę nowych bloków szli zbyt długo jak na tak krótką trasę, to druga część była znacznie gorsza. Mike często robił przerwy, nasłuchiwał albo przyglądał się uliczkom przez lornetkę. Wbrew temu, co wcześniej powiedział, zerkał odruchowo w stronę klatek, za każdym razem, gdy panującą ciszę przerwał jakiś krzyk.

— Na pewno nie wychodzą? — spytał Dziki, gdy Mike po raz kolejny prawie podskoczył, słysząc rozdzierający wrzask.

— Gospodarze nie... Ale cholera wie, co może kryć się w tych blokach — odpowiedział, ocierając spocone czoło i przyciskając do siebie karabin. Jego słowa miały okazać się prorocze, bo nim zdążyli dać krok do przodu, kolejny znacznie bliższy krzyk rozdarł ciszę między blokami. Mike chwycił Dzikiego za ramię i pociągnął w stronę uschłego żywopłotu, oddzielającego ulicę dojazdową od trawnika między blokami. Obaj czekali w skupieniu, gdy zza jednego z bloków wypadło trzech mężczyzn walczących ze sobą. Jeden wysoki z plecakiem z dużą trudnością odganiał od siebie dwóch niższych, bezlitośnie okładających go drewnianymi pałkami.

— Powinniśmy coś zrobić — rzucił Dziki i podniósł się, chcąc rozdzielić walczących, Mike jednak złapał go za rękę i pociągnął z całej siły w dół tak, że Dziki aż usiadł.

— Oszalałeś? — spytał zaskoczony.

Ale przyjaciel wlepił w niego wzrok, jakby to on zrobił coś głupiego, mechanicznie wycedził więc tylko:

— To nie nasza sprawa.

Dziki próbował się podnieść. Kątem oka zobaczył, że mężczyzna z plecakiem odrzucił jednego z napastników, popychając go tak, że ten się

przewrócił. Wolną ręką, którą nie musiał już osłaniać się przed ciosami, sięgnął za kurtkę i wyciągnął ogromny wojskowy nóż. Stojący napastnik, widząc to, próbował rzucić się do ucieczki, ale wysoki mężczyzna dopadł go i wykonując wahadłowy ruch ręką, ugodził go w bok, wbijając nóż tak głęboko, że ostrze schowało się aż po rękojeść. Dziki pokręcił z niedowierzania głową. Drugi z napastników próbował wstać, ale mężczyzna z plecakiem pchnął ranionego prosto na jego kompana, a potem z nożem czerwonym od krwi, dopadł do leżącego.

— Przestań — krzyknął Dziki, ale mężczyzna bez zawahania dźgnął leżącego na ziemi prosto w oczodół tak, że ten momentalnie znieruchomiał. Po chwili poderwał się i szybkim krokiem ruszył w stronę Dzikiego, prezentując zakrwawione ostrze, jakby chciał mu pokazać, że jest następnym celem.

W tym czasie zza parkanu wyskoczył Mike z kałaszem w pogotowiu. Mężczyzna, widząc to, zatrzymał się, ale nie opuścił noża.

— To, co się tu stało, to nie nasza sprawa — ryknął Mike — rozchodzimy się, każdy w swoją stronę, albo rozwalam ci łeb.

Mężczyzna wciąż nie opuścił noża, jedynie przyglądał się badawczo Mike'owi. Dziki nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie ucieka, odpowiedź przyszła jednak z ust samego nożownika.

— Nienaładowany, albo dobrej jakości zabawka. Gdybyś miał coś w magazynku, zabiłbyś mnie i wziął mój dobytek... — zawołał nożownik.

— Gównu, jakie przy sobie nosisz, nie jest warte kuli, ale zbliż się jeszcze krok i zabiję cię w samoobronie — wrzasnął Mike, przybierając pewniejszą pozycję do strzału.

— Myślę, że kłamiesz — odpowiedział spokojnie mężczyzna i dał kilka niepewnych kroków w ich stronę. Wtedy Mike zrobił coś, czego Dziki się nie spodziewał. Opuścił karabin i rzucił go na ziemię, spod kurtki wyciągnął nóż, niewiele mniejszy od tego trzymanego przez mężczyznę. Zbliżyli się do siebie, nim jednak znaleźli się na wyciągnięcie ostrzy, Mike podrzucił nóż w dłoń i chwytając za ostrze cisnął nim w głowę mężczyzny. Choć nóż trafił, nie wbił się jednak ostrzem jak na filmach. Upadł na ziemię z metalicznym hukiem, a mężczyzna złapał się za twarz, z której bryznęła krew. Mike wykorzystując chwilę zaskoczenia, złapał lewą ręką za dłoń, w której mężczyzna trzymał nóż, prawą zaś zdzielił go prosto w twarz. Nożownik szamotał się, próbując wyrwać się z uścisku. Mike musiał być od niego znacznie silniejszy, ponieważ nie dał rady uwolnić ręki z nożem. Spróbował jednak uderzyć, co okazało się sporym błędem. Gdy tylko mężczyzna odsłonił twarz, Mike wymierzył kolejny cios,

który momentalnie zwałił go z nóg i pozbawił przytomności. Dziki odetchnął z ulgą i dał krok przez żywopłot. Nim jednak znalazł się po drugiej stronie, zobaczył coś, co go zszokowało – Mike podniósł z ziemi nóż i uniósł go do góry, chcąc dobić mężczyznę.

— Mike!!! — krzyknął Dziki, wyciągając rękę w stronę przyjaciela, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

— Myślisz, że to pierwszy człowiek, którego zabiłem? — ryknął na niego tak wściekle, że Dziki prawie się przestraszył. — Dałem mu szansę. Szansę, której on nie dałby tobie! Dlaczego mam pozwolić, żeby ten sukinsyn chodził po ziemi?

— Ja... nie... — Język uwiązł Dzikemu w gardle. Nie wiedział, co ma powiedzieć, obserwując furję, w jaką wpadł jego towarzysz. Zanim zdążył zebrać myśli, by powiedzieć cokolwiek sensownego, Mike jednym szybkim pchnięciem zakończył życie mężczyzny.

Dziki wciąż stał tam z jedną nogą przełożoną przez żywopłot, obserwując, jak Mike przeszukuje leżące ciała. Żaden z nich nie miał chyba jednak nic cennego, bo Mike wrócił po chwili z pustymi rękami, mrużąc pod nosem:

— Gównno niewarte kuli...

Mike przeskoczył przez żywopłot i usiadł na chodniku po drugiej stronie, przyciągając do siebie karabin. Dziki zdjął nogę z krzaków i usiadł koło przyjaciela, którego ręce ciągle drżały, gdy próbował podeprzeć nimi głowę.

— To nie pierwszy człowiek, którego zabiłem — wyszeptał z goryczą w stronę Dzikiego. — Wcale nie pierwszy... Po co się odzywałeś? To nie była nasza sprawa.

— Ja myślałem — zaczął, ale Mike przerwał mu momentalnie z wyrzutem:

— To nie jest twój świat! Zabiłby cię, gdyby mnie tu nie było i nie spotkałaby go żadna kara. Zabiłby cię, bo taki miałby humor i każdy miałby to w dupie! Zapamiętaj to sobie i nie próbuj mi więcej zgrywać bohatera!

— Przepraszam, Mike... Ja po prostu myślałem, że tak trzeba — westchnął Dziki.

Mike podniósł twarz schowaną w rękach i pokręcił głową.

— W normalnym świecie może tak, ale nie w koszmarze, w którym żyjemy. Ratuje się swoich, pomoc obcym to luksus, na który nas nie stać — stwierdził z wyraźnym żalem w głosie.

— Masz rację, ja ciągle tego nie dostrzegam, Mike. Wiem, że to już nie mój świat, ale nie wyzbędę się odruchów w nim nabytych tak od zaraz — powiedział Dziki, chcąc skończyć te kłótnie, mimo że w głębi wciąż nie zgadzał się z tym,

co zrobił jego przyjaciel.

— Więc lepiej szybko się ucz, następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia — warknął Mike.

— Jeżeli i tak chciałeś go zabić, dlaczego nie użyłeś broni...? Naprawdę nie masz amunicji? — spytał Dziki, próbując zmienić temat.

— Mam, ale amunicja to coś naprawdę cennego. Coś, co ratuje ci życie i to na różne sposoby. Nie zużyje nawet jednej kuli, jeżeli nie będzie to konieczne — stwierdził już nieco spokojniej, oglądając swój karabin.

— Więc po co ci broń, jeżeli nie do takich sytuacji? — dopytywał Dziki, który sam w tej sytuacji nie zaryzykowałby starcia, nawet mając przy sobie broń.

— Nie rozumiesz. Człowieka łatwo zabić, bardzo łatwo. Z Niewykształconymi jest dużo gorzej. Jeżeli będziesz strzelał do ludzi, to w pewnym momencie to z Niewykształconym będziesz musiał się siłować, a to już nie jest takie przyjemne. Trzeba umieć oceniać sytuację i strzelać tylko, gdy jest to niezbędne — wyjaśnił, podnosząc się z ziemi.

Dziki przytaknął, choć wciąż nie zgadzał się z Mikiem. Dla niego ryzyko było zbyt duże, mężczyzna ewidentnie chciał pozbawić ich życia.

— Dobra, Dziki, trzeba ruszać. Chcę jeszcze wrócić w okolice stacji przed zmrokiem.

Rozdział IV

Zatorze

Późnym popołudniem dotarli przed dawny budynek Bajkolandii. W starym świecie był to zamknięty plac zabaw dla dzieci, mieszczący się w dużej hali niedaleko rynku miejskiego. Wystrój z zewnątrz niewiele się zmienił. Szyld „Centrum Zabaw Bajkolandia” i malunki wesołych, bawiących się dzieci, wciąż witały z frontu budynku. Jedynie strażnik z papierosem w ustach i jakimś fikuśnym karabinkiem, którego nazwy Dziki nie znał, zdradzał, że miejsce nie jest już placem zabaw. Bynajmniej takich, do jakich był wcześniej przeznaczony.

— Do Pana Siwego w sprawie wymiany — powiedział Mike do strażnika.

Ten obrzucił ich uważnym spojrzeniem, ale zrobił im miejsce i wpuścił ich do środka. PrzedSIONEK, w którym kiedyś mieściła się szatnia, został zamieniony w pokój strażników. Był stojak na broń i wszystko, czego ludzie Siwego mogli potrzebować, siedząc za ladą portierni. Drugi strażnik, który czytał starego Playboya, podniósł się na ich widok i wziął od Mike’a jego karabin. Widząc, że przyjaciel bez oporu oddaje broń, Dziki również oddał swoją siekiere. Kolejny z mężczyzn, ten, który stał przy drzwiach prowadzących już bezpośrednio na teren hali, skinął Mike’owi głową i otworzył im wejście w głąb pomieszczenia.

Pierwsza rzecz, która rzuciła się Dzikiemu w oczy, zaraz po przekroczeniu przedSIONKA, to prawie oślepiająca jasność. Ogromne lampy paliły się nad głową, pomimo tego, że w pozostałej części miasta nie było prądu. Kiedy już oczy przyzwyczyły się do światła, można było zobaczyć setki ogromnych drewnianych skrzyń, w których wedle napisów można było znaleźć prawie wszystko: od wojskowych mundurów, przez amunicję, po laptopy. Przechodząc prawdziwym labiryntem skrzyń i strażników, trafili w końcu na Siwego, we własnej osobie.

Nie sposób było go pomylić z nikim innym, miał na sobie różowy garnitur przypominający trochę te, które w komediach nosili alfonsowie, jasne blond włosy, które stawiał sobie wysoko na żel, a twarz miał ogoloną gładko jak papier. U jego stóp zaś leżało coś, co przyprawiło Dzikiego o dreszcz zgrozy i odruch wymiotny. Był to nagi mężczyzna z psią kolczatką na szyi, przyczepiony łańcuchem do podestu, na którym siedział Siwy.

Na widok gości, Siwy uśmiechnął się szeroko, ukazując perłowo białe zęby i

poprawiając się na swoim siedzeniu. Mike zbliżył się powoli i kiedy znalazł się już przed podestem, ukłonił się jak przed królem. Zdziwiony Dziki skopiował gest z drobnym opóźnieniem.

— Mike, już myślałem, że się na mnie pogniewałeś, brutalu — powiedział Siwy obrzydliwie przesłodzonym głosem, jakby specjalnie zmieniając jego ton tak, by brzmieć bardziej zniewieściale. Dzikiemu przeszły ciarki po plecach i z obrzydzeniem opuścił wzrok, nie mógł patrzeć na to, co było przed nim. Siwemu wcale to jednak nie przeszkadzało. Dziki odniósł wrażenie, że wręcz lubił obrzydzać swoich klientów i wzbudzać w nich strach.

— No powiedz, czego potrzebujesz od wujcia i co to za przystojniaczek kręci się koło ciebie — dodał, uśmiechając się szeroko w stronę Dzikiego, który z niedowierzaniem spojrział na blondyna. Poczuł, jak jego żołądek wykonuje obrót o 180 stopni, kiedy Siwy puścił mu oczko, uśmiechając się lubieżnie.

— To znajomy ze starego świata — odpowiedział Mike, zupełnie niezrażony zachowaniem właściciela Faktorii. — Potrzebuję dla niego broni.

Na te słowa twarz Siwego spoważniała momentalnie.

— Mike’uś pójdziemy na ciasteczko, co? — spytał głosem pełnym aktorskiego żalu.

— Wiesz dobrze, że nie odmawiam słodyczy — zaśmiał się Mike.

Siwy zszedł ze swojego podestu i gestem panienki zaprosił ich w głąb Faktorii. Przeszli po raz kolejny labiryntem skrzyń, tym razem pełnych alkoholu, aż doszli do miejsca, które można by uznać za coś w rodzaju jadalni. Stał tam rozłożony stolik i krzesła, z pobliskiego boomboxa brzmiała jakaś delikatna skrzypcowa melodia.

Mike wybiegł przed Siwego i odsunął mu krzesło, jakby właściciel Faktorii był młodą panienką. Siwy skwitował to szerokim uśmiechem i zalotnie mrugnął w stronę Mike’a.

— No już, już, siadajcie — zawołał Siwy, a Mike posłusznie usiadł zaraz obok niego. Widząc to Dziki, również dosiadł się do stołu, choć utrzymał trochę większy dystans.

— Nieśmiały, co? — zaśmiał się właściciel Faktorii, spoglądając na Dzikiego, który ledwo powstrzymywał zażenowanie.

— Wiesz, jak jest z tymi nowo przybyłymi, ale tak, Dzikusek jest trochę cichy — zaśmiał się ponownie Mike.

Siwy złapał za leżącą na stole krótkofalówkę.

— Czego się napijecie, chłopcy? — spytał, przebiegając po nich wzrokiem.

— Może jakiś energetyk? Dla Dzikiego pewnie też — odpowiedział Mike.

— Eh, wątróbki sobie popsujecie... No, ale wszyscy je piją, co ja się dziwię. Dwa energetyki i mojito! — zawołał przez krótkofalówkę Siwy.

— I ciasteczka! — zawołał Mike.

— Oczywiście, dzióbeczku i ciasteczka — dodał Siwy, odkładając urządzenie.

Po chwili, do miejsca gdzie siedzieli wszedł mężczyzna niosący wiklinowy koszyk. Po jego minie natychmiast można było stwierdzić, że nie przepada za tym, co robi. Niemniej posłusznie ułożył energetyki przed Dzikim i Mikiem, a Siwemu podsunął zapuszkowane mojito, na koniec ułożył jeszcze pudełko ciastek na stole.

— Czy to wszystko, Panie Siwy? — spytał z wymuszonym uśmiechem.

— Tak, Szymku. Jak będę czegoś potrzebował, dam znać — zawołał właściciel Faktorii.

Mike bez ceregieli rzucił się na opakowanie stojące na stole.

— Mój Boże, pfepyfne Sifwy, ty to fiesz, jak ugośis fędrofców — wybełkotał Mike z buzią pełną ciasteczek.

Siwy uśmiechał się skromnie, jak gospodyni, której goście zaczęli wychwalać wypieki. Dziki przetarł oczy z niedowierzania, obserwując, jak popijający mojito właściciel Faktorii spogląda zalotnie na jedzącego Mike'a.

W końcu przyjaciel opróżnił całą paczkę ciastek i popijając energetykiem, z uśmiechem ponowił pytanie.

— No, Siwy, powiedz, jak to będzie z tą bronią dla Dzikuska?

Właściciel Faktorii spochmurniał momentalnie.

— Mike, Mike, Mike... Obawiam się, że w całej tej waszej Wspólnocie nie ma niczego, co chciałbym wymienić na broń... No chyba że inną broń, ale czy mi się to opłaca? Wasze spluwy są w tak żalnym stanie, iż dziwi mnie to, że Wspólnota jeszcze istnieje... — westchnął teatralnie.

— Wiem, że nie mamy nic na tyle wartościowego — powiedział ostrożnie Mike, biorąc kolejny łyk energetyka. — Ale mówię o innym rodzaju handlu. Wiem, że oferujesz specjalne nagrody za pewne rzeczy.

Dziki, kiedy usłyszał te słowa, zbladł i spojrzał przerażony w stronę Mike'a, ale ten patrzył prosto na Siwego. Siwy nie odzywał się dłuższą chwilę, jakby coś kalkulował, w końcu westchnął zrezygowany.

— Ech, stare dzieje. Widzisz Mike, jestem ofiarą własnych namiętności, poczucia sprawiedliwości i niezwykłej hojności. Rzeczywiście zwykłem kiedyś wymieniać niewyobrażalne ilości towaru w zamian za głowy moich dawnych nieprzyjaciół i wrogów ze starego świata, ale lista od dawna jest już pełna. Czy

jest jeszcze ktoś, kto zawinił mi tak, by być warty jednej z najcenniejszych rzeczy w tym mieście, jaką jest broń? — spytał samego siebie Siwy, choć Dziki był pewny że pogrywa z nimi.

— Siwy, przyjacielu, niech mnie Gospodarz rozszarpie, jeśli miałbym zamiar w jakiś sposób wykorzystać twoją hojność. Chcę jedynie pomóc mojemu drugiemu przyjacielowi. Wiesz jak wiele znaczą więzy starego świata, a przy tym, jak ciężko jest nowo przybyłym.

Dziki zauważył mimowolnie, że sposób, w jaki wypowiadał się Mike, znacznie się zmienił. Intonował prawie jak bard, co każdy normalny człowiek odebrałby chyba jako kpinę, ale Siwy uśmiechał się, słuchając go, a oczy szklily mu się jak panience do przystojnego kawalera.

— Och Mike, wiesz, że zawsze miałem do ciebie słabość, rzeczywiście jest jedna sprawa. Co prawda, nic nie ogłaszałem, bo chciałem dokonać sprawiedliwości w granicach mieszkańców Faktorii, ale dla ciebie, łamaczu serc, mogę chyba zrobić drobny wyjątek. Widzisz, jakiś czas temu zlokalizowaliśmy pewne naprawdę niezwykle miejsce. Przeczucie wytrawnego kolekcjonera mówiło mi, że jego zawartość jest wyjątkowa i pełna błędów...

Dziki niewiele rozumiał ze słów Siwego, ale Mike musiał znać jego specyficzny język, bo wsłuchiwał się uważnie w każde słowo.

— Gdy moja grupa poszukiwawcza dotarła na miejsce, przewodził nimi niezwykle utalentowany Michał Modrzew, dawniej jeden z moich najlepszych, ale... — głos Siwego zmienił się nagle na gniewny i niezwykle zawistny — Ten sukinsyn zabrał mi moją własność, a do tego zranił dwóch moich ludzi! NIKT NIE OKRADA SIWEGO! NIKT! To kwestia mojego honoru. Dostarcz mi Modrzewa, a zapłacę ci tym, czego tak pożądasz.

— Oczywiście, Siwy. Nie wolno dopuścić, by ktoś, kto wyciągnął rękę po coś, co należy do ciebie, chodził po Krańcowe i pysznił się tym. Z największą przyjemnością sprowadzę go do ciebie.

Dziki nie mógł uwierzyć, jak szybko mina Siwego się zmieniła, oczy znowu szklily mu się jak panience, a uśmiechał się, jakby przystojny kawaler obiecał, że przywiezie mu kwiaty na białym koniu. Ten widok sprawiał, że Dzikemu mroziło krew w żyłach, może nawet bardziej niż krzyki Gospodarzy.

— Nie będziemy dłużej zwlekać. — Mike uklonił się nisko. — Chodź, Dzikusie, znajdziemy tego sukinsyna, który tak skrzywdził Pana Siwego.

Gdy wychodzili, Dziki bezgłośnie wyrecytował:

— CO TO BYŁO...?

Ale Mike nic nie mówił, jedynie się uśmiechał.

Opuścili Bajkolandię tą samą drogą, którą weszli, po drodze odbierając od strażnika karabin i siekiere. Szli w ciszy przez dobre dziesięć minut, wracając tą samą drogą, co poprzednio. W głowie Dzikiego było milion myśli, a na usta cisnęło się nie mniej słów. Z reguły nigdy nie miał oporów przed rozmawianiem na niewygodne tematy. Zawsze, jeśli nawet pokłócił się z Mikiem, jeszcze w starym świecie, to nigdy nie bał się powiedzieć nawet najgorszej prawdy. Co by miało się nie stać, ponieważ byli przyjaciółmi, zawsze wszystko wracało do normy. Więc i tym razem nie miał zamiaru milczeć.

— Mike, powiedz czy ty i Si...

— NIE!!! — Mike przerwał mu momentalnie, wywalając przy tym język, jakby miał zamiar zwymiotować. — Co nie zmienia faktu, że dobrze wiem, jaki jest na mnie napalony. Balansuję więc na takiej delikatnej granicy. Dzięki temu, że gram w jego grę, nieraz wyciągnąłem od niego dużo więcej niż inni — stwierdził z wyraźną dumą w głosie.

Dziki odetchnął uradowany. Wiedział, że jego przyjaciel musiał sporo przeżyć. Ucieszył się więc, że nie zmienił się aż tak bardzo. Po głowie jednak ciągle krążyła mu druga myśl, nie mniej trapiąca od pierwszej.

— Słuchaj Mike, nie chcę ci teraz prawić morałów, ale... — zaczął spokojnym tonem, kiedy przyjaciel przerwał mu nagle.

— Nie miej wątpliwości — powiedział Mike ostro, po chwili westchnął i skończył już normalnym tonem — Słuchaj, powtórzę to po raz kolejny. To już nie jest cywilizacja, którą znałeś. Trafiłeś na Autobus do Wolności, a potem do nas i miałeś największego fuksa w życiu, bo większość ludzi w Krańcowie zabiłaby cię za buty, które nosisz na nogach. W Armii Daniela w ogóle zastrzeliliby cię dla śmiechu...

Spojrzenie Mike'a, mimo że znał je dobrze, nagle wydało się Dzikiemu bardzo obce. Zbyt chłodne jak na tego przyjaznego gościa, którego w starym świecie znał prawie od zawsze.

— Stary, czy ty widziałeś tego gościa na smyczy? — spytał Dziki, z odrazą przypominając sobie widok z Bajkolandii.

— Widziałem, ale posłuchaj – on wiedział, na co się pisze, zadzierając z Siwym. Tak zresztą jak każdy, nie dbam o to, co dzieje się z innymi, rozumiesz? Ja myślę, jak pomóc swoim.

Dziki nie był przekonany, wiedział jednak, że kłócenie się z Mikiem nie ma sensu. On miał gotowy plan i zamierzał go realizować, spytał więc:

— Ech, no dobrze, ale jak chcesz znaleźć tego Modrzewa?

— A widzisz, ja nie przyszedłem tutaj przypadkiem, z pustymi rękami, licząc

na łut szczęścia. Doskonale wiem, gdzie zacząć szukać pana Modrzewa. Chciałem jedynie dowiedzieć się, ile Siwy będzie w stanie za niego wybulić i czy warto w ogóle się tym interesować.

— Jak to? — spytał Dzik.

— Więc, na krótko zanim się pojawiłeś, kiedy, że się tak dwuznacznie wyrażę, Michał wydymał Siwego, szukał sobie grupy, co by go mogła ochronić przed „różową zemstą” i trafił z prośbą do nas. Oczywiście jak się Krzaku dowiedział, że facet skubnął Siwego, to kazał mu wypadać w podskokach. Więc Michał ruszył do jedyne go miejsca, w którym można się skryć przed ludźmi, czyli na Zatorze.

— Zatorze, czyli?

— Tak stary, wracasz na stare śmieci. — odpowiedział mu Mike.

Droga powrotna w stronę stacji kolejowej nie wydawała się wcale krótsza, może dlatego, że trasa, którą już raz pokonali, nie stała się w czasie ich powrotu ani trochę bezpieczniejsza. Ostrożność Mike’a zmuszała ich do częstych postojów, zwłaszcza że z przeczności omijali wszystkie, nawet najmniejsze grupy, jakie weszły im w drogę.

— Większość to szabrownicy, którzy dużymi grupami napadają na mniejsze — powiedział szeptem w stronę skulonego pod murkiem Dzikiego, gdy czekali, aż kolejna grupa ludzi zniknie gdzieś za ogrodzeniem.

Mike który wychylony obserwował ich przez lornetkę, nie pozwolił im nawet drgnąć, aż gromada ludzi nie zniknęła w końcu gdzieś między budynkami.

— Teraz zrobili się aktywni, bo po błysnięciu często wypadają nowi ludzie, którzy czasem mają przy sobie coś interesującego — stwierdził, tłumacząc tę nagłą aktywność, z jaką się spotkali. — No i jest też inna sprawa — dodał po dłuższej chwili namysłu. — Niekiedy zdarza się, a zdarza się to naprawdę rzadko, że któraś z lokacji wcześniej rozszabrowanych uzupełnia się od nowa. Nie pytaj dlaczego, bo sam tego nie wiem i raczej nikt ze Wspólnoty też ci tego nie wyjaśni. Tak się po prostu dzieje i tyle — stwierdził, wzruszając ramionami. — Dzięki temu w gruncie rzeczy jeszcze tu jakoś trwamy.

Ruszyli dalej, upewniając się kilka razy, czy aby na pewno nikogo w okolicy już nie ma. Przebiegli pustą ulicę, i zaczęli przekradać się podwórzami, gdy Mike kontynuował szeptem swój monolog.

— Od biedy mogą nawet zjeść nowo przybyłego. No co się tak patrzysz? Nie jedz przez dwa tygodnie, to się na każdy rodzaj posiłku zrobisz tolerancyjny — dodał rozbawiony, widząc minę Dzikiego.

— A ty? — zapytał niepewnie, ale Mike zaśmiał się krótko i poklepał go po

ramieniu, kręcąc głową.

— Na szczęście ominęła mnie wątpliwa przyjemność kosztowania tutejszej kuchni. Zresztą nie wiem, jak bardzo byłbym głodny, chyba nie przemógłbym się, żeby zeżreć drugiego człowieka... Przecież to niesmaczne.

— Myślę, że smak to w tym wypadku najmniejszy z problemów... — dodał Dziki, a Mike zaśmiał się ponownie. Od tamtej pory już nie rozmawiali. Po drodze Mike zaprowadził go w stronę jakiegoś starego placu budowy niedaleko stacji. Wzięli stamtąd dwie spore deski, a na pytające spojrzenie ze strony Dzikiego, odpowiedział jedynie słowami:

— Będą potrzebne, zobaczysz.

Po dłuższym czasie, maszerując z ciężkimi deskami na ramionach, minęli stację kolejową, gdzie znajdowała się siedziba Wspólnoty i znaleźli się na wysokości Wieży Ciśnień. Zabytkowa budowla była jednym z najwyższych budynków w Krańcowie i można ją było dostrzec z wielu punktów w mieście. Sam nigdy nie interesował się, do czego dokładnie mógł służyć ów strzelisty budynek, wiedział jedynie, że podobne wieże stały bardzo często w pobliżu tras kolejowych. Z tego, co Dziki zauważył, budowla była zamieszкана. Kręciło się tam sporo ludzi w kominiarkach i czerwonych kombinezonach, Mike musiał ich znać, bo gdy się zbliżyli, pomachał im przyjaźnie ręką, a potem skierował ich prosto w stronę torów. Nim Dziki zdążył zapytać o to przyjaciela, ten wyjaśnił pierwszy:

— To Defekt. W porządku goście, między innymi ze względu na nich umieściliśmy sobie bazę na stacji... Dzięki temu możemy sobie wzajemnie pomagać, ale lepiej nie przebywać w ich pobliżu zbyt długo, bo można złapać to, co mają oni — stwierdził groźnie. — Nie chciałbyś wiedzieć, jak oni wyglądają bez kominiarek... — dodał po chwili, z dziwnym grymasem na twarzy, jakby chciał coś rozmazać.

Dziki kiwał głową, udając, że słucha, bo czuł się już naprawdę zmęczony tą podróżą. Mike narzucił spore tempo, a deski nie ważyły mało.

— Tylko ich liderka Dix ma normalną i to podobno całkiem niezłą facjatę. No ale dobra, jesteśmy — stwierdził po chwili, rzucając dźwigany przez nich balast i stając na trawie tuż przed rozciągającym się przed nimi torowiskiem. Kiedy tylko przystanęli, Dziki natychmiast sięgnął do plecaka po wodę, czując, że zaraz umrze z pragnienia.

— Jak widzisz, nasyp kolejowy stanowi naturalną barierę oddzielającą Zatorze od reszty miasta. Jeżeli nie wiesz, jak przejść nasypem, to nie ma szans i się nie przedostaniesz, przysłuchaj się uważnie — powiedział Mike i zamilkł.

Dziki wstrzymał przyspieszony po drodze z deskami oddech i nadstawił uszy.

— Tory bucza — stwierdził po chwili, spoglądając na przyjaciela.

— To nie tory, tylko kamienie. Tory są w porządku, ale jeżeli poruszysz któryś z kamieni, to skończysz chrupki jak bekon z grilla. Po to nam były te deski. Pomóż mi. — Mike wziął jedną z desek i razem z Dzikim oparli jedną część na ziemi, a drugą na pierwszej szynie.

— Po tym możemy spokojnie przejść, a i jakbyś kiedyś musiał iść sam na Zatorze, to nigdy nie przechodź w innym miejscu, prąd jest czasem tak silny, że deski nie pomagają. Na nasze szczęście jedno z niewielu miejsc, gdzie możemy wykonać trik z deskami, jest blisko naszej bazy — stwierdził Mike, wchodząc na prowizoryczny pomost i gestem skłaniając Dzikiego, by ten poszedł za nim. Idąc po desce, doszli do jej końca, a potem, opierając drugą deskę o kolejne dwie szyny, mogli przedostać się dalej i tak raz za razem, przekładając deski, dostali się na drugą stronę. Zatorze było niedużym osiedlem rozciągającym się za przejazdem kolejowym nieopodal stacji. Składało się z dwóch głównych ulic, które były połączone mniejszymi alejkami. Całe osiedle biegło wzdłuż torów, przez co mieszkańcy tej dzielnicy zawsze słyszeli nadjeżdżające pociągi i alarm sygnalizacji przejazdu. Dziki rozejrzał się po okolicy. Wszystko wyglądało dokładnie jak tydzień temu, to znaczy jak w starym świecie. Domy były tu nietknięte, bramy pozamykane, brakowało tylko samochodów. Wszystko wyglądało tak, jakby mieszkańcy wyjechali do pracy i mieli niedługo wrócić.

— Na Zatorze prawie nikt nie chadza — zaczął wyjaśniać Mike, kiedy skończył ukrywać deski w zeschniętych krzakach. — Po pierwsze nie każdy zna sposób z deskami, a po drugie cała masa tu Niewykształconych. Do tego można tu spotkać najgorszego z nich wszystkich, czyli Delimera.

— A co to niby jest ten Delimer? — spytał Dziki, ruszając za przyjacielem.

— Wyjątkowe badziewie, człekokształtna bestia tak silna, że może przełamać człowieka na pół jak zapalkę, do tego twarda jak kamień. Nie wiem, czy mój karabin przebiłby jego czaszkę... — powiedział, spoglądając na swoją broń, którą cały czas miał w pogotowiu. — Delimer jest dość wolny i z pozoru łatwo mu uciec, ale ma jedną cechę, która sprawia, że budzi takie przerażenie. I ważne, żebyś o tym pamiętał, Dziki — stwierdził groźnie Mike, a Dziki przełknął mimowolnie ślinę.

To nie żarty, jeśli jego przyjaciel mówił o czymś z taką powagą, to musiało to być niebezpieczne. Przytaknął więc, nadstawiając uszu, a Mike wyjaśnił dalej złowieszczym tonem.

— Jeżeli Delimer chociaż raz cię dotknie, to nigdy, przenigdy nie przestanie

cię ścigać... aż nie dopadnie. Nie mam pojęcia, jak one to robią, po zapachu czy po czymś innym, ale jak już jeden cię ściga, to zawsze cię znajdzie. Krążą legendy, że w Krańcowie jest kolesz, który już pół roku się ukrywa. Sypia po dwie godziny, a potem ucieka, bo Delimer ciągle za nim podąża.

— Nic dziwnego, że większość ludzi nie przeżywa zbyt długo — podsumował Dziki.

— Tak, ale ty jesteś ze mną, we dwóch damy sobie radę. Nie po to tyle sezonów seriali o Zombie obejrzałem, żeby się dać zeżreć pierwszemu Niewykształconemu, którego napotkam — zaśmiał się Mike.

— Mike, musimy chyba ogarnąć sobie jakieś miejsce do spania, bo powiem szczerze, że powoli zaczyna mnie morzyć. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile godzin jestem na nogach, a do tego się ściemnia... — powiedział Dziki, ziewając głośno i zasłaniając przy tym usta.

— Miałem zaproponować to samo. Szukanie po ciemku mija się z celem. Oczyszcimy sobie jakąś chałupkę i odpoczniemy trochę — powiedział, wskazując ręką na ciągnące się przed nimi osiedle, po czym skierował się w jego stronę. — Złaziliśmy się już dostatecznie — dodał po chwili.

— To może pójdziemy do domu moich rodziców? — spytał Dziki, doganiając towarzysza. Jego stara chałupa znajdował się zaledwie jakieś dziesięć minut drogi stąd.

— Nie. Wiesz, to niby blisko, ale cholera wie, co nas czeka po drodze. Lepiej nie łązić zmęczonym — odpowiedział szybko Mike, ale Dziki miał wrażenie, że była to wymówka. Nie miał jednak zamiaru się z nim kłócić, był na to zbyt zmęczony.

Mike poprowadził ich w stronę pobliskiego budynku, niedużego parterowego domku z czarnym spawanym ogrodzeniem. Do środka dostali się bez większego problemu, zarówno furka, jak i drzwi nie były zamknięte. Mike wszedł jako pierwszy, żeby się rozejrzeć. Jak sam stwierdził, lepiej dmuchać na zimne. Każdy dom, nawet wyglądający na pusty, mógł skrywać Niewykształconego Gospodarza. Na ich szczęście jednak budynek, który wybrali, okazał się bezpieczny i nietknięty. Urządzona w stylu lat dziewięćdziesiątych chałupka nie grzeszyła ani szczytem smaku, ani czystości. Ogromne, wysoko-połyskliwe regały zajmowały większą część każdego pomieszczenia. Kuchnia obłożona starymi płytkami wyglądała na mocno wyeksploatowaną. Niemniej po pobieżnym przeszukaniu paskudnych, brązowych szafek z radością odkryli, że było w nich sporo zupek chińskich, które posłużyły im za kolację.

Siedząc teraz w tej pustej kuchni, Dzikiego po raz pierwszy zaczęły nachodzić myśli, z którymi walczył przez ten czas. Nie miał nawet chwili, by móc się zastanowić, w jakiej sytuacji się znalazł. Cały ten tydzień nie dał mu sekundy wytchnienia. Teraz dopiero widok tak dobrze znanej okolicy w tym domu, który mijał prawie codziennie, sprawił, że zaczęło do niego docierać, ile rzeczy przepadło bezpowrotnie. Jego rodzice, którzy w najlepszym wypadku już dawno nie żyją, a w najgorszym włączają się gdzieś, próbując kogoś zabić całkiem nieświadomie. Sama myśl o tym odebrała mu resztki sił... Czy to dlatego Mike nie chciał, aby poszli do niego? Może nie chciał, żeby Dziki oglądał swoich rodziców przemienionych w Gospodarzy. Chciał mu tego oszczędzić? Czy może raczej bał się, że Dziki się załamie, zrobi coś głupiego, kiedy trzeba będzie ich...

— Mleko zepsute — powiedział do siebie Mike, wyrywając Dzikiego z zamyślenia.

— Co? — spytał nieprzytomnie, jakby nie dotarły do niego słowa przyjaciela.

— Mówiłem, że mleko jest zepsute. Wiesz, nie ma prądu, to lodówki nie chodzą. Cholera, nie pamiętam już, kiedy ostatni raz je piłem. — Mike zrobił wyjątkowo skonsternowaną minę, pukając sobie w czoło palcami, jakby miało mu to pomóc wrócić pamięcią do tamtych chwil.

— Wybacz, że nie podzielę twojego smutku na temat mleka — odpowiedział wyjątkowo zirytowany stwierdzeniem ze strony przyjaciela Dziki. — Moja rodzina, moja praca, mój dom, całe moje cholerne życie! — Podniósł głos, zaciskając dłonie w pięści. Gorycz rozlała się w nim tak bardzo, że łzy same cisnęły mu się do oczu. — A ty mi tu pierdzielisz... o mleku, stary...

Mike momentalnie spochmurniał, przez jego twarz naznaczoną bliznami przeszedł grymas złości. W końcu, odrzucając ze złością butelkę ze skisłym mlekiem, oparł się o stół i zbliżył twarz do Dzikiego.

— Myślisz, że o tym nie wiem? — syknął ze złością Mike. — Uważasz, że ja nie żałuję tego, co stało się z moją rodziną? Kiedy zaczął się ten cały pierdolnik, dopiero co poznałem dziewczynę, byliśmy po pierwszej randce, może mogło być z tego coś więcej, teraz ona... Moja matka... Obie pewnie już dawno nie żyją. — Wściekłość jaka od niego biła, prawie przestraszyła Dzikiego. — Ale co mam zrobić? Zabić się, hę? Usiąść i płakać? Jakbym kurwa miał naprawdę wpływ na te wszystkie wydarzenia! — powiedział, podnosząc wściekle głos. — Myślisz, że ja też sobie nie zadawałem pytań?! Dlaczego ja? O chuj w tym chodzi?! — Uderzył rękoma w stół, aż Dziki wstał od niego

odsuwając się, był przygotowany nawet na to, że to może skończyć się bójką. — Myślisz, że nie miałem ochoty rozszarpać kogoś za to, co się stało?! Jak masz już dość, to proszę... — powiedział i podsunął mu karabin. — Pierdolnij sobie w głowę i nie marnuj mojego czasu! Albo weź się w garść, Dziki!

Dzkiego zamurowało, może dlatego, że nigdy w starym świecie nie kłócił się z Mikiem aż do tego stopnia, a może dlatego, że wciąż nie docierało do niego, jak Mike bardzo się zmienił. W każdym razie jego przestraszona mina musiała nieco uspokoić towarzysza, bo opuścił głowę. Przez chwilę milczeli obydwoj, najwidoczniej Mike potrzebował chwili, by wściekłość z niego uleciała. Kiedy ponownie uniósł wzrok na Dzikiego, jego oczy były już spokojniejsze. Wyprostował się, poprawiając ubranie – był to jego stary pedantyczny nawyk z poprzedniego świata. Widząc to, Dziki uświadomił sobie, że ze starego świata został mu już tylko on i dziękował w duszy, że Mike mu pomagał, choć wcale nie musiał tego robić. Dziki polegał na nim przez cały ten czas.

— Przepraszam — wypalił nagle Mike — wiesz, wbrew pozorom, jesteś naprawdę twardy — powiedział zdecydowanie ciszej, odsunął sobie krzesło i usiadł ciężko, przymykając na chwilę oczy. Palcami roztarł powieki i sięgnął po butelkę z wodą z plecaka, po czym postawił ją przed sobą na stole. — Większość ludzi w pierwszych dniach ryczy gdzieś po kątach albo traci zmysły, a ty? Ty naprawdę dobrze to znosiłeś, tak dobrze, że praktycznie zapomniałem, że to dopiero twój pierwszy tydzień tego cholernego koszmaru — powiedział, uśmiechając się gorzko i z jakimś żalem spoglądając na tę niepełną butelkę. — Każdy tu nosi jakąś stratę, o starym świecie więc lepiej nie rozmawiać, jeśli nie trzeba. Nie rozdrapywać tych ran...

Spojrzał w stronę okna. Milczeli tak jeszcze chwilę. Trudno było Dzikiemu coś teraz powiedzieć, szczególnie, że nie miał nawet ochoty na przeproszenie czy wyjaśnianie. Czuł się naprawdę okropnie, a słowa Mike'a nie pomogły mu ani trochę, choć był mu wdzięczny, że nie odszedł i nie zostawił go. Przyjaciel chyba też to czuł, bo wstał z miejsca i podszedł do okna.

— Robi się ciemno, nie uwierzysz, jak niewiele widać w nocy bez lamp ulicznych. Prześpij się, ja nas trochę popilnuję.

Dziki skinął głową, wychodząc z pomieszczenia do małego pokoju, z którego widać było kuchnię. W staromodnie urządzonej sypialni była składana sofa i kineskopowy telewizor. Nie myśląc wiele, Dziki rzucił się w ubraniu na łóżko, zawijając w koc, który podniósł tuman kurzu. Choć był strasznie zmęczony, długo nie mógł zasnąć, cały czas słyszał w uszach trzask łamanego karku i widział twarz dziewczyny z cmentarza.

ROZDZIAŁ V

Delimer

-JEEEEEEEEEEEEEEZUUUUU NIEEEEEEEEEEEEEEEEEEE!

Wrzask, jaki usłyszał Dziki, poderwał go na równe nogi tak szybko, jak chyba jeszcze nigdy nie udało mu się wstać. Z wałącym sercem próbował zobaczyć cokolwiek wokół siebie, ale w domu było tak ciemno, że nie widział dobrze własnych rąk. Przez chwilę myślał, że coś mu się przyśniło, lecz wtedy usłyszał drugi głos gdzieś na zewnątrz.

— POMÓŻ MU KURWA!!! NO JUŻ!!! GDZIE TY KURWA BIEGNIESZ!?

Wrzaskom i zawodzeniom nie było końca. Ktoś ewidentnie szamotał się za oknem.

— Mike — szepnął, próbując dojrzeć jakikolwiek kształt czy zarys przyjaciela w tym mroku, ale jego wzrok nie mógł się przyzwyczaić.

— Tu jestem, Dziki — odezwał się szept z ciemności. Dziki opadł cicho na podłogę i czołgając się po podłodze, zbliżył się do okna, gdzie po omacku zlokalizował Mike'a, klepiąc go dłonią po czuprynie i twarzy, na co ten zareagował cichym parsknięciem.

— Nie wychylaj się — wyszeptał przyjaciel oparty o grzejnik tuż obok niego. Z tego, co Dziki wyczuł, broń trzymał w pogotowiu.

— Co się tam dzieje? — spytał drżącym głosem, nie mogąc się uspokoić.

— Cholera wie... — stwierdził. — Mam tylko nadzieję, że to nie Michał. Musimy przeczekać do rana. Teraz i tak nic byśmy nie zdziałali.

Leżeli tak pod oknem jeszcze jakiś czas pomimo tego, że krzyki ustały tak nagle, jak się pojawiły. Dziki już nie zasnął, Mike natomiast bez ceregieli rozłożył się na dywanie i już po chwili chrapał w najlepsze. Dopiero, gdy zaczęło świtać przebudził się i wychylił przez okno, by spojrzeć na ulicę.

— Chyba pusto — wyszeptał. — Chodź, sprawdzimy, co się stało — powiedział, podrywając się z miejsca.

Wyszli powoli z mieszkania. Mike szedł pierwszy z karabinem w pogotowiu, zgarbiony jak żołnierze na filmach. Dziki tuż za nim, powoli, przy murze, z siekierą w dłoni. Zbliżyli się do stalowego ogrodzenia, za którym byli jeszcze trochę ukryci, gdyby ktoś obserwował ich od strony ulicy. Mike przyglądał się czemuś przez pręty. Nagle skrzywił się dość mocno i cofnął się gwałtownie.

— Trup — powiedział zdenerwowanym głosem, przelękając nerwowo ślinę. Odchylił cicho drzwi od bramy.

Dziki przez jego ramię zobaczył leżące na ziemi ciało, z tej odległości trudno było jednak cokolwiek powiedzieć. Postać miała niebieską bluzę z kapturem zaciągniętym na głowę, a na lewym ramieniu przewiazaną czerwoną wstążkę. Mike rozejrzał się po ulicy i wyszedł pierwszy. Dopiero kiedy się zbliżyli, Dzikiemu włosy stanęły dęba. Młody chłopak był wykręcony jak kluska, jakby coś z niezwykłą siłą skrzyło go w pół i rzuciło nim o ziemię.

— Żołnierz Daniela — skwitował Mike, krzywiąc się na jego widok. — Widzisz wstążkę? Dziki? — dopytywał się, nie otrzymawszy odpowiedzi.

Dziki nie mógł jednak nic powiedzieć. Widok tego zmasakrowanego ciała wzbudził w nim potężną falę mdłości. Uniósł rękę, by dać do zrozumienia, że potrzebuje jeszcze chwili. Mike uśmiechnął się, widząc jego minę.

— Będziesz rzygał?

Dziki pokręcił tylko głową i wyprostował się, oddychając głębiej parę razy. Dopiero teraz był gotów, by znów spojrzeć na ciało.

— Przepraszam, ja... — powiedział i dalej z obrzydzeniem zerknął na denata.

— Spoko, stary, i tak jestem w szoku, że się nie porzygałeś. Dobra, nie gadajmy o tym, zobacz. — Wskazał na wstążkę. — Ci najniżej postawieni rozpoznają się po niej. Armia jest duża, ciągle ktoś ginie, ciągle dołącza ktoś nowy, dlatego nie poznają się po gębach. Ze wstążką na ramieniu jest spora szansa, że mógłbyś się dostać nawet pod sam H-Market. O ile nie sprzątnąłby cię ktoś spoza Armii. Mało kto za nimi przepada. — Mike przyglądał się chwilę ciału. — Raczej nie ma przy sobie nic ciekawego, ci najniżej postawieni dostają tylko wyżywienie, sami muszą zorganizować sobie ekwipunek — dodał prostując się i rozglądając dookoła. — Nie widywałem ich wcześniej w tej okolicy. Muszą szukać czegoś konkretnego, inaczej nie ryzykowaliby podróży tak daleko od swojej bazy.

— Słyszałem o tej Armii, Kuba z Autobusu mi o niej mówił — powiedział Dziki. — Widziałem nawet jakiś plakat na przystanku. Kim oni właściwie są? To jakieś dawne wojsko? — spytał, a Mike na te słowa prychnął śmiechem.

— Wojsko, dobre sobie. Chyba w egocentrycznych wizjach jedyne miłościwego księcia Daniela. To trochę dłuższa historia, opowiem ci po drodze, chodź — powiedział i ruszył w głąb osiedla, ciągle bacznie obserwując okolice.

— Masz jakiś konkretny plan, jak znaleźć tego Modrzewa? Sorry, ale obawiam się, że bez doświadczenia, czy choćby wiedzy jak on wygląda, nie

będę ci zbyt pomocny — zaczął Dziki, ale Mike spojrzał na niego przez ramię z uśmiechem.

— Spokojnie, stary. I tak dajesz radę. Idziemy tam, gdzie można się ukryć — powiedział Mike z uśmiechem. Ruszyli naprzód, mijając kolejno boczne uliczki i domy. Mike wspominał co chwila, że ilość rzeczy, jaką można by było tu znaleźć, mogłaby wyprawić niejednego nowo przybyłego, a i starczyło by pewnie dla Wspólnoty. Wypadki i oczyszczanie terenu według Krzaka było jak na razie zbyt niebezpieczne, więc każdy, kto tu przychodził, robił to na swoją odpowiedzialność.

— Mike, słuchaj... — powiedział po dłuższej chwili Dziki, spoglądając na plecy kompana. — To wczoraj, wiesz... Trochę mnie poniosło i... Właściwie przeprosiłeś mnie za coś, za co ja powinienem przeprosić ciebie.

— Dobra, stary, było — minęło. Rozumiem i nie mam urazy — odpowiedział po chwili, ale nie spojrzał w jego stronę. — I chciałbym żeby tak zostało.

— Jasne — odpowiedział Dziki. — A no i dzięki w ogóle...

— Przestań, jesteś moim przyjacielem — powiedział i spojrzał na niego przez ramię.

Dziki uśmiechnął się, widząc znów to same spojrzenie, które znał i poczuł wewnętrzną ulgę.

— Skończmy te łzawe tematy — powiedział, śmiejąc się krótko. — Więc pytałeś o Armię, to dłuższa historia. Jak zapewne już wyłapałeś, ludzie pojawiają się w Krańcowie od dłuższego czasu. No, a jak się pojawiają, to znaczy, że ktoś musiał pojawić się pierwszy — tłumaczył, gestykulując. — No i pojawił się pierwszy, którego wszyscy nazywają tu Pierwszym. Wiem, niezbyt to oryginalne, co?

Dziki zaśmiał się przytakując.

— W każdym razie ten Pierwszy mógł równie dobrze zginąć i pewnie nikt by się o nim nie dowiedział, ale nie dość, że nie zginął, to jeszcze okazał się być wyjątkowo kurde zaradny. Nie wiem, czy w młodości był fanem survivalu, czy jednym z tych maniaków, co kopią sobie bunkry pod domami, ale w pustym mieście czuł się chyba jak ryba w wodzie. Wyczyścił wszystkie najbardziej oczywiste miejsca z broni: komisariat, jednostkę wojskową, nawet muzeum nie oszczędził. Gromadził sobie zapasy po budynkach, szabrując sklepy itd. A potem pojawił się drugi i trzeci. Ponoć na początku Błysk wyrzucał niewielu ludzi... — opowiadał Mike, podczas gdy Dziki obserwował tak dobrze sobie znaną okolicę. Pamiętał każdy z tych budynków, pamiętał twarze ich mieszkańców. Teraz było tu tak pusto.

— Trójka pierwszych żyła tutaj, nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę, aż pewnego dnia Błysk wywalił największą zarazę, jaką nosiła Krańcowa Ziemia: Daniela, który co gorsza okazał się być krewniakiem Pierwszego.

— Niezły zbieg okoliczności, co? — wtrącił Dziki i zaśmiał się, widząc jak Mike wywraca oczyma.

— Niestety nie do końca, z Błysku wypadają tylko ludzie z okolic Krańcowa, nie młodszy niż trzynaście i nie starsi niż trzydzieści lat, co nie daje nam wcale tak dużej liczby potencjalnie się pojawiających. To pewnie też powiedział ci Kuba, co?

Dziki przytaknął.

— W każdym razie kuzynowie spiknęli się ze sobą i niestety, o ile Pierwszy troszczył się wyłącznie o własne przetrwanie, o tyle jego brat miał nieco ambitniejsze plany. Wykorzystując zgromadzone przez Pierwszego zapasy, uzbroili kilku znajomych ze starego świata i stworzyli Oddział Daniela.

W trakcie opowieści mijali kolejne budynki, zatrzymując się na chwilę. Mike wyjął lornetkę i nie przerywając opowiadania rozglądał się po terenie.

— Dobrze uzbrojeni ruszyli do centrum i zdobyli największy market na terenie miasta, czyli nasz H-Market, który stał się ich bazą zaopatrzeniową. Oczywiście to szybko zwróciło uwagę. W międzyczasie Błysk wywalał coraz więcej nowo przybyłych, no i nie wszyscy byli tępakami. Wiesz, serial „Przetrwać za wszelką cenę” był dość popularny — dodał Mike, wspominając po raz kolejny popularny w starym świecie serial o grupie ludzi próbującej przetrwać w zniszczonym świecie pełnym Zombie.

— Daniel zrozumiał więc, że w końcu pojawi się dość liczna grupa na tyle ogarniętych ludzi, by móc zagrozić jego pozycji. Zaczął więc zbierać sobie Armię. — Mike przerwał na chwilę, wskazując na coś palcem i podał Dzikemu lornetkę. Przyglądając się wskazanemu przez przyjaciela domostwu, dostrzegł jakąś postać w jednym z okien domów. — To Gospodarz — powiedział.

Dziki stał tam przez chwilę, obserwując przechadzającego się po pokoju Niewykształconego, a Mike znów zaczął mówić:

— Oczywiście Daniel brał do Armii tylko tych najgorszych i najśłabszych, takich, którymi łatwo było manipulować i rządzić. Ze starego oddziału stworzył sobie kadrę oficerską i stał się największą potęgą pseudo militarną jaka istnieje w Krańcowie. Oczywiście, oprócz nas — dodał na koniec, szczerząc zęby.

Dziki spoglądając na niego pokiwał z pobłażaniem głową. Gdy napatrzył się już na Gospodarza oddał Mike’owi lornetkę i ruszyli dalej.

— Daniel miał co prawda ambicje, żeby zlikwidować każdą tworzącą się

grupę, ale w międzyczasie otrzymał cios w plecy, bo braciszek odszedł z Armii — dokończył.

— O, czemu? — zapytał zaskoczony Dziki.

— Słyszałem tylko plotki. Wiesz, Daniel nie jest zbyt miłym gościem, więc jak pewnie sobie wyobrażasz, gwałty, morderstwa dla zabawy i tym podobne były w Armii na porządku dziennym. Podobno Pierwszemu nie bardzo to odpowiadało, więc odszedł — stwierdził Mike, drapiąc się po głowie.

— Kiepsko.

— Dla Daniela na pewno. Stracił możliwość dozbrajania Armii. Pierwszy chyba zapobiegawczo nie oddał bratu całej broni, jaką posiadał, a zaraz potem na bakier Danielowi zrodziła się zasada 3. Podobno przedtem ludzie nie przyciągali Niewykształconych. Po tym musiał już trzymać żołnierzy, by bronili jego zapasów w markecie, więc nie mógł jednocześnie walczyć z grupami, które tworzyły się w innych częściach miasta.

— Hmm, no dobra, ale skoro ten Pierwszy zebrał całą broń, to skąd masz ją ty, albo Siwy? — zapytał zainteresowany tematem Dziki, licząc na to, że może przyjdzie mu do głowy coś, co pozwoli uniknąć kolejnego spotkania z Siwym.

— Ja miałem trochę farta, udało mi się znaleźć jedną z kryjówek Pierwszego. Niedługo potem jak się pojawiłem. Były też miejsca, których Pierwszy nie przewidział, niektórzy mieli prywatną broń w domach, były też grupy rekonstrukcyjne — wytłumaczył Mike.

— A ten Pierwszy, co się z nim stało? — Dziki zerknął przez płot do kolejnego z domów, ale nie dostrzegł tam nikogo.

— Nie wiem, nigdy go nie widziałem, znam tę historię tylko z opowieści. Skręcamy tu — powiedział, wyglądając najpierw zza uschniętego żywopłotu.

Dziki spojrzał na wyłaniającą się przed nimi dopiero co wybudowaną obwodnicę wokół miasta. Wysokie na kilka metrów nienaruszone ekrany dźwiękochłonne oddzielały jedną część Zatorza od drugiej, niczym mur. Mike machnął na niego ręką i ruszyli w prawo, dalej klucząc powoli chodnikiem.

— Wiesz, bez telewizora i Youtuba ludzie robią się gadatliwi, więc sporo różnych opowieści kręci się po Krańcowie.

— No tak — stwierdził Dziki, przyznając, że coś w tym jest.

Droga, którą szli, była tak samo pusta, jak w innych częściach miasta. Dzikiego zaczęło zastanawiać, co stało się ze wszystkimi samochodami w mieście, bo do tej pory nie spotkali na ulicy żadnego wraku. Miał jednak trudności, by zastanowić się nad tym głębiej, bo brzęczenie od strony szyn wibrowało w głowie, nie pozwalając się skupić na czymkolwiek. Kiedy

przechodzili pod wiaduktem, idąc wzdłuż torów, Dziki zerknął na graffiti. Było takie samo, jak je zapamiętał, przez co prawie się uśmiechnął. Wychodząc z zakrętu, wpadł na stojącego jak drzewo Mike'a spoglądającego przez swoją lornetkę.

— Kurde, nie wierzę.

Szok w głosie kolegi natychmiast postawił Dzikiego w stan gotowości, zacisnął ręce na siekierze i rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, co wywołało u Mike'a takie poruszenie. Uliczka, do której skręcili, nie różniła się wiele od poprzedniej. Mike stał tam jednak z miną jak dziecko, które widzi wystawę z zabawkami.

— Patrz — wskazał palcem uradowany.

Dziki przyjrzał się uważnie i zauważył mały prywatny sklep schowany między osiedlowymi budynkami.

— „Agata” — przeczytał, nie mając pojęcia, o co chodzi Mike'owi.

— Byłem tu w zeszłym tygodniu. Tak jakby — dodał zamyślony, gubiąc się znowu w różnicy czasu między starym i nowym światem. To było naprawdę dziwne. Choć sam pamiętał, że niedawno robił tu zakupy, to sklep w rzeczywistości musiał stać od kilku lat nietknięty.

— Znam duże sklepy w Krańcowie — powiedział Mike i ruszył czym prędzej przez ulicę, zbliżając się do furki przed sklepem. — I niestety reszta z tych, którzy się pojawili, też je zna. Więc w większości z tych sklepów są w tym momencie puste półki. Coś takiego jak to jest prawdziwym rarytasem... — dodał po chwili.

Stanęli przed drzwiami tego niewielkiego budyneczku. Mike pociągnął powoli za klamkę. Drzwi nie były zamknięte i z cichym skrzypnięciem otworzyły się przed nimi. Zapach, który wydostał się ze środka, był odrzucający. Dziki zasłonił sobie usta i nos rękawem.

— Nie krzyw się tak — zaśmiał się Mike, widząc minę Dzikiego. — Ucieszysz się, jak już wejdziemy i trafimy na górę żarcia.

— Wątpię — odpowiedział mu Dziki i wstrzymując oddech, razem z przyjacielem dał nura do środka.

Mike podał mu zapaloną latarkę, a sam uniósł karabin w pogotowiu. Nieduży prywatny sklep zdawał się być nietknięty zębem czasu, na półce za ladą kasową stały słoiki pełne gotowych dań typu pulpety i flaczki. Tuż obok wejścia na drucianym stojaku stały chipsy i prażynki, a w głębi pomieszczenia chłodziarka na piwo i inne alkohole. Po rozejrzeniu się, Dziki zlokalizował źródło smrodu, lodówka ze zgniłą wędliną stała na końcu lady po prawej stronie.

Chociaż ciężko było się zbliżyć, żeby nie zwymiotować, Dziki zauważył, że nie było tam żadnego robactwa. Przeszło mu teraz przez głowę, że w tym świecie może w ogóle nie być zwierząt, przynajmniej żadnego jeszcze nie widział.

— Hej, Mike, czy tutaj są jakieś zwierzęta? To znaczy w mieście? — spytał, spoglądając, jak przyjaciel w mgnieniu oka znalazł się za ladą, a teraz przeczesuje półkę z chipsami, które wyjątkowo dobrze oparły się próbie czasu.

— Som... — odpowiedział Mike z wypchanymi ustami, próbując przełknąć solone prażynki. — I uwierz mi, nie chcesz ich spotkać. Podaj mi plecak, trzeba sobie wziąć parę rzeczy na drogę — powiedział, wyciągając rękę. — Jak już załatwimy sprawę z bronią, to wrócimy tutaj...

Mike zaczął pakować do największej z kieszeni słodczyce i inne produkty z długotrwałą datą spożycia. I nagle stało się coś, od czego obydwaj zeszywnieli. Ktoś otworzył drzwi z rozmachem. Dziki od razu poświecił latarką w stronę wejścia, choć nie było to konieczne, światło z zewnątrz oświetliło postać dostatecznie dobrze. Chłopak, jak większość ludzi których spotkał Dziki, był młody, miał na sobie wojskowe spodnie i buty oraz czarną koszulkę z czerwoną opaską na ramieniu, w dłoni zaś trzymał zakrwawioną maczetę. Rozbiegane oczy i świszczący oddech mówiły o tym, że biegł tu ile sił w nogach.

— Rusz się tylko, a cię rozwalę — warknął zza lady Mike, chwytając za karabin i celując w przybysza.

Ten jednak nie miał zamiaru się opierać, ku zaskoczeniu ich obu padł od razu na kolana i wyrzucił maczetę przed siebie, unosząc wysoko ręce w górę.

— Pomóżcie mi, proszę — zawołał rozpaczliwie, błędząc po nich wzrokiem, z którego biło czyste przerażenie. — Błagam! Ja nie chcę umierać, błagam... — Głos trząsał mu się tak żałośnie, że Dziki nie wiedział, co ma myśleć. Mike w tym czasie przechodził przez ladę, bacznie obserwując na zmianę to jego, to drzwi, cały czas celując w stronę nieproszonego gościa.

— Zamknij się — powiedział Mike. — Co tutaj robisz? Śledziłeś nas?

— Ni... nie... nie — odpowiedział klęczący na podłodze chłopak łamiącym się głosem. Dziki spojrzał na jego twarz, po której spłynęły łzy, a podbródek zatrzęsał mu się tak, jakby chciał sobie ze strachu odciąć usta. — On mnie gonił, zobaczyłem światło w sklepie i wpadłem tu... Ja nie chcę umierać — zawył ponownie, rozklejając się jak dziecko. Po chwili zaś kulił się na podłodze, płacząc rzewnie.

— Kto cię gonił? — spytał Dziki, patrząc w zwiniętą na podłodze postać mężczyzny. Nie musiał jednak długo czekać na odpowiedź. Wszyscy trzej usłyszeli dźwięk rozrywanego metalu, a potem głucho uderzenie.

Dziki wyjrzał przez okno w sklepie i zobaczył coś, od czego zamarło mu na chwilę serce. Niewykształcony, którego zobaczył przez okno, był wysoki jak samochód dostawczy, człekokształtna bestia odziana była w niebieski roboczy kombinezon i miała bardzo długie, wręcz karykaturalnie przerośnięte ramiona. Na twarzy zaś miała maskę z wyglądu przypominającą tę spawalniczą z jednym przyciemnionym szkiełkiem na oczy, jednak nie była ona całkiem zwyczajna. Kiedy Niewykształcony obracał głowę, rozglądając się, Dziki zauważył, że nie jest ona w żaden sposób przyczepiona, lecz wyrasta mu z tyłu karku.

Mike, widząc to samo ponad ramieniem Dzikiego, zbladł tak bardzo, że zdawał się prawie świecić w ciemności.

— Delimer — powiedział otępiąły. Obcy mężczyzna próbował poderwać się z kolan, by uciec od drzwi, ale ten zryw musiał otrzeźwić Mike'a, bo momentalnie uderzył członka Armii kolbą w głowę i przycisnął do podłogi.

— Ty, skurwysynu, ściągnąłeś na nas Delimera! — wrzasnął wściekle Mike.

W tym czasie Dziki zamarł, nie wiedząc co robić. Potwór wolno, ale nieubłaganie zbliżał się w stronę wejścia, a odgłos szamotaniny zdawał się przyciągać go bardziej.

— Nie mogłeś kurwa zginąć samemu! Postanowiłeś zebrać sobie towarzyszy, ha?! — krzyczał Mike, siłując się z mężczyzną.

— Nie błagam, ja nie chcę, ja nie chcę... — krzyczał żołnierz Daniela, próbując wyrwać się Mike'owi w panicznej szarpaninie.

— Dziki pomóż mi! — ryknął Mike w jego stronę, otrzeźwiając go z szoku i jednym niespodziewanym ruchem odciągnął mężczyznę na tyle, by móc uchylić drzwi. Dziki dopadł do tej szamoczącej się dwójki i pomógł Mike'owi przytrzymać wyrywającego się żołnierza.

— Musimy go wypchnąć, inaczej pozabija nas wszystkich! — warknął wściekle Mike, próbując przepchnąć mężczyznę przez rozchylone drzwi. Na zewnątrz Delimer wyrwał już furtkę z ogrodzenia, jakby była z plasteliny i zaczął rozbijać betonowe słupki rękoma.

— Neeeeee! — wydarł się histerycznie żołnierz i chwycił z całej siły za futrynę.

Pomimo potężnej muskulatury Mike'a nie mogli jednak wypchnąć go na zewnątrz. Zdesperowany chwycił za karabin i strzelił mężczyźnie w rękę. Ten ryknął z bólu, chwytając się za ranną dłoń, dzięki czemu zdołał ostatecznie przepchnąć żołnierza za drzwi. Mężczyzna wypadł, turlając się prawie pod samą bestię.

— Uciekaj, teraz! — ryknął z tyłu Mike i popchnął Dzikiego przed siebie,

wybiegając ze sklepu. Szerokim łukiem minęli roztrzaskaną furtkę i dobiegli do ogrodzenia łączącego plac przed sklepem z sąsiednią działką, wtedy też Dziki usłyszał wrzask mężczyzny, którego tam zostawili.

Odwrócił się i zobaczył jak monstrum unosi go do góry i rzuca o resztki ogrodzenia. Trzask łamanych kości był tak bardzo głośny, że słyszeli go nawet z drugiej strony placu. Mężczyzna zawył przeraźliwie, a Dzikiemu zrobiło się słabo. Do gardła nabiegło mu tyle śliny, że wiedział, iż za chwilę zwymiotuje. Potwór podszedł do krzyczącego i swoją ogromną ręką przycisnął jego głowę do betonu. Niczym prasa zaczął wciskać ją powoli w ziemię, aż w końcu czaszka nie wytrzymała i roztrzaskała się jak arbuz.

Dziki uniósł dłoń do ust, ale i tak nie powstrzymał fali wymiocin. Zawartość żołądka wylała się prosto pod jego nogi, a on sam zgiął się w pół.

Stał tam, nie mogąc się ruszyć, nogi zmiękły mu tak bardzo, że upadł na kolana. Klęcząc na ziemi, mimowolnie spojrzał na krew zmieszaną z mózgiem oraz włosami wystającymi spod dłoni Delimera. Niewykształcony jak posąg górował nad zwłokami. Przez moment stał całkiem nieruchomo, z ręką wciąż wciśniętą w miejsce głowy mężczyzny, zupełnie jakby przyglądał się swemu dziełu. Po chwili jednak podniósł się i skierował swój ogromny łeb w stronę Dzikiego. Nim jednak zdążył się choćby ruszyć w ich stronę, Dziki poczuł, że ktoś szarpie go do tyłu.

Rozdział VI

Tworząc sobie wroga

Dziki prawie nic nie widział, budynki i ulice przelatywały mu przed oczyma, ale kompletnie do niego nie docierało, gdzie się znajduje. W głowie ciągle miał ten obraz. Głowa mężczyzny tak po prostu zmiażdżona na jego oczach. Tyle scen morderstw, które widział w telewizji, w grach i Internecie. Jakie to żałosne, kiedy ktoś myśli, że może go to przygotować na taki widok. Nie ma nic gorszego niż zobaczyć na własne oczy tak brutalną śmierć.

W ustach czuł gorycz własnego żołądka i piekące uczucie w przełyku.

Kiedy minął pierwszy moment szoku i paraliż ustąpił, ten obraz ciągle do niego wracał, dziewczyna z cmentarza, potem chłopak z bloków, a teraz jeszcze ten żołnierz Daniela. Nieustannie widział ich śmierć w swojej głowie. Ciągle myślał o tym, że mógł być na ich miejscu...

Jak bardzo bolały łamane nogi? Jak bardzo bolał łamany kark? W myślach widział siebie rozciąganego nad głową Delimera. Zrobiło mu się znów niedobrze, chciał się wyprostować, kiedy usłyszał:

— Nie wierć się!

Głos Mike'a nieco go otrzeźwił. Teraz dopiero dotarło do niego, że jest niesiony. Mike, dźwigając go na plecach, musiał odciągnąć ich spod sklepu. Kiedy zmysły zaczęły mu wracać, wczłapywali się właśnie na jakieś podwórko. Mike oparł go o ścianę. Dziki nie będąc jeszcze w stanie ustać na własnych nogach, po prostu osunął się po niej.

— Nie chowaj się, widziałem jak tu wbiegasz! — zawołał Mike w stronę komórek na końcu działki.

Jakiś mężczyzna wyłonił się powoli zza drewnianych drzwi. Dzikiemu ciężko było skupić na nim wzrok, bo do oczu ciągle mimowolnie nabiegały mu łzy. Zobaczył jedynie, że Mike podnosi broń.

— Wyjdź w moją stronę powoli i trzymaj ręce w górze. Jesteś tu sam? — spytał w stronę nowo napotkanego.

Dziki nie usłyszał odpowiedzi mężczyzny. Przetarł oczy, żeby skupić wzrok. Chciał się podnieść, ale nogi dalej miał zdrętwiałe tak, że ledwo je pod siebie podciągnął.

— Z kolegą w porządku? — usłyszał obcy głos.

— Nie — odpowiedział ostro Mike. — Wołałem, żebyś pomógł.

— Nie mam pojęcia, kim jesteś! Mogłeś równie dobrze być od Daniela! Po za tym tam był Delimer. Jaką mam pewność, że nie jesteście już dotknięci, więc się nie dziw... — tłumaczył się gorączkowo obcy głos.

Dziki spojrzał na jego właściciela. Teraz dopiero był w stanie mu się przyjrzeć: młody, blond włosy chłopak, dość wysoki, z kolczykiem w uchu. Stał z uniesionymi dalej w górę rękoma.

— Co właściwie jest z twoim kumplem? Nie wygląda na rannego — spytał, zerkając w stronę Mike'a. Dziki chciał coś powiedzieć, ale gdy tylko przyszło mu to do głowy, szczęka zdrętwiała mu tak bardzo, że nie był w stanie wyartykułować żadnego zrozumiałego słowa.

— Jest w szoku... — odpowiedział za niego Mike. I po chwili opuścił broń, a zaraz po tym chłopak swoje ręce. — Pierwszy raz zobaczył co potrafi Delimer.

Blondyn jeszcze uważniej przyjrzał się Dzikemu.

— Nowo przybyły? — rzucił retorycznie. — To i tak nieźle się trzyma, dobrze, że całkiem nie zemdlał — stwierdził, spoglądając, jak Dziki w końcu dźwiga się po ścianie na nogi.

— Masz tu jakąś kryjówkę? — spytał Mike, odciągając wzrok mężczyzny od Dzikiego. — Ten Delimer może się jeszcze kręcić po okolicy.

— Nie bardzo, chowam się raczej po budynkach, ale w żadnym się jeszcze nie zadomowiłem — odpowiedział wymijająco.

Mike odwrócił się od blondyna i patrzył teraz na Dzikiego. Po chwili zaś podszedł w jego stronę.

— Stary, już lepiej? Powiedz coś — spytał, podnosząc go i ustawiając w bardziej pionowej pozycji.

Dziki ciągle nie mógł wyartykułować słowa. Kluska w gardle narosła mu tak bardzo, że gdyby otworzył usta, to chyba by znów zwrócił, kiwnął jedynie głową ponownie i poklepał przyjaciela po ramieniu. Mike westchnął i prawie szeptem powiedział do niego:

— Przyzwyczaj się, niestety... — po czym odwrócił się w stronę nowo poznanego chłopaka. — Mógłbyś zobaczyć, co z tym domem? Dziki potrzebuje jeszcze chwili, by dojść do siebie.

Blondyn ruszył w stronę wejścia i po chwili zniknął za drzwiami.

— W porządku — odezwał się po dłuższym czasie jego głos z okna.

— Dziki, posłuchaj mnie, brachu — powiedział szeptem Mike, łapiąc go za głowę i przytrzymując mu ją w miejscu, by ten skupił na nim wzrok. — Musisz się ogarnąć, ten koleś mógł coś na mnie przygotować, może mieć tam schowaną

broń, albo jakąś pułapkę. Kapujesz? Będziesz mi potrzebny.

Dziki spróbował skupić myśli, zacisnął mocno oczy i otworzył je. „Muszę pomóc Mike’owi” — powtarzał sobie — „Nie mogę się teraz rozklejać”. Wciąż nie był w stanie nic powiedzieć, ale kiwnął porozumiewawczo głową, złe myśli zostały teraz gdzieś z boku.

Wtedy też doszło do niego, że siekiera i plecak musiały zostać gdzieś przy sklepie, uniósł szybko głowę i spojrzał złęczony na przyjaciela, ten chyba zrozumiał o co chodzi, bo wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i podał Dzikiemu. Obaj ruszyli schodami ku wejściu. Mike szedł z przodu z bronią w pogotowiu, a Dziki jeszcze przy ścianie tuż za nim, uchylili drzwi i weszli na ciemny przedsionek zawalony butami, naprzeciwko którego stało lustro.

— Jesteś tu? — spytał Mike i spojrzał na Dzikiego porozumiewawczo.

— W kuchni — odpowiedział mu głos blondyna.

Weszli na korytarz, z którego rozchodziły się drzwi do innych pokoi, za zasłoną z koralików na wprost nich była kuchnia. Przyjaciel ruszył powoli, przegarniając sznurki ręką, a Dziki wszedł tuż za nim, trzymając nóż w pogotowiu.

Blondyn przeglądał właśnie białe szafki kuchenne, stojąc do nich tyłem. Po chwili wyjął parę szklanek i położył na stole.

— Nie ma tu za wiele, ale znalazłem coś, co pomaga nowo przybyłym — powiedział uśmiechając się i wyciągnął przed siebie jakiś drogi alkohol w fikuśnej butelce. Mike odwzajemnił uśmiech i opuścił broń, choć Dziki był pewien, że ta nagła zmiana zachowania nie do końca jest szczerą. Grając jednak w grę swojego przyjaciela schował nóż, po czym usiedli we trzech do stołu.

— To może oficjalnie — powiedział blondyn, otwierając butelkę i nalewając zawartość do szklanek. — Jestem Trocki.

Podnosząc szklankę, Mike uśmiechał się szeroko.

— Jestem Mike ze Wspólnoty, a mój kompan to Dziki.

Na słowo „Wspólnota” oczy Trockiego rozszerzyły się nieco, a ręka mu zadrżała, gdy nalewał trunku do szklanki. Mike albo tego nie widział, albo udawał, że nie widzi, bo zadowolony pociągnął łyk. Po chwili mężczyzna napełnił również szklankę Dzikiego.

— Pij — polecił. — Wszyscy mówią, że to pomaga. Tak pomiędzy nami to głównie prawda, ale lepiej udawać, że coś w ogóle może na to pomóc. Zaraz potem spojrzał w stronę Mike’a. — A tak właściwie to co robicie na Zatorzu? Szukacie zapasów dla Wspólnoty? — spytał zainteresowany, jednocześnie obserwując, jak Dziki przechyla szklankę z alkoholem i krzywiąc się,

odchrząkuje. Mike skończył właśnie dopijać trunek i powiedział nieco ochrypłym głosem:

— Pomagam Dzikiemu stawiać pierwsze kroki, bo nie chcieli wziąć go do Wspólnoty, chciałem urządzić go w jakimś miejscu i przeczekać zanim szef zrobi się trochę bardziej łaskawy dla nowo przybyłych. Chłopak miał tu swój stary dom i tam chciałem go ulokować, ale potem napatoczyła się Armia Daniela i Delimer — skłamał zgrabnie.

Dziki pomyślał, że gdyby sam nie znał prawdy, pewnie uwierzyłby w tę bajkę.

— Kiepska sprawa — pokręcił głową Trocki. — No, ale przynajmniej Dziki ma ciebie, taka pomoc w pierwszych dniach to zbawienie, pewnie znacie się jeszcze ze starego świata?

— I to dość dobrze — odpowiedział, przełamując się w końcu Dziki. Obydwoje Trocki i Mike spojrzeli na niego pobłaźliwie. — Kręcimy się razem prawie od dziecka.

— No, w końcu dochodzisz do siebie — powiedział z uśmiechem Trocki. — No, a ten... z tą Wspólnotą... są jakieś szanse, że Dziki się tam dostanie? No wiesz, planują przyjąć jakieś większe grupy? — spytał wyraźnie zainteresowany.

Teraz to nawet otumaniony Dziki bez trudu domyślił się, że chłopak bada grunt. Może sam liczył na wolne miejsce?

— Jeszcze długo nie — pokręcił głową Mike.

Skoro jego przyjaciel grał, Dziki nie chciał się zdradzić przy chłopaku, więc westchnął tylko i spuścił smutno głowę.

— Zbyt duża grupa ściągnie na siebie uwagę — ciągnął dalej Mike. — Musimy najpierw przygotować miejsce do obrony, być w stanie chronić się przed szabrownikami i psycholami z miasta, a na razie ledwo udaje nam się przetrwać z ludźmi, których mamy.

— No szkoda, szkoda — powiedział Trocki, dopijając zawartość swojej szklanki. — Dobra chłopaki, miło było, ale ja spadam z Zatorza na dobre. Wystarczy mi już przepychania się z Niewykształconymi, teraz jeszcze Armia Daniela. To za dużo, żeby opłacało się tu zostawać. Trzymajcie się. — Blondyn wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Michał, poczekaj chwilę... — rzucił Mike spokojnym tonem.

Dziki spojrział na przyjaciela zaskoczony. Mike przytaknął mu i uniósł broń w górę na znak, że będzie atakował. Trocki przystanął na chwilę, a potem wykonał jakiś dziwny ruch, jakby chciał ruszyć do przodu, udając, że wcale się nie zatrzymał tylko potknął. W końcu jednak oparł się zrezygnowany o framugę

ciągle odwrócony do nich plecami.

— Ech, masz mnie. Zawahałem się słysząc swoje prawdziwe imię... Do tej pory nie byłeś pewien, co? — zapytał kpiącym głosem.

— Nie byłem — odpowiedział mu Mike, celując karabinem w plecy. Po chwili podniósł się z krzesła, Dziki również wstał z miejsca, obserwując, jak przyjaciel zbliża się do mężczyzny.

— Widziałem cię tylko przez chwilę i to w ciemnym korytarzu, jak wyłaziłeś z biura Krzaka. Tak szczerze, to nawet ci się nie przyglądałem — stwierdził Mike. Michał odwrócił się powoli, w jego oczach błyskała żądza mordu.

— Więc, czego chcesz? Przecież Krzak nie wysłał cię z zaproszeniem do Wspólnoty. Chcesz mój towar? Jest schowany w spluczce od kibla, miałem tu wrócić, jak już sobie pójdziecie. Nic więcej nie mam. W niczym ci nie zawiniłem, więc bierz towar i się odwal.

— Hej, spokojnie... — powiedział Mike z bronią ciągle skierowaną w Michała. — Z naszej ręki nie spotka cię krzywda. Jest po prostu sprawa, w której twój udział jest niezbędny, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Michał zarechotał, niczym szalenciec.

— Proszę, proszę, więc Wspólnota, ci cali dobrzy goście, układają sobie już kontakty z pedałem. Wiesz co on mi robi, jak mnie dopadnie? Chcesz mieć moją krew na rękach? Więc czemu nie pieprzniesz mi w łeb? — podniósł głos w furii. — Nie masz w sobie tyle łaski, co? Czy tyle jaj żeby zabić człowieka z zimną krwią?!

W tym momencie Mike ruszył w stronę Michała, wyraźnie próbując zdzielić go kolbą w głowę, ten jednak okazał się dużo szybszy. Kiedy tylko lufa nie celowała prosto w niego, chwycił zręcznie broń za magazynek, a drugą ręką strzelił Mike'a w twarz z taką siłą, że ten poleciał na kuchenne szafki. Nie czekając, Dziki złapał za karabin, który trzymał teraz Michał, a wolną ręką otworzył nóż sprężynowy i z całej siły pchnął nim blondyna w rękę. Ten zawył z bólu i rzucił się do tyłu, Zdołał jednak wyjąć magazynek za który wcześniej trzymał. Dziki z karabinem w rękach stał ogłupiały.

— Strzelaj! — ryknął Mike, podnosząc się z ziemi i trzymając się za twarz.

— Zabrał naboje — odpowiedział mu Dziki, pokazując brak magazynka.

Mike wyrwał mu karabin z ręki i wycelował w korytarz, ale Michał wybiegł już na zewnątrz. Zostawiając Dzikiego, podbiegł do okna wychodzącego na podwórze i rozbił je kolbą. Rozglądał się przez chwilę, a potem westchnął zrezygnowany.

— Słuchaj Dziki, nawet jak wyjmiesz magazynek, to jeden nabój zostaje w

komorze — powiedział w jego stronę i usiadł w korytarzu pod ścianą. — Ale mnie ryj boli, dałem się mu podejść, jak młody chłopiec Siwemu na lody.

Dziki wywrócił oczyma, podczas gdy Mike uśmiechnął się rozbawiony własnym żartem.

— Zraniłeś go — stwierdził, wpatrując się w podłogę.

— Wbiłem mu nóż w rękę — odpowiedział Dziki.

— Dobrze. Krwawi, i to mocno. — Mike poderwał się i patrząc się w podłogę, ruszył w stronę wyjścia. — Szybko, nie możemy dać mu czasu na zatamowanie tego... — powiedział i pędem wybiegł przez drzwi.

Gdy obaj wypadli na podwórze, czerwone plamy jaśniały na betonie, prowadząc ich w stronę ulicy. Dziki był w szoku, jak doskonale są widoczne, rana nie wydawała się aż tak głęboka. Podążając krwawym tropem, wybiegli na drogę, szybko dostrzegając uciekiniera. Michał kierował się w stronę torów, trzymając się za zranione miejsce i oglądając za siebie raz za razem.

— Skurwysyn — syknął Mike do siebie — ...chyba nie będzie próbował tego, o czym myślę. — Mike biegł teraz znacznie szybciej, obydwaj wypadli z za zakrętu, mając już tory przed oczyma. Przyjaciel uśmiechnął się pod nosem, dostrzegając postać Michała, stojącego tuż pod wiaduktem samochodowym, biegnącym nad torami. — Myślałem, że będzie próbował przebiec górą — powiedział zdeorientowanym tonem Mike. — Najwidoczniej nie jest aż tak głupi.

Dziki jednak nie bardzo wiedział, o co przyjacielowi właściwie chodzi, ale to, co Modrzew zrobił, kiedy już prawie mieli go na wyciągnięcie ręki, było czymś, czego ani Mike, ani Dziki na pewno się nie spodziewali. Blondyn wziął krótki rozbieg, po czym wyskoczył w powietrze tuż nad tory.

Dziki spodziewał się, że po krótkim locie rąbnie prosto w nasyp i zgodnie z tym, co mówił Mike, usmaży się na kamieniach, ten jednak łamiąc wszelkie obowiązujące prawa fizyki, wznosił się coraz wyżej i wyżej. Jakby nagle stracił całą swoją masę i podmuch powietrza przepchnął go w górę jak balon z helem.

Dziki zatrzymał się, obserwując ten niewyobrażalny skok. Michał przeleciał tuż nad torowiskiem i upadł dość mocno po drugiej stronie. Mike nie wydawał się wcale zaskoczony tym, co zobaczył. Przebiegł obok Dzikiego i zbliżając się możliwie najbliżej nasypu, niczym wytrawny snajper przyłożył karabin do oka i wystrzelił. W krótkiej chwili Dziki usłyszał głośny wrzask po drugiej stronie.

— Teraz to na pewno daleko nie pójdzie, ale i my nie mamy tyle czasu, żeby biec dookoła. — Mike obrócił się, obserwując wiadukt. Po jego minie widać było, że rozważa coś niebezpiecznego.

— Szlag by to, nie mamy wyjścia! — rzucił w końcu bardziej do siebie niż Dzikiego i po nasypie obwodnicy zaczął wspinać się ku górze. Dzikiego niewiele się zastanawiając, ruszył za nim. Już po chwili byli na szczycie przy drzwiach serwisowych. Ekran akustyczny ciągnęły się po obu stronach drogi, tak że było to jedyne przejście do wewnętrznej części mostu.

Nim Mike otworzył drzwiczki, spojrzął na Dzikiego.

— Posłuchaj, nie bez powodu wczoraj nie przeszliśmy tędy. Dzięki wiaduktowi można ominąć tory, ale ta droga wcale nie jest bezpieczniejsza. Jak tylko otworzę, biegniemy ile sił w nogach na tamtą stronę i przede wszystkim... nie patrz się na nich.

Nim Dzikiego zrozumiał, o co chodzi przyjacielowi, ten szarpnął za klamkę i wypadli przed barierką koło drogi. Pomimo słów Mike'a, Dzikiego po prostu nie mógł nie patrzeć na to, co tam się znajdowało, wiadukt był bowiem pełen samochodów, w których siedzieli niewykształceni.

— Biegnij, nie zatrzymuj się! — krzyczał Mike, ciągnąc go za sobą.

Siedzące w autach postacie prawie od razu dostrzegły ich obecność, niektórzy patrzyli się na nich z karykaturalnie szaleńczymi minami, inni z kolei na ich widok uderzali głowami i rękoma w szyby, próbując wydostać się na zewnątrz.

Z niektórych mocno już zniszczonych pojazdów zaczęły wpełzać postacie. Byli już w połowie mostu, kiedy drogę zastąpił im rosły mężczyzna, w którego pasie brakowało sporej części tułowia, tak że góra ciała trzymała się zaledwie na kawałku mięsa i gołym kręgosłupie. Mike przyspieszył, widząc monstrum przed sobą i z całej siły pchnął postać na bok tak, że mężczyzna pod własnym ciężarem przełamał się na pół o barierkę. To jednak wcale nie przeszkadzało mu gapić się na nich dalej. Wbrew temu, czego spodziewał się Dzikiego, jego oczy były wyjątkowo żywe i bystre.

Po krótkiej chwili dobiegli w końcu do drzwi serwisowych po drugiej stronie i przepychając jeden przez drugiego, wypadli na zewnątrz wiaduktu. Przeskakując przez ochronną aluminiową barierkę, zsunęli się na dół po wyschniętej trawie i piachu. W międzyczasie Michał zdążył przeczłapać się parę metrów, znacząc spory kawałek drogi wielkim śladem własnej krwi.

Ostrożnie zbliżyli się do leżącego nieruchomo ciała. Mike, choć już bez naboi, wycelował odruchowo w mężczyznę.

— Żyje? — zapytał Dzikiego, okrążając Modrzewa z lekkim dystansem.

Mike przyklęknął przy nim i przewrócił go na plecy. Chłopak miał zamknięte oczy i obtartą pewnie od upadku twarz.

— Taaa, oddycha — odpowiedział Mike z ulgą w głosie. — Masz tu coś mojego, fiutku — dodał, wyciągając mu z ręki magazynek.

— Mike, wiem, że to już trochę męczące, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, co to właściwie było? — spytał Dziki, przypominając sobie, jak Michał znalazł się po tej stronie. — Wiesz ten skok nad torami i w ogóle...

— Za chwilę, stary — odpowiedział przyjaciel. — Musimy najpierw trochę tego ćwoka posklejać. Siwy raczej nie będzie zbyt hojny, jak mu przyniesiemy gnijące truchło. — Mike otworzył swój plecak i wyciągnął z niego trochę bandaży. Z niezwykłą wprawą zaczął obwiązywać rany nieprzytomnego Modrzewa.

— Oni tu nie zejda? — przerwał ciszę Dziki, spoglądając w stronę drzwi serwisowych, które bądź co bądź zostawili otwarte.

— Nigdy nie schodzili — odpowiedział mu Mike, kończąc obwiązywać nogę nieprzytomnego. — Raczej dziś nie zrobią wyjątku, ten świat ma swoje jakieś tam zasady, a jak coś ma swoje miejsce, to raczej na tym miejscu siedzi. No, chyba wytrzyma — dodał, przecierając czoło. — Musimy ogarnąć jakieś taczkę albo dwukólkę, bo na rękach go nieść nie będziemy.

Dziki powiódł wzrokiem po najbliższych budynkach, jeden z domów miał całkiem spory ogródek i kilka komórek.

— Tam może coś być, pójdę sprawdzić — powiedział, wskazując palcem w stronę budynku.

— Dobra, jasne — zgodził się Mike. — Ja popilnuję naszej zdobyczy — powiedział, przysiadając się na chodniku tuż obok.

Dziki w trzech krokach znalazł się przy furtce i otworzył ją bez przeszkód. Ku jego uciesze taczka stała już pod pierwszą komórką oparte o drzwi, oprócz nich upatrzył sobie jeszcze całkiem ładną niedużą siekierę, w sam raz do trzymania w jednej ręce. Wrzucił ją z brzdękiem do pojazdu i rozejrzał się jeszcze pobieżnie po zawieszonych na ścianie rzeczach.

— Teraz przydałaby mi się jeszcze tarcza — powiedział sam do siebie, uśmiechając się, gdy oczyma wyobraźni zobaczył, jak niedorzecznie musiałyby wyglądać. Wypchnął taczka drogę i dociągnął do nieprzytomnego. Razem z Mikiem załadowali Michała, rzucając na niego swoje plecaki, a potem niczym dzieci zagrali w kamień, papier, nożyce i ustalili pierwszego, który będzie pchał taczka z balastem.

— Droga do miasta to będzie koszmar — skwitował Dziki, który przegrawszy grę, złapał za rączki i ruszył koślawo zaraz za Mikiem.

Dziki w swoich przewidywaniach nie pomylił się nawet odrobinę. Jeżeli

wydawało mu się, że poprzednio droga dłużyła się niesamowicie, to teraz trwała całe eony. Nadprogramowy bagaż sprawiał, że nie mogli ukrywać się w podwórkach. Modrzew mógł ocknąć się i próbować uciec w każdej chwili, więc Dziki musiał mieć go ciągle na uwadze, a Mike był zmuszony uważać na nich obu.

Kiedy zbliżali się do centrum, przyjaciel co kilka minut wybiegał trochę do przodu, żeby sprawdzić drogę, a Dziki ukrywał się w tym czasie razem z nieprzytomnym blondynem wszędzie tam, gdzie tylko udało się zmieścić taczkę. Te obowiązkowe podchody jeszcze bardziej wydłużały ich drogę. Szczególnie, że sama taczka mieściłaby się bez przeszkód niemal wszędzie, ale już wystające poza nią długie kończyny – niekoniecznie.

Mniej więcej w połowie wędrówki ich więzień zaczął odzyskiwać przytomność, musieli więc zrobić dodatkowy postój. Z niedużego domu, który w starym świecie zamieszkiwany był pewnie przez jakieś starsze małżeństwo, zabrali kilka par szelek i skórzanych pasów. Z ich pomocą unieruchomili Michała na resztę drogi.

By nie musieć znosić jego złowieszczych spojrzeń, Dziki zaciągnął mu na twarz wełnianą czapkę.

Z powodu tych wszystkich dodatkowych postojów przed samą Bajkolandię dotarli dopiero wieczorem. Strażnik Siwego powitał ich, celując z broni do Mike'a. Po jego twarzy widać było, że piszczący dźwięk taczki rozchodzący się w ciemności napędził mu niezłego stracha.

— Kurwa, to wy — powiedział, odkładając nerwowo karabin i przecierając czoło. — Właźcie szybko, jakieś cholerstwo się tu kręci. — Gestem dał znak, by weszli do środka, a sam stanął z powrotem w drzwiach, obserwując nerwowo okolicę.

Kiedy tylko stanęli w przedsionku, zauważyli drugiego strażnika, który spał sobie twardo za ladą przytulony do swojej strzelby jak do misia. Nie obudził się nawet, gdy taczka wydała jękliwy dźwięk, uderzając przy wejściu o próg.

— Ekhm! — odkaszlnął głośno Dziki, próbując zwrócić uwagę mężczyzny.

Dopiero, gdy Mike mu zawtórował, strażnik poderwał się, zrzucając broń z pryczy.

— Co..., co? — spytał zaspanym głosem, mrużąc oczy. Poprawił swoje przekrzywione na bok okulary i przyjrzał się im ciągle jeszcze nieprzytomnym wzrokiem. — Nieczynne, szef jest zajęty — stwierdził zaspanym głosem, po czym podniósł broń z podłogi i odłożył ją na bok.

— Ale my mamy dla niego wyjątkową przesyłkę — powiedział Mike,

ściągnął wełnianą czapkę z twarzy Modrzewa.

Wzrok związanego Michała i strażnika w okularach spotkały się przez ułamek chwili. Błagalne spojrzenie więźnia i szybki obrót głowy okularnika dał Dzikemu jasny obraz tego, co pewnie stanie się z Modrzewem. Strażnik wyprostował się, spoglądając przez chwilę z wyraźną niechęcią na Dzikiego i Mike'a. To sprawiło, że poczuł wewnętrzny opór, miał nawet przez chwilę ochotę odwołać to wszystko. Nie miał jednak czasu, by zebrać myśli, bo strażnik rzucił z odrazą:

— Poczekajcie chwilę, szef się właśnie zabawia. — Mówiąc to, odwrócił się od nich i po chwili zniknął za drzwiami magazynu.

Czekali tak dobrych kilka minut, Mike opadł na jedno z wolnych krzeseł i odetchnął ciężko. Tego dnia pokonali podwójną drogę do miasta, nawet bez całej otoczki w postaci grożącego im niebezpieczeństwa byłby to duży wysiłek.

— Jak myślisz, co on z nim zrobi? — spytał w końcu Dziki, po chwili dłuższego milczenia.

— Zabawi się z nim, podręczy, upodli, a na koniec pewnie wykorzysta, żeby przetestować jakieś miejsce — odpowiedział Mike, drapiąc się po głowie.

Dziki starał się nie patrzeć w tym momencie na Modrzewa, choć czuł, że ten ze wszystkich sił stara się przyciągnąć jego spojrzenie

— Przetestować? Czyli? — Ciągnął dalej przyjaciela za język, byleby tylko nie zostać sam w ciszy ze swoim sumieniem.

— No wiesz, trochę to trwało, zanim ludzie poznali reguły rządzące tym światem. Nigdzie nie było książki z zapisanymi zasadami: tego nie rusz albo tam nie idź. Nawet nie wiesz, ilu ludzi zmarło, zanim na dobre zakorzeniło się żyjącym tutaj, że nie wolno wychodzić poza granice miasta. W całym Krańcowie są jeszcze setki miejsc, w których może być coś ciekawego, ale do których nikt się nie zbliża, bo nie wiadomo, czy nie umrzesz tam w straszliwych konwulsjach. Więc taki przymusowy ochotnik to przydatna rzecz, zwłaszcza jeżeli chcesz regularnie zaopatrywać swoją faktorię — odpowiedział.

„Coś ciekawego” — pomyślał Dziki i wtedy przyszło mu do głowy, że przez całą podróż nie zapytał ponownie o ten niewyobrażalny skok nad nasypem kolejowym.

— Wtedy pod mostem... — zaczął, ale przyjaciel przerwał mu.

— Wiem, o co ci chodzi. Jak udało mu się coś, co nie udałoby się Jordanowi u szczytu kariery...? To był błąd...

Dziki prawie przechylił głowę, niczym słuchający pies, by dać koledze dostateczny dowód na to, że potrzebuje więcej wyjaśnień.

— ...a no właśnie błąd, reguły nowego świata są hmm... cholernie abstrakcyjne, a najlepszym przykładem tego są błędy. To takie podręczne łamacze praw i zasad fizyki, które mogą być cholernie przydatne albo cholernie śmiertelne, w zależności od tego, na które trafisz. No bo chyba, to nie jest normalne, że kamienie przy torach smażą prądem wszystko, co je poruszy, prawda?

Dziki przytaknął, a Mike ciągnął dalej:

— No i widzisz, te błędy potrafią przybierać różne postacie, czy tam formy i robić naprawdę niewyobrażalne rzeczy, na przykład sprawić, że wyskoczysz na kilkanaście metrów w górę. Są tutaj tacy ludzie, którzy tych błędów szukają i próbują je wykorzystywać, żeby wspomóc sobie przetrwanie w tym dennym świecie. Wiem, że oni to jakoś wiążą ze sobą, no bo jest trakcja i tam powinno być wysokie napięcie, no ale go nie ma, za to jest w kamieniach pod trakcją, czy jakoś tak. Sam tego do końca nie ogarniam — powiedział nieco niepewnym głosem, marszcząc przy tym czoło, jakby sam chciał ułożyć to sobie w myślach. W końcu jednak pokręcił głową, jakby był to daremny wysiłek i kontynuował — W każdym razie to nie jest coś, czym warto się interesować. Większość błędów jest bezużyteczna, a od przebywania w ich pobliżu można złapać defekt, więc szkoda ryzyka. Ja osobiście nigdy się w to nie bawiłem.

Wywód Mike'a przerwało przybycie strażnika w okularach, który zawołał do nich grobowym głosem:

— Szef zaprasza — powiedział i jednocześnie wskazał ręką na drzwi.

Dziki chciał już chwycić za taczkę, ale strażnik odsunął go, samemu łapiąc za rączki.

— Nie, nie. Ja się zajmę taczką.

Spojrzenie Michała po raz kolejny skupiło się na jego zapewne dawnym kompanie. Okularnik jednak odwrócił szybko głowę i łapiąc za taczkę, przepchnął je przez drzwi w głąb Faktorii.

W tym samym czasie strażnik, którego spotkali przy wejściu, wszedł do środka, by zabrać im broń. Wchodząc do części magazynowej, Dziki zobaczył jeszcze przez chwilę, jak pchający taczkę okularnik znika gdzieś w głębi budynku za tuzinem wielkich drewnianych skrzyń. Przechodząc tym samym labiryntem, co wcześniej, dotarli do siedliska właściciela.

Siwy czekał już na nich z szerokim uśmiechem na twarzy. Swój różowy garnitur zamienił teraz na damski szlafrok w błękitnym kolorze, ukazujący jego gładko ogolone nogi. Widok ten momentalnie wzbudził w Dzikim odrazę, ale po porannych wydarzeniach nie miał już nawet czego zwracać.

— Chłopcy — powiedział na ich widok swoim przesłodzonym głosem, klaszcząc przy okazji w dłonie. — Jak się cieszę, trzymałem za was kciuki z calutkich sił. — Strzelił w ich stronę zalotną miną, ukazując przy tym wszystkie perłowo białe zęby. — Nawet nie wiecie, jak wielką radość mi sprawiliście. Moje kundelki też się ucieszą, będą miały nowego kolegę. — Siwy spojrzał w róg magazynu, w którym kilku nagich wychudzonych mężczyzn ścisnęło się przerażonych w kącie.

Dziki nie patrzył na nich, chciał po prostu raz na zawsze wymazać ten obraz ze swojej pamięci.

— Widzisz Siwy, na mnie zawsze można liczyć — stwierdził Mike z uśmiechem. — Więc skoro Michałek jest już twój, to chyba czas na prezent dla Dzikiego.

— Och, Mike, skarbie, oczywiście. Przecież wiesz, że nie łamię danego słowa. No, chodźcie za mną.

Siwy zeskoczył z podestu, a potem ruszył w głąb Faktorii. Mijając porostawiane niczym prowizoryczne ściany kredensy, zbliżyli się do czegoś, co przypominało Dzikiemu psi kojec. Małe zakratowane pomieszczenie ustawione było przy ścianie na końcu hali. Już z daleka Dziki zobaczył, że wypełnione jest ono po brzegi bronią, od małych pistoletów, po duże karabiny i strzelby. Siwy sięgnął do kieszeni szlafroka i wyjął mały klucz, którym otworzył drzwi do pomieszczenia z uzbrojeniem. Po krótkich oględzinach wrócił, trzymając w rękach dość duży czarny pistolet.

— Pw 33, czyli po prostu tetetka — opisał broń Siwy, głosem zawodowego sprzedawcy. — Magazynek dostaniesz od strażnika przy wyjściu, skarbie, a gdybyś potrzebował więcej amunicji, wiesz gdzie mnie szukać — dodał swoim przesłodzonym głosem.

— Dziękujemy bardzo, Siwy i życzymy wielu udanych interesów — odpowiedział za Dzikiego Mike.

Siwy uśmiechnął się.

— Chodźcie, chłopcy, odprowadzę was do wyjścia — stwierdził, obejmując Mike'a i Dzikiego.

Ten musiał skupić w sobie całą swoją wolę, by nie wzdrygnąć się, gdy dłonie Siwego dotknęły jego pleców.

Wracając tym samym labiryntem skrzyń, co wcześniej, dotarli do drzwi wyjściowych.

— Szymku, wydaj chłopakom magazynek 7.62 do tetetki — rozkazał Siwy. — Powodzenia na ulicy Mike i tobie, Dziki. — Siwy pomachał im ręką jak na

pożegnanie, po czym zniknął za drzwiami swojego królestwa.

Strażnik nazwany Szymkiem zniknął pod ladą, a po chwili wyprostował się, trzymając karabin Mike'a i siekiere Dzikiego.

— Tylko baw się na zewnątrz. Jak się postrzelisz, nie będę po tobie sprzątał — dodał po chwili, wręczając im magazynek do pistoletu.

Dziki załadował broń i przeciągnął zamek jak na filmach.

— Siekiere zabierz — powiedział Mike, zatrzymując Dzikiego, który z bronią w pogotowiu chciał już wyjść na zewnątrz. — Mówiłem ci już, tutaj broni używa się tylko w krytycznej sytuacji. Pamiętaj, amunicja nie rośnie na drzewach.

Gdy wyszli przed Bajkolandię, na zewnątrz było już całkiem ciemno. Jedynie światła z wnętrza Faktorii rozбивały nieprzeniknioną czerń, jaka ich otaczała.

— Przyjemnej drogi — rzucił w ich stronę Szymek, stając w drzwiach z papierosem w ustach.

— Ciemno — skwitował oczywistość Mike i wyciągnął latarkę. W mroku, który panował dookoła, jej światło niewiele jednak pomagało. — Musimy sobie znaleźć jakieś miejsce w pobliżu, żeby przeczekać do rana, chodź — skinął w stronę Dzikiego i ruszyli za budynek Faktorii.

Idąc wąskim chodnikiem, dotarli na blokowisko przy rynku. Zrobili to prawie po omacku, bo w otaczającej ich ciemności ciężko było dostrzec choćby fasadę któregoś z bloków.

— Spróbujemy znaleźć sobie jakieś lokum. Niezbyt to rozsądne, ale i tak lepsze niż włóczenie się po nocy — westchnął Mike, marszcząc w skupieniu czoło.

Po krótkim marszu weszli przez rozerwane drzwi do pierwszej klatki schodowej. Mike wyłączył latarkę i nasłuchiwał przez chwilę, czy coś nie włóczy się gdzieś na górze, ale z wnętrza bloku słyhać było tylko świst wiatru.

— Dobra, chyba w porządku — powiedział szeptem. — Spróbujemy znaleźć sobie jakieś mieszkanie z drzwiami. — Mike wszedł pierwszy, trzymając broń w pogotowiu, a Dziki ruszył za nim.

Większość mieszkań, które mijali, miała jednak wyrwane albo uszkodzone drzwi. Dopiero na wysokości trzeciego piętra udało im się znaleźć nietknięte lokale. Mike wszedł powoli do jednego z nich, Dziki kroczył tuż za nim. Niedużą kawalerkę obeszlili w ciemności w kilka chwil.

— Pusto — westchnął z ulgą Mike, zamykając łazienkę. Po chwili zaś wrócił do przedsiionka i pozamykał drzwi wejściowe na wszystkie możliwe zamki. —

Przeczekamy tu do rana — wyszeptał, siadając na dywanie. — Staraj się nie hałasować, nie wiadomo, kto może mieszkać po sąsiedzku — stwierdził, wskazując głową na sufit.

Dziki poszedł do kuchni i cicho rozejrzał się za czymś do jedzenia, popełniając przy okazji największy błąd, jaki mógł zrobić. Swoje poszukiwania zaczął bowiem od lodówki, która nie tylko nie miała w środku nic zdatnego do spożycia, ale dodatkowo zasmrodziła całe mieszkanie odorem zgnilizny. Próbując się zrehabilitować w oczach Mike'a, który spojrzał na niego z politowaniem, zaczął przeszukiwać szafki. Niestety jedynym, co znalazł, a co mogło posłużyć za kolację, było kilka opakowań makaronu spaghetti. Za wieczerzę posłużyło im więc pół butelki wody, gotowany makaron bez sosu i paczka prażynek, którą Mike zabrał z Agatki. Dziękiemu przewróciło się w żołądku na myśl o plecaku ze słodyczami pozostawionym pod sklepem. Po skromnej kolacji ułożyli się na fotelach, a Dziki poczuł, że umęczony drogą prawie natychmiast zasypia.

Rozdział VII

Defekt

W nocy Dzikiego obudził cichy płacz. Było to dla niego zadziwiające, jak rozchodzą się dźwięki, kiedy odgłosy miasta zupełnie znikną. Przez chwilę myślał nawet, że ciągle jest w półśnie, spojrzał jednak na Mike'a. On również nie spał, siedział, wpatrując się nerwowo w sufit.

— Gospodarz — wyszeptał niemal bezgłośnie — mam nadzieję, że nie hałasowaliśmy za bardzo.

Kolejną godzinę spędzili pół drzemiąc. Z górnego piętra słychać było kroki, niekiedy przerywane płaczem lub dziwnym losowym wrzaskiem. Mike co chwila zerkał nerwowo w stronę drzwi i sufitu. Dziki złapał pistolet w rękę, trzymając go, bał się trochę mniej. Nie zmieniało to faktu, że siedzenie ze świadomością istnienia krążącego nad nimi Niewykształconego było przerażające. Dziki musiał przysnąć w którymś momencie, bo broń wyslizgnęła mu się z ręki. Gdy się przebudził, dźwięki z piętra ustały.

— Może zasnęło — powiedział szeptem Mike, widząc, że Dziki wpatruje się w sufit. — Cholera, tak naprawdę to nawet nie wiem, czy oni śpią — stwierdził, ziewając szeroko.

I wtedy to usłyszeli: głośny skrzypiący dźwięk dobiegający od wejścia. Ktoś po drugiej stronie drzwi naciskał powoli klamkę. Serce Dzikiego zamarło, wychylił się zza oparcia fotela, trzymając broń w pogotowiu.

— Drzwi nie wyważy — próbował ich uspokoić Mike, ale jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

Dziki sięgnął jedną ręką po latarkę ze stołu i poświecił w stronę wejścia. Gdy snop światła padł na korytarz, zobaczyli coś, od czego im obydwu żołądki się skrzyły. Zamek w drzwiach się przekręcił, najpierw główny, potem obydwie dolne.

— Nie wierzę, to coś ma klucze — powiedział Mike głosem, jakby śnił.

Drzwi uchyliły się przed nimi powoli, opierając się jedynie na łańcuchu, który przezornie zaciągnął Mike. Przez szparę wcisnęła się chuda ręka. Skóra na niej była biała jak papier i cała pokryta nacięciami i zakrzepłą czarną krwią.

— Jesteście tutaj sami? — wyszeptał skrzekliwy kobiecy głos, a ręka cofnęła się powoli.

Nagle drzwi wystrzeliły z hukiem do przodu naprężając łańcuch i powodując trzeszczenie zawiasów. Gospodarz próbował dostać się do środka, szarpiąc drzwiami jak oszalały. Łańcuch naprężał się i opadał przy każdej próbie, a hałas brzęczącego metalu wypełnił całe pomieszczenie. W pewnym momencie mocowanie łańcucha puściło, a wejście otworzyło się z hukiem.

Tuż za drzwiami ukazała się właścicielka ręki, drobna kobieta o białej skórze całej poszatowanej bliznami, ubrana w niebieską nocną koszulę. Dziki nie mógł uwierzyć, że z jej posturą wyrwała łańcuch z drzwi.

— W łeb — ryknął Mike i wystrzelił, kule świsnęły Dzikiemu nad głową, a ogień z lufy rozświetlił na chwilę pokój.

Dziki chciał wycelować, ale dziewczyna zniknęła w ciemności.

— Nie opuszczaj broni, ona nie odpuści — syknął Mike, ciągle mierząc w stronę wejścia.

Niespodziewanie dziewczyna wpadła do pokoju, drepcząc na czworaka. Mike znowu wystrzelił. Tym razem musiał trafić, bo czarna krew bryzgnęła z jej pleców. Niewykształcona jednak się nie zatrzymała. Z impetem wpadła w fotel, zza którego wychylał się Dziki. Chcąc wycelować, wyjrzał za oparcie, ale Niewykształcona złapała go z całej siły za przedramię i pociągnęła, zdzierając paznokciami skórę z ręki.

Dziki zawył z bólu i nacisnął spust. Kula trafiła, rozbryzgując czarną krew dookoła. Dziewczyna ciągle jednak machała rękoma chcąc chwycić go po raz drugi. Cofnął się, wychodząc jej z zasięgu i strzelił ponownie. Dłonie Niewykształconej zadrżały w powietrzu i opadły, Mike nadbiegł z drugiej strony i wbił jej w szyję nóż kuchenny.

— To chyba nie koniec — krzyknął, bo od strony drzwi dobiegł do nich odgłos kolejnych kroków. Dziki złapał pistolet w lewą rękę i wymierzył, ale z nerwów ciężko mu było utrzymać broń w jednej pozycji.

— Wykształcony? — zapytał niespodziewanie głos z głębi klatki.

— Magister — odpowiedział Mike, jednocześnie zwracając się szeptem do Dzikiego — to ludzie, ale nie opuszczaj broni.

Choć nie do końca zrozumiał, o co w tym chodziło, posłusznie celował dalej w stronę drzwi. Odgłos kroków robił się coraz głośniejszy. Po chwili z ciemności wyłoniło się kilka postaci w kominiarkach i czerwonych kombinezonach. Dziki miał wrażenie, że widział je już wcześniej.

— Defekt — krzyknął radośnie Mike, opuszczając broń, więc Dziki zrobił to samo.

— Jesteś od Krzaka, prawda? — odezwał się nagle kobiecy głos.

Spomiędzy gromady postaci wyłoniła się czarnowłosa kobieta. Jako jedyna z przybyłych nie nosiła kominiarki. Ubrana była jednak w ten sam czerwony kombinezon, co jej towarzysze, a przez plecy przewieszona miała coś, co przypominało karabin snajperski.

— Zgadza się, jestem Mike ze Wspólnoty, a to mój kumpel, Dziki — odpowiedział, kłaniając się lekko.

— Dix — przedstawiła się dziewczyna i pewnie podała Mike'owi i Dzikemu rękę.

— Wiem — odpowiedział jej Mike — miło znowu sąsiadkę widzieć. Nie wiem, czy pamiętasz, ale już się spotkaliśmy podczas ostatniej Nocy Latarni.

Dziewczyna zmrużyła oczy, przyglądając się twarzy Mike'a, a po chwili się uśmiechnęła.

— Pamiętam, kręcił się koło ciebie taki chłopak w wojskowym mundurze.

— Maniek. Ale tak właściwie, to co tutaj robicie? — spytał Mike, ciągle wodząc wzrokiem po gromadzie, którą wypełnił się pokój.

— Szukamy Pierwszego — odpowiedziała pośpiesznie Dix, a Dziki nawet w półmroku dostrzegł, jak jej twarz przeszedł jakiś dziwny złowrogi wyraz. — Nocowaliśmy w sąsiednim bloku... — wyjaśniała dalej — kiedy usłyszeliśmy strzały, postanowiliśmy to sprawdzić. W Krańcowie tylko weterani mają broń, jak gdzieś padają strzały, zawsze może to być Pierwszy. A wy jak tu trafiliście? Tak daleko od bezpiecznej stacji?

— Wracaliśmy od Siwego i zaskoczyła nas noc, chcieliśmy poczekać bezpiecznie do rana, ale cóż, nie dało się — zaczął Mike, ale dziewczyna przerwała mu nagle głosem pełnym odrazy.

— Handlujecie z Siwym?

— Nie no, to była wyjątkowa sytuacja... Dziki potrzebował broni, żeby w ogóle mieć szansę na miejsce we Wspólnocie, no a broń ma tylko Siwy, więc nie mieliśmy wyboru. Wiesz jak trudno jest tu nowym — tłumaczył się Mike, dziewczyna jednak już go nie słuchała. Jej wzrok spoczął na ranie Dzikiego.

— Twoja ręka krwawi naprawdę mocno — stwierdziła.

— Ach, to nic — odpowiedział twardo Dziki, nie chcąc wyjść na mięczaka, choć sam nie wiedział czemu.

— To twoje „nic” może się przerodzić w poważny problem, jeżeli wda się zakażenie. Do szpitala nikt cię tu nie zabierze. Chłopaki — zwróciła się do towarzyszącej jej grupy — zostaniemy tu chwilę, odrobina towarzystwa naszym kolegom ze Wspólnoty nie zaszkodzi — powiedziała, wpatrując się w Mike'a z jakąś dziwną surowością. Po chwili jednak zdjęła plecak i wyciągnęła z niego

coś, co wyglądało na całkiem profesjonalną apteczkę.

— No chodź tu, Dziki, spirytusu się chyba nie boisz — dodała, uśmiechając się pod nosem.

Mike ruszył głową, zachęcając go, więc ten usiadł obok Dix na sofie. W międzyczasie jej koledzy wynieśli ciało Niewykształconej na korytarz i osadzili drzwi z powrotem na miejscu.

— Jak ona się tu dostała? — spytała Dix, bandażując rękę Dzikiego.

— Miała klucze — odpowiedział cicho, z jakiegoś powodu nie chciał teraz rozmawiać... Wolał skupić się na jej dłoniach, które raz po raz stykały się z jego własną. To było tak przyjemne, że przez chwilę zapomniał nawet, że siedzi w cuchnącym krwią i zgnilizną mieszkaniu, otoczony przez gromadę dziwnych ludzi w mieście, w którym co chwila ktoś umiera.

— Skończone — stwierdziła Dix, podziwiając przez chwilę swoje dzieło. — Jak nie umrzesz, to pożyczysz — dodała z uśmiechem. — Długo tu już jesteś? — spytała.

— Tydzień — odpowiedział Dziki.

— Dobrze się trzymasz, dużo nowych, jak widzi Gospodarza, to kwiczy potem gdzieś w kącie... — stwierdziła dziewczyna. Dziki szybko zmienił temat, bojąc się, że Mike może wspomnieć o jego problemach żołądkowych na widok Delimera.

— Ładnie ci to wyszło — powiedział, oglądając opatrunek na rękę.

— Ach, to — Dix spojrzała na bandaż — zanim zaczął się ten bajzel, studiowałam pielęgniarstwo, byłam na ostatnim roku — wyjaśniła. W tym samym momencie mina jej spochmurniała, a oczy zrobiły się dziwnie puste. Dziki przestraszył się, że zrobił coś nie tak.

— Naprawdę dzięki — powiedział pośpiesznie, chcąc wyrwać dziewczynę ze złych myśli.

— Nie ma sprawy, ale teraz jesteś mi dłużny — dodała z uśmiechem w stronę Mike'a, Dzikiemu zrobiło się przez to jakoś dziwnie.

— Byliście na Zatorzu, prawda? Rengo powiedział mi, że dwóch chłopaków ze Wspólnoty przełazi przez tory. Działo się tam coś?

— Cóż, spotkaliśmy Armię... — odpowiedział Mike, drapiąc się po głowie. — Nic specjalnego, tylko bandera, ale nie wydaje mi się, żeby zapuszczali się wcześniej na Zatorze.

Dix westchnęła, siadając na dywanie między swoimi ludźmi.

— Podejrzewam, że już wie...

— Co takiego? — dopytywał Mike.

— Że Pierwszy wrócił. Przez ostatnie pół roku była cisza, jakby się pod ziemię zapadł, a potem przed ostatnim błyskiem trafiliśmy na niego przy granicy od strony Koziogłowic. Od tamtej pory Daniel zaczął też wysyłać banderę po całej strefie.

— To wam trochę utrudnia sprawę, co? — spytał Mike.

— Opaski nie są zagrożeniem i na pewno nie daliby rady złapać Pierwszego, skoro nam się to nie udało. Mogą być co najwyżej irytujący. Ciekawi mnie tylko, co chce tym osiągnąć...

Dix siedziała przez chwilę zamyślona.

— Słuchajcie, o świcie będziemy wracać pod wieżę. Dziki jest nowy. Ty jeszcze z nami nie przebywałaś, więc możemy pójść razem, jeśli chcecie... Nie powinniście być narażeni na defekt... — powiedziała, opuszczając głowę.

— Świetnie — odpowiedział Mike z uśmiechem — w grupie raźniej i droga pójdzie szybciej, będziemy mogli pójść główną ulicą.

Reszta nocy minęła znacznie przyjemniej. W dużej uzbrojonej grupie Dziki czuł się o wiele bezpieczniej. Kiedy tak siedzieli i opowiadali różne historie ze starego i nowego świata, prawie zapomniał o koszmarze, jaki spotkał go wcześniej. Wszystko teraz wydawało się takie zwyczajne, no może oprócz tego, że większość ludzi tutaj siedziała w kominiarkach, trzymając przy sobie jakąś broń. Była jeszcze jedna rzecz, która go cieszyła. W tym półmroku mógł sobie cały czas, bez skrupowania obserwować Dix. Była naprawdę piękną dziewczyną. Nawet mimo tego dziwnego stroju, który nosiła jako członek Defektu. Swoją urodą biła na głowę większość kobiet, jakie Dziki poznał w starym świecie. Wsłuchując się połowicznie w historię, opowiadaną przez jednego z mężczyzn w kominiarce, rozmarzył się, jakby to fajnie było spotkać ją przed błyskiem.

— ...no i wtedy wchodzę do tego domu, a tamten siedzi z dziewczyną. Byłem w szoku, bo brzydki był jak kartofel. Tak sobie wtedy myślę, że dla niego ten Błysk, to chyba było błogosławieństwo, bo w normalnym świecie, to by co najwyżej mógł rzodkiewkę wyrwać, nie dziewczynę, a tutaj jakaś desperatka pewnie poleciała na opiekuna. No i krzyczę z progu: „Mati nie bój się, to ja Sven. Towar ci przyniosłem”. A ci jak się nie poderwą, patrzę i oczom nie wierzę – on z gospodynią siedział...

— Ściemniacz, buuuuuu — zawyła Dix, a inni zawtórowali jej ze śmiechem.

— Jak matkę kocham, szefowo, żeby mi jaja skręciło, z gospodynią siedział i jeszcze się tulili do siebie.

— Dusiła go pewnie, a ty żeś kumplowi kulę w łeb władował, bo ci się coś ubzdurało — zaśmiał się jeden z mężczyzn w kominiarce.

— Ale daj mi skończyć... No i się podrywają, ja łapię za karabin, a on krzyczy, żebym nie strzelał, że on to kocha, a ona wtedy jak mnie nie trzaśnie, aż mi się blado zrobiło... To cofnąłem się kawałek i łup serią w głowę. Chyba ze cztery kule w nią weszły, zanim się uwalila. A wtedy Mati wyskakuje jak oszalały, macha maczetą nad głową i krzyczy, że mu ukochaną zabiłem. Szkoda mi było chłopca, nie jego wina, że we łbie mu się przestawiło. To strzeliłem mu w nogę i uciekłem...

— Że też go nie zabiła. Przecież Gospodarze są cholernie agresywni — skwitował głośno Mike.

— Sven to ściemniacz — powiedziała Dix, uśmiechając się pobłaźliwie — z całej historii pewnie prawdziwe było to, że zarobił od gospodyni w łeb i uciekł, strzelając dookoła, a kolega Mati pewnie nawet nie istniał.

— Ale słowo, szefowo... — bronił się Sven.

— Hej — przerwał defekciarz przy oknie — świta.

Dziki z lekkim zawodem spojrzął w stronę okna. Noc płynęła tak spokojnie, że widok szarzejącego nieba zwiastującego jej koniec, naprawdę go zasmucił.

— No, chłopaki, zbieramy się. — Dix klasnęła w dłonie i przeciągając się, wstała jako pierwsza. Przygotowanie się do wyjścia zajęło im tylko chwilę. W tym czasie na zewnątrz zrobiło się już całkiem jasno. Odbarykadowali drzwi i ruszyli klatką schodową na dół, a potem powoli między blokami w stronę głównej ulicy.

— Gospodarze na pewno nie opuszczają domów? — spytał Dziki.

— Podobno tak, jeżeli tylko... — zaczął Sven, ale Dix przerwała mu momentalnie.

— Nie wciskaj nowemu bajek. Nie wychodzą, są w jakiś sposób związani ze swoim miejscem. Kilku naszych uciekało już przed Gospodarzami. Zawsze dobiegają do progu, ale nie wychodzą nawet na podwórko... Nie przejmuj się — dodała z uśmiechem w stronę Dzikiego — na zewnątrz jest o wiele więcej dziwactw, które chętnie cię zabiją.

Doszli do głównej ulicy i ruszyli jej środkiem. Dziki nie musiał być szczególnie spostrzegawczy, żeby zobaczyć, jak prawie od razu w oknach pojawiły się postacie, które obserwowały ich ze złowieszczymi minami. Teraz zrozumiał, dlaczego idąc z Mikiem, trzymali się z dala od głównej drogi.

— Nie musisz się martwić — pocieszyła go Dix, gdy zobaczyła, jak nerwowo obserwuje okolice — po Krańcowie chodzi pogłoska, że sam kontakt z nami zaraża defektem, nikt się do nas nie zbliży.

Dzikiego strasznie ciekawiło, czym dokładnie jest defekt, ale słysząc gorycz,

z jaką mówiła o tym Dix, postanowił spytać o to Mike'a, jak już zostaną sami. Odruchowo jednak spojrzął się w stronę kominiarki Svena. Oczy miał całkiem normalne, ale ze skórą dookoła nich było coś nie tak. Była po prostu zbyt gładka.

Szli w milczeniu przez dłuższy czas. Na głównej drodze spotykali czasem jakichś ludzi. Ci jednak, kiedy tylko ich spostrzegli, uciekali natychmiast albo chowali się po budynkach.

— Nie bez powodu wszyscy nosimy czerwone stroje — wyjaśniała Dix, spoglądając w stronę Dzikiego i Mike'a. — Z oddali widać, że idziemy właśnie my i większość obwiesi ucieka na sam nasz widok, a my nie musimy ich oglądać.

— Tak właśnie myślałem, bo kamuflaż z tego raczej żaden — odpowiedział jej Mike.

Po kilku minutach marszu, zbliżyli się do cmentarza, na którym pojawił się Dziki. Miejsce spoczynku było jednak puste, nie było innych nowo przybyłych ani Niewykształconych.

— Nic tu się nie pojawi aż do następnego Błysku — stwierdził Mike, odciągając Dzikiego, gdy ten zatrzymał się przy furtce.

Kątem oka spojrzął w stronę blokowiska, do którego zaprowadził ich Kuba. „Ciekawe, co teraz robi?” — pomyślał. Może czeka na kolejny Błysk? Zastanawiał się też, co stało się z chłopakiem, z którym się pojawił. Czy udało mu się dojść do domu? A jeżeli tak, to czy nie spotkał tam czegoś podobnego do tego, co Dziki widział wczoraj.

Idąc głównymi drogami, bez potrzeby ciągłego sprawdzania trasy i zatrzymywania się, do stacji kolejowej dotarli błyskawicznie. Na rozwidleniu Dix i jej ludzie pożegnali się z nimi (Dzikiemu serce zamarło przez chwilę, gdy ścisnął rękę dziewczyny), a potem ruszyli w stronę Wieży Ciśnień, Mike i Dziki zaś skierowali się w stronę baru.

— Czym dokładnie jest defekt? — spytał Dziki, kiedy tylko oddalili się od gromady.

Mike nie wydawał się być zdziwiony tym pytaniem. Przystanął jedynie na chwilę i podrapał się po głowie, zbierając myśli.

— To choroba tego świata, jej pierwszym objawem jest rozmycie... i to dosłownie. Skóra robi ci się gładka, jakbyś był z plasteliny. Zaczynają też tępieć ci zmysły: dotyk, smak, węch. To na początek. Przez długi czas nie ma innych objawów, ale kiedy już złapiesz defekt, nie zostaje ci wiele życia. Po jakimś czasie masz nagle zaostrenie, potem tracisz wzrok, słuch, przestajesz się

ruszać... I w końcu umierasz.

Serce Dzikiego załopotало jak szalone.

— Ale Dix wygląda normalnie — zaprotestował.

— Bo z nią jest trochę inaczej — odpowiedział po chwili zastanowienia Mike. — Dix jest w Krańcowie bardzo długo i była chyba jedną z pierwszych, u których wystąpił defekt, ale z niewiadomych mi przyczyn nie zaatakował jej tak, jak innych. Wiem jedynie, że od samego początku gromadzi chorych i próbuje im pomóc.

— Więc Dix żyje dużo dłużej, tak? To znaczy, że to jej nie zabija? — spytał z nadzieją Dziki.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Mike — na pewno żyje dłużej niż inni. Jest w Krańcowie, od kiedy ja się pojawiłem, a była na pewno jeszcze sporo przede mną. A czemu tak dociekaasz? Wpada w oko, co? Mówiłem, że ma całkiem niezłą facjatę... — zaśmiał się Mike.

Określenie „niezła facjata” było dla Dzikiego dość nieadekwatnym opisaniem wyjątkowej urody Dix. Postanowił jednak zachować to dla siebie.

— Czemu oni szukają tego Pierwszego? — spytał, by zmienić temat.

— Chyba dlatego, że Pierwszy nie choruje, ale to tylko moje przypuszczenia. Cały czas ktoś łapie defekt, zwłaszcza ludzie, którzy mają za dużą styczość z błędami. Podobno to Pierwszy odkrył, jak korzystać z błędów i miał z nimi styczość od początku, a jednak ciągle jest normalny..., podobno — wyjaśnił mu przyjaciel.

Resztę drogi do baru przeszli w milczeniu. Mike podniósł rękę, witając się ze stojącymi przed wejściem członkami Wspólnoty, ale odpowiedziało mu jedynie kilka niemrawych skinieć głową. Większość stojących tam ludzi po prostu patrzyła się z wyrzutem. Przeszli obok zgromadzonych i weszli do środka. Mijając rozłożone karimaty i zapasy, przeszli prosto do biura Krzaka. Tym razem Mike otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie i dał Dzikiemu ręką znać, by wszedł razem z nim.

Krzak siedział przy swoim biurku, był blady, a oczy miał podkrążone, jakby też nie spał ostatnio najlepiej.

— Wróciliście — powitał ich krótko.

— Nie inaczej — odparł pewnie Mike — i tak właściwie to Dziki jest już jedną nogą we Wspólnocie, bo...

— O tym zadecyduję ja — przerwał mu twardo Krzak, a Mike zrobił taką minę, jakby ktoś zdzielił go w twarz.

— Jak rozumiem, masz broń, pokaż — zwrócił się w stronę Dzikiego i

wyciągnął rękę.

Dziki wyjął więc pistolet z kieszeni i podał go Krzakowi.

— Tetetka, słoniowata amunicja z dobrą siłą przebicia. Za to cholernie niecelna, ale przynajmniej pestki są jeszcze realnie dostępne — skomentował, oglądając pistolet. — A co z Niewykształconym? — spytał, nie odrywając wzroku od broni.

— Dziki rozwalił Gospodarza. Gnida była mała, za to szybka i pieruńsko silna — odpowiedział natychmiast Mike.

— Macie jakiś dowód? — spytał Krzak, podnosząc wzrok znad broni.

— Dowód? — ryknął Mike. — A moje słowo już ci nie wystarcza? Ale dobra, skoro chcesz tak pogrywać, Dix z Defektu widziała trupa. Możemy iść do wieży i z nią pogadać, jeśli chcesz.

Krzak podniósł brwi, jego mina mówiła, że wcale nie ma ochoty tego robić. Wstał z fotela i odwrócił się w stronę mapy. Potem spokojnym głosem zaczął:

— Wiecie, co się tutaj działo, jak już poszliście?

Mike i Dziki spojrzeli na siebie, ale Krzak sam im odpowiedział:

— Zlecieli się prawie wszyscy...

Zrobił chwilę przerwy, przechadzając się po biurze, w końcu jednak skupił wzrok na Mike'u.

— I znowu zaczął się ten sam temat... Mój kuzyn to kawał chłopca... moja siostra to... ten znajomy jest naprawdę wyjątkowy – aż mało mnie krew nie zalała. Każdy chce, żebym kogoś przyjął, tylko który z was kurwa weźmie odpowiedzialność, jak tę osobę spotka coś złego? Który z was będzie dzielił zapasy, wiedząc, że nie wystarczy dla wszystkich, co? — Krzak odwrócił się gwałtownie w ich stronę, aż Mike i Dziki cofnęli się o krok. — KTO ODEJMIE SOBIE OD RYJA, ŻEBY DAĆ ŻREĆ SIOSTRZE, KTÓRA JEST TUTAJ TYLKO CHOLERNYM BALASTEM?! — ryknął w ich stronę Krzak, a w jego oczach błyskała furia — CZY JA KURWA POWIEDZIAŁEM, ŻE KOGOŚ NIE PRZYJMĘ? PROSIŁEM TYLKO, DAJCIE MI TROCHĘ CZASU, ŻEBYM MÓGŁ UPORZĄDKOWAĆ TEN PIERDOLNIK, ŻEBY BYŁY ZAPASY, ŻEBY BYŁA WODA, CHOCIAŻ KURWA KAWAŁEK ZASRANEGO MURU. — Zrobił krótką przerwę, żeby złapać powietrze, a potem spoglądając na Mike'a, syknął jadowicie: — ALE NIE... KAŻDY TYLKO CIĄGLE CZEGOŚ ODE MNIE CHCE... CIĄGLE KURWA WYMAGA. ALE JAK TRZEBA NADSTAWIĆ KARKU, ZARYZYKOWAĆ ALBO RUSZYĆ DUPE DO ROBOTY, TO SIĘ NAGLE CHĘTNI KOŃCZĄ. A WCZORAJ WSZYSCY PRZYCHODZĄ I MÓWIĄ, ŻE PIERDOLĄ WSPÓLNOTE. NIE, TO JA

PIERDOŁĘ WSPÓLNOTĘ... DOSKONAŁE RADZIŁEM SOBIE SAM I BĘDĘ SOBIE RADZIŁ, A WY SOBIE KURWA RÓBCIE CO CHCECIE.

Krzak stał jeszcze przez chwilę, dysząc ciężko. Dziki po tym całym wywodzie był naprawdę zrezygnowany, a wręcz zły na Mike'a, że próbował go tutaj wciągnąć. Nie mniej po chwili Krzak się uspokoił i dodał już normalnym, bardzo stonowanym głosem:

— Zrobiłeś prawie wszystko, czego oczekuję od członka Wspólnoty, pozostało ci jeszcze zrobić coś dla dobra ogółu, ale niech to nie będzie jakaś pierdoła pokroju przyniesienia dziesięciu litrów wody... Zróbcie coś, co jest naprawdę spektakularne. Żeby nikt nie podważał mojej decyzji.

Dziki stał przez chwilę, zszokowany tą nagłą zmianą nastroju. Pewnym było, że Krzak trzymał w sobie coś złego i potrzebował chwili, by to rozładować. Dzikiemu jednak nie bardzo to odpowiadało. Z początku wyobrażał sobie Wspólnotę jako swoistego rodzaju elitarny klub przetrwania, który łączy najlepszych ludzi z całego Krańcowa i dla których Dziki będzie co najwyżej piątym kołem u wozu. Teraz jednak w osobie Krzaka zobaczył, z jak wieloma problemami boryka się to miejsce i na pewno nie miał zamiaru zostać kolejnym z nich.

— Krzaku, posłuchaj — zaczął Dziki, starając się za wszelką cenę, żeby to, co ma powiedzieć, nie zabrzmiało jak jakiś wyrzut. — Rozumiem twój punkt widzenia i w całości się z nim zgadzam, dla waszej Wspólnoty będę tylko problem.

Na te słowa Mike rozszerzył szeroko oczy i już miał zamiar się wtrącić, ale Dziki uciszył go ręką.

— Dopiero co pojawiłem się w Krańcowie, ledwo ogarniam, co się tutaj dzieje, nie znam połowy rzeczy, które powinienem znać i tak szczerze, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, co potrafi Delimer, załamane się tak bardzo, że naraziłem życie Mike'a. Zastrzeliłem Niewykształconego, to prawda, ale zrobiłem to w panice i to bronią, której bez pomocy Mike'a nigdy bym sobie sam nie załatwił. Sam Mike powiedział, że mam niesamowite szczęście, bo ciągle natrafiam praktycznie na samych życzliwych ludzi, którzy służą mi pomocą... Większość z was trafiła tutaj, nie dostając nawet prostej wskazówki. Więc i tak dostałem dużo więcej niż wy i teraz muszę radzić sobie sam.

Dziki odwrócił się na pięcie, mijając zszokowanego Mike'a, któremu z niedowierzania opadła szczęka.

— Zaczekaj — zatrzymał go głos Krzaka.

Dziki odwrócił się jeszcze raz. Przywódca Wspólnoty stał, obserwując go

badawczo.

— Podjąłem już decyzję i nie mam zamiaru z niej rezygnować. Z początku zrobiłem to tylko ze względu na Mike'a. Teraz jednak, po tym co usłyszałem, wierzę, że nie bez powodu stoi on tak twardo po twojej stronie.

— Dziękuję, ale ja też podjąłem decyzję. Nie mam zamiaru nikogo narażać. Jeżeli przeżyję dość długo, by być wart przyjęcia, a ty nadal podtrzymasz swoją decyzję, wtedy zostanę — odpowiedział stanowczo.

— DZIKI! — ryknął niespodziewanie Krzak tak mocno, że aż Mike podskoczył — to nie jest prośba. Kiedyś prawie za moimi plecami ktoś zdecydował, że mam być przywódcą tej cholernej Wspólnoty. Wczoraj jako przywódca musiałem walczyć o słuszność decyzji dania ci szansy, chociaż wcale cię nie znałem. Jeżeli teraz spróbujesz zawieść moje zaufanie, to słowo honoru, nie dożyjesz jutra, bo sam cię zabiję — warknął. — A teraz wypad obydwaj i zróbcie coś, żebym się za te cholerną decyzję nie musiał wstydzić.

Mike i Dziki wyszli z biura, w Dzikim wciąż jeszcze trwała wewnętrzna walka. Nim jednak zdążył się na niej skupić, Mike rąbnął nim o ścianę.

— Co ty do cholery za szopkę odstawiasz? Ja ręczę za ciebie ręką i dupą, a ty się chcesz bawić w męczennika? Wiesz ilu ludzi o wiele bardziej od ciebie nie powinno być tutaj? — Po tych słowach wyszedł zdenerwowany.

Dzikiemu zrobiło się teraz naprawdę głupio. Przez ten cały czas Mike ryzykował dla niego życie, a on tak po prostu chciał odejść. Słowa Krzaka i Mike'a wpłynęły jednak na jego decyzję. Skoro obaj zaufali mu na tyle, by się narazić, nie miał zamiaru ich zawieść.

Po chwili wybiegł za Mikiem przed bar.

— Stary, naprawdę mi głupio... — zaczął, ale przyjaciel mu przerwał.

— Dobra, daj spokój, Dziki... Zawsze się za bardzo przejmowałeś, zresztą Krzaku cię polubił, to widać.

— W którym momencie to widziałeś? — zapytał Dziki, robiąc głupią minę.

— Posłuchaj, on nie zatrzymał cię z grzeczności. Krzaku taki nie jest. Gdyby nie chciał cię tutaj, to nawet by się ucieszył, że zdecydowałeś się odejść z własnej woli. — Mówiąc to Mike, skinął głową, dając znak, by ruszyli w drogę.

Minęli ogrodzenie baru i kilka starych autobusów.

— Będziemy z nich robić prowizoryczne mury — wyjaśnił, wskazując na pojazdy. — Dzięki nim zatrzymamy przynajmniej część tego cholerstwa, które się złazi. No ale ciągle brakuje materiałów — dodał.

Kiedy minęli plac przy barze i wąską drogą szli koło starych magazynów kolejowych, Dziki zobaczył jakąś postać zmierzającą w ich stronę.

— To Maniek — ucieszył się Mike — jeden z równiejszych gości we Wspólnocie... Siema, Knytku — krzyknął Mike, machając ręką.

Niski chłopak o krótko ściętych czarnych włosach skinął im głową z daleka. Kiedy się zbliżył, Dziki przyjrzał mu się wyraźnie. Miał na sobie stary wojskowy mundur z odprutymi flagami, a z tyłu ogromny plecak. Pod prawym ramieniem zwisała mu kabura z pistoletem.

— Witam Pany — odpowiedział, podając Mikowi i Dzikiemu rękę. — Więc to jest powód wczorajszego rabanu, co? Jak tam warunki? Już spełnione?

— Taa, pozostało jeszcze zrobić dobrze Wspólnocie — zażartował wulgarnie Mike.

— No to tyłki was rozbolą, bo chłopaki ostro na niego pomstują — odpowiedział Maniek, spoglądając na Dzikiego.

— Pomstują, ale za robotę to się żaden nie weźmie. Widzę, że jak poszedłem z Dzikim, to teraz ty latasz po zaopatrzenie — stwierdził Mike, przyglądając się wypchanemu plecakowi mężczyzny.

— Taaaaa — potwierdził ziewając, Maniek — od kiedy zabunkrowaliśmy bar, to wszyscy się w cholernych strażników pozamieniali. Tylko pilnować nie ma czego. To co macie zamiar zrobić?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział Mike — zastanawiam się, czego najbardziej nam brakuje. Wiesz, żeby nie cisnęli Dzikiego, jak to przyniesie.

— Brakuje wszystkiego, bo na dwadzieścia dwie osoby tylko trzy chodzą po towar. A cisnąć go i tak będą, bo przeskoczył na początek listy, chociaż kolejność była zaklepana — stwierdził Maniek z goryczą w głosie. — Ale tak między nami, to niech się kurwa nauczą, że ci, którzy coś robią mają większe prawo głosu. Bo dać pistolet i powiedzieć, żeby się kręcił jak idiota po pustym sklepie, to można każdemu cieciewi, co wypadnie z cmentarza... Bez obrazy — dodał po chwili w stronę Dzikiego. — Dobra, idę, bo nam księżniczki poumierają z głodu. Choć to mi właściwie nasuwa myśl, że powinienem iść nieco wolniej. — Mike razem z Dzikim zaśmiali się i ruszyli dalej w stronę przejazdu.

— Brakuje wszystkiego, co? — spytał retorycznie Dziki, próbując usilnie wymyślić coś, co mógłby zrobić dla Wspólnoty, choć jedyne, co przychodziło mu do głowy, to sklep, który zaczęli szabrować na Zatorzu. — A może wrócimy do Agaty?

— Szczerze, to myślałem o tym, ale jeżeli będziemy bawić się deskami i nosić żarcie w plecakach, to zajmie nam to wieczność. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby zebrać większą ilość towaru na raz. Jak przyniesiemy zapasy na

parę tygodni, to się wszystkim zamkną dzioby — stwierdził Mike.

— Gdyby udało się nam skombinować jakieś większe auto, ale poza autobusem i tych na obwodnicy, to żadnego nie widziałem — rozmyślał Dziki.

— Poza obwodnicą to i ja żadnego nie widziałem, ale dlaczego by nie wziąć jednego z tamtych? — spytał Mike, uśmiechając się złowieszczo.

— Myślisz, że one się do czegoś nadają? — spytał Dziki, zastanawiając się, czy samochód w ogóle da radę odpalić po tylu latach postoj.

— Nie mam pojęcia. Samochody są głośne i zwracają uwagę, więc nikt nie zadawał sobie trudu, żeby jakiś ściągnąć z obwodnicy. Tak naprawdę to do tej pory zastanawiam się, jakim cudem udaje się przetrwać freedombusowi. No dobra, nie dowiemy się, jeżeli nie sprawdzimy — skwitował w końcu Mike i razem z Dzikim ruszyli w stronę obwodnicy.

Rozdział VIII

Coś dla Wspólnoty

Idąc chwilę w milczeniu, mężczyźni przeszli obok wieży Defektu. Dzikiemu jakoś dziwnie zagrało w żołądku, gdy przyjrzał się stojącym w oddali postaciom w kominiarkach. Zastanawiał się, co może teraz robić Dix i wtedy poczuł w środku jakiś dziwny żal. Uświadamiał sobie powoli, jakim szaleństwem byłoby przywiązać się do kogoś w tym chorym świecie. Zwłaszcza kogoś z wyrokiem śmierci. Wewnętrzne rozterki musiały odbić się na jego mimice, bo Mike spojrział na niego i spróbował go pocieszyć.

— Będzie dobrze — stwierdził z pewnością w głosie. Nie mógł jednak wiedzieć, że Dziki nie myślał wtedy wcale o przyjęciu do Wspólnoty.

Ponownie przez dłuższy czas szli bez słowa. Natłok myśli wydawał się Dzikiemu wyjątkowo uciążliwy, więc kiedy tylko stracili wieżę z oczu, zapytał o coś, co nurtowało go od momentu, gdy wyszli z baru.

— Ty i Krzak musicie znać się naprawdę dobrze. Wprowadził zamęt we własnej grupie, tylko dlatego, że za mnie poświadczyłeś...? — zapytał.

Mike nie odpowiedział. Rozejrzał się jedynie po pobliskich budynkach.

— Usiadźmy gdzieś, trzeba chwilę odpocząć — stwierdził po chwili.

Weszli na jedno z podwórek i rozłożyli się na ławce, przy ogromnym luksusowym domu, który w starym świecie musiał należeć do jakiegoś nowobogackiego małżeństwa. Dziki w duchu dziękował Mike'owi za tę decyzję, nie chciał marudzić przyjacielowi, ale od kiedy wrócili z miasta, czuł, że jego nogi nigdy już nie będą takie, jak kiedyś.

— Zmęczony, co? Nie dziwię się, cholera nie pamiętam już, kiedy ostatni raz jechałem samochodem. Boże, jaki to luksus, nie musieć dźwigać czegoś na własnych nogach. Teraz się chyba nie dziwisz, że tak wyglądam? — dodał, demonstrując jeden z bicepsów.

— Tylko luster po drodze nie zacznij obmacywać... — zakpił Dziki.

Siedzieli tak przez chwilę, gasząc pragnienie resztkami wody, która im została.

— Kiedy jest tak pusto, to nawet tu przyjemnie. Ta cisza ma coś w sobie — dodał, rozkoszując się spokojną chwilą.

— No proszę, kolejny nowofan nam rośnie — zaśmiał się Mike.

— Nowo co? — spytał Dziki, nie rozumiejąc użytego przez przyjaciela zwrotu.

— Nie będę ukrywał, że w tym świecie są tacy, którym obecny system rzeczy się podoba. Kurde, wręcz traktują to miejsce jak jakiś przedsiónek nieba.

Dziki się zdziwił. Chyba naprawdę trzeba było mieć tragiczne życie, żeby cieszyć się z tych wszystkich potworów i innych okropieństw wylewających się z każdego kąta.

— A ty? — spytał nagle.

Mike skrzywił się nieco.

— Przyzwyczailem się. Poza tym uważam, że to bzdurny temat wymyślony chyba tylko dla zabicia czasu. No bo gdybym miał wybór? Ale ludzie lubią popadać w skrajności i jedni ciągle smęca, że stary świat, że chcieliby wrócić itd. A drudzy cieszą się, że mogą okradać bezkarnie sklepy ze słodyczy i uważają, że są w raj, zapominając o tym, że mogą zginąć, nawet gdy odlewają się w krzakach. A prawda jest taka, że wszyscy utknęliśmy tutaj, czy się komuś to podoba, czy nie.

— I naprawdę nikt się nie domyśla dlaczego? — dopytywał dalej Dziki.

— Ten temat już dawno porzucono. Podobno na początku, kiedy jeszcze w Krańcowie żyła garstka ludzi, a niewykształceni nie włączyli się za każdym rogiem, nowo przybyli próbowali zrozumieć, o co w tym chodzi. Powstało coś, co nazywało się Pierwsza Grupa. Wiem, że jej członkami byli Pierwszy, Drugi, Kuba, Dix i paru innych i razem coś tam kombinowali, żeby zrozumieć, o co w tym chodzi, ale chyba niczego się w końcu nie dowiedzieli...

— Dix była w tym całym sojuszu? Razem z Pierwszym? Przecież teraz go ściga.

— Tak jak powiedziałem, nie znam szczegółów. Cała Pierwsza Grupa może być tylko Krańcowską Legendą. Takich historii krąży tutaj pełno... Ktoś coś usłyszał, ktoś coś powtórzył i dodał od siebie... Wiesz, jak z tym gościem, co już pół roku ucieka przed Delimerem. Niby możliwe, ale czy to prawda? Albo czy pół roku to nie było pół godziny? Cholera wie.

Dziki pogrążył się w myślach. Żałował teraz, że nie spytał Kuby o kilka spraw więcej. Pomyślał nawet, że kiedy już dołączy do Wspólnoty, to może spróbuje go odnaleźć. Kuba mógł wiedzieć jeszcze o wielu rzeczach, które dopiero teraz stały się dla Dzikiego istotne.

— Mówiłeś, że jesteś tu półtora roku, a to nowe Krańcowo dokładnie jak długo istnieje?

— Z tego, co wiem, to będzie zaraz szósty rok, licząc od momentu

pojawienia się Pierwszego. Natomiast czy coś tu było przed nim? Nie wiem, ale chyba musiało być.

— Szmata czasu — skomentował Dziki — a do Wspólnoty w końcu jak trafiłeś?

— Cóż... — Mike ścisnął brwi w skupieniu. — Pytałeś się mnie, czy Krzak i ja znaleźliśmy się wcześniej. Znaleźliśmy się dużo wcześniej, jeszcze przed Wspólnotą. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Krzaku dopiero co uciekł z Armii Daniela, a ja odłączyłem się właśnie od pewnej grupy...

— Krzak był w Armii? — przerwał, niedowierzając Dziki.

— Ano był, i to do tego nie byle kim. Dostał się do samej czołówki, do tak zwanych „braci”. Nie zdążyłem ci wspomnieć, ale Krzak w starym świecie był instruktorem Krav Magi, a oprócz tego fanem militariów, więc szybko się wybił. No ale był zbyt ułożonym gościem, by przymykać oko na te chore rzeczy, jakie się tam działy. Kiedy więc nadarzyła się okazja, uciekł. Nigdy nie pytałem go o szczegóły. Wiem jedynie, że Daniel nałożył na niego wyrok śmierci. Podobno żołnierz, który go zabija, ma opływać w kobiety i alkohol.

Mike poruszył brwiami, jakby sugerował Dzikemu przyjęcie propozycji, ale widząc, że ten nie ma ochoty na żarty, kontynuował:

— No więc tak. Jak już uciekł, to szukał miejsca, jak najdalej to możliwe od wpływów Daniela, więc trafił w okolice bloków na obrzeżach miasta. A tam kręciłem się ja... i szczerze mówiąc, dałem się mu podejść.

— Jak to podejść? — spytał Dziki niepewnie.

— No, wiesz, jak uciekał, to chyba nie bardzo zwracał uwagę na to, w co jest ubrany. Daniel słowo „Armia” traktuje dość poważnie, więc wszyscy wyżej od zwykłych banderowców noszą mundury. A przez chore zamięłowania wyżej wymienionego do różnych dziwnych motywów, to w tych mundurach dość rzucają się w oczy. Bracia noszą biało-czarne moro z czarnymi ochraniaczami, a na kamizelce mają narysowaną taką paskudną gębę, więc chyba rozumiesz, że ciężko było go nie zobaczyć. No i szczerze mówiąc, to pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, to go sprzątnąć i zabrać mu sprzęt... Śledziłem go, żeby znaleźć odpowiednią chwilę...

— Domyślam się finału — powiedział Dziki, mrużąc oczy.

Na te słowa Mike podwinął rękaw bluzy i pokazał sporą bliznę przechodzącą mu przez ramię.

— Krzaku to naprawdę w porządku gość. A wiesz, kiedy to zrozumiałem? Bo nikt inny w Krańcowie nie oszczędziłby gościa, który do niego strzelał. A już tym bardziej nie opatrzyłby go i nie pytał o motywy. W każdym razie od tamtej

pory, o ironio, zaczęliśmy podróżować razem. We dwóch zawsze różnie, przynajmniej możesz się przespać, gdy ktoś cię pilnuje. Kiedy tak podróżowaliśmy, Krzak opowiedział mi trochę o Armii. Widać było, że boli go to, ile osób tam trafia i ginie, żeby Daniel i jego Elita mogli opływać w luksusy. Co prawda, oprócz Armii, istniały jeszcze inne grupy: Creepsi, Punki, Brygada 90, Sojusz Bloków i sporo innych, których nazw nawet nie pamiętam... ale większość z nich nie różniła się prawie niczym od Armii. Ot grupa znajomych z dawnego świata dołączała do siebie nowych, by wysyłać ich tam, gdzie sami leżać nie chcieli. No i oprócz Armii większość nie przetrwała zbyt długo. Krzak chciał stworzyć swoją własną grupę, ale taką, wiesz, bardziej sprawiedliwą. Zaczęliśmy więc zbierać ludzi. W międzyczasie powstał Autobus do Wolności, więc mieliśmy dużo łatwiej o nowych członków, no i zaczęła się kształtować pierwsza Wspólnota. Z początku jej główną siłą byliśmy ja i Krzak. Dbaliśmy o zaopatrzenie, ochranialiśmy nowych, tłumaczyliśmy im zasady, itd. Potem dołączył jeszcze Blady. Szkoda go, naprawdę spoko koleś — powiedział Mike i zrobił chwilę przerwy, jakby coś wspominał. — ...no i potem złapaliśmy jeszcze Mańka, jego miałeś okazję poznać. Kiedy było nas już trochę więcej, oczyściliśmy niedużą kamienicę i zrobiliśmy z niej bazę główną, no i wtedy zaczęły się pierwsze problemy. Przestaliśmy się przemieszczać, więc dużo łatwiej było nas znaleźć, chętni do wzięcia pod opiekę walili drzwiami i oknami. Nie tylko nowo przybyli, ale też ludzie z całego Krańcowa. Wtedy braliśmy, jak leci, i to był błąd. Nie minął miesiąc, a ze Wspólnoty zrobił się burdel. Pierwszym problemem był oczywiście podział obowiązków, to zaczęło się uwidaczniać już na samym początku. Zanim dołączył Blady, było nas prawie trzydzieści osób, a po zaopatrzenie chodziliśmy tylko ja i Krzak. Wiesz, ja rozumiem, że nie każdy ma jaja ze stali, że stanąć twarzą w maskę z Delimerem i nie zrobić w gacie, mogą tylko nieliczni.

Dziki miał wrażenie, że zaczerwienił się lekko na te słowa.

— Ale to był ogromny problem, bo widziałem, że są tam goście, którzy daliby radę, ale po prostu woleli się nie narażać. Taka pieprzona psychologia: „Wzięliście nas do Wspólnoty, to teraz o nas dbajcie”. Im było nas więcej, tym robiło się gorzej. Z desperacji zaczęliśmy przyjmować nawet najbardziej zakazanych gości, tylko po to, żeby mieć jakieś wsparcie w wyprawach, ale to była równia pochyła. Nasi nowi rekruci bardziej interesowali się zdobywaniem fajek i alkoholu, żeby przehandlować je na seks z dziewczynami, niż faktycznymi potrzebami Wspólnoty. No i wtedy stało się to, po czym Krzak się złamał. Pewnego dnia, jak wracaliśmy z zaopatrzeniem, złapała nas noc, więc

zabunkrowaliśmy się z Krzakiem w centrum miasta. Tymczasem, gdy my próbowaliśmy przetrwać, nasi nowi kompani się pochlali i zgwałcili dziewczyny, które z nimi nie handlowały. — Tu Mike zrobił przerwę, widać było, że próbuje zdusić w sobie złość. Po chwili kontynuował grobowym głosem — Wróciliśmy rano, a one tam siedziały na schodach kamienicy, całe we łzach, to były naprawdę ładne dziewczyny. A oni tam stali i ryli ze śmiechu. Wtedy Krzaka coś trafiło. Nigdy nie widziałem go w takiej furii. Zabił chyba z piętnaście osób. Wszystkich, którzy tego dnia stali na straży kamienicy i wtedy stało się najgorsze.

— Co może być jeszcze gorszego?! — Dziki aż wrzasnął, nie mogąc po prostu uwierzyć, że to nie koniec.

— No właśnie, widzisz, to wszystko działa się pod oknami kamienicy. Wszyscy to widzieli, i wiesz co? Zaczęli na nas pomstować: „Coś ty zrobił? Tylko oni przynosili wodę. Bałeś się, że ktoś ci władzę odbierze, to ich zabiłeś znieścacka, fagasio. Kto będzie teraz fajki przynosił?”. — Mike naśladował piskliwe głosy mieszkańców, a jego twarz przybrała złowieszczy wyraz.

— Co zrobiliście potem? — spytał Dziki, który sam prawie czuł gorzkość, jaka musiała tkwić wtedy w Krzaku.

— Odeszliśmy. Ja, Krzak, Maniek i Błady, a stara wspólnota nie pociągnęła długu. Cały czas działało na nich prawo trzech, a tego upadku nie miał kto bronić. — Mike zrobił kolejną przerwę i przetarł czoło, ciągle jeszcze zdenerwowany złymi wspomnieniami. — Po tym wszystkim długo włączyliśmy się sami, ale Krzaku stwierdził, że chce spróbować jeszcze raz. Widać było, że żał mu tej garstki porządnych, którzy muszą cierpieć. Zaczęliśmy więc podwaliny pod nową wspólnotę. Tym razem jednak zasady przyjmowania miały być dużo bardziej restrykcyjne. Krzaku chciał najpierw mieć gromadę ludzi, której może przewodzić, a dopiero potem brać kogoś pod ochronę, więc stworzyliśmy zasady rekrutacji dla oddziału Wspólnoty. Po pierwsze znajomość. Jeżeli nic cię we Wspólnocie nie trzyma, to wiadomo, że odejdziesz, jak robi się ciężko. Więc proste, że skoro ktoś cię poleca, to wierzy, że nie wbijesz nam noża w plecy. Po drugie broń, sam widziałeś jak ciężko ją zdobyć, jeżeli jesteś w stanie, to znaczy, że raczej sobie poradzisz. Po trzecie Niewykształcony, pamiętasz, jak zareagowałeś na Delimera, a sporo ludzi potrafi reagować tak samo na Znicza. Widziałeś Znicza?

Dziki skinął głową.

— Więc chyba jasne, że broń ci nie potrzebna, jeżeli nie będziesz miał jaj, żeby strzelić. No i po czwarte zrób coś dla Wspólnoty, tego chyba nie muszę

tłumaczyć. Jesteśmy razem, działamy dla dobra ogółu — dodał, naśladując na koniec przywódczy ton Krzaka.

— Szczerze mówiąc, to trochę restrykcyjne te wymagania — stwierdził Dziki.

— A żebyś wiedział — powiedział rozżalonym głosem Mike. — Jak Krzaku je zatwierdził, to myśleliśmy, że już na zawsze zostaniemy we czterech, ale jak sam stwierdził: „Wolę przyjąć jednego, któremu zaufam niż dziesięciu, których coś tam, coś tam”, nie pamiętam dokładnie. Sam więc byłem zdziwiony, że uzbieraliśmy aż tylu, no ale to zrodziło nam kolejny problem.

— No, jaki? Przecież ci ludzie mieli być już w porządku — dopytywał Dziki.

— No właśnie, w porządku. Widzisz, moi koledzy ze Wspólnoty naprawdę nie są źli. Może ze względu na ciebie i nerwy, parę razy mogłem coś tam na nich chlapnąć, ale to spoko goście. No i jak wszyscy spoko goście, którzy sobie radzą, dźwigają jakiś bagaż...

— Młodszą siostrę albo kuzyna pierdołę — odpowiedział nie pytany Dziki.

— Trafiłeś w sedno, oczywiście moglibyśmy wziąć już teraz parę osób pod opiekę bez zbytniego narażania się, ale oprócz mnie i Krzaka Wspólnota liczy dwadzieścia osób. Każdy chce, żebyśmy przyjęli dwie, trzy dodatkowe osoby. I teraz kto ma zdecydować, komu pomoc jest najbardziej potrzebna? Krzaku stwierdził, że najuczciwiej będzie poczekać, aż będziemy w stanie zebrać wszystkich. A to się przeciąga, więc zaczęły się kombinacje. Każdy stara się wkręcić swojego znajomego jako ewentualnego woja, no i mamy potem takie kuriozum, jak brata Roberta, na którego wszyscy mówią Młody. Początek był niby ok. Młody skombinował sobie pistolet, na cmentarzu pod okiem brata uwalił Znicza i przyniósł dziesięć litrów wody. Wymagania spełnił, więc go wzięliśmy, a dalej to już satyra. O broń go nie winię, bo to naprawdę ciężko zdobyć, więc Robert mu pomógł na stówę. Chociaż stwierdził, że Młody miał już pistolet, ale jak nam się zlecieli niewykształceni w nocy pod bazę, to nawet nie wyszedł pomóc. Klęczał pod oknem ze łzami w oczach, a Maniek powiedział nawet, że zlał się w gacie. O tych dziesięciu litrach wody nie będę wspominał, bo wychłał je sam przez dwa dni. Maniek twierdzi, że on jeszcze od tej nocy lać nie przestał i musi ciągle płyny uzupełniać...

Dziki roześmiał się. Humor też mu się trochę poprawił, przynajmniej miał przykład kogoś, od kogo mógłby się okazać bardziej użyteczny. Z nową energią, która spłynęła na niego po tej rozmowie wstał i kiwając głową na Mike'a, powiedział energicznie:

— Ruszamy.

Opuścili eleganckie podwórko i udali się dalej chodnikiem w stronę obwodnicy. Z tego, co mówił Mike, ta część Krańcowa była dość bezpieczna. Minęli w międzyczasie stary minimarket, który musiał być rozszabrowany już od dłuższego czasu. Nie trzeba było wcale podchodzić, by zauważyć, że ze sklepu zostały tylko puste półki i wózki rozrzucone po parkingu.

Dochodząc do rozwidlenia dróg, skręcili w lewo w stronę obwodnicy, droga w prawo prowadziła bezpośrednio do centrum i cmentarza, na którym pojawił się Dziki. Idąc w stronę obwodnicy, minęli nowoczesny kościół, którego piaskowa fasada i potężne przeszklone drzwi wydawały się nienaruszone.

— Lepiej się tam nie zbliżać — powiedział nagle Mike, widząc, że Dziki przygląda się budynkowi. — Obiekty symboliczne zawsze przyciągają różnego rodzaju dziwactwa, nie tylko Niewykształconych. Żebyś wiedział, jacy psychole potrafią kryć się w takich miejscach.

Nawet gdyby Mike tego nie powiedział, Dziki nie miał zamiaru wchodzić do świątyni. Nie wydawało mu się, że można by tam było znaleźć cokolwiek przydatnego.

Kiedy minęli kościół, Dziki zaczął powoli dostrzegać obwodnicę, wiadukt prowadzący nad torami i drogą w stronę starych zakładów przemysłowych, w których Dziki pracował jeszcze tydzień temu.

— Prawie jakbym szedł na drugą zmianę — wypalił.

— Jeszcze nie raz ci to przyjdzie do głowy, uwierz mi. Ja do tej pory budzę się czasami przestraszony, że zasnę do roboty — odpowiedział mu Mike.

Skręcili teraz w stronę torów, do miejsca w którym złapali Modrzewa. Plama krwi, którą zostawił po sobie, ciągle świeciła się na betonowej drodze. Dziki spojrzał w stronę wiaduktu. Drzwi serwisowe ciągle były otwarte, tak jak je zostawili. Kiedy już się zatrzymali, przez chwilę wsłuchał się w otoczenie. Oprócz buczenia torów udało mu się wyłapać odgłosy Niewykształconych z obwodnicy. Skrzeki, ryki i psychopatyczne odgłosy śmiechu wydobywały się znad mostu.

— Wchodzimy tam? — spytał niepewnie.

— Nie tak po prostu. Najpierw musimy się przyjrzeć, czy jest tam w ogóle auto, które się dla nas nadaje — mówiąc to Mike, przeszedł pod wiaduktem, a Dziki ruszył za nim.

Po drugiej stronie zobaczyli ogromną stertę gruzu i starą antenę radiową, sięgającą wysoko ponad dźwiękoszczelne ekrany obwodnicy. Sterta gruzu musiała być kiedyś miejskim ośrodkiem kultury. Dziki pamiętał to miejsce ze

starego świata. Na sali widowiskowej odbywały się koncerty fortepianowe, a w licznych pokojach wszelkiej maści kółka zainteresowań.

— Ciekawe, komu to przeszkadzało? — spytał retorycznie, ale niespodziewanie usłyszał odpowiedź.

— Pierwszemu. Przed tym, jak się pojawiłeś, Defekt prawie dopadł go w tym budynku. Kiedy próbowali go pochwyć, wysadził cały budynek, zabijając sporo chłopaków Dix — odpowiedział mu Mike, przyglądając się ogrodzeniu anteny radiowej.

— A on sam to przeżył? — spytał Dziki, obserwując, jak Mike siłuje się z łańcuchem okalającym furtkę, przez którą technicy dostawali się do skrzynki przy antenie.

— Dix chyba w to wierzy, bo dalej go szuka... No wreszcie — powiedział Mike uradowany, zdejmując łańcuch. — Wespniemy się na górę i rozpatrzymy się w sytuacji.

Dziki spojrział w stronę szczytu. Antena była naprawdę wysoka, a na górę prowadziła wąska drabina otoczona klatką. Nie bardzo uśmiechało mu się wchodzić na szczyt, ale widząc, że Mike zaczął się już wspinać, nie bardzo miał czas, by wyrazić swój sprzeciw. Przelykając nerwowo ślinę, ruszył za towarzyszem.

Stopień za stopniem czuł jak opuszcza go pewność siebie, po raz pierwszy w życiu stał na tak wysokim obiekcie. Uspokajał się jednak, myśląc, że w starym świecie technicy wchodzili tędy nie raz, a nigdy nie słyszał, by któryś z nich spadł. Po jakichś dwóch minutach weszli na górę, Dziki stanął na starym kratkowanym podejściu i wyjrzał za barierkę. Z miejsca, w którym stał, rozciągał się widok na całą okolicę Krańcowa, obwodnicę i Zatorze. Mike zdążył już wyciągnąć lornetkę i przyglądał się teraz drogom zjazdowym.

— Potrzebujemy jakiegoś kombi albo lepiej małego dostawczego — mruczał pod nosem, obserwując okolicę.

Dziki, nie mając lornetki, skupił się po prostu na oglądaniu okolicy i wypatrywaniu ewentualnych zagrożeń w pobliżu. Krańcowo wyglądało jednak całkiem normalnie, nie licząc oczywiście tego, że nie widać było wcale ludzi.

— Dziki — syknął nagle Mike z nietęgą miną, podając mu lornetkę. — Patrz tam, jak zaczyna się zjazd przy zakładach chemicznych.

Dziki przyłożył lornetkę do oczu i wędrując wzrokiem po samochodach oraz siedzących w nich Niewykształconych, doszedł w końcu do zjazdów. Przez chwilę szukał czegoś, na co uwagę zwrócił Mike. Dopiero gdy z pola widzenia zniknęła mu spora ciężarówka, zobaczył, o co mu chodziło.

Na obwodnicy stała grupa ludzi, wszyscy mieli przy sobie broń i nosili wojskowe mundury z wielkim wymalowanym napisem „ND” na plecach. Nie był jednak w stanie dostrzec twarzy żadnej z postaci, bo w większości mieli maski gazowe albo kominiarki.

Po chwili zauważył, że dwóch mężczyzn w maskach dochodzi do jednego z samochodów i wyciąga z nich Niewykształconego. Kobieta, która w starym świecie mogła być gospodynią domową w średnim wieku, teraz pokryta była licznymi ranami i obtłuczeniami, a skórę miała białą jak papier. Szamotała się zaś tak mocno, że tych dwóch mężczyzn ledwo było w stanie ją utrzymać. Dziki widział, jak wrzucają kobietę do starej karetki, która stała przy wyjeździe, a potem cała gromada upchnęła się do pojazdu i odjechała.

— To są ludzie Daniela? — spytał.

— Nie — odpowiedział mu Mike, zabierając lornetkę — tych nazywają tutaj Endekami. Choć cholera wie, kim są naprawdę. Nikt nigdy z nimi nie rozmawiał. Jak tylko ktoś się zbliży, to od razu go zabijają i vice versa, mają sporo fajnego sprzętu, więc weterani tego miejsca polują na nich. Dlatego od dłuższego czasu podróżują tylko dużymi grupami.

— Widziałem, jak zabierali Niewykształconego, co oni z nimi robią? — dopytywał dalej Dziki.

— Cholera wie... Tak jak powiedziałem, nikt z nimi nigdy nie rozmawiał, ale równie dobrze to mogą być dobrze uzbrojone świrusy, a Niewykształconych łapią sobie dla zabawy.

Dzkiego nie do końca to przekonało.

— Udało ci się znaleźć coś dla nas? — spytał po chwili.

— Chyba tak, ale wolałem odczekać aż pojedą. We dwóch za diabła nie dalibyśmy im rady. Jeszcze jedna sprawa, jak będziemy przełazić koło zakładów, obserwuj ogrodzenie. Tam można spotkać sporo Delimerów, więc musimy być gotowi do ucieczki.

Po chwili zeszli z anteny, droga w dół wcale nie wydawała się lepsza. Zanim ruszyli w stronę wjazdu na wiadukt, Mike zbliżył się jeszcze do nasypu kolejowego. Używając sporej długości kija, strącił duży buczący kamień z nasypu, potem opróżnił swój plecak do końca i kładąc go na ziemi przy użyciu tego samego kija, wepchnął go do środka.

— Przyda się — powiedział, widząc pytającą minę Dzkiego.

Gdy tylko przyjaciel zabrał swój dziwny ładunek, przeszli obok gruzowiska po ośrodku kultury i stanęli naprzeciwko zakładów chemicznych. Niskie zielone ogrodzenie oddzielało to miejsce od ulicy, za nim stało składowisko starych

beczek i hangary magazynowe. Zaraz obok płotu zaczynał się wjazd na wiadukt dla samochodów. Dziki i Mike ruszyli drogą w górę, cały czas obserwując, czy coś nie wyłazi zza ogrodzenia. Po chwili byli w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stali Endekowcy.

Mike rozglądał się przez chwilę.

— Jest tam — zawołał w końcu, wskazując na małe auta dostawcze, które wypatrzył przez lornetkę. Reklama na boku samochodu „Chleby Zakwas” ciągle była doskonale widoczna, choć pokryła się warstwą rdzy i brudu.

W oddali Dziki zauważył, że niewykształceni w autach zaczęli poruszać się znacznie żywej, jakby rozdrażnieni ich bliskością.

— Pośpieszmy się, lepiej nie prowokować ich zbyt długo — stwierdził Dziki, zaciskając dłoń na siekierce.

W tym czasie Mike otworzył drzwi od kabiny i szarpiąc za cyngiel, podniósł maskę.

— Osłaniaj mnie przez chwilę — zawołał, znikając pod klapą.

Dziki wyjrzał zza auta. W oddali nie było widać żadnego luźno chodzącego Niewykształconego, ale ci zamknięci w swoich samochodach musieli być już pewni ich obecności, bo rzucali się na siedzeniach i tłukli w szyby rękoma.

— Jeszcze chwila — tłumaczył Mike i wszedł do kabiny, a potem z powrotem wrócił do grzebania pod maską.

W tym czasie jeden z Niewykształconych rozbił szybę swoją głową i wykruszając kawałki szkła rękoma, powoli zaczął wpełzać z samochodu. Choć Dziki wolał tego uniknąć, zdawał sobie sprawę, że lepiej będzie pozbyć się go teraz, niż czekać, aż całkiem się wyswobodzi. Zbliżył się więc do auta i zobaczył Niewykształconego, który w starym świecie musiał być jakimś ułożonym starszym mężczyzną. Miał na sobie dobrze dobraną koszulę i spodnie do garnituru, a włosy, choć teraz posklejane krwią i oprószone szkłem, nosiły ślady regularnego strzyżenia.

Niewykształcony, widząc Dzikiego, oparł się z całej siły o drzwi, próbując zrównać ich głowy, choć nogi ciągle miał uwięzione w samochodzie. Spojrzał się swoimi nieludzko przekrwionymi oczami na siekierę i zaniósł opętańczym śmiechem. Dziki złapał pewnie za rękojeść i uniósł ostrze do góry, biorąc zamach. Choć zamknął oczy tuż przed uderzeniem, wiedział, że trafił, bo ostrze natrafiło na potężny opór, a śmiech umilkł.

Po omacku wyciągnął ostrze z głowy potwora i ciągle nie otwierając oczu, odwrócił się, co okazało się sporym błędem. Nim zdążył oddalić się chociaż o krok, poczuł potężne uderzenie i nagle runął na ziemię, przygnieciony

olbrzymim ciężarem. Gdy tylko otworzył oczy, zobaczył grubą kobietę przygniatającą go do ziemi. Na twarzy miała okulary jeszcze powiększające jej przekrwione białka, a swoje obłe jak serdelki palce zaciskała mu na szyi. Nie mogąc nawet krzyknąć, wymacał siekiere pod swoją prawą ręką i chwyciwszy ją, uderzył kobietę ostrzem w skroń. Choć sam cios nie był silny, to ostrze i tak wbiło się delikatnie w głowę Niewykształconej, a na siekiere spłynęła czarna krew. Kobieta jednak nie odpuściła, a nawet jakby uśmiechnęła się delikatnie. Dziki spróbował uderzyć jeszcze raz, ale Niewykształcona puściła nagle jego szyję i jedną ogromną ręką przycisnęła dłoń z siekiere do ziemi, drugą zaś podniosła i wystrzeliła w kierunku jego oczu. Broniąc się, odruchowo chwycił ją za nadgarstek, czerwone długie paznokcie zawisły centymetr nad jego źrenicami. Kobieta jednak napierała z niesamowitą siłą, a ręka Dzikiego słabła. Kiedy już myślał, że to koniec, tuż za kobietą pojawił się Mike. Biorąc potężny zamach długim kluczem do kół, rąbnął Niewykształconą w głowę, czym momentalnie pozbawił ją życia.

— Chyba muszę iść po lewarek — zazartował, widząc, jak opasłe ciało Niewykształconej rozlewa się po Dzikim.

Ten jednak nie miał ochoty na żarty i wysapał jedynie:

— Pomóż...

Po chwili wspólnymi siłami zrzucili ogromne cielsko na bok.

— Nieźle cię załatwiła. Dobrze, że spojrzałem w lusterko — westchnął Mike.

Dziki zakaszłał mocno, to był kolejny raz, kiedy jego szyja przeżywała tę samą historię. Czuł, że chyba nigdy już nie odzyska normalnego głosu. W międzyczasie Mike przywołał go gestem do samochodu.

— Prawie zrobione, spróbujemy odpalić to próchno.

Dziki zajął miejsce na siedzeniu pasażera, w samochodzie ciągle znajdowało się sporo osobistych rzeczy kierowcy: okulary lecznicze, faktury i miejsca dostaw oraz od dawna rozładowany telefon komórkowy. Mike usiadł po stronie kierowcy, zacierając ręce.

— Najbardziej się bałem, że nie będzie kluczyków w środku — mruzczał pod nosem. — Teraz trzymaj kciuki — powiedział, przekręcając powoli kluczyk w stacyjce.

Po cichym pyknięciu kontrolki zaświeciły niemrawo, a pompa paliwa zawyła cicho z tyłu. Kolejny delikatny ruch, a silnik zagruchotał głośno, prawie bujając kabiną. Mike jednak nie puszczał zapłonu i po kilku chwilach intensywnego grzechotu samochód odpalił z hukiem.

— Uff... — odetchnął Mike z wyraźną ulgą i nacisnął pedał gazu. — Trochę minęło, od kiedy ostatnio prowadziłem, no i nigdy jeszcze nie jechałem taką budą, więc się lepiej trzymaj.

Mike zrobił ostry skręt i zawrócił w głąb obwodnicy. Dziki podejrzewał, że będą przebijali się górą, miał tylko nadzieję, że jakiś rozbity samochód nie zatarasuje im drogi w nieodpowiednim miejscu. Na szczęście, gdy już wjechali w głąb wiaduktu, okazało się, że większość samochodów rozmieszczona jest dość luźno i nie było problemu z manewrowaniem nawet autem dostawczym. Dziki zdążył zauważyć kilka zasiedlonych samochodów, ale niewykształceni reagowali dość biernie, widząc jadące auto. Zaczął się nawet zastanawiać, co tak naprawdę pobudza te istoty do agresji. Mike zrobił w pewnym momencie ostry zwrot, mijając w dużej odległości ciężarówkę z logo karmy dla zwierząt i musiał zmienić pas, żeby objechać dwa zderzone ze sobą Vany. Po kolejnych kilku sekundach byli już po drugiej stronie mostu i zjeżdżali w dół.

— Nie jest źle — skomentował ich krótką podróż. — Myślałem, że obwodnica jest bardziej zawałona.

Po chwili skręcili ostro pod zakaz i wyjechali na osiedlową drogę, kierując się w stronę sklepu, mijając wciąż nietknięte budynki Zatorza. Dziki pomyślał, że jego okolica miała naprawdę sporo szczęścia, a może pecha? Zastanawiał się, ilu mieszkańców, których mijał codziennie w drodze do pracy, siedzi teraz w swoich domach jako Gospodarze, okaleczając się i mordując wszystkich, którzy ośmielą się przekroczyć próg ich domostwa.

— Dzięki Bogu, bałem się że ten Delimer może się tu kręcić — powiedział Mike, wyrывая Dzikiemu z zamyślenia, teraz dopiero skupił się na tym, co było przed nimi. Sklep wydawał się dalej nieruszony. Po ciele banderowca nie było już jednak śladu. Jedynie plama krwi i resztek zdradzała tragiczne wydarzenia, jakie miały tu miejsce. Dziki poczuł przez chwilę, że znowu zbiera mu się na wymioty, więc odwrócił się, obserwując kokpit samochodu.

Zrobioną przez Delimera dziurą Mike wjechał na podwórze, tak by nie musieli daleko nosić rzeczy.

— No dobra, mamy sporo miejsca — stwierdził, otwierając klapy samochodu. — Nie musimy się więc hamować, bierzemy wszystko, co nadaje się do jedzenia i picia.

Dziki szybko wszedł do środka, by nie przyglądać się plamie krwi. Po pobieżnych oględzinach stwierdził, że w sklepie nie ma wcale zbyt dużo. Spora część produktów, jak paszteciki, mięso z zamrażarki i cały nabiał nie nadawały się do niczego. Zabierali więc wszystko, co się nie psuje: potężne konserwy

mięsne, słoiki z przetworami, makarony, koncentraty, warzywa peklowane, słodyczne, chipsy i oczywiście zupki chińskie, które pewnie dałoby radę zjeść i za sto lat. Po tym wszystkim w samochodzie wciąż jeszcze zostało sporo miejsca, więc zaczęli pakować wodę w butelkach i gazowane napoje. Mike poszedł jeszcze na zaplecze, donosząc parę dodatkowych opakowań batonów czekoladowych i parę zgrzewek soków owocowych. Samochód wciąż jednak wydawał się pusty. Dziki wiedział, że zapasy małego osiedlowego sklepu nie będą duże, spodziewał się jednak trochę więcej. Nie zrażało to jednak Mike'a, który widząc, że zostało jeszcze miejsce, zaczął pakować piwo, wino, wódkę, baterie, gazety i wszystko, co znalazł za ladą.

— Coś dla rozrywki będzie miłym akcentem — powiedział. — Niech się teraz Młody schowa ze swoimi dwoma bańkami wody. To wykracza sporo ponad zrobienie czegoś dla Wspólnoty — stwierdził Mike, z dumą obserwując ciężarówkę.

— Tak właściwie, to jak ją odpaliłeś? — spytał w końcu Dziki.

— Podłądowałem akumulator tym bucącym kamieniem z torowiska. Dobra, spadajmy do Wspólnoty, nie widzi mi się przebijać wieczorem.

Rozdział IX

Chłodne powitanie

— Wyspany? — spytał wesoło Mike, spoglądając, jak Dziki niezgrabnie próbuje wydostać się ze swojego śpiwora.

Dziki nie odpowiedział natychmiast, od pierwszej nocy w tym świecie nie spał chyba jeszcze tak twardo. Przez chwilę po przebudzeniu zastanawiał się nawet, dlaczego zamiast białego sufitu w swoim domu, widzi nad głową starą poszarzałą jarzeniówkę. Jego wczorajsze przyjęcie w kręgi Wspólnoty odbyło się bez większych ceremoniałów. Gdy wjechali na teren dworca, było już całkiem ciemno, a większość mieszkańców Wspólnoty spała twardym snem. Niemniej, gdy dotarli pod sam bar, czekał już na nich lider Wspólnoty - Krzak w towarzystwie jakiegoś nieznanego Dzikemu człowieka. Najpewniej to on pełnił tego dnia nocną wartę i zaalarmował lidera, gdy w stronę ich bazy zbliżył się samochód. Początkowa kwaśna mina Krzaka, który zapewne spodziewał się, że samo auto jest tym, co Dziki zamierza ofiarować Wspólnocie, zmieniła się zupełnie, gdy Mike otworzył pakę i ukazał zawartość pojazdu. Ilość zapasów przyprawiła o zdumienie nie tylko Krzaka, ale i stojącego z nim wartownika.

Po tej krótkiej prezentacji Dziki stał się oficjalnie częścią Wspólnoty i wczorajszej nocy otrzymał od Krzaka: karimatę, śpiwór i swoje oficjalne miejsce na podłodze baru, gdzie wreszcie udało mu się porządnie wyspać.

— Strasznie spokojna noc, odwykłem od snu nieprzerwanego wrzaskami... — stwierdził Dziki, wydostając w końcu nogi ze śpiwora. Było to dla niego niewyobrażalne, jak bardzo musiał się rzucać we śnie, skoro doprowadził posłanie do takiego stanu.

— Gdzie są wszyscy? — spytał po chwili, obserwując puste legowiska rozsiane bez ładu po podłodze.

— Na śniadaniu, posiłki wydaje Maniek na skwerku za barem. Jak się pośpieszysz, to może uda nam się jeszcze coś złapać... — wyjaśnił Mike.

Dziki słysząc to, poderwał się momentalnie. Dźwięk słowa „śniadanie” sprawił, że jego organizm natychmiast zaczął się domagać tego, czego odmawiano mu od tak długiego czasu, czyli normalnego posiłku.

Z lekkim obrzydzeniem spojrział w stronę zwiniętej koszulki i spodni, które nosiły na sobie ślady zbyt długiego pobytu w Krańcowie. Przyjaciel widząc jego

minę, sięgnął do plecaka, który miał ułożony obok swojego posłania.

— Masz tu coś na przebranie — stwierdził, rzucając w stronę Dzikiego zwitek ubrań. Mike musiał zrozumieć katusze, jakie przeżywał ktoś chodzący od tygodnia w tych samych ciuchach.

— Jak zjemy, to pójdziemy poszukać ci trochę niezbędnych rzeczy... Eh, buty też już masz w kiepskim stanie — dodał, obserwując trampki Dzikiego sfatygowane kilometrami przebytymi w ostatnim czasie.

Dziki wcisnął na siebie za duże dresy i koszulkę. Przy swojej niezbyt potężnej posturze wyglądał trochę jak strach na wróble. Była to jednak lepsza alternatywa od zasmradzania całej okolicy. Przed wyjściem Dziki sięgnął jeszcze pod karimatę i wyciągnął pistolet, którego przezornie nie pozostawił na widoku. Chwilę później razem z Mikiem opuścili bar.

— Pogoda się tu w ogóle zmienia? — spytał, bo od kiedy tylko się pojawił, szare ponure niebo bez odrobiny słońca było widokiem, jaki zmuszony był oglądać codziennie.

— Od półtora roku ciągle jest tak samo... — stwierdził Mike, odruchowo spoglądając w górę.

Z tyłu za barem trwała właśnie jakaś ożywiona dyskusja. Mike skinął głową i poprowadził Dzikiego przez małą żelazną furtkę na tył budynku. W starym świetle znajdował się tam ogródek piwny, gdzie klienci w pogodne dni popijali sobie alkohol pod chmurką. Dziki miał wrażenie, że miejsce, podobnie jak sam budynek baru, nie zmieniło się zbyt mocno. Stare drewniane stoły z dużymi kolorowymi parasolami reklamującymi znane marki piw stały rozstawione bez większego ładu na kostce za barem. Z tą jednak różnicą, że pewnie nawet w najlepszych dniach ten mały barek nigdy nie był tak wypełniony ludźmi.

Gromada wspólnotowców zajadająca posiłki zajmowała niemal wszystkie możliwe miejsca przy stołach. Maniek, którego Dziki spotkał już wcześniej, wydawał je oknem, przez które kiedyś sprzedawano piwo bezpośrednio na tył. Cisza, jaka zapanowała, gdy tylko wszedł w zasięg wzroku siedzących tam ludzi, dała mu jasny obraz, że to właśnie on był dzisiaj tematem numer jeden przy śniadaniu.

Nie zważając na to ani trochę, Mike pchnął go w stronę pustych miejsc przy jednym z długich stołów. Siedząca przy nim grupa ludzi obrzuciła Dzikiego niechętnym spojrzeniem, a gdy tylko usiadł, niemal posadzony siłą przez przyjaciela, wszyscy jak jeden mąż ostentacyjnie skupili wzrok w swoich talerzach.

— Siema, Chłopy! — niemal wykrzyczał Mike, przerywając trwającą ciszę.

Dziki miał wrażenie, że albo nie dostrzega, co się dzieje, albo zupełnie nie zwraca na to uwagi.

— Ooo cześć, Mike — odpowiedział ironicznym tonem krótko obcięty chłopak z licznymi szramami na twarzy — wypaliście się? Wygodnie i bezpiecznie w dużej grupie, co?

— A ciebie, Ostry, co ugryzło? — spytał Mike, piorunując wzrokiem siedzącego przed sobą kompana.

— Nic, nic. Chodźcie, chłopaki, Mike i jego kumpel mają pewnie sporo do pogadania. Wspomnienia ze starego świata i tym podobne... — Mężczyzna podniósł się, zostawiając niedojedzone śniadanie na talerzu.

— Znowu będziemy się w to bawić, Ostry? W dręczenie nowego? — spytał, opierając się pięściami o stół i prezentując przy tym swoje potężnie zbudowane barki.

— Tu nie chodzi o żadne dręczenie... — wtrącił bardzo wysoki, chudy chłopak siedzący na końcu stołu. — Ale wiesz, niektórzy z nas już dawno zauważyli, że zasady ustalone przez Krzaka są często naginane dla pewnych, wybranych osób...

Twarz Mike'a przeszły wyraźny grymas.

— Sugerujesz, Robal, że ja tu zajmuję jakieś wyższe miejsce? Że nie narażam się dostatecznie dla Wspólnoty albo spijam efekty czyjejś pracy? — wysyczał z wyraźną wściekłością malującą się na twarzy.

Wysoki chłopak nazwany Robalem opuścił głowę i wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak: „była kolejka...”

— A nawet jeśli była... — Maniek pojawił się przy stole tak niespodziewanie, że wszyscy siedzący tam ludzie łącznie z Mikiem aż drgnęli — to kolejka obowiązuje balasty, nie weteranów.

— Co ty pieprzysz, Maniek? — Ostry, widząc poparcie ze strony Robala, musiał nabrać nieco więcej pewności siebie, bo wyprostował się i wskazując palcem na Dzikiego wykrzyknął: — To truchło nie jest weteranem, sam nie przeżyłby tu dnia.

W Dzikim znowu rozlały się sprzeczne uczucia. Z jednej strony miał ochotę wstać i rąbnąć Ostrego w jego głupi ryj. Z drugiej jakiś cichy głos w jego głowie dawał mu do zrozumienia, że w tym, co mówi, może kryć się sporo prawdy. Skoro jednak zdecydował się podążać tą drogą, nie miał zamiaru pozwolić na to, by ktoś pogrywał z nim w ten sposób.

— A co, może byłeś i sprawdzałeś? — warknął tak groźnie, jak tylko potrafił.

Ostry być może nie spodziewał się, że Dziki włączy się w kłótnię, bo mina mu nieco zrzędała, a dłoń się cofnęła. Widząc to Dziki, spojrzał pewnie prosto w jego oczy i tak jak się spodziewał, Ostry natychmiast zwrócił się w stronę Mańka.

— Maniuś, przecież to jasne, że Mike wcisnął nam balast. Po tym, co odwalił Robert ze swoim bratem, sam najgłośniej krzyczałeś do Krzaka, że nie chcesz tu więcej takiej chałtury.

Dziki zauważył, że niski chłopaczek siedzący przy jednym ze stołów drgnął nerwowo, rzucając zląknione spojrzenie w ich stronę.

— A może ja nie uważam, że Dziki to chałtura? Zgadnij, dzięki komu po raz pierwszy od dawna jesz normalne śniadanie? — odpysknął natychmiast Maniek.

Ostry spojrzał odruchowo na swój talerz, a potem z powrotem na Mańka.

— Mamy zasady...

— Zasady, o których przypomina wam się zawsze, gdy działają na waszą korzyść — wtrącił się Mike. — Dlatego nigdy nie ma problemu, żeby znaleźć chętnego do posprzątania po śniadaniu albo żeby stanąć na warcie w nocy. A potem, gdy trzeba ruszyć po coś dupę za stację, to wszyscy rozkładają ręce, twierdząc, że to, co swoje, już dzisiaj zrobili.

— I co, twierdzisz że się nie narażam, że nie walczę dla Wspólnoty? — wrzasnął Ostry, a Dziki miał wrażenie, że za chwilę dojdzie do bójki.

— Twierdzę, że walczysz dla ochrony własnej dupy, bo zmusza cię prawo trzech... — warknął Mike.

Ostry złapał już powietrze, by mu odpowiedzieć, ale niespodziewanie wszyscy siedzący przy stołach obrócili się w stronę wejścia na skwerek. Krzak wszedł przez furtkę, otwierając ją z głośnym piskiem. Ubrany był w stary wojskowy mundur, a przez plecy miał przewieszoną myśliwską flintę. Lider Wspólnoty przeszedł powoli między krzesłami, stając równo na wysokości stołu, przy którym właśnie trwała kłótnia.

— Jeżeli ktoś ma wątpliwości co do decyzji, jakie podejmuję, to zapraszam na rozmowę do siebie do biura... — zaczął spokojnym tonem Krzak, ale Dziki, widząc miny ludzi dookoła, wiedział że to jeszcze nie koniec. — Natomiast jeżeli komuś nie podoba się we Wspólnocie, to wypad! Wszyscy macie się za weteranów? Więc nie musicie tu być, wszyscy sobie doskonale sami poradzicie... Prawda? — Krzak rozejrzał się, ludzie przy stołach spuścili głowy, nikt nie odważył się powiedzieć słowa. — Tak właśnie myślałem. Ostry, ponieważ jesteś taki pełen energii do walki, to mam dla ciebie zadanie. Wybierzesz dwóch ochotników i pojedziesz razem z nimi do składu

budowlanego. Użycie samochodu, którym Mike i Dziki dostarczali nam wczoraj zapasy. Przywieziecie ze sobą wszystko, co potrzebne do pierwszego etapu budowy umocnień: narzędzia, arkusze grubej blachy, pręty zbrojeniowe. Dobrze by było, gdybyście znaleźli jakiś agregat...

— A jeżeli nikt nie będzie chciał iść? — wtrącił niepewnie Ostry.

— To pojedziesz sam. Ale ja na twoim miejscu wolałbym mieć kogoś, kto będzie mnie osłaniał. Gdyby przyszło ci natomiast na myśl zlekceważyć moje polecenie, to wylecisz ze Wspólnoty jako przykład tego, że to moje słowo we Wspólnocie jest ostateczne — stwierdził dobitnie Krzak.

Dziki zauważył, że ludzie pomiędzy stolikami spojrzeli po sobie ze zdziwionymi minami. Ostry również wyglądał jakby zupełnie nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego.

— Mike, ściągnąłeś tu Dzikiego. Zadbaj teraz o to, by pokazał, jak wiele potrafi zrobić dla tego miejsca. Tak, by nikt już więcej nie poddawał tutaj pod wątpliwość jego przydatności. A ja jego starania zweryfikuję, tak jak zweryfikuję starania każdego z was... — Krzak ostatni raz rozejrzał się po gromadzie słoczonej na skwerku, po czym biorąc z okna puszkę Coli, wyszedł przez furtkę na zewnątrz.

Ostry spojrział natychmiast w stronę Robala.

— Idziesz ze mną! Albo cię zweryfikuje! — ryknął rozkazującym tonem.

— Chryste... — Robal podniósł się niechętnie.

Teraz, gdy wstał, swoją posturą przypominał koszykarza, był po prostu niesamowicie długi. Ze spuszczoną głową ruszył za sięgającym mu do pasa Oстрыm, mamrocząc coś pod nosem. Po ich wyjściu Mike usiadł w końcu do stołu.

— Dobra, nareszcie możemy coś zjeść.

— Odroczenie? Jak to odroczenie? — spytał Dziki, nie mogąc zrozumieć tego, co przed chwilą usłyszał.

Mike oparł się o mur małego domku, do którego właśnie mieli zamiar wejść i powtórzył jeszcze raz:

— A no właśnie odroczenie. Po prawie trzech, to jedna z najbardziej upierdliwych zasad tego świata. Gospodarze, chociaż wyglądają jak ludzie, mają dziwną fizjologię. Dla nas naturalne jest, że strzał w głowę czy serce momentalnie doprowadza do zgonu. Ale z nimi jest inaczej. — Mike popukał

sobie palcem w skroń, zbierając myśli. — Widzisz, Dziki, jeżeli nawet roztrzaskasz Gospodarzowi łeb, on i tak nie umiera natychmiast. Po krótkim, czasem niezauważalnym paraliżu, wpada w stan nazywany odroczeniem. Zachowuje się wtedy, jakby nie zauważył w ogóle swojej śmiertelnej rany. Taki stan odroczenia śmierci trwa czasami całe dni, na szczęście jednak druga śmiertelna rana kasuje go. Dlatego pamiętaj, weteran tego świata zawsze uderza dwa razy.

Dziki próbował przypomnieć sobie moment, w którym zastrzelił Gospodarza, gdy nocowali w bloku. Rzeczywiście miał wrażenie, że istota dopiero po drugim strzale w głowę wyzionęła ducha.

— To odroczenie dotyczy tylko Gospodarzy?

— Gospodarzy i Specjalistów.

— O tym drugim nie słyszałem. — Dziki wrócił myślami do momentu, gdy Primo tłumaczył mu różne rzeczy o Niewykształconych, był jednak pewien, że pierwszy raz słyszał tę nazwę.

— Specjaliści to tacy niewykształceni, którzy wrócili do miejsca swojej pracy. Spora część z nich wygląda jak tacy pół-ludzie, pół-maszyny. Zespalają się z różnymi urządzeniami ze swojego dawnego miejsca pracy, są cholernie niebezpieczni, ale na szczęście nie ma ich wielu.

Dziki skinął głową, dając znak, że rozumie, choć podejrzewał, że jego wyobrażenie specjalistów nijak miało się do rzeczywistości. W tym czasie Mike otworzył drzwi budynku, przy którym stali i dał pewny krok do środka.

Ponieważ znajdowali się bardzo blisko stacji, Mike twierdził, że tutejsze domy były już wielokrotnie przeszukiwane i raczej nie należało spodziewać się, by cokolwiek się w nich zaległo. Mimo wszystko gdy byli już w środku, przyjaciel złapał za swój długi jak maczeta nóż i zwolnił nieco kroku.

Jasny korytarz, którym szli, pełen był różnego rodzaju tandetnych turystycznych ozdób: od pigmejskich drewnianych masek i włóczni, po ciupagi przyozdobione napisem „kocham góry”.

— Mieszkańcy tego domu lubili podróżować — stwierdził Mike, oglądając ułożone na parapacie zdjęcia przedstawiające młodą parę w różnych egzotycznych miejscach. — To dobry znak, może znajdziemy tutaj porządne ubrania. Wojskowe ciuchy byłyby rarytasem, ale żeby je znaleźć w prywatnym domu, trzeba mieć trochę fuksa.

Przez korytarz weszli do dużego salonu wypełnionego meblami stylizowanymi na antyki. Spora część drewnianych szafek była otwarta, a na podłodze porozrzucone były różnego rodzaju dokumenty i papiery. Mike ze

średnim zainteresowaniem spojrzął do jednej z otwartych szuflad i wyciągnął małą benzynową zapalniczkę, która już po chwili wyłądownała u niego w kieszeni.

— Zobaczą, co mają w garażu, ty sprawdź, czy nie mają tu gdzieś szafy z ubraniami.

Dziki posłusznie przeszedł przez salon i otwierając drzwi obok kuchni, przeszedł do sypialni. Sporą część pokoju zajmowało ogromne małżeńskie łóżko z błękitnymi kotarami, przypominające nieco łóżka, na jakich spały księżniczki w bajkach. Nie mogąc się powstrzymać, Dziki rzucił się na chwilę na miękki materac przykryty puchowa kołdrą i niemal zatonął w miękkości tego łóżka. „Powiniennem to sobie przyciągnąć do baru” — zakpił w myślach podnosząc się z materaca.

Z ogromnej stojącej tuż obok szafy z przesuwными drzwiami wysypywały się różnego rodzaju ubrania. Uradowany dostrzegł kilka par solidnych szarych bojówek. Były co prawda trochę za duże, ale po podwinięciu nogawek i ściśnięciu pasem, który również znalazł w szafie, nie było tragedii.

Dużo gorzej sprawa miała się z butami. Prawie nowa para górskich treków, którą znalazł w szafie, była tak ogromna, że nie dałby rady zrobić w nich nawet kroku. Przeszukując małą komodę stojącą przy łóżku, znalazł sporo czystych wypranych skarpetek i kilka par majtek. W normalnych warunkach nigdy nie pomyślałby o założeniu cudzej bielizny, ale teraz noszone od ponad tygodnia majtki wręcz domagały się zmiany.

Po kilku minutach z garażu wrócił Mike, niosąc na plecach ogromny turystyczny plecak.

— Widzę, że coś wygrzebałeś? — spytał, oglądając oddzielone na łóżku rzeczy.

— Tak, ale ciągle nie mam butów — stwierdził, pokazując palcem górskie trekki w rozmiarze małego kajaka.

— W korytarzu chyba widziałem jakieś mniejsze, przymierzysz jak będziemy wychodzili... O, i znalazłem to — Mike położył na łóżku dużą turystyczną latarkę.

Dziki pośpiesznie spakował odłożone ubrania do przyniesionego przez Mike'a plecaka.

— Idziemy przeszukać kuchnię? — spytał.

Mike pokręcił jednak głową.

— Obawiam się, że nasi koledzy ze Wspólnoty zrobili to już kilka razy. Podejrzewam, że oprócz ubrań nie znajdziemy tu nic ciekawego.

Dziki założył plecak i razem z Mikiem wyszli na korytarz. Tam przymierzył jeszcze jedną parę górskich butów, tym razem pasowały. Problem w tym, że były damskie i do tego w dość intensywnie jaskrawym kolorze.

— To będzie zbyt mocno rzucało się w oczy, poszukamy ci czegoś innego — Stwierdził Mike, ledwo powstrzymując się od śmiechu na widok Dzikiego ubranego w damskie buty.

Stojący po sąsiedzku dom, do którego dostali się przeskakując przez ogrodzenie, przeszukali bez większego problemu w kilka minut. Jego dawni właściciele musieli mieć syna o dość podobnych gabarytach do Dzikiego. W wypełnionym plakatami zespołów Disco pokoju znalazł nie tylko pasujące buty, ale również leżące jak ulał bluzy i T-shirty. Choć napisy na ubraniach typu: „INSTRUKTOR SEXU” nie wzbudzały aprobaty Dzikiego, stwierdził jednak, że tak jak w wypadku bielizny, nie może wybrzydzać. Poza ubraniami nie było tam niestety nic więcej, co mogłoby przykuć uwagę. Podobnie jak budynek, w którym byli wcześniej, ten również nosił ślady wielokrotnego szabrowania, tak więc wszystko, co mogło być przydatne, już dawno było w rękach ludzi ze Wspólnoty.

— No, teraz przynajmniej nie będziesz jechał na kilometr — stwierdził Mike, wrzucając Dzikiemu do plecaka dwie puszkę dezodorantu, które znalazł w łazience.

Wychodząc, Dziki zwrócił uwagę na ozdobne miecze zawieszane przy wejściu.

— Szkoda, że nie są prawdziwe — westchnął.

— Chciałbym zobaczyć twoją walkę z Gospodarzem przy użyciu miecza — stwierdził Mike ze śmiechem.

Wychodząc na zewnątrz, weszli na drogę prowadzącą prosto do baru. Nie oddalili się zbyt od stacji, bo jak twierdził jego przyjaciel, dla ciuchów, które można było znaleźć w każdym domu, nie warto było ryzykować zbyt długiej eskapady. Powrót na teren dworca zajął im raptem kilka minut. Nim jednak zdążyli zbliżyć się do bazy-baru, usłyszeli Krzyki Mańka dobiegające ze skwerku na tyle.

— ...takiego debila palcem robionego!

— Ja naprawdę nie chciałem... — odezwał się po chwili drugi przerażony głos.

— Daje ci najprostszą robotę na świecie, bo do niczego innego się nie nadajesz, a ty i tak to spierdalasz! Powiedz mi, jakim cudem ty jeszcze żyjesz?!

— Ja naprawdę przepraszam.

— Oho, Maniek znowu się dorwał do Młodego — stwierdził Mike, wsłuchując się w krzyki dobiegające zza baru.

Przeszli przez furtkę i wyszli na tył budynku, gdzie wcześniej jedli śniadanie. Dziki szybko zauważył przyczynę tego całego rabanu. Chłopak, którego wcześniej zauważył przy śniadaniu, jak zerkał lękliwie w ich stronę, zamiatał właśnie potłuczone talerze, stojąc w kałuży wody. Tuż obok niego leżała ogromna przewrócona balia, w której zapewne chwilę wcześniej mył naczynia.

— Powiedz mi teraz, ile wody zużyłeś, żeby umyć talerze? — krzyczał stojący obok Maniek, przyglądając się przy tym chłopakowi, niczym kat swojej ofierze.

— Pół bańki...

— Dokładnie pół bańki. A ile talerzy mamy teraz zdatnych do użycia? Ja ci powiem ile... Jeden! Jeden cholerny talerz umyty w dwóch i pół litra wody. To jedna czwarta tego, co przyniosłeś do Wspólnoty!!!

Młody wyglądał, jakby zaraz miał się popłakać, a ręce trzęsły mu się tak bardzo, że ledwo utrzymywał miotłę.

— Ja naprawdę przepraszam, nie wiedziałem, że balia będzie tak ciężka.

— Dobrze, Młody, nie wiedziałeś — dodał po chwili Maniek, zupełnie innym zajadłym tonem. Dziki czuł, że ta nagła zmiana nastroju spowodowana jest tym, że kat właśnie wymyślił odpowiednią karę dla swojej ofiary. — Ale niestety teraz mamy tylko jeden czysty talerz. Dlatego pójdziesz zaraz do jakiegoś domu i przyniesiesz brakującą zastawę — wysyczał, jakby zaraz miał zamienić się w żmiję.

— Sam? — mówiąc to, chłopak spojrzał przerażony w stronę Mańka.

Ten słysząc strach w jego głosie, odpowiedział z satysfakcją:

— Tak, sam! A co, Robert cię musi za rękę zaprowadzić? A może się nie nadajesz, żeby tu być? A może powinienem iść, powiedzieć Krzakowi, że bez swojego braciszka boisz się dać nawet krok poza bar? Krzaka już od dawna korci, żeby kogoś wyrzucić...

— Nie, nie, ja pójdę, ja już idę. — Młody obrócił się gwałtownie, niemal potykając się o własne nogi i z miotłą w ręku pobiegł w stronę furtki.

— O Boże, ten chłopak to jakaś porażka... — stwierdził Maniek do siebie, ale po chwili widząc Mike'a i Dzikiego, wyprostował się dumnie. — Jak tam? Dziki ubrany?

— Coś tam wydlubaliśmy w okolicy — stwierdził Mike, stając obok towarzysza ze Wspólnoty. — A tak w ogóle to co to za akcja i gdzie się wszyscy

rozleźli? Już dawno tak pusto tu nie było...

— Ostry i Robal zmusili Roberta, żeby pojechał z nimi do składu. Pietras jak zawsze odsypia nocną wartę, a pozostali zobaczyli, że Krzak nie jest w dobrym humorze, więc poszli robić coś przydatnego i teraz udają, że szykują do budowy muru ten skrajny budynek naprzeciwko magazynów — wyjaśnił Maniek.

— A ty? — dopytywał dalej Mike.

— A ja się dzisiaj bawię w cholernego strażnika. Jak się włóczyłeś z Dzikim, to ja zaopatrzałem ten pieprznik, więc dzisiaj będę odpoczywał... — stwierdził, przeciągając się leniwie.

— I zamieniał życie Młodego w piekło? — zaśmiał się Mike, ale Maniek nie był chyba w nastroju do żartów.

— Weź mi nawet o nim nie mów. Zauważyłem, że kręci się jak smród po gaciach, to dałem mu jakąś robotę, żeby powietrza nie marnował, no i widzisz, jaki jest finał... Ja mam wrażenie, że on jest ułomny.

Mike zaśmiał się obelżywie, Dzikimu jednak nie było do śmiechu. Było mu naprawdę szkoda tego chłopaka, nie każdy przecież rodzi się odważny jak bohater z kreskówki...

— Dobra, my też nie będziemy się kręcić, weźmiemy coś do picia i zobaczymy, co wymyślili tam z tym budynkiem — stwierdził Mike.

Słyszając to, Maniek wyciągnął z kieszeni klucz i podał go Mike'owi.

— To od piwnicy z zapasami, jak już weźmiesz, co chcesz, to zamknij i oddaj Krzakowi. Słyszałem, że nasi koledzy już kombinują, jak coś podwędzić swoim balastom.

Maniek wspiął się przez okno, którym wcześniej wydawał posiłki, do wnętrza baru. W tym czasie Mike, używając klucza, otworzył drzwi do piwnicy znajdujące się pod oknem i zniknął. Wrócił po chwili z butelką wody, paczką chipsów i dwoma colami.

Usiedli sobie we dwóch przy jednym ze stolików i spokojnie przegryzali chipsy.

— Trochę nie wspólna ta Wspólnota... — stwierdził Dzikim, rozkoszując się od dawna zapomnianym paprykowym smakiem. — Myślałem, że teraz z tymi zasadami przyjmowania jest lepiej.

Mike pokręcił głową, po czym stwierdził zrezygnowanym głosem:

— Wiesz, ludzie się pozmieniali, niektórzy sporo przeszli. Dla przykładu Maniek i Ostry, oni znają się jeszcze ze starego świata. Podobno byli naprawdę dobrymi kumplami, jak ty i ja. Ale od kiedy Ostry jest we Wspólnocie, ciągle się o coś ścinają. Ale głównym powodem są oczywiście balasty.

— To znaczy? — Dziki otworzył czołę i wsłuchał się w słowa Mike'a.

— Cóż, nie trudno chyba wywnioskować, że Maniek nie ma tutaj nikogo, tak samo jak Krzak. Wszyscy jego znajomi i rodzina albo nie żyją, albo się nie pojawili. Za to Ostry ma tutaj dziewczynę. Wszyscy wiedzą, że bunkruje ją gdzieś w okolicy i pomaga, kiedy tylko może. Przez to jest rozerwany, utrzymanie kogoś przy życiu zajmuje sporo czasu i sił... Czasu i sił, których nie poświęca dla Wspólnoty. Maniek natomiast skupia się tylko na Wspólnocie, przez to czuje się lepszy, ale również wykorzystywany..., tak jak ja.

— Więc wykorzystywałem cię? — zażartował Dziki.

— Przestań, jesteś moim przyjacielem, już o tym rozmawialiśmy. Zresztą ty nie jesteś balastem, nie umiałbyś nim być. Chodzi mi po prostu o to, że to takie błędne koło. Zobacz, Ostry to, co znajdzie, zamiast przynieść do Wspólnoty, zanoszą dziewczynie. My nie mamy zasobów, żeby zabezpieczyć stację. Więc finalnie on nie może tej dziewczyny ściągnąć tutaj. Jeżeli zabezpieczać stację będziemy tylko ja, Maniek i Krzak, to zajmie wieczność.

— Teraz jestem też ja — dodał pewnie Dziki.

— Wiem, ale to i tak za mało. Dysproporcja jest duża, tak samo jak dużo jest pracy. Trzeba ustawić autobusy, obić je blachą, zablokować okna w budynkach, dorobić kawałki muru tam, gdzie nie wciśniesz autobusu albo gdzie nie stoi żaden budynek. Do tego ciągle brakuje wody. Przy prawie dwudziestu osobach wychodzi jakieś trzydzieści – czterdzieści litrów dziennie do samego picia. A gdzie jeszcze wyrabianie cementu? — westchnął zrezygnowany Mike.

— Ech, brak wody rzeczywiście jest problemem.

Dziki zamyślił się przez chwilę, gdzie można by zdobyć jakąś jej większą ilość. Podejrzywał jednak, że wszystkie miejsca, jakie wpadły mu do głowy, zostały już dawno sprawdzone przez mieszkańców Wspólnoty.

Mike w tym czasie dokończył chipsy, przesypując sobie okruszki z paczki prosto do ust.

— Dobra, nie ma co dłużej odwlekać, spróbujemy znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Podnieśli się powoli z krzeseł i przez furtkę wyszli w stronę wejścia do baru.

— Cholera miałem oddać Krzakowi klucze — stwierdził po chwili, łapiąc się za kieszeń. — Ty też nie musisz targać tego plecaka, zostaw go w środku, ubrania ci nie zginą.

Dziki posłusznie wszedł za Mikiem do ich pseudo-bazy i zostawił rzeczy przy swoim śpiworze. W tym samym czasie jego kompan zniknął za drzwiami pokoju Krzaka. Lider Wspólnoty musiał jednak mieć do niego jakąś sprawę, bo

nie wychodził przez dobrych kilka minut. Znużony czekaniem Dziki wyszedł na dwór, bo zaduch panujący wewnątrz wydał mu się wyjątkowo męczący. Rozsiadłszy się na chodniku, zaczął obserwować okolice.

Stary budynek dworca, od którego oddzielał go wypełniony autobusami parking, był o wiele większy i bardziej przestronny niż bar, w którym spali. Dziki zaczął się zastanawiać, czemu to tam nie urządzili sobie sypialni wspólnotowcy. Po chwili jednak stwierdził, że ogromne szklane okna i podwójne drzwi bez zamka (budynek w starym świecie był otwarty przez całą dobę) nie dawały dobrych możliwości, by się zabezpieczyć. Dziki nabrał ochoty, by sprawdzić, czy w środku nie kryje się przypadkiem coś przydatnego. Podejrzewał natomiast, że coś stojącego tak blisko po prostu musiało już zostać przeszukane.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu wrócił myślami do starego świata. Zastanawiał się, czy znał tam kogoś, kto mógłby mieć w domu coś przydatnego. Większość, z którymi pracował, odpadała w przedbiegach. Byli to jeszcze ludzie starego systemu, dla których jedyną rozrywką była wódka przy obiedzie ze szwagrem. Jedyne, co można by było znaleźć u nich w domach, to maszyny do pędzenia bimbru. Koledzy z lat szkoły mieli dużo większe wachlarze zainteresowań, ale jedynym który przyszedł mu namysł, był maniak militariów Krzysiek Biernat. Niestety Krzychu mieszkał po drugiej stronie miasta, więc jego dom był dla Dzikiego niedostępny...

Z zamyślenia wyrwał Dzikiego skrzypliwy dźwięk otwierających się drzwi stacji. Przez chwilę obstawiał, że to któryś z członków Wspólnoty siedział sobie tam w oczekiwaniu, aż Krzaka opuszczą nerwy. Po chwili jednak z budynku wyłonił się Niewykszałcony.

Dziki po raz kolejny dostał mikro-zawału, bo po przeciwległej stronie drogi i placu parkingowego stanął najobrzydliwszy stwór, jakiego do tej pory widział. Była to korpulentna garbata postać o kończynach przypominających gałęzie, ubrana w poszarpany czerwony strój, z głębokim kapturem zakrywającym całkowicie twarz. Najgorsze w niej były jednak ogromne długie kolce pokrywające w całości wielki garb, w których Dziki, o zgrozo, zauważył pozaczepiane ludzkie kości.

Widział, że powinien uciekać albo chociaż krzyknąć, ale teraz nie był na to zupełnie gotowy. Złudne poczucie bezpieczeństwa, jakie dała mu Wspólnota, zupełnie go rozbroiło. Nie było w nim nawet dość adrenaliny, by chociaż sięgnąć ręką do kieszeni po pistolet. Siedział po prostu i obserwował, jak tak pokraczna istota bezszelestnym, hipnotyzującym ruchem zbliża się w jego stronę. Powoli

minęła parking i zmniejszyła dzielący ich dystans o połowę, wtedy ciało Dzikiego zrozumiało, że już czas na działanie. Serce rąbnęło z taką siłą, jakby po chwili zawieszenia przypomniało sobie, że musi nadrobić stracone uderzenia. Dziki szybkim ruchem sięgnął do kieszeni po broń i poderwał się na równe nogi, gotowy do oddania strzału.

W tym momencie to Niewykształcony stanął jak wryty. Skulił się, sprawiając wrażenie o wiele niższego i jeszcze bardziej najeżył kolce na swoim garbie. To dziwaczne zachowanie zupełnie pogubiło Dzikiego, tym bardziej, że już po chwili istota cofnęła się o krok.

— Czekaj! Nie marnuj kuli! — usłyszał za sobą głos Mike'a, przez którego poczuł kolejny przykurcz w klatce.

Mike wyszedł pewnie przed Dzikiego i rozkładając ręce, jakby chciał złapać kurczaka, zawołał w stronę Niewykształconego:

— Obalek! Nie pomyliłeś się? Polazł stąd, ale już!

Niewykształcony zupełnie niespodziewanie rzucił się do pośpiesznej ucieczki. Wbiegł między stojące na boku parkingu autobusy i slalomując między nimi, zniknął gdzieś przy torowisku. Pozostawiając Dzikiego w szoku nie mniejszym, jak wtedy, gdy się pojawił. Jego mina sprawiła, że Mike zaśmiał się, chwytając za kolana.

— Mike, o co do cholery chodziło? — spytał, nie mogąc opanować drżenia kolan.

— Przeróżający, co?

— Przeróżający? Chłopie, to wyglądało jak jakiś powalony pożeracz weteranów. Jak go zobaczyłem, to nawet się ruszyć nie mogłem, bo bałem się, że ściągnie kaptur i mnie spopieli wzrokiem. Ja myślałem, że to jakiś Delimer dwa — wypalił Dziki.

Mike zaśmiał się ponownie.

— Nie, on i Delimer to zupełnie inna półka...

— Czy ty widziałeś te ludzkie kości na jego plecach? — spytał ironicznie Dziki.

— Słuchaj, Obalek to tylko Grabarz. Oni tak wyglądają przerażająco, ale żywią się tylko trupami. Właściwie są nawet przydatni, bo dzięki nim nie musisz co chwila oglądać zwłok ludzi, którym się nie poszczęściło i Niewykształconych zabitych w domach. W sumie właśnie dlatego go nie zabiliśmy. Poza tym one są strasznie tchórzliwe. Aż się dziwię, że podszedł do ciebie tak blisko...

Mike zrobił chwilę przerwy, jakby zbierał myśli i nagle wybuchnął śmiechem:

— Chłopie! Ciebie tak sparaliżował strach, że Obałek wziął cię za trupa!

— Strasznie, śmieszne, naprawdę — syknął zirytowany Dziki — poza tym wy to nazwaliście? To jest chore...

— A co, mam ciągle Grabarz mówić? Musimy jakoś swojego odróżnić — stwierdził Mike, wycierając oczy, bo zdążył już popłakać się ze śmiechu.

— A co, inni z jego gatunku różnią się? Ilością kolców? Liczysz je za każdym razem? — spytał ironicznie Dziki.

— Wiesz, to trochę jak z kotem, niby wszystkie czarne takie same, ale i tak poznasz swojego.

— Nie, Mike. To stanowczo nie jest jak z kotem...

Mike zaśmiał się:

— Dobra, Dziki idziemy zobaczyć, co tam nasi koledzy wymyślili.

Idąc wzdłuż baru, ruszyli w stronę widocznej z oddali Wieży Ciśnień.

— To jaki teren właściwie chcecie odgradzić? — spytał Dziki, bo choć kilka razy słyszał już o planach Krzaka, nigdy wcześniej nie miał okazji dopytać się o szczegóły.

Mike przystanął na chwilę, rozglądając się dokoła.

— Cóż, na pewno całą strefę parkingową przed barem i budynek dworca. Oprócz tego magazyny ciągnące się wzdłuż torów, aż do skrajnego budynku przy drodze — opisał, wskazując okolicę dłonią.

Stare magazyny biegnące przy torach nie były używane już od wielu lat. Jeszcze w starym świecie, stanowiły jednak solidny kawał muru odgradzającego dość duży plac. Biegnąca przy nich droga również nie wydawała się być szczególnie trudna do zabezpieczenia. Trzy autobusy ustawione w poprzek bez trudu odcięłyby tę część Wspólnoty. Dużo gorzej, według Dzikiego, prezentowała się perspektywa zabezpieczania przeciwległych do magazynów budynków prywatnych. Porozkładane bez większego ładu małe domki na mikroskopijnych działkach tworzyły całą masę wąskich przejść, którymi bez trudu można było wdrzeć się na teren stacji.

Po tych wstępnych oględzinach przeszli dalej w stronę ostatniego prywatnego domku, stojącego praktycznie równo z końcem magazynów. Niski parterowy budynek o białej fasadzie miał wyrwane okna, a ze środka dochodziły wyraźne odgłosy rozmów.

Przeszli przez pozbawiony drzwi korytarz i weszli do pustego pokoju bez żadnych mebli, za to pełnego ludzi. Członkowie Wspólnoty wynosili ostatnie graty dawnych właścicieli tego domu, ich praca jednak momentalnie zamarła na widok Mike'a i Dzikiego. Wszystkie oczy w pokoju skupiły się na nich. Ta

niezręczna cisza trwała dobrych kilka sekund, zanim bez słowa wszyscy wrócili do swojej pracy. Jakiś chłopak o dłuższych czarnych włosach próbował przejść obok Mike'a, wynosząc połamane deski, ale ten zatrzymał go, chwytając za ramię.

— Jak będziemy dalej odstawiać taki cyrk, to daleko nie zajedziemy — stwierdził zrezygnowanym głosem.

Ciemnowłosy chłopak opuścił na chwilę wzrok, a potem sam westchnął:

— Słuchaj Mike, jesteś ostatnią osobą, do której coś mam i do której chciałbym mieć, ale tak się po prostu nie robi...

— Co się nie robi? — odpowiedział natychmiast Mike, nie puszczając ramienia chłopaka.

— Każdy z nas ma kogoś do ściągnięcia... — odpowiedział mężczyzna.

— DZIKI TO NIE BALAST! — ryknął Mike, sprawiając, że chłopak odsunął się o kilka kroków. — Myślisz, że dzięki komu dzisiaj nie musisz szukać niczego do żarcia, co?

— Mike, proszę cię, przecież to ty przywiozłeś zapasy... — tłumaczył się dalej ciemnowłosy.

— Czy ty, Jaca, sobie ze mnie jaja robisz? Myślisz, że gdybym wiedział o takiej ilości zapasów, to trzymałbym je, nie wiem... na specjalną okazję? Myślisz, że wiedziałem, że Dziki się pojawi i dlatego postanowiłem zatrzymać sobie taką ilość towaru jako kartę przetargową? — Mike nabrał powietrza i kontynuował już spokojnym tonem. — To Dziki zasugerował mi, że na osiedlu, w którym mieszkał, jest mało znany sklep w którym coś jeszcze może być. Oczywiście, że pomogłem mu przedostać tu te rzeczy. Ba, to ja odpałem mu samochód, którym przywieźliśmy zapasy. A wiecie, co robił Dziki, gdy ja próbowałem naprawić auto? Osłaniał mnie przed Niewykształconymi z obwodnicy, zabijając dwóch tylko za pomocą siekiery...

Dziki był pod wrażeniem tego, jak Mike nauczył się kłamać w tym świecie. Jego podkolorowana historia brzmiała tak wiarygodnie, że gdyby nie znał prawdy, sam by ją kupił. Niemniej słowa Mike'a musiały nieco złagodzić nastroje, bo kilka osób pokiwało głowami, zniknęły też spojrzenia jawnej wrogości.

— A jak zdobyliście broń? — spytał jakiś korpulentny grubasek siedzący na stercie cegieł w rogu pokoju.

— Kupiliśmy od Siwego — odpowiedział Mike, wywołując niemałe poruszenie.

— ZA CO? — spytał chłopak, którego wcześniej Mike nazwał Jacą.

Serce Dzikiego zamarło po raz kolejny. Miał wrażenie, że jego przyjaciel musiał się w tym momencie sporo zagalopować. Ale już po chwili Mike pewnie odpowiedział:

— Za głowę...

— To Siwy jeszcze skupuje? Myślałem, że już dawno zamknął listę? — spytał jeszcze raz grubasek.

— To była wyjątkowa sytuacja, jeden z jego ludzi mocno podpadł. Mieliśmy trochę farta — odpowiedział Mike głosem, jakby opowiadał o znalezionej na ulicy monecie.

Wydało się to Dzikiemu absolutnie irracjonalne. Większość ludzi tutaj wyglądała raczej na zawiedzionych faktem, że to był tylko jednorazowy strzał, gdy Siwy kogoś kupił.

— A widzieliście ją? — spytał Jaca, całkiem chyba zapominając o żalu, jaki miał przed chwilą.

— Kogo? — spytał Mike, łapiąc się za głowę, jak zawsze, gdy próbował sobie coś przypomnieć.

— Zjawę, podobno teraz pracuje dla Siwego — odpowiedział grubas tajemniczym głosem.

— Myślałem, że Zjawa to Krańcowska legenda... — odpowiedział Mike całkiem zmieszany.

Te niezrozumiałą dla Dzikiego rozmowę przerwał dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

— Ostry wraca, ciekawe, co przytargali...

Cała gromada wyszła na zewnątrz, obserwując zbliżającego się drogą dostawczaka. Już z oddali widać było, że samochód sporo przeszedł. Przednia maska była wgnieciona i cała zabarwiona na czerwono, jakby przebijali się przez tłum ludzi albo trafili co najmniej w jelenia.

Auto zatrzymało się tuż obok nich, prowadzący samochód Robal wyszedł jako pierwszy z głupim uśmiechem na twarzy.

— Co wy zrobiliście z autem? — spytał Mike, patrząc z jakimś dziwnym smutkiem na przód samochodu.

— W markecie była cała masa Niewykształconych, więc wywabialiśmy ich na zewnątrz i jak tylko któryś wylazł, to bach maską w ścianę — stwierdził dumnie Robal, demonstrując uderzenie na swoich wielkich pięściach.

— Skoro już się napatrzyliście, to niech ktoś pomoże wyładować — rzucił opryskliwym tonem Ostry, wychodząc z drugiej strony. — Agregatów nie ma, już ktoś dawno zwinął. Podejrzewam, że Siwy, bo musi brać skądś prąd do

oświetlania Bajkolandii.

Ostry rzucił jeszcze jedno nienawistne spojrzenie w stronę Dzikiego i ruszył w stronę baru.

— Przejdzie mu... — stwierdził Mike.

— Jakoś wątpię — odpowiedział Dzikie, ustawiając się w kolejce do rozładowania samochodu.

Rozdział X

Noc Latarni

Dziki przebudził się nagle i odruchowo spojrzął na ekran w telefonie. Sądząc po absolutnej ciemności, jaka przywitała jego oczy, musiał być środek nocy. Na pewno było jeszcze przed trzecią, bo ustawiony na komórce alarm wciąż jeszcze nie raczył zadzwonić. Odetchnął ciężko i położył z powrotem głowę na niezbyt miękkiej poduszce. Wzrok powoli przyzwyczyił mu się do mroku, tak że po chwili był w stanie dojrzeć kontur starej niedziałającej jarzeniówki, wiszącej tuż nad jego posłaniem. Obrócił głowę w bok, na śpiącego z otwartą gębą i chrapiącego Mike'a. Dziękował w duchu, że jest tak ciemno i nie musi na to patrzeć w całej okazałości. Potarł knykciem kącik oka, by oczyścić je z tego piachu, który się tam zbierał. Usiadł nieśpiesznie, gramoląc się w szeleszczącym śpiworze, ale nikogo to nie obudziło. Przez chwilę zastanowił się, co musiałoby się stać, by poderwać ich wszystkich na równe nogi. Sięgnął w tył po telefon i zerknął po raz kolejny na ekran, tym razem sprawdzając dokładnie datę.

„Czterdzieści” — policzył w myślach dziki. Minęło właśnie czterdzieści dni, od kiedy Błysk wyrzucił go na cmentarzu. Podnosząc się z karimaty, stwierdził, że musi zacząć gdzieś zapisywać daty, bo już teraz ciężko mu było zliczyć wszystko z pamięci. Od kiedy został przyjęty do Wspólnoty, działo się tak wiele, że czasami brakowało mu nawet chwili, by skupić myśli.

Po pierwszym dość chłodnym powitaniu, jakie zaserwowali mu starzy mieszkańcy, sytuacja wcale się nie poprawiła. Chociaż nikt już nie okazywał mu otwartej niechęci, dało się wyczuć dystans, który budował się między wspólnotowcami a nowo-przyjętym Dzikim. Wyjątkami, oprócz jego przyjaciela ze starego świata Mike'a, byli jeden z weteranów Maniek oraz lider Wspólnoty Krzak. Ten pierwszy bardzo cenił sobie to, że Dziki nie był jednym z tych, którzy bali się wyściubiać nos poza stację, a wspólne wyprawy Mike'a i Dzikiego po zaopatrzenie znacznie odciążały go z dotychczasowej roli głównego żywiciela Wspólnoty. Krzak natomiast wielokrotnie chwalił zaangażowanie, jakie Dziki wносił w budowę Wspólnoty, co niestety nie przysporzyło mu fanów pośród wspólnotowych leserów.

Nie miał jednak okazji, żeby się na tym skupić. W Krzaka, jak mówił Mike, wstąpiła zupełnie nowa energia i zaczęli pełną parą rozbudowę Wspólnoty.

Dzięki technice „na kamień” odpalili w końcu stare autobusy, które zalegały na placu i umiejscowili je dokoła terenu, tworząc prowizoryczne mury. Wykorzystując stary wóz dostawczy, zrobili kilka kursów pod market budowlany niedaleko Zatorza i przywieźli wszystko, czego potrzebowali do budowy umocnień. Dzięki temu już po dwóch tygodniach codziennej, ciężkiej pracy mieli odgrodzoną większą część stacji i okolicy. Spory problem sprawiały im prywatne domy, musieli zamurowywać w nich drzwi i okna, a autobusy ustawiać tak, by wspólnie z nimi tworzyły część muru.

Największą bolączką Wspólnoty był brak wody, na całym odgrodzonym przez nich terenie nie było ani jednej studni, źródła czy też działającego kranu. Woda i napoje, które przywieźli z Agatki rozeszły się błyskawicznie, bo przez ciągłą pracę ludziom doskwierało pragnienie. Jedynym sposobem na uzupełnianie zapasów była dość ryzykowna podróż do jedyne źródła w pobliżu. Dwa razy w tygodniu grupa ludzi ze Wspólnoty, wspierana przez ochotników z Defektu, zbierała wszystkie puste pojemniki i butelki, po czym ruszała pod „Pekin”. W starym świecie była to nędzna kamienica dla najbiedniejszych mieszkańców Krańcowa. Na podwórzu zrujnowanego budynku znajdowała się pompa, z której dawni lokatorzy zabierali wodę do mieszkań, bo w samej kamienicy nie było nawet wodociągu. Było to też jedyne źródło w okolicy, z którego mogli regularnie czerpać.

Dziki miał okazję jechać po wodę już tydzień po swoim przyjęciu i szybko przekonał się, dlaczego nigdy nie ma ochotników na tę wyprawę. Choć sama droga wydawała się spokojna, a zniszczona kamienica sprawiała wrażenie pustej, to kiedy tylko ktoś zaczynał pompować wodę, zaraz zlatywały się dziesiątki Niewykształconych, jakby wabionych skrzypieniem. Dziki miał dzięki temu okazję poznać zupełnie nowy rodzaj Niewykształconego. Mord, czyli karykaturalna bestia o ludzkiej sylwetce i głowie z ogromną paszczą najeżoną ostrymi spiczastymi zębami. Mord nie był zbyt wytrzymały i gdyby nie musieli ciągle oszczędzać amunicji, pewnie nawet nie byłby zbyt groźny, ale przez ciągły przymus walki bezpośrednio bardzo często robiło się nieciekawie. W czasie pierwszej wyprawy Dzikiego gość ze Wspólnoty, na którego wołali Żuber, stracił prawie wszystkie palce u lewej ręki, bo próbując trafić potwora pięścią, nadział się prosto na jego szczękę. Wykrwawiający się kolega i szybkie namnażanie się kolejnych fal Mordów sprawiło, że nie tylko nie zabrali tyle wody ile planowali, ale musieli jeszcze użyć broni, by w ogóle wydostać się spod kamienicy.

Dziki sięgnął do swojego plecaka i spojrzał na pistolet, który miał od

Siwego, praktycznie nigdy się z nim nie rozstawał. Wyciągnął magazynek i przyjrzał się kulom tkwiącym w środku.

— Będę chyba musiał pomyśleć o jakiejś lepszej broni białej — skwitował, bo perspektywa zdobycia amunicji w Krańcowie wydawała mu się dość mocno nierealna. Odkładając pistolet, zerknął jeszcze raz na telefon, by sprawdzić godzinę.

Chociaż do jego warty zostało jeszcze dwadzieścia minut, stwierdził, że nie ma sensu kłaść się ponownie. Podniósł się niespiesznie, zostawiając swoje posłanie w kompletnym nieładzie i ruszył w miejsce, które Maniek zwykł nazywać pieszczotliwie gazownią. Dziki odniósł wrażenie, że od leżenia w cienkim śpiworze na zimnej podłodze jego nerki nie będą już tak sprawne, jak były kiedyś.

Załatwiając potrzebę, pomyślał, że ostatnie dni były prawdziwym szokiem dla wielu wspólnotowych leserów. Krzak, mając dość ciągłej opieszałości swoich podkomendnych, zaczął tworzyć coś w rodzaju grafiku obowiązków. Dzięki niemu chciał w końcu zmusić wielu członków Wspólnoty do podjęcia działania wykraczającego poza te, które uważano powszechnie za bezpieczne. I chociaż Dziki uważał, iż wprowadzenie jasnego podziału zadań było jak najbardziej sprawiedliwe, to z kolei nie bardzo leżał mu sposób, w jaki Krzak wynagrodził go za jego wysiłek wkładany w budowę Wspólnoty.

Był w stanie zrozumieć, że skoro jako jeden z nielicznych regularnie opuszczał teren stacji, to lider zapewne uzna za stosowne, by teraz to on sobie trochę odpoczął. Sam Dziki jednak nie bardzo przepadał za siedzeniem na miejscu. Gdy zobaczył, że na tablicy wiszącej w ich pseudo-sypialni, jego imię widniało przy wszystkich obowiązkach związanych z pobytem na miejscu, wcale nie wybuchł entuzjazmem. Nagroda od Krzaka miała też inną wadę. Większość wspólnotowych leserów, wyspecjalizowanych wręcz w robieniu wszystkiego, byleby tylko nie ruszyć się poza teren stacji, zaczęła na niego patrzeć z jeszcze większą niechęcią niż wcześniej. Uśmiechnął się ironicznie pod nosem, bo sam najchętniej oddałby wszystkie nocne warty za możliwość ruszenia się z miejsca. Niestety Krzak wyraźnie zabronił wymieniania się obowiązkami.

Nocne czuwanie, które Dziki miał właśnie odbyć, było jednym z jego najbardziej zniechęcających zadań. Stacja, jak się już wielokrotnie przekonał, to naprawdę bezpieczny punkt, więc przez większość czasu trzeba było po prostu walczyć ze snem i okropną nudą. Tym razem jednak Dziki miał coś, co miało pomóc mu nieco lepiej przetrwać tę noc. Gdy ostatnim razem to Mike

jeździł po materiały na budowę muru, poprosił go, by ten naładował mu telefon ładowarką samochodową. Dzięki temu teraz, zmierzając z powrotem w stronę swojej karimaty, z radością spojrział na prawie pełny wskaźnik baterii. Mimo tego, iż jego stary cegłophone miał zainstalowanych tylko parę gier, to i tak noc przegrana w tetrisa wydawała się znacznie lepszą perspektywą niż noc spędzona na patrzeniu się w ciemność dookoła i spinaniu się za każdym razem, gdy najłżejszy szmer zdawał się zbliżającym Niewykształconym.

Wiedząc, że i tak będzie musiał wstać w środku nocy, nawet się nie rozbierał. Przechodząc cicho między karimatami z chrapiącymi kompanami, zabrał ze swojego plecaka latarkę i udał się w stronę niedużego pomieszczenia, które od biedy można by nazwać kuchnią. Stamtąd każdego ranka Maniek wydawał posiłki przez okno na tył baru, oczywiście o ile pozwalały na to zapasy.

Poprzedniego dnia Dziki schował sobie puszkę energetyka za koszem na śmieci. Nie było to może najprzyjemniejsze miejsce, ale energetyki były najczęściej znikającym dobrem we Wspólnocie, więc trzeba było ich pilnować na równi z amunicją. Zapalił latarkę i przyświecił sobie w tej kompletnej ciemności, odnajdując upragnioną puszkę. Przysiadł na chwilę na pustej plastikowej skrzynce i otworzył ją, wciągając nosem charakterystyczny zapach. Kiedy razem z Mikiem wyjeżdżali szukać zapasów, zawsze odkładali sobie parę awaryjnych wspomagaczy, ale ponieważ od tygodnia nigdzie razem nie jeździli, bo Dziki, jak to stwierdził żartobliwie jego kompan, zamiatał Wspólnotę, finalnie nie zostało mu już nic.

Ostatnia puszka zniknęła w mgnieniu oka, a Dziki poczuł, że mocno gazowany Super Power jest jego jedynym paliwem, dzięki któremu przetrwa tę noc. Ostatnie minuty przed wyjściem spędził, grając sobie w Arkanoida na telefonie i zagryzając pełnoziarnistego batonika, którego Maniek zapomniał zamknąć z resztą zapasów. Gdy jednak zegarek wskazał nieubłaganie godzinę trzecią, ruszył w stronę drzwi. Idąc na wartę, niczym na skazanie, ponownie minął tych wszystkich szczęściarzy śpiących spokojnie w swoich śpiworach.

Wychodząc ponownie z dusznego budynku baru, stanął w absolutnej ciemności pokrywającej stację. Chociaż oczy miał już przyzwyczajone do mroku i tak nie widział dalej niż do początku drogi. Z tej odległości nie był nawet w stanie zobaczyć konturów przeciwległego budynku dworca bez skierowania na niego światła latarki. Wziął głęboki oddech zimnego powietrza i zasunął polar pod szyję. Chociaż dni w Krańcowie można by określić jako nijakie, to noce były zdecydowanie chłodne. Przekonał się o tym boleśnie, gdy na swoją pierwszą wartę wyszedł bez kurtki.

Powoli skierował swoje kroki w stronę drabiny, po której wchodziło się na dach baru. Budynek nie był najwyższy w okolicy, ale przynajmniej można było z niego obserwować drogę z dwóch stron. Prawda była jednak taka, że wartę pełniło się w zasadzie na słuch. W absolutnej ciszy, jaka panowała dookoła, można było usłyszeć najlżejszy szmer. Wspiął się po szczeblach i podciągnął na dach z papy. Rozejrzał się, ale jak się spodziewał, zobaczył niewiele więcej niż przed barem.

Po chwili usłyszał ciężki oddech śpiącego człowieka i to niepochozący wcale z wnętrza baru. Westchnął cicho i celując latarką w okolice komina na środku dachu, oblał światłem niemal rozlanego na leżaku kompana ze Wspólnoty.

Pietras, bo tak miał na imię śpiący, był jednym z najczęściej okupujących nocne warty. Dla Dzikiego stało się jasne, czemu tak jest. Po odbębnieniu warty przez cały następny dzień miałes wolne, żeby odespać i zebrać siły. Jedna czy dwie nocki na straży były idealnym pretekstem, żeby nie musieć nic robić przez cały dzień. W końcu jednak nieprzespane noce i brak możliwości odespania ich w barze, gdzie ciągle ktoś się kręcił, dawały się we znaki. Nawet najwięksi leserzy nie walczyli więc o warty zbyt mocno. Tylko Pietras zdawał się dobrze znosić nieprzespane noce, więc przez większość czasu to on pilnował ich, gdy spali.

„Pilnował, dobre sobie” — pomyślał Dziki, świecąc snopem światła prosto w twarz śpiącemu koledze.

Zdenerwowany brakiem reakcji z jego strony zrobił kilka ciężkich kroków w miejscu, chcąc sprawdzić, czy Pietras w ogóle coś usłyszy, ale ten pogrążony we śnie nawet nie drgnął. Dziki czuł zresztą, że nie powinien być zdziwiony, skoro udało mu się zasnąć z własną latarką skierowaną prosto w twarz. Baterie, które ledwo już dawały radę, świadczyły o tym, że paliła się całą noc. Obszedł więc towarzysza dookoła i zasłaniając mu od tyłu oczy dłonią, krzyknął mu prosto w prawe ucho:

— BUGRIBUGRIBUGRI!!! —

— JEZUS!!!— Pietras poderwał się z leżaka tak gwałtownie, że wyglądał niemal jak wampir powstający z trumny. Finału nie miał już jednak tak epickiego, bo potykając się o własne nogi, rąbnął twarzą prosto w papę pokrywającą dach, upuszczając przy tym latarkę i kilka innych rzeczy, które potoczyły się w stronę jednej z rynien.

— Nie, no co ty, Pietras, mów mi Dziki — odpowiedział z kpiną, obserwując, jak kolega z mikro-zawałem serca próbuje drżącymi rękami zebrać

swoje manele.

— Bóg cię opuścił, Dziki?! — warknął wściekle Pietras, próbując nieporadnie wyprostować się na wciąż drżących ze strachu nogach.

Dziki pokręcił głową, widząc jak chłopak nie dosyć, że dyszy jak po maratonie, to jeszcze podnosi się z mozołem, przy okazji celując sobie przyciśniętym do piersi pistoletem w twarz.

— Ty lepiej się ciesz, że to byłem ja, a nie Krzak, bo mógłbyś już zapomnieć o nocnych wartach — odpowiedział Dziki, wyjmując Pietrasowi spomiędzy zebranych rzeczy broń. Upewniwszy się, że jest zabezpieczona, wcisnął ją w rękę roztrzęsionemu koledze, który dopiero po chwili zorientował się, że celował sam do siebie.

— Może i masz rację... — Pietras rozejrzał się w poszukiwaniu latarki, która potoczyła się po dachu. — Wiesz, większość nocy jest naprawdę hałaśliwa, co chwila słyhać jakieś krzyki od strony miasta. No i rozumiesz... Nie ma szans, żeby zasnąć czy coś, ale dzisiaj było wyjątkowo spokojnie... Nic dziwnego, że odpłynąłem — tłumaczył się, wodząc wzrokiem po ciemnym dachu.

Dziki z lekkim zażenowaniem wysłuchał tych słów towarzysza. Choć bez wątpienia Pietras chciał dać do zrozumienia, że ta sytuacja była wyjątkowa, nie miał nawet cienia wątpliwości, że większość jego wart musiała wyglądać właśnie w ten sposób. Pokręcił do siebie jedynie głową, nic mu nie odpowiadając. Przez myśl przeszło mu nawet, że powinien powiedzieć o tym Krzakowi, ale zrezygnował, czując, iż większość członków Wspólnoty mogłaby opatrnie zrozumieć jego intencje.

Pietras podniósł swoją latarkę tkwiącą w rynnie i popukał w nią ręką. Latarka o dziwo zareagowała na ten dziwny sposób doładowania i zaświeciła zdecydowanie mocniej. Chwilę później mężczyzna pochylił się w poszukiwaniu reszty rzeczy.

— Jak chcesz, to korzystaj z mojego leżaka do woli, tylko potem schowaj go za kominem — dodał po chwili, świecąc w stronę Dzikiego.

Dziki przytaknął leniwie, dalej nieco zażenowany postawą towarzysza. Odetchnął ciężko, podnosząc z dachu jakieś czasopismo. Nie zdążył jednak dojrzeć, co jest na okładce, bo Pietras mu je wyrwał.

— Nie przepadasz za wartami, co? — spytał nagle, jakby chcąc odwrócić uwagę od gazety. — Widać, że jesteś raczej z tych, co nie lubią siedzieć w miejscu.

Dziki uśmiechnął się do siebie w ciemności, wiedział już, czego chce Pietras.

Od momentu wywieszenia grafiku słyszał coś w tym rodzaju co najmniej kilka razy.

— Nie, nie przepadam za wartami — odpowiedział w końcu. — Niestety jestem uziemiony, bo Krzak zabronił mi wymieniać się z kimkolwiek. — Chociaż nie widział teraz twarzy Pietrasa, wiedział, jak jego mina musiała zrzednąć po tych słowach. Taką reakcją widywał już co najmniej kilka razy u osób, które próbowały tej samej taktyki, co on.

— Cholerka no szkoda, złapałbym parę wart od ciebie. Mnie akurat noce wcale nie przeszkadzają... — powiedział z przekonaniem i ewidentnym zawodem.

„To na pewno” — pomyślał Dziki, uśmiechając się ironicznie. Powstrzymał się w ostatniej chwili, by nie powiedzieć tego na głos.

— Swoją drogą, co właściwie Krzacora to boli? Chyba każdy powinien robić to, w czym czuje się dobrze — mruknął już nieco bardziej buntowniczym tonem. — Skoro lubisz jeździć po zapasy, to jeździsz po zapasy, a warty...

— Problem jest w tym, Pietras... — przerwał mu w końcu, nie chcąc dłużej słuchać tego marudzenia — że mamy sporą dysproporcję.

Pietras zatrzymał się, spoglądając w jego stronę.

— Nie rozumiem — odpowiedział dalej naburmuszony.

— Mam na myśli, że prawie każdy chce robić coś na stacji, a prawie nikt nie rusza się poza stację — odpowiedział Dziki, w końcu przysiadając w miejscu, z którego będzie miał dobry widok na ulicę.

Pietras chyba poczuł, że Dziki ma dość, bo nie powiedział już ani słowa. Prawda była taka, że od dłuższego czasu irytowało go zachowanie ludzi podobnych do towarzysza z dachu. Wyjście poza stację było narażaniem się, nigdy nie było wiadomo, czy wróci się żywym, a ci, którzy nosa nie wyściubiali poza bezpieczny teren, zawsze mieli najwięcej do powiedzenia w tym temacie. Gdyby nie to, że Dziki czuł się zobowiązany wobec Krzaka, a sam lider dał mu do zrozumienia, że stanowi jeden z filarów tego miejsca, pewnie już dawno walczyliby o murowanie w domach, jak pozostali. Większość osób myślała tylko o tym, by im było dobrze. A Pietras był ich sztandarowym przykładem. W nosie miał to, czy na jego warcie przydarzy się coś złego. Bez wyrzutów sumienia wolał ją przespać.

Pietras stał przez chwilę na krawędzi dachu. Dziki całą swoją osobą chciał dać mu do zrozumienia, by już sobie poszedł, milczał więc, nie zaczynając już żadnego tematu, z nadzieją, że kłopotliwa cisza przepłoszy go na dół. Niestety już po chwili usłyszał jęknięcie:

— Boże, no gdzie ja to posiałem...

Dziki obrócił głowę i odetchnął ciężko.

— Co jeszcze zgubiłeś? — spytał, przyświecając swoją latarką w stronę Pietrasa, bo jego znów zaczęła szwankować.

— Baterie, położyłem je tu i pewnie się gdzieś sturlały. Krzak mi już następnych nie da... Były nowe. No, cholera jasna... — biadolił pod nosem, schylając się w ciemności.

Dziki wstał już, by pomóc mu w poszukiwaniach, ale gdy podnosił się z leżaka, coś przykuło jego uwagę. Nad ciemną sylwetką Pietrasa poruszało się jakieś światło.

— Ej, czekaj na chwilę. Widzisz to? Popatrz tam — zapytał, wskazując ręką kierunek. Pietras tylko przez chwilę zerknął w tamtą stronę, nie przerywając poszukiwania baterii.

— To pewnie z Defektu — syknął w irytacji, schylając się i grzebiąc w rynnie, przy której kucał. — No, weź mi tu poświeć... Widzisz, że moja już ledwo daje...

Dziki przyglądał się dalej zbliżającej się łunie światła. Na lewo od niej dostrzegł wieżę ciśnień, więc nie mogła pochodzić stamtąd.

— To nie z Defektu, wieża jest bardziej po lewo. Światło idzie jakby po ulicy.

Pietras podniósł się z kolan i odwrócił w kierunku drogi z miną, jakby miał zaraz Dzikiemu udowodnić, jak bardzo się myli. Światło zbliżało się coraz bardziej i po chwili obydwaj mogli już dostrzec, skąd pochodzi.

Latarnie uliczne zapalały się jedna po drugiej z głośnym, bzyczącym jak rój pszczoł dźwiękiem. Wyglądało to tak, jakby ktoś włączał je, podchodząc do każdej po kolei. Co najgorsze, owo światło zbliżało się nieubłaganie w stronę Wspólnoty.

— Cholera... Nie dzisiaj. Cholera jasna!

Głos Pietrasa załamywał się w ciemności, a Dziki poczuł, że musi się dzieć coś niedobrego. Lamy rozświetliły się wokół wieży Defektu tak, że był w stanie dostrzec stojących tam wartowników w czerwonych strojach. Ci rozglądali się jedynie przez chwilę, bo zaraz potem wbiegli do wieży wyraźnie zaalarmowani.

— Ej, Pietras, co się dzieje? — spytał, odwracając się nerwowo w stronę kompana, ale ten już był w drodze na dół, krzycząc jednocześnie.

— NOC LATARNI!! LUDZIE, WSTAWAĆ! ALARM!

Dziki chciał już ruszyć za nim, ale zatrzymał się, gdy łuna światła z

pobliskiej latarni pozbawiła go na chwilę wzroku. Cała okolica niemal rozbłysnęła światłem, zupełnie jak w starym świecie. Tuż przed barem na wprost od Dzikiego rozświetlił się ogromny neon STACJA KRANĆOWO.

Przez chwilę dochodził do siebie, mrużąc oczy i przysłaniając twarz ramieniem. Nie trwało to długo, kilka mocniejszych mrugnięć i wzrok wrócił mu momentalnie, a pozostałe zmysły wyostrzyły się, oczekując zagrożenia, które tak przeraziło Pietrasa. Po tym, jak towarzysz rzucił się ze strachem w stronę drabiny, Dziki spodziewał się grzmotów, wybuchów, czegoś niesamowicie złego i hałaśliwego. Był jednak tylko on oraz złudna perspektywa bezpieczeństwa, jaką dawała w pełni rozświetlona stacja i dawno niesłyszane bzyczenie od strony rozświetlonych lamp. Jedyna wrzawa, którą usłyszał, dobiegła spod jego nóg. Ludzie w barze musieli wstać obudzeni przez wrzaski i nagle zapalone jarzeniówki, które wisiały do tej pory nieużywane pod sufitem.

Dziki zszedł powoli na dół i przez otwarte drzwi zajrzał do środka baru. Tylko tyle był w stanie zrobić, bo o wejściu nie było nawet mowy, z powodu kręcących się w popłochu na wpół ubranych ludzi. Członkowie Wspólnoty biegali jak w amoku, gromadząc pośpiesznie swoje rzeczy i ubierając się w biegu. Robal górujący nad wszystkimi poszukiwał chaotycznie spodni, by przysłonić majtki wystające mu spod kamizelki kuloodpornej. Maniek zebrał rzeczy ze swojej karimaty i ugrzął przez chwilę w walce z butami, których z jakiegoś powodu nie mógł zaciągnąć na nogi. Tylko Mike, który prawie zawsze spał w ubraniu, złapał za karabin, bez towarzystwa którego nie funkcjonował. Dostrzegając zaskoczoną facjatę Dzikiego w wejściu, ruszył w jego stronę, machając ręką.

— DOŚĆ! — zagrział tubalny głos Krzaka, uciszając, o dziwo, ogólną wrzawę.

Wszyscy jak jeden mąż zatrzymali się, spoglądając w stronę lidera, również niezbyt dobudzonego.

— Co wy do cholery wyprawiacie? To wasza pierwsza Noc Latarni?!

— Tak! — odpowiedział Dziki, unosząc rękę i dalej stojąc w progu. Uśmiechnął się zdezorientowany, widząc rozbawioną minę Mike'a, a kilka osób parsknęło śmiechem.

Krzak odetchnął, przecierając twarz dłonią. Spojrzał na Dzikiego, kiwając głową, a potem spuścił nieco z tonu.

— Ludzie, mamy co najmniej kilka minut, zanim zaczną wyłazić i jakieś pół godziny, zanim zbiorą się w większe grupy, więc zbierzcie się na spokojnie! Bronimy się jak zawsze pod wieżą Defektu — dodał Krzak głośniejszym głosem, by każdy

usłyszał. Po chwili spojrział na swój zegarek, po czym ruszył między nieco spokojniejszymi towarzyszami. W przelocie złapał Mike'a za ramię i razem zbliżyli się do Dzikiego, wychodząc na zewnątrz budynku.

— Mike, czy tłumaczyłeś Dzikiemu czym jest noc latarni? — zapytał, choć po tonie jego głosu było wiadomo, że już zna odpowiedź.

Mike uśmiechnął się głupkowato.

— Wiesz, jest tyle rzeczy, które mu tłumaczę, a nocy dawno nie było i właściwie to wypadło mi to z głowy, więc... — próbował usprawiedliwić się przyjaciel, zerkając z nadzieją w stronę Dzikiego, jakby liczył na to, że ten powie coś, co go wybroni.

Nie miał jednak pojęcia, co miałby powiedzieć. Sam czasami miał odczucie, że Mike zbyt mocno lekceważy wiele rzeczy.

— Dobra, skończ! — powiedział Krzak, przerywając nieporadne tłumaczenia Mike'a, który zamilkł z miną dziecka złapanego na kłamstwie. — Trudno, Dziki, będziesz musiał nadrobić zaległości już w trakcie całej akcji — stwierdził lider Wspólnoty, po czym przez uchylone drzwi krzyknął do środka baru: — Zbierać się przed barem!

Po chwili gromada ludzi zaczęła ustawiać się na zewnątrz. Widać było, że dla reszty, oprócz Dzikiego, nie był to pierwszy taki przypadek. Krzak rozejrzał się, jakby liczył ludzi w myślach, dodatkowo poganiając wzrokiem ostatnich maruderów. W końcu, gdy wyszli już wszyscy, wskazał ręką w stronę wieży, a stojący na przodzie Maniek ruszył jako pierwszy. Zaraz za nim poszli pozostali.

Dziki na początku szedł koło Mike'a, oczekując, że ten w końcu zacznie mu coś wyjaśniać. Niestety, gdy tylko opuścili obwód ich prowizorycznego muru, Krzak zaczął poganiać ich tak mocno, że pod wieżę Defektu wpadli już praktycznie biegiem, bez szans na zamienienie po drodze nawet słowa. Na placu przed nimi czekał już oddział ubranych w czerwone kombinezony i czarne kominiarki członków Defektu. Przez te jednakowe stroje i fakt, że każdy z nich miał przy sobie broń, Dzikiemu przypominali oni oddział jakiejś paramilitarnej struktury. Prezentowali się zdecydowanie lepiej niż zbieranina ze Wspólnoty, która wyglądała przy nich jak grupa dzieci chcących pobawić się w żołnierzy. Do tego dzieci niemających zbyt wielkiego wyboru, jeżeli chodzi o dobór sprzętu.

We Wspólnocie byli co prawda ludzie tacy jak Maniek, którzy nosili kompletne mundury i całkiem profesjonalny ekwipunek wojskowy. Przyglądając mu się, Dziki zobaczył, jak wita się z kilkoma członkami Defektu. Mężczyzna nie wydawał się mieć nawet zadyszki, chociaż biegł jako pierwszy. Tak właśnie

musieli wyglądać weterani tego świata.

Dziki westchnął, spoglądając na swoje ubranie, a potem na resztę kompanów.

W większości wspólnotowcy mieli na sobie to, co udało im się znaleźć podczas szabrowania różnych miejsc: motocyklowe kaski, ochraniacze rowerowe i tym podobne rzeczy, zakładane po prostu na zwykłe sportowe ubranie, by jakoś ochronić ciało.

Dzikiemu zrobiło się jakoś niezręcznie, bo w porównaniu do swoich średnio przygotowanych kolegów, to właśnie on prezentował się najgorzej. Do tej pory udało mu się co prawda zdobyć dobre, wzmocnione spodnie i ciepłą kurtkę, ale nie miał na sobie praktycznie żadnej osłony. Spojrzał w stronę Mike'a rozmawiającego z liderem Wspólnoty. Przyjaciel co prawda tłumaczył mu, że takie rzeczy w sumie niewiele pomagają, ale i tak obiecał sobie, że jak to wszystko się w końcu jakoś uspokoi i on zacznie na poważnie szukać dla siebie lepszego sprzętu.

Ruszył wolnym krokiem w stronę rozmawiającej dwójki. Licząc na to, że w końcu znajdzie się jakieś magiczne pięć minut, które mu poświęcą na wyjaśnienia. Obydwaj spojrzeli na niego, gdy się zbliżył, nim jednak Dziki otworzył usta, by o coś zapytać, wokół podniosły się szepty i przyciszone głosy. Wszyscy zwrócili swój wzrok na nowo przybyłą postać, wyłaniającą się właśnie z Wieży Ciśnień.

Członkowie Defektu niemalże natychmiast ustawili się w szeregu i odwrócili głowy w stronę jedynej postaci w czerwonym kombinezonie nienoszącej kominiarki. W ich stronę zmierzała właśnie liderka defektu Dix.

Dziki miał przyjemność spotkać ją już wcześniej i musiał przyznać, że wciąż wyglądała tak samo dobrze. Jej wygląd nie tylko na nim musiał wywrzeć wrażenie, bo z boku doszły go podniecone szepty chłopaków ze Wspólnoty. Zmarszczył brwi, bo miał wyraźne przecucie jakiego rodzaju komentarze padają właśnie na temat nadchodzącej dziewczyny. Odsuwając się od swoich towarzyszy, zerknął ponownie w jej stronę.

Dix swoje długie czarne włosy dalej wiązała w ciasną kitkę, a jej twarz, choć wyraźnie bardziej zmęczona niż przy ich ostatnim spotkaniu, nie straciła ani odrobinę na uroku. Cofnął się kilka kroków, stając obok prawego ramienia Mike'a.

Dziewczyna odebrała swoją broń od jednego z mężczyzn w czerwonym kombinezonie i podeszła na tyle blisko, by Dziki mógł dobrze jej się przyjrzeć. Zganił się nieco w myślach, za to, że znowu zaczęły przychodzić mu do głowy

głupie rzeczy i to w dodatku w takich okolicznościach. Cofnął się za plecy Mike'a, bo walka z własnymi myślami musiała się komicznie odbić na jego mimice. Znał siebie już na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdy próbuje zachowywać się naturalnie przy ładnej dziewczynie, to zawsze robi coś głupiego. Nieważne, czy byłby to stary, czy nowy świat.

Kryjąc się za swoim przyjacielem, nadstawił uszu, by przysłuchać się, o czym będą rozmawiać ze sobą liderzy. Krzak wysunął się przed Mike'a i zbliżył się do Dix, wyciągając rękę na przywitanie.

— Witaj, Krzaku. — Dix uściśniła pewnie rękę lidera Wspólnoty i uśmiechnęła się delikatnie. — Miło znów cię widzieć. Ostatnio jakoś jesteśmy w rozjazdach, nie ma nawet chwili na rozmowę.

— Szkoda, że okoliczności nam nie sprzyjają, Dix — odpowiedział Krzak, zerkając w stronę wieży na dziwną, muropodobną strukturę, zbudowaną z pokładów pod szyny.

Ogromną, szeroka jak samochód i wysoka na jakieś dwa metry, konstrukcja ciągnęła się od samego wejścia do wieży, aż do torów po przeciwnej stronie, dzieląc plac na pół. Od dołu naszpikowana była prętami zbrojeniowymi, a na obydwu jej końcach dostawione były drabiny.

— Widzę, że nie próżnowaliście — stwierdził Krzak, wskazując na ogromną barykadę.

— Ostatnia noc sporo nas nauczyła.

Dix odwróciła się i zbliżyła razem z Krzakiem do konstrukcji. Dziki również podszedł, przyglądając się z bliska.

— Nie byłoby bezpiecznie bronić się w samej wieży. Nie mamy z niej możliwości ucieczki, gdyby coś poszło nie tak. Ostatniej nocy przyszło ich naprawdę wielu, tak że ledwo daliśmy radę... — wytłumaczyła dziewczyna, a Krzak pokiwał głową, wsłuchując się w jej słowa.

— ...dlatego grupa, która nie poszukiwała Pierwszego, budowała to od ostatniej Nocy Latarni. Dodatkowo przygotowaliśmy kładkę, która prowadzi od barykady na peron. — Dix wskazała na koniec muru, gdzie pomost z drewnianych desek ciągnął się na kilka metrów w głąb torowiska, aż do drugiego peronu. — Tunel prowadzący do niego zawalił się już jakiś czas temu, więc będzie to nasza ostatnia awaryjna linia obrony.

— Wspaniała robota — skomentował Krzak, obserwując pracę, jaką wykonali ludzie z Defektu.

— Myślę, że nie ma sensu dłużej zwlekać. Zająć miejsca! — rozkazała Dix, a grupa defektowców rozbiegła się, zajmując wyznaczone miejsca na

barykadzie.

— A wy, na co czekacie? Na miejsca! — krzyknął Krzak, choć jego słowa nie zrobiły takiego wrażenia, jak polecenia wydane przez liderkę Defektu.

Grupa ze Wspólnoty flegmatycznie i bez większego ładu zbliżyła się do barykad. Niektórzy próbowali skrócić sobie drogę, wspinając się po podkładach. Skończyło się to żałośnie, gdy jeden ze wspólnotowców stracił równowagę i runął plecami na plac. Kilku innych zatrzymało się, by zbombardować go potem salwą śmiechu. Mina Krzaka obserwującego to przedstawienie wyrażała jednocześnie zażenowanie i gotującą się wściekłość. Ochłonął jednak szybko, gdy zobaczył, że Dziki stoi koło niego, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Ach no tak, Dziki... Chodź ze mną.

W towarzystwie lidera ruszył w stronę krańca barykady, gdzie znajdowało się jedno z prowizorycznych wejść oraz ich awaryjna droga ucieczki przez tory.

— I co myślisz o defekcie? — spytał nagle Krzak.

— Są hmm... dobrze zorganizowani — odpowiedział, nie wiedząc, czemu właściwie padło to pytanie.

— Niesamowicie zorganizowani, cała Wspólnota powinna się od nich uczyć. Myślę, że gdyby chcieli, mogliby nie tylko oczyścić miasto, ale też zrobić porządek z Armią Daniela... Niestety większość swojego czasu marnują na bezskuteczne szukanie Pierwszego — westchnął wyraźnie zawiedziony.

Dziki chciał już spytać Krzaka, czy wie coś więcej o tym Pierwszym, ale nie zdążył, bo lider zaczął już wspinać się po barykadzie. Nie widząc większego sensu, by zwlekać, ruszył więc w jego ślady. Gdy wspinał się ku górze, zobaczył, że tuż koło nich zajęła miejsce Dix.

Zamarł na chwilę, spoglądając na nią i chyba zrobił to zbyt natarczywie, bo Dix spojrzała prosto na niego. Spodziewał się, że zmarszczy pytająco brwi albo rzuci coś w stylu: „na co się gapisz”. Ale zamiast tego dziewczyna rozszerzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Hej, ty jesteś Dziki, nie?

— Tak — odpowiedział, wchodząc na barykadę.

— Więc dostałeś się do Wspólnoty. Jak wrażenia? — spytała wciąż z uśmiechem na twarzy.

— Wspólnota to najwspanialsze miejsce na ziemi, chwalmy jej lidera — odpowiedział sztucznym głosem, jakby recytował jakąś formułkę.

Dix zaśmiała się, a Krzak za jego plecami jęknął zirytowany.

Przez chwilę myślał, że uda mu się nawet nawiązać jakąś krótką rozmowę z przywódczynią Defektu, ale Krzak zawołał go, rujnując jego nadzieje.

— Dobra, Dziki, nadrobimy trochę braków w twojej wiedzy.

Dziki przytaknął, poważniejąc momentalnie.

— Na pewno nieraz spotkałeś się już z Gospodarzem.

Dziki potwierdził ponownie skinieniem głową.

— Więc jak zapewne wiesz — ciągnął dalej Krzak — Gospodarze od momentu pojawienia się, wracają do miejsca, z którym najbardziej związani byli w starym świecie i tam już zostają, nie ruszając się poza granice swojego, że się tak wyrażę, domu.

Dziki po raz kolejny skinął głową.

— Od tej reguły jest jeden wyjątek, w Noc Latarni, której znak szczególnie już pewnie zauważyłeś. Gospodarze wychodzą ze swoich domów. Po wyjściu zaczynają chodzić do miejsc, które, jak podejrzewamy, odwiedzali często jeszcze jako normalni ludzie. Stacja, w której tworzymy naszą bazę, jest jednym z najbezpieczniejszych miejsc w nowym świecie... Z tym jednym wyjątkiem, że w starym świecie była, jak pewnie sobie wyobrażasz, dość mocno oblegana.

— Rozumiem, więc w Noc Latarni stacja to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc.

— Tak. Problem rozwiązałby się, gdybyśmy skończyli mury. Wtedy moglibyśmy się tam bronić, ale na razie to zbyt ryzykowne. Dlatego umówiliśmy się z Defektem i bronimy się tutaj. Pod wieżę, która w starym świecie uchodziła za niebezpieczną ruinę, przyjdzie znacznie mniej Niewykształconych, choć i tak będzie ich dużo, bo działa na nas prawo trzech.

— No to nie jest tak źle, jak myślałem, jeżeli to tylko Gospodarze... — zaczął uspokojony Dziki, ale Krzak przerwał mu momentalnie.

— Nie bagatelizuj tego. Wiem, że do Gospodarzy jesteś przyzwyczajony i pewnie razem z Mikiem spotykałeś ich wielu, ale tu będzie ich znacznie więcej i to naraz. A do tego ten świat jest pełen niespodzianek, niemiłych niespodzianek...

Chociaż ton Krzaka był poważny i wyraźnie wskazywał, że Noc Latarni będzie niebezpieczna, Dziki nie był w stanie potraktować jego ostrzeżenia zbyt poważnie. W czasie swojego pobytu w nowym świecie zdążył już odwiedzić sporo miejsc, zdarzało mu się, że razem z Mikiem przeczesywali opustoszałe ciemne domy, w których z każdego rogu mógł wyskoczyć jakiś Niewykształcony. Tutaj, na barykadzie pełnej uzbrojonych ludzi, na placu rozświetlonym jak wystawa sklepowa, po prostu nie potrafił czuć żadnego lęku.

Jego spokoju nie podzielali jednak pozostali. Prawie nikt ze sobą nie rozmawiał, wszyscy wpatrywali się w milczeniu na ciemniejące w oddali

kontury budynków przy stacji, a ciszę przerywały jedynie pojedyncze kasznięcia.

Dziki powiódł wzrokiem po barykadzie w poszukiwaniu Mike'a. Okazało się, że oddzielił się on od gromadnie słoczonych przy wejściu do Wieży członków Wspólnoty i jako jeden z nielicznych rozmawiał szeptem z jakimś członkiem Defektu. Może z jednym z tych, których poznali wtedy przy blokowisku?

Mimochodem spojrzął również na Dix, dziewczyna wpatrywała się ze skupieniem w ciemność, swój karabin z lunetą oparła obok siebie, a w dłoni nerwowo obracała nóż.

Przez chwilę Dziki myślał, że atmosfera zaczęła nieco opadać, bo dosłyszał narastające szepty. Dopiero gdy zaczął szukać ich źródła, przeraził się – na barykadzie wszyscy bowiem milczeli. Głosy zdawały się dobiegać zewsząd, choć Dziki nie był w stanie wyłapać żadnych słów. Przypominało to wrzawę na stadionie, gdzie rozmowy setek osób zamieniają się w jeden wielki rumor.

— To Gospodarze? — spytał Krzaka.

— O tak, większość już pewnie wyszła z domów. Szokujące, jak dźwięki rozchodzą się po pustym mieście, prawda?

Dziki miał wrażenie, że nie chodzi tylko o akustykę pustych ulic. Taki hałas mogła zrobić tylko wielka gromada ludzi. Nigdy nie zastanawiał się, ilu Gospodarzy tkwi właściwie w Krańcowie, ale brzmiało to jak setki. Teraz dopiero poczuł lęk na myśl, jak wielu z nich może przyjść na stację.

— Mamy pierwszego — zawołała Dix tuż obok nich.

Dziki spojrzął w głąb placu, dopiero po chwili zobaczył wyłaniającą się zza cienia rzucanego przez magazyn kolejowy postać. Niewykształcony był pewnie kiedyś niespecjalnie przystojnym mężczyzną, o obwisłym brzuchu i sumiastych wąsach. Fakt, że sporą część jego twarzy pokrywała teraz zaschnięta krew, wcale nie dodawał mu uroku.

— Poczekamy, aż podejdzie — stwierdził Krzak i wyciągnął maczetę z kabury. Dziki przez chwilę przyglądał się srebrnemu ostrzu, gdy niespodziewanie lider Wspólnoty spojrzął się na niego, a jego oczy rozszerzyły się w szoku.

— Dziki, gdzie masz siekiere?

— Co? — odpowiedział mimowolnie Dziki i rozejrzał się, jakby siekiera była przypadkowo przyczepiona do jego kostki. — Cholera, nie brałem jej na warte, została pewnie w bazie...

— Gratuluję... Więc jak masz zamiar... — warknął Krzak, ale na szczęście

dla Dzikiego w rozmowę wtrącała się Dix.

— Tam przy kładce leżą narzędzia, którymi chłopaki budowali zaporę, znajdź sobie coś... tylko się pośpiesz.

Dziki odskoczył do tyłu odprowadzony wściekłym wzrokiem Krzaka i ruszył w stronę połamanych podkładów. Ze sterty gruzu i porzrzuconych narzędzi wyciągnął wielki młot do wbijania klinów. Nie był tak poręczny jak siekiera i na pewno o wiele cięższy, ale przynajmniej mógł uchodzić za broń. Do wyboru był jeszcze tylko kilof albo łopata, więc stwierdził, że nie może wybrzyzdzać.

Gdy wrócił na miejsce, Krzak zmierzył go tylko krótkim spojrzeniem i pokręcił głową, ale przynajmniej obyło się bez dalszej reprimendy.

Wąsaty Niewykształcony zbliżył się w tym czasie do barykady, nie wyglądał jednak na szczególnie chętnego, by zacząć się po niej wspinać. Zamiast tego krążył jak lew na wybiegu, łypiąc na nich co chwilę.

— Co on właściwie wyprawia? — spytał jeden z defektowców stojących najbliżej Dix.

— Nie mam pojęcia, ale nie byłoby źle, gdyby wszyscy zachowywali się tak samo irracjonalnie — stwierdziła Dix.

— Może go załatwię? — Defektowiec podniósł broń, gotując się do ostrzału, ale Dix pokręciła głową.

— Jak nie jest chętny, żeby wejść, nie będziemy marnować amunicji.

Otyły gospodarz kręcił się na dole, przyciągając uwagę większości ludzi z barykady. Tak więc dopiero po dłuższej chwili ktoś musiał spojrzeć w stronę stacji, bo Dziki usłyszał głośno:

— IDĄ!!!

Szybko podniósł wzrok i spojrzał w głąb placu. Z ciemności wyłoniła się cała gromada Niewykształconych, mężczyzn i kobiet o różnej posturze i aparycji, wszyscy potwornie okaleczeni.

— Szykujcie się! — krzyknęła Dix, stając na krawędzi barykady. Gospodarze zbliżali się powoli. Niektórzy zatrzymywali się zupełnie bez powodu, by wybuchnąć salwą histerycznego śmiechu, inni zanosili się głośnym jęczącym płaczem, niczym duchy w kreskówkach dla dzieci. Dziki spojrzał w dół na sumiastego grubasa, który przestał już krążyć dookoła i zamiast tego wpatrywał się w szczyt barykady nad swoją głową, cofając się lekko do tyłu. Dzikemu przypominał teraz kota szykującego się do skoku. „Niemożliwe — pomyślał — nie przy tej wadze”.

Przecucie Dzikiego okazało się jednak słuszne, gospodarz wyskoczył w górę na wysokość, która wprawiałaby w zazdrość niejednego olimpijczyka.

Swoim ogromnym cielskiem runął prosto w barykadę, prawie sięgając jej szczytu i nadziewając się przy okazji na liczne druty sterczące do góry w ramach osłony. Nim jednak ktokolwiek zdążył zareagować, Niewykształcony złapał za spodnie jednego z ludzi Defektu i swoimi grubymi nogami z całej siły odepchnął się od barykady. Druty na które był nadziany rozerwały mu ubranie i sporą część brzucha, zanim razem ze swoją ofiarą runęli na ziemię.

Dziki zobaczył, jak defektowiec uderza o ziemię, o włos tylko mijając sterczące u dołu szpikulce.

Dix poderwała się momentalnie, stając na krawędzi muru. To samo zrobiła większość defektowców.

— Sven, wstawaj do cholery! — krzyczała w stronę leżącego na ziemi kompana, ale on ani drgnął. W przeciwieństwie do Gospodarza, na którym upadek musiał nie zrobić większego wrażenia. Niewykształcony, choć wydawałoby się, że zaraz przepołowi się od ran na swoim brzuchu, spróbował się podnieść, wyraźnie kierując kończyny w stronę nieprzytomnego.

Dziki spojrział w dal. Gospodarze przyśpieszyli kroku, jakby wyczuli łatwą ofiarę, niektórzy ruszyli biegiem, pędząc prosto w stronę leżących.

— Na dół! — krzyknęła Dix i zeskoczyła z krawędzi barykady.

To samo zrobiło kilku innych członków Defektu. Dziki złapał głęboki oddech i ruszył do przodu.

— Dziki, co ty wypra... — krzyknął obok niego Krzak, ale było już za późno.

Dziki wyskoczył w powietrze i runął w dół barykady. Było znacznie wyżej, niż przypuszczał, bo nogi ugięły mu się pod ciężarem ciała i poczuł ogromny ból w kostkach. Nie było jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Gospodarz biegnący tuż obok niego wpadł prosto w jednego z defektowców. Impetem uderzenia przepchnął go o jakiś metr, prawie nadziewając się przy tym na druty przy barykadzie. Dziki puścił młot i łapiąc Niewykształconego za plecy, pociągnął go z całej siły do tyłu. Ten, zaskoczony tym nagłym atakiem, upadł, turlając się po ziemi.

Defektowiec złapał upuszczony przez siebie kij bejsbolowy, okręcony dookoła nożami kuchennymi, i z całej siły rąbnął Niewykształconego w głowę.

Tuż obok nich Dix zatłukła grubasa, który ściągnął Svena z barykady. Kolejni członkowie Defektu podnieśli rannego kompana i ruszyli z nim na koniec barykady do przygotowanego wejścia.

— Osłaniać ich — rozkazała Dix, krzycząc do ludzi na górze.

Ze szczytu muru tuż na ich głowami padły strzały. Dziki spojrział na bok i

zobaczył, jak znajdujący się najbliżej Gospodarze padają rażeni pociskami. Im bliżej jednak do nich, tym więcej Niewykształconych decydowało się przyspieszyć. Dziki ruszył jako ostatni, biegnąc tuż za Dix. Wiedział już jednak, że nie zdąży. Serce zabiło mu gwałtownie w oczekiwaniu na uderzenie. Tuż przed nim jakiś gospodarz próbował wbić się prosto w Dix, ta jednak zatrzymała się gwałtownie i biegnący mężczyzna wpadł prosto w druty, zamieniając się w durszlak. Dziki jednak nie zdążył wyhamować i wbiegł prosto na dziewczynę.

Obydwoje upadli na ziemię. Dziki poderwał się momentalnie, widząc, że biegnie na niego trójka Niewykształconych o żulerskiej aparycji. W tym jednak momencie kolejna seria strzałów padła z barykady i niewykształceni padli tuż pod jego stopami. Obok siebie usłyszał krzyk. Niewykształcony, mężczyzna wielki jak koszykarz, złapał Dix w pasie i próbował podnieść ją do góry. Ta jednak szamotała się, wyslizgując mu się z zakrwawionych rąk. Dziki wyciągnął pistolet i celując w twarz Gospodarza nacisnął spust. Kula przebiła czaszkę, robiąc sporą dziurę w głowie potwora. Ten jednak zamiast upaść na ziemię, ciągle próbował utrzymać Dix. Dziki wystrzelił jeszcze raz i kolejna dziura ozdobiła głowę Niewykształconego, który wciąż jednak nie chciał umrzeć. Dziewczynie udało się jednak wyswobodzić i gdy tylko jej nogi dotknęły ziemi, pchnęła Niewykształconego tak, że runął prosto na tyłek. Ciągle jednak zamiast umrzeć, siedział, opierając się o swoje ręce, i to mimo dwóch dziur w głowie.

Dziki zatrzymał się, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, gdy nad swoją głową usłyszał:

— Góra!

Jeden z ludzi Defektu, wyciągając rękę, chciał wciągnąć go na barykadę. Dziki przeszedł między drutami i korzystając z pomocy, wspiął się na szczyt. Tuż obok niego Krzak pomógł wejść Dix na górę.

Dziki nie miał jednak nawet chwili, by złapać oddech. Za plecami usłyszał kolejnych Gospodarzy, wspinających się tuż za nimi. Odwrócił się zdesperowany, rozglądając się za czymkolwiek, czego mógłby użyć jako pałki, bo młot zostawił na dole. Nie mogąc jednak znaleźć niczego sensownego, wycelował z pistoletu w kraniec barykady. Już po chwili wyrosła przed nim postać starszej kobiety o siwych włosach i świdrujących poczerniałych oczach

— Nie marnuj amunicji! — krzyknął obok niego Krzak i wbił maczetę w głowę kobiety, tak że jej białe włosy momentalnie zaszklily się czerwienią.

Niewykształcona jednak nie puściła się muru i wciąż wlepiła swoje świdrujące oczy w Dzikiego. Dopiero drugi cios zadany w to samo miejsce sprawił, że kobieta spadła na dół.

— Pieprzone odroczenie — syknął Krzak, po czym odwrócił się w stronę Dzikiego, wcisnął mu maczetę w rękę i jednocześnie krzyknął: — Nie zgub!

Dziki złapał za rękojeść, maczeta była ciężka prawie jak siekiera i dużo szersza u szczytu. W tym wypadku wydawała się prawie idealną bronią. Nie musiał długo czekać, by przekonać się o jej użyteczności, bo już po chwili pod jego stopami na barykadę wspięli się dwaj Gospodarze. Dziki zamachnął się z całej siły, trafiając pierwszego z nich w szyję i prawie go przy tym dekapitując. Po takim ciosie gospodarz odpadł od muru momentalnie. Zadowolony, że udało mu się zabić Niewykształconego jednym ciosem, Dziki wymierzył w drugiego i wtedy zamarł.

Znał tego mężczyznę. Choć nigdy nie zamienili słowa, bardzo często mijali się w pobliżu przejazdu, gdy Dziki szedł na poranną zmianę. Domyślał się, że ten siwiejący starszy człowiek musiał pracować w sąsiednim mieście, bo codziennie wsiadał do tego samego pociągu o tej samej porze. Ten widok wytrącił go nieco z równowagi. Po raz pierwszy bowiem spotkał kogoś bliżej sobie znanego po przemianie w Gospodarza. Nim jednak przyjrzał się dokładnie zmianom, jakie zaszły na twarzy tego zawsze spokojnego mężczyzny, Dix doskoczyła i dwoma szybkimi ciosami toporka strąciła go na dół.

— Rodzina? — spytała niepewnie, odwracając wzrok od Dzikiego.

— Znajomy... — odpowiedział.

Seria strzałów zagłuszyła jednak szybko jego myśli. Krzak stanął u szczytu barykady i spojrzał w głąb niej. Pod samą wieżą, w miejscu, gdzie stała większość członków Wspólnoty, powietrze raz za razem rozświetlały błyski z wystrzałów.

— Tak, tak, zmarnujcie całą amunicję. Ciekawe, ile wtedy będzie z was pożytku — stwierdził Krzak, choć chyba mówił to bardziej do siebie niż kogokolwiek innego.

Fala Gospodarzy się przerzedziła. Ostatnie sztuki próbowały bez większego entuzjazmu wspiąć się na środku muru, ale stacjonujący tam członkowie Defektu poradzili sobie z nimi bez większego problemu.

— Nie było tak źle — stwierdził Dziki w stronę Krzaka, chcąc nieco odciągnąć jego uwagę od padających jeszcze co jakiś czas strzałów spod wieży.

— Ta noc jeszcze się nawet nie zaczęła... — odpowiedział Krzak, spoglądając w stronę dworca.

Gdy ostatni gospodarz pod murem padł, trafiony kulą kogoś ze Wspólnoty, na barykadzie ponownie zapanowała cisza. Dziki zobaczył, jak Mike przeciska się między defektowcami i z uśmiechem na twarzy idzie w jego stronę.

— Piękny skok, Dziki — powiedział, łapiąc go pod ramię i odsuwając na bok, tak by Dix nie słyszała, o czym mówią.

— Myślałem, że sobie pomagamy, tak czy nie? — odpowiedział zirytowany złośliwym tonem Mike'a.

— Przestań, Dziki. Trochę niepotrzebnie ryzykowałeś. Wiesz, Defekt dałby sobie radę, ale skoro nic ci nie jest, to właściwie bardzo fajnie się stało. — Mike przybliżył się jeszcze bardziej, zerkając w stronę Dix, czy przypadkiem nie nasłuchuje, o czym mówią, ale ponieważ sama zajęta była rozmową z jakimś defektowcem, kontynuował:

— Nie ma co się oszukiwać, nasz sojusz z Defektem jest bardzo jednostronny. Myślisz, że nie daliby sobie rady? Tak, właściwie jesteśmy tylko problemem, bo ściągniemy im na głowę więcej Niewykształconych. Dobrze, że ktoś z naszych pokazał, że jesteśmy jakoś zaangażowani, że nam zależy, że jesteśmy gotowi zaryzykować dla nich i tak dalej...

Dziki spojrział na Mike'a i przycisnął się do niego z drugiej strony, tym razem zerkając, czy Krzak ich nie usłyszy:

— Jak właściwie Krzakowi udało się zawrzeć ten sojusz?

— Obiecał, że jak zbudujemy mur i uporządkujemy sprawy we Wspólnocie, to pomożemy im szukać pierwszego. Wiesz, przed nimi jest mu łatwo się schować... rzucają się w oczy. No, ale sprawy się przeciągają, chłopaki są opieszali jak cholera i ciągle załatwiają jakieś prywaty, więc czas mija, a mur nieskończony. Do tej pory się dziwię, że Dix jeszcze nie straciła cierpliwości.

Mike cofnął się nieco i wyjrzał zza barykady na leżące pod spodem ciała Gospodarzy.

— Wiedziałeś, gdzie się ustawić — stwierdził już normalnym głosem — na środku leży ich ze trzy razy tyle.

— Na nich nie ma reguły, atakują strasznie chaotycznie — odpowiedziała mu Dix, która musiała usłyszeć ostatnie zdanie.

— Nie rozluźniajcie się, idą następni — wtrącił defektowiec stojący obok dziewczyny.

Dziki spojrział w stronę stacji, nie było wątpliwości, z cienia rzucanego przez okoliczne budynki wyłaniały się kolejne postacie. Te jednak różniły się nieco od Gospodarzy, którzy przyszli na początku. Niewykształceni ubrani byli w szare spodnie robocze, oprócz tego każdy miał na plecach pomarańczową kamizelkę z oznaczeniami Kolei Państwowych.

— Ja pierdołę — wypalił tuż obok niego Mike — Kolejarze... Myślałem, że wszystkich już wytłukliśmy. — Odruchowo spojrział w stronę Krzaka, jakby

oczekiwał, że ten potwierdzi, iż to nie mogą być oni.

Lider Wspólnoty zmarszczył jedynie brwi.

— Bo wytlukliśmy, ci musieli pojawić się z ostatnim błyskiem — stwierdził, krzywiąc się, Krzak.

— Mike, co to, do jasnej Anieli, są Kolejarze? — krzyknął zirytowany Dziki. Miał już naprawdę dość tego, że pomimo tak długiego czasu spędzonego w Krańcowie, coś ciągle potrafiło go zaskoczyć.

— Oni kręcą się w tej stacji naprawy pociągów, są jednymi ze Specjalistów, czyli Gospodarzy koczujących w swoich dawnych miejscach pracy — odpowiedział mu nerwowo Mike, przeczesując włosy — specjaliści różnią się od zwykłych Gospodarzy różnymi takimi błędami, które tkwią w nich samych. Ci tutaj są jak żywe transformatory elektryczne – dotknij go, a usmażysz się żywcem.

Dziki spojrział w stronę powolnie zbliżającej się watahy. Nawet gdyby Mike nie powiedział mu o ich szczególnej właściwości, zdołałby się pewnie jej domyślić. Kolejarze wypuszczali z siebie drobne elektryczne wyładowania, za każdym razem gdy podnosili nogę do kolejnego kroku. Oprócz tego łuki elektryczne błyskały na niebiesko za każdym razem, gdy któryś z nich zbliżył się do ogrodzenia, łącząc przez chwilę drobnym wyładowaniem Gospodarza i metalowy słupek. Co ciekawe, specjalna zdolność Kolejarzy nie oszczędzała innych Niewykształconych. Już po chwili od pojawienia się ich na placu Dziki zobaczył, jak jakiś gospodarz ubrany w jeansową kurtkę pada co i raz trafiony kolejnymi wyładowaniami dwóch pobliskich specjalistów.

— Jakieś rady? — spytał Dziki, czując, że właśnie zaczyna się ta gorsza część nocy.

— Jedna i prosta: nie dotykaj — odpowiedział mu Mike, zdejmując z ramienia karabin. Podobnie zrobili prawie wszyscy na barykadzie i już po chwili huk wystrzałów wypełnił powietrze. Dziki wyciągnął pistolet, ale nie zaczął kanonady razem z pozostałymi. Po tym jak próbował uratować Dix, jego magazynek był uboższy o dwie kule, a to, co mu zostało, wolał zachować na gorszy moment.

Ludzie z Defektu nie oszczędzili jednak amunicji, huk broni rozlegały się raz za razem. Problem był jednak w tym, że Kolejarze nie poddawali się śmierci tak łatwo. I nie chodziło tu nawet o typowe dla zwykłych Gospodarzy odroczenie. Gdy jeden z nich zbliżył się do barykady, Dziki zrozumiał, dlaczego są tak odporni. Niewykształcony miał powbijane w różne części ciała metalowe elementy. Jego głowa w dużej mierze scalona była z metalowym kawałkiem, w

którym Dziki rozpoznał sygnalizator od nastawni. Gruby kawał stali był dla głowy Niewykształconego jak tarcza. Jedyne ludzkie kawałek łba był naprawdę niewielki i z daleka ciężko byłoby w niego trafić. Niemniej, gdy w końcu ktoś z barykady trafił ludzką część głowy, Kolejarz padł na ziemię pozbawiony życia.

Dziki przyglądał się biernie temu, co dzieje się dookoła. Nie strzelał na tyle dobrze, by zrobić sensowny użytek z broni. Wychylił się na chwilę, by spojrzeć na drugi koniec barykady, gdzie ludzie ze Wspólnoty ostrzeliwali desperacko trójkę Kolejarzy, którzy zdążyli niebezpiecznie zbliżyć się do osłony.

— Ci się już chyba wespną — powiedział w stronę Mike'a, ale zamiast niego zareagował Krzak.

Opuścił swoją pozycję i stanął tuż obok Dzikiego.

— Co oni do cholery wyrabiają? — wysapał do siebie wściekły lider Wspólnoty.

Dix stojąca kawałek dalej również spojrzała w stronę wieży, gdzie kilku członków Defektu stojących na środku barykady skupiło swój ogień na felernej trójce, ale udało im się powalić tylko jednego. Dwaj pozostali dopadli do betonowych podkładów i iskrząc się przy zetknięciu z drutami, nieubłaganie wspinali się ku górze.

Kolejni członkowie Defektu ruszyli ze wsparciem w tamtą stronę i dzięki zmasowanemu ostrzałowi, udało im się strącić kolejnego. Po chwili jednak na szczycie barykady wybuchła jakaś dziwna przepychanka. Dziki nie mógł wychylić się bardziej. Zobaczył jedynie, że defektowcy się przewracają. Przez chwilę myślał, że jakiś gospodarz dostał się niezauważony na górę i teraz walka przeniosła się na szczyt barykady. Dopiero gdy do jego uszu dotarły pierwsze spanikowane głosy, zrozumiał, co się dzieje.

Członkowie Wspólnoty stojący najbliżej wieży zrezygnowali z dalszej walki i w popłochu ruszyli w jego stronę, chcąc zapewne uciec po kładce na peron. Po drodze dołączali do nich kolejni wspólnotowcy ulokowani w różnych częściach barykady. Problem był jednak taki, że mur, na którym stali, nie był zbyt szeroki. Uciekający przepychali się między tymi, którzy próbowali jeszcze walczyć, uniemożliwiając im celne strzelanie.

Widząc to, Dix odwróciła się gwałtownie w stronę lidera Wspólnoty, wykrzykując:

— Krzaku, zrób coś!

Było już jednak za późno, uciekająca wataha wpadła na nich niewiele delikatniej, niż zrobiliby to Gospodarze na dole. Dix i Mike ledwo uniknęli strącenia w dół, uskakując na kraniec barykady. Dziki osunął się przygnieciony

do podkładów, raz po raz napychany na nie przez kolejnych uciekających ludzi. Krzak próbował stanąć na drodze gromady, ale biegnący na przdzie Pietras i Robal odepchnęli go i rzucili się w stronę kładki.

Tabun ludzi wpadł na drewniane deski, które zatrzeszczały niebezpiecznie.

— Spokojnie, bo się połamią..., połamią się wszystkie! — krzyczał ktoś z tłumu, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy panicznie próbowali dostać się na peron.

Gdy tylko wataha przebiegła, Dziki wstał i spojrzał w stronę wieży. Jeden z Kolejarzy zdołał wspiąć się na szczyt muru. Mimo bezlitosnego ostrzału, który prowadzili stojący tam defektowcy, Niewykształcony przesunął się powoli do przodu, sypiąc dookoła wyładowaniami elektrycznymi.

— Uważaj, bo spadnę, spadnę... cholera, spaaadnę!!!

Dziki, słysząc wołanie, odwrócił się w stronę kładki. Ludzie prześcigali się, wchodząc na peron jeden po drugim. Stojący po środku Robal, najwyższy z nich wszystkich, próbował utrzymać równowagę, gdy kolejne osoby co rusz przepychały się w stronę barierek między jego nogami. W końcu, nie mogąc już dłużej balansować na krawędzi, Robal przechylił się i w panicznej próbie zachowania równowagi złapał jakiegoś członka Wspólnoty. Po krótkiej szamotaninie obaj runęli na tory.

Dziki usłyszał głuchy strzał, jakby ktoś wystrzelił petardę w długiej rurze, a potem zobaczył Błysk światła. Widok dwóch zwęglonych ciał tłących się na torach, zmroził mu krew w żyłach.

— Tak po prostu... jeszcze w tak głupi sposób... — powiedział i spojrzał w stronę Mike'a, który był chyba w takim samym szoku, co on, bo patrzył się pusto w przód, otwierając usta i nie mogąc wypowiedzieć nawet słowa.

Krzak obok nich powstał, na jego twarzy malowała się wściekłość. Dziki poczuł, że włosy stają mu dęba. Przez chwilę myślał, że to z powodu gniewu, który wręcz wylewał się z lidera, ale to było coś innego. Spojrzał na krawędź muru, tuż pod jego stopami wyłoniła się głowa Kolejarza. W swojej rozdziawionej w niewyobrażalny sposób szczękę trzymała lampę od wagonu, żarzącą się czerwonym światłem. Jego serce załomotało tak mocno, że prawie poczuł ukłucie w mostku, a czas wydawał się zwolnić, gdy ta karykaturalna postać wznosiła się ku górze.

Dziki zacisnął palce na maczecie, ciało zareagowało szybciej niż mózg. I nim zrozumiał, czego nie powinien robić, ostrze wbiło się w głowę istoty.

Poczuł skurcz we wszystkich mięśniach, a w głowie miał absolutną ciemność. Wiedział jedynie, że leży na plecach. W uszach miał jeden wielki

szum. Spróbował otworzyć oczy, ale większość obrazu przesłaniała mu ciemna plama, jakby zbyt długo patrzył się w słońce.

Nie wiedział, jak długo leżał na ziemi, ale przez szum usłyszał nad sobą głos Krzaka:

— Zabierz go stąd, już!

Poczuł, że się unosi, znał to uczucie. Już raz podróżował w ten sposób. Zobaczył plecy Mike'a, przyjaciel go niósł. Na kładce w miejscach, gdzie wzroku nie przysłaniała mu ciemna plama, widział tory.

Gdyby teraz upadł, byłoby po nim. Gdyby Mike go upuścił, leżałby martwy jak oni. Spojrzał na dwa zwęglone ciała, które już nawet się nie tliły. Dwa całkiem czarne worki smoły, które jeszcze tylko swoim kształtem przypominały ludzi, jakimi były wcześniej. Poczuł, że znów zbiera mu się na wymioty, miał już naprawdę dość.

— Pomóżcie, do cholery! — krzyknął Mike, jego głos ledwo przebijał się przez świst, jaki miał w uszach.

Kilka par rąk wciągnęło go powoli na peron i ułożyło na plecach.

Nad sobą widział czern. Nie wiedział, czy to niebo Krańcowe, czy po prostu całkiem stracił wzrok. I wtedy znowu to usłyszał. Ten głuchy huk, którego nie dało się porównać z niczym innym. Spróbował się poderwać, bo pomyślał, że ktoś znowu wypadł na tory, ale nie był w stanie...

— Dziki, spokojnie! — krzyknął Mike, przyciskając go do ziemi. — Stary, mocno dostałeś? Jak się czujesz? — dopytywał, klepiąc go po twarzy, jakby ten był nieprzytomny.

Dziki nie odpowiedział. Kątem oka spróbował spojrzeć w stronę barykady, ale czarna plama przesłaniała zbyt dużo. Walka musiała jednak rozgorzeć na dobre, bo strzały padały raz za razem, a elektryczne łuki rozjaśniały ciemność co kilka sekund. Złapał głęboki oddech i spróbował się podnieść, ale mięśnie drżały mu tak mocno, że nie mógł utrzymać równowagi. Mike podtrzymał go z boku, chroniąc przed upadkiem.

— Spokojnie... Daj sobie chwilę, musisz dojść do siebie...

Nie skończył jednak, bo ostry głos przerwał mu w pół zdania.

— Mam nadzieję, że jesteście z siebie dumni! — Krzak wspiął się niespodziewanie na peron, piorunującym wzrokiem wpatrując się w stłoczonych dookoła Dzikiego członków Wspólnoty. — Do tej pory myślałem, że jesteście cokolwiek warci, ale wy jesteście nędznymi tchórzami, a przez waszą brawurową ucieczkę dwóch waszych towarzyszy straciło życie. — Krzak rozejrzał się z odrazą po twarzach wspólnotowców. — Nikt z Defektu nie

opuścił barykady. Po tym, co zrobiliście, to będzie cud, jeśli zdecydują się dalej nas wspomagać! — Krzak wskazał w stronę ciągle trwającej bitwy. — Dość mam już wszystkich, którzy liczą, że ktoś będzie ciągle narażał za nich życie. Ci, którzy nie chcą walczyć, mogą wypieprzać ze Wspólnoty, choćby po torach. Reszta ma wracać na barykadę i nie oszczędzając niczego, ratować sytuację, do której doprowadziliście!

Z początku nikt nie drgnął. Każdy spoglądał z lękiem na Krzaka, dopiero Mike podniósł się i ruszył jako pierwszy. W ślad za nim ruszyła reszta, wszyscy mijali Krzaka łukiem, jakby bali się, że ich zaatakuje. Dziki spróbował się podnieść po raz kolejny, ale lider posadził go siłą na ziemi.

— Leż... Dix przyjdzie zobaczyć, co z tobą, jak sytuacja się trochę poprawi.

— Ale...

Dziki nie zdążył skończyć, bo Krzak przerwał mu momentalnie:

— Nie lekceważ moich poleceń!

Dziki nie ośmielił się już nic powiedzieć, zważywszy, że kolejna próba wstania również mogła skończyć się niewypałem. Rozłożył się po prostu na ziemi, starając się opanować skurcze, które wciąż rozlewały się po jego ciele.

Minęło co najmniej trzydzieści minut, zanim jego nogi przestały drgać, a wzrok zaczął powoli wracać do normy. W tym czasie sytuacja na barykadzie musiała nieco się uspokoić, bo strzały stawały się dużo rzadsze. Nie było też widać tyłu elektrycznych błysków, co wcześniej.

Po chwili usłyszał kroki. Jakaś większa grupa musiała przechodzić po kładce. Przysiadł powoli, wspierając się na rękach i spojrzał w stronę przejścia.

Dix wspięła się na peron po prowizorycznej drabince i pomogła wciągnąć jakiegoś mężczyznę. Dziki przyjrzał się mu z daleka, wyglądał jak rażony piorunem. Po całej jego twarzy rozlewały się poparzone linie, układające się w dziwaczne wzory. Nie był to jednak jedyny ranny wniesiony na peron. Już po chwili kilku kolejnych członków Wspólnoty i Defektu leżało na peronie. Niektórzy pojękiwali cicho, inni byli całkiem nieprzytomni.

Dziki, czując, że wystarczy mu już zbierania sił, podniósł się powoli i zrobił kilka kroków w stronę przejścia. Kątem oka musiała zobaczyć go Dix, bo odeszła od leżącego na ziemi defektowca i podbiegła do niego.

— Nie mogłam przyjść wcześniej, było naprawdę źle. Wszystko w porządku? — spytała, wpatrując się w oczy Dzikiego.

— Tak, już mi lepiej, wracam na barykadę — odpowiedział, bo nie chciał zajmować jej czasu, widząc, że dookoła jest o wiele więcej osób wymagających pomocy.

— Nie, zostaniesz tutaj — rozkazała mu pośpiesznie Dix — ktoś musi pilnować rannych.

— Przecież tory ich oddzielają.

Skoro jedynym wejściem na peron była kładka przy barykadzie, Dziki nie widział w tym sensu. Dziwił się również, dlaczego od początku nie zaczęli bronić się właśnie tutaj.

— Kolejarze przejdą przez tory! Nie mają z tym jakiegokolwiek problemu, a ponieważ jest tu już więcej niż troje ludzi, niektórzy zaczną przeć w te strony. Zaraz przyślę ci kogoś do pomocy.

Wyjaśnienie Dix mocno zmartwiło Dzikiego. Myślał, że torowisko stanowi jakiś rodzaj ochrony. Tymczasem była to kolejna pułapka bez wyjścia.

Dziewczyna wróciła do leżącego na ziemi mężczyzny, Dziki zaś podszedł do krawędzi peronu, by przyjrzeć się placowi przed barykadą. Po chwili zatrzymał się zmrożony widokiem: pod murem leżało tyle ciał Gospodarzy, że zebrani w stos sięgnęliby szczytu barykady.

— Długo to jeszcze potrwa? — spytał Dix, zbliżając się do rannych.

— Latarnie zgasną po czwartej, wtedy przestaną pojawiać się nowi. Oczywiście ci, którzy już tutaj będą, nie wrócą grzecznie do domu — odpowiedziała, kończąc smarować czymś twarz poparzonego wspólnotowca, w którym Dziki rozpoznał Jacę.

— Więcej dla niego nie zrobię, jeżeli nie ma poparzeń wewnętrznych, powinno być dobrze.

Dix podniosła się i rozejrzała.

— Cholera straszy ich dużo. Z rannymi jest problem. Nie mogą się bronić, a doliczają się do prawa trzech. Im więcej ludzi przyślę ci do pomocy, tym więcej Niewykształconych przyjdzie, co zrobić... — Liderka Defektu rozejrzała się nerwowo. — Słyszysz? — spytała nagle.

Dziki nadstawił uszu, tory buczały, co było całkiem normalne. Przyzwyczał się już do tego dźwięku. Teraz jednak przy ogólnej wrzawie, jaka panowała, nie powinien ich słyszeć. Buczały zbyt głośno, prawie jakby...

— Pociąg — stwierdził Dziki, przypominając sobie ten dźwięk, który w starym świecie słyszał tyle razy — tak bucza tory, kiedy jedzie pociąg.

Dix rozszerzyła oczy, patrząc na Dzikiego. Przez chwilę myślał, że nie może uwierzyć w to, co powiedział. Dopiero po sekundzie zrozumiał, że ona patrzy nie na niego, lecz przez niego. Odwrócił się gwałtownie w stronę przejazdu kolejowego. Ciemności przed nimi rozjaśniały światła pociągu.

Ogromna zielona lokomotywa ciągnąca za sobą gromadę wagonów

pasażerskich sunęła, przyśpieszając, w ich stronę. W miejscach, gdzie koła stykały się z torami, widać było tylko jedną wielką łunę błękitnego prądu, zaś światła we wnętrzu pociągu mrugały, jak na jakiejś szalonej dyskotecie. Dziki spojrział w drugą stronę. Węglarki, które stały przy peronie, od kiedy pojawił się w Krańcowie, blokowały dalszą drogę.

— Uderzy — krzyknął w stronę Dix i chwycił ją za ramię, ciągnąc za jedną z betonowych ławek.

Po sekundzie pociąg roztrzaskał ich kładkę i wpadł z impetem na stację. Lokomotywa rąbnęła w węglarkę, zgniatając się niemal do połowy. Wagony, które ciągnęła za sobą, pozwijały się jak wąż, uderzając w boki peronu tak, że cała struktura aż się zatrzęsała. Kilogramy oderwanych cegieł i kamieni poszybowały w górę, a ich szczątki posypały się wraz z kurzem na ziemię. Dziki podniósł się powoli, ciągle przytłumiony hukiem uderzenia. Wagony stały powykrzywiane, oddzielając ich od towarzyszy z barykady.

Dix poderwała się tuż obok niego, próbując pobiec w stronę rannych, ale Dziki zatrzymał ją, łapiąc za rękę.

— Spójrz — krzyknął, wskazując na wagony.

Za popękаныmi szybami, gdzie wpadało światło peronu, widać było odbijające się na ścianach cienie podróżnych. Problem w tym, że żadnych podróżnych w wagonie nie było. Dix otworzyła zdziwiona usta, przyglądając się poruszającym się cienistym postaciom, gdy nagle ciszę przerwał alarm sygnalizujący otwarcie drzwi.

Dziki poczuł dziwny niepokój, doświadczenie podpowiadało mu, że takie coś nie może oznaczać niczego dobrego. Nie puszczając ręki Dix, zaczął uciekać jak najdalej od wagonów.

— Dziki, co ty robisz? Trzeba sprawdzić, co z pozostałymi. Dziki, puszczaj! — krzyknęła Dix, ale nim udało się jej wyszarpać rękę, drzwi ostatniego wagonu otworzyły się.

Gromada cieni bez właścicieli wylała się na peron, krzycząc przy tym głuche gromadne: Huaaaaaaaaaaaaa...

Cienie nastąpiły momentalnie na rannych, unosząc ich bezwładne ciała do góry. Dix wyszarpała rękę z uścisku Dzikiego i złapała za karabin, który nosiła przewieszony przez ramię. Wystrzeliła, jakby chciała trafić w niewidzialne postacie podnoszące ich kompanów do góry, i o dziwo w coś trafiła. Pod rannymi pojawiły się zawieszony w powietrzu plamy krwi.

— Huaaaaaaaa — kolejny krzyk wydobył się z niewidocznych gardeł.

Dziki zobaczył, jak ich towarzysze, wszyscy naraz, otwierają oczy i usta, a

po chwili po prostu znikają. Tak, jakby ktoś wymazał ich, niczym kreskówkową postać z bajki.

— Uciekaj — krzyknął Dziki i po raz kolejny łapiąc Dix za rękę, pociągnął ją w stronę lokomotywy. Tym razem dziewczyna nie protestowała i puściła się biegiem tuż obok niego. Niewidoczna gromada ruszyła za nimi wzdłuż peronu, roznosząc dźwięk dziesiątek nóg uderzających o beton.

Przebiegli obok zmiażdżonej lokomotywy, dobiegając niemal do połowy peronu. Dziki zwolnił, chcąc wbiec do tunelu, który łączył peron ze stacją kolejową, ale Dix szarpnęła go do przodu.

— Jest zawalony — krzyknęła.

Biegli więc dalej prosto. Gromada nie zwolniła nawet na chwilę, wciąż będąc zaledwie parę metrów za nimi. Dziki zaczął tracić ostatnie resztki nadziei. Peron przed nimi kończył się już za parę metrów. Skok na tory był wyrokiem śmierci. Wpadnięcie w ręce tego czegoś, może nawet czymś gorszym.

Po chwili dopadli do barierki. Ich droga ucieczki się skończyła.

— Cholera — ryknął Dziki z bezsilnej desperacji.

Istoty były już tuż za nimi. W panice spojrzął na bok, sąsiedni peron przy stacji dzieliły od nich dwa rzędy torów. Gdyby miał teraz przy sobie ten błąd, którego użył Modrzew albo był jakimś mistrzem olimpijskim w skoku w dal, pewnie dałby radę... Mimo to wziął rozbieg, za wszelką cenę chciał uniknąć wpadnięcia w ręce tych bestii.

— Dziki, wiesz co robisz? — spytała Dix, widząc, że ten szykuje się do skoku.

— Umrę, próbując do końca — krzyknął.

Dix, niewiele myśląc, wzięła rozbieg tuż koło niego. Dopadli do krańca peronu i oboje wyskoczyli. Czas znowu zwolnił swój bieg. Dziki poczuł, jak zostawiają istoty tuż za sobą. Widział, jak bez trudu mijają pierwszą parę torów, by nieubłaganie skończyć swój lot na drugiej.

— Przynajmniej będzie szybko — pomyślał. Do głowy przyszedł mu obraz dwóch zwęglonych ciał na torach...

Rozdział XI

Strefa Głodu

Dziki leżał, bojąc się poruszyć choćby o centymetr. W głowie słyszał głośny szum, a jego serce zamarło w oczekiwaniu na huk i Błysk, które ostatecznie zakończą jego życie... Nic takiego jednak się nie stało. Czy było już po wszystkim? Czy uczucia towarzyszące śmierci tak różniły się od jego dotychczasowych wyobrażeń? A może po prostu rąbnął w miejsce, gdzie błąd jeszcze nie dotarł? Nie był aktywny albo może... po prostu jakimś cudem mu się udało. Zanim zdążył się zastanowić nad tym, jak bardzo bolą go obtarte łokcie i kolana, tuż obok siebie usłyszał jęknięcie.

Nawet nie otwierając oczu, wiedział że to Dix. Niestety zamiast oczekiwanej ulgi, oblał go momentalnie zimny pot ze strachu. A co jeśli dziewczyna nie miała aż tyle szczęścia, co on? Uchylił powieki i spojrzał w jej stronę z dudniącym coraz mocniej sercem. Leżała na plecach, a jej twarz skierowana była w jego stronę. Oprócz grymasu bólu wykrzywającego jej usta, wszystko wydawało się być z nią w porządku. Czerwony kombinezon miała ubabrany w piachu, podobnie jak jej ciemne włosy, ale żadnych oznak spalenia nie widział. Odetchnął z ogromną ulgą, opierając brodę o brudną ziemię, na której leżał.

Brudna ziemia zamiast żwiru i torów. Zaraz, ale jakim cudem?! Jak udało im się uniknąć losu, który zaledwie pół godziny wcześniej spotkał jego towarzyszy ze Wspólnoty? Po raz kolejny stało się coś, czego Dziki nie potrafił zrozumieć. Chwilę temu wisiał parę centymetrów nad torami, a teraz nie wiadomo, w jaki sposób, znalazł się na trawniku. Poddźwignął się w końcu, czując pod palcami suchość trawy, na której wylądowali. Dziewczyna, czując ruch obok siebie, otworzyła zaciśnięte w bólu oczy i spojrzała na niego. Przez dłuższy moment po prostu na siebie spoglądali, jakby chcąc się upewnić, czy to dzieje się naprawdę.

— Ej, wszystko gra? — zapytał słabo, trzymając się za obolałe żebra.

Dix podniosła się powoli, wydechając ze świstem powietrze i rozmasowując jeden z boków. Zdrowy rozsądek uderzył w niego jak kubeł zimnej wody, znów przywracając uczucie niepokoju. Rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć, co się właściwie stało. Obydwoje bez wątpienia nie byli już na stacji, a co gorsza nie rozpoznał też żadnego z budynków. Znajdowali się na jakimś podwórzu, między dwoma wielorodzinnymi barakami, i to w nie najlepszym stanie. Drewniane

okna z łuszczącą się farbą straszyły starymi, pożółkłymi firanami i bijącą z wnętrza budynków ciemnością. Czuł, jak tętno zaczyna mu przyspieszać.

— Wszystko ok, a u ciebie, Dziki? — zapytała Dix, dotykając jego ramienia.

Wzdrygnął się, zaskoczony czymś tak niespodziewanym. Dziewczyna, przestraszona jego reakcją szybko cofnęła rękę.

— Tak, raczej tak — odpowiedział niepewnie.

W jego głowie rozlało się tyle pytań, że nie był nawet w stanie do końca skupić się na tym, co powiedział. Wstał powoli, rozglądając się dalej jak zahipnotyzowany. Ruszył parę kroków przed siebie i dotknął jednego z budynków, chcąc przekonać się, że to wszystko nie jest tylko jakimś złudzeniem.

— Jak? Jakim cudem znaleźliśmy się poza stacją? — spytał, czując, że jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie, maniakalnie, odchrząknął nerwowo i obrócił się w stronę otrzepującej się z piachu dziewczyny.

Ta przerwała to, co robiła i spojrzała na niego znów zaskoczona.

— Słucham? To ty nie wiedziałeś? Myślałam, że... — zaczęła, ale dostrzegając jego zmieszanie, zamilkła.

— Czego nie wiedziałem? — znów zapytał, ciągle zdezorientowany. Czuł, że zaraz postrada zmysły, a dodatkowo, kiedy Dix parsknęła śmiechem, już w ogóle zgłupiał.

— No, nie wiedziałeś o błędzie, kryjącym się między peronami? Nie wiedziałeś o furcie, Dziki? — Rozbawienie Dix wcale mu się nie udzieliło. Nie miał pojęcia, co ją tak śmieszy. Przez chwilę nawet poczuł złość, że niemalże zginęli, a ona zachowuje się tak niepoważnie.

Dziewczyna pokręciła głową z miną, jakby uświadomiła sobie coś niewyobrażalnie głupiego. Nerwowo ogarnęła włosy, które uciekły jej z kucyka.

— Kompletnie nie rozumiem, o czym mówisz — podkreślił jeszcze raz Dziki.

Po jego odpowiedzi Dix wybuchła śmiechem. W tym momencie poczuł się już naprawdę zirytowany. Założył ręce na piersi w oczekiwaniu aż jej przejdzie, ale dziewczyna rechotała dobrych kilka sekund, zalewając się łzami. Po czym zupełnie niespodziewanie przytuliła się do niego.

— Rany, ty naprawdę chciałeś skoczyć na tory, a ja myślałam że wiesz... — powiedziała, z głową utkwioną gdzieś w okolicy jego prawego ramienia. Dziewczyna zadrgała jeszcze kilka razy, krztusząc się od powstrzymanego śmiechu.

— No, co wiem?! — Dziki poczuł że potrzebuje natychmiastowych wyjaśnień, by zachować jakąkolwiek psychiczną równowagę po tym wszystkim.

Wcale nie pomógł mu jej nagły atak czułości. Chociaż pewnie w innych okolicznościach, byłby tym zachwycony. Wywrócił oczyma, słysząc kolejny rechot z jej strony.

— No, już dobra — odetchnęła, starając się uspokoić. Odsunęła się od niego i zaczęła rozglądać za czymś na ziemi. — Furta to taki błąd tego świata, który potrafi przenieść cię w zupełnie inne miejsce — wyjaśniła, mijając go i podnosząc z ziemi swój karabin.

— Więc ty wiedziałaś, że takie coś tam jest?! — spytał zszokowany, obracając się za nią na pięcie.

— Wiedziałam — odpowiedziała Dix, poważniejąc. — A ty biegłeś w jej stronę i jeszcze tak pewnie skoczyłeś... — Uniosła broń, dmuchając w zapiaszczone elementy. — Byłam pewna, że wiesz, co robisz. Rany, Dziki, przecież jesteś ze Wspólnoty. Śpisz zaraz obok tego błędu. Jak mogłeś nie wiedzieć?

Zdegustowanie w jej tonie było porównywalne z tym, jakie właśnie odczuwał wewnętrznie. Bardzo dobrze znał odpowiedź na jej pytanie. Musiała to być kolejna rzecz, o której Mike zapomniał mu powiedzieć. Takie sytuacje zdarzały się wręcz nagminnie. Od momentu przyjęcia do Wspólnoty jego przyjaciel zachowywał się tak, jakby Dziki już od dawna był weteranem.

— Właśnie, Mike — pomyślał na głos Dziki.

Dix spojrzała na niego z niemym pytaniem.

— Wydaje mi się, że powinniśmy wracać pod wieżę. Nawet nie wiem, która godzina — stwierdził, oklepując się w poszukiwaniu swojego telefonu.

„Przecież bitwa pod dworcem na pewno się jeszcze nie skończyła. Co się tam teraz działo?”. Spojrzał na Dix, dziewczyna przygryzła nerwowo wargę i rozejrzała się dookoła, przyglądając się otaczającym ich dwóm długim budynkom mieszkalnym.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? Kojarzysz tę okolicę? — spytała po chwili.

— Jesteśmy chyba na slumsach Korczyńskich, gdzieś przy starej cegielni — odpowiedział jej, obserwując okolicę. Choć w ciemności widać było tylko najbliższe budynki, nie przypominał sobie, żeby gdziekolwiek indziej w Krańcowie stały podobne długie rudery.

— O, cholera — zaklął, kiedy doszło do niego, jak daleko od stacji się znajdują.

— No właśnie, cholera — syknęła Dix. — Daleko nas wyrzuciło. Nie damy rady wrócić na dworzec. Na pewno nie w Noc Latarni.

Dziki westchnął pod nosem, spoglądając w stronę miasta. Perspektywa marszu ciemnymi ulicami w normalnych warunkach byłaby niezbyt przyjemna. A teraz, dochodzili do tego jeszcze Gospodarze włączający się w różnych miejscach.

— W samym centrum miasta jest teraz bardzo niebezpiecznie. Nawet jeżeli we dwoje nic nie przywabiamy, to coś może się na nas napatoczyć — stwierdziła Dix, wrywając Dzikiego z zamyślenia. — Spróbujmy się zabarykadować w jednym z budynków i przeczekać. Rano wrócimy do Wspólnoty — dodała po chwili. — Trudno, będą musieli dać sobie jakoś radę bez nas.

Dziki przytaknął i razem z Dix weszli w głąb slumsu. Przez zagracone podwórze wypełnione zniszczonym sprzętem oraz charakterystycznym dla takich okolic odorem szamba, doszli do najbliższego z kilku wejść prowadzących do wnętrza baraku. Dziki minął Dix, dając jej znać, że pójdzie jako pierwszy i pchnął delikatnie obdrapane zielone frontówki. Te odsunęły się, ukazując im drogę na betonowy przedsionek z podłogą tak brudną, że przypominała klepisko. Z wnętrza ponurego, cuchnącego wilgocią korytarza uzyskiwało się dostęp do poszczególnych mieszkań.

— Spokojnie — szepnęła za jego lewym ramieniem Dix, widząc że Dziki wyciągnął schowany w spodniach pistolet. — Gospodarze opuścili domy. Nawet, jeżeli coś tu było, to wróci dopiero nad ranem — mówiąc to, wyciągnęła latarkę z kabury przy pasku i poświeciła po poszczególnych drzwiach.

Dziki zamknął zielone wierzaje za nimi.

— Które? — spytała dziewczyna, ruszając do przodu i obserwując cuchnący korytarz.

— Najładniejsze wejście, najbogatsze wnętrze — odpowiedział Dziki, wzruszając ramionami.

Dix spojrzała na niego przez ramię i parsknęła śmiechem.

— Nie byłabym tego taka pewna, to w końcu Korczyn — mruknęła, otwierając ze skrzypnięciem „najładniejsze” z drzwi i weszła przez nie do wnętrza mieszkania.

W środku pachniało tak, jak się Dziki tego spodziewał: wilgocią i stęchlizną. Mieszkanie było małe, ciemne i ciasne. Z mikroskopijnego przedsionka wchodziło się bezpośrednio do kuchni, która zastawiona była starymi pozółkłymi od papierosów meblami. Lodówka Polar i kuchnia gazowa Ewa stojące po lewej pamiętały jeszcze czasy PRL-u. Tym jednak, co rzuciło im się w oczy najbardziej, był słoik pełen petów stojący na poplamionej ceracie. Ta nietypowa popielniczka dała Dzikiemu jasny obraz, jakiego typu ludzie

zajmowali to mieszkanie. Z kuchni można było dostać się jeszcze tylko do jednego pokoju, nie było tu nawet łazienki.

— Cóż, raczej niewiele tu znajdziemy — stwierdził Dziki, wpatrując się w słoiko-popielniczkę.

— Nie przyszliśmy na szaber, tylko żeby przeczekać noc. Powinniśmy zabarykadować wejście, gdyby ewentualny gospodarz wrócił rano z wizytą. — Dix przekręciła zamek w drzwiach, a chwilę później wepchnęli pod drzwi niską kuchenną szafkę. — Powinno starczyć — stwierdziła.

Gdy już poczuli się nieco bezpieczniej, Dziki zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Otwierając jedną po drugiej z szafek kuchennych, znalazł całkiem sporo długoterminowego jedzenia, o wiele więcej, niż się spodziewał znaleźć w takim miejscu. Jedna z nich pełna była tanich makaronów, druga płatków kukurydzianych z niskiej pułki, była też kawa i herbata oraz piwo. Na lodówce zaś leżała cała reklamówka zupek w proszku.

— Trochę nam się poszczęściło — stwierdził radośnie Dziki w stronę wychodzącej właśnie z drugiego pomieszczenia Dix. — To mieszkanie chyba nigdy nie było trzepane. Jak na slumsowe standardy nie ma tragedii.

Dziewczyna westchnęła ciężko, stawiając na stole butelkę z wodą, którą znalazła pewnie w sąsiednim pokoju. Chwilę potem przyklękła przy jednej z szafek, której Dziki jeszcze nie przeszukiwał. Wyciągnęła z niej niewielki rondel i podała mu go.

— To żadne szczęście, jesteśmy po stronie Armii Daniela — skwitowała. Wstając na równe nogi, przesunęła Dzikiego w bok i wlała do garnka wodę z butelki, którą znalazła pod stołem. — Jego sługusy nie szabrują, bo nie muszą. Biorą coś w rodzaju żołdu wypłacanego w towarach z marketu — wyjaśniła. — Siadaj, napijemy się czegoś.

Przez dłuższy czas nie rozmawiali. Dix zrobiła im po kawie, a Dziki z resztek wody przygotował im spaghetti w proszku. Siedząc przy stole, jedli w milczeniu, przyświecała im jedynie latarka, którą dziewczyna postawiła na stole niczym świeczkę. Gdy już miał chwilę, by zebrać myśli, zaczął zastanawiać się, jak wygląda sytuacja we Wspólnocie. „Czy Defektowi i jego towarzyszom udało się przetrwać do tej pory? Czy ktoś jeszcze zginął? Czy ten potwór, który zaatakował ich na peronie przedostał się pod barykadę? A jeśli tak, to czy ludziom ze Wspólnoty udało się go powstrzymać?”

— Zaraz wybuchnie ci czaszka, tak intensywnie myślisz. — Usłyszał nagle od strony Dix.

Ta, brodą wspartą na dłoni, przeglądała jakąś starą gazetę, którą zgarnęła z

przedsionka.

— Jak uważasz, na stacji wszystko w porządku? — zapytał nieco retorycznie, chociaż w duchu oczekiwał, że dziewczyna powie jednak coś, co go uspokoi.

— Mam nadzieję. Wiesz, chłopaki z Defektu to twarde sukinsyny. Myślę, że na pewno sobie poradzili — powiedziała. — Twoim towarzyszom też pomogli, o to się nie martw — dodała po chwili.

Dziki nie był jednak do końca przekonany. Przykro było to przyznać, ale poziom między Defektem a Wspólnotą był nie do przeskokowania. Dix o tym wiedziała, więc nie dziwiło go, że po tych słowach uznała najwyraźniej, że temat należy zakończyć. Po chwili znów skupiła się na oglądaniu obrazków w czasopiśmie.

— A to coś, co spotkaliśmy – te cienie – widziałaś już coś takiego? — dopytywał dalej.

Dix uniosła na niego wzrok i nie odpowiedziała od razu. Widać było, że zbiera myśli, bo jej oczy biegały z jednej strony na drugą, jakby chwyciły urywki wspomnień.

— Kiedyś widziałam coś podobnego. To było dokładnie w Krańcowskich zakładach chemicznych. Od tak, po prostu stały, bardzo podobne do tych ze stacji, z tym że dużo mniejsze i nie agresywne — powiedziała, prostując się na krześle, na którym siedziała, aż oparcie zatrzeszczało złowieszczo.

Dziki dostrzegł na jej twarzy jakąś dziwną melancholię na wspomnienie o zakładach chemicznych. O ile dobrze pamiętał, Mike wspominał, by się tam nie zbliżać, więc czego Dix mogła tam szukać?

— Myślisz, że co to właściwie mogło być? — spytał.

— Niewykształcony, to jasne. Ale dokładniej? Mogę się tylko domyślać — odparła.

— Chętnie posłucham twoich domysłów — stwierdził, chcąc podtrzymać rozmowę. Dość miał już trwania w milczeniu i walki z własnymi myślami. Dobijało go to, że siedzi tu sobie bezpiecznie i popija kawkę, gdy jego przyjaciel walczy o życie przy wieży. Znów spojrzął na dziewczynę, bo ta nie odpowiadała.

Dix wyglądała na lekko zaskoczoną, ale najwidoczniej dociekliwość Dzikiego przypadła jej do gustu, bo uśmiechnęła się lekko pod nosem i kontynuowała:

— No dobra, skoro tak stawiasz sprawę. Wiesz zapewne, skąd wzięła się nazwa Niewykształcony?

Dziki kiwnął głową. To akurat Kuba mu kiedyś wyjaśnił. Ale dziewczyna i

tak kontynuowała:

— Od nie-w-pełni-wykształconego, tak na początku nazywaliśmy te potwory. To dlatego, że pierwsze, które spotykaliśmy, zawsze wyglądały tak, jakby czegoś w nich brakowało. Ta nazwa jednak nie oddaje pełnego spectrum tych istot. — Dix wstała z krzesła i zaczęła dreptać w miejscu. Przypominała teraz profesora na katedrze, dającego wykład dla swoich studentów.

Dziki uśmiechnął się i oparł wygodniej. Dix kontynuowała:

— Wiele z tych istot przeszło jakiś dziwny rodzaj przemiany, czasami zyskując wyjątkowe cechy, których uwarunkowanie było zależne od jednego z czynników, między innymi: wieku, wykonywanego zawodu, czy też miejsca pobytu w momencie Błysku. Dla przykładu Kolarze, wszyscy którzy wykonywali ten zawód, przeszli określony rodzaj przemiany, o której właściwościach mogłeś się przekonać.

— Rozumiem. Czyli istnieją tak jakby gatunki Niewykształconych, które tworzyły się, gdy dana grupa ludzi w momencie Błysku spełniała określoną specyfikację — wtrącił Dziki.

— Brawo, dokładnie tak — pochwaliła go Dix i kontynuowała, przemierzając niewielkie pomieszczenie w tę i z powrotem. — Mówiłam ci, że widziałam podobne cienie przy zakładach chemicznych. Wtedy wyszły one z autobusu. Cienie, które spotkaliśmy razem, wyszły z pociągu. Rozumiesz zależność? — zapytała, spoglądając na niego.

— Podejrzewam, że są to dawni ludzie, którzy w momencie Błysku znajdowali się w środku komunikacji miejskiej albo zmierzali do Krańcowa — odpowiedział. — No dobrze, ale dlaczego ten pociąg wjechał na stację akurat teraz? Coś go sprowokowało? Nie wyglądało to jak przypadek. — Dziukiemu naprawdę trudno było uwierzyć, że był to jedynie zbieg okoliczności.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Chyba znów mogę tylko podesłać ci kilka domysłów. — Dix podniosła do ust szklanekę i upiła z niej porządny łyk, krzywiąc się lekko od gorzkiej kawy. — Więc tak, pociąg mógł stać gdzieś za Krańcowem, za strefą zamarcia. — Dziewczyna ułożyła dwa noże na wzór torów kolejowych. Pustą paczkę po papierosach ustawiła na nich jako imitację wagonów. — Każdej Nocy Latarni, gdy wracał prąd w liniach, pociąg przejeżdżał kawałek — stwierdziła, przesuwając papieroso-lokomotywę. — Cóż, pewnie tym razem był już na tyle blisko, że kiedy dostał trochę prądu, był w stanie dojechać aż do nas, albo... — przerwała nagle, robiąc dramatyczną pauzę i gniotąc opakowanie po fajkach w rękę — ...cały pociąg jest Niewykształconym i został przywabiony przez dużą liczbę ludzi na peronie —

zakończyła dobitnie.

— Niewykształcony pociąg? — dopytał Dziki, mając spore wątpliwości, czy dobrze zrozumiał.

— Tak, i to dokładnie w takiej formie, o jakiej myślisz. W zakładach chemicznych widziałam ludzi zespolonych z maszynami, na których najpewniej pracowali przed błyskiem. Niezbyt przyjemny widok. — Skrzywiła się na samo wspomnienie. Podsunęła sobie w końcu krzesło i usiadła na nim.

— Przeróżające... swoją drogą, naprawdę dużo wiesz o tym świecie, co? — stwierdził, przyglądając się jej zamyślanej twarzy. W tym świetle wydawała mu się strasznie blada, ale mogło to być powodem specyficznego koloru światła latarki. Spojrzał odruchowo na jedną ze swoich dłoni.

— Och... — Dix uśmiechnęła się lekko, wręcz nieśmiało i odwróciła wzrok gdzieś na bok.

Zaskoczyło go takie zachowanie z jej strony. Pewnie dlatego, że pod maską niezłomnej liderki Defektu wciąż kryła się normalna dziewczyna, może niegdyś niezbyt pewna siebie dziewczyna.

— Wiesz, Dziki, chyba mogę oficjalnie powiedzieć, że jestem prawdziwą weteranką. Oprócz Zjawy nie ma raczej innej dziewczyny, która byłaby tu tak długo, jak ja. Już na pewno większość dziewczyn nie miała takich możliwości podróżowania po tym świecie.

— Na pewno też niewiele kobiet ma pod sobą armię na własne rozkazy — zaśmiał się Dziki.

— Defekt nie jest moją prywatną armią, Dziki. Łączy nas wspólny cel, a ja po prostu idę na przódzie — odpowiedziała i z jakiegoś powodu wydała się lekko urażona.

— Przepraszam, jeżeli powiedziałem coś nie tak — wystrzelił natychmiast, ale Dix przerwała mu gestem dłoni.

— Nic się nie stało, po prostu z Defektem to nie jest tak, jak myślisz. Miło się z tobą rozmawia i chętnie wyjaśniłabym ci jeszcze parę rzeczy, ale musimy poruszyć dużo ważniejszą kwestię — stwierdziła, popychając palcem zgniecioną paczkę.

— Naszego powrotu. — Myśl o tym sprawiła, że momentalnie zrzędała mu mina.

— Dokładnie. — Dix wyprostowała się na krześle i wyrzała przez szparę w zasłoniętym oknie. — Za kilka godzin zgasną latarnie. Gdy Gospodarze wrócą już do domów, my też będziemy musieli jakoś wrócić na stację. Nie wiem tylko, czy rozsądnie będzie podróżować razem.

— Co? Czemu? — spytał nieco niepewnie. — Przecież jest nas tylko dwoje, nie przyciągamy...

— Nie chodzi o Niewykształconych, Dziki, ale o mnie. Będziemy musieli przejść przez Strefę Głodu. Wiesz co to jest? Królestwo Daniela.

Dziki zauważył, że położyła szczególny nacisk na ostatnie dwa słowa.

— W strefie mam bezwzględny wyrok śmierci, jak każdy, kto mi towarzyszy. Myślę, że samemu będziesz miał o wiele większe szanse. Ja tymczasem będę musiała przedostać się jakąś inną drogą...

— Słuchaj. Przyzwyczaiałem się już do groźby śmierci. Właściwie wszystko w tym świecie chce, żebyśmy zakończyli życie jak najszybciej. I pewnie jest jeszcze cała masa rzeczy, o której nie zdążyłem się dowiedzieć, że chce mojej śmierci. Więc ryzyko utraty życia, nie jest dla mnie argumentem — stwierdził, uderzając pięścią w stół.

Dziewczyna zaśmiała się, spoglądając na niego jakoś inaczej niż wcześniej. Widząc jej niezwykle skupione na nim spojrzenie, Dziki stwierdził, iż z jakiegoś tajemniczego powodu nie chce się z nią rozstawać. Nawet jeżeli wiązałoby się to z zagrożeniem większym niż zwykle.

— Zresztą ten Daniel i jego ludzie też pewnie musieli radzić sobie z Gospodarzami. Myślisz, że wycieńczeni całonocną walką będą szukali akurat ciebie, zamiast odsypiać w najlepsze? — dodał, żeby podkreślić bezsens rozstawania się w tym momencie.

Dix uśmiechała się, słuchając tego monologu z jego strony. Zamilkł, bo jej brak odpowiedzi zbił go z tropu.

— No, to co sądzisz? Jest sens żebyśmy szli osobno? Dix? — spytał ostatecznie.

— Rany, Dziki, jesteś naprawdę... — powiedziała, znów wspierając brodę na dłoni.

Ton, jakim to powiedziała, sprawił, że zrobiło mu się gorąco, a jej niebieskie oczy, które teraz wpatrywały się w niego, prawie błyszczały. Podrapał się po głowie zakłopotany, bo czuł, jak palą go policzki.

— Wiesz, strasznie mi kogoś przypominasz. — Dix spojrzała w stronę drugiego pokoju, uciekając wzrokiem.

Dziki miał wrażenie, że znowu zaczerwieniła się lekko, co już kompletnie sprawiło, że poczuł się niezręcznie. Przez chwilę milczeli obydwójce. Miał nadzieję, że powie, kogo jej przypomina. Może dawnego chłopaka? I czemu aż tak bardzo go to interesowało? Dziewczyna jednak szybko zmieniła temat.

— Chcesz się zdrzemnąć? W tamtym pokoju jest łóżko, mogłabym cię

popilnować. — Wstała od stołu i ruszyła w stronę opartego o ścianę karabinu.

— Dopiero wypilem kawę — stwierdził Dziki, nieco zawiedziony, że nie usłyszał tego, co chciał.

— Mnie by to nie przeszkadzało — stwierdziła Dix, ziewając ostentacyjnie.

— To kładź się — powiedział, podnosząc się i ustawiając sobie krzesło przy ścianie, tuż przy wejściu do mieszkania. — Ja będę czuwał.

Rozsiadł się wygodnie, uprzednio wyjmując swój pistolet z kieszeni i kładąc go tuż obok siebie na niskiej brudnej szafeczce. Czuł, że dziewczyna wpatrywała się w niego jeszcze chwilę, ale on z uporczywością liczył pety w słoiku – popielniczce. Gdy w końcu zniknęła za framugą, pozostał sam z sercem bijącym jak oszalałe.

“Czym tu teraz zająć myśli”- westchnął sam do siebie w ciemności.

Szarość Krańcowskiego nieba powoli zaczęła przebijać się przez zasłonięte okna. Latarnie zgasły już kilka godzin temu, co znaczyło, że większość Gospodarzy powinna już być przy swoich domach. Dla Dzikiego był to najbardziej nerwowy okres, bo w każdej chwili mógł do drzwi zapukać Niewykształcony. Chociaż, sądząc po względnym porządku, jaki tu zastali, nie wydawało mu się, by w tym domu przebywał ktokolwiek. W tym świecie nigdy niczego nie można było być pewnym.

Siedział więc jak na szpilkach, ze zdrętwiałym karkiem i nogami.

Co najgorsze, powoli zaczynał już odczuwać skutki nieprzespanej nocy, a wypita jakiś czas temu kawa dawno straciła na mocy. Wstał z trzeszczącego krzesła jak najciszej. Przez ostatnie kilka godzin starał się nie wiercić, by dać Dix szansę na trochę odpoczynku. Czuł jednak, że jeśli się nie rozprostuje, to już nigdy więcej nie będzie w stanie chodzić. Przeszedł w tę i z powrotem, machając ramionami, by się rozruszać. Zasłonił usta, by nie ziewnąć zbyt głośno. Nie bardzo mu to wyszło, bo z sąsiedniego pomieszczenia usłyszał, jak Dix przewraca się na drugi bok.

Spojrzał na stojącą na blacie butelkę z wodą. Odlął jej trochę i zagotował w garnku pseudo-kawę po turecku. Zaparzony roztwór koloru smoły wlał do czystego kubka i przeszedł parę kroków w stronę drugiego pokoju, by zobaczyć, czy dziewczyna się nie przebudziła.

Przez zasłonki w pokoju, w którym spała Dix, zaczęła w końcu wpadać szarość, tak że Dziki mógł przyjrzeć się leżącej na łóżku towarzysze.

Dziewczyna nie spała spokojnie, zwinięta w ciasny kłębek wierciła się nieustannie. Czasami też mówiła coś do siebie, choć Dzikemu nie udało się wyłapać żadnego logicznego słowa. Zastanawiał się, jaką historię kryje za sobą śpiąca przed nim postać. Jak to się stało, że zachorowała? Czemu to właśnie ona przewodzi tą najlepiej zorganizowaną grupą? Jaki jest jej prawdziwy powód, w tym nieustawicznym pościgu za tajemniczym Pierwszym?

Złapał łyk kawy i skrzywił się okrutnie. Smakowała obrzydliwie, ale bez wątpienia stawiała na nogi. Niemalże poczuł, jak oczy mu się wykręcają. Odsunął się od framugi i wrócił do kuchni. Chcąc zająć sobie trochę czasu, postanowił przyrządzić im śniadanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy w lodówce nie kryje się jakaś konserwa, ale ryzyko zasmrodzenia całego mieszkania było zbyt duże, by je podjąć. Pamiętał, że podczas przeszukiwania półek mignęła mu gdzieś mąka.

Wykorzystując więc znalezione w szafce składniki, ukręcił jakieś naleśnikopodobne placki, które doprawił cukrem. W efekcie końcowym okazało się to być nie tylko jadalne, a nawet nieskromnie Dziki przyznał, że w Krańcowie taki posiłek mógłby uchodzić za prawdziwy rarytas. Dix pojawiła się obok niego tak nagle, że prawie strącił rondel z kawą. Najpewniej obudziła się, jak zaczął pichcić.

— Wow, Dziki, jakie cudo — powiedziała jeszcze zaspana, obserwując ułożone na talerzu placki, które jej podał.

— Często się, kawę też już podgrzewam — odpowiedział, podpalając gaz. Kątem oka spojrzął, jak dziewczyna niemrawo podchodzi do stołu.

Kiedy już usiedli razem i zobaczył, jak Dix zajada się jego plackami, poczuł przez chwilę, jakby znowu znajdował się w starym świecie. Siorbnął kawy, uśmiechając się do kubka. Jakie to było zwyczajne i przyjemne. On i śliczna dziewczyna, jedzący razem śniadanie. Dix musiała zauważyć jego rozmarzoną minę, bo spytała nagle:

— Wszystko w porządku? — Upiła z kubka, krztusząc się i krzywiąc. — O rany...

— No, nie jest najlepsza — odpowiedział zmartwiony. — Wszystko gra, odpłynąłem trochę. — Potarł suche od braku snu oczy, co tylko pogorszyło sprawę.

— Mówiłam, żebyś się przespał — stwierdziła z troską w głosie, co sprawiło, że Dziki uznał już tę noc za wartą nieprzespania. — Czeka nas jeszcze trochę przygotowań. Jeżeli chcemy przejść przez Strefę Głodu, nie możemy wyglądać zbyt dobrze. — Dodała Dix, po czym wyszła do sąsiedniego pokoju.

— Jest tutaj sporo ubrań, pewnie nie są w naszym rozmiarze, ale to bez znaczenia. Ważne, żeby wyglądały na sfatygowane. — Dziewczyna przyniosła trochę śmierdzących wilgocią męskich ciuchów i położyła je na stole.

— Przebierz się, niedługo będziemy ruszać.

Dziki spojrział na ubrania. Sam oddawał bardzo podobne do takich specjalnych koszy dla biednych i potrzebujących. Z tym, że jego były chociaż wyprane. Z cuchnącego kopca wybrał parę startych jeansowych spodni i za dużą bluzę z kapturem, po czym starając się nie zwymiotować, włożył je na siebie.

— Gotowy? — spytała po chwili Dix i weszła do kuchni ubrana w stare, brązowe dresy i zielony polar z kapturem, zapięty pod samą szyję.

— Jak bardzo źle wyglądam? — zapytał, chcąc trochę zażartować, ale Dix najwyraźniej potraktowała to poważnie, bo to, co usłyszał w odpowiedzi, trochę go załamało.

— Jest ok, jeszcze twarz trochę wybrudź. Musimy wyglądać na takich, co nic nie mają — powiedziała, odsuwając z mozołem starą lodówkę od ściany.

Dziki natychmiast ruszył by jej pomóc.

— To ma znaczenie? — spytał, dając się natrzeć dziewczynie smarem zza lodówki.

— Uwierz mi, że ma — odpowiedziała Dix.

Gdy wybrudziła już Dzikiego, z drugiego pokoju przyniosła trochę damskich kosmetyków. Z ich pomocą narobiła sobie na twarzy kilka dziwnych różowych plam.

— Będę musiała zostawić tu karabin, jest za duży, żeby nieść go pod ubraniem, a torba sugerowałaby, że mamy coś wartościowego — westchnęła, po czym zawinęła broń w koc i wcisnęła pod łóżko.

— Może kiedyś po niego wrócę — dodała.

Po tej dziwnej transformacji, dopili ostatnie łyki kawy i wyszli powoli na zewnątrz. Na brudnym korytarzu nie zastali na całe szczęście nikogo. Wyszli więc ostrożnie przez zielone obdrapane drzwi na zewnątrz. Teraz, gdy na ulicy było już jasno, Dziki bez trudu rozpoznał, w którym miejscu się znajdują. Z podwórza, na którym wypadli wczoraj w nocy, bez trudu zauważył długie kominy cegielni górujące nad niskimi gromadami baraków, podobnych do tego, w jakim dzisiaj spali.

— O tak, świeże powietrze — odetchnęła dziewczyna. — Dobra, idziemy, mamy przed sobą spory kawał do przejścia — powiedziała przyciszonym tonem i skierowała się w stronę drogi biegnącej do centrum miasta.

Szli obok siebie chodnikiem z rękoma w kieszeni i kapturami zaciągniętymi

na głowy. Dookoła nich ciągnęły się długie rzędy zrujnowanych budynków oraz sklepików zabezpieczonych potężnymi kratami. Zupełnie tak, jak je zapamiętał jeszcze ze starego świata. Ta część miasta nie była zbyt bezpieczna. Siatki w oknach okolicznych sklepów i potężne kłody były jakby standardem. Co najważniejsze, nienaruszone zabezpieczenia równały się towarem nietkniętym przez nikogo. Dzikiemu zrobiło się żal na myśl, ile rzeczy znajduje się w tym miejscu.

Droga przez osiedle domków jednorodzinnych, ustawionych jeden przy drugim tuż przy głównej ulicy mijała im szybko. Dziki zawdzięczał to faktowi, że Dix nie zachowywała się tak paranoicznie, jak Mike. Kiedy podróżowali razem, jego kompan co chwila zmuszał ich do postoju, wypatrywania zagrożeń albo do podróżowania jakimiś dzikimi ostępami. Dix kroczyła pewnie chodnikiem, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Być może знаła to miasto tak dobrze, że wiedziała z góry, gdzie może czaić się niebezpieczeństwo. Drugą ewentualnością było to, iż przywykła po prostu do podróżowania w towarzystwie grupy, której każdy w tym mieście schodził z drogi. Dziki zdecydowanie wolał wierzyć, że chodzi o to pierwsze. Osiedle przy starej cegielni opuścili w niecałe dwadzieścia minut. Gdy doszli do pierwszego skrzyżowania i Dziki zobaczył znak drogowy, przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Ej, a nie możemy iść przez Zarzecze? — spytał, spoglądając na odbijającą w bok drogę.

Dix zwolniła kroku, zatrzymując się w końcu i spoglądając w stronę, o której mówił Dziki.

— Wydaje mi się, że przechodząc przez rzekę, moglibyśmy minąć całą tę okolicę marketu, czy też obecnie Strefy Głodu, i wrócić drugim mostem, prawie przy cmentarzu. Co ty na to?

— Byłoby świetnie, Dziki, gdyby nie to, że most jest zawałony, a rzeka to teraz właściwie żrący kwas, bagno, niestety musimy iść tędy. — Z tymi słowami Dix przekroczyła skrzyżowanie, a Dziki ruszył za nią załamany wiadomością o zawałonym moście.

Droga uciekała im spod nóg, co było jedynym pocieszeniem. Po kolejnych kilkunastu minutach wędrówki zaczęli dostrzegać zmiany w otaczającej infrastrukturze. Dookoła nich zaczęły pojawiać się pierwsze ładniejsze budynki i domki jednorodzinne. Kraty w sklepach nie były już tak grube, a fasady budynków w znacznie mniejszym stopniu obmalowane graffiti. Powoli zbliżali się do centrum miasta.

— Jesteśmy coraz bliżej — zauważył, kiedy w końcu Dix zdecydowała, żeby przystanąli.

Teraz, wychylając się zza budynku, mogli już dostrzec główną ulicę,

— Jeżeli natrafimy na kogoś od Daniela, zachowuj się jak jakiś tępak i miejmy nadzieję, że naprawdę są dzisiaj zmęczeni — rzuciła Dix w jego stronę. Market był już zaledwie parę kilometrów przed nimi.

— Dużo się tam zmieniło? — spytał Dziki, a dziewczyna spojrzała na niego znacząco i odparła z gniewem w głosie.

— Nie poznasz tego miejsca.

Dziki nie musiał zgadywać, że nie przepadała za Danielem. Po tym, co usłyszał od Mike'a, trudno było się dziwić. Ruszyli dalej, wychodząc zza budynku, gdy niespodziewanie dziewczyna szepnęła:

— Cholera, kapliczka.

— Co takiego? — spytał Dziki, zaciskając dłoń na broni, którą miał w kieszeni.

— To jest teraz posterunek, nie przypatruj się im i nie zatrzymuj. Zachowuj się tak, jakbyś tu przechodził już milion razy — poinstruowała go, pochylając głowę, by zasłonić twarz.

Dziki jeszcze przez chwilę nie rozumiał, o co dokładnie chodzi. Dopiero gdy wyjrzał delikatnie spod kaptura na bok, zobaczył starą kapliczkę. Teraz obwarowana dookoła złomem, była niczym stanowisko strzeleckie. Na jej szczycie stał jakiś mężczyzna z lornetką w dłoni. Pod spodem, w prowizorycznym okopie drzemało sobie kilku osiłków z czerwoną opaską na ręku.

Serce Dzikiego załomotało nerwowo w piersi, ale ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Szedł równo obok Dix, wpatrując się uparcie w asfalt. Na szczęście, wyraźnie zmęczona grupa nie zwróciła na nich większej uwagi, choć stojący na górze obserwator bez wątpienia odprowadzał ich wzrokiem.

Po minięciu posterunku i kilku nerwowych chwilach, znaleźli się o paręset metrów przed marketem. Po prawej stronie drogi widać już było ogromny słup reklamowy z literą H na szczycie. Dziki zerknął w opustoszałe, powybijane szyby dużego prywatnego budynku, w którym niegdyś mieścił się gabinet stomatologiczny. Znał doskonale to miejsce, bo to tu właśnie chadzał na wizyty dentystyczne. Zaraz za budynkiem zaczynał się parking, tuż przy sklepie z akumulatorami. Po drugiej stronie ulicy zaś przywitał ich widok sporego ogrodzonego placu, na którym stały pordzewiałe samochody. Szyld „Mechanika Rokietnicki” straszył z oddali łuszczącą się farbą. Ojciec Dzikiego kilka razy

naprawiał tu samochód. Obecnie plac stanowił jedynie naturalną osłonę dla rzędu pawilonów, wśród których znajdowały się salon myśliwski, kwaciarnia i zegarmistrz. Połączony ciąg sklepów musiał być zamieszkały, bo szyby na dole piętrowego budynku były zasłonięte. Kręciło się tam również kilku ludzi, którzy najpewniej ochraniaли to miejsce. W ich rękach bez trudu można było dojrzeć broń.

Odwrócił twarz w drugą stronę, bo któryś z patrolujących przystanął, aby się im przyjrzeć. Dix momentalnie wcisnęła głowę w kaptur, przyspieszając kroku.

Szli dalej przed siebie, nie zatrzymując się nawet na sekundę. Gdy tylko oddalili się od uzbrojonych mężczyzn, spojrział znów na prawo. Pas zieleni, który w starym świecie oddzielał główną ulicę od stacji kontroli pojazdów, był teraz wyschniętą na wiór trawą z jednym pojedynczym czarnym drzewem. Dziki był pewien, że drzewo musiało być kilkukrotnie podpalane i gaszone. Nie to jednak zainteresowało go najbardziej. Ciężarówki stojące na parkingu przed stacją kontroli były w naprawdę okropnym stanie. Pordzewiałe z poprzebijanymi kołami, wymalowane sprejami o wyjątkowo przygnębiających barwach. Jakby w sklepie z farbami zostały tylko same ciemne kolory. Pojazdy wyglądały tak, jakby stały tu dobre dwadzieścia lat, niszczejąc.

„Ile czasu minęło, odkąd ten świat powstał tak naprawdę?” — pomyślał. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanowić, bo właśnie jego oczom ukazał się H-Market. Byli już dosłownie o rzut beretem od znanego sobie ze starego świata sklepu. Musiał przyznać, że Dix miała sporo racji, nie poznałby tego miejsca.

Pozbawiony samochodów parking przed sklepem wyglądał teraz jak jakiś obóz dla uchodźców. Cały teren pełen był namiotów i jakichś prowizorycznych domków, pobudowanych ze sklejki i śmieci.

Sam budynek sklepu stał otoczony dwoma rzędami płotu z drutu kolczastego, a na jego dachu znajdowało się coś, co wyglądało jak stanowiska strzeleckie. Obok marketu stał jeszcze budynek stacji benzynowej, nie miał jednak możliwości przyjrzeć mu się bliżej, bo Dix znacznie przyspieszyła.

Nic tak jednak nie zszokowało Dzikiego, jak fakt, ilu ludzi znajduje się w tym miejscu. Te wszystkie ruszające się drobne postacie, zlepione w tę śmieszłą parodię pseudo-społeczeństwa. Było ich znacznie więcej niż mieszkańców Wspólnoty oraz ludzi z Defektu razem wziętych. Z każdym kolejnym krokiem, gdy zmniejszali odległość między nimi a H-Marketem, Dziki dostrzegał ogrom, a jednocześnie zapaść tego miejsca. Kiedy zbliżyli się na tyle, że mógł przyjrzeć się żyjącym tu ludziom, zrozumiał, o co chodziło z nazwą Strefa Głodu.

Pierwszy mężczyzna, którego zobaczył, stał oparty o ścianę jakiegoś

kartonowego szafasu. Wyglądał przy tym, jakby był chory. Ręce i nogi miał tak cienkie, że trudno było uwierzyć, iż nie złamał się pod własnym ciężarem. Cienie pod jego oczami i nieogolona twarz przywodziły na myśl jakiegoś pod sklepowego żuła, tylko że nawet oni prezentowali się czasem lepiej.

Poczuł, jak coś szarpie go w bok. Dix odciągnęła ich tak, że minęli mężczyznę szerokim łukiem, trudno było zresztą się dziwić. Smród, który od niego buchał, prawie zatykał.

Nieprzyjemne uczucie bycia obserwowanym siedziało mu na karku, odkąd tylko weszli w granice strefy. Mimowolnie rozglądając się, dostrzegł blok mieszkalny, który stał po drugiej stronie ulicy. Cały jego front był obwarowany, podobnie jak kapliczka, którą minęli. Tuż przy wejściu na klatkę schodową stał... ciężki karabin maszynowy. Na jego widok, przełknął nerwowo ślinę i spojrzał na ciągnącą go za ramię Dix. Dziewczyna parła do przodu, manewrując między szafasami i namiotami. Na pewno nie była w nastroju do zwiedzania. Szczególnie, że coraz to nowi mijani przez nich ludzie, wodzili za nimi wzrokiem. Co przerażające, wyjątkowo wygłodniałym.

Dix w pewnym momencie zatrzymała się gwałtownie, tak że prawie wpadł na nią. Poprawiając kaptur, który zsunął mu się z głowy, spojrzał przed siebie. Kilkanaście metrów przed nimi, wychudzone postacie zbierały dziesiątki ciał porzucanych w różnych miejscach obozowiska. Spora część szafasów po tej stronie była zawalona, z niektórych tlił się dym. Widok był makabryczny, szczególnie, kiedy dojrzał, jak jeden z tych mizernie wyglądających ludzi ciągnął jakąś martwą postać za nogę w stronę kupy usypanej z trupów. Zasłonił sobie usta, odwracając głowę.

Z trudem opanował odruch wymiotny. Takie widoki wciąż stanowiły dla niego coś, czego nie mógł od tak przetrwać. Spojrzał na Dix, trzymała go mocnym chwytem za nadgarstek. Nie widział jej twarzy, ale spodziewał się, że na niej nie zrobiło to takiego wrażenia, jak na nim. Podniósł głowę, odchylając kaptur, by znów spojrzeć w tamtą stronę. Pogorzelsko ciągnęło się przez całą szerokość jezdni, prawie zahaczając o pobliski blok. Dziki zrozumiał, że niewykształceni musieli zaatakować głównie z tej strony. Nie miał szans jednak na lepszą ocenę sytuacji, bo dziewczyna pociągnęła go w głąb placu, tak by minąć to, co tam powstało. Po drodze natknęli się na kolejną dziwną grupę. Widząc ich, Dix momentalnie puściła rękę Dzikiego i wsadziła dłonie do kieszeni, a głowę cofnęła mocno w głąb kaptura.

Ubrani na czarno mężczyźni przypominali Dzikemu oddziały policyjne. Wszyscy w jednakowych czarnych kombinezonach z kamizelkami

kuloodpornymi. Jedyne, co zdradzało ich, to fakt, że zamiast tarcz i pałek, trzymali w rękach strzelby myśliwskie, a na ramionach mieli naszywki ochrony H-Marketu.

Grupa przeszła obok bez słowa, nawet nie spoglądając w ich stronę. Dla nich musieli wyglądać jak wszyscy inni mieszkańcy Strefy Głodu. Gdy tylko się oddalili, spojrzął za nimi ukradkiem, a jego głowę przeszły fala pytań. „Wszyscy mieli broń. Skąd? Od Pierwszego? Było jej w Krańcowie aż tyle?”.

— To byli obrońcy — szepnęła Dix, gdy gromada zniknęła za szalasami i ruszyła w stronę pogorzelska.

Wzdrygnął się, słysząc jej głos, który wyrwał go z zamyślenia.

— Zajmują się ochroną marketu i jego zawartości. W siłach Daniela uchodzą za elitę — wyjaśniła.

Mógł się mylić, ale ostatnie słowa, jakie powiedziała, podlatywały kpiną. Spojrzął raz jeszcze na kręcących się to tu to tam mężczyzn.

Chociaż specyficzny strój nadawał im dość groźnego wyglądu, dla Dzikiego ludzie, którzy ich minęli, nie byli zbyt imponujący. Szczupli, o szurkowanych twarzach, w większości wyglądający na bardzo młodych. To już ci, których mijali, drzemiący przy kapliczce, wyglądali znacznie groźniej i potężniej.

— Niezbyt okazała ta elita — odszepnął.

— Daniel nie da broni nikomu, kogo nie może łatwo kontrolować — odparła Dix, co dało mu jasny obraz na to, co kierowało ich wielkim wodzem w doborze ludzi.

Schodząc z drogi dwóm potężnie wyglądającym mężczyznom z czerwoną chustką na ramieniu, przeszli obok jakiegoś dużego namiotu. Minąwszy na skos kilka kolejnych lepianek, dotarli w końcu w okolice pogorzelska po drugiej stronie placu. Tym razem Dziki przystanął zszokowany. Z ruin, które widział przed sobą, wnioskował, że zniszczona została co najmniej połowa tych dziwnych szalasów. Te, które stały bliżej wyjazdu ze strefy, były zmiecione z powierzchni ziemi. Ciała ludzi porzucane bez ładu. Wyglądało to jak po wybuchu bomby w jakimś zatłoczonym miejscu.

— Daniel żyje! — krzyknął ktoś za nimi, Dziki i Dix zatrzymali się jak sparaliżowani.

Dwóch mężczyzn ubranych w stroje ochrony przeszło obok nich, zbliżając się do czegoś, co przypominało mały namiot, tyle że zrobiony z jeansu.

Kiedy jednak ów namiot podniósł się po chwili, okazał się być największym mężczyzną, jakiego Dziki kiedykolwiek wcześniej widział. Teraz będąc zaledwie parę kroków od tego kolosa, rozumiał, czemu Daniel chciał otaczać się

wyłącznie niepozornymi, słabymi ludźmi. Ogromna postać ubrana w jeansową kurtkę z przewiazaną na ramieniu czerwoną bandanką, górowała nad wszystkim dookoła. W odróżnieniu jednak od jego dawnego kompana ze Wspólnoty Robala, ten człowiek był nie tylko wysoki, ale i niezwykle potężny. Na pewno nie był typowym mieszkańcem Strefy Głodu.

— Żyje, żyje, po cholere się drzesz — odezwał się olbrzym tubalnym głosem.

— Maciejewski, brat Daniel oczekuje informacji o stratach — zawołał jeden z ubranych na czarno mężczyzn.

Potężny banderowiec zaciągnął się resztką tłęcego się jeszcze peta i wyrzucił go w stronę stłoczonej gromady wychudzonych postaci. Niedopałek odbił się od pleców jednego z nich, a reszta niemalże natychmiast się rozbiegła, ani myśląc, by pomóc oparzonemu koledze. Maciejewski, jak najwidoczniej nazywał się kolos, zaśmiał się na widok próbującego ugasić mały pożar obdartusa, wyjątkowo rozbawiony tym, co zrobił. Słyszając ponaglące chrząknięcie ze strony dwójki dużo mniejszych od niego przedstawicieli porządku, wywrócił oczyma i ostentacyjnie wkładając sobie palec w ucho, odpowiedział lekceważąco:

— Więc, Niewykształconych było łącznie w chuj i ciut, a głodujących padło od chuja i trochę — zakpił, rechocząc zadowolony z siebie.

Dwaj obrońcy obdarzyli go poirytowanym spojrzeniem, Maciejewski, nie zwracając na to uwagi, wytarł brudną rękę o przechodzącego obok chłopaczka. Nastolatek w bluzie z nazwą jakiejś znanej firmy uciekł z piskiem, zalewając się łzami. Jeden z przybyłych nie wytrzymał w końcu wyraźnego lekceważenia i prostując się tak, by spojrzeć olbrzymowi w oczy syknął:

— Szanuj Daniela!

Głos obrońcy wydał się Dzikiemu dziwnie znajomy, nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy słyszał go wcześniej. Zobaczył tylko, jak jego właściciel bierze pewnym chwytem strzelbę w swoje chude dłonie, a mina na twarzy Maciejewskiego rzednie.

— Szanuję, szanuję, ale po cholere ja mam to liczyć. Jakby pierwszy raz przyjeźli, a temu się nagle na rachunki zebrało — wytłumaczył się olbrzym, widocznie uspokojony widokiem broni.

— Daniel ma swoje powody, których nie musi ci zdradzać. Jak nie potrafisz liczyć, to wynajmij sobie cherlaka, niech policzy za ciebie — odpowiedział pierwszy z przybyłych, z wyraźną kpiną w głosie.

— Wynajmij! To daj mi na to. Myślicie, że sram talentami, jak u was w

markecie — odpowiedział wyraźnie oburzony.

W tym momencie drugi z mężczyzn odwrócił się w stronę Dzikiego. Choć ich wzrok spotkał się tylko przez chwilę, Dzikiego zmroziło. Zobaczył przed sobą młodego chłopaka, tego samego z którym pojawił się na cmentarzu. Odruchowo cofnął głowę w kaptur i zaczął mamrotać do siebie, kiwając się na boki. Miał nadzieję, że smar na twarzy nieco zmienił jego wygląd, a młodzik nie miał dość czasu, by mu się lepiej przyjrzeć. Chwycił Dix za ramię i odciągnął na bok, dalej mamrocząc jakieś bezsensy. Chłopak bez wątplenia wciąż im się przyglądał, Dziki czuł jego wzrok na swoich plecach. W pewnym momencie jednak kłótnia między olbrzymem a kompanem młodego rozgorzała na dobre. Dziki zobaczył, jak chłopak odwraca się w ich stronę.

— Jakbyś nie przeżerał całego żołądka, to byś teraz miał na wynajęcie cherlaka! — podniósł głos obrońca.

Maciejewski, chyba ostatkiem zdrowego rozsądku, powstrzymywał się, żeby go nie uderzyć, bo nerwowo zaczął podwijać rękawy swojej jeansowej kurtki.

— Jest mnie dwa razy więcej niż ciebie, a ceny narzuciliście takie, że prawie tu głodem przymieram! — odwarknął potężnie, co sprawiło chwilowe zawahanie na twarzy jego rozmówcy. Co by nie mówić, był od niego dwa razy większy.

— Jakbyś tak głodem przymierał, to z przydziału brałbyś konserwy zamiast browaru i fajek! — włączył się do kłótni były kolega w niedoli Dzikiego.

Był to najlepszy moment, żeby się ulotnić. Dziki ścisnął mocniej rękę Dix i odciągnął ją pośpiesznie w głąb placu. Nie usłyszeli już końca kłótni, ale musiała trwać dalej, bo chłopak nie poszedł za nimi. Być może próbował w tym momencie powstrzymać swoich towarzyszy od rzucenia się sobie do gardeł.

— Co się stało? — spytała Dix, gdy tylko głosy kłócących się zginęły gdzieś pomiędzy szumami zawodzenia mieszkańców strefy. — Prawie mnie stamtąd wywlokłeś.

— Znam jednego z tych gości — odpowiedział Dziki, zerkając do tyłu, wręcz paranoicznie.

Dix jak na komendę odwróciła się z lękiem, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

— Jednego z tych obrońców? A on cię poznał? — spytała równie wystraszona, co Dziki.

— Mam nadzieję, że nie... — mruknął pod nosem, ciągle przyśpieszając kroku.

Lawirując między zgliszczami szalasów, co chwila napotykali jakieś ciało.

Dziki już nawet się nie wzdrygał. Przywykł do tego widoku szybciej, niż się spodziewał. Wśród tego, co tu się działo, ciężko było nawet odróżnić, które z ciał należało do Niewykształconego, a które do człowieka. Po drodze minęli jeszcze kilku cherlaków chodzących od szałasu do szałasu. Niektórzy nawoływali swoich bliskich, inni po prostu rabowali, co się dało.

— Dlaczego oni tu są? — spytał nagle Dziki z jakąś dziwną wzbierającą w nim złością, obserwując, jak dwóch okrutnie zniszczonych mężczyzn przeszukuje ciało trzeciego.

Widząc jego spojrzenie spod kaptura, zaczęli rabować szybciej, po chwili najzwyczajniej się rozbiegając. Tak musiała wygląda tutejsza solidarność.

— Hmm? — mruknęła Dix, odrywając wzrok od tej samej sceny.

— Ci ludzie, zobacz, przeszliśmy całe to miejsce i nikt nas nie zatrzymał. Więc czemu oni stąd nie odejdą? Przecież to jest jakiś koszmar — powiedział, gwałtownie odsuwając się w bok, kiedy zza kolejnej niekompletnej już budy wypadł jakiś charczący mężczyzna.

Dix odciągnęła Dzikiego na bok, czekając z odpowiedzią, aż mężczyzna się oddali. — A gdzie mają pójść, Dziki? Kto się nimi zajmie? Wiesz kim oni są? To są w większości ludzie, którzy nie potrafią poradzić sobie sami. Nie mają przyjaciół, którzy by im pomogli, nie mają odwagi, ani charakteru, by tułać się samotnie. A tutaj dostaną przynajmniej jeden ciepły posiłek dziennie i nadzieję na to, że w dużej grupie to nie oni będą kolejną ofiarą. Tak to tutaj wygląda — powiedziała z trwogą, obserwując leżącą na jakimś ciele zawodzącą dziewczynę.

Brudna od stóp do głów, z włosami pozlepianymi od krwi, biła pięściami w trupa chłopaka, jakby każde uderzenie miało dać jej szansę na przywrócenie mu życia. Ale jedno spojrzenie Dzikiego w jego puste pozbawione życia oczy dało jasny obraz, jak bezsensowne były to starania.

— Daniel ich karmi? Tak z dobrego serca? — zapytał, chcąc odciągnąć myśli od tego, co zobaczył przed chwilą.

Na szczęście Dix podchwyciła pytanie i szepnęła z kpina:

— To są jego tarcze, kiedy wpadają tu niewykształceni. Najpierw wlewają się do Strefy Głodu i mordują jej mieszkańców. W tym czasie jego żołnierze mogą sobie bezpiecznie strzelać do nich zza siatki. Dzięki temu nie traci swoich ludzi, to jest wszystko doskonale wykalkulowane.

— Rozumiem. — Dziki spojrzał w stronę obwarowanego sklepu. Ani siatka, ani brama nie wyglądały na chociażby wygiętą. Czyli niewykształceni pewnie nigdy nawet nie zbliżyli się do H-Marketu. — Jak widać, system się sprawdza — stwierdził smutno.

— Niestety — odparła zrezygnowana towarzyszka.

Niespodziewanie ponad ich głowami rozległa się muzyka. Z głośników na parkingu zaczęła dobiegać melodia, w której Dziki od razu rozpoznał muzykę typową dla H-Marketu. Dzingiel, który witał kupujących na parkingu, rozchodził się echem po całej okolicy.

— Co się dzieje?— zapytał zdenerwowany.

— Chyba wzywają na jedzenie — stwierdziła Dix, zatrzymując się i rozglądając dookoła.

Pobliscy cherlacy porzucili natychmiast swoje zajęcia i prawie biegiem ruszyli w stronę bramy przy wejściu do centrum handlowego. Dziki zauważył wózek magazynowy, który na swoich widłach wiózł największy garnek, jaki kiedykolwiek widział. Grupa mężczyzn w czarnych ochroniarskich swetrach otworzyła bramę, a mieszkańcy strefy wdarli się tabunem do środka. Dopiero kilka strzałów w powietrze od jednego ze strażników ostudziło ich zapały.

— Znacie zasady — powiedział znudzonym tonem przez megafon jakiś ubrany na czarno obrońca.

— Ustawiać się! Już! Dla każdego porcja, a jak do wieczora uprzątniecie ciała, Daniel obiecał dziś drugi obiad. Więc śpieszyć się! — zawołał towarzyszący mu mężczyzna wydający jedzenie.

Jego kompan odłożył od niechcenia megafon na bok i przeładował strzelbę. Ludzie natychmiast ustawili się w szereg.

— Ruszajmy, Dziki, to będzie dziwnie wyglądało, jeśli jako jedyni nie pójdziemy po zupę. Trzeba się pośpieszyć, mamy praktycznie drogę wolną — stwierdziła Dix i pchnęła go w stronę jakiegoś większego szałasu.

I znów, idąc z głowami nisko i krążąc dookoła co większych namiotów, zbliżyli się do wyjścia ze strefy. Ostatnie szałasy stały już praktycznie na drodze, poza parkingiem dawnego sklepu. Dix dała krok do przodu, wychodząc na asfalt, gdy tuż obok nich pojawiło się dwóch banderowców, również opuszczających to miejsce.

— Cholera jasna wolałbym, żeby najpierw skończyli robotę. Jak się nażrą, to żaden nie pójdzie dalej sprzątać — odezwał się jeden z nich opryskliwym głosem.

Dziki spojrzał na nich. Początkowo wcale nie zwrócili na nich uwagi, więc może jest szansa.

— Idź dalej — szepnęła Dix tuż obok jego prawego ramienia, popychając delikatnie Dzikiego, który zatrzymał się, widząc ludzi Daniela wyłaniających się z boku.

— Może ta obietnica drugiego posiłku ich zmotywuje, ostatnio dostali dwa razy? — odezwał się drugi głos nie mniej wredny od poprzedniego.

— Ta, ale wtedy robotę mieli lżejszą. Ty, zobacz. Ej, wy!

Obawy Dzikiego się jednak spełniły, banderowcy zwrócili się w ich stronę.

— Skończyliście żreć, to do roboty! Ta zgnilizna się sama nie wyniesie!

Dix nie zareagowała, więc i Dziki udał, że nie słyszy. Nie zatrzymywali się, ale dało się odczuć, że dwójka banderowców kieruje się wprost na nich. Kolejny krok do przodu i Dziki zacisnął dłoń na pistolecie schowanym w kieszeni bluzy.

— Ty! Mówię do ciebie! — ryknął za jego plecami mężczyzna i łapiąc za ramię, obrócił go popychając przy tym na znak przejścia dla pieszych.

Dziki uniósł głowę i zobaczył nad sobą jakiegoś młodego łysego gnoja, o dość małej aparycji. Wyglądał na dobrze odżywionego, a na szarej bluzie nosił czerwoną opaskę. Nie wiedząc, co zrobić, Dziki poszedł za radą Dix i postanowił udawać beznadziejny przypadek.

— O rany, jestem taki głodny, tak bardzo nie mam siły, proszę coś do jedzenia. Błagam! — wysapał najbardziej żalonym głosem, jakim umiał, trzęsąc się przy tym, jakby miał delirkę.

Wyciągnął rękę w stronę chłopaczka, a ten zaśmiał się do swojego równie urodziwego kolegi.

— Temu już się chyba coś we łbie przestawiło.

— No, ale popatrz, na cherlaka to on jeszcze nie wygląda. To albo jakiś cwaniak i nas tu próbuje w wała zrobić, albo przybył niedawno. Co ćpałeś, gnoju? I skąd masz? — spytał podejrzliwie drugi małpolud, przyglądając się Dzikiemu, po czym trzepnął go zaczepnie w kaptur tak, że znów nic nie widział.

Dziki poczuł, jak wzbiera w nim złość. Ostatkiem sił powstrzymywał się, by nie wyciągnąć broni.

— Ty on z babeczką jakąś jest! — krzyknął nagle jego kolega, uradowany.

Człowiek małpa pchnął Dzikiego na ziemię, zrzucając mu kaptur z głowy i zbliżył się do Dix.

— No? Pokaż się malutka — powiedział, pochylając się w jej stronę, by przyjrzeć się lepiej. Jeśli jest tak odżywiona jak on, to może jeszcze się zabawimy. Co ty na to słonko? Nie chciałabyś dostać czegoś do jedzonka? — spytał złośliwie.

W tym samym czasie drugi z banderowców ściągnął Dix kaptur z głowy i odsunął się od niej jak oparzony.

— No stary, co ona ma na ryju! — powiedział z obrzydzeniem, spoglądając jak dziewczyna ponownie próbuje naciągnąć kaptur na głowę, by ukryć twarz.

— Niby wybredny nie rucha, ale nie wiem, czy jest dla czego ryzykować — syknął człowiek małpa, cofając się.

Tego dla Dzikiego już było za wiele, poderwał się z ziemi, trzymając w ręku pistolet i wycelował w stronę małego draba. Banderowiec, który stał obok, zamarł zszokowany na widok broni. Przez chwilę nic się nie działo, Dziki wysapywał z siebie wściekłość, gotów nacisnąć spusty.

W tym momencie jednak stało się coś dziwnego. Przedstawiciel Krańcowskiej patologii spojrział w bok i zaklął szpetnie. Dziki obrócił głowę i sparaliżował go strach. Od strony zgliszczy zbliżał się do nich chłopak z cmentarza, wlepiając wzrok prosto w niego. Gdy tylko podszedł bliżej, machnął ręką, dając znak Dzikiemu, by odłożył broń. Nie wiedząc zupełnie co robić, opuścił rękę z pistoletem, ale nie schował jej do kieszeni. Postanowił najpierw zobaczyć, jak to wszystko potoczy się dalej. Nie miał pojęcia, jak zachowa się jego dawny znajomy, więc zamilkł w oczekiwaniu.

— Co się tu dzieje? — spytał chłopak w czarnym stroju.

Dziki widział, jak stara się przy tym brzmieć groźnie. Choć jego głos przypominający pisk nastolatki, w normalnych warunkach na pewno nie zrobiłby na nikim wrażenia, to jednak dwaj banderowcy stanęli jak wryci. Ten mniej podobny do małpy wyciągnął na powitanie dłoń, wołając:

— Daniel żyje!

Chłopak zignorował to jednak, okrążając ich dookoła i zdejmując myśliwską strzelbę z ramienia.

— Żyje... — odpowiedział dopiero po chwili, obserwując całą czwórkę. — Albo mi się wydaje, albo próbujecie tutaj złamać jeden z podstawowych zakazów? Słucham?! — Podniesienie głosu i widok strzelby zadziało na dwóch łysoli jak kubeł zimnej wody.

Dzikiemu cała sytuacja wydawała się zupełnie irracjonalna. Młody chłopak siląc się na podstępny i złowieszczy głos, mógł co najwyżej wzbudzić politowanie. Tymczasem dwaj banderowcy wyglądali na naprawdę przerażonych. W głowie mu się to nie mieściło.

— Nie chcecie gadać?! Więc może powiecie mi, co Daniel myśli o napastowaniu seksualnym kobiet w strefie? — spytał chłopak, stając między dwoma drabami, od których, o zgrozo, był o głowę niższy.

— Od seksu jest burdel, a gwałty zmniejszają napływ ludzi do strefy — wyrecytował z przestachem ten, który najchętniej omawiał plan zabawy z Dix. Teraz spuścił głowę, jakby tłumaczył się przed nauczycielem.

— No wspaniale, że pamiętasz! — zakpił chłopak. — Jak cię nie stać na

seks, to żryj mniej. A teraz wynoście się, bo złożę na was raport Maciejewskiemu. On się wami odpowiednio zaopiekuje — zasyczał wściekle obrońca.

Draby posłusznie odeszły, choć gdy tylko oddaliły się kawałek, natychmiast dało się słyszeć złorzeczenia biegnące z ich strony. Młodzik odprowadził ich wzrokiem do granicy strefy, po czym odwrócił się w stronę Dzikiego. Przez chwilę patrzył na niego z jakąś dziwną konsternacją, a potem zaśmiał się, przecierając twarz dłonią.

— Ty, wstyd się przyznać, ale ja nawet nie wiem, jak masz na imię — powiedział chłopak, wyciągając rękę w jego stronę.

Dziki uściśnął ją i spojrzał w stronę Dix, ta zerknęła z nadzieją w stronę drogi, ale przecież nie mogli teraz uciec.

— Wystarczy Dziki i tak już nie pamiętam, kiedy ostatnio używałem prawdziwego imienia — odpowiedział w końcu, uśmiechając się sztucznie.

— Rozumiem, wiesz, ja nawet nie zdążyłem ci podziękować. Wtedy za cmentarz, a potem za szkołę — powiedział, kiwając głową na wspomnienie o tamtych wydarzeniach. — Ja po prostu za bardzo się bałem, by myśleć o czymś takim. O takich rzeczach, by podziękować, czy coś... — Głos chłopaka uwiązł gdzieś w gardle, a oczy zeszkliły się, jakby miał zamiar się popłakać.

Dziki stał w szoku, obserwując całą tę sytuację. Do tej pory miał wątpliwości, czy chłopak, którego uratował w ogóle jeszcze żyje. Teraz stał tuż przed nim i jak na ironię to jego los zależał od tego, co zrobi młodzik. Chłopak wyglądał, jakby mocno coś rozważał i po chwili zamyślenia zawołał w końcu:

— Chodźcie ze mną.

Po tych słowach odwrócił się w stronę strefy i machnął zachęcająco ręką. Dix, która zdążyła zbliżyć się do Dzikiego, ścisnęła go za ramię.

— Dziki, uciekajmy — szepnęła bardzo cicho, ale chłopak ponownie odwrócił się w ich stronę

— No chodźcie, chodźcie, nie bójcie się — ponaglił ich.

Rozdział XII

Armia Daniela

Dziki razem z Dix wracali z powrotem do Strefy Głodu. Był pewien, że podjął niezbyt mądrą decyzję, mogli przecież spróbować uciekać. Na pustej drodze chłopak miałby ich jednak jak na tacy, gdyby zdecydował się strzelać. Tylko, czy na pewno by strzelał? Mogli też spróbować sprzedać mu jakieś kłamstwo w stylu choroby zakaźnej albo czegokolwiek innego. Ale czy to by podziałało?

Spojrzał na Dix przytwierdzoną do jego lewego ramienia. Zastanowił się przez chwilę, czy chłopak wiedział kim była? Rozpoznał ją? Jej twarz była taka sama, jak każdej dziewczyny. Bluza i dresowe za duże spodnie doskonale zakrywały czerwony strój Defektu. Ale może Daniel miał jakieś zdjęcie, które pokazał swoim podkomendnym... Jakoś to wszystko mu się nie kleiło. Przecież gdyby chciał ich pojmać, to po co odsyłałby banderowców?

Nim się spostrzegł, wrócili w głąb strefy, mijając grupę cherlaków pracujących przy usuwaniu zgłiszcz. Chłopak pozdrowił pilnującego ich banderowca słowami: „Daniel Żyje”. Następnie skręcił w stronę pobliskiego bloku, znajdującego się po przeciwnej stronie marketu. Gdy zbliżyli się, Dziki miał możliwość obejrzenia z bliska obwarowanego, jak stanowisko artyleryjskie, wejścia na klatkę schodową. Mężczyzna, ubrany w czarną kurtkę z obowiązkową czerwoną wstążką, stał na straży wejścia. Palił papierosa, obserwując ze znużeniem na twarzy okolice, pod jego nogami zaś leżał ogromny karabin maszynowy, wsparty o ułożoną dookoła barykadę.

— Daniel Żyje! — zawołał, widząc zbliżającego się młodzika.

Chłopak poddał mu rękę, gdy przechodził przez wejście. Dziki po raz ostatni zatrzymał się. Jeżeli wejdą do środka ich szanse na ucieczkę zmaleją do zera. Z drugiej strony, gdyby teraz spróbowali wbiec w głąb pogorzeliiska, strażnik bez problemu rozstrzelałby ich z tej ogromnej broni. Tylko czy byli warci amunicji? Spojrzał na karabin i przełknął ślinę. Ponownie jednak, nim miał czas na podjęcie decyzji, chłopak zwrócił się do niego, wychylając głowę z klatki:

— W porządku, nie bójcie się, naprawdę. Chodźcie ze mną. Nic wam nie grozi — powiedział, uśmiechając się, co najpewniej miało im dodać nieco otuchy.

„Dokładnie to bym powiedział, gdybym chciał wciągnąć kogoś w pułapkę” — pomyślał Dziki. Mimo to przeprowadził za sobą Dix, przekraczając barykadę ze złomu.

Wszedł do środka, odprowadzony czujnym okiem strażnika z wejścia. Dix przyciągnęła go do siebie, gdy byli już w ciemnej klatce schodowej i wyszeptała mu do ucha:

— Co my robimy? Powinniśmy stąd wiać.

— Wiem — odpowiedział jedynie, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Doskonale wiedział, że powinni uciekać. Czuł że zrezygnowanie z tego, było jedną z najgłupszych decyzji, jakie podjął w swoim życiu. Wewnętrznie jednak czuł, że młody nie miał złych zamiarów wobec nich. Ruszyli więc schodami w górę. Na pustej klatce odbijało się echo ich kroków. Weszli na wysokość drugiego piętra, gdzie zobaczyli otwarte drzwi do jednego z mieszkań.

— Wchodźcie do środka! — zawołał młodzik z jego wnętrza.

Dziki zacisnął dłoń na pistolecie schowanym w kieszeni i przepuszczając w przejściu Dix, ruszył za nią do środka. Jasność, która uderzyła go w oczy po wyjściu z ciemnej klatki, przymroczyła go na chwilę. Osłonił sobie oczy ramieniem i przystanął, by się przyzwyczaić. Jak się okazało, weszli do przestronnego salonu, z nowoczesnymi meblami i szklanym stolikiem. Mieszkanie było czyste i zadbane, jak u jakiejś wyjątkowo pedantycznej rodziny. Z okna rozciągał się doskonały widok na całą Strefę Głodu. Na ścianie zaś, tuż obok wejścia, Dziki spostrzegł fotografie, które na pewno nie należały do dawnych mieszkańców tego domu. Na kilku z nich rozpoznał goszczącego ich młodzika w towarzystwie różnych ludzi, najpewniej również żołnierzy Daniela, wszyscy bowiem nosili na ramionach czerwone wstęgi.

— Nie mam teraz zbyt wiele, ale na pewno jesteście głodni. Częstujcie się, ile tylko chcecie. — Chłopak wszedł właśnie z kuchni, niosąc ze sobą ogromny karton pełen jedzenia.

Było tam wszystko, co człowiek mógł sobie tylko wymarzyć. Kilka butelek różnych słodzonych napoi, konserwy i pasztety, paczkowane kabanosy i pieczywo tostowe. Na wielu produktach Dziki rozpoznał logo H-Marketu. Chłopak postawił karton na stoliku i zaprosił ich gestem do jedzenia.

— Spokojnie, naprawdę, nie krępujcie się, mogę mieć tego więcej — powiedział, uśmiechając się niepewnie.

Dziki pomyślał, że wstyd jest w tym momencie ostatni na liście emocji, jakie nim targają. Pewnie gdyby był tutaj sam, nie odczuwałby takiego strachu. Ani jego kompan z cmentarza, ani nawet Daniel nie mieli żadnego powodu, by być

do niego wrogo nastawieni. Sprawa miała się nieco inaczej, jeżeli chodziło o Dix. Jego towarzyszka bez wątpienia górowała na czele wrogów Armii. I to on ją tu przyprowadził. Nie było innego wyjścia, jak zagrać w grę chłopaka.

Usiadł więc na skórzanej pufie i zabrał się do jedzenia. Rozpakował kabanosy i spojrzał w stronę dziewczyny. Wyciągnął do niej dłoń i wskazał jej miejsce obok siebie. W tym czasie ich tymczasowy gospodarz rozsiadł się w skórzanym fotelu i z radością obserwował, jak Dziki pochłania to, co im przyniósł. Po chwili jednak skupił wzrok na Dix, która wciąż stała, trzymając Dzikiego za ramię. Wyglądała na kompletnie przerażoną. Dziki sam już nie był pewien, czy dziewczyna tak doskonale udawała, czy te emocje były prawdziwe. Widział, jak zerka nerwowo w stronę drzwi, jakby w dalszym ciągu rozważała ucieczkę.

— Nie masz się czego obawiać, tutaj nic ci nie grozi. Siadaj i jedz — powiedział w jej stronę młody, jednocześnie spoglądając na Dzikiego, zapewne by ten wpłynął na swoją towarzyszkę.

— Weronika, już dobrze. Usiądź. Jestem pewien, że nasz gospodarz ma dobre intencje — powiedział, zachęcając Dix ponownie fałszywym imieniem.

Dziewczyna, czując najpewniej, że nie ma większego wyboru, również usiadła przy stole. Dziki podał jej tabliczkę czekolady. Chwilę jedli w ciszy. Młody długo nic nie mówił, dając im czas, by spokojnie się nasycili. Dziki nie był jednak w stanie wcisnąć w siebie zbyt wiele. Ranne jedzenie jeszcze go trzymało. Krańcowskie wyżywienie nie należało do najobfitszych, więc nic dziwnego, że po kilku tygodniach niedojadania, jego żołądek był niczym u modelki. Dogryzając ostatnie kawałki krakersów z kabanosem, starał się wymyślić jakąś wiarygodną historię o swoim pobycie w nowym świecie. Nie mógł mu przecież zdradzić niczego o Wspólnocie. A Młody zapewne aż kipiał w środku, by spytać się o to, jak wiodło mu się do tej pory. Kończąc jedzenie, wyprostował się ze szklanką Coli w dłoni.

— Dziękuję za wszystko — powiedział, kłaniając się lekko w stronę Gospodarza. — Od dawna nie jadłem tak dobrze. — Przysłonił usta bo czuł, że jego mina może zdradzić to delikatne kłamstwo.

— Cieszę się — odpowiedział natychmiast chłopak. — Więc? Co się z tobą działo? — spytał z wyraźną niecierpliwością w głosie.

Mimo że nie czuł od niego podstęp, nie był pewien, ile tak naprawdę może mu zdradzić. Miał już jakąś wiedzę na temat tego świata. Czy jeśli zdradzi mu zbyt dużo, będzie to podejrzanę? Albo w drugą stronę. Czy będzie to podejrzanę, jeśli uda zbyt głupiego i nieobeznanego? Zamilkł przez chwilę. Było oczywiste,

że nie mógł powiedzieć nic o tym, że jest członkiem Wspólnoty. Jej lider Krzak był w końcu dezertorem z Armii Daniela. Musiał wymyślić jakąś wiarygodną bajkę. I to natychmiast.

— Po tym, jak się rozdzieliliśmy, kiedy ty zdecydowałeś się pójść do domu, Autobus do Wolności zawiózł mnie do pewnej grupy ludzi. Niestety nie przyjęli mnie. Nie znałem tam nikogo, kto mógłby ich przekonać, że jestem warty czegokolwiek. — Dziki podniósł puszkę Coli do ust, udając, że pije.

Dobrze mu szło, bo chłopak kiwał głową z dosyć poważną miną. Musiał być okropnie łatwowierny, albo wymyślanie stało się u Dzikiego dawno nieodkrytym talentem.

— Nie miałem tam czego szukać, więc włóczyłem się trochę w okolicach bloków. Tam też spotkałem Weronikę, znamy się jeszcze ze starego świata... — zaznaczył, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. — Podróżowaliśmy razem, żywiąc się tym, co znaleźliśmy w prywatnych domach i jakoś to szło. Aż do wczoraj. To, co się działo, totalnie nas zaskoczyło. Kto by pomyślał że te cholerstwa zaczną wyłazić na ulice. Uciekając przed Niewykształconymi, trafiliśmy w pobliże H-Marketu — powiedział, udając zdezorientowanie.

— Rozumiem. Nie było wam łatwo — powiedział chłopak, spoglądając w stronę Dix. — A broń jak zdobyłeś? Zaskoczyło mnie, jak zobaczyłem, że celujesz z pistoletu do tamtych kolesi. Oprócz nas obrońców nie widuje się w strefie nikogo z bronią. Nie jest o nią łatwo. — Młody spoglądał na Dzikiego z wyczekującą miną.

Dziki znowu podniósł Colę do ust, przez chwilę pomyślał, by okłamać chłopaka i powiedzieć, że to tylko zabawka. Z drugiej strony gdyby chciał ją obejrzeć i tak wszystko by się wydało.

— Pistolet? Należał do mojego wujka, był policjantem w Krańcowskiej komendzie. Wiedziałem, że ma go w domu, bo pokazywał mi go kilka razy.

— Chłopak najwyraźniej to łyknął, bo pokiwał znów głową.

— No to miałeś sporo szczęścia. Ale jak nie przyjęli cię do Wspólnoty, to czemu nie przyszedłeś tutaj? — zapytał ponownie.

— Ze względu na Weronikę. O tym miejscu nie krążyły najlepsze pogłoski. Ale jak ty tu trafiłeś? Mylę się, czy mieszkałeś może w tej okolicy? — zapytał tym razem Dziki, chcąc odwrócić uwagę od swoich szytych grubymi nićmi historii.

— Tak właściwie, to tak, mieszkałem kiedyś po tej stronie miasta — powiedział, wskazując kciukiem gdzieś za swoimi plecami. — Nie ukrywam, że pierwsze dni miałem naprawdę ciężkie. Po tym jak rozstaliśmy się na przystanku

rzeczywiście, chciałem wrócić do domu. W starym świecie mieszkałem przy Kinie Robotnik, kawałek drogi za cegielnią — wyjaśnił chłopak, sięgając ręką po paczkę chipsów. — Po drodze natrafiłem na Strefę Głodu, było tu całkiem sporo ludzi. Pomyślałem, że w dużej grupie będę bezpieczny. Ale to nie do końca była prawda. Już pierwszego dnia zostałem napadnięty i pobity przez cherlaków. Myśleli, że skoro dopiero co wypadłem, to mogę mieć przy sobie coś wartościowego. Zabrali mi cały prowiant, który dostałem na drogę od Kuby — powiedział, zwieszając głowę i zaciskając oczy, jakby chciał wymazać z głowy tamto wspomnienie. — Noc spędziłem, liżąc rany w szałasie, którego właściciel już dawno opuścił ten świat. Dopiero następnego dnia wieczorem odważyłem się wyjść na zewnątrz. Natrafiłem akurat na porę karmienia. — Chłopak przegryzł garść chipsów. Widać było, że jego oczy stały się jakieś dziwne, jakby wspomnianie tych wydarzeń dużo go kosztowało.

Dziki nawet przez chwilę miał wrażenie, że dzieciak zacznie płakać, ale chyba praca w obrońcach czegoś go nauczyła, bo odchrząknął i znów kontynuował swoją opowieść:

— Wtedy stało się coś dziwnego. Jeden z obrońców wywołał mnie z kolejki. Na początku bałem się jak diabli i byłem w szoku równocześnie. Jak się okazało, dostałem zaproszenie do Gorgoru. Możesz nie wiedzieć co to jest. To budynek, w którym mieszka Daniel razem ze swoją elitą, braćmi.

Ton, jakiego użył, nie spodobał się Dzikiemu. Był trochę zbyt fanatyczny. Chłopak wyglądał i zachowywał się jak dzieciak, który relacjonuje spotkanie z piłkarzem ze swojego ulubionego klubu. Dix poprawiła się na siedzeniu obok niego nerwowo. Wiedział, że chciała się stąd ulotnić jak najszybciej. Skoro Młody był tak łatwowierny, musiał tylko wymyślić dobrą wymówkę, by dać im szansę na opuszczenie tego miejsca.

— No i co tam się stało? W tym Gorgorze? — spytał Dziki, starając się brzmieć na zainteresowanego. Tak naprawdę chciał jednak nieco przyśpieszyć tę rozmowę, bo najwidoczniej chłopak zamknął się na chwilę w swoim świecie.

— Och — młodzik wyrwał się z zamyślenia kontynuował — Okazało się, że Daniel chce ze mną porozmawiać. Brat, który mnie do niego prowadził, wyjaśnił, że dzięki tej rozmowie mogę stać się kimś ważnym. Więc spotkaliśmy się ja i sam Daniel. Byłem jednym wielkim nerwem, człowieku. Nie wiem, ile słyszałeś na jego temat, ale możesz mi uwierzyć, że to naprawdę normalny facet — powiedział dalej tym samym zafascynowanym tonem. — Rozmawialiśmy dość długo o różnych rzeczach, jak tu dotarłem, co spotkało mnie na cmentarzu... Zadawał mi też sporo pytań o tego gościa, który nam wtedy

pomógł. Co najdziwniejsze, wiedział o mnie naprawdę dużo. Byłem w szoku.

— Spotkaliście się wcześniej? W starym świecie? — zapytał zaintrygowany Dziki. Zastanowiło go to co nieco.

— No właśnie nie, a pomimo to znał mnie prawie na wylot. Moje zainteresowania, do której szkoły chodziłem. Powiedział nawet, że też jestem fanem Magicznych Gier Karcianych. Rozmawialiśmy nawet o tym, jak buduje się talie, dopytywał o moje ulubione buildy. Człowieku, jakbym poznał dawno utraconego brata — powiedział zafascynowany młodziak. — Naprawdę niesamowity człowiek.

— No, ale ktoś mu o tobie opowiedział? No bo inaczej, skąd wiedziałby tyle? — dopytywał dalej Dziki, bo czuł, że chłopak pomija jakiś ważny szczegół.

— I to jest właśnie najlepsze. Daniel wie WSZYSTKO o każdym, kto pojawił się w strefie. Ba! On prawie natychmiast dowiaduje się, że jest tu ktoś nowy.

Dix drgnęła w tym momencie, nerwowo zerkając przerażona w stronę drzwi.

— Przepraszam, skorzystam z ubikacji — powiedziała cicho, zachrypniętym nieco tonem.

Dziki spojrzał na nią pytająco, ale minęła go i ruszyła w stronę łazienki.

— Oczywiście, tylko użyj na koniec wiadra. W budynkach nie ma bieżącej wody. To te drzwi po prawej stronie — zawołał za nią chłopak, obserwując jak po chwili znika w korytarzu. — Wszystko z nią gra? — spytał, spoglądając na Dzikiego.

— Mam nadzieję — odparł, wzdychając jakby, zmartwił się bardziej niż ktokolwiek. — Dajmy jej chwilę. Więc co było dalej? — spytał Dziki spokojnym głosem, choć zachowanie Dix dość mocno go zaniepokoiło.

— No więc, już po rozmowie wróciłem do strefy. Niestety szalas, w którym spałem został już zajęty. Kręciłem się więc jakiś czas po okolicy i wtedy przyszedł do mnie Okularnik. On odpowiada za oddziały obrońców. Przyszedł mi oznajmić, że dostałem przydział do ochrony marketu — powiedział z dumą.

— Tak po prostu? — zapytał zaskoczony Dziki.

— Wiem, że to dziwne, ale tutaj tak jest. Jak Daniel zaprosi cię na rozmowę, to na dziewięćdziesiąt procent dostaniesz przydział w jakiejś ważnej strukturze — odpowiedział mu Młody.

— I zawsze to tak wygląda? — zapytał dociekliwie.

Coś mu w tej historii nie pasowało. Chłopak widocznie zastanowił się przez chwilę.

— Więc wyjątkiem jest bandera. Do niej rekrutuje taki Maciejewski. Ogromny koleś, na pewno od razu byś go poznał, ale to zupełnie inny sort. Nikt z bandery nie awansował wyżej w strukturze Armii. To tylko taka masa do brudnej roboty.

To nie była jednak odpowiedź, jakiej Dziki oczekiwał. Mógł się spodziewać, że Daniel nie przywiązuje wielkiej uwagi do bandery, skoro nawet nie przestrzegali oni jego zasad.

— Rozumiem — stwierdził Dziki. — Nie zrozum mnie źle, ale jak myślisz, dlaczego Daniel awansował właśnie ciebie?

— Chyba przez to, kim byłem w starym świecie — powiedział znów, zamyślając się chwilę. Podrapał się po całkiem gładkiej brodzie. — Ludzie tutaj mówią, że w Strefie Głodu jest pełno byłych urzędników, dzieci bogatych rodziców itp. Natomiast całą ochronę H-Marketu stanowią zwykli ludzie. Chodzi taka pogłoska, że Daniel nienawidzi ludzi, którzy odnieśli sukces, albo raczej mieli łatwo w życiu...

„Albo takich, którzy mogliby mu się postawić” — pomyślał Dziki, przypominając sobie słowa Dix.

— Więc powiedz, co zamierzasz... — zaczął ponownie chłopak, ale przerwał, słysząc otwieranie się drzwi od mieszkania.

Dziki obrócił się i zbladł momentalnie. Choć widział go tylko raz na plakacie przy przystanku, nie mógł to być nikt inny. Krótko obcięty, z ostrymi rysami twarzy, które w połączeniu z noszonym przez niego mundurem nadawały mu wyjątkowo poważny wygląd. Spod podwiniętych rękawów wojskowej bluzy wystawały naznaczone bliznami umięśnione ręce, które sprawiały, że przypominał jakiegoś wojennego weterana. Dziki wstał odruchowo z miejsca, podobnie jak młody, który wyprostował się prawie na baczność. Nie mogło być pomyłki, właśnie stał oko w oko z Danielem.

— Ku chwale, bracie! — zawołał Młody, kłaniając się lekko stojącemu w drzwiach przywódcy Armii.

— Ku chwale, Tyzak. — Mężczyzna wyciągnął swoją długą rękę, witając się z chłopakiem. — Dostałem już informację, że masz gości, postanowiłem więc przywitać ich osobiście. — Po tych słowach oczy wodza zwróciły się w stronę Dzikiego.

Daniel miał bardzo przenikliwe spojrzenie. Dziki odniósł wrażenie, że prześwietla go na wskroś. Spojrzał niepewnie, jak mężczyzna wyciąga dłoń również w jego stronę. Nie mając wyboru, ścisnął rękę przywódcy Armii. Być może był to tylko przypadek, ale poczuł, że ich ręce zgmiotły się zbyt mocno, jak

na zwyczajne powitanie.

— Spocznijmy, panowie, przecież nie będziemy tak stali. — Bez żadnego zahamowania, czy krępacji Daniel zasiadł na wolnej pufie i złapał za butelkę oranżady. — Poczęstuję się — rzucił bardziej w powietrze niż do młodego i nie czekając na odpowiedź, złapał spory łyk. — Wydawało mi się że nie byłeś sam, towarzyszyła ci chyba jakaś dziewczyna? — spytał, odrywając usta od butelki.

— Eee... tak, jest teraz w łazience — odpowiedział Dziki niepewnie, siadając na swoim miejscu.

„Jak mogło do tego dojść?” — ta myśl odbiła się echem w głowie Dzikiego. To był chyba najgorszy z możliwych scenariuszy. Nawet jeżeli sprowadzenie ich tutaj przez młodego vel Tyzaka nie było zaplanowaną pułapką, to teraz tylko wejście do toalety dzieliło ich od zdemaskowania. Daniel zerknął ze znudzoną miną w stronę drzwi, a potem spojrzał się badawczo na Dzikiego.

— Więc powiedz, jak ci się podobają moje włości? — zapytał zadowolonym tonem, sięgając po kolejne opakowanie z jedzeniem, już nawet nie pytając Gospodarza. — Częstuj się, wyglądasz, jakbyś nie jadł ostatnio zbyt dobrze — stwierdził po chwili.

Dziki sięgnął po puszkę i uniósł Colę do ust. Jakie mieli teraz szanse? Czy Daniel będzie chciał zostać i na siłę przywitać się z Dix? A może, jeżeli będzie rozmawiał z nim dość długo, ten się znudzi i pójdzie? A może to była tylko gra i dowódca Armii doskonale wiedział, że za drzwiami skrywa się liderka Defektu? W głowie szumiało mu od miliona pytań na sekundę. Czuł też, że robi mu się gorąco. Spojrzał w stronę młodego. Ten spoglądał na Daniela, jakby widział w nim jakieś bóstwo. Odjął w końcu puszkę od ust i odetchnął.

— Cherlacy w Strefie Głodu są straszni. Słyszałem, że już pierwszego dnia napadli i ograbili Tyzaka.

Dziki zwrócił na to uwagę, bo była to jedyna rzecz, która przyszła mu do głowy o tym miejscu, a która mogła nie urazić Daniela, co jak podejrzewał, mogłoby się źle dla niego skończyć. Jednocześnie gdy wódz łapał kolejny łyk oranżady, spojrzał w stronę drzwi od łazienki. Co teraz robiła Dix? Czy już wiedziała, w jakim są położeniu? Ze środka nie było słyhać nawet cichego szmeru. Daniel beknął dość głośno, kończąc picie.

— Tak, są straszni. To właśnie dzieje się z ludźmi bez kręgosłupów moralnych, którzy tracą swój status. Królowie dawnego świata, którzy czerpali garściami z życia, zdegradowani do roli żebraków. Tym właśnie jest Strefa Głodu — powiedział, poważniejąc na chwilę. Pokiwał głową, jakby właśnie coś sobie przypomniał. — Hej, z tą twoją koleżanką wszystko gra? Długo już tam

siedzi? — zapytał, ścisząc głos, najwidoczniej nie chcąc, by Dix to usłyszała.

— Długo nie mieliśmy, co włożyć do ust. Może po prostu ilość jedzenia ją przytłoczyła — powiedział wymijająco, robiąc minę wyjątkowo umartwioną. — Dajmy jej jeszcze chwilę. — Również ściszył głos, a Daniel pokiwał głową, podobnie jak Młody. — A wracając do Strefy Głodu... — podjął ponownie temat, w nadziei, że jednak mężczyzna się znudzi czekaniem i wyjdzie — to znaczy, jesteś pewien, że są tutaj tylko tacy ludzie? No wiesz, mam na myśli, czy słusznie ich tak wpychać do jednego wora? W końcu Tyzak też na początku trafił do strefy, ale go wyłowiliś spośród tej całej hałastry...

— O tak. W strefie nie gnije nikt, kto na to nie zasłużył. Mam, że się tak wyrażę, wyjątkowy talent do wychwytywania wartościowych ludzi. Ale ciebie jeszcze nie zdążyłem poznać — powiedział i wskazał na Dzikiego palcem ze uśmiechem błakającym mu się po twarzy.

Dziki znów poczuł na sobie ten przewiercający na wskroś wzrok. Daniel był specyficzną personą i to Dziki od razu zauważył. Bez wątpienia był człowiekiem charyzmatycznym, ale jednocześnie brakowało mu ogólnej ogłady. Nie wydawał się być typowym przywódcą, czy liderem.

— To jest Dziki, opowiadałem ci o nim, bracie. To właśnie on uratował mnie wtedy w szkole — wtrącił młody.

Daniel spojrział w stronę dzieciaka, a potem znów na Dzikiego.

— Doprawdy? — Uniósł jedną z brwi, co sądziło najwyraźniej o większym zainteresowaniu. — Więc powiedz mi, co słyhać w Autobusie do Wolności? Jak miewa się Kuba? — pytanie załatywało takim cynizmem, że Dziki prawie się zaśmiał.

Co było nie tak z Kubą? Skoro ani Dix, ani Daniel za nim nie przepadali. Czuł wewnątrz coraz większe podenerwowanie, choć miał wrażenie, że udało mu się zachować kamienną minę. Czy sama znajomość z Kubą mogła mu zagrozić? Przecież nie był pierwszym, któremu pomógł. Tyzak w końcu też tam z nimi był, a teraz jest w jednym z ludzi Daniela.

— Nie ukrywam, że dostałem od nich delikatną pomoc i radę od samego Kuby.

— Radę? Jaką to radę? — znów zakpił Daniel, a jednocześnie wydawał się wyjątkowo rozbawiony.

Dziki nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

— Powiedział, żeby trzymać się z dala od twojej Armii. — stwierdził zdawkowym tonem.

— Tak, słyszałem już od Tyzaka, że Kuba lubi zasiać negatywną propagandę

na mój temat — westchnął, wyciągając przed siebie swoje odziane w wojskowe buty nogi i skrzyżował ręce na piersi. — Ja przynajmniej nie jestem pieprzonym hipokrytą i wbrew temu co mówi, w Armii krew nie leje się strumieniami. Po prostu ja nie udaję, że dbam o tych, na których mi nie zależy. — W tym momencie wskazał ręką na Młodego. — Widzisz tego chłopaka Dziki? Kuba skreślił go, wiem o tym doskonale — stwierdził pewnie. Po tych słowach podniósł się z miejsca i stanął obok odzianego w czerń obrońcy. Oparł się na jego prawym ramieniu i wlepił swoje spojrzenie prosto w Dzikiego. — Pomógł mu tylko ze względu na ciebie, prawda? A tobie pomógł tylko po to, byś nie trafił do mnie. Kuba nie chce, żeby moja Armia wzmacniała się o wartościowe jednostki. Ale wiesz co? Ja zrobię mu na złość i pokażę jemu i tym wszystkim, którzy nazywają się weteranami, ile potrafią ludzie, których uznali za słabych i bezwartościowych. — Po tych słowach poklepał Tyzaka po plecach, a Młody naprężył się dumnie, trudno mu było ukryć uśmiech na twarzy.

Daniel w tym czasie znów sięgnął po jedzenie ze stołu. Otworzył sobie paczkę orzeszków. Przeszedł się po pomieszczeniu i ewidentnie zaniepokojony ciszą z łazienki, wskazał kciukiem na drzwi.

— Jeśli za chwilę nie wyjdzie, pójdę do niej — szepnął. Dziki ledwo powstrzymał głos przed drzeniem.

— A w Autobusie miło cię potraktowali? Słyszałem dużo interesujących opowieści o tej organizacji — spytał Daniel, siadając z powrotem na swoim miejscu i biorąc do ust garść orzechów.

— Cóż, dali mi kilka rad na początek, ale nie pozwolili zostać ze sobą zbyt długo. W sumie, bazując na przekazanej przez nich wiedzy, dotrwałem jakoś do tej pory — odpowiedział Dziki.

Daniel pokiwał głową.

— No, to raczej oczywiste, prawo trzech nie pozwala gromadzić się zbyt licznie. Dlatego mamy tutaj dość popularny motyw podróżujących razem trio-weteranów — powiedział, jakby rozmawiał o wczorajszej pogodzie. Dziki wiedział, że jako jeden z nielicznych Daniel miał potężną wiedzę na temat tego świata. Być może nawet większą niż Dix.

— Strefa Głodu przeżywa pewnie liczne najazdy? I to nie tylko takiej nocy, jak wczoraj. Taka ilość ludzi musi wabić coś codziennie, prawda? — spytał Dziki, bo zauważył, że Daniel coraz większą uwagę skupia na drzwiach od łazienki.

— O tak, takie ataki przeżywamy tutaj co dwa, trzy dni. Te sukinsyny z Krańcowa, które pomstują na mnie każdego dnia, nawet nie wiedzą, jaką

przysługę im oddaję. — Mężczyzna zmarszczył brwi, a Dziki wiedział, kogo tak naprawdę miał na myśli. Wspólnotę, rzecz jasna. — Bezpieczne strefy w całym mieście istnieją tylko dlatego, że Strefa Głodu przyciąga tabuny Niewykształconych. — Lider Armii uśmiechnął się. — Po za tym, to dzięki mnie nie mieli jeszcze okazji poznać wielu ciekawych typów naszych miastowych potworów. Tych, które próbują przedostać się dalej od strony starej cegielni — stwierdził Daniel, demonstrując Dzikemu swoje posiekane bliznami ręce. — A uwierz mi, przyjacielu, to zajadłe bękarty.

— Bierzesz udział w walkach? — spytał, gdy zobaczył, że wzrok jego rozmówcy ponownie skupił się na drzwiach od łazienki.

Daniel uśmiechnął się słysząc to pytanie.

— Oczywiście, że zabijam Niewykształconych. Myślisz, że mógłbym przewodzić tym wszystkim ludziom, gdybym nie był od nich silniejszy? — powiedział, zaciskając pięści.

Dziki był pewien, że lider Armii nie należał do najsłabszych fizycznie ludzi. Bez wątplenia prezentował się znacznie lepiej niż większość członków Wspólnoty, może za wyjątkiem Mike'a. Z drugiej jednak strony Dziki nie wyobrażał sobie, by miał jakiegokolwiek szanse z tym olbrzymem, którego widział wcześniej. Daniel, wykorzystując chwilę zamyślenia Dzikiego, zwrócił się do Tyzaka:

— Ta cisza jest trochę niepokojąca? Może sprawdzisz, czy wszystko ok? Chciałem jeszcze o coś zapytać naszego kolegę.

Dziki zbladł i spojrzał w stronę drzwi.

— Tak, oczywiście. — Młody wstał pospiesznie z miejsca i zbliżył się do drzwi łazienki i pukając, delikatnie spytał — Halo, dobrze się czujesz? Nie potrzebujesz pomocy? — Daniel w tym czasie przesypał sobie resztę orzeszków prosto do ust, odchylając paczkę, po czym zgniół ją i położył na stole.

— Tyzak powiedział, że zawsze wiesz, kiedy ktoś nowy jest w Strefie Głodu, to jakiś błąd? — Dziki wiedział, że takie pytanie jest bardzo ryzykowne i może pokazać, że wie zbyt dużo o nowym świecie jak na samotnika.

Odniosło ono jednak spodziewany efekt, chłopak i Daniel momentalnie skupili na nim całą uwagę. Zamknięta w łazience Dix nagle odeszła na drugi plan. Przełknął nerwowo ślinę, bo rozbawione dotąd spojrzenie przywódcy nagle spoważniało.

— Hmm, no proszę, więc wiesz o istnieniu użytecznych błędów — stwierdził Daniel, przyglądając się badawczo Dzikemu. Po chwili wstał z miejsca i podszedł w stronę okna. Wyjrzał zza krótkich firan na plac przed

sklepem, a potem obrócił się i oparł o parapet. — Co do twojego pytania, to pozwól, że ci nie odpowiem. To jest moja tajemnica i niech tak pozostanie — powiedział, krzyżując ręce na piersi. — Teraz ja o coś spytam. Używasz błędów, Dziki? To by mi wyjaśniło, czemu dwoje samotników nie noszących statusu weterana trzyma się tak dobrze. Przetrwaliście Noc Latarni po tej stronie Krańcowa? Godne podziwu. No to, jak to jest?

Dziki nie wiedział, co odpowiedzieć, nie wiedział nawet do końca, czym są użyteczne błędy. Bez wątpienia jednak Daniel zaczynał podejrzewać, że Dziki nie jest tym, za kogo się podaje. Musiał dać mu przekonującą odpowiedź, inaczej byliby zgubieni. Tą ryzykowną zagrywką mógł ich pogrzebać kompletnie.

— Ja po prostu miałem dużo szczęścia — powiedział, również wstając. Sięgnął do kieszeni, wahając się tylko chwilę. — Wiedziałem, gdzie znaleźć broń i trochę amunicji — powiedział demonstrując jako dowód pistolet, który wyjął z kieszeni.

Zgodnie z przewidywaniem Daniel od razu znalazł się przy nim i wyjął mu broń z ręki. Dziki spojrzał niepewnie, jak mężczyzna przed nim ogląda pistolet z uwagą, ważąc go w dłoni.

— Miałem w rodzinie policjanta, poszedłem do jego domu, kiedy tylko rozstałem się z Autobusem. — Ta sama bajka, którą sprzedał Młodemu, ciężko przeszła mu przez gardło, ledwo utrzymując swój głos na normalnym nieprzerażonym poziomie. Daniel wciąż przyglądał się broni, wyciągnął magazynek i obejrzał tkwiące w nim naboje. Po chwili jednak ku zdziwieniu Dzikiego oddał mu broń z powrotem.

— To sporo wyjaśnia. Nie pokazuj jednak w strefie, że masz coś takiego. Banderowcy ucieliby ci za to łeb — stwierdził Daniel, minął Dzikiego i grzebiąc w rozsypanych na stole rzeczach, wyciągnął batona. Tyzak w tym czasie przypomniał sobie, co miał zrobić i ponownie zapukał do drzwi łazienki.

— Heej, halo, wszystko gra? — spytał, pukając raz za razem i nasłuchując.

Daniel obrócił się w stronę chłopaka, żując batona w oczekiwaniu na odpowiedź.

Dziki poczuł, jak grunt pod nogami zaczyna mu się palić. Jeżeli Dix nie odpowie, bez wątpienia stwierdzą, że coś się stało i będą chcieli wejść do środka. Zastanawiał się, czemu nie zaczęła udawać, że wymiotuje... Na pewno byłoby to mniej podejrzane, niż przeciągająca się cisza. Mogła odszepnąć też cokolwiek... Czyżby bała się, że Daniel pozna ją po głosie?

Spojrzał na pistolet, który trzymał w ręku. Daniel był chyba bez broni, a

strzelba Młodego leżała oparta o fotel, na którym wcześniej siedział. Bez problemu zdołałby zastrzelić ich obu... ale co potem? Strażnik na dole na pewno usłyszy strzał i przybiegnie sprawdzić, co się stało. A jeżeli wcześniej zaalarmowałby innych? Nie daliby rady wywalczyć sobie drogi ucieczki. Serce zaczęło łopotać mu w piersi, a krew dudnić w uszach. Przeszedł w stronę drzwi do łazienki, może dzięki temu uda mu się ugrać jeszcze nieco czasu.

— Hej, Weronika, to ja — powiedział przez drzwi, kiedy Młody zrobił mu miejsce. — Daj chociaż znać, czy nie zemdlałaś — zawołał, a za drzwiami dało się słyszeć kopnięcie butem.

Dziki spojrzał w stronę dwójki.

— Może jednak otworzymy te drzwi i zobaczymy, czy nie zrobiła sobie krzywdy — powiedział zmartwiony już Młody.

— Masz jakieś narzędzia? Otworzę te drzwi raz dwa — powiedział Daniel, przyglądając się zamkowi.

— Zaraz coś znajdę — odpowiedział chłopak.

Dziki stał z duszą na ramieniu. Koniec. Wszystko się wyda, zginą tu jak nic. Zacisnął dłoń na broni. Zobaczył, jak Daniel odwraca się, by samemu rozejrzeć się po półkach w mieszkaniu. To był ten moment, jeśli go teraz zastrzeli...

W tym momencie drzwi od mieszkania otworzyły się po raz kolejny. Do środka wszedł niski dobrze zbudowany chłopak, ubrany w moro, które Dzikiemu przypominało krowie łaty. Stając w korytarzu, zawołał w stronę lidera Armii.

— Bracie Danielu, mamy kolejnego Heterohroma. Jesteś potrzebny — powiedział i zerknął w stronę jedzenia zgromadzonego w pudełku na stoliku.

Daniel obrócił się w stronę wyjścia, wzdychając ciężko.

— Eh, już idę, bracie Piotrze, niech utrzymają go żywego, zanim się nie pojawię — odpowiedział zrezygnowanym głosem, po czym zerknął w stronę Dzikiego. — Musisz wybaczyć, nie będzie nam dane dokończyć rozmowy...

Gdy Daniel ruszył w stronę wyjścia, Dziki poczuł, jak niewyobrażalna ulga rozlewa się po jego ciele. Momentalnie jednak zmroziło go, gdy dowódca zatrzymał się i jeszcze raz spojrzał w jego stronę.

— Gdybyś zdecydował się zostać w strefie, przyjdź do Gorgoru. Kto wie, może będę miał coś dla ciebie — zawołał Daniel, unosząc dłoń na pożegnanie. Dziki odwzajemnił gest, czując się jak w jakimś dziwnym letargu.

Uczucie ulgi po raz kolejny rozlało się po jego ciele z taką mocą, że przez chwilę miał wrażenie, że upadnie. Oparł się ręką o drzwi, żeby faktycznie nie paść. Nogi miał jak z waty. Odetchnął, przymykając powieki. Musiał się zebrać w sobie. To nie był jeszcze koniec tej śmiertelnej pułapki.

— Co to jest właściwie ten hete... coś tam? — spytał Dziki, by ponownie odwrócić uwagę Młodego od łazienki.

Ten był wciąż zajęty kopaniem po szafkach w poszukiwaniu narzędzi.

— Heteredom? To Niewykształcony ze strefy przy slumsach. Bardzo niebezpieczny — odpowiedział ogólnikowo Młody. — To nie jest teraz takie ważne. Słyszałeś, co powiedział Daniel, Dziki? Dostałeś zaproszenie. Gdybyś dostał się do obrońców marketu, to to jest po prostu raj. Uwierz mi. Spokojnie wystarczyłoby ci żołądka dla was obojga — powiedział podekscytowany, przerywając na chwilę poszukiwania.

W tym momencie Dix wyszła z łazienki. Spojrzał na nią, była blada i ewidentnie roztrzęsiona.

— Przepraszam — powiedziała bardzo cicho nieśmiałym głosem.

Chłopak nie zwrócił jednak na nią uwagi, wpatrywał się wyraźnie uradowany w stronę Dzikiego.

Po jego minie można było stwierdzić, że oczekuje natychmiastowej odpowiedzi na propozycję Daniela. Dziki po raz kolejny poczuł, że musi uważać na słowa. Tyzak był tak zafascynowany Armią, że gdyby powiedział coś nieodpowiedniego, mógłby ściągnąć na nich kłopoty... Z drugiej strony, gdyby jego odmowa nie była dosadna, Młody mógłby spróbować przetrzymać ich dłużej, by przekonać Dzikiego do pozostania. Zmarszczył przez chwilę czoło, jakby rozważał propozycję.

— Wiem, że to może być szansa... — zaczął, a twarz Tyzaka rozpromieniła — ale nie wydaje mi się, żeby to było dobre miejsce dla Weroniki — dodał, obejmując Dix i przyciskając ją do siebie.

Dziewczyna na całe szczęście grała razem z nim, opuściła głowę z wyraźnym żalem w oczach.

— Nonsens, Dziki, ona nigdzie nie będzie bezpieczniejsza jak tutaj — stwierdził Młody z oburzeniem w głosie.

— Nie rozumiesz, Tyzak — powiedział z powagą, głaszcząc dziewczynę po głowie. — Weronika, nim się spotkaliśmy, ona... — zawiesił na chwilę głos, patrząc na Młodego. — Spotkało ją coś bardzo złego właśnie tutaj... w Strefie Głodu — podkreślił, patrząc się znacząco na chłopaka.

Dziki wyciskał z siebie siódme poty, by to, co powiedział, zabrzmiało przekonująco. Miał wrażenie, że właśnie zrozumiał w jakich okolicznościach Mike mógł nauczyć się tak dobrze kłamać. Chłopak musiał chwycić przynętę, bo opuścił zrezygnowany głowę.

— Rozumiem. Przepraszam, mogłem się domyślić — stwierdził smutno. —

Są pewne rany, które się po prostu nie goją. Przepraszam, Wera — zwrócił się w stronę Dix. — Ja wiem, że sporo ludzi z Armii zasługuje na śmierć, ale oni wszyscy są nam potrzebni, eh nieważne. Zapomnij, nie będę naciskał — powiedział nieco skruszony.

Dziki niemalże w myślach odtańczył już taniec zwycięstwa.

— Naprawdę chciałbym coś dla was zrobić — dodał Tyzak.

— Więc, jeżeli chcesz mi się odwdzięczyć, tak naprawdę... — powiedział, łapiąc Dix za dłoń i pociągnął ją w stronę drzwi — odprowadź nas do wyjścia ze strefy i zadbaj, by Weronika nie musiała oglądać zbyt wielu banderowców po drodze — powiedział z przekonaniem.

Chłopak westchnął zrezygnowany i wyprostował się, zostawiając bałagan, który zrobił. Minął ich, ruszając po swoją strzelbę.

— Jasne. Ale przemyśl to dobrze. Będąc wyższej klasy żołnierzem, mógłbyś zapewnić jej bezpieczeństwo. — Podszedł w ich stronę, patrząc to na skuloną Dix, to na Dzikiego, w nadziei, że ten jednak jeszcze zmieni zdanie.

Dziki ponaglił go jednak, wychodząc na zewnątrz.

— Przemyślałem, przyjacielu — stwierdził, stając na klatce. — Daj nam tylko trochę jedzenia na drogę.

Rozdział XIII

Bolesny powrót

Pozostawiając za sobą Strefę Głodu, Dziki odetchnął z niewyobrażalną ulgą. Widział, jak Dix zerka w jego stronę, ale nic nie mówi. Pomimo że obecność Tyzaka, który odprowadził ich aż do granicy wpływów Daniela, zapewniła im ochronę przed wszelkiego rodzaju bandziorami włóczącymi się po strefie, to jednak uczucie strachu towarzyszyło mu aż do momentu, gdy znak reklamowy H-Marketu i królestwo Daniela zostało ostatecznie gdzieś daleko za blokami.

Mimo że zostali sami, Dix długo jeszcze milczała. Widać, sama nie mogła otrząsnąć się z szoku, jaki wywołała w niej niespodziewana gościna od członka Armii. Chociaż zdawała się robić kamienną minę, Dziki czuł, że musi mieć w sobie sporo złości. Wiedział, że decyzje które podejmował pod presją chwili, nie były najmądrzejsze. Z drugiej strony, kto wie, czy gdyby to wszystko potoczyło się inaczej, to czy w ogóle udałoby im się opuścić strefę? Banderowcy, którzy ich zaczepili, na pewno nie pozwoliliby im odejść. A ucieczka przed Tyzakiem nie wydawała się mu wtedy ani trochę rozsądna.

— Powinieneś zmienić sobie ksywę z Dziki na Fuks — stwierdziła w końcu dziewczyna, przerywając przeciągającą się ciszę.

Dziki spojrzał na nią, a ta z poirytowaną miną pokręciła głową, jakby chciała wyrzucić z siebie resztę złych myśli.

— Ja naprawdę nie wiem, jakim cudem wyszliśmy stamtąd żywi — dodała po chwili, poprawiając spadający jej na czoło kaptur.

— Raczej na Peszek — odpowiedział ironicznie. — Gdyby nas nie zaczepili wtedy i nie spotkalibyśmy tego Tyzaka, nie byłoby całej tej sytuacji... Ba! Podejrzewam, że prześlizgnęlibyśmy się przez Strefę Głodu i nikt by nie zwrócił na nas uwagi — stwierdził Dziki. Miał w tym momencie odmienne zdanie na temat tego, co dziewczyna nazywała jego szczęściem. — Twój plan z przebierankami był dobry, ale wyszło na to, że mam zbyt charakterystyczną facjatę...

— Co ty nie powiesz — zakpiła Dix, spoglądając na niego spod kaptura. Po chwili ciszy obydwójce parsknęli śmiechem.

— Słyszałam waszą rozmowę przez drzwi łazienki i z tego co wyłapałam, to Daniel niewiele się zmienił. Co gorsza, potwierdził moje obawy. — westchnęła

Dix marszcząc nieco czoło.

Dziki spojrział na nią z zaciekawieniem, prawie potykając się przez to o krawężnik.

— Jakie obawy? — spytał niezgrabnie, starając się złapać równowagę.

Dix odruchowo pochwyciła go za ramię, nie komentując tej chwilowej niezdarności.

— Miałam na myśli to, że Daniel i jego Armia to nasi wrogowie. Z drugiej strony samo jej istnienie jest dla nas cholernie korzystne. Za cegielnią jest spory kawałek miasta i to wyjątkowo niewykształconogeny teren. Od dawna podejrzewałam, że Strefa Głodu odciąga ten syf od rozłożenia się po naszej stronie.

Dzikiemu przyszło po tych słowach do głowy coś, co usłyszał u Tyzaka w mieszkaniu.

— Hej, właśnie! Powiedz, wiesz, co to jest ten Heterohrom? — spytał.

Dix pokręciła jednak głową, spoglądając na niego.

— Nie i to jest właśnie dowód na to, że po tamtej stronie kryje się jeszcze sporo niepoznanych zagrożeń. Ogólnie większość nazw Niewykształconych została nadana przez Drugiego i Pierwszego. Wszyscy posługują się więc tymi samymi określeniami. Czy to weterani czy żołnierze Daniela, wszyscy używają tych samych zwrotów. Znicz, Gospodarz, Delimer, Specjalista ale o Heterohomie nie słyszałam. Co znaczy, że nikt tego po naszej stronie jeszcze nie spotkał.

Dziki pokiwał głową, w pamięci odbiły mu się słowa Tyzaka odnośnie tego czegoś. „Bardzo niebezpieczny”. Jak bardzo? Czy ten Heterohrom był groźniejszy od Delimera? Starał się go sobie wyobrazić jako nieokreślonego Niewykształconego o głowę większego niż Delimer. Ciekawe, po co Daniel chciał zachować go żywego? I znów powrócił do niego obraz ND-ków z obwodnicy, czy oni chwyтали Niewykształconych z tego samego powodu?

— Wiesz co? — zwrócił się nagle do Dix, bo przypomniało mu się coś, czym chciał podzielić się od początku tej rozmowy. — Był taki moment, kiedy mogłem zastrzelić Daniela, nie potrafiłem tego zrozumieć, ale kiedy pokazałem mu broń, obejrzał ją i oddał mi z powrotem. Siwy na przykład nie pozwala nikomu z bronią przejść przez próg swojej Faktorii... A on zachowywał się tak, jakbym miał pistolet na wodę.

— Dobrze, że nie próbowałeś, to bez wątpienia nas uratowało. Dziki uwierz mi, nie dałbyś rady zastrzelić Daniela — powiedziała, klepiąc go w ramię, jakby chcąc go pochwalić za to, że jednak tego nie zrobił. — Chodź przejdziemy tędy

— dodała i skręciła w wąskie przejście między dwoma budynkami, które poprowadziło ich w stronę równoległej ulicy.

Mijając obryzgane wulgaryzmami ściany, wyszli na przeciwko pobojuwiska przy sklepie ze sprzętem sportowym. Rozbita witryna i powywalane na chodnik różne nieprzydatne śmieci świadczyły o tym, że już od dawna nie ma tu czego szukać. Po chwili milczenia Dziki postanowił wrócić do ignorancji, jaką okazał mu Daniel.

— Nie wiem, czy miałbym wyrzuty sumienia... — zaczął, ale Dix przerwała mu w pół zdania.

— Tu nie chodzi o twoją wolę. Daniel posługuje się błędami, jestem tego pewna. Jeżeli opanował je dość dobrze, to obawiam się, że miałbyś nikłą szansę... na cokolwiek.

Przeszli po szkłe z rozbitej witryny, które zatrzeszczało im pod nogami. Dziki zerknął odruchowo do wnętrza sklepu, ale nie było tam już czego szukać.

Nie dopytywał dalej o Daniela. Zagadnienie błędów było dla niego jeszcze niezrozumiałe. Jego przyjaciel Mike, czyli jedyna osoba, z którą regularnie rozmawiał o tym świecie, był do nich nastawiony niezwykle sceptycznie i raczej nie grzeszył wiedzą na ich temat.

Po kilku chwilach przeszli koło starego komisariatu. Wejście do budynku było zawałone stertą gruzu. Konstrukcja musiała zapaść się z jakiegoś powodu. Jedynym sposobem na dostanie się do środka byłoby okno obwarowane potężnymi kratami. Dziki nie widział jednak sensu w szabrowaniu tego miejsca. Z tego, co zdążył się dowiedzieć, było to jedno z miejsc oczyszczonych do cna przez samego Pierwszego. Zresztą trudno się dziwić. Dziki pomyślał, że w miejscu takim jak to, było coś, czego ludzie w tym mieście pożądamy najmocniej: broń. Pierwszy najwidoczniej zrozumiał to szybciej, niż zdążył pojawić się ktokolwiek inny. Z zamyślenia wyrwało go marudzenie Dix:

— Rany, oddałabym wszystko, żeby móc się w końcu przebrać — stwierdziła, podciągając ciągle zsuwające się męskie spodnie, które miała na sobie.

— Możemy zatrzymać się w którymś ze sklepów. Jest tu ich pełno — zaproponował Dziki, rozglądając się po witrynach butików z ubraniami, biegnących wzdłuż drogi. Niektóre z nich ciągle wyglądały na nietknięte.

Dix pokręciła jednak głową.

— No dobra, jednak to nie jest warte wszystkiego. — Wywróciła oczyma wyraźnie sfrustrowana. — Nie będziemy ryzykować spotkania z Niewykształconym dla mojego psychicznego komfortu — odparła, choć z

nieskrywanym żalem w głosie.

Przystanąli na chwilę, dochodząc do kolejnego skrzyżowania. Dix rozejrzała się uważnie, wyglądając zza witryny sklepu z zabawkami, przez którą na przetrzała miała doskonale pole widzenia na to, co działo się za zakrętem. Sklep musiał być chyba w trakcie zmiany ekspozycji, bo na wystawie i wewnątrz stały nierozpakowane pudła.

— Wolałabym ominąć aulę, ale z drugiej strony, idąc równoległą drogą, możemy trafić na koczujących w dawnej bibliotece bandytów. Cholera, czy w tym mieście nie ma ani jednej bezpiecznej drogi? — warknęła rozeźlona w stronę Dzikiego.

Najwidoczniej było to pytanie retoryczne, bo nim zdążył odpowiedzieć cokolwiek, wypaliła:

— Dobra idziemy koło auli.

Dix ruszyła przed siebie, zostawiając zaskoczonego chłopaka za sobą. Musiał mocno przyspieszyć, by ją dogonić, bo najwyraźniej chciała ten teren minąć jak najszybciej.

W starym świecie aula koncertowa była małą sceną znajdującą się tuż przy brzegu rzeki. Ukształtowanie terenu przypominające trybuny stadionu zostało wykorzystane przez radnych Krańcowa, by stworzyć tanim kosztem miejsce do organizowania miejskich imprez. W tym świecie niewiele się zmieniło, może oprócz tego, że dawniej, gdy nie było żadnych koncertów, ławki zawsze pełne były miejscowych koneserów taniego wina. Obecnie wszystko świeciło pustkami.

— Pamiętam te wszystkie durne koncerty, które organizowali z byle okazji. — Uśmiechnął się do siebie, obserwując z uwagą miejsce pod sceną.

Barierki pomalowane po raz setny kolejną warstwą olejnej farby, wyglądały tak samo obskurnie i nieestetycznie jak w starym świecie.

— A ty, przychodziłaś tutaj? — zapytał Dzikie, zezując kątem oka na drugą stronę ulicy, gdzie kiedyś znajdowała się bardzo dobra knajpa z włoskim jedzeniem.

Budynek lokalu dalej tam był, z tym że bez jedzenia i personelu. Dojrzał, jak Dix pokręciła głową.

— Ambicja moich rodziców sprawiała, że miałam w życiu o wiele mniej czasu na zabawę, niż myślisz — odpowiedziała z niezadowolona miną.

— Rozumiem, byli z tych, którzy chcieli mieć córkę kujonkę.

— Wiesz, wtedy miałam im to za złe, zwłaszcza w szkole średniej, gdy wszystkie dziewczyny miały już chłopaków. Jak zrobiłam się starsza i bardziej

pyskata, nie raz usłyszeli ode mnie sporo gorzkich słów. To na złość im poszłam do szkoły pielęgniarstwa, a oni chcieli, żebym została lekarzem...

— Łał, prawdziwa buntowniczką! — zażartował Dzik. — Zamiast na medycynę, poszłaś na pielęgniarstwo... — Po tych słowach Dix zrobiła obrażoną minę i próbowała pukać go pięścią w ramię, zrobił jednak unik, nie dając towarzysze wymierzyć kary za podśmiewanie.

— Wiem, że to brzmi głupio — dodała po chwili, rezygnując z próby ukarania Dzikiego. — Ale dla nich to i tak był dyshonor. Na więcej nie mogłam sobie pozwolić. Utrzymywali mnie w końcu. A Ty? — spytała nagle, zerkając podstępnie na Dzikiego, jakby szukała możliwości odegrania się za poprzednie śmieszki z jej osoby. — Ze mnie ciśniesz, a ty, co robiłeś zanim tu cię wyrzuciło?

— Eee, ja nie miałem takich problemów. Po szkole średniej od razu poszedłem do naszych zakładów chemicznych — odpowiedział.

W porównaniu do historii Dix czuł, że nie bardzo miał się czym chwalić.

— To właściwie miała być tylko praca na wakacje. Finalnie pewnie, gdyby nie Błysk, pracowałbym tam do końca życia. Coś tak myślę.

— Jasne, rozumiem więc, że nie lubiłeś się uczyć? — zapytała i choć pewnie miało to zabrzmieć nieco złośliwie, Dzik wcale tak tego nie odebrał.

— Byłem chyba zbyt niepokorny — odparł z przekonaniem.

Dix spojrzała na niego przez ramię z uśmiechem. Odwzajemnił go, zadowolony z tego, jak przyjemnie się z nią rozmawia. Minęli aulę bez większych problemów i ruszyli znaną Dzikiemu, aż za dobrze, drogą w stronę cmentarza.

— Pamiętam, jak uciekałem przez te bloki — wskazał dziewczynie palcem na rząd wielopiętrowych budynków.

Ta spojrzała z zaciekawieniem w ich stronę.

— No nie wiem, czy to było zbyt rozsądne — odparła.

— Wtedy tego nie wiedziałem. — stwierdził Dzik wzruszając ramionami — Czasami zastanawiałem się, co by się stało, gdybym nie przeszedł testu Kuby — dodał, zerkając na jej zamyśloną twarz.

Po tych słowach Dix niespodziewanie zmarszczyła czoło. Jej mina wskazywała, że coś wyraźnie jej się nie spodobało, choć nie miał pojęcia co.

— Więc jak było w Autobusie? Naprawdę byłeś z nimi tylko jeden dzień? — zapytała nieco chłodniejszym tonem.

— Nie do końca. To było kłamstwo dla Daniela. Tak naprawdę jeździłem z nimi przez cały tydzień, jeszcze zanim spotkaliśmy się z Mikiem — odparł.

Dix kiwnęła głową, dając znać, by przeszli na drugą stronę ulicy.

— Odniosłem może mylne wrażenie, że masz z nimi jakieś niemiłe wspomnienie...? — stwierdził niepewnie, obserwując reakcję towarzyszki.

Dix przekreśliła głowę na bok, wzdychając ciężko.

— Nie mam nic przeciwko ludziom z Autobusu. Nie zrozum mnie źle, robią coś na swój sposób szlachetnego, ale Kuba to już inna historia — powiedziała wyraźnie poirytowana.

— Słyszałem że ty i on podróżowaliście kiedyś razem — mówiąc to, pożałował, że o tym wspomniał, bo Dix zrobiła wściekłą minę.

— To był ogromny błąd z przeszłości, o którym nie chcę rozmawiać, ok? — warknęła przez zęby. — A teraz się pośpieszmy, chcę w końcu wrócić do siebie.

Dziewczyna przyśpieszyła kroku, a Dziki zrozumiał, że nie powinien był dopytywać. Przeklął w myślach to, że jego ciekawość wygrała ze zdrowym rozsądkiem. Przecież widział, jak drażni ją ten temat, po co więc go kontynuował? Zacisnął dłonie w pięści, wkładając je mocniej w kieszenie kurtki. Powinien ją przeprosić albo chociaż powiedzieć, że nie chciał jej urazić. Dix jednak nie była w nastroju do dalszej rozmowy. Szła przed siebie równym szybkim krokiem. Musiał sam narzucić sobie szybsze tempo, bo dystans między nimi coraz mocniej się pogłębiał. Ruszył do przodu, doganiając ją w końcu. Dziewczyna zaciągnęła na głowę kaptur tak mocno, że nie mógł dostrzec jej twarzy. Musiała być naprawdę zła. Szedł więc w milczeniu, obserwując okolice cmentarza. Stwierdził, że danie jej czasu na ochłonięcie będzie teraz najlepszym wyjściem.

Omiótł wzrokiem teren dookoła nekropolii. Uderzyła w niego myśl o dziewczynie, którą spotkał zaraz po przybyciu. Czy gdyby wiedział to co teraz, byłby w stanie jej pomóc? Czy miałoby to jakikolwiek sens, przedłużyć jej męczarnie w tym chorym świecie? Zastanawiał się, czy jej ciało dalej leży na cmentarzu? Czy też zostało już zabrane przez Niewykształconych zwanych Grabarzami? Próbował coś dojrzeć przez płot, ale z zamyślenia wyrwała go ręka Dix, na którą nadział się niczym na szlaban. Nabrał powietrza, by spytać, co się dzieje, ale dziewczyna powstrzymała go gestem. Dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. W oddali słychać było głosy. Grupa ludzi rozmawiała ze sobą. Dix pochyliła się nisko i idąc przy murku doszła do jego krawędzi, to samo zrobił Dziki. Przyklęknęli obydwójce, podsłuchując dobiegającą rozmowę.

— ...wyraźnie widoczni i to w tylu różnych miejscach — stwierdził jakiś kobiecy głos zaledwie parę metrów od nich.

— Ale pomyśl o tym, gdyby jednak mu się udało, jakie to otwiera

możliwości — odezwał się drugi głos, tym razem męski.

Dziki zmarszczył brwi, nasłuchując uważniej. Skądś kojarzył ten głos, Dix spojrzała na niego pytająco.

— Czy mu się uda, czy też nie, zabawa będzie i tak przednia — stwierdził trzeci wyjątkowo podekscytowany i rozbawiony towarzysz tej grupy.

Tak charakterystyczny i jedyny w swoim rodzaju głos był znany nie tylko Dzikiemu, ale i zaskoczonej Dix. Przesłodzony, zniewieściały głosik, który mógł należeć tylko do jednej osoby.

— Siwy! — zawołał Dziki, wychodząc zza muru, nie zważając na zszokowaną dziewczynę, która wciąż kryła się obok niego.

Trzy postacie odwróciły się jak na komendę w jego stronę. Oprócz dobrze Dzikiemu znanej osobistości Siwego, był tam jeszcze mężczyzna, w którym Dziki rozpoznał rudowłosego Szymka strażnika Bajkolandii oraz o dziwo kobieta.

Z wszystkich postaci, to właśnie ona wydawała się Dzikiemu nie do końca na miejscu. Nosiła na sobie strój moro w niebieskim kolorze, a twarz skrywała za półmaską podobną do tych, jakich używało się w lakierniach samochodowych. Na widok wyłaniającego się zza muru Dzikiego od razu chwyciła za pistolet, który nosiła w kaburze przy pasie. Powstrzymał ją jednak właściciel Faktorii, który wystrzelił przed nią, sylabizując z każdym krokiem.

— Dzikusek? O mój... Jejciu... — Pan Bajkolandii uścisnął rękę Dzikiego jak panienska.

Mina jego towarzyszy wskazywała na to, że o całej tej sytuacji myślą dokładnie to samo, co Dziki.

Ten nie dał jednak nic po sobie poznać i z uśmiechem ukłonił się lekko Siwemu, jak zwykle robił to Mike.

— Rany! Dzikusku, wyglądasz okropnie i gdzie Majkuś? Nie powiesz chyba, że te obdartusy wyrzuciły cię ze Wspólnoty, co? — zawołał Siwy, wpatrując się w jego twarz, jakby chciał z niej wyczytać jakąś smutną, łzawą historię.

— Nie, nie — zaprzeczył natychmiast Dziki, unosząc dłonie przed siebie, tak by mieć możliwość w razie potrzeby zatrzymania mężczyzny, gdyby ten jednak zdecydował się na coś głupiego. Na samą myśl wczorajsze placki i jedzenie z marketu przewróciły mu się w żołądku. — Spokojnie, mieliśmy trochę kłopotów przez Noc Latarni i próbujemy wrócić do siebie.

— Mieliśmy? — powtórzył niczym echo Siwy, nieco zdezorientowany, kiedy usłyszał liczbę mnogą. — Przebiegł swoimi nienaturalnie błękitnymi

oczami w dół i spostrzegł ciągle jeszcze skrytą za murem Dix. — A cóż to za niebożątko ci towarzyszy? — spytał z politowaniem.

Dix podniosła się z kucek i stanęła za prawym ramieniem Dzikiego. Siwy z ciekawością i jakimś dziwnym błyskiem zerkał na nią przez chwilę, ale przez kaptur nie był w stanie dojrzeć dostatecznie dobrze jej twarzy. Odchrząknęła i odpowiedziała bardzo cicho:

— Jestem Weronika. Ja i Dzikie znamy się ze szkoły ze starego świata, pomógł mi wydostać się ze Strefy Głodu.

Siwy wysłuchał jej zgrabnego kłamstwa z wyraźnie nikiem zainteresowaniem, gdy tylko do jego uszu dobiegł damski głos.

— Hm, no tak, to bardzo miłe z jego strony — stwierdził wyraźnie znużony, podpierając się pod bok. Zerkał na paznokcie u drugiej z dłoni, po czym znowu spojrzął w stronę Dzikiego z uśmiechem. — Słuchaj, Dzikusku, jeżeli czujesz się niepewny, no wiesz, w waszej dalszej drodze, to chętnie odprowadzimy was do Wspólnoty. Tylko musimy skończyć tutaj jedną sprawę.

Kiedy Siwy odruchowo spojrzął na drogę obok cmentarza, Dix kopnęła Dzikiego w kostkę.

— Byłoby mi niezwykle miło, Siwy, ale muszę jeszcze znaleźć miejsce dla mojej koleżanki, a nie chcę marnować też twojego cennego czasu — odparł uprzejmie, podchwytyjąc aluzję liderki Defektu.

— Och, rozumiem, rycerz do bólu — stwierdził z westchnieniem blondyn. — No szkoda, liczyłem na to, że będę miał jeszcze możliwość pokazać ci, jak sprawuje się Modrzew w swojej nowej roli — zachichotał, zasłaniając usta koniuszkami palców.

Dzikie uśmiechnął się krzywo, udając, że dał się na to złapać. Jednocześnie spytał:

— Nowej roli? — Jego wzrok pobiegł w stronę towarzyszy Siwego i biegnącej za nimi drogi. W starym świecie prowadziła ona do miejsca nad rzeką, gdzie weekendami zjeżdżali się wędkarze. Woda była tam dość płytka. Dzikie pamiętał, że gdy był młody, parę razy zdarzyło mu się próbować swoich sił w przepławianiu się piechotą na drugi brzeg, podczas zimy i nie tylko.

— No tak, marny był z niego pożytek jako maskotka, nieprzyjemnie pije się herbatę w towarzystwie kogoś, kto rzuca tyle nienawistnych spojrzeń — stwierdził Siwy teatralnie smutnym głosem, jakby naprawdę czuł się głęboko zraniony.

— Teraz Modrzew bada dla nas możliwości przedostania się na drugi brzeg...

Tuż obok Dix poruszyła się nerwowo. Widać słowa Siwego musiały być dla niej w jakiś sposób interesujące. Dziki zerknął w tamtą stronę i ponownie na Siwego, uśmiechając się sztucznie. Ten odwzajemnił gest, trzepocząc przesadnie rzesami.

— Cóż, w takim układzie życzę sukcesów. No i do rychłego zobaczenia, mam nadzieję.

Dziki skłonił się nisko i łapiąc Dix za rękę. Ruszył w stronę Wspólnoty, odprowadzony trójką spojrzeń i nachalnym machaniem ze strony blondyna.

— Pa Pa Pa Dzikusku!—

Dix szła tak szybko, jakby bała się, że Siwy nagle rzuci się za nimi w pościg. Dopiero gdy po kilku minutach zniknęli za najbliższymi blokami, dziewczyna wyszarpnęła swoją dłoń i załapała Dzikiego za połę jego ciemnej kurtki, uderzając zaskoczonym chłopakiem o ścianę.

— Co ty sobie do cholery myślałaś, Dziki? — warknęła wściekle w jego stronę.

Spojrzał na nią w takim szoku, że przez chwilę zapomniał, jak się mówi. Szczególnie, że pchnięcie z jej strony nie należało do najłżejszych.

— Czekaj, ale o co chodzi? — zapytał zdezorientowany tym nagłym atakiem z jej strony. — Przecież to Siwy. Wspólnota handluje z nim, ja z nim handluję. Wiem, że jest straszny, ale swoich klientów nie...

— Swoich klientów? Dziki, wiesz kim jestem? A wiesz, z kim jeszcze handluje Siwy oprócz Wspólnoty? Z ARMIĄ DANIELA! — powiedziała, podnosząc głos, by dobitnie dać mu do zrozumienia, jaką głupotę zrobił.

Dziki otworzył delikatnie usta, nie mogąc cały czas zrozumieć, o co cały ten raban. Widząc jego bezwiedną minę, Dix spuściła nieco z tonu, wypuszczając ze świstem powietrze. Odsunęła się od niego i przetarła dłonią twarz.

— Dziki, posłuchaj. Daniel i Siwy mają ze sobą bardzo dobry układ. Myślisz, że dlaczego w ogóle handlują ze sobą? Przecież Armia mogłaby przejąć Bajkolandię siłą. Nie mają do niej tak daleko, jak do Wspólnoty, jest w niej tylko kilku ochroniarzy, za to ile fantów. Oczywiście, że Siwy handluje ze Wspólnotą. Siwy handluje z każdym. Zobacz jednak, w jakiej jesteśmy sytuacji, praktycznie bezbroni, sami, we dwoje. Wiesz, co dałby mu Daniel za moją głowę? Wszystko. Dociera teraz do ciebie? — zapytała wyraźnie zirytowana.

Dla Dzikiego dopiero teraz stało się jasne, czemu Dix tak się wściekła. Sam myślał, że Siwy jest po prostu neutralny i jedyne, na czym mu zależy, to życie w swoim małym królestwie. Powinien był jednak przewidzieć, że to nie może być takie proste.

— Przepraszam, ja naprawdę nie wiedziałem, że to cię naraża... — podjął, by w końcu wyjaśnić całą sytuację i swoje zachowanie.

Dix położyła rękę na jego ramieniu, spoglądając jak na dziecko, które nieświadomie zepsuło w domu coś cennego.

— To już nieważne. Jesteś tu jeszcze zbyt krótko, by wiedzieć o wszystkim — odparła już bardziej normalnym tonem. Ruszyła przed siebie, spoglądając na niego przez ramię i kiwając głową. — Cóż, przynajmniej dowiedziałam się czegoś pożytecznego — stwierdziła po chwili, kiedy przemierzali ponownie jezdnię przez przejście dla pieszych.

— To znaczy? To coś istotnego? — zapytał.

— Tak, właściwie nawet bardzo istotnego. Wygląda na to, że istnieje szansa na przedostanie się na tamtą stronę. Skoro Siwy poświęca swoją zabawkę, to znaczy, że musi mieć jakieś konkretne podejrzenia.

— Albo być może chce się zabawić, po prostu go męcząc. Ot tak, wiesz, Siwy nie jest do końca zrównoważony — stwierdził Dziki. — I nie mówię tu tylko o orientacji.

— Znasz tego chłopaka? Tego, o którym mówił? — spytała nagle Dix, obserwując badawczo Dzikiego.

— Nie — skłamał Dziki, czując, że jego wyrzuty sumienia po raz kolejny wracają. — Widziałem go tylko, jak przychodziłem coś sprzedać, siedział przypięty do tego jego tronu... Chyba czymś ostro podpadł — powiedział to, nie patrząc na nią.

Najwidoczniej kłamstwo było wiarygodne, bo usłyszał zaraz od Dix:

— Albo spodobał się blondasowi i odrzucił jego chore zaloty...

— Może... — rzucił Dziki, jakby to nie było nic ważnego. Prawda była jednak taka, że chciał jak najszybciej zakończyć ten temat.

Sprawa Modrzewa często wracała do niego. Był to jeden z tych etapów życia, o których wolałby raz na zawsze zapomnieć. Niezależnie od tego, jak wiele przywłaszczył sobie ten nieszczęśnik, nie zasługiwał na los, który go spotkał, a do którego Dziki tak mocno się przyłożył. Coś zakuło go wewnątrz na samą myśl. Przez chwilę zastanowił się, czy Mike też się tak nad tym rozwodzi. Jemu zdecydowanie łatwiej było chyba nad tym przejść do porządku dziennego. By ostatecznie zakończyć temat. Spytał o coś, co zaciekało go, kiedy tylko natknęli się na Siwego.

— Wiesz kim była ta dziewczyna?

— To była Zjawa — odpowiedziała Dix bez namysłu.

Dziki miał wrażenie, że już kiedyś słyszał ten pseudonim, ale nie mógł sobie

przypomnieć gdzie.

— Ona jest kimś ważnym?— Spytał.

— Może niekoniecznie ważnym. Jest weteranką tak, jak ja. Wydaje mi się, że musiałyśmy pojawić się w podobnym czasie — powiedziała Dix, rozglądając się po oknach starego sklepu RTV, obok którego przechodzili. — Szkoda, że nie spotkałam się z nią w innych okolicznościach. Zawsze chciałam z nią porozmawiać.

— Czemu?

Dix spojrzała w kineskop telewizora stojącego na, o dziwo całej jeszcze, wystawie.

— Weterani znają dużo sekretów, Dziki — stwierdziła, przyglądając się swojej twarzy odbijającej się w ekranie odbiornika. — Problem w tym, że niewielu chce się tą wiedzą dzielić, a zawsze jest szansa, że ktoś, kto jest tu dość długo, dowiedział się o defekcie czegoś, czego ja nie wiem — mówiąc to, dziewczyna położyła z jakiegoś powodu rękę na swojej piersi, gdy jednak dostrzegła, że Dziki się jej przygląda, odeszła szybko od witryny. — Szkoda, mogę już więcej nie mieć okazji. Zjawa raczej długo nie odejdzie od Siwego. W żadnym innym miejscu nie będzie miała lepiej. A do tego ma pewność, że różowy nie będzie jej nagabywał — westchnęła z wyraźnym zawodem, prowadząc ich dalej wzdłuż chodnika.

Wspólnota była już naprawdę blisko. Teraz musieli tylko wybrać jedną z dwóch dróg. Pierwsza prowadziła przez rondo obok parku i wiaduktu nad torami kolejowymi. Tą samą drogą Dziki przyjechał do Wspólnoty Autobusem do Wolności. Druga zaś biegła obok przedszkola i całej gromady bloków. Tędy z kolei przeprowadzał się razem z Mikiem i Modrzewem na taczkach.

— Chyba pójdziemy koło przedszkola. Przy parku kręci się za dużo włóczęgów, a my wyglądamy na łatwe cele — zdecydowała w końcu Dix, nie pytając nawet Dzikiego o zdanie.

— Szczerze mówiąc, tylko raz widziałem grupę kręcącą się okolicy parku — stwierdził. — Droga tamtędy wydaje mi się szybsza.

Dix zastanowiła się przez chwilę, obracając głowę wyraźnie zamyślona.

— Jesteśmy po Nocy Latarni, teraz może być naprawdę różnie, jacyś uciekinierzy mogą małymi grupami wracać do swoich koczowisk, tak jak my teraz — stwierdziła w końcu po chwili namysłu.

— Ok, niech więc będzie droga koło przedszkola — odpowiedział, przytakując dziewczynie.

Sam jednak nie był do końca przekonany. Dziwne przeczucie przebiegło mu

po plecach. Tak jak w momencie, kiedy czujesz, że jesteś przez kogoś obserwowany. Rozejrzał się do tyłu, ale nikogo ani niczego nie dojrzał.

Ruszyli asfaltem, zostawiając za plecami centrum miasta. Dookoła nich powoli wyrastały charakterystyczne bloki o okrągłych fasadach. Z daleka widać było witryny zniszczonych sklepów spożywczych, wyszabrowanych już chyba ze wszystkiego, oprócz fug i płytek. Nie spodziewał się w tej okolicy niczego innego. Do głowy mu przyszło, że w końcu po tej stronie miasta nie było przecież żadnego tak dużego sklepu jak H-Market.

— Wyglądają na od dawna puste — stwierdził Dziki. Cisza, jaka panowała dookoła, była przytłaczająca. Odniósł wrażenie, że w centrum miasta nie było aż tak cicho, jak po tej stronie Krańcowa.

— To dlatego, że od kiedy pamiętam, jeszcze się nie odnowiły. — Dix popatrzyła na potłuczoną szybę sklepu spożywczego — Ten świat niczego nie rozdziela sprawiedliwie...

— WAAAAAAA! — Głośny wrzask odbił się echem od ścian bloków, przerywając dziewczynie w pół zdania.

Obydwoje przystanęli jak wryci, słysząc coś tak niespodziewanego.

— Niewykształceni? — Dziki rozejrzał się nerwowo, obserwując parkany przy najbliższych blokach.

— Nie wydaje mi się... Biegiem! — krzyknęła na wdechu Dix i ruszyła pędem wzdłuż drogi. Dziki pobiegł za nią, wyszarpując pistolet z bluzy.

— WAAAAAAA! — Kolejny krzyk dobiegł do nich ze znacznie bliżej odległości.

Biegli co sił w nogach, starając się wydostać z tego lasu bloków. Dziki pomyślał, że może warto by się gdzieś ukryć. Nim jednak zdążył coś wymyślić, tuż za nimi na drogę wypadła jakaś postać, drąc się wniebogłosy. Wychudzony mężczyzna, ubrany całkiem na czarno, biegł w ich stronę, wściekle siekając powietrze nożem. Jakby był opętany, albo co najmniej naćpany. Dix parła do przodu, nie zwalniając nawet na chwilę, tuż za nimi dwie kolejne postacie wybiegły pomiędzy bloków, dołączając do mężczyzny. Dziki zatrzymał się nagle i mierząc pistoletem, skierował lufę w stronę machającego nożem.

— Dziki, co ty robisz? — krzyknęła Dix, również zwalniając i obracając się przodem do napastników.

— Może odpuszczą, jak zobaczą broń! — krzyknął i wycelował dokładnie, by nie zmarnować kuli.

To nie był pierwszy raz, gdy strzelał, ale strzelanie do człowieka to nie to samo, co do Niewykształconego.

„Nie wahaj się” — szepnął sam do siebie — „Albo ty, albo on... Albo on, albo ona...” — Wypuścił z płuc całe powietrze i nacisnął spust.

Huk wystrzału wypełnił niebo, rozbijając się echem pomiędzy blokami. Mężczyzna runął na ziemię chwilę po tym, jak Dziki zobaczył Błysk z lufy, dwaj pozostali się zatrzymali. Przez chwilę nikt nie ośmielił się poruszyć. „Szukali łatwej ofiary” — przeszło mu przez myśl.

— Co? Ktoś z bronią to dla was za dużo? — krzyknął do stojącej w szoku dwójki pozostałych przy życiu.

— DZIKI!!! — krzyknęła Dix po raz drugi za jego plecami, więc odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

Tuż przed nimi maszerowała cała gromada ludzi. Wychodzili spomiędzy bloków, otaczając ich ogromnym kołem. Ruszył do przodu, chcąc dobiec do towarzyszki, gdy tylko jednak dał krok przed siebie, poczuł uderzenie z tyłu głowy i mimowolnie runął na ziemię. Na asfalcie zobaczył swoją krew i ogromny kamień, którym musiał przed chwilą dostać w potylicę. Złapał za pulsujące z bólu miejsce, czując pod palcami ciekącą mu z głowy ciepłą krew. Spróbował się podnieść, ale wtedy zobaczył ogromny roboczy but, który już po chwili spotkał się z jego twarzą. Ostatnie, co usłyszał, to głos wołającej Dix, a oczy zalała mu ciemność.

Rozdział XIV

Eskałacja Błędu

Dziki ocknął się, modląc w duchu, by to był tylko zły sen. Może tak naprawdę leży teraz w swoim wygodnym łóżku i właśnie jego największym problemem, staje się kolejne spóźnienie do pracy? W sumie, gdy przypomniał sobie kilka ostatnich minut świadomości, nawet perspektywa zaśnięcia na warcie tuż pod nosem Krzaka, nie była aż taka zła.

Powoli otworzył oczy. Miał problemy, żeby obraz zlał mu się w całość. Ból głowy powrócił tak nagle, jak jego zmysły. Czuł niesamowite mdłości, a z tyłu czaszki nieprzyjemne pulsujące miejsce. Kiedy po chwili jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, a obraz w końcu zebrał do kupy, spostrzegł nad sobą ogromny, kopulasty dach pokryty witrażami. Byli w kościele.

Mężczyźni musieli zadać sobie sporo trudu, by przytargać go taki kawał. Świątynia znajdowała się zaledwie kilometr, może dwa, od Krańcowskich zakładów Chemicznych. Rozejrzyał się uważniej po wnętrzu. W starym świecie był tutaj kilka razy, jeszcze za czasów szkoły. Teraz to miejsce zmieniło się nie do poznania, podobnie jak okolice H-Marketu. W powietrzu zamiast zapachu kadzidła unosił się odór krwi i gnijącego mięsa. Wszystkie insygnia, takie jak obrazy i symbole, zostały usunięte, ołtarz przykryty został ogromną czerwoną płachtą, a w miejscu Tabernakulum stała teraz ogromna pokracczna rzeźba, w której Dziki rozpoznał, o zgrozo, Grabarza.

Obrócił się powoli. Czuł, że ręce miał związane za plecami. Żeby nie urazić rany, która dalej doskwierała mu z tyłu głowy, ostrożnie obrócił twarz. Jak się okazało, leżał tuż pod ołtarzem. Kojarzył, gdzie znajdowało się wyjście, więc odszukał je wzrokiem. Wciągnął powietrze zaskoczony, bo jego oczy właśnie dojrzały coś więcej w tym półmroku.

W ławach kościelnych siedziała duża grupa ludzi. Wszyscy wyglądali, jakby byli na coś chorzy. Większość z nich miała pod oczami ogromne cienie kontrastujące z białą jak papier skórą. Inni wyglądali, jakby dostali szczękoscisku, wykrzywiając w dziwny w sposób buzie. Jeszcze inni ślinili się paskudnie, zupełnie jakby byli naćpani. Ich oczy błądziły gdzieś, dziwnie zamglone.

Dziki rozejrzyał się w poszukiwaniu Dix, dziewczyna siedziała przywiązana

plecami do mównicy, zaledwie kilka metrów od niego. Była przytomna, patrzyła dokładnie w to samo miejsce, obserwując z uwagą postacie przed nimi. Wzdrygnął się, kiedy ciszę panującą wewnątrz przerwał odgłos otwieranych drzwi. Ktoś musiał wchodzić od strony prezbiterium. Dix spojrzała w jego stronę, najwidoczniej dostrzegając ruch. Spojrzał na nią z paniką w oczach, ale po dziewczynie nie było widać ani odrobiny zdenerwowania. Dziki obrócił głowę, bo mężczyzna, który ubrany był w komiczny strój, wyglądający jak nieporadna próba przerobienia czerwonej bluzy z kapturem w liturgiczne szaty, zbliżył się do ołtarza. Postacie siedzące w ławach przyklęknęły jak do modlitwy, a mężczyzna po krótkim spojrzeniu na więźniów zajął miejsce przy mównicy.

— Skończył się dla nas czas postu! — wykrzyknął radośnie. Jego głos rozniósł się echem po kościele. — Oto po świetlistej nocy przybywa dla nas promyk nadziei, w postaci tych dwóch darów od nowego świata.

Dzikiemu przewróciło się w żołądku. Tajemnica, dlaczego ich porwali, została właśnie wyjaśniona. To musieli być ci słynni kanibale, o których tyle opowieści słyszał już wcześniej. Spojrzał w stronę Dix. Myślał, że dziewczyna się chociaż przejmie, ta jednak wciąż wpatrywała się w postacie w ławach. Z jej twarzy nie można było nic wyczytać.

— Śmierć jednych to życie dla innych — kontynuował swoją mowę pseudo kapłan. — Niczym przenajświętszy Grabarz kontynuować będziemy swoją egzystencję, aż do czasu pełnej przemiany, gdy staniemy to się jednością z tym światem! — Wykrzyknął, unosząc swoje dłonie w górę. Wtedy postacie zasiadające w ławach zawtórowały mu, niczym na prawdziwym nabożeństwie.

— Niech nowy świat przyjmie ofiarę z krwi, którą rozlejemy na jego chwałę. Niech mięso nam dane stanie się owocem naszej przemiany, gdy przywdziejemy czerwone szaty i przez wieczność kroczyć będziemy wiecznymi Krańcowa drogami.

Gdyby ktoś kiedyś powiedział Dzikiemu, że będzie świadkiem czegoś takiego, pomimo tych wszystkich dziwactw, które zdążył już zobaczyć w nowym świecie, pewnie i tak nigdy by nie uwierzył.

— Krew na ofiarę, mięso na pokarm! — wykrzyknął stojący przy mównicy mężczyzna, powodując u Dzikiego wzdrygnięcie.

Spojrzał w bok, dostrzegając jak przez prezbiterium do głównej sali weszło kolejnych dwóch mężczyzn. Ci byli wysocy i dobrze zbudowani, ale z twarzami zapadniętymi jak u wszystkich w tym miejscu. Zbliżyli się w stronę mównicy i długimi kuchennymi nożami odcięli więzy, którymi skrzepowana była Dix. Gdy dziewczyna była już wolna, poderwali ją do góry, trzymając za obie ręce.

Dzkiego zmroziło. Kompletnie zapomniał o bólu, bo szarpnął się tak mocno, że uderzył głową o marmurową posadzkę, mimo zamroczenia próbował podczołgać się bliżej.

— Zostawcie ją, sukinsyny! Wy jesteście chorzy, jak możecie coś takiego robić bydlaki! — wykrzyknął, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Za wszelką cenę próbował wyszarpać ręce z więzów, ale liny ścisnęły mu dłonie, prawie rozcinając skórę. Ci którzy go krępowali, doskonale wiedzieli, co robią.

Dix natomiast pozostała niewzruszona, nie szarpała się, nie stawiała żadnego oporu. Musiało to również zaskoczyć pseudo kapłana, bo zbliżył się do niej i spoglądając prosto w jej nieruchome oblicze, odrzekł:

— Dobrze, że pogodziłaś się z losem, w nagrodę za twój spokój zrobimy to szybko. — Obrócił się na pięcie i zajął ponownie swoje miejsce tuż przy mównicy.

— Nie! Sukinsyny, zostawcie ją! — ryknął jeszcze raz Dziki, choć dobrze wiedział, że nie ma to żadnego sensu.

Zobaczył, jak mężczyźni, którzy trzymali Dix, pchnęli ją na kolana. Obraz zaczął mu się rozlewać przed oczyma. Czuł, jak do oczu cisną mu się łzy bezsilności i bólu. Od szarpania miał wrażenie, że zaraz wyrwie sobie dłonie ze stawów.

— Rozbieraj się! — usłyszał rozkazujący ton jednego z nich.

Dix posłusznie ściągnęła bluzę razem z koszulką, ukazując swoje nagie plecy. Wszyscy zamarli, łącznie z Dzikim.

— O Boże, co to jest?! — zawył z obrzydzeniem kapłan, zasłaniając sobie usta brudną dłonią.

Dziki też to dostrzegł. Zamrugał kilkakrotnie, żeby pozbyć się z oczu rozmywających mu obraz łez. Patrzył prosto w stronę pleców dziewczyny. Całe pokryte były gładkimi plamami nienaturalnie brązowego koloru. Wyglądały prawie tak, jakby część jej skóry zrobiona była z plasteliny. Ta dziwna zmiana dotknęła również jedną z jej piersi. Była całkiem gładka i pozbawiona sutka, zarysowana jedynie jak u lalek.

Mężczyźni stojący przy niej odskoczyli jak oparzeni, gromada siedząca w ławkach poderwała się i odsunęła od ołtarza. Jedyne Dix pozostała na swoim miejscu z miną, która zdradzała, że dokładnie takiej reakcji musiała się spodziewać.

— To jest jakaś abominacja! — wykrzyknął ktoś z tłumu wściekle.

— Zabić to i wyrzucić, zanim pozaraża nas wszystkich! — krzyknął ktoś

inny.

Kapłan stał przez chwilę, analizując całą sytuację, w końcu szybkim ruchem sięgnął do kieszeni i wyciągnął pistolet - należącą wcześniej do Dzikiego tetetkę. To go trochę otrzeźwiło, znów szarpnął się w stronę kapłana i zawołał do obnażonej dziewczyny:

— Dix uważaj! — Dziki spróbował się poderwać, jego zryw skończył się jednak bolesnym upadkiem na schody pod ołtarzem. Spróbował jeszcze raz podnieść głowę i wtedy zobaczył coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Kapłan wyprostował rękę i wycelował w stronę dziewczyny. Padł strzał, a Dix w jednej sekundzie niemalże równej szybkości pocisku odskoczyła na bok. To była prędkość, jakiej nigdy nie osiągnąłby żaden człowiek. Był już niemal pewien, że dziewczynie udało się uniknąć kuli, po chwili jednak zobaczył, że jej ramię zalewa się czerwienią. Kapłan spojrział na pistolet, jakby nie dowierzając, że nie udało mu się powalić jej tym strzałem. Nim jednak zdążył wycelować w nią po raz drugi, Dix była już przy nim. Pochwyciła go za szaty i cisnęła nim o ołtarz, jakby był jakimś szmacianym manekinem. Mężczyzna uderzył o stół ofiarny z taką siłą, że w pewnym momencie Dziki usłyszał dźwięk pękających żeber.

Dix odwróciła się w stronę dwóch mężczyzn, którzy mieli zamiar dokonać na niej mord. Pierwszy z nich wybiegł w jej stronę, machając wściekle nożem, jakby chciał pociąć wiszące przed nim powietrze. Dziewczyna odchyliła głowę i wyciągnęła ramię, pozwalając ostrzu przebić rękę na wylot. Mężczyzna stanął zszokowany, nie mogąc uwolnić noża z dłoni Dix. Dziewczyna, wykorzystując jego zawahanie chwyciła go za szyję, ściskając ją przy tym tak mocno, że ten posiniał momentalnie. Szarpiąc się w tył, udało mu się wyrwać z tego morderczego uścisku, ale jego krtań zacisnęła się tak mocno, że nie był w stanie złapać tchu. Zgiął się w pół, a z jego ust wylała się krew. Zdążył tylko wyciągnąć rękę w stronę stojącej nad nim Dix, a już po chwili upadł, staczając się z niewysokiego podwyższenia.

Jego kompan, widząc to, zeskoczył przerażony ze schodów i puścił się biegiem w stronę wyjścia. Za nim w popłochu rozbiegli się również ludzie siedzący do tej pory w ławach. Drzwi na zewnątrz trzasnęły głośno, powodując nieprzyjemne echo. Teraz byli tu już tylko Dix i Dziki. Dziewczyna przeszła kilka kroków do przodu i podniosła z ziemi bluzę. Przy próbie wciągnięcia jej na siebie, okazało się, że nie mogła przełożyć ręki przez nóż, który ciągle tkwił w jej dłoni. Cmoknęła niezadowolona na ten widok. Obróciła się i zbliżyła w stronę Dzikiego, jakby była w lekkim amoku. Powolnym ruchem wyciągnęła nóż ze swojej ręki i wciągnęła na siebie do końca ubranie. Uklękła przed nim,

wyraźnie unikając jego pytającego spojrzenia. Dziki nie był pewien, czy tego nie zauważył, czy też nie zwrócił na to uwagi wcześniej, ale jej dłoń również pokryta była defektem. Pozbawiona paznokci, całkiem gładka i w nienaturalnym kolorze.

— Dix, twoja ręka... — powiedział, dostrzegając zakrwawiony rękaw.

— Ja nic nie czuję, Dziki — odpowiedziała mu pozbawionym emocji głosem i szybkim ruchem przecięła więzy, które krępowały jego ręce.

Dziki poczuł mrowienie po tym, jak krew w końcu wróciła do jego dłoni. Usiadł obolały, bo od tego szarpania na pewno stłukł sobie kilka rzeczy. Dix wstała i całkiem nieprzytomnie ruszyła przed siebie. Spojrzał na nią, zachowywała się jak zszokowana ofiara wypadku.

— Chodźmy już stąd — szepnęła jakby ledwo powstrzymywała się od płaczu.

Dziki podniósł się i podszedł do wbitego w ołtarz kapłana. Z jego jeszcze ciepłej ręki wyciągnął swój pistolet. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie warto byłoby przeszukać ciała, ale zrezygnował. Raz, że ciągle miał wewnętrzny opór przed dotykaniem zwłok, a dwa, nie chciał dłużej tkwić w tym miejscu. Spojrzał na kluczącą powoli w stronę wyjścia dziewczynę.

— Dix, poczekaj, trzeba opatrzeć twoje ramię, zaraz czegoś poszukam... Strasznie krwawisz. Usiądź tu na chwilę. Dix! — zawołał, ale dziewczyna nawet się nie zatrzymała.

Dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że obydwójce się zatrzymali. Ogromne kościelne wrota otworzyła jakaś istota, która od razu przywiodła Dzikemu na myśl Grabarza. Niska, przygarbiona postać w długiej czerwonej szacie, z licznymi kolcami wyrastającymi z grzbietu.

— Przyszedł po ciała — odetchnął z ulgą. — Ale przecież my jeszcze tu jesteśmy... — dodał po chwili. Dziki po raz pierwszy od czasu spotkania z Obalkiem widział Grabarza z tak bliska. Niewykształcony swoim dziwnym kołyszącym krokiem zbliżał się pewnie w ich stronę. Coś w tym wszystkim mocno mu się nie podobało.

— To nie jest Grabarz — krzyknęła Dix cofając się i zaciskając jednocześnie pięści.

Teraz dopiero Dziki przyjrzał się uważniej. U Grabarza kolce na garbie przypominały kości albo zwierzęce rogi. To co szło w ich stronę, najeżone było zwykłymi metalowymi prętami.

Istota zatrzymała się i bladą jak u trupa dłonią ściągnęła z głowy kaptur, ukazując zdeformowaną twarz. Biała jak marmur gęba przypominała jakąś

groteskową rzeźbę i to zrobioną przez kogoś wyjątkowo nieuzdolnionego. Jedno z oczu potwora było olbrzymie jak grejpfrut i wystawało sztywno z za małego oczodołu. Drugie oko było całkiem niewidoczne, ukryte pod przerośniętymi powiekami napuchniętymi jak u bokserów po ciężkim meczu. Usta zaś miał ściągnięte tak mocno, że przez cały czas widać było wszystkie jego pożółkłe zęby.

— BALRTOSZ! — zaskrzypiało monstrum, spoglądając swoim wielkim okiem na ołtarz — BALTLOSZ MALWY. — Choć słowa były nieskładne, w mig pojęli, o co mu chodziło. Dziki nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Przyszło mu do głowy, że może kanibale schwyтали jakiegoś Niewykształconego i upodobniali go do obiektu swojego kultu? A może to po prostu był jakiś inny gatunek, którego jeszcze nie spotkał.

— Uciekajmy. Szybko! — ponagliła go Dix i ruszyła w bok między ławami, chcąc okrążyć istotę. Widząc to, potwór złapał swoją lewą ręką za rząd siedzeń. Ponieważ wcześniej schowana była ona pod szatą, Dziki nie mógł zobaczyć, jak bardzo przerośnięta jest ona względem reszty ciała. Wyglądała jak noga nosorożca przyczepiona na miejsce zwykłej ręki. Istota, używając swej przerośniętej kończyny, bez najmniejszego trudu cisnęła ogromną, dębową ławą w stronę Dix. Dziewczyna w odruchu rzuciła się na ziemię, a kawałki roztrzaskanego o jeden z filarów drewnianego siedziska rozleciały się dookoła niej.

— NLIE MAL ULIELKI! — ryknął potwór i chwytając największą z ław, pchnął nią w stronę drzwi, blokując im wyjście. Następnie, powolnym kołyszącym się krokiem ruszył w stronę Dix. Niewiele myśląc, Dziki złapał za pistolet i celując w potwora, nacisnął spust. Pocisk trafił, wydając przy tym dźwięk, jakby nabój wbijał się w gruby betonowy mur. Potwór ryknął wściekły, łapiąc za rząd połączonych ze sobą krzeseł i cisnął nim w stronę Dzikiego, przerzucając je przez niemal pół kościoła. Dziki odskoczył na bok w ostatniej chwili, a pojedyncze elementy rozbiły się o schody przed ołtarzem, zamieniając w stertę połamanych desek.

Gdy podnosił się po swoim uniku, zobaczył, że Dix zmierza w stronę potwora, trzymając w rękach długą drewnianą deskę, która jeszcze przed chwilą była klęcznikiem. Wyciągnął w jej stronę rękę, jakby chciał ją powstrzymać, ale nim zdążył wykrzyknąć jakiegokolwiek ostrzeżenie, dziewczyna dopadła do potwora. Niczym kijem bejsbolowym zdzieliła bestię w twarz z taką siłą, że gruby kawał drewna roztrzaskał się na drzazgi. Potwór ryknął wściekle, próbując wymierzyć cios swoją wielką ręką, ale nim zdążył wziąć odpowiedni zamach,

Dix strzeliła go w szczękę, sprawiając ku zdumieniu Dzikiego, że cofnął się o kilka kroków. Dziewczyna ruszyła dalej, okładając głowę potwora kolejnymi ciosami. Po każdym haku wymierzonym przez dziewczynę łeb bestii odchyłał się, jakby uderzał zawodowy bokser. W końcu jednak bestia otrząsnęła się i wyczekując okazji, zasłoniła się swoją ludzką ręką, blokując cios dziewczyny. W tym czasie jego przerośnięta kończyna zebrała krótki zamach i rąbnęła Dix prosto w brzuch. Mimo niewielkiego rozpędu siła uderzenia była tak duża, że dziewczyna niemal uniosła się w powietrze, upadając jakiś metr od potwora.

Dziki, który w tym momencie otrząsnął się z szoku, jaki wywołała w nim ta walka, złapał za leżący pod ołtarzem nóż upuszczony wcześniej przez zabitego kanibala. Z ostrzem w dłoni ruszył biegiem w stronę potwora, który kroczył do leżącej na ziemi Dix, unosząc swoją maczugo-rękę do kolejnego ciosu.

— Zostaw ją — krzyknął, a bestia przyciągnięta głosem odwróciła się w jego stronę. Wtedy z całej siły pchnął ostrzem w przerośnięte oko na jej twarzy. Stwór zawył, cofając się i wymachując wściekle swoją przerośniętą kończyną, roztrzaskując przy tym ławki oraz podłogę, o włos mijając uchylającego się Dzikiego.

Korzystając z chwili odciągnął Dix do tyłu. Dziewczyna była nieprzytomna, jej twarz zastygła bez wyrazu, a klatka piersiowa unosiła się gwałtownymi ruchami. Ciągnąc ją za rękę, odsunął ją tak daleko od potwora, jak tylko dał radę. Po czym, okrążając bestię łukiem, dobiegł do barykady blokującej wyjście.

Złapał za ławę przyciśniętą do drzwi i szarpnął ze wszystkich sił. Zdołał jednak przesunąć ją tylko kilka centymetrów. Była naprawdę ciężka. To było przerażające, że tej bestii udało się pchnąć ją z taką łatwością. Odsuwając się, spojrział w bok, zaniepokojony ciszą, która zapadła. Stwór stał w miejscu dysząc ciężko i nasłuchując jakichś dźwięków, które mogły zdradzić położenie jego celów. W pewnym momencie wykrzywił swoją zniekształconą twarz w wyrazie niewyobrażalnego wysiłku. Przez chwilę jego przerośnięte powieki podniosły się z wielkim trudem, odsłaniając małe czarne oczko, którym patrzył prosto w stronę Dzikiego. Gdy tylko powieki znowu opadły, bestia ruszyła w jego stronę, wymachując wściekle swoją przerośniętą ręką. Dziki ponownie złapał za ławę i zapierając się ze wszystkich sił, spróbował przesunąć ją jeszcze raz. W tym momencie usłyszał za sobą trzask łamanego drewna. W ostatniej chwili odskoczył, unikając zabójczego ciosu stwora. Ogromna pięść uderzyła we wrota kościoła, robiąc w nich głębokie wgniecenie i sprawiając, że wygięły się na zewnątrz.

Stwór zatrzymał się na chwilę, zapewne orientując się, że nie trafił w to, co

zamierzał. Obrócił się powoli i ponownie z niewyobrażalnym grymasem na twarzy otworzył swoje małe oczko, poszukując nim Dzikiego. Gdy tylko zlokalizował swoją ofiarę, ruszył wściekłym pędem, wystawiając swoją wielką pięść niczym taran. Dziki uniósł pistolet, próbując dostrzec w muszce głowę zbliżającego się potwora. Gdy tylko był pewien, że trafi nacisnął spust, ale zamiast spodziewanego huku wystrzału usłyszał jedynie głuchy, metaliczny dźwięk. W pistolecie nie było już kul, przerażony spojrzał w stronę ogromnej pięści, nie miał już szansy na ucieczkę.

Gdy w duchu zęgnął się już z życiem, a jego ciało szykowało na przyjęcie ogromnego impetu uderzenia, spostrzegł coś niewyobrażalnego. Dix wbiła się w potwora, gdy ten był zaledwie centymetry od Dzikiego. Niczym zawodowy rugbista, wpasowała się w nogi bestii, sprawiając, że ta runęła z łoskotem na ziemię. Dziewczyna podniosła się powoli, prostując się na wpół zgiętych kolanach. Dziki spojrzał na jej twarz i poczuł przeszywający lęk. Biła z niej wściekłość tak niewyobrażalna, że zdawała się wypełniać całe pomieszczenie.

Potwór podniósł się pokracznie, wspierając się niczym goryl na knykciach swej wielkiej kończyny. Wydał z siebie przy tym ryk tak głośny, że zdawał się zatrząść fasadą kościoła. Dix nie zwróciła na to uwagi, kroczyła w stronę potwora jak w jakimś amoku, ślizgając po ziemi stopami.

—Dix, co ty wypra... — krzyknął przerażony, ale nie zdążył dokończyć. Zgodnie z jego przeczuciem bestia obróciła się gwałtownie, machając swoją wielką pięścią jak kosą. Był pewien, że uderzenie zmiecie dziewczynę i wbije w najbliższą ścianę albo ławy. Zamiast tego po raz kolejny stało się coś, czego nie zrozumiał. Ogromna kończyna zatrzymała się na dziewczynie jak łańcuch, którym uderza się w słupek. Dziki pokręcił z niedowierzania głową, obserwując, jak dziewczyna bez żadnego wysiłku odpycha rękę bestii na bok.

— Zdychaj! — ryknęła Dix i rąbnęła swoją małą piąstką w klatkę piersiową stwora.

Dziki był pewien, że bestia nie ma prawa nawet poczuć tego ciosu. Zszokowany dostrzegł jednak, że dłoń Dix zagnieździła się w ciele potwora, jakby uderzyła w glinę. I podobnie jak w glinie, zostawiła po sobie odcisk w ciele potwora. Bestia stała jak sparaliżowana, próbując z trudem chwycić powietrze. Po chwili zaś runęła na ziemię, przeważając się na stronę swojej gigantycznej kończyny.

— Uciekamy! — krzyknęła Dix i łapiąc Dzikiego za ramię, pociągnęła go w stronę drzwi.

Dopadli do blokującej wyjście ławy, Dziki ponownie zaparł się ze

wszystkich sił, próbując ją przesunąć, ale nie był w stanie. Dix chwyciła za oparcie tuż obok niego i bez żadnego grymasu na twarzy przesunęła ogromną ławę na bok. Nie czekając, otworzyła wrota, które po ciosie potwora ledwo trzymały się w zawiasach. Widząc stojącego w szoku Dzikiego, dziewczyna chwyciła go wściekle za rękę i niemal wyszarpała siłą na zewnątrz.

Po nie wiadomo jak długim czasie spędzonym w ciemnym kościele, nawet szarość Krańcowa wydała się niewyobrażalnie jasna. Mijając przedsionek, wybiegli na kamienne schody prowadzące do parkingu, a stamtąd ruszyli pędem w stronę drogi. Dix ciągnęła Dzikiego za sobą, nie puszczając jego dłoni. Gdy byli już w połowie drogi, zatrzymała się jednak tak gwałtownie, że szarpnęła go jak opuszczona w dół kotwica.

Po chwili zamarcia dziewczyna ścisnęła mu dłoń tak mocno, że prawie zawył z bólu.

— Dix, co się dzieje? — wrzasnął, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

Padła na kolana, puszczając jego rękę i łapiąc się za głowę.

— Boże, nie teraz! — krzyknęła przerażona, a z jej oczu wylały się nienaturalnie obfite łzy.

— Dix, co się dzieje? — zawołał jeszcze raz, obserwując, jak twarz dziewczyny niemal zalewa się łzami. Wtedy też dostrzegł, że defekt po prostu wylał się na jej szyi, zajmując coraz więcej ciała i nieubłagane zmierzał ku twarzy.

— Nie, dopóki on żyje. Nie mogę teraz, nie, póki on żyje. Boże, Kamil, nie teraz!!! — wrzasnęła tak głośno, że echo odbiło się od sąsiednich budynków. Dzikie nie wiedział, co zrobić, dziewczyna upadła po chwili na ziemię całkiem nieprzytomna. Defekt zatrzymał się na jej szyi, czyniąc ją gładką i niewyobrażalnie nieludzką. Nie chcąc tracić nawet sekundy, bo nie był pewien, czy ten wrzask nie ściągnie na nich kłopotów, wciągnął dziewczynę na plecy i ruszył w stronę ulicy.

Ten dodatkowy ciężar był dla niego sporym problemem. Nie potrafił wyobrazić sobie jakim cudem Mike z taką łatwością mógł przenieść go wtedy spod Agatki. W myślach pluł sobie w brodę, że zamiast podciągać się na drążku, czy chociaż robić pompki, wolne chwile we Wspólnocie spędzał, grając na komórce. Wyszedł na ulicę. Choć stąd do Wspólnoty było maksymalnie piętnaście minut, to czuł, że nie dałby rady donieść tam Dix na swoim grzbiecie. Wbiegł więc resztką sił w osiedle domków, które znajdowało się przed kościołem.

Dziewczyna zaczęła mu ciążyć. Nie miał wyjścia, musiał znaleźć jakąś

kryjówkę. Modląc się w duchu, by żaden z kanibali nie widział, w którą stronę uciekał, wpadł na pierwsze podwórko z otwartą furtką, jakie znalazł.

Nieduży, piętrowy budynek stał ustawiony bokiem do drogi. Dziki oparł Dix o ścianę w przedsionku i wyciągając pistolet, wparował do środka. Minął pośpiesznie korytarz i przebiegł przez pokoje z myślą, że po prostu zatłucze rękonością wszystko, co tu spotka. W pokoju na górze dostrzegł postać Gospodarza. Starszy mężczyzna w kraciatym swetrze obrócił się gwałtownie w jego stronę. Nim jednak zdążył zrobić cokolwiek, Dziki wparował w niego jedną ręką, chwytając go za szyję, a drugą uderzając dość ciężkim pistoletem w głowę. Nim Niewykształcony zdołał choćby syknąć, Dziki powalił go na ziemię i wściekłymi ciosami okładał jego głowę, aż nie zmieniła się w trzęsawisko kości. Pamiętając o odroczeniu, złapał za leżące na nocnym stoliku nożyczki i na wszelki wypadek wbił je w szyję Gospodarza.

Następnie zamknął pokój, w którym leżało ciało Niewykształconego i biegiem wrócił do przedsionka po Dix. Ponownie biorąc dziewczynę na plecy, wszedł z nią w głąb mieszkania, po czym ułożył na łóżku w salonie. Chwilę potem wybiegł na zewnątrz, wpadł do wiaty stojącej z tyłu za domem i po szybkich oględzinach wyciągnął z niej mały toporek do rąbania drewna. Wrócił z powrotem do budynku i zamknął drzwi od wejścia, barykadując je dodatkowo komodą stojącą na korytarzu.

Wbiegł do salonu i spojrzał na Dix, dziewczyna dyszała ciężko i wciąż była nieprzytomna. Nie wiedział, jak ma jej pomóc. Nie wiedział nawet, czy to w wyniku ran, czy też może był to jakiś atak defektu. Niepewnie ściągnął z Dix bluzę. Plamy, które widział wcześniej, wydawały się znacznie większe. Druga pierś dziewczyny również została dotknięta deformacją, teraz jej ciało przypominało jakąś dziwną przerośniętą lalkę. Oprócz defektu nie widział jednak żadnych śladów ran, nawet siniaka po tym niewyobrażalnym ciosie, jaki zadał jej potwór w kościele, a rana po postrzale na jej ramieniu wydawała się zagoić błyskawicznie sama.

Pobiegł do łazienki i zerwał pokrywę ze spłuczki. Zmoczył wiszący tam ręcznik wodą i wracając do salonu położył go na głowie Dix. Naprawdę nie wiedział, co może więcej zrobić. Podszedł w stronę okna, które wychodziło akurat w stronę drogi. Nikt się nie zbliżał. „Może się przestraszyli? Może jednak uznali, że nie warto ich ścigać?” — Dziki pomyślał, że powinien zostawić tu Dix i pójść w stronę Wspólnoty po pomoc... Ale gdyby jednak ich szukali? Dix zostałaby tu sama i to nieprzytomna. Spojrzał jeszcze raz w jej stronę. Jej klatka piersiowa unosiła się szybko. Okrył ją kocem, który leżał na łóżku. Postanowił,

że poczeka jakiś czas... Jeżeli nie będą ich szukać, ruszy po pomoc.

Oparł się o okno, obserwując okolice i nerwowo ściskając siekierę w dłoni. Szare chmury nad osiedlem zmieniały kolor na granatowy. Zbliżał się wieczór. Nad Krańcowem noc nastawała naprawdę szybko. Mało kto włóczył się w ciemności. Była to dobra okazja, żeby spróbować przekraść się do Wspólnoty i sprowadzić pomoc. Nie bardzo podobała mu się wizja zostawienia tutaj Dix, ale nie wydawało mu się, by ktoś ich ścigał. Ludzi w kościele było tylu, że gdyby ich szukali, któryś na pewno zajrzyłby na osiedle.

Nie chcąc dłużej bezproduktywnie stać przy oknie, zaczął przeszukiwać dom w poszukiwaniu czegokolwiek przydatnego. Niestety budynek musiał być już kiedyś wyszabrowany. Szafki kuchenne opustoszały ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia. Po zawartości domowej apteczki zostało już tylko wspomnienie. Nawet część ubrań gdzieś zniknęła.

Dziki postanowił przeszukać jeszcze garaż koło domu, nim całkiem się ściemni. Odsunął komodę, którą wcześniej zabarykadował drzwi i powoli wychylił się na zewnątrz. Przez kilka minut stał w bezruchu, nasłuchując odgłosów rozmów albo kroków, ale na zewnątrz było zupełnie cicho.

Skradając się, wszedł pod wiatę, z której wcześniej zabrał siekierę, ale nie znalazł tam nic przydatnego. Tylko stos drewna i trochę narzędzi, zupełnie bezużytecznych w charakterze broni. Starając się narobić jak najmniej hałasu, zbliżył się do garażu. Uchylone drzwi zdradzały jednak, że tego miejsca szabrownicy również nie oszczędzili. Gdy wszedł do środka dostrzegł rozwleczoną na podłodze skrzynkę po narzędziach, pułki świeciły pustkami. Dziki zaklął pod nosem, wracając do budynku.

Liczył na to, że uda mu się znaleźć chociaż jakąś małą latarkę. Noce w Krańcowie były tak ciemne, że nie dałby rady dostać się do Wspólnoty bez źródła światła. Z desperacji postanowił zbudować sobie pochodnię, zabrał kilka długich kawałów drewna i wrócił się do garażu po butelkę nafty, która jakimś cudem nie zwróciła uwagi szabrowników.

Zabrał ze sobą rzeczy do domu. Profilaktycznie zamknął drzwi na zamek, ale nie barykadował ich ponownie komodą. Przechodząc obok salonu, zajrzał do środka. Zatrzymał się przez chwilę, czując niewyobrażalną ulgę. Dix siedziała na rancie łóżka, choć od razu zmartwiło go, że jej twarz była mokra od łez, a oczy zupełnie puste i nieobecne. Nie założyła nawet bluzy, by okryć swoją nagość.

— Dix, w porządku? — spytał, odkładając zebrane rzeczy na podłogę.

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę dopiero po chwili, jakby wyrwał ją

z głębokiego zamyślenia. Przez chwilę uśmiechnęła się, a potem opuściła głowę, a jej oczy przeszły się.

— Myślałam że uciekłeś...

— Chciałem iść do Wspólnoty po pomoc — odpowiedział szybko, siadając obok niej. — Dlaczego miałbym uciec?

— Widzisz, jak ja wyglądam? — krzyknęła, a łzy popłynęły jej po policzku. — Boisz się pewnie, że się zarazisz. Wszyscy traktują mnie, jakbym już nie była... już nie była.

— Przestań — przerwał jej Dziki i chwycił jej rękę, ale dziewczyna wyszarpnęła ją.

— Brzydzisz się mnie. Wszyscy się mnie brzydzą. Nawet kanibale nie chcieli mnie zjeść — dodała z goryczą.

— Przestań, Dix! — krzyknął.

Niemal natychmiast złapał ją oburącz i przytulił do siebie.

— Jesteś piękną dziewczyną i żaden defekt tego nie zmieni, nie zmieni tego, kim jes...

Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał. Dziewczyna podniosła głowę i przycisnęła swoje usta do jego ust. Trwali tak chwilę w ciepłym pocałunku. Dziki poczuł, jak jego serce drży z podniecenia i euforii. Nie chciał przerywać, chciał żeby to trwało dalej...

Dix odsunęła się powoli, wpatrując się w jego oczy.

— Podobasz mi się, Dziki — wyszeptała niepewnie, spuszczać wzrok. — Podobałeś mi się od momentu, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy.

— Zabawne, ale gdy pierwszy raz cię spotkałem, pomyślałem sobie, że gdyby to był stary świat, to byłabyś dziewczyną, za którą bym się uganiał — wyszeptał, przegarniając ręką po włosach jak nastolatek opowiadający o czymś wstydlivym.

Dziewczyna zbliżyła się po raz kolejny i znowu złączyli się w długim pocałunku. Powędrował rękami po jej plecach przyciskając ją do siebie. Dix wzdrygnęła się, gdy dotknął dłonią części zarażonej defektem, ale nie pozwolił jej się odsunąć. Udał, że nie zwraca na to uwagi, choć zmieniona skóra była tak nieprzyjemna w dotyku. To teraz nie miało znaczenia. Liczył się tylko on i ona tutaj razem, zjednoczeni w tym długim pocałunku.

Noc nastąpiła błyskawicznie, zalewając wszystko nieprzeniknioną czernią.

Dziki leżał na łóżku obok Dix, nie będąc w stanie zobaczyć choćby czubka nosa swojej towarzyszki. Zagłębiając się przez chwilę we własnych myślach, stwierdził, że choć było to absurdalne, to jeden z najszcześniejszych momentów jego życia zdarzył się właśnie tu. W koszmarze zwanym nowym światem.

Wyszukując w ciemności rękę Dix leżącą na kołdrze, chwycił ją delikatnie. Dziewczyna czując jego dotyk, splotła się z nim w uścisku.

— Czemu nic nie mówisz? — spytał.

— Bo chcę dobrze zapamiętać tę chwilę — odpowiedział mu rozmarzony głos Dix.

Dziki nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, który wykwitł mu na twarzy, więc nie tylko on będzie wspominał ten moment... Ale rzeczywistość wróciła do niego tak szybko, jak odpłynęła w chwili uniesienia. Wciąż byli poza bezpiecznymi okolicami dworca. Noc zapadła już całkiem, a pomysł przekradania się przy świetle pochodni wydał mu się teraz znacznie mniej atrakcyjny.

— Powinniśmy chyba przeczekać do rana... — stwierdził z nadzieją, że Dix również uzna to za dobry pomysł.

— Mhm... — mruknęła dziewczyna, rozkładając się leniwie na łóżku. — Jak zacznie świtać, przebijemy się osiedlowymi uliczkami.

— Dix, mogę cię o coś spytać? — stwierdził, obracając się w stronę, w której, jak podejrzewał, znajduje się jej twarz.

— Pytaj... — odpowiedziała krótko Dix.

Jej głos zdradzał, że spodziewała się, jakiego rodzaju rozmowa za chwilę się zacznie.

— Wtedy w kościele, ta niewyobrażalna siła, ta wytrzymałość i szybkość, to były błędy prawda? — Dziki czuł, że jest to jego szansa, by dowiedzieć się w końcu czegoś więcej o tym, czym są te tajemnicze błędy.

Dziewczyna nie odpowiedziała jednak od razu. Wiedział, że dawkuje pewnie w głowie wiedzę, jaką może mu przekazać. Spodziewał się też, że jak wszyscy zacznie go przestrzegać przed ich użytkowaniem. Po chwili poczuł, że Dix bierze głęboki oddech.

— Tak, to były błędy... — odpowiedziała — wszystkie przygotowane wcześniej na wypadek, gdyby Daniel zdecydował się zostać z nami do końca. Cóż, nie był to sposób, w który chciałam je wykorzystać, ale nie mieliśmy wyjścia. Zabiliby nas i zjedli...

— Rozumiem, a jak właściwie korzystasz z tych błędów? — spytał, czując, że jest tylko o krok od poznania tej tajemnicy.

Niespodziewanie jednak poczuł, że Dix poderwała się gwałtownie.

— Dziki! — krzyknęła nagle głosem tak gniewnym, że przez chwilę poczuł, jakby wypełnił on cały pokój.

Po chwili zorientowała się jednak, że musiała zachować się zbyt głośno, bo dodała już nieco ciszej:

— Pod żadnym pozorem nigdy nie wolno ci korzystać z błędów. A ja nie mam zamiaru tłumaczyć ci, jak to robić, nawet dla zaspokojenia czystej ciekawości! — stwierdziła, dysząc z wyraźnej złości. — Wiesz, jaką cenę się za to płaci? Większość moich towarzyszy w Defekcie to ludzie, którzy nadużywali błędów. Kiedy już nauczysz się z nich korzystać, pokusa jest zawsze zbyt duża. Słuchałam takich historii już setki razy: „korzystałem z nich tylko, by ratować swoje życie, przecież nigdy bym ich nie nadużywał”. Wszyscy tak się tłumaczą i nim się spostrzegą, zaczynają się rozmywać.

Ta reprimenda postawiła nieco Dzikiego do pionu. Trudno byłoby ukryć, że właśnie o czymś takim pomyślał, o wspomagaczu, który mógłby uratować mu życie w krytycznej sytuacji. Ale może Dix miała rację? Jak odróżnić zagrożenie warte użycia błędu od takiego, z którym poradziłby sobie sam, chyba mało jest ludzi tak zrównoważonych...

— Mike mi powiedział, że to błędy powodują defekt. Odradził też jakiegokolwiek zajmowanie się tym, ale masz rację, nie wiem czy dałbym radę się powstrzymać, gdybym potrafił z nich korzystać. Ja pewnie użyłbym błędów już wtedy, gdy otoczyli nas pod blokami. Ty czekałaś do ostatniej chwili... — stwierdził skruszonym głosem, chcąc nieco uspokoić towarzyszkę.

— Widziałeś, co działo się ze mną potem? Mogłam tam nawet umrzeć, zawsze liczę na to, że jakoś się uda nie używać tego syfu — westchnęła, wyraźnie zła na siebie.

— Czy to zawsze tak wygląda? To znaczy, czy defekt wszystkich atakuje w ten sam sposób? — dopytał, licząc jednak na to, że Dix mimochodem wymsknie się przy okazji coś na temat działania błędów.

Dix pokręciła w ciemności głową.

— Ze mną jest inaczej..., ale ja nie zachorowałam jak wszyscy...

Po głosie wyczuł, że w tym momencie wszedł na trudny temat, ponownie skruszonym głosem postanowił dać dziewczynie szansę na zakończenie tej rozmowy:

— Słuchaj, jeżeli nie chcesz o tym mówić, to nie będę naciskał...

Niespodziewanie jednak Dix westchnęła, jakby zrzucała z siebie jakiś ciężar i stwierdziła:

— A dlaczego nie..., chyba lepiej, żebyś usłyszał prawdziwą wersję ode mnie niż wierzył w jakieś legendy, które krążą po Krańcowie. W końcu nie jest to też żadna tajemnica, że zachorowałam przez Pierwszego. Ale to długa historia, nie wiem, czy masz ochotę jej słuchać?

— Mamy całą noc do przetrwania, a raczej nie jestem senny — skłamał Dziki wyraźnie zainteresowanym głosem, dając znać, że chętnie wysłucha historii dziewczyny.

— No dobrze, skoro tak... — Dix złapała głęboki oddech i zamilkła przez chwilę, zastanawiając się pewnie, od czego zacząć. — Pojawiłam się pięć lat temu, jako jedna z tak zwanej dziesiątki pierwszych. Tak jak ty obudziłam się na cmentarzu. Błysk, który mnie wyrzucił, przyniósł ze sobą jeszcze jedną osobę — chłopaka, z którym podróżowałam od samego początku...

— Kamila? — wtrącił się Dziki.

— Skąd ty... — wykrztusiła Dix zupełnie zbita z tropu.

Dziki, choć nie mógł tego dostrzec w półmroku, miał wrażenie, że dziewczyna się czerwieni.

— Wykrzyczałaś jego imię, zanim zemdliałaś przed kościołem — wyjaśnił natychmiast. — Przepraszam, jeżeli...

— Nie, nie w porządku — wtrąciła natychmiast dziewczyna i kontynuowała. — Tak, miał na imię Kamil. Więc, jak już mówiłam, podróżowaliśmy razem. Tak właściwie, to on opiekował się mną od samego początku. Odprowadził mnie z cmentarza do domu i dzięki temu uratował mi życie... Nie wiedzieliśmy jeszcze, w jakim świecie się znajdujemy. Wyobrażasz to sobie? Pierwsze spotkanie z Niewykształconymi i nawet słowa wyjaśnienia, zupełnie nic...

Dziki pomyślał sobie, że w tym momencie ksywa Fuks rzeczywiście do niego pasowała. Potrafił wyobrazić sobie, jak byłby zagubiony, gdyby nie Kuba i ludzie z Autobusu do Wolności. Dix nie miała tak łatwo.

— ...włóczyliśmy się po pustym mieście, starając przetrwać — opowiadała dalej dziewczyna. — Dzięki Bogu nie przyszło nam do głowy szukać ratunku poza Krańcowem. Liczyliśmy cały czas na to, że ktoś przyjdzie w końcu z pomocą.

— Ale nikt nie przyszedł... — skwitował Dziki.

— Nie, a my baliśmy się ruszyć dalej. Wtedy Krańcowo było pełne Niewykształconych, całe watahy krążyły w różnych miejscach. W każdym razie, minęło kilka tygodni od naszego przybycia, zanim spotkaliśmy innego człowieka. To był prawdziwy szok. Pamiętam, jak przeszukiwaliśmy jeden ze sklepów, zbierałam właśnie batony do plecaka, gdy zobaczyłam otwierające się

drzwi. Przez chwilę ja i Kamil myśleliśmy, że przytoczył się za nami jakiś Niewykształcony. O mało się tam nie pozabijaliśmy... Okazało się jednak, że nie jesteśmy sami... — Dix przerwała na chwilę, spoglądając w stronę okna. Z sąsiedniej budy dochodziły do nich przytłumione krzyki. Obydwoje wpatrywali się przez chwilę w szybę. Kiedy jednak wrzaski zamieniły się w szaleńczy śmiech, obydwójce odetchnęli z ulgą.

— Gospodarz... — stwierdził Dziki. — Więc kim był ten człowiek? — dopytywał dalej, zastanawiając się, czy jest to ktoś, o kim już słyszał.

— O, znasz go aż za dobrze, to był Kuba z Autobusu do Wolności. W każdym razie od tamtej pory podróżowaliśmy razem przez jakiś czas. A po kolejnym Błysku dołączyła do nas grupa osób, którą wprowadziliśmy do tego świata. Finalnie było nas siedmioro: Ja, Kamil, Kuba, Łukasz, Rudy, Sandra i Dec.

— Nie było z wami Pierwszego? — spytał. — To przecież on był tutaj najdłużej.

— Nie, z nim spotkaliśmy się później. Najpierw Kuba przedstawił nam Drugiego.

— Drugiego? — powtórzył Dziki, przypominając sobie wszystkie rozmowy, które prowadził z Mikiem. — Wydaje mi się, że nigdy o nim nie słyszałem.

— To dlatego, że już nie żyje. Oprócz najstarszych weteranów mało kto pamięta, że w ogóle istniał. A niezasłużenie, bo to dzięki niemu poznaliśmy sporą część zasad panujących w tym świecie... Przy tym był niesamowicie sympatycznym człowiekiem, nie sposób było go nie polubić... — stwierdziła Dix z nutą wyraźnego żalu w głosie.

— Jak zginął? — spytał Dziki, czując, że przez chwilę zaczęła łapać go senność. Nie był pewien, czy dla jego organizmu czas spędzony nieprzytomnie na podłodze w kościele wliczał się do wypoczynku.

— Przeszedł przez granice Krańcowa — odpowiedziała Dix już wyraźnie smutniejszym głosem. — To dzięki niemu dowiedzieliśmy się, czym jest zamarcie... W każdym razie, nim to się stało, poznał nas z jeszcze jedną osobą, właśnie z Pierwszym.

Dziki nadstawił uszu. W końcu ktoś był w stanie powiedzieć mu coś więcej na temat tej tajemniczej postaci i nie chciał, by łapiące go zmęczenie sprawiło, że umknie mu coś ważnego. Dix przerwała na chwilę, by dać Gospodarzowi z sąsiedniego budynku czas na wyładowanie swojej porcji wrzasków i kontynuowała:

— Więc zdziwiliśmy się, że nie podróżowali razem... W końcu, kto chciałby

zostać sam w takim miejscu, ale Pierwszy od początku mi się nie podobał, był strasznie... dziwny.

— Pod jakim względem dziwny? Gadał do siebie? — zażartował Dziki, ale Dix chyba nie zrozumiała, bo odpowiedziała bez chwili namysłu:

— O nie, był raczej małomówny. Można by go uznać po prostu za zwykłego mruka. Chodziło o to, że jemu się tu ewidentnie podobało... Nie trzymał się też z nami, to znaczy przychodził czasami wymienić się jakimiś rzeczami, które znalazł. No i gdy Drugi go poprosił, to pomagał nam oczyścić jakieś miejsce z Niewykształconych... Ale nie był częścią naszej grupy, trzymał się na uboczu.

— Rozumiem, Mike opowiadał mi o takich nowofanach — skwitował Dziki, cały czas nie mogąc zrozumieć, co może się ludziom podobać w tym świecie.

— Oj tak, był strasznym nowofanem, ale Drugiemu, który stał się w tym czasie naszym liderem, jakoś szczególnie to nie przeszkadzało. Kiedy opowiedział nam swoją historię, wyszło na to, że na podobnej zasadzie żyli tutaj już od dawna. Drugi mówił, że on już po prostu taki jest, lubi samotność... Ale oprócz niego mało kto ufał Pierwszemu.

Dix ponownie musiała zrobić przerwę, bo ich sąsiad za oknem okazał się mieć towarzystwo w kolejnym budynku. Gospodarze przekrzykiwali się przez chwilę, wykrzykując jakieś zupełnie losowe frazy. Dziki zastanawiał się przez chwilę, czy te istoty potrafią wchodzić ze sobą w jakieś złożone interakcje. Z zamyślenia wyrwała go Dix kontynuująca swoją opowieść:

— Sytuacja zmieniła się trochę, gdy po którymś Błysku, Pierwszy przyszedł do nas z towarzyszem...

— Danielem? — spytał Dziki, w głębi duszy czując, że trafił w dziesiątkę.

— Dokładnie — potwierdziła jego domysły Dix — więc słyszałeś już o tym, że są rodziną? Wyglądało na to, że ze względu na swojego kuzyna Pierwszy postanowił zostać z nami na stałe. Z początku nie wyglądało to źle. Daniel był jakby pomostem między zamkniętym światem Pierwszego a nami, zaczęliśmy nawet trochę sobie wszyscy ufać, choć mnie nie podobała się jedna rzecz...

— To znaczy?

— Daniel za szybko zaakceptował ten świat. Jak każdy przeżywał pierwsze dni tutaj, więc wiesz, jak jest, jak powinno być. Mętlik w głowie, niedowierzanie, każdy nowy dzień zaczynasz, myśląc, że to co się tutaj dzieje, było tylko złym snem... Z nim było inaczej, po prostu to przyjął. Dodatkowo podobnie jak jego kuzyn wydawał się oczarowany tym miejscem.

— Chore...

— Wiem, ale nie przeszkadzało to nam, póki wydawało nam się, że działamy

razem. Pierwszy, gdy trochę z nami pobył, dostarczył nam broń i sprzęt wojskowy. Wszyscy byli w szoku, ile zdołał tego nagromadzić. Poczuliśmy się znacznie pewniej, podróżowaliśmy z jednej strony Krańcowa na drugą, szukając sposobu na nawiązanie kontaktu z innymi ludźmi, ale nie udało nam się i wtedy właśnie postanowiliśmy wyruszyć poza Krańcowo...

— Wtedy zginął Drugi... — domyślił się Dziki.

— Tak... — potwierdziła Dix, wzdychając ciężko. Zrobiła wyraźną przerwę, pewnie, by przypomnieć sobie to wydarzenie. Gdy zaczęła mówić dalej, jej głos był już wyraźnie przybity — ... doszliśmy do granicy Krańcowa od strony Koziogłowic. Mieliśmy ze sobą masę sprzętu i zapasów. Nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy musieli iść i co zastaniemy w sąsiednim mieście. Pamiętam, że wtedy wszystkich nas ogarnęło jakieś złe przeczucie. Nie wiem, o co chodziło. O to że szliśmy w nieznane? Czy może tak po prostu działała strefa graniczna...?

— Też czasem mam takie przeczucie, może to jakiś nieświadomie używany błąd? — wtrącił Dziki, chcąc nieco pociągnąć Dix za język, ale dziewczyna nie dała się wciągnąć w rozmowę o błędach.

— Nie, to na pewno nie to. W każdym razie Drugi kazał nam poczekać i ruszył jako pierwszy, przekraczając strefę miasta. — Dziewczyna ponownie przerwała, następne słowa wypowiedziała jak zahipnotyzowana. — Staliśmy tam, obserwując, jak idzie coraz wolniej... i wolniej... aż w końcu zatrzymał się parę metrów od znaku. Krzyczeliśmy do niego, ale on tam po prostu stał. Pierwszy ruszył za nim, ale gdy tylko przekroczył granicę miasta, natychmiast rzucił się do tyłu. Powiedział, że to jakiś błąd i żebyśmy nie próbowali tam iść, a zaraz potem stracił przytomność...

— I co zrobiliście? — dopytał Dziki, bo Dix pogrążyła się na chwilę w myślach.

— Byliśmy w szoku. Nie wiedzieliśmy, co mamy zrobić. W końcu zaczęliśmy szukać sposobu na ściągnięcie Drugiego z powrotem. Przeszukaliśmy pobliskie domy i znaleźliśmy linę dość długą, by go sięgnąć. Po kilku próbach udało nam się w końcu zaczepić ją o korpus Drugiego. Gdy jednak chcieliśmy ściągnąć go z powrotem, nie udało nam się przesunąć go nawet o milimetr. Wydawało się, jakbyśmy ciągnęli posąg razem z postumentem. W międzyczasie Pierwszy odzyskał przytomność. Stwierdził, że to bez sensu, że Drugi przepadł na zawsze...

— Przykro mi... Ale co zrobiliście dalej?

— Po tym było już tylko gorzej. Kuba został nowym liderem grupy, ale wszyscy stracili jakąkolwiek nadzieję. Wcześniej myśleliśmy, że jedyną

przeszkodą do opuszczenia miasta są niewykształceni. Gdy już ich pokonaliśmy, okazało się że i tak jesteśmy więźniami. Tylko Pierwszy i Daniel trzymali się dobrze, co strasznie irytowało... W każdym razie Rudy i Dec odeszli od nas. Stwierdzili, że nie mają zamiaru dłużej się narażać, szukając odpowiedzi, których nie ma. Łukasz zniknął jakiś czas później. Do tej pory nie wiem, co się z nim stało, więc przypuszczam, że nie żyje, bo nigdy potem go nie spotkałam...

— A wy? — dopytywał w napięciu Dziki, czując, że historia zbliża się do finału.

— Kuba postanowił, że będziemy przeczesywać miasto wzdłuż i wszerz, szukając jakiegokolwiek wskazówki... odpowiedzi na to, co się stało. Za pierwszy cel obraliśmy zakłady chemiczne. Zawsze było tam pełno Niewykształconych, chcieliśmy dowiedzieć się, skąd przychodzą... i to był wielki błąd. — Dix westchnęła, po raz kolejny jej głos zmienił się na znacznie bardziej gniewny. — Bardzo szybko zostaliśmy uwięzieni w budynku pełnym tych stworów. A był ich cały wachlarz, łącznie z Delimerami i wtedy Kuba nas zostawił. Okazało się, że już wtedy umiał używać błędów, wykorzystał je do ucieczki...

— Kuba was zostawił? — Dziki nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Człowiek, który uratował mu życie i wprowadził do tego świata, zostawił wcześniej swoich towarzyszy? Do tego jeszcze potrafił używać błędów...

— Tak, sytuacja stała się jeszcze gorsza. Niewykształceni zabili Siódmą na moich oczach, a mnie oddzielili od grupy. Próbowałam znaleźć innych, błądziłam korytarzami, gdy trafiłam do jakiegoś magazynu i wtedy to zobaczyłam. Pierwszy walczył z Kamilem.

— Dlaczego?! — W tej historii to wydało mu się najdziwniejsze. Przecież podróżowali razem, mogli za sobą nie przepadać, ale dlaczego zaczęli walkę i to jeszcze w takim miejscu.

— Nie mam pojęcia... — zawołała Dix głosem grzęznącym jej gdzieś w gardle. — Pierwszy używał błędów, a był przy tym jak zwierzę... Furia, która błyskała mu w oczach... Kamil nie miał z nim szans. On go zabił..., ja to wszystko widziałam... — Głos Dix załamał się zupełnie.

W ciemności usłyszał, jak dziewczyna zapłakała cicho. Dziki zbliżył się i przytulił ją do siebie, Dix zaczęła szlochać, wpijając mu się w ramię.

Nie potrafił tego zrozumieć. Dla niego nie było w tym żadnego sensu, motywacji która mogłaby pchnąć Pierwszego przeciwko drugiemu człowiekowi. Dziki pomyślał przez chwilę, że może Kamil dowiedział się czegoś na temat tego świata, co nie spodobało się Pierwszemu. Może nieświadomie znalazł sposób na przywrócenie starego porządku? Chora miłość do nowego świata była

dla Dzikiego jedynym logicznym wyjaśnieniem.

— Jeżeli nie chcesz, możemy odłożyć tę historię, to nie jest takie... — zaczął, nie chcąc dłużej męczyć dziewczyny.

— Nie, nie, już dobrze. — Dix odsunęła się, wycierając oczy rękawem. — Więc kiedy to zobaczyłam, po prostu nie wytrzymałam. Rzuciłam się na niego, strzelając na oślep, ale żadna z moich kul nie trafiła — stwierdziła zawistnie. — Biegliśmy przez korytarz, nie walczył ze mną, jedynie uciekał. Może postanowił, że sprowadzi na mnie los gorszy od śmierci... Gdy dobiegliśmy do pomieszczeń biurowych fabryki, zaskoczył mnie i wepchnął do archiwum. Ale to nie było zwykłe archiwum, to miejsce było dziwne, zmienione przez jakiś błąd. Te wszystkie segregatory i półki unosiły się w powietrzu, krążąc wokół mnie, jakbym była jakimś supermagnesem... Pamiętam, że moje ciało zaczęło się zmieniać, dostałam tych dziwnych plam. Udało mi się wydostać, nim całkiem się przemieniłam, ale defekt już ze mną został...

— Sukinsyn, zabił twojego przyjaciela, a potem doprowadził cię do tego stanu...

— Dziki, Kamil nie był tylko moim przyjacielem... My byliśmy razem..., ja... — dodała przyciszonym głosem.

— Rozumiem... — stwierdził Dzikie, siląc się, by jego głos nie brzmiał jak jakikolwiek rodzaj wyrzutu. To było oczywiste, że ją i Kamila musiało łączyć coś więcej.

— Przepraszam, nie powinnam była. Zaraz po tym jak my... ale potrzebowałam tego... Rozumiesz, ja... — Dziewczyna zaczęła tłumaczyć się gorączkowo, ale Dzikie słysząc, że jej głos znowu się łamie, przycisnął ją do siebie.

— Ciii — wyszeptał, przytulając Dix.

Dziewczyna zaszlochała cicho. Przytulał ją przez chwilę, zanim się nie uspokoiła.

— Myślisz, że Pierwszy może mieć lekarstwo na twoją chorobę? — spytał, zastanawiając się, czy jedyne, co pcha Dix do działania, to chęć zemsty.

— Jedyne, czego jestem pewna to tego, że Pierwszy korzysta z błędów. Używa ich cały czas i nie choruje. Musi więc wiedzieć coś, czego my nie wiemy... Może to lekarstwo? A może jakiś sposób, do którego żaden inny weteran jeszcze nie doszedł... — wyjaśniła.

— A Kuba? — spytał nagle Dzikie, bo przyszło mu namyśl, że przecież on pojawił się w podobnym okresie co Pierwszy i również nie chorował, a przecież potrafił i posługiwał się błędami.

— Rozmawiałam z nim. Powiedział mi, że zna tylko jeden błąd, którego użył raptem kilka razy, nic więc dziwnego, że nie zachorował. Jest więc po prostu bardzo powściągliwy. W odróżnieniu od Pierwszego, który od momentu, kiedy go ścigam, nieustannie korzysta z całego arsenału różnych błędów... Było parę takich momentów, gdy myślałam już, że go dopadliśmy, ale on bez trudu wyrywał się z najgorszych zasadzek, za każdym razem korzystając z błędów, jak ja w kościele... Nawet nie wiesz, ilu moich towarzyszy z Defektu straciło życie, walcząc z nim... Dla mnie on niewiele różni się od Niewykształconych... Krwiożerczy potwór... Taki sam, jak jego kuzyn...

Dziki wrócił na chwilę myślami do Strefy Głodu. Pomyślał o Danielu, który bez mrugnięcia okiem akceptował okrucieństwa, jakie działy się za jego plecami. Pierwszy był dla niego dużo gorszy, nie tylko dlatego, że mordował sam osobiście, ale dlatego, że był pieprzonym zdrajcą, który nie oszczędzał nawet swoich byłych towarzyszy. Daniel wydawał się chociaż szanować tych, których uznał za cennych. Dla Dzikiego, który czuł, że Dix stała się dla niego naprawdę bliska, Pierwszy, który tak bardzo skrzywdził tę dziewczynę zasługiwał tylko na śmierć.

— Chciałbym ci jakoś pomóc w twoich poszukiwaniach — stwierdził pewnie Dziki. — Słyszałem, że Krzak obiecał ci pomoc, jak tylko skończymy porządkować Wspólnotę. Możesz być pewna, że będę pierwszym ochotnikiem do ścigania tego sukinsyna.

Dix przytuliła Dzikiego mocniej. Trwali tak w objęciu, spoglądając w stronę okna. Granatowe niebo przybierało powoli szarą barwę. Za kilka minut zacznie się przejaśniać i będą musieli w końcu przerwać te chwile, które spędzali tu razem. Dix wyprostowała się, obejmując ręką tors Dzikiego. Po raz pierwszy w tym świecie chciał, żeby noc się nie skończyła...

Rozdział XV

Smutki Nowego Świata

Powrót Dzikiego i Dix z za Strefy Głodu odbił się głośnym echem chyba po całym Krańcowie. Różne wersje ich przygód krążyły nie tylko wśród defektowców i członków Wspólnoty, ale wybiegły również dalej, docierając nawet do weteranów, którzy odwiedzali okolice dworca, by wymienić się towarami i informacjami.

W momencie swojego powrotu Dziki najbardziej ucieszył się z tego, że jego przyjacielowi Mike'owi udało się przetrwać Noc Latarni, nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. Liczebność Wspólnoty uszczupliła się o całe osiem osób. Oprócz Robala i Hesika, którzy zginęli na torach, Wspólnota straciła jeszcze Jacę, Bambiego i Kiera, zabitych przez Niewykształcony byt z pociągu. Tuż po jego przejściu przez furtę zginął jeszcze Matek, a już po Nocy Latarni obrażenia doprowadziły do śmierci chłopaka, na którego wołali Bongo. Dzikiemu ciężko było udawać, że śmierć tych ludzi znaczyła dla niego coś więcej. Większość z nich nigdy nie zamieniła z nim słowa, dając jasno do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany.

Znaczne uszczuplenie się liczebności Wspólnoty zmusiło jednak ich lidera do podjęcia wielu ekstremalnie drażliwych decyzji. Wydarzenia, które miały miejsce na barykadzie, znacznie zaostrzyły bowiem stosunki między Krzakiem a jego podkomendnymi. Nic więc dziwnego, że lider nie konsultując się z nikim, przyjął do ich grona dwóch zupełnie nowych ludzi, jak się okazało, jego dobrych znajomych ze starego świata. Wywołało to natychmiastowe oburzenie wśród większości starych członków Wspólnoty, zwłaszcza że bez ceregieli Krzak oddał im wszystkie rzeczy należące do poległych w Noc Latarni, w tym tak cenną w Krańcowie broń. Tym razem jednak, gdy gromada Leserów z Oстрыm na czele pojawiła się, grożąc porzuceniem Wspólnoty, lider niespodziewanie odpowiedział po prostu:

— Droga wolna!

Dzień po tym wystąpieniu Krzak wezwał do siebie Dzikiego, Mike'a i Mańka oraz nowo dołączonych Danieleskiego i Romcia. Na cichym zebraniu poinformował ich, że skończył patyczkować się ze swoimi dawnymi towarzyszami i od teraz wszyscy oprócz tu zebranych znajdują się na wylocie.

O tym, że lider nie rzucał słów na wiatr, dość boleśnie przekonał się Pietras, który trzy dni po powrocie Dzikiego został przyłapany przez Krzaka na spaniu podczas budowy murów. Fakt, że w tym samym momencie został bez ceregieli wyrzucony ze Wspólnoty, wstrząsnął nawet najbardziej pewnymi siebie mieszkańcami dworca. Co prawda po kilkudniowej banicji Pietras wrócił do nich, ale Krzak zaznaczył, że drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Pomimo wyraźnego rozłam, jaki panował w ich grupie, praca przy budowie umocnień trwała jak nigdy. Teraz, gdy byli tak blisko zabezpieczenia ich bazy, nikt nie chciał ryzykować utraty miejsca we Wspólnocie. Nawet najwięksi buntownicy, tacy jak Ostry, bez mrugnięcia wykonywali polecenia Krzaka.

Dzięki temu wzmożonemu wysiłkowi dwa tygodnie później udało im się w końcu zabezpieczyć w pełni okolice dworca. W dniu zakończenia prac Krzak wezwał do siebie wszystkich członków Wspólnoty i poinformował, że oficjalnie mogą zacząć zbierać swoich bliskich wewnątrz murów. Sprawilo to, że nerwowa atmosfera nieco ustąpiła.

Jeszcze tego samego dnia Ostry przyprowadził swoją dziewczynę Sandrę i oprowadził ją po Wspólnocie, przedstawiając jej członkom. W tym, o dziwo, Dzikiemu, co do którego po raz pierwszy nie zachowywał się wrogo. Podobnie uczyniła większość mieszkańców Wspólnoty i już wieczorem cały teren stacji wypełnił się nowymi twarzami.

— Cholera, sporo ich — stwierdził Mike, gdy tego dnia razem z Dzikim obserwowali rozmawiających ze sobą radośnie ludzi, stłoczonych przed budynkiem dworca.

Dziki nie chciał nic mówić, ale po tym, co widział w Strefie Głodu, garstka osób stojąca na placu nie robiła na nim wielkiego wrażenia.

Jedyną osobą niezadowoloną z tej sytuacji wydawał się Maniek. Za każdym razem, kiedy spotkał się gdzieś z Dzikim, biadolił, jakie to kłopoty ściągną na nich ci wszyscy nowi ludzie albo marudził, jak bardzo są nieużyteczni.

Choć Dziki nie miał nikogo, kogo mógłby zaprosić do Wspólnoty, zakończenie prac dało mu znacznie więcej wolnego czasu. Mógł więc w końcu pomyśleć o spotkaniu się z Dix. Od pamiętnego momentu spędzonego razem po przeniesieniu przez furkę, widzieli się raptem kilka razy. Na ogół po szybkiej wymianie kilku zdań, rozstawali się zaraz przygnieceni nawałem spoczywających na nich obowiązków. Ten dziwny związek, który budowali, był dla Dzikiego nie lada zagwozdką. Bez wątplenia liderka Defektu znaczyła dla niego „coś” więcej. Nie wiedział jednak, czy ona traktuje go w ten sam sposób. Trudno mu było ukryć irytację, gdy po raz kolejny słyszał, że najważniejsze dla

niej to dopaść w końcu Pierwszego. Czasem czuł się dla niej znacznie mniej ważny niż pragnienie zemsty, które w sobie miała. Z drugiej strony sam też nie mógł powiedzieć, że dawał z siebie wszystko.

Choć budowa muru została zakończona, Krzak nic nie wspominał o złożonej Dix obietnicy. Dziki liczył, że w końcu zorganizuje choćby małą grupę, która zacznie razem z Defektem poszukiwać Pierwszego, ale Wspólnota ciągle przeżywała swoje własne problemy. Nagromadzenie nowych ludzi sprawiło, że prawo trzech stało się dla nich prawdziwym katem, zmuszając do niemal codziennego odpierania ataków ze strony Niewykształconych. Choć zbudowany mur dawał im ogromną przewagę, to jednak nie mogli pozwolić sobie na pozostawienie swojego domu bez osłony.

Dziki próbował nawet porozmawiać z Krzakiem, czy nie mógłby na ochotnika podróżować jakiś czas z Defektem. Ten pomysł jednak wybiła mu z głowy sama Dix. Do tej pory nie było wiadomo, czy defekt nie przenosi się pomiędzy ludźmi jak choroba i z wiadomych przyczyn nikt nie chciał tego sprawdzać.

Największe obawy budziła w nim jednak przyszłość. Co jeżeli Dix dopadłaby w końcu Pierwszego? Czy tak po prostu zrezygnowałaby z przewodnictwa w Defekcie? A jeżeli tak, to co zrobiliby dalej? Pomimo przyjaznych relacji, jakie łączyły Krzaka i Dix, Dziki miał wątpliwości, czy ten pozwoliłby jej zostać we Wspólnocie. Na pewno jakiś czas musieliby spędzić w odosobnieniu, by upewnić się, że Dix nie zaraża defektem. Co stałoby się jednak, jeżeli zarażała? Gdyby Dziki zachorował na defekt, a Pierwszy jednak nie miałby lekarstwa...?

Te wszystkie pytania bez odpowiedzi rodziły prawdziwy mętlik w jego głowie i szczerze mówiąc, sam chyba wolał skupiać się na budowie murów niż na próbie szukania wyjścia z tej sytuacji. Jego struty humor rozumiał tylko Mike, któremu Dziki zwierzył się ze wszystkiego, co wydarzyło się w po tym, jak wylądowali na Korczynie.

Nastrój poprawił mu się nieco, gdy pewnego dnia pod mury Wspólnoty przyjechał zaproszony przez Krzaka Autobus do Wolności. Widok starych znajomych, a szczególnie Oli, zadziałał na niego naprawdę budująco. Brakowało tylko Kuby, który choć oficjalnie przewodził Autobusowi, to praktycznie nigdy nim nie podróżował.

Razem z mieszkańcami Autobusu spędził naprawdę miły dzień. Oli przez cały czas zadreślała go setkami pytań, które wyrzucała z siebie tak szybko, że Dziki czasami gubił się, na które w tym momencie odpowiada. Radosnej

dziewczynnie w ogóle to jednak nie przeszkadzało.

W odróżnieniu od jego towarzyszy ze Wspólnoty większość mieszkańców Autobusu do Wolności naprawdę miło wspominała Dzikiego. Nawet gburowaty strażnik Autobusu Primo porozmawiał z nim życzliwie, gdy Oli zostawiła go w końcu i poszła oglądać okolice dworca. Jednak nawet doświadczony weteran, którym Primo bez wątpienia był, nie udzielił mu odpowiedzi na pytanie, które krążyło mu po głowie od spotkania z Danielem: Czym jest Heretohrome.

Zaproszenie Autobusu do Wspólnoty nie było jednak tylko zachcianką jej lidera. Krzak miał znacznie szersze plany. We Wspólnocie mimo tego, że jej członkowie pościągali wszystkich swoich znajomych (słowo balasty przestało być używane), ciągle pozostało sporo miejsca. Lider dogadał się więc z kierowcą Autobusu – Jankiem, że od tej pory wszystkich godnych zaufania ludzi Autobus będzie przywoził wprost do Wspólnoty.

Pierwszy kurs miał się odbyć już następnego dnia, bo po całym Krańcowie porozrzucani byli ludzie, którzy przeszli test Kuby jeszcze przed pojawieniem się Dzikiego. On sam jednak nie miał okazji uczestniczyć w przygotowaniu Freedom Busa do drogi, bo tej nocy wypadła jego nocna warta. Gdy Autobus opuszczał teren Wspólnoty, by pozbierać dla niej nowych członków, Dziki odsypiał w najlepsze na swoim kawałku podłogi.

Dzienna szarość wpadła jednak w końcu do budynku baru, sprawiając, że Dziki musiał przerwać swoje dosypianie. Ciągle jeszcze ledwo przytomny sięgnął ręką po telefon. Zaklął cicho pod nosem, widząc że po całonocnym maratonie tetrisa (ta noc była bowiem wyjątkowo spokojna) jego cegła padła na amen. Nie mogąc nawet sprawdzić godziny, stwierdził, że nie ma sensu wylegiwać się dalej.

Podnosząc się, zerknął na opustoszałe karimaty. Nikt oprócz niego nie musiał odsypiać zarwanej nocy. Wstając z barłogu, który zrobił ze śpiwora, sięgnął do swojego plecaka i wyjął pistolet. Od dłuższego czasu praktycznie nie nosił go ze sobą. Wyciągnął magazynek i z nieskrywanym żalem przyjrzał się świecącej w nim pustce. „Będę chyba musiał pomyśleć o jakiejś lepszej broni białej” — pomyślał.

Perspektywa zdobycia amunicji w Krańcowie wydawała mu się dość mocno nierealna. Mimo to włożył broń do kieszeni, bo wciąż jeszcze nie udało mu się zdobyć kabury. Zakładając na plecy bluzę, ruszył w stronę nowej stołówki, którą urządzili w dawnym budynku dworca.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, a oczy przyzwyczyły się mu do światła, zobaczył, że na placu, gdzie wcześniej stały autobusy, ktoś zaczął ustawiać

namioty. Przeszedł obok, mijając kilka już rozstawionych i przez ogromne wrota wszedł do dawnego budynku dworca, gdzie urządzili pseudo stołówkę.

Przestronne pomieszczenie poczekalni wypełnione było teraz stolikami i krzesłami, które znaleźli w pobliskich domach. Pod ścianą poukładane były w rzędki kuchnie gazowe, a w dawnych pomieszczeniach, z których kiedyś przez okienka sprzedawano bilety, stały teraz zapasy poukrywane w drewnianych skrzyniach.

— Dziki! — zawołał go Mike, który razem z Mańkiem popijał sobie kawę przy małym okrągłym stoliku w rogu.

— Siemka — przywitał się z nimi i wyjął swój czarny kubek ze schowka pod jedną z kuchenek.

— Co tutaj tak pusto? — spytał, nalewając sobie kawy z dzbanka.

— Krzaku zrobił rano zebranie — odpowiedział Maniek znad szklanki.

— Ta, ale nie budziliśmy cię, bo po warcie i tak masz odpust — dodał Mike. Dziki podsunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

— I co na tym zebraniu?

— Chodziło głównie o kursy zaopatrzeniowe — wyjaśnił Maniek, krzywiąc się nieco. — Większość balastów (on jako jedyny używał jeszcze tego zwrotu) ma przy sobie tyle, ile ma na sobie. Potrzebujemy teraz ubrań, środków czystości i wielu innych pierdół, na które wcześniej nie zwracało się tak uwagi.

Dziki musiał złapać łyk kawy, by nie parsknąć śmiechem. Maniek, który praktycznie zrózł się ze swoim mundurem, na pewno nie zwracał uwagi na środki czystości.

— Nom, a Krzak stwierdził, że to będzie dobra okazja, by oswoić trochę nowo przybyłych z szabrowaniem — wtrącił Mike. — Budynki przy naszej bazie są bezpieczne, więc wybrał paru i kazał im przeczesywać teren w poszukiwaniu przydatnych rzeczy.

— Jak rozumiem ma to na celu wyłowienie nowych zaopatrzeniowców? — spytał Dziki, na co Maniek prawie natychmiast parsknął śmiechem.

— Krzak jest ogromnym optymistą, jeśli myśli, że to będzie wyglądało inaczej niż w starej Wspólnocie. Jak już się tu trochę oswoją, to siłą trzeba ich będzie wywalać za mury.

Dziki nie odpowiedział, bo skupił się na picciu kawy, ale po części zgadzał się z Mańkiem. Od jego dołączenia przez większość czasu miał wrażenie, że ciężar utrzymania Wspólnoty spada na nich trzech oraz dopiero co zaaklimatyzowanych kumplach Krzaka. Reszta zachowywała się, jakby naprawdę było jej to całkiem obojętne. Miał przeczucie, że ludzie, którzy

dołączyli, nie będą dużo lepszym sortem. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi. Młody wszedł powoli na stołówkę z miną, jakby miał coś na sumieniu.

Dziki przyjrzał mu się. Chociaż sam nie był urodzonym kulturystą, to na pewno nie było z nim tak źle jak z bratem Roberta, który wyglądał, jakby podmuch wiatru mógł go złamać wpół.

— Lejek! Miałeś na warcie być — wrzasnął Maniek, przez co Młody aż podskoczył ze strachu. Trwał tak przez chwilę, wyglądając, jakby miał zaraz dostać zapaści, a oczy błędziły mu po stołówce w poszukiwaniu źródła krzyku.

Dopiero po absurdalnie długiej chwili, która sprawiła, że nawet Dziki uwierzył w głoszoną przez Mańka tezę o upośledzeniu chłopaka, Młody zauważył ich przy stole. Niepewnym krokiem zbliżył się do stołu.

— Pietras stoi teraz — wybąkał prawie szeptem.

— Śpioszek? Od razu poczułem się bezpieczniej... A twój brat gdzie? — spytał Maniek

— Poszedł szkolić nowych członków... — odpowiedział Młody, trzęsąc się jak osika.

— Jeżeli wyszkoli ich tak, jak ciebie, to ja swojej przyszłości tutaj nie widzę — rzucił opryskliwie Maniek i złapał się za kubek z kawą.

Młody spuścił głowę, nie odsunął się jednak od ich stolika. Stał tam, oczekując chyba na pozwolenie, że może się oddalić. Widząc to Maniek, spojrzał na niego jak na idiotę i ryknął:

— NO RÓB, CO MASZ ROBIĆ!

Dopiero po tych słowach Młody poszedł w stronę skrzyń z zapasami, slalomując przy tym, jakby był pijany.

— Czemu ty go tak ciśniesz? — spytał spokojnie Mike, gdy chłopak oddalił się już od nich.

— Bo nie powinno go tu być? Bo mam wrażenie, że ktoś przez niego zginie? Powiedz, chciałbyś, żeby Młody cię osłaniał przy pompie wodnej? — odpowiedział natychmiast Maniek, uderzając kubkiem o stół i rozlewając przy tym jego zawartość.

— Nie bardzo — stwierdził Mike, marszcząc czoło.

— Teraz kiedy już przyjmujemy balasty, to pierwsze co powinien zrobić Robert, to iść do Krzaka, powiedzieć, że pomylił się co do brata. Młodego natrzeć głównym w ramach pokuty, a jego broń zdeponować, żeby czekała na jakiegoś ogarniętego, co dołączy do Wspólnoty. A zamiast tego oni dalej ciągną

ten cyrk — stwierdził Maniek z uśmiechem, jakby już wyobrażał sobie całą tę sytuację.

— Może się wyrobi — wypalił nagle Mike, co wywołało u Mańka atak spazmatycznych skurczów twarzy.

W międzyczasie Dziki dokończył swoją kawę.

— To co teraz, my też gdzieś ruszamy?

— Nie, nie możemy zostawić Wspólnoty pustej. Trzeba poczekać, aż ktoś wróci — odpowiedział Mike, odkładając ich kubki do schowka.

— To chodźmy na mury — rzucił Maniek i we trzech wyszli ze stołówki.

Mijając powoli rozrastające się pole namiotowe, zbliżyli się do granicznego budynku przy murze. Po drabinie wspięli się na dach, gdzie urządzono teraz punkt obserwacyjny.

— Nie wierzę, Pietras znowu gdzieś polazł. Pójdę do Krzaka i... — zaczął natychmiast Maniek, ale Dziki już go nie słuchał, jego uwagę przyciągnęła górująca w oddali Wieża Ciśnień.

Na placu pod nią kręciło się jak zawsze kilku ludzi w czerwonych strojach. Zastanawiał się, co dzieje się teraz z Dix, od kilku dni nie miał o niej żadnych wieści. Nie towarzyszyła im nawet w czasie ostatniego kursu po wodę. Podczas jej nieobecności władzę w wieży przejmował defektowiec na którego wołali Rengo, ale nawet on nie był w stanie powiedzieć Dzikiemu, co się z nią dzieje.

— Ilu ludzi jest w Defekcie? — spytał zaciekawiony.

Nawet jeżeli grupa szukająca Pierwszego nie była zbyt liczna, to jako osłonę transportu z wodą Defekt oddał ostatnio co najmniej dziesięć osób. A przecież ktoś musiał jeszcze pilnować wieży.

— Trudno powiedzieć, to się ciągle zmienia, tam u nich ciągle ktoś umiera albo dochodzi ktoś nowy — odpowiedział Maniek, wyciągając paczkę chipsów, którą Pietras schował sobie pod swoim leżakiem.

— Ludzie sami przychodzą, jak zachorują? — dopytywał dalej Dziki, częstując się z podstawionej paczki.

— Tak, dlatego oni od zawsze mieli bazę w Wieży Ciśnień, to charakterystyczne miejsce i każdy, kto złapie defekt, od razu wie, gdzie ma iść. Wszyscy w mieście wiedzą, gdzie jest wieża — stwierdził Maniek, przegryzając garść chipsów.

— Ciekawe, są tutaj tyle lat i nie mają żadnych umocnień. Nigdy nawet nie słyszałem, żeby coś atakowało tę wieżę — wtrącił się nagle Mike.

— A po co ma atakować, jak u nich wszystko jest defektem skażone — stwierdził Maniek z odrazą w głosie.

Ton, w jakim to powiedział, momentalnie zirytował Dzikiego.

— Defektu nie łapiasz przez przedmioty, tylko przez błędy i kontakt z defektowcami — próbował wyjaśnić Mike, który też miał swoją teorię na temat tajemniczej choroby, ale Maniek popatrzył się tylko na niego ironicznie. Widać było, że ma w tym temacie swoje zdanie.

— A niewykształceni? — spytał Dziki, chcąc odciągnąć temat od defektu, bo żadna z ich opinii na temat tej choroby nie przypadła mu do gustu. — Oni ich nie atakują?

— Atakują, ale nie lgną do nich. Prawo trzech nie działa na nich jak na zdrowych. Natomiast jak ludzi robi się gdzieś trochę więcej, to zaraz złączą się całe grupy Niewykształconych. Widzisz przecież, co tutaj się dzieje, od kiedy pojawiły się balasty — stwierdził Maniek z mściwą satysfakcją, wrzucając zgniecioną paczkę po chipsach pod leżak Pietrasa.

Nagle Dzikiemu przeszła przez myśl przerażająca wizja.

— A jak tu przylezie Delimer?

— Nie przylezie — wyjaśnił spokojnie Mike — Delimer nie jest wędrowny. Ma tam jakiś swój teren, po którym łązi i nie wychodzi z niego, chyba że kogoś dotknie i go ściga. Wtedy można go ściągnąć wszędzie — tłumaczył, rozglądając się leniwie po okolicy. — Miejsce, w którym stoi Wspólnota nie jest przypadkowe. To jedno z najbezpieczniejszych części Krańcowa, mało tu sklepów, praktycznie nie ma wody, ale za to nie ma tu Delimerów.

— Oni występują tylko na Zatorzu i przy zakładach chemicznych koło obwodnicy — dodał Maniek — więc problemu nie ma, ale gdyby ktoś tu jakiegoś ściągnął, to żegnaj Wspólnoto.

— Nie da się go zabić? Mamy przecież sporo ludzi, broni. — Dzikiego trochę zdziwiło stwierdzenie Mike'a, że jeden Niewykształcony może zniszczyć to, na co tak ciężko pracowali.

— Opowiem ci coś — powiedział nagle Maniek.

— Kiedy Krzak był jeszcze w Armii Daniela, grupa banderowców natknęła się na Delimera w jakiejś opuszczonej hali. Oczywiście, że nie bardzo wiedzieli, co to właściwie jest, a sam stwór wydawał im się powolny i pokraczny. Postanowili więc, że się go pozbędą. Oczywiście finał był jasny do przewidzenia — w tym momencie Maniek uśmiechnął się złośliwie, przeciągając jednocześnie kciukiem po szyi.

— Finalnie jednemu udało się uciec z miejsca rzezi, ale był jużznaczony. W swojej bezsensownej próbie zachowania życia, ściągnął Delimera prawie pod samą Strefę Głodu, a tam bestia boleśnie zakończyła jego życie. Wtedy Daniel

jako punkt honoru uznał pozbycie się potwora. To by było coś, nikt nie podskoczyłby Armii, która zabiła Delimera. Zebrały się więc wszystkie elitarne grupy: Bracia, Obrońcy, Kręgi od Szamba i inne nazwy, jakie tam sobie wymyślili. Walili do niego chyba przez pół dnia, podobno wyglądał już bardziej jak sito, zanim łaskawie padł.

— Więc jednak można go zabić... — stwierdził Dziki nieco spokojniejszym głosem.

Mike westchnął ciężko i wyjaśnił:

— Wiesz, da się, ale spójrz na zaangażowane środki. Daniel ma na swoim terenie sklep z bronią, nie musi oszczędzać amunicji. Wątpię, czy wszyscy we Wspólnocie mamy dość magazynków, żeby wykończyć tę bestię.

Dziki po wysłuchaniu tego, był już pewien, że dotknięcie przez Delimera to niemal pewny wyrok śmierci. Ale coś jeszcze go nurtowało.

— A jeżeli Delimer ma już naznaczonego, a ty go dotkniesz?

— To cię nie zapamięta, on musi zabić tego, którego już ściga, żeby obrać nowy cel — odpowiedział mu Mike. — No ale jak mu wejdiesz pod rękę, to cię załatwi. Jak kogoś ściga, jest strasznie agresywny. Z kolei jak nie ma żadnego celu, to tkwi w takim lekkim uśpieniu, można przejść koło niego całkiem blisko i może nawet na ciebie nie zareagować. Dlatego nie są aż tak niebezpieczne, chyba że sam szukasz kłopotów.

— Postaram się trzymać z daleka — stwierdził Dziki.

Wszyscy trzej zwrócili się w stronę wieży, obserwując krążących po placu wartowników z Defektu. Mike bez ceregieli rozłożył się po chwili na dachu. Dziki idąc w jego ślady, postanowił zrobić to samo. Nieprzespana noc ciągle jeszcze dawała mu się we znaki. Gdy zamknął oczy, miał wrażenie, że za chwilę odpłynie. Po chwili jednak zobaczył ostre światło przebijające się mu przez zamknięte powieki, myślał przez chwilę, że Maniek robi sobie głupie żarty i świeci mu latarką w oczy.

— Pięć lat masz? — spytał poirytowany, gdy nagle światło błysnęło mu w twarz jak tysiąc fleszy od aparatu.

Mimo że nie otworzył oczu, widział biel tak ostrą, jakby patrzył się prosto w słońce.

— CO SIĘ DZIEJE? — krzyknął, przecierając oczy z bólu i wtedy usłyszał dziwny świdrujący dźwięk, który pulsował mu w uszach.

— Błysk się pojawia — wrzasnął Mike, przekrzykując narastające świszczanie. — Musimy zejść z murów, bo pospadamy.

Wszyscy trzej ześlizgnęli się po drabinie i biegiem ruszyli w stronę baru.

— Lepiej się położyć przed kulminacją — wrzasnął Mike, próbując przekrzyczeć narastające w uszach świszczanie.

Dziki czuł, że znowu zbiera w nim wściekłość. Był pewien, że przyjaciel znowu nie powiedział mu o czymś ważnym. Nie mógł jednak wydobyć z siebie nawet słowa, bo czuł, że jak tylko otworzy szczękę, to ciśnienie rozerwie mu bębenki. Świszczanie z każdą chwilą narastało coraz bardziej. Kiedy wpadli do baru, Dziki nic już nie słyszał. Zobaczył jedynie przez łzy, że Maniek i Mike rzucili się na karimaty, tuż obok nich swoje miejsca zdążyli już zająć Młody i Pietras. Wszyscy zasłonili głowy poduszkami, więc Dziki zrobił to samo. Już po chwili błysnęło po raz drugi. Światło przechodziło przez poduszkę i zamknięte powieki, a świst był tak głośny, że rozsadał czaszkę. Poczul się, jakby umierał. Z jego płuc wydobył się krzyk, nim całkiem odpłynął.

Nie był pewien, ile czasu minęło. Wciąż słabo widział, a ból głowy przyćmiewał mu zdolność myślenia. Wcisnął głowę w ścianę, chcąc podkraść dla swojego czoła odrobinę chłodu. Nie miał zamiaru się podnosić, ale poczuł, że coś uporczywie klepie go po ramieniu. Obrócił się, czując, że zaraz znowu odpłynie, zobaczył nad sobą Krzaka trzymającego jakieś tabletki.

— Na łeb — wyszeptał.

Dziki bez słowa wziął leki i przełknął je szybko, po czym padł z powrotem twarzą w poduszkę.

— Jak się już ogarniecie, to przyjdźcie do mnie — usłyszał nad sobą mdły głos lidera.

Musiał leżeć co najmniej pół godziny, zanim proszki przyćmiły ból i mógł w ogóle zacząć myśleć. Mimo to postanowił poleżeć jeszcze chwilę. Dopiero gdy usłyszał, że Maniek i Mike podnoszą się, chcąc, nie chcąc, wstał razem z nimi.

We trójkę, z minami, jakby byli na ciężkim kacu, weszli do pokoju Krzaka.

Lider siedział przy biurku z ręcznikiem związanym na głowie, a minę miał podobną do nich.

— Pech, co ? Nie miało kuźwa kiedy. Chociaż trzeba się było spodziewać, bo już od ponad miesiąca był spokój. Dobra, nieważne. Słuchajcie ostatnio wywaląto samych ludzi, więc nie zdziwiłbym się, jakby się dzisiaj zaczęły przemarsze. Weźcie te najmocniejsze prochy, łyknijcie sobie jeszcze, a potem wysuńcie się do przodu i rozejrzyjcie za Autobusem. Umówiliśmy się, że będą wracali drogą koło dawnego przedszkola miejskiego. — Krzak wstał i otworzył

mały sejf koło biurka, które Dziki dopiero teraz zauważył. W środku pełno było małych kolorowych opakowań leków. Lider wyjął sporej wielkości opakowanie i podał Mike'owi. Mike rozdzielił im po proszku, a potem wyszli na zewnątrz, ciągle jeszcze otepieni.

— Jakie przemarsze? O czym on mówi? I co to do cholery było to światło?
— spytał Dziki, czując, że ból powoli staje się znośny.

— To był taki sam Błysk jak ten, w trakcie którego się pojawiłeś — odpowiedział Mike, który z nich trzech wyglądał najlepiej. — Kiedy dzieje się coś takiego, to znaczy, że właśnie wyrzuca ludzi... albo Niewykształconych — dodał po chwili ciszy.

— Kiedy wywali dużą ilość Gospodarzy i ci sporymi grupami wracają do swoich domów, to są to przemarsze. I uwierz mi, nie chcesz trafić na przemarsz, to taka mini Noc Latarni.

— To niewykształceni też wypadają na cmentarzu? — dopytywał dalej Dziki, masując czoło, by podświadomie przyspieszyć działanie leku.

— Nie do końca wiadomo — wtrącił się Maniek, próbując hamować swój pełen mdłości ton. — Jak to się zaczyna, to wszyscy tracą przytomność, a potem nim dojdą do siebie, to zaraza się już rozpełza. — Po tym zdaniu Maniek złapał się za usta, tłumiąc wymioty.

Dziki miał wrażenie, że zniósł to chyba nawet gorzej od niego. Po chwili drzwi za ich plecami otworzyły się. Pietras razem z Młodym wypełzli na zewnątrz, kierując chwiejne kroki w stronę punktu obserwacyjnego.

W tym momencie Dziki poczuł w sobie taką samą nienawiść do leserów, jaką tryskał od dawna Maniek. Naprawdę czuł się fatalnie, a jednak to właśnie on, jak zawsze, musiał wyruszyć poza bezpieczne miejsce, podczas gdy Pietras razem z Młodym będą sobie odchorowywać, leżąc na dachu i udając, że pilnują czegokolwiek.

Nie wiedział, czy była to kwestia bólu, czy po prostu ta kropla przeląła w nim czarę goryczy.

— Poczekajcie tu chwilę — stwierdził w stronę dwóch kompanów i wrócił się do budynku baru. Złość kipiała w nim tak bardzo, że miał zamiar w tym momencie wymusić po prostu na Krzaku, żeby to Pietras z Młodym wyszli na spotkanie Autobusu. Bez pukania wszedł do biura Krzaka, lider spojrzał na niego pytająco, ale nim Dziki zdążył coś powiedzieć, ten rzucił pierwszy:

— O, Dziki, dobrze że się wróciłeś... — stwierdził, podnosząc się z krzesła.

To niespodziewane stwierdzenie sprawiło, że Dziki prawie zapomniał, po co przyszedł. Krzak zajrzał do szafki pod biurkiem i wyciągnął małe kartonowe

pudełko.

— Mike wspominał mi, że jesteś już pusty.

Dziki nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Być może ból głowy był jeszcze zbyt silny, ale gdy zobaczył, że Krzak wyciąga z pudełka magazynki, zrozumiał, że chodziło mu o broń.

— Dobrze pamiętałem? Masz tetetkę 7.62? — spytał lider, odliczając w rękach naboje.

Dziki skinął głową i nim zdążył coś odpowiedzieć, Krzak wcisnął mu w rękę garść luźnych naboji.

— Taki mały prezent za zaangażowanie. Byłem ostatnio pohandlować z Siwym. Z beryla, który został po śmierci Jacy, nie miałibyśmy pożytku, bo amunicji do niego chyba w Krańcowie już nie ma. Postanowiłem więc, że zamienię go na coś dla was. Daj to jeszcze Mike'owi i Mańkowi — dodał Krzak, dając mu w rękę magazynek do AK 47 i kilka luźnych pestek do pistoletu.

— Tylko nie wspominajcie o tym nikomu. Nie chcę, żeby ktoś uznał, że was faworyzuję. — Krzak usiadł już przy biurku, łapiąc się za czoło, najwidoczniej liczenie pogorszyło jego stan, bo wyglądał, jakby miał puścić pawia.

Dziki stał przez chwilę, po czym westchnął ciężko.

— Dzięki.

W tym momencie poczuł w sobie jakieś dziwne poczucie winy. „Po prostu są ludzie i taborety” — pomyślał. — „W końcu czy to pierwszy raz robi coś za innych?”

— Dziki, a ty chciałeś coś ode mnie? — spytał nagle Krzak, jakby przypomniał sobie, że to przecież Dziki przyszedł do niego.

— Nie, to już nieważne — odpowiedział.

Gdy wyszedł na zewnątrz, Mike siedział na chodniku, opierając głowę o kolana, a Maniek leżał na ziemi z rozłożonymi rękoma. Dziki stuknął delikatnie Mike'a magazynkiem w głowę.

— Prezent od Krzaka, tylko morda w kubek — dodał.

Mike zabrał od Dzikiego magazynek i natychmiast podpiął pod swój karabin, wymieniając stary. Maniek podniósł się z ziemi, by przyjrzeć się, co robią, wtedy Dziki wsypał mu w ręce naboje.

— Tylko nie chwal się tym na prawo i lewo.

— To moje święte prawo — stwierdził Maniek. Po chwili jednak pożałował, że otworzył usta, bo ledwo powstrzymał zawartość żołądka przed wypadnięciem.

By nie powodować kolejnych gwałtownych pogorszeń nastroju, ruszyli w

milczeniu. Najpierw wspięli się na nowo wybudowany mur z autobusów i dalej po linie zeszli na dół. Wspólnota miała co prawda bramę, ale otwarcie jej wymagało uruchomienia jednego z autobusów, więc przejście po linie było dużo szybsze.

Po przejściu na drugą stronę ruszyli w stronę bazy Defektu. Sądząc po dość niemrawych ruchach chodzących pod Wieżą Ciśnień strażników, oni również musieli niezbyt dobrze znosić Błysk.

Po kilku minutach chwiejnych kroków przeszli obok przejazdu kolejowego, a potem dalej drogą, którą razem z Mikiem szli w stronę obwodnicy. Tym razem jednak nie skręcili w lewo, lecz w prawo w stronę centrum miasta. Dziki nie miał najmilszych wspomnień z tym miejscem. Zaledwie kawałek dalej razem z Dix zostali napadnięci przez kanibali.

— Nie jest tu zbyt bezpiecznie, to tutaj nas dopadli — powiedział Dziki, przypominając Mike'owi o tym, co spotkało go wcześniej.

Mike zaklął pod nosem i złapał karabin w dłonie, jakby dopiero słowa Dzikiego przypomniały mu, że trzeba zacząć uważać.

Dziki zaczynał rozumieć, dlaczego Krzak wysłał ich przodem, nawet pomimo środków przeciwbólowych ciężko było się skupić, czując ten ucisk w głowie. Janek, konający z bólu nad kierownicą, na pewno miałby problem dowieźć nowych potencjalnych członków bezpiecznie na teren dworca. Jedyne, co pocieszało Dzikiego, to fakt, że mogący się tu kręcić kanibale na pewno nie czuli się lepiej.

Minęli właśnie pierwszy ze sklepów, o którym myślał Dziki, wspominając tą ulicę, i bez żadnego zaskoczenia spostrzegł, że mały market wciąż był wyczyszczony do cna. Zza rozbitych szyb ukazywały się jedynie puste, porozbijane półki.

Przedzkole nie było daleko, jeżeli Autobus nie zmienił trasy, już niedługo powinni się na niego napatoczyć. Przeszli obok porozrzucanych na ulicy wózków sklepowych i ogromnego budynku w całości zalanego graffiti.

Dziki spojrzał w jego stronę, przyglądając się napisom, jednocześnie zastanowił się, dlaczego przechodząc tu wcześniej, nie zwrócił na niego uwagi. Kątem oka przeczytał niejasną wskazówkę dla jakiejś dziewczyny bądź chłopaka: *Meyb, jeśli to czytasz, udaj się do miejsca, gdzie się poznaliśmy, czekam.* Oczywiście było tam też zaproszenie do Strefy Głodu: *Armia Daniela twoja ostatnia szansa — — — .> kieruj się na H-Market.* Na ostatnim, któremu Dziki zdążył się przyjrzeć, była dość nieprzyjemna rada: *Po prostu się zabij...*

Szli dalej obok tej swoistej tablicy informacyjnej i wtedy Dziki zobaczył coś,

od czego serce zabiło mu mocniej.

— Freedom Bus! — wykrzyknął radośnie, przyśpieszając kroku. Maniek i Mike zrobili to samo.

Autobus stał zaparkowany pod bramą przedszkola. Wszystkie jego okna były zasłonięte kotarami, łącznie z szybą kierowcy. Dziki pomyślał, że może jeszcze się nie obudzili, albo z bólu nie są w stanie się poruszać.

Dobiegł do bocznych drzwi, które z niewiadomego powodu zostały otwarte i stanął zaskoczony widokiem.

Autobus był całkiem pusty, większość osobistych rzeczy jego mieszkańców leżała bez ładu na siedzeniach. Maniek wszedł do środka, mijając Dzikiego i zaczął rozglądać się w środku. Po chwili usiadł na miejscu kierowcy i przekręcił tkwiący w stacyjce kluczyk. Dźwięk silnika wypełnił panującą dookoła ciszę.

— Działa, nie mieli powodu, żeby go opuszczać — stwierdził.

Dzikiego przeszedł w tym momencie dziwny lęk. A jeżeli kanibale jednak nie byli tak schorowani...

— Może schowali się w przedszkolu? — stwierdził Mike, widząc przerażoną minę Dzikiego.

— Musimy to sprawdzić — zawołał i natychmiast ruszył w stronę bramy na teren przedszkola.

— Dziki, powinniśmy wrócić do Krzaka, zabrać ze sobą jakieś wsparcie... — krzyknął w jego stronę Maniek. Dziki jednak nie słuchał, ruszył dalej w stronę zielonej furtki.

Nigdy wcześniej nie był w tym miejscu. Jego rodzice uznali chyba, że ten etap edukacji jest mu zbędny. Niemniej czuł, że to, co może go tu czekać, niewiele będzie miało wspólnego z tym, do czego budynek służył jeszcze w starym świecie. Plac zabaw, który czasami widywał zza ogrodzenia, z bliska wyglądał dużo bardziej przerażająco. Zniszczone, pordzewiałe i od lat nieużywane karuzele i huśtawki kontrastowały mocno z kolorowymi rysunkami na oknach klas, a ciemne przymglone szyby nadawały temu miejscu jeszcze bardziej złowieszczy wygląd. Nim jednak zdążył dać pierwszy krok w wyschniętą trawę, zatrzymał go Mike.

— Idę z tobą, Maniek poczeka przy autobusie. Jakby nasi wracali tą drogą albo ktoś z Autobusu wrócił — powiedział przyciszonym głosem.

Dziki skinął głową, a Mike chwycił broń w ręce i wyprzedził go, wychodząc na chodnik. Zbliżyli się do brązowego muru, droga prowadziła ich za szkołę, więc wejście musiało znajdować się z boku budynku. Zerkając przez dziwnie przymglone szyby do ciemnych klas, zobaczyli nienaruszone półki pełne starych

samochodzików i mocno sfatygowanych pluszaków.

— Creepy — skomentował po angielsku Mike, kiedy w trzecim oknie zobaczyli gromadę misiów pousadzanych na malutkich krzeselkach, tak że wpatrywały się prosto w nich.

— Wejście — szepnął Dziki, wskazując palcem na przeszklone drzwi.

Minęli wyschnięty żywopłot oddzielający wejście od parkingu dla nauczycieli i weszli do środka.

Korytarz przedszkola był niesamowicie ciemny, ogromne drzewa otaczające budynek nie pozwalały na to, by nawet odrobina światła wlała się do środka. Dziki wyciągnął latarkę z kurtki i poświecił w głąb holu. Kolorowe malunki krasnali rodem z bajek, które miały wskazywać dzieciom drogę do szatni, pokryte były obelżywym i wulgarnym graffiti.

— Potem się dziwili, że dzieci wyrastały na psycholi — zażartował Mike, obserwując wyjątkowo przerośniętego skrzata, który z uśmiechem rodem z horroru w komiksowej chmurce wypowiadał słowo „szatnia”.

— Bardziej by pasowało „rzeźnia” — wyszeptał Dziki.

Minęli korytarz pełen kolejnych przerażających rysunków i drzwi do szatni pełnej osobistych rzeczy maluchów. Worki z butami były porozrzucane, a tornistry leżały na podłodze wyprute z zawartości.

Nasłuchując jakichkolwiek odgłosów, przeszli do następnego skrzydła. Kolejny długi, szeroki korytarz pełen był wejść do poszczególnych sal zabaw. Praktycznie każde drzwi, które mijali, miały na sobie ogromny malunek jakiegoś owocu. Miało to zapewne ułatwić maluchom odnalezienie odpowiedniej klasy. Mijając po kolei gruszkę, jabłko i banana, trafili w końcu na ślad, który mógł wskazywać, że przebywali tu ludzie z Autobusu. Po środku korytarza leżały porozrzucane bez ładu jakieś drobne przedmioty: butelka wody, nóż, opakowanie proszków od bólu głowy, gumka do włosów i, o dziwo, pistolet. Mike podniósł broń do góry.

— Co myślisz?

Dziki zmarszczył brwi.

— Tak mi się wydaje, że przebyliśmy podobną drogę od pierwszego błysnięcia na murze do utraty przytomności w barze. Jeśli złapało ich, gdy przejeżdżali koło przedszkola, to mogli zdążyć dobiec tutaj i próbować przeczekać... Ale gdzie są teraz? — starał się, żeby jego głos zabrzmiał spokojnie, ale czuł teraz naprawdę ogromny niepokój. Mógł uwierzyć w to, że ktoś otępiąły bólem zapomni zabrać wodę, ale nikt w tym świecie nie zapomniałby swojej broni.

— Znajdziemy ich — próbował dodać mu otuchy Mike, ale to wcale nie pomogło. Dziki zganiał się w myślach, gdy przez głowę przeszło mu, że martwego też można znaleźć.

Szli korytarzem jeszcze kawałek, mijając zamknięte drzwi z pomarańczą i schodami ruszyli na piętro budynku. Układ górnego korytarza był identyczny, z tą różnicą, że zamiast owoców, na drzwiach namalowane były zwierzęta. Dziki podszedł do pierwszych drzwi z pieskiem, były delikatnie uchylone. Starając się nie narobić hałasu, pchnął je delikatnie i poświecił latarką do środka.

Wnętrze klasy miało tylko biurko dla nauczyciela, resztę pomieszczenia zajmowała ogromna piankowa podłoga i kilka poprzewracanych półek z zabawkami dla dzieci. Dziki zamknął drzwi równie cicho. W tym czasie Mike zaglądał do następnej klasy, ale ponieważ cofnął się po chwili, najprawdopodobniej też nic w niej nie dostrzegł. Dziki zbliżył się już do kolejnych drzwi, gdy usłyszał cichy jęk. Mike musiał usłyszeć to samo, bo wycelował w głąb korytarza.

— Niewykształcony? — wypowiedział prawie bezgłośnie Dziki, ale Mike nie odpowiedział, mrużąc oczy, by dojrzeć coś w ciemności.

Korytarz rozwidłał się na końcu. Ogromny namalowany drogowskaz wskazywał w lewo na sikającego krasnala i w prawo na namalowaną nauczycielkę i pielęgniarkę. Stali tak, obserwując rozwidlenie, a jęk nabierał coraz bardziej na sile. Gdy był już naprawdę głośny i zaczął rozbijać się echem po pustym korytarzu, zza lewego winkła wyłoniła się przerażająca postać. Dziki po raz kolejny poczuł, że jego odporność została poddana próbie, a żołądek zawinął mu się w trąbkę.

Mężczyzna, który wyszedł z ciemności, miał obcięte obie ręce tuż pod łokciem, z ociekających krwią kikutów ciągle wystawały mu poczerwieniałe kości przedramienia. Jego twarz usiana była licznymi nacięciami, zwłaszcza w okolicach ust, a oczodoły świeciły przerażającą czarną pustką. Dziki kątem oka zobaczył ruch, Mike opuścił karabin i wyciągnął nóż. Najwidoczniej stwierdził, że potwór nie jest wart strzału. Dziki jeszcze raz spojrzął na bestię, która kroczyła korytarzem, jęcząc za każdym razem, gdy jedna z nagich kości zetknęła się przypadkiem ze ścianą. Mike zbliżył się do niego praktycznie bezszelestnie, tak że niemal stykali się torsami, a potem szybkim ruchem pchnął go ostrzem prosto w pusty oczodół. Bestia runęła do tyłu, a jej dziwaczny wrzask z pozbawionych języka ust wypełnił korytarz. Mike stał przez chwilę zszokowany, a potem, uderzając butem od góry, wbił nóż głębiej, aż bestia umilkła.

— Co to za dziwactwo tym razem? — szepnął Dziki, znowu czując mdłości

w gardle.

— Nie mam cholernego pojęcia. Ja pierwszy raz widzę coś takiego — odpowiedział Mike, który chyba nie czuł się lepiej od Dzikiego. Przykląkł na chwilę koło trupa i chciał wydobyć swój nóż, ale stwierdził najwidoczniej, że nie warto. — Gospodarze często się okaleczają, ale nie aż tak — dodał po chwili.

Dziki podszedł powoli, nie mógł pozbyć się wrażenia, że widział już coś podobnego. W pewnym momencie poczuł, jak przelewa go fala dreszczy. Znał leżącą przed nim postać, znał ją doskonale. Chociaż przez straszliwie okaleczoną twarz ledwo był w stanie rozpoznać jej właściciela, to już po chwili dotarło to do niego.

Martwy na podłodze leżał nie kto inny tylko Primo, strażnik Autobusu. Dziki odsunął się przerażony, jakby trup miał zaraz powstać. Spojrzał na plecy Mike'a, który nieświadomy tego, co zrobił, kroczył dalej w głąb korytarza. Złapał powietrze, chcąc zawołać przyjaciela, ale poczuł jak głos grzęźnie mu gdzieś w gardle.

— Pomocy... Ktokolwiek... Błagam! — głośnie wołanie wydobyło się z głębi korytarza, odbijając się echem po pustym budynku.

— To chyba oni — zawołał Mike i zostawiając Dzikiego z tyłu, pobiegł w stronę rozwidlenia na końcu holu.

Dziki nie był w stanie się poruszyć, wciąż stał zszokowany, zezując na okaleczonego trupa.

„Jak to w ogóle możliwe?” — pomyślał. „Jaki potwór byłby w stanie zrobić coś takiego...”. Kątem oka dostrzegł ruch w głębi holu. Biała sylwetka prześlizgnęła się w ciemności niczym duch, bez wątpienia podążając za Mikiem.

Dziki wyrwał się z szoku. Mijając ciało szerokim łukiem, ruszył śladami tajemniczego widziadła. Z oddali słyszał wyraźny odgłos przesuwania czegoś ciężkiego po podłodze.

— Jeszcze tylko chwila, trzymajcie się! — dobiegł do niego głos Mike'a.

Skręcił w lewą stronę i gdy tylko wyjrzał zza rogu, dostrzegł mrozący krew w żyłach widok.

Tuż za plecami jego przyjaciela, który siłował się z wielkim biurkiem, blokującym dostęp do łazienki, kroczyła postać Niewykształconej kobiety. Dzikiemu natychmiast przyszła na myśl szkolna pielęgniarka. Gospodarz, być może Specjalista, miała na sobie kitel tak nasiąknięty krwią, że przybrał niemal jednolity szkarłatno-bordowy kolor. Jej prawie białe, blond włosy pozlepiane były w wielu miejscach posoką. Na stopach nie miała butów, jedynie rajstopy, które już dawno podarły się niemal do wysokości kostek. Przez korytarz szła

bezszelestnie jak widmo, do którego zresztą upodabniała ją nienaturalnie blada skóra.

Niewykształcona zbliżyła się do Mike'a, a jedna z jej dłoni wystrzeliła w górę.

— Za tobą! — ryknął Dziki, łapiąc jednocześnie za pistolet.

Niewykształcona odkręciła się na pięcie i ruszyła w stronę Dzikiego, zapominając w ogóle o Mike'u, obok którego była już na wyciągnięcie ręki.

Dziki przerażony tym niespodziewanym zrywem, nie zdążył nawet wycelować, nacisnął spust, pudłując. Kula odbiła się od jednej ze ścian, robiąc w niej rysę. Niewykształcona wparowała w niego, niczym mały byk. W szarpaninie upuścił latarkę, starając się utrzymać jej dłonie jak najdalej od swojej twarzy. Kobieta choć nie była potężnej postury, rzucała się jak oszalała. W którymś momencie jej mokry od krwi nadgarstek wyslizgnął się Dzikiemu z uścisku i nim zdążył ponownie złapać ją za rękę, kobieta uderzyła go palcami prosto w oczy. Zawył z bólu, odchylając się do tyłu. Ona wykorzystując to, pchnęła go z całej siły, tak że runął plecami na podłogę. Po sekundzie poczuł, jak kolana kobiety uderzają w jego ramiona, zdołał jednak wyswobodzić jedną z rąk i w ostatniej chwili zasłonić dłonią oczy. Zaraz bowiem poczuł, jak palce kobiety próbują przebić się do jego oczodołów.

Huk wystrzału rozbił się echem po korytarzu, Dziki poczuł, jak po jego ciele rozlewają się kawałki kobiety oderwane przez kule. Gospodarz runęła prosto na niego, tak że stykali się głowami. Spróbował wyswobodzić się spod kobiety, gdy usłyszał świszczący oddech, który nabierała do płuc.

— Odroczenie! — wykrzyczał z ledwością, bo gospodarz naciskała mu na klatkę piersiową. Poczuł nagle, że ciężar ustępuje, Mike musiał ściągnąć z niego kobietę. Po chwili usłyszał kilka głuchych uderzeń.

— W porządku, stary? — usłyszał nad sobą głos przyjaciela.

— Chyba wydlubała mi oczy! — krzyknął, czując niewyobrazalny ból w głowie.

— Spokojnie, stary, spokojnie. Pokaż, jak to wygląda.

Ale Dziki nie miał zamiaru otwierać oczu, czuł, że jeżeli to zrobi, to po prostu wypadną. Mike jednak chwycił go za twarz i rozciągnął siłą jedną z powiek.

— Jest na swoim miejscu — pocieszył Dzikiego i klepnął go w ramię. — Posiedź tu chwilę.

Dziki oparł się o ścianę. Spróbował otworzyć oczy, ale gdy tylko rozszerzył powiekę choć o milimetr, zalewały go łzy, a patrzalki szczypały tak bardzo, że

musiał je zamknąć z powrotem. Po chwili poczuł gwałtowne uderzenie w pas i ręce obejmujące jego plecy.

— Oli — wyszeptał.

— Dziki, wszystko w porządku? Powiedz, co się dzieje? — zatroskany głos dziewczyny, choć sam w sobie przykry, był jedną z najmiłszych rzeczy, jakie słyszał od dawna.

„Żyje, nic jej nie jest” — pomyślał i poczuł falę ulgi przepływającą przez ciało, nawet oczy piekły przez chwilę mniej.

— Wszystko dobrze Oli, to ze wzruszenia — zażartował i spróbował ponownie otworzyć oczy. Był już w stanie coś zobaczyć, ale obraz ciągle zachodził mu mgłą, a przywilej zobaczenia czubka głowy przyjaciółki przypłacił kolejną porcją bólu.

— Nie wiem, jak wam dziękować chłopaki — odezwał się kolejny głos w ciemności.

Dziki spróbował przyjrzeć się jego właścicielowi. Przez łyzy dostrzegł burzę dredów i nieogoloną twarz, to musiał być Janek, kierowca Autobusu.

— Naprawdę nie sądziłem, że ktoś tutaj przyjdzie, uratowaliście nam życie.

— Nie rozklejaj się — przerwał mu Mike — jedna płaczka nam już wystarczy — dodał, gładząc Dzikiego po głowie. — Co się właściwie stało? Dlaczego opuściliście autobus?

— Nie opuściliśmy, wracaliśmy właśnie z grupą ludzi, gdy zaczęło błyskać. Zjechałem w boczną drogę, tu niedaleko, by jak zawsze przeczekać Błysk w autobusie. Nie mam pojęcia, jak dostaliśmy się tutaj, obudziliśmy się już zamknięci w kiblu — wyjaśnił Janek.

Dziki był już w stanie dojrzeć jego nieogoloną brodę, więc czuł, że mu się poprawia.

— Ktoś musiał was tu przywlec..., ale kto? Przecież nie ona... — stwierdził Mike, spoglądając zapewne w stronę martwej Gospodarz.

— Nie mam pojęcia — powiedział Janek i wzruszył ramionami.

Po chwili za jego plecami odezwała się Weronika:

— Oli, nie ma z nami Primo, ta cholera musiała go gdzieś zabrać.

W tym momencie Oli puściła Dzikiego. Dziki otworzył ponownie oczy, obserwując przez mgłę wejście do łazienki. Zobaczył grupę ludzi stłoczonych przy drzwiach, wśród nich rozpoznał stałych mieszkańców Autobusu oraz dostrzegł kilka nowych zupełnie obcych postaci.

— Poczekajcie tutaj — stwierdził, podnosząc się przy pomocy ściany. — My z Mikiem przeszukamy przedszkole — stwierdził, czując jak przelewa go fala

przerażenia. Nie miał pojęcia, co teraz zrobić, przecież nie mógł im powiedzieć, że jego przyjaciel, chwilę wcześniej z zimną krwią zabił strażnika Autobusu. Jego ciało ciągle leżało na drodze do wyjścia. Musiał zyskać chociaż chwilę by uświadomić Mike'a i ustalić z nim jakąś wspólną wersję wydarzeń.

— To nie jest dobry pomysł, żeby tu czekali — stwierdził Mike, rujnując nieświadomie plan Dzikiego. — Jest nas za dużo w jednym miejscu, coś może się tu przypałać. Lepiej będzie jak wszyscy pójdziecie do autobusu.

— Zostaję z wami! — zawołała natychmiast Oli — we trójkę nic nie przywabimy i...

— Posłuchaj Oli, przedszkole jest malutkie, przeszukamy je raz dwa. Ty lepiej odprowadź naszych nowych współnotowców do autobusu — stwierdził pewnie Mike, łapiąc dziewczynę za ramię.

Oli zrobiła obrażoną minę, a Dziki był pewien, że właśnie szuka w głowie jakiegoś argumentu.

— Skoro już jesteśmy na piętrze, to przeszukamy je razem, a potem odprowadzicie nas do autobusu. W międzyczasie będziemy się wszyscy rozglądać — stwierdziła dziewczyna, ruszając w głąb korytarza, by jej rozmówca nie zdążył zaprotestować.

— Ona jest niezwykła — szepnął Mike w stronę Dzikiego.

Wykorzystując okazję, Dziki spróbował dać przyjacielowi jakiś znak, ale Janek ponaglił ich:

— Chodźcie, bo pójdzie sama.

Kierowca Autobusu pokręcił głową i ruszył za Oli, a Mike zaraz za nim. Grupa ludzi z niepewnymi twarzami minęła Dzikiego, ginąc w ciemności korytarza. Dziki ruszył jako ostatni, nie mogąc wyobrazić sobie tego, co stanie się za chwilę.

Hol kończył się podwójnymi drzwiami z lewej i prawej strony. Jedne prowadziły do pokoju nauczycielskiego, drugie do ambulatorium. Tam też zatrzymała się Oli, wodząc niepewnie wzrokiem od jednych drzwi do drugich.

— Zacznijmy od gabinetu — postanowił Mike, stając obok dziewczyny.

Przyjaciel odchylił drzwi i wszedł do środka, Dziki doskoczył do niego, licząc na to, że uda mu się zostać z nim sam na sam, ale zaraz za nim do środka weszli Janek i Oli.

Wszyscy stanęli zszokowani widokiem, który zastali. Cały gabinet pielęgniarki niemal tonął we krwi: białe meble, podłoga, szafka na lekarstwa, wszystko nosiło na sobie czerwoną łunę. Stojąca w rogu kozetka miała pośrodku ogromną czerwoną kałużę. Dziki miał wrażenie, że Oli zaraz załamie się tym

widokiem, bo łyzy zaczęły napływać jej do oczu. Na stoliku spostrzegł zakrwawione nożyczki, a na biurku całą masę opakowań po środkach przeciwbólowych.

— To suka — wrzasnął nagle Mike — tak was dopadła, musiała pewnie nabrać się jakichś leków i obudziła się wcześniej.

— Co? — Janek popatrzył na Mike'a jak na wariata. — Ale skąd by wiedziała, jakie leki wziąć? Poza tym to gospodarz, oni nie opuszczają swoich siedlisk tak po prostu.

— Są cwańsze, niż myślisz. Wiem już, że na pewno umieją otwierać kluczem zamknięte drzwi. Niektórzy potrafią też mówić i chyba nawet mają jakąś pamięć związaną z tym, co robili wcześniej — tłumaczył dalej Mike.

— Wątpię, żeby szkolna pielęgniarka mogła wiedzieć cokolwiek o substancjach wybudzających wcześniej z Błysku... Błysku nawet nie było w naszym świecie — przerwał mu Janek, broniąc się przed zaakceptowaniem inteligencji wśród Niewykształconych.

— Kłócić się będziecie później, musimy znaleźć Prima — ryknęła wściekle Oli i wyszła z gabinetu, ciągle z trudem powstrzymując łyzy.

Dziki wybiegł za nią, mijając grupę, która zgromadziła się przy drzwiach. Oli szła chwiejnym krokiem w głąb ciemnego korytarza. Nim zdążyła skrócić w stronę klas, podbiegł do niej i objął ją ramieniem. Poczował, że Oli wciska mu się pod tors i po chwili usłyszał jej załamany głos:

— Ja już nie daję rady... Ja już naprawdę mam dość... Ja już nie chcę.

Dziki podniósł jej głowę ręką i spojrzał w zapłakane oczy.

— Wiem... — nie potrafił znaleźć nawet jednego słowa na pocieszenie, język wiązał mu w gardle na samą myśl o tym, co stanie się za chwilę.

Oli przetarła rękawem oczy i pociągnęła nosem.

— Chodźmy dalej, Dziki. — Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni małą latarkę w breloczku i skrzyła za róg korytarza.

Dziki zwolnił, biorąc głęboki oddech. To już za chwilę... Wychylił się i dostrzegł Oli, stojącą na wysokości pierwszych drzwi.

— Nie — powiedziała głosem tak martwym, że serce Dzikiego przez chwilę stanęło. — Boże, nie, Boże, Boże, nieeeee... — wrzasnęła po chwili i padła na kolana, wpadając w histerię.

Dziki dobiegł do niej, obejmując ją ramieniem, spojrzał jeszcze raz na trupa. Coś ścisnęło mu żołądek, a w głowie rozszalał się mętlik. Z tyłu usłyszał kroki. Mike i Janek biegli w ich stronę, a za nimi reszta grupy.

— Co się... — zaczął Janek, ale przerwał, zapewne gdy zobaczył ciało.

Dziki czuł już to, jakby czekał na potwierdzenie wyroku. Janek milczał przez chwilę, aż w końcu skrzywił się i kopnął z całej siły w drzwi.

— KURWA!!!

Kątem oka spojrzął na Mike'a. Przyjaciel nie powiedział ani słowa, ale jego twarz pobladła, a puste oczy wpatrywały się w Oli, która raz po raz wylewała z siebie kolejne potoki łez. Janek kucnął przy nich z niedowierzaniem, obserwując okaleczone ciało. Dziki słyszał świdrujący płacz Oli, przerażone szepty mieszkańców Autobusu. Ciągłe wpatrywał się w Mike'a, który nie był w stanie poruszyć nawet jednym mięśniem na twarzy. Ta chwila ciągnęła się w nieskończoność...

Pierwszy z amoku wyrwał się Janek.

— Musimy stąd iść — szepnął, opierając rękę na plecach Oli.

— Nie!!! — krzyknęła dziewczyna i znowu dostała histerycznego ataku, zalewając rękaw Dzikiego łzami.

— Oli, musimy, nie zostaniemy przecież tutaj, wracamy do autobusu — tłumaczył Janek, siłąc się na spokój.

Oli jednak w ogóle go nie słuchała. Dziki zaczął się powoli podnosić, próbując pociągnąć ją ze sobą. Dziewczyna wstała z oporem, ściskając jego rękę tak mocno, że cała już zdrętwiała. Nic nie mówił, po prostu szedł z nią powoli. Wiedział, że w takich chwilach nie ma słów, które pomagają. Każdy musi to po prostu przetrwać. Kiedy szli schodami, spojrzął do tyłu, Mike szedł na końcu gromady ze spuszczoną głową, co i rusz nerwowo przygryzając usta. Dziki wiedział, że musi walczyć w nim chęć przyznania się, miał jednak cichą nadzieję, że przyjaciel tego nie zrobi. Nie wiedział, jak mogło by się to skończyć. Szli tak smutnym pochodem, mijając kolejne kolorowe rysunki na ścianach, które teraz wydawały mu się strasznie nie na miejscu.

Kiedy opuszczali budynek, jeden z chłopaków zatrzymał się na chwilę. Wyciągnął z kieszeni mazak i dużymi czarnymi literami wykreślił Przemysław „Primo” Majorkiewicz.

Dziki i Oli minęli furtkę jako pierwsi, przy autobusie stała teraz mała grupa ludzi. Oprócz Mańka był tam jeszcze Danielewicz i Romcio przyjęci przez Krzaka, jego koledzy ze starego świata.

— Miałem już iść, zobaczyć co z wami — powiedział na ich widok Maniek głosem, jakby chciał się wytłumaczyć z czegoś złego. — Co tam się stało? — spytał, patrząc na płaczącą dziewczynę.

Dziki nie odpowiedział, wszedł do autobusu, ciągle prowadząc ze sobą Oli.

Chwilę później zobaczył przez szybę, jak Maniek zaczepia Janka. Po krótkiej

rozmowie Maniek pokiwał głową.

— Dobra, ładuście się, wracamy do Wspólnoty! — zawołał Janek.

Dziki wyjrzał przez szybę i zobaczył Mike'a, który ze spuszczoną głową ciągle stał w bramie przedszkola.

— Poczekaj chwilę, dobrze? Sprawdzę, czy są już wszyscy — skłamał Dziki, wyciągając rękę z uścisku Oli.

Dziewczyna natychmiast schowała twarz w oparciu fotela. Dziki wybiegł z autobusu, słysząc głos Mańka:

— Co, on na zaproszenie czeka?

Dziki dobiegł do przyjaciela, nie wiedząc nawet, co powiedzieć. Mike zaczął jednak pierwszy:

— Bez rąk, bez oczu, skąd mogłem wiedzieć... Ale tak było lepiej, on i tak by nie przeżył. Właściwie to skróciłem mu tą mękę, prawda...? PRAWDA? — prawie wrzasnął, spoglądając w oczy Dzikiego.

Ten nie wiedział, co powiedzieć, nie czuł się w stanie, by ocenić tę sytuację moralnie. Wiedział jedynie, że nie chce, aby Mike zdręczał się czymś, na co już nie ma wpływu. Złapał go więc za ramię i powiedział najbardziej przekonującym głosem, na jaki było go stać:

— Tak jest lepiej.

Mike pokiwał głową, jakby chciał się dodatkowo w tym utwierdzić.

— Myślisz, że powinienem...

— Nie teraz — przerwał mu Dziki — to jest jeszcze za świeże. — Tak naprawdę jednak nie wiedział, czy kiedykolwiek istnieć będzie moment, w którym można by było coś takiego powiedzieć.

Mike ruszył w stronę autobusu. Krok miał chwiejny, a głowę spuszczoną nisko w dół. Gdyby nie to, że wszyscy dookoła pochłonięci byli rozpaczą, pewnie ktoś zwróciłby uwagę na jego dziwne zachowanie. Teraz jednak wszyscy byli zbyt zajęci oplakiwaniem straconego towarzysza.

Dziki jeszcze raz zerknął w stronę przedszkola, przez chwilę miał wrażenie, że dostrzega jakąś postać w jednym z okien. Mała dziewczyna, która nie mogła być człowiekiem, o wielkich pozbawionych białek czarnych oczach. Postać, która zniknęła tak szybko, jak tylko się pojawiła.

Rozdział XVI

Lizane rany

To była dla Dzikiego wyjątkowo ciężka noc, większość czasu przeleżał z zamkniętymi oczami, wracając w myślach do tych wszystkich okropności, jakie zdążył zobaczyć od swojego przybycia do nowego świata. Co gorsza do grona jego stale powracających koszmarów dołączył zupełnie nowy: obraz potwornie okaleczonego Prima, wijącego się w bólu po korytarzach przedszkola. Nie mogąc już dłużej znieść własnych myśli, które ciągle zmuszały go do wyobrażania sobie, co by czuł, znajdując się na jego miejscu, poderwał się z karimaty pełen jakiegoś dziwnego lęku i irytacji. W pomieszczeniu, w którym spali, ciągle jeszcze było ciemno. Z sąsiadującego śpiwora Mike'a dochodził niespokojny oddech śpiącego przyjaciela. Dzikie zastanawiał się, czy i on tak samo przeżywa wydarzenia ostatniego dnia.

Rezygnując z dalszych prób wypoczynku, postanowił cichaczem wyślizgnąć się do stołówki. Wyciągnął spod poduszki latarkę, która przypadła mu w spadku po śmierci Bongo. Jego przezwisko wydrapane było na boku rękojeści i chyba po raz pierwszy zaczęło to Dzikiemu naprawdę przeszkadzać. Wzdychając, podniósł się powoli i niemal na pamięć przeszedł między śpiącymi na podłodze towarzyszami ze Wspólnoty.

Na zewnątrz świtało, niebo na horyzoncie zmieniało powoli barwę z ciemnognatowego na szary. „Tutaj nigdy nie świeci słońce” — pomyślał i spojrzał na rysującą się przed nim sylwetkę Autobusu do Wolności.

Auto stało we wnętrzu murów, otoczone rzędem namiotów należących do nowych członków Wspólnoty. Wewnątrz nie było widać żadnego ruchu, wszyscy musieli jeszcze twardo spać, czemu zresztą trudno się było dziwić. Dla większości z nich to musiała być pierwsza noc w nowym świecie, której nie musieli spędzać z obawą, że coś rozszarpie ich w trakcie snu.

Minął rzędy namiotów i ruszył do budynku dworca, modląc się w duchu, by w zapasach uchowała się jeszcze chociaż jedna puszka jakiegoś energetyka. Otworzył ogromne podwójne drzwi i wszedł do pomieszczenia. Ku jego zaskoczeniu wewnątrz, przy jednym ze stołów, paliła się lampa kempingowa.

— Halo? — spytał niepewnie, rozglądając się w ciemności i zmierzając po omacku w stronę światła.

— Witaj — odezwał się znajomy głos.

Dopiero, gdy postać zbliżyła swoją twarz do światła, Dziki dostrzegł znajome rysy Kuby. Człowiek, który wprowadził go do nowego świata, siedział przy stoliku, zerkając na niego badawczo. Dziki wylawiował prawie po omacku między stolikami, by uścisnąć mu dłoń.

— Od dawna we Wspólnocie? — spytał Kuba z wyraźnym zainteresowaniem w głosie.

— Prawie od początku — odpowiedział Dziki, a brodacz pokiwał zadowolony głową.

— Usłyszałem od Oli, że przywieźli cię do Wspólnoty, ale nie byłem pewien czy pozwolili ci zostać. Z tego, co wiem, Krzak miał na początku sporo kłopotów z tym miejscem — stwierdził, przesuwając lampę, by nie stała pomiędzy nimi.

— We Wspólnocie był już mój dobry przyjaciel ze starego świata, bez jego pomocy chyba nie rozmawialibyśmy dzisiaj...

— Trochę kiepskie miejsce na odświeżanie starych znajomości — skomentował Kuba, krzywiąc się nieco.

— Nie mogę powiedzieć, że nie masz racji — dodał Dziki, wzdychając — ale tak właściwie to, co tu robisz?

— Chciałem sprawdzić, co z Autobusem. Po każdym Błysku mamy taką umówioną trasę, którą objeżdżają. Kiedy się nie pojawili, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak i zacząłem ich szukać. Trochę mi zajęło zanim trafiłem do was. Nie to, żebym się chwalił, ale w Krańcowie jestem dość znaną postacią, więc jak spotkałem jednego z weteranów, to powiedział mi, że moja gromadka jest tutaj. Strażnik z muru nie robił problemów, żeby mnie wpuścić. Wydaje mi się, że chyba też go wprowadzałem do nowego świata — stwierdził Kuba z nutą wyraźnej dumy w głosie.

— Więc, wiesz już o... — zaczął Dziki, ale brodacz przerwał mu niemal natychmiast.

— Tak, wiem... to jest nieodżałowana strata. Primo był jedyny w swoim rodzaju. Nie sądzę, by istniał drugi taki weteran, jak on. Dbający o coś więcej, niż tylko własną dupę, gotowy poświęcić się dla reszty. Nigdy nie bałem się zostawić Autobusu pod jego opieką... — Kuba westchnął ciężko, spoglądając w stronę okna. — Wiem, że nie wyglądam na szczególnie przybitego. Nie miej mnie za jakiegoś potwora Dziki, ja po prostu przywykłem do śmierci. Nie chcę ci nawet mówić, ilu ludzi, dobrych przyjaciół, pochowałem już w tym świecie... Wolę raczej się cieszyć z tego, że większość z nich przeżyła i z tego, że nie

pomyliłem się co do ciebie — dodał, zerkając wyzywająco w jego stronę.

— To znaczy? — spytał nie pewnie.

— Rozmawiałem przez chwilę z Jankiem. Wiem, że ty i twój przyjaciel ruszyliście im z pomocą, a tak właściwie to ty tam poszedłeś, bo czuję, że twój towarzysz wykazał się altruizmem wyłącznie ze względu na ciebie.

Dziki poczuł się nieco zmieszany po tych słowach, zrobił to co uważał za słuszne, ale nie chciał, żeby ktoś uważał go przez to za kogoś więcej, niż był. Koniec końców to Krzak kazał im wyjść naprzeciw Autobusowi.

— Ty też mi pomogłeś, chociaż mnie nie znałeś. Nie byłeś mi nic winien. I pomagasz wielu innym — stwierdził, chociaż w jego głowie zagrzechotała pewna myśl. Przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Daniela: „Pomógł ci tylko po to, żebyś nie trafił do mnie”. Nie wiedząc czemu, spojrzął na Kubę, który wyglądał na wyjątkowo połechtanego pierwszym zdaniem i wypalił zupełnie bez zastanowienia: — Daniel uważa, że pomagasz ludziom tylko po to, by nie trafiali do Strefy Głodu...

— Eee, że co? — Mina, którą zrobił Kuba przez chwilę wydała się Dzikiemu wyjątkowo niepewna. Mężczyzna spojrzął na niego z jakimś lekkim niezrozumiałym przerażeniem. — Rozmawiałeś z Danielem?

— Mieliliśmy okazję się spotkać. Myślałem, że wszyscy już słyszeli tę historię. Mnie i Dix wyrzuciło przez furkę koło starej cegielni... Nie przejmuj się, wiedziałem że będzie na ciebie klął, w końcu zabierasz mu potencjalnych żołnierzy — stwierdził strategicznie, nie chcąc przecież urazić kogoś, komu tak wiele zawdzięczał. Niemniej mina, którą zrobił jego rozmówca, nie do końca mu się podobała. Może bał się, że Daniel powiedział mu o tym, jak Kuba zostawił swoich towarzyszy w zakładach chemicznych...

— No tak, robię mu sporo problemów. Pal licho, jeśli do strefy trafi kolejne dresiwo, które w starym świecie ledwo odrywało zapierdzoną dupę od fotela. Bandera to ludzki śmietnik i nie chwaląc się, nie raz stawałem oko w oko z całym pseudooddziałem, wychodząc bez szwanku. O wiele gorzej, jeśli trafią tam ludzie tacy jak ty — stwierdził, wyciągając chudy długi palec w stronę Dzikiego. — Trudno w tym świecie oceniać coś pod względem dobra czy zła. A chęcią przetrwania można wytłumaczyć wiele niemoralnych czynów...

W tym momencie Dziki poczuł charakterystyczny kamień przypominający mu o Michale Modrzewiu.

Kuba nie wiedząc jednak, że uderzył w czułe struny kontynuował:

— Gdybyś dostał się do Daniela, czuję, że szybko byś awansował i pewnie teraz polowałbyś na mnie... Albo tak jak Krzak uciekłbyś z tego piekła i teraz to

na ciebie by polowali. Lepiej jest, jeśli Daniel nie ma do ciebie osobistego urazu...

Wymijające wyjaśnienie Kuby nie zmieniło wewnętrznych odczuć Dzikiego, dla niego to brzmiało cały czas jak to, co powiedział mu Daniel. Czując jednak, że nie chce brnąć w to dłużej, postanowił zmienić nieco temat.

— Wiesz, że młody chłopaczek z cmentarza jest teraz w obrońcach marketu? Kuba zrobił ogromne oczy i parsknął śmiechem.

— A ja mu cholera plecy łątałem — stwierdził, kręcąc głową. — No nie jest to ktoś, kim byłbym przerażony... Jak byłeś w tym piekle, widziałeś Olbrzymą?

Dziki nie musiał się długo zastanawiać, by załapać, o kogo chodziło.

— Masz na myśli dowódcę bandery, tego Maciejewskiego?

— O widzę, że sporo pozwiedzaliście. Tak, Maciejewski to prawdziwy potwór. Pojawił się jakieś półtora roku temu. Kiedy zobaczyłem, jak roztrzaskuje Zniczowi łeb gołą ręką, wprowadziłem go tak jak ciebie. Ale niestety w ogóle się mnie nie słuchał. Kiedy tylko opuścił moją starą kryjówkę w bloku, już chwilę potem próbował się do niej włamać. Potem o mało nie powybił mi zębów, gdy bądź co bądź, ratowałem mu życie. Swoje mieszkania naprawdę dobrze zabezpieczam — dodał z wyraźną dumą. — W każdym razie, gdy już się trochę poprzepychaliśmy, poszedł prosto do Armii, a tam z miejsca został nowym liderem bandery... A ja musiałem się przeprowadzić — stwierdził z wyraźnym niesmakiem. — Ale nie do tego dążę, Maciejewski ma na rękach krew dziewięciu weteranów. Gdy zabił chłopaka, na którego wołali Remek, weterani się zebrawi i zastawili na niego pułapkę. Dziesięciu ludzi z bronią czekało na jego oddział w pizzerii niedaleko Strefy Głodu. Pojawił się, mając przy sobie dwudziestu banderowców, ale same słabiaki, bez żadnej broni palnej.

— I przeżył? — spytał Dziki z niedowierzaniem.

— Ba, nie tylko przeżył, słuchaj dalej. Z dwudziestu banderowców, którzy byli z Olbrzymem, wszyscy zostali zabici, natomiast weteran ocalał tylko jeden... Opowiedział potem, że jego towarzyszy zabił właśnie Maciejewski. Podobno grupa, która z nim była, służyła tylko za tarczę. Widzisz więc, jak ważne jest, by nikt jego pokroju nie trafiał pod skrzydła Daniela...

— Może Maciejewski używa błędów?

— Ooo — zawołał Kuba wyraźnie podekscytowany — nie, nie wydaje mi się, żeby on ich używał... A ty? — spytał nagle.

— Widziałem jak Dix to robi, powaliła takiego ogromnego, chyba Niewykształconego, praktycznie gołymi rękami.

— Nieostrożnie z jej strony. Nie powinna tego robić — stwierdził Kuba,

krzyżując ręce na piersi. — Jej stan bardzo się pogorszył?

— Nie jestem pewien... — skłamał Dziki, nie wiedział bowiem, czy Dix chciała, żeby rozmawiał z Kubą na jej temat.

— No tak, skąd mógłbyś... głupi jestem. Dix jest bardzo w porządku, naprawdę szkoda mi jej... — stwierdził brodac, kiwając głową.

— A ty naprawdę nie wiesz, jak jej pomóc? — spytał z nadzieją, chociaż przeczuwał, że odpowiedź może być tylko jedna.

Zgodnie z przewidywaniami Kuba zmarszczył czoło i pokręcił przeczącą głową.

— Nie mam pojęcia, mimo całej mojej wiedzy, jaką posiadam, nie udało mi się rozwiązać tajemnicy łączącej błędy i defekt. Powiem ci coś, o czym nie powiedziałem Dix, bo nie dałaby mi spokoju. Gdy przyszła wypytywać się, skłamałem, że po prostu użyłem błędów raz, może dwa w życiu. Prawda jest jednak taka, że robiłem to znacznie częściej..., oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Miałem w Krańcowie znajomych weteranów, którzy już po kilku razach zaczynali się rozmywać, a ja proszę, dalej wyraźny — stwierdził, demonstrując jako dowód swoją brudną od kurzu rękę. — Naprawdę nie wiem, na czym to polega...

— Myślisz że Pierwszy może wiedzieć?

Kuba skrzywił się wyraźnie, spoglądając z lękiem w stronę drzwi, jakby samo wypowiedzenie ksywki miało sprawić, że Pierwszy przejdzie przez drzwi stołówki.

— No nie wiem... — odpowiedział w końcu — zresztą nawet, jeśli poznał te tajemnice, to z nikim się nią nie podzieli. A już na pewno nie z Dix...

— Jak myślisz, dlaczego Pierwszy zabił Kamila? — spytał, przerywając Kubie.

Brodacz wyglądał przez chwilę, jakby go ktoś strzelił łopata. Dziki miał nawet wrażenie, że zaraz wstanie i ucieknie, bo jego oczy ponownie powędrowały w stronę wyjścia. W tym momencie drzwi od stołówki otworzyły się i do środka weszło kilku nowo przybyłych, rozglądając się niepewnie po wnętrzu. Kuba odprowadził ich wzrokiem, aż nie zajęli miejsca przy odległym stoliku i dopiero wtedy spytał szeptem:

— Skąd o tym wiesz?

— Dix mi opowiedziała historię waszej grupy... — wyjaśnił.

Kuba zerknął na niego badawczym wzrokiem.

— Łączy was coś więcej? — spytał niepewnie.

— Trudno to nazwać, powiedzmy, że po tej nocy staliśmy się sobie odrobinę

blizsi... — odpowiedział, czując, że sam do końca nie zna odpowiedzi na to pytanie.

— Rozumiem... Cóż, to tylko moje domysły, ale Pierwszy był nie do końca normalny... Może po prostu w krytycznej sytuacji mu odbiło... Naprawdę nie wiem, nie było mnie przy tym... Dobra, skończmy już te smutne tematy — powiedział Kuba, dając swoim głosem dobitnie do zrozumienia, że nie chce rozmawiać o tamtych wydarzeniach. — Zapomnę w końcu o najważniejszym — stwierdził, a jego twarz przybrała zupełnie inny, dużo bardziej radosny wyraz. — Dziękuję ci, Dziki, za uratowanie moich podopiecznych. Podziękuj też swojemu przyjacielowi. W zamian za to co zrobiliście, zostawiłem u Krzaka coś, co na pewno wam się przyda. — Powiedział już całkiem normalnym głosem, kłaniając się lekko w stronę Dzikiego.

— Naprawdę nie trzeba — odpowiedział Dziki. — Dla ludzi z Autobusu zrobiłbym znacznie więcej. A właśnie á propos Autobusu, to byli jacyś nowo przybyli? — spytał, zmieniając temat.

— Niestety nie — odpowiedział Kuba wyraźnie ucieszony, że rozmowa zupełnie odbiegła od niewygodnych dla niego faktów. — A to spory problem, bo Błysk był mocny i długi. Znam sposób na przetrwanie go bez utraty przytomności, więc mogę odczuć jego intensywność. Przy takim natężeniu powinien wyrzucić co najmniej pięć – sześć osób, a jak zaszedłem na cmentarz – pustka. To z kolei oznacza, że gdzieś wypadła naprawdę duża gromada Niewykształconych.

— Wiesz, jak nie zemdleć w czasie Błysku? — dopytał wyraźnie zainteresowany Dziki.

Kuba uśmiechnął się. Mimo często powtarzanego przez niego zwrotu. Nie chcę się chwalić”, Dziki zdążył już wyczuć, że on po prostu kocha to robić.

— A no tak, jest to jedna z tajemnic mojego sukcesu. Możliwość podróżowania, gdy reszta tego świata pogrążona jest we śnie, daje naprawdę spore możliwości. Teraz już mogę ci powiedzieć, że przyglądałem ci się, zanim w ogóle się obudziłeś. Zdążyłem nawet sprawdzić, co masz w kieszeniach — zaśmiał się z wyraźnym podekscytowaniem.

— Podejrzewam, że nie będziesz chciał podzielić się tym, jak to robisz. Spytałem tylko, czy używasz do tego jakieś błędu?

— Nie, błąd byłby zbyt ryzykowny, to coś zupełnie innego rodzaju — stwierdził Kuba, przyglądając się kolejnej grupie osób, która weszła w tym momencie na stołówkę.

— I nie ciekawiło cię, skąd przychodzą niewykształceni?

— Mam podejrzenia, ale sprawdzanie tego to samobójstwo. Oni budzą się szybciej i nie odczuwają efektów ubocznych. — Kuba pokręcił głową.

W tym momencie drzwi ich pseudo-kantyny otworzyły się po raz kolejny i do środka weszło kilka następnych osób, których Dziki wcześniej nie widział.

— Wygląda na to, że Wspólnota się budzi — stwierdził Kuba patrząc na ludzi tłoczących się przy kuchenkach gazowych i skrzyniach z zapasami. — Idę zamienić parę słów z Krzakiem, a potem wyjeżdżamy. Jeżeli możesz coś dla mnie zrobić, to idź, zobacz, czy Oli już wstała. Na pewno będzie chciała się pożegnać — powiedział wstając.

— Kuba, dlaczego tu nie zostaniecie? — zapytał nagle Dziki — Jestem pewien, że ze względu na kogoś tak doświadczonego jak ty, Krzak zniósłby nawet dwa autobusy ludzi.

W tym momencie Kuba zbliżył się do niego i wyszeptał tak, by inni tego nie słyszeli:

— Bez obrazy Dziki, ale ja po prostu jeszcze nie wiem, czy wasza Wspólnota przetrwa. — Po czym odwrócił się i machając ręką, dodał już normalnie. — Pilnuj się, Dziki, nie daj się zabić.

Po tych słowach wyszedł ze stołówki, mijając po drodze kolejnych nowych mieszkańców idących coś zjeść. Dziki siedział jeszcze przez chwilę bez ruchu, bo ostatecznie słowa Kuby wytrąciły go nieco z równowagi. „Czy wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny? Coś, czego nie domyśliłby się ktoś tak doświadczony jak Krzak?” Według Mike’a nie było w tym momencie bezpieczniejszego miejsca niż Wspólnota, a mimo tego Kuba już z samego rana chciał zabrać stąd Autobus, nie dając jego mieszkańcom nawet chwili na otrząśnięcie.

Z zamyślenia wyrwał Dzikiego widok Mike’a, który wszedł do stołówki czerwony jak nastolatek złapany przez mamę na czymś nieprzyzwoitym. Tuż za nim weszło kilku starych mieszkańców ze Wspólnoty, ślaniających się ze śmiechu.

— Powiedz Mike, często tak do siebie pisujecie? — zawołał Ostry, przekrzykując gromadę, a stojący dookoła niego towarzysze ryknęli śmiechem.

Mike nie odpowiedział, usiadł z dala od wszystkich w rogu stołówki, wpatrując się w kartkę papieru o bladoróżowym odcieniu. Dziki minął roześmianą grupę i dosiadł się do przyjaciela.

— Co jest stary? — spytał, widząc jak Mike, mało nie eksploduje ze złości.

— Siwy do mnie napisał — odpowiedział grobowym głosem.

Dzikiemu mimowolnie musiał wyrosnąć banan na twarzy, bo Mike zrobił

obrażoną minę i podsuwając różową kartkę w jego stronę wyszeptał zjadliwie:

— Przeczytaj, to nie będzie ci do śmiechu.

Dziki spojrział na kartkę zapisaną zgrabnym kobiecym pismem:

"Do Majkusia

Skarbie, śpieszę ci donieść o bardzo smutnym wydarzeniu, które miało miejsce wczorajszego dnia. Otóż ten wstrętny złodziejasek Modrzew, wykorzystując okazję, zbiegł z mojego małego królestwa. Kiedy już nasze wspólne zabawy przestały być dla mnie ekscytujące, postanowiłem wykorzystać jego wątpliwę zdolności do zbadania tego budynku naprawy pociągów niedaleko waszego nowego domu.

Słyszałem, że można tam znaleźć wiele interesujących przedmiotów. Niestety w samym budynku, jak i jego okolicy, wprost roi się od różnego rodzaju błędów, które szybko i boleśnie pozbawiają życia. Nie chcąc narażać moich lojalnych poszukiwaczy, wyprawilem razem z nimi Michała, by przecierał im ścieżkę. Niestety ten brutal przechytrzył moich chłopców, praktycznie przebiegając przez pole pełne błędów i jakimś niewyobrażalnym trafem przedostał się przez nie nietknięty. Chłopcy nie mogli go gonić, widzieli jedynie jak udaje się w kierunku Zatorza.

Nie mam nawet cienia wątpliwości, że będzie planował zemstę na Tobie i Dzikusku, dlatego pośpiesznie napisałem ten list i wysłałem strażnika z ostrzeżeniem.

*Uważajcie na siebie.
Całuję, Siwy”*

— Taa... ładne serduszka zamiast kropek — zażartował Dziki, nie mogąc przyjąć poważnie ostrzeżenia napisanego w takiej formie.

— To nie jest śmieszne Dziki. Mam pewne obawy. — Mike widocznie spochmurniał i nie było to raczej spowodowane gromadą ze Wspólnoty przy pobliskim stoliku, która wciąż co jakiś czas zanosila się śmiechem.

— Nie wiem, czy jest się czym przejmować. Modrzew jest sam, bez broni, ma pewnie spore problemy, żeby usiąść na czymś twardym. A my jesteśmy za murami, mamy broń, no i jest nas sporo więcej. Zresztą nie wiemy nawet, czy on jeszcze żyje. Mało jest rzeczy, które mogły go zezreć? — Dziki wciąż nie potrafił zauważyć w tym zagrożenia, ale Mike wydawał się być przejęty.

— To nie był łut szczęścia, że przedarł się przez błędy. On się na nich zna i

to dobrze. Skąd inaczej wiedziałby jak używać tego wyskoku? Błędy dają ogromne możliwości, jeżeli wiesz jak z nich korzystać.

Dziki odłożył list na bok i spoglądając na przyjaciela, spróbował jeszcze raz go uspokoić.

— Sam mówiłeś, że to gra niewarta świeczki, i że od samego przebywania w ich pobliżu można złapać defekt. Czemu więc tak nagle uważasz je za zagrożenie?

Mike zmarszczył czoło, zbierając jednocześnie list i wkładając go do swojej bluzy.

— Nie o to mi chodzi. Używanie ich to ogromne ryzyko. Ja czy ty na pewno nie zrobilibyśmy czegoś takiego, ale jak nie masz nic do stracenia i masz gdzieś konsekwencje? Nie ukrywajmy, że po tym, co zrobiliśmy, Modrzew musi pragnąć naszej śmierci. Może nawet na tyle mocno, by zrobić coś głupiego — stwierdził dosadnie, spoglądając tak, jakby już był na nich podpisany wyrok.

Tymi słowami udało się Mike'owi zmusić Dzikiego, by nieco poważniej potraktował to zagrożenie, choć on sam wciąż nie wierzył w jednoosobowy szturm Modrzewa na mury Wspólnoty.

Po tej nieprzyjemnej rozmowie przygotowali sobie śniadanie z konserw turystycznych i sucharów, które były jedynym substytutem pieczywa, jaki dało się znaleźć. Dzikiego najbardziej ucieszył fakt, że pośród resztek napojów gazowanych udało mu się wydłubać puszkę energetyka, który zadziałał zbawiennie dla jego samopoczucia po ledwo przespanej nocy. Kiedy wyrzucał puste konserwy i opakowania po sucharach, stwierdził smutnie, że zapasy mocno się nadszarpnęły. Podejrzewał, że gdy rozmawiał z Kubą, przez stołówkę musiało przewinąć się ze dwadzieścia nowych osób, a to na pewno nie byli jeszcze wszyscy. Nic więc dziwnego, że spiżarnia opustoszała.

Kiedy skończyli sprzątać, Mike został, żeby dopić kawę, a Dziki poszedł zobaczyć się z Oli. Na zewnątrz przeczucia Dzikiego się potwierdziły. Przed polem namiotowym stało teraz kilkadziesiąt nowych osób, głównie młode dziewczyny i chłopcy o budowie ciała kija od szczotki. Spora część z nich wyglądała na mocno niedożywionych i sfatygowanych.

Mijając pole namiotowe, podszedł do autobusu, kotary były już odsłonięte. Widział, jak mieszkańcy układają swoje rzeczy i szykują się do drogi.

Przeszedł przez otwarte drzwi. Janek, który siedział na fotelu kierowcy z puszką coli w dłoni, powitał go skinieniem głowy i cichym ziewnięciem.

— Eeema Dziki, siedzi na końcu, idź do niej.

Dziki minął zavalony osobistymi rzeczami środek autobusu. Mieszkańcy

witali go krótkimi uściskami rąk. Chłopak o czarnych włosach, na którego wołali Korek, podniósł się z miejsca, gdy przechodził obok niego.

— Jeszcze raz dzięki — wyszeptał, ściskając mu dłoń oburącz.

Kiedy już skończył ściskać się ze wszystkimi, doszedł do ostatnich miejsc. Oli siedziała na końcowym rzędzie siedzeń, wpatrując się smutno w okno. Oczywiście miała podpuchnięte od płaczu i wyglądała, jakby też nie przespała nocy.

— O, hej, Dziki — powiedziała cicho, próbując się uśmiechnąć. — Wyglądasz, jakbyś też nie spał dobrze.

Usiadł koło niej. Nie wiedział nawet, co powiedzieć, żeby nie doprowadzić jej do płaczu ponownie, więc tylko pokiwał twierdząco głową.

— Kuba chciał ci podziękować osobiście, czekał w stołówce — powiedziała, spoglądając w szybę.

— Wiem, spotkaliśmy się już. Mówił też, że niedługo wyjeżdżacie — stwierdził, nie ukrywając nawet zawodu w swoim głosie.

— Niestety... żałuję, bo Wspólnota zaczyna wyglądać naprawdę wspaniale, ale Kuba mówi, że macie za dużo własnych problemów i że nie chce wam stwarzać więcej kłopotu. — Westchnęła Oli, spoglądając w dół szyby na stłoczonych przy namiotach nowych ludzi.

— Zostań, jeśli chcesz — zaproponował nagle — nie musisz odjeżdżać. Na pewno znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby. Załatwię to z Krzakiem, to na pewno nie będzie problem.

Oli uśmiechnęła się szeroko, ale pokiwała przecząco głową.

— Nie mogę Dziki, Autobus to mój dom, a jego mieszkańcy to moja rodzina. Poza tym, mam swoją misję – wskazać drogę do miejsc takich jak to tym, którzy potrzebują pomocy — stwierdziła pewnie, zaciskając swoje drobne ręce na kolanach.

Dzikiemu zrobiło się smutno. Chociaż nie myślał o tym wcześniej, to Oli była jedną z niewielu osób, których los naprawdę go obchodził i miał cichą nadzieję, że jednak zgodzi się zostać.

— Nie martw się Dziki, będę musiała dać sobie radę... Przyzwyczaić się..., że ludzie odchodzą.

Dziki spojrzał na nią z lękiem. Oli zamyśliła się przez chwilę, a jej wzrok zrobił się pusty, jak u ludzi bez świadomości. Po chwili jednak wróciła do siebie i patrząc Dzikiemu głęboko w oczy, powiedziała:

— Nie daj się zabić, rozumiesz. Nie chcę już stracić nikogo więcej...

Dziki popatrzył się na nią i starając się powiedzieć to najpewniej jak tylko możliwe, wyszeptał krótkie:

— Nie dam.

W trakcie ich rozmowy na tył autobusu wszedł Kuba.

— O, dobrze że jesteś. Liczyłem że złapię cię jeszcze u Oli.

Dziki spojrzał niepewnie, bo Kuba był wyraźnie czymś podekscytowany.

— Posłuchaj, przemyślałem sobie parę rzeczy i chciałbym, żebyś dołączył do Autobusu.

Oli spojrzała na Dzikiego, a radość promieniowała jej z twarzy.

— Naprawdę, mógłby...? — prawie wykrzyczała, ściskając go.

— Tak jak ci to powiedziałem. Wiem, że masz serce po właściwej stronie. Zależy ci na Oli, więc wiem, że nie zawiódłbyś mnie jako strażnik tego miejsca, masz już doświadczenie i...

— Dziękuję ci, Kuba — przerwał mu Dziki, z bólem odwracając wzrok od Oli, której twarz momentalnie spochmurniała — ale mam już pewne zobowiązania, jestem częścią Wspólnoty i nie mogę jej zostawić, zwłaszcza w tak ciężkim momencie.

— Rozumiem. — Kuba spowaźniał nieco. — Szkoda, że nie wszyscy myślą tak jak ty, wtedy... Hmm ten świat byłby zdecydowanie lepszym miejscem — odpowiedział, choć czuć było, że jest zawiedziony odpowiedzią Dzikiego.

— Posłuchaj, jeżeli zmienisz kiedyś zdanie, to miejsce w Autobusie masz już zaklepane. A ty się nie smuć — zwrócił się w stronę dziewczyny — przecież się nie żegnacie na zawsze. A kto wie, może Dziki jeszcze zmądrzeje — powiedział, spoglądając wyzywająco w jego stronę.

Po tej propozycji Dziki pożegnał się z Oli, ledwo wyrywając się z jej duszącego przytulenia i ucisnął rękę Kubie, który ciągle obserwował go badawczo. Reszta mieszkańców Autobusu zegnała go, machając. Janek siedzący za kierownicą skinął mu głową.

— Powodzenia Dzikusie!

— Szerokiej drogi, Dredzie! — krzyknął zza zamykających się drzwi.

Silnik autobusu zapalił, kopnąc i auto powoli ruszyło do przodu.

— Masz grupę nowych przyjaciół, Dziki, to dobrze. Sojuszników nigdy nie za wiele — wypowiedział Krzak za jego plecami tak niespodziewanie, że Dziki aż podskoczył.

— Kuba ci powiedział? — spytał, łapiąc się za łomoczące serce.

— To był główny temat naszej rozmowy. Bardzo mu zależało, żeby zabrać cię ze Wspólnoty... Cieszę się jednak, że zostałeś — powiedział lider z wyraźną dumą w głosie. — Chodź pod bar, chcę powiedzieć parę rzeczy.

Dziki ruszył za Krzakiem w stronę gromadzących się przed ich sypialnią

ludzi.

— Rozstawcie się! — krzyknął Krzak — Tak, żeby mnie wszyscy słyszeli. Strażnicy z murów są? Tak? Dobrze. Chodźcie, chodźcie, nowi też — wykrzykiwał, machając rękoma i niczym dyrygent ustawiał ludzi przed sobą.

Mike stanął koło Dzikiego, a po jego drugiej stronie ustawił się Maniek, który sądząc po sfatygowanej twarzy, dopiero skończył nocną zmianę na murze.

Krzak podniósł dłonie, uciszając wszystkich.

— Witam was! — wykrzyczał, sprawiając, że zamilkły ostatnie głosy. — Wczoraj był naprawdę ciężki dzień i nie wszystko poszło do końca zgodnie z moim planem. Niemniej cieszę się, że dotarliście tutaj. Wiem, że wielu z was niecierpliwiło się, wiem, że to wszystko trwało długo i wiem, że nie wszyscy dotrwali. — Tutaj zrobił krótką przerwę. — Jednak Wspólnota w końcu powstała — krzyknął radośnie — jako miejsce dla nas, w którym razem będziemy się starali przetrwać ten koszmar, jaki zafundował nam nowy świat. Początki zawsze są ciężkie, ale coś już zaczęliśmy, mamy duży, ogrodzony teren oczyszczony z błędów i Niewykształconych. Mamy miejsce, tak, mamy miejsce. Ale — złapał oddech i podniósł głos jeszcze mocniej — to nie koniec naszej pracy. — Spojrzał teraz po twarzach starych członków Wspólnoty. — Przyprawdziliście tutaj, kogo uważaliście za słuszne. Nie dopytywałem, nie wybierałem, nie oceniałem. Każdy z was przyprawił tu, kogo chciał. I teraz macie za tych ludzi wziąć odpowiedzialność. Jest nas dużo, bardzo dużo jak na standardy nowego świata. Będziemy potrzebowali wody, jedzenia, a przede wszystkim będziemy narażeni na ataki i to na was spoczywa ciężar, by zapewnić to, co potrzebne. Dlatego, kiedy po tym przemówieniu w moim biurze znajdą się ochotnicy do ochrony transportu wody to liczę, że frekwencja mnie nie zawiedzie. — Krzak zrobił kolejną przerwę i rozejrzał się po nowych mieszkańcach. — Co do was, nowi, tak jak powiedziałem Wspólnota to miejsce dla nas i macie o nią dbać jak o swoją własność. Nie będzie tutaj pasożytowania i czerpania z pracy innych. Każdy ma dać z siebie dwa razy tyle, ile może, by uczynić to miejsce rajem dla nas wszystkich. Bo jeżeli nie narażacie życia tam, to macie udowodnić, że warto za was to życie narażać. Będę wam rozdzielał obowiązki z czasem. Na razie idźcie odpocząć, a ochotników zapraszam zaraz do siebie. — Krzak odwrócił się i odszedł w stronę biura z rękoma złożonymi na plecach.

Dziki rozejrzał się w tym czasie po twarzach zgromadzonych. Nie trzeba było czytać w myślach, by zauważyć, że przemowa Krzaka nie na wszystkich zrobiła pozytywne wrażenie. Spora część nowo przybyłych wyglądała jak dzieci,

którym mama właśnie dała listę obowiązków.

— A na co kurwa liczyli, że będą siedzieć na dupie i wyżerać nasze zapasy? — syknął Dzikiemu do ucha Maniek, który musiał dostrzec u nich tę samą reakcję.

— Myślę, że spora część z nich właśnie na to liczyła — odpowiedział mu i odwrócił się w stronę baru.

— Chcesz jechać z następnym transportem? — spytał Maniek, odrywając wzrok od rozchodzących się nowych.

— Taa, traktuję to już jako stały element swoich obowiązków — stwierdził Dzik, choć jego nadgorliwość w tym zadaniu miała drugie dno.

Często bowiem transporty wody ochraniała Dix. Była to jedna z niewielu okazji, kiedy mógł z nią porozmawiać.

— Więc chyba też pojedę, przyda się tam ktoś z głową na karku — stwierdził Maniek, odwracając nienawistny wzrok od nowo-przybyłych i ruszył za Dzikim.

Wchodząc do środka ich bazy, minęli sypialnię pozostawioną jak zawsze w rozgardiaszu i weszli do biura Krzaka. Lider siedział za swoim biurkiem, wertując jakieś notatki, które w nieładzie leżały na jego biurku. Kiedy weszli, oderwał wzrok od jakiegoś zeszytu i się uśmiechnął.

— Podejrzewałem, że przyjdiesz jako pierwszy, Dzik. O, i jest z tobą Maniek, to dobrze — stwierdził, podnosząc się. — Więc, co sądzicie o naszych nowych towarzyszach? — spytał, podchodząc do nich bliżej.

— Są do dupy — rzucił bez ogródek Maniek.

Dziki, choć nie chciał wypowiedzieć tego tak dosadnie, miał podobne odczucia do Mańka. Miał spore wątpliwości, czy z któregoś z nich będzie jakikolwiek pożytek.

— Cóż, wyglądają na niedożywionych i słabych — odpowiedział w końcu najdelikatniej, jak potrafił. Wiedział, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co on. Nie chciał więc nikogo z góry skreślać. — Może gdyby dać im trochę czasu... — zaczął, ale Maniek przerwał mu momentalnie.

— Jedyne, co zrobią, to wyżrą wszystko, co mamy jak szarańcza.

— Co do jednego masz rację, Dzik, są słabi — stwierdził Krzak, ignorując zupełnie złorzeczenia Mańka — i nie mówię tylko o ich psychice czy warunkach fizycznych, ale o ich ogólnym stanie. — Krzak przeszedł się po pokoju i wyjrzał przez okno, odchylając kotarę, z jego biura był doskonały widok na plac. — Wiecie, co myślę? To tylko kwestia czasu, zanim rozleje się tu jakaś choroba. Spójrzcie na nich. Większość żyła w tragicznych warunkach, w zimnie i brudzie,

prawie głodując. Niektórzy już wyglądają na chorych, a w warunkach, jakich bytujemy, nawet głupia grypa może okazać się śmiertelna. — Krzak zasłonił kotarę i spojrzął na Dzikiego i Mańka. — Potrzebujemy zapasów medycznych, bardzo konkretnych zapasów medycznych. Nie kolejnej partii apteczek samochodowych, ale takich, o które można się już zabić: antybiotyki, witaminy, środki przeciwbakteryjne i grzybiczne, to jest priorytet.

— To, że potrzebujemy, to jasne. Potrzebowaliśmy już od dawna, ale skąd niby mamy to wziąć? — przerwał krzakowi Maniek. — Szpital jest niedostępny, bo most na drugą stronę miasta raczył się zawalić, a nasza rzeczka to właściwie kwas, więc nic nią nie przepłynie, a apteki w mieście...

— Nie zacząłem tego tematu, żeby strzępić sobie język, Maniek. — Krzak spojrzął na swoje biurko i przebiegł wzrokiem po odręcznie pisanych notatkach. — Dostaliśmy od Kuby wyjątkowy prezent za akcję ratowniczą Dzikiego i Mike'a.

— To znaczy? — spytał Dziki.

— Informacje o wielu miejscach po resecie, w tym o świeżej aptece, która dopiero co zdążyła się odnowić.

— A skąd on niby się o nich dowiedział? Błysk był ledwie wczoraj... — Maniek wydawał się nie dowierzać w rzetelność słów Kuby.

— Nie wiem, Maniek. Kuba jest jak każdy z weteranów. Niechętnie dzieli się swoją wiedzą. Ale ja nie widzę powodu, dla którego miałby nas okłamywać.

Dziki nic nie mówił, ale po porannej rozmowie miał podejrzenia, skąd Kuba wiedział o tym miejscu. Zastanawiał się przez chwilę, co konkretnie widać jest w momencie, gdy jakiś budynek się odnawia albo gdy pojawiają się nowi ludzie. Przez chwilę naprawdę żałował, że o to nie spytał. Z rozmyślenia wyrwało go pytanie zadane przez Mańka:

— Więc która konkretnie apteka?

— No i tu jest drobny problem — stwierdził Krzak, marszcząc czoło — apteka przy zakładach chemicznych.

Dziki dobrze wiedział, o którą chodzi, w starym świecie mijał ją co najmniej kilka razy w tygodniu, idąc do pracy. Coś jednak nie dawało mu spokoju.

— To nie tam, gdzie występują Delimery? — spytał, przypominając sobie widok tego monstrum na Zatorzu.

— Delimery... żeby tylko... — Maniek spojrzął z obrzydzeniem na notatki Krzaka. — Tam jest cała masa innego niewykształconego cholerstwa. Ta apteka wcale nie musiała się odnawiać i tak nikt by się nie odważył w niej grzebać...

— A jednak ktoś się odważył. Budynek nienaruszone nie podlegają resetowi

— przerwał mu dosadnie Krzak.

Maniek wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale chyba zabrakło mu argumentów, bo rzucił jedynie:

— Więc rozumiem, że skoro ktoś już tam był, to my też mamy iść.

Krzak odwrócił się do nich plecami i spojrzał w stronę mapy niezmiennie wiszącej na ścianie jego biura.

— Nie mamy wyjścia — powiedział głosem przepełnionym rezygnacją.

Maniek nie wyglądał na zachwyconego. Dziki zdążył już przywyknąć do jego specyficznego charakteru i do tego, że naprawdę lubił pomarudzić, zanim coś zrobił. Wiedział też, że na jego słowa trzeba było czasem brać poprawkę. Tym razem jednak był niemal pewien, że Maniek ma już naprawdę dość, bo skinął na Dzikiego porozumiewawczo i wypalił nagle:

— Dlaczego my mamy iść? Dlaczego zawsze my, co, Dziki? My, których tak naprawdę najmniej powinno to wszystko obchodzić, czy to zaproszeni przeze mnie będą tam umierać? Niech się inni w końcu złączą wykazywać...

Krzak spojrzał na Mańka przez ramię. Dziki ponownie poczuł jego bezradność. Doskonale wiedział, że nie ma żadnych argumentów, by przekonać Mańka. Nie było więc nic dziwnego w tym, że już po chwili to na nim skupił się wzrok lidera Wspólnoty.

— A ty, Dziki? Co uważasz?

Chociaż sam Dziki najchętniej poparłby swojego kolegę, czuł, że Krzak potrzebuje jego wsparcia. Przypomniała mu się ich rozmowa tuż po przyjęciu do Wspólnoty. Wiedział, że lider pokłada w nim nadzieję i nie miał zamiaru ich zawieść.

— Pójdę jak zawsze, dla dobra Wspólnoty — stwierdził pewnie.

Jego słowa musiały mocno dotknąć Mańka, bo pokręcił zdenerwowany głową.

— Dobra, rozumiem. Wiem, co się tu odgrywa — stwierdził po chwili. — Ja weteran Wspólnoty mam wypaść na mniej zaangażowanego od żółtodzioba... niedoczekanie — warknął w stronę Dzikiego, po czym zwrócił się do Krzaka: — Pójdę! Ale potem przechodzę na długi urlop. Ja już zrobiłem swoje. A ty, Dziki... — Maniek oderwał wzrok od lidera i spojrzał karcąco w jego stronę — zapamiętaj moje słowa: przez to, że tak ciągle ryzykujesz, możesz nie zdążyć nacieszyć się naszą Wspólnotą. Ci, którzy przeżyli tu najdłużej, to ci, którzy siedzą w cieniu.

— Albo ci, którzy zżerają się nawzajem — głos Mike'a dobiegł do nich niespodziewanie zza drzwi. Już po chwili stanął w progu wyraźnie

zainteresowany wrzawą. — Co, Mańkowi znowu nie chce się zakasać rękawów? Nie wiesz, że najlepsi zawsze pracują najciężej?

— Wam to się w głowach poprzestawiało. Zobaczycie, że przez takie podejście znowu skończymy jak w starej Wspólnocie — mówiąc to, spojrzał karcąco nie tylko na Dzikiego i Mike'a, ale również na Krzaka. — Dobra, ja się trochę zdrzemnę. Jeżeli jedziemy dostawczakiem, to i tak możemy wyjechać przed południem...

Rozdział XVII

Dotyk

Zakłady chemiczne w Krańcowe były jedynym dużym zakładem, który w starym świecie nie zdążył jeszcze upaść. Ogromny, ciągnący się na półtora kilometra. Plac zajmowały hale produkcyjne, magazyny oraz budynki biurowe, które Dziki znał niezwykle dobrze. Od skończenia szkoły to właśnie pracując tutaj, spędzał większość swojego życia. Chociaż od momentu Błysku minęło co najmniej kilka lat, to infrastruktura nie poddawała się upływowi czasu. Ogromne zbiorniki stały najeżone setkami rdzewiejących rur, magazyny oraz hale produkcyjne otoczone były ciągle nienaruszonym ogrodzeniem. Na bocznicy zaś stał mały spalinowóz, który rozwoził torami duże ilości półproduktów z różnych miejsc na terenie fabryki. Wszystko to wyglądało dokładnie jak w starym świecie, zapewne ze względu na Niewykształconych, którzy skutecznie odstraszały szabrowników od tego miejsca. Zresztą Dzikemu nie przychodziło wcale do głowy, czego można by tu szukać. Nie same zakłady były jednak ich celem.

Naprzeciw głównego wejścia zakładów chemicznych z ciągle nietkniętą budką strażnika i opuszczonym szlabanem znajdowała się przyzakładowa przychodnia, w której kiedyś leczono pracowników zakładu. Po pewnym czasie placówkę przemianowano na ogólnodostępny punkt medyczny, przy którym powstała spora prywatna apteka, docelowe miejsce ich podróży.

Kiedy jadąc samochodem, zbliżali się do wejścia, Dziki niemal czuł gęstniejącą atmosferę. Z opowieści słyszał, że zakład chemiczny jest jednym z najniebezpieczniejszych w całym Krańcowie. Sam jednak nie miał okazji zapoznać się z czającymi się tu zagrożeniami. Czuł więc, że bagatelizuje zagrożenie. Tego jednak nie można było powiedzieć o jego kompanach. Mike i Maniek już od połowy drogi praktycznie zamilkli, a gdy tylko zobaczyli pierwszy z zakładowych budynków, zaczęli się rozglądać, reagując nerwowo na każdy niespodziewany dźwięk.

Gdy w końcu dotarli na miejsce, zaparkowali samochód na placu przed apteką. Nie wysiedli jednak od razu. Mike ciągle z włączonym silnikiem i rękami na kierownicy obserwował wejście do zakładów, jakby oczekując, że za chwilę coś z niego wypełźnie. Po kilku niemych minutach westchnął w końcu i

zwrócił się do Mańka i Dzikiego:

— Nie będziemy gasić samochodu. Maniek staniesz w drzwiach i będziesz pilnował tego, co dzieje się na zewnątrz. My z Dzikim wejdziemy i zabierzemy z apteki, co tylko się da.

Maniek przytaknął z ponurą miną.

Gdy tylko wyszli na plac, Dzikiego poczuł chłód panujący na zewnątrz. Nie wiedząc czemu, miał wrażenie, że niebo tutaj jest znacznie bardziej szare niż w innych częściach miasta. Po chwili zamyślenia wszedł na krypę samochodu po wielką wojskową torbę, do której chcieli spakować leki. Schodząc z samochodu, spojrzął w stronę zakładów chemicznych. Szafka z jego rzeczami musiała ciągle tkwić tam nietknięta. Nie miał tam jednak nic na tyle cennego, by warto było ryzykować wejście do środka. Mike w tym czasie dobrał się już do drzwi apteki.

— Chodź, są otwarte.

Dzikiego zbliżył się powoli. Gdy weszli do środka, poczuł w powietrzu charakterystyczny zapach leków. Podłoga wewnątrz wyglądała na czystą, reklamówki syropów dla dzieci powiewały od podmuchu, który wpuścili. Z tyłu za elegancką drewnianą ladą stały równo ułożone na pułkach syropy i proszki w różnych kolorowych opakowaniach. Wszystko wyglądało tak, jakby za chwilę miała podejść farmaceutka i spytać ich w czym może pomóc. Cała apteka musiała wyglądać jak w dniu Błysku.

— Mieliśmy szczęście, że było otwarte. Nie musieliśmy siłować się z drzwiami — pomyślał na głos Dzikiego.

— To nie szczęście — odpowiedział mu niespodziewanie Mike — błysnęło gdzieś około czternastej pięćdziesiąt siedem, wszystkie sklepy są jeszcze o tej godzinie otwarte, a wszystko, co tutaj spotkasz, nawet jeżeli się odnawia, to do stanu z chwili przed Błyskiem.

Nie zwlekając dłużej Mike otworzył skobel przy ladzie i przesunął drewniane drzwiczki tak, że dostali się do półek z lekami. Dzikiego rozłożył torbę na podłodze.

— Co właściwie bierzemy?

— Nie mam pojęcia — stwierdził Mike, krzywiąc się — tak naprawdę znam tylko nazwy proszków od bólu głowy. Ale mocniejsze leki trzymają chyba tu, na dole, w szafkach — powiedział, wskazując na oznaczone alfabetycznie rzędy drzwi. — Spróbujmy zabrać jak najwięcej różnych rzeczy, nie wiadomo, co może się przydać. Torba jest spora, a jak nic się nie będzie działo, to upchamy jeszcze na tył samochodu.

Dzikiego przytaknął i otworzył pierwszą parę drzwi, wyciągając jakieś

opakowanie. „Mykodermina” — przeczytał w myślach i wrzucił parę opakowań do torby. „Polfungicid” — przeczytał dalej i wrzucił kolejnych parę opakowań do torby, mając nadzieję, że trafi na coś przydatnego. Wertowanie każdej ulotki z osobna byłoby zbyt czasochłonne. „Ospamox... to chyba kiedyś brałem” — przypomniał sobie i wrzucił kolejne opakowania do torby.

W tym czasie Mike nie bawił się nawet w czytanie nazw, wrzucał po prostu po kilka różnych leków naraz, licząc pewnie, że w dużej ilości trafi na coś użytecznego. Maniek czekał skulony przy drzwiach, nerwowo trzymając pistolet w dłoni.

— Wiesz co, przenieśmy to na pakę i zabierzmy drugą torbę — stwierdził Mike, dosypując kolejną partię leków, tak że torby nie dałoby rady już zasunąć.

Dziki skinął głową i złapał za jedno z uszu. Torba nie ważyła wiele, pomimo tego, że wypełnili ją po brzegi. Maniek zrobił im miejsce, wychodząc na plac.

— Mam wrażenie, że coś kręci się po zakładzie — szepnął do nich, przygryzając nerwowo wargę.

— Jasne, że się kręci Ważne żeby... — słowa Mike’a utonęły w głośnym dźwięku uderzenia czegoś o podłogę.

— To ze środka — stwierdził retorycznie Maniek i dał krok w stronę samochodu. — Spadajmy stąd — wyszeptał w ich stronę.

— Oszalałeś — skarcił go natychmiast Mike — wiesz, ile towaru tam zostało? Nie wrócimy z jedną torbą leków, które jeszcze pewnie są gównieście, bo wrzucaliśmy jak leci. Musimy przynajmniej sprawdzić, może to tylko jakiś niegroźny Specjalista.

Maniek pokręcił głową, ale odstąpił od drzwi auta. Dziki, nie czekając, wyciągnął z samochodu dwie siekiery, podając jedną Mike’owi.

— Nie będziemy robić hałasu — skwitował.

— Widzisz, jak szybko się uczysz — stwierdził z uśmiechem Mike, przyjmując siekiere.

Zbliżyli się do drzwi. Okazało się, że w środku apteki coś zaczęło dość mocno się szamotać i wywracać jakieś drobne rzeczy. Mike wszedł pierwszy, a Dziki tuż za nim. Źródła dziwnego hałasu nie musieli długo szukać. Na końcu półek z lekami znajdowało się wejście do pomieszczenia personalnego. Kiedy weszli tu po raz pierwszy, było zamknięte. Teraz w wyważonych drzwiach stała karykaturalna postać mężczyzny we flanelowej koszuli. Niewykształcony miał olbrzymie dłonie porośnięte bardzo grubą skórą, którymi z całej siły ścisnął swoją już i tak odkształconą głowę.

— Specjalista? — spytał niepewnie Dziki.

— Chyba — szepnął Mike.

Stwór zdawał się zajęty walką z samym sobą, bo nie zwrócił nawet uwagi, gdy weszli. Rzucił się ciągle, próbując zmiażdżyć własną głowę olbrzymimi rękoma.

— Jeżeli tak bardzo chce opuścić ten świat, może warto mu pomóc — stwierdził Mike i obracając siekierę w ręce, zbliżył się do lady. Gdy tylko jednak przekroczył jej linię, bestia spojrzała się prosto na niego i krzyknęła:

— TY NIE ROZUMIESZ, WY NIC NIE ROZUMIECIE!

Mike zatrzymał się niepewnie, wciąż z siekierą przygotowaną do uderzenia, ale Niewykształcony nie czekał na zaproszenie. Puścił głowę i jedną ręką rąbnął Mike'a w tors. Cios był niewyobrażalnie silny, bo Mike mimo swojej potężnej postury, padł jak długi na podłozie przed ladą. Niewykształcony wychylił się za nim i swoją wielką ręką przycisnął jego głowę do ziemi.

— TY NIE ROZUMIESZ, JEDEN Z WAS DZISIAJ ZGINIE.

— A coś ty taki łaskawy?! — ryknął Dziki i zamachując się od tyłu, rąbnął bestię siekierą w łeb. Niewykształcony stał przez chwilę nieruchomo z ostrzem wbitym w głowę, po czym wyszeptał:

— Nie powinienes być...

Po czym upadł, przyciskając swoim truchłem Mike'a do ziemi.

— Zdejmijcie go, duszę się — krzyknął Mike, ledwo łapiąc powietrze.

Maniek, który przybiegł z dworu, dopadł razem z Dzikim do ciała Niewykształconego. Istota była niewyobrażalnie ciężka, a jeszcze dziwniejsze było to, że gdy obrócili go na bok, z jego głowy zamiast krwi posypały się opilki metalu.

— Pierwszy raz coś takiego widzę — stwierdził Maniek, przyglądając się truchłu.

Mike poderwał się z ziemi.

— Panowie, szkoda czasu. Mnie jedno spotkanie starczy — warknął, po czym dopadł do półki z lekami i zaczął pośpiesznie napełniać reklamówki, które leżały za ladą.

Dziki i Maniek zrobili to samo, ładowali cokolwiek, byle do pełna i biegiem wrzucali na krypę samochodu. Po kilku kursach Maniek wrócił już tylko z jedną siatką, w tym chaotycznym biegu opróżnili cały front aptek.

— Myślicie, że z tyłu mają jakiś magazyn? — spytał niepewnie Mike, zerkając na wyważone przez Niewykształconego drzwi.

— Chyba tak — potwierdził Dziki — często jak kasjerka nie mogła czegoś znaleźć, to wchodziła przez te drzwi na tył.

— Będziemy ryzykować? — spytał Maniek, patrząc się pytająco na Mike'a.

— I tak już podjęliśmy walkę. Może był tylko jeden. — Mike zbliżył się powoli do wyrwanych drzwi, Maniek, choć z widoczną niechęcią, zrobił to samo.

Dziki został przed ladą, nie chcąc blokować im drogi ucieczki, gdyby jednak było tam coś gorszego. Po chwili obydwaj towarzysze zniknęli za drzwiami, a on został jedynie w towarzystwie martwego Niewykształconego. Mimowolnie spojrzał na rozłupaną przez siebie głowę. Nie było widać ani kropli krwi, z wyrwy, którą ostrze zrobiło w głowie potwora, kapwały strugi czegoś, co wyglądało jak topiąca się cyna.

— Jest jeszcze parę pudełek — powiedział Mike, wychodząc z pomieszczenia, trzymając w rękach spory karton leków.

— I baniak wody w automacie, ale nie wiem, czy warto się pierdolić — stwierdził Maniek, idąc tuż za nim.

— Dziki, wejdź tam i zabierz resztę — dodał po chwili.

Dziki ruszył do wyrwanych drzwi i wszedł do środka. W pokoju socjalnym była wygodna kanapa, automat z wodą i telewizor. Pod drzwiami zaś stało kilka kartonów leków, widać w dniu Błysku apteka musiała przyjąć dostawę. Podniósł jedno z pudełek i ruszył do wyjścia.

Gdy wyszedł zza lady i przechodził koło Niewykształconego, poczuł dziwne szarpnięcie. Przez chwilę myślał, że nieuważnie potknął się o ciało potwora, gdy jednak spróbował poruszyć nogą, poczuł, że coś ją blokuje. Podniósł karton z lekami i jego serce zamarło. Niewykształcony trzymał swoją ogromną ręką jego kostkę.

— Co jest, Dziki? — spytał Mike, który wracał z dworu. Musiał bowiem dostrzec przerażenie na twarzy kompana.

Dziki nie zdążył jednak nic powiedzieć, Mike spojrzał w dół i zaklął głośno, bestia wsparła się na drugiej ręce i podniosła głowę. Z dziury po siekierze wylewała się jej na twarz ta srebrzysta, przypominająca cynę substancja.

— Siekiera — krzyknął Mike i wskoczył za ladę. Gdy ładowali leki, odłożyli broń, żeby nie przeszkadzała.

Dziki puścił pudełko z lekami i spróbował wyrwać nogę z uścisku, miał jednak wrażenie, że im bardziej szarpie, tym bestia mocniej ściska jego kostkę.

— MÓWIŁ... ŻE ...NIE. WY... — Niewykształcony próbował coś powiedzieć, ale srebrna substancja zalewała mu usta.

Dziki spojrzał w jego oczy, które zrobiły się czarne i szkliste, po chwili zaś zlały się, tworząc jedno duże, jak u cyklopa.

— Uważaj — krzyknął Mike, wybiegając z siekierą zza kontuaru.

Niemal natychmiast zamachnął się i z całej siły rąbnął Niewykształconego w rękę, ostrze siekiery wbiło się jednak zaledwie centymetr w grubą skórę.

W tym samym momencie do apteki wbiegł Maniek, bez ceregieli wyciągnął pistolet i strzelił Niewykształconemu w zalewającą się srebrem twarz. Kula jednak odbiła się rykoszetem.

— Siekiera — krzyknął Mike, a Maniek wpadł za kontuar.

Po chwili, raz za razem obydwaj bili ostrzami w przedramię Niewykształconego.

Dziki szarpał przeraźliwie nogą, słysząc głucho uderzenia. Srebro na twarzy istoty przestało się wylewać i zaczęło twardnieć, ciemniejąc. Oko, które było teraz całe czarne, rozciągnęło się na boki, wchodząc w te dziwaczną metaliczną strukturę. Dzikemu ten widok przypominał coś, co już kiedyś widział, przez chwilę przestał się wyrywać, bo jego serce wyrywało się za niego.

— Delimer! — wrzasnął przerażony.

W tym momencie kolejne uderzenie Mańka odcięło rękę bestii. Dziki, choć wolny, nie był w stanie poruszyć się nawet o centymetr. Maski spawalnicza na twarzy Niewykształconego ukształtowała się już w pełni. Gruba skóra, która wcześniej pokrywała tylko jego rękę, rozciągnęła się na resztę ciała. Delimer wyprostował się powoli przed Dzikim, prawie dotykając głową sufitu, choć leżący tu wcześniej Niewykształcony był dużo niższy. W tym momencie Dziki poczuł szarpnięcie do tyłu. Pociągnięty przez Mike'a rzucił się w stronę wyjścia. Maniek, który uciekł jako pierwszy, wpadł za kierownicę furgonetki. Mike wepchnął Dzikiego od strony pasażera i nie zdążył jeszcze dobrze wsiąść, gdy Maniek wcisnął pedał gazu. Dostawczak wypadł z bramy, wysypując z niedomkniętej klapy luźno leżące leki.

Jechali, zostawiając za sobą oddalającą się aptekę. Dziki nie mógł uwierzyć w to, co stało się przed chwilą, nie było mu jednak dane zastanowić się nad tym nawet przez chwilę. Gdy tylko odjechali poza teren przyzakładowy, Maniek zatrzymał z piskiem samochód.

— Co ty wyprawiasz? Jedź! — krzyknął Mike, ale Maniek nie ruszył.

Sięgnął szybkim ruchem do kieszeni i wyciągnął pistolet, mierząc w stronę siedzącego po środku Dzikiego.

— Co ty wyprawiasz?! — ryknął Mike, łapiąc Mańka za rękę.

— Dotknął go Delimer. Tak będzie lepiej, trzeba to szybko załatwić — krzyczał Maniek, szarpiąc się.

Wtedy dopiero do Dzikiego dotarło, co się właściwie stało. Fala strachu

przełała się przez jego ciało, a w ustach poczuł niesamowite mdłości. Został dotknięty przez Delimera. Teraz bestia będzie go ścigała już zawsze... dopóki nie zabije. Poczuł, że zaraz się porzyga. W międzyczasie Mike wyszarpał Mańkowi pistolet z ręki.

— Oszalałeś, Maniek — krzyknął Mike, ściskając broń.

— On jest martwy, Mike! Jeżeli zabierzemy go do Wspólnoty, ściągnie za sobą Delimera. Chcesz, żeby zginęło więcej ludzi?

Mike pokręcił głową.

— Nie, jedziemy samochodem. Mamy nad nim sporą przewagę. Zabierzmy Dzikiego do Wspólnoty, może Krzak coś wymyśli — wykrzyczał, starając się, by brzmiało to pewnie, ale nie był w stanie ukryć przerażenia w głosie.

Maniek wzbraniał się przed ruszeniem, ale Mike chwycił za pistolet i wycelował mu głowę.

— Ruszaj, albo rozpieprzę ci łeb.

Maniek musiał stwierdzić, że Mike jest w amoku, bo ruszył do przodu, wyciskając z silnika ostatnie poty. Drogę do Wspólnoty pokonali w kilka minut. Maniek nie dał nawet szansy, by strażnik przejechał autobusem, otwierając bramę. Gdy tylko byli przed wejściem, wyskoczył z samochodu i po linie wspiął się na górę autobusu.

— Dotknięty, on jest dotknięty! — wykrzyczał, kiedy tylko znalazł się na placu.

— Uważaj, Dziki, teraz mogą się tutaj dziać bardzo dziwne rzeczy. Trzymaj broń w pogotowiu i bądź gotów jej użyć — wypalił Mike, wciąż przerażonym głosem.

Autobus przed nimi cofnął się, a Mike siadając na miejscu kierowcy wjechał przez przejście na plac. Wrzawa, której narobił Maniek, ściągnęła mieszkańców Wspólnoty na zewnątrz. Dziki zobaczył, że ludzie zbliżają się do samochodu. Krzak wyłonił się ze swojego biura, przechodząc przez tłum.

— Co się tu dzieje? Co to za wrzaski, Maniek? — krzyknął, próbując doprowadzić podwładnego do porządku.

Ten przekrzykując lidera, wrzeszczał w stronę tłumu:

— Delimer dotknął Dzikiego, a Mike kazał zabrać go tutaj, bestia zaraz tu będzie i wykończy nas wszystkich!

Wzrok zebranych skupił się na dostawczaku. Po chwili ciszy do słuchających dotarło, co właściwie wykrzyczał Maniek.

— Wyrzucić ich!!! — krzyknął nagle ktoś z tłumu i nagle cała fala przekleństw poleciała w ich stronę, ale wtedy ktoś wystrzelił w powietrze.

— DOŚĆ!!! — ryknął Krzak, opuszczając broń, po czym zbliżył się do samochodu.

— Daj trochę do tyłu, Mike, chcę z wami porozmawiać — Krzak wypowiadał się spokojnie, choć jego oczy zdradzały, że sam jest zszokowany tą sytuacją.

Mike cofnął samochodem pod sam autobusowy mur. Krzak przepchnął go na bok, siadając na miejscu kierowcy.

— Co się tam właściwie stało? To na pewno był Delimer? — spytał wciąż spokojnie, choć ręce mu drżały.

— Nie wiem, pierwszy raz coś takiego widziałem — stwierdził Mike, panicznie wodząc wzrokiem po kokpicie samochodu. — Najpierw byłem pewien, że to zwykły Niewykształcony, ale gdy myśleliśmy, że go zabiliśmy, on zaczął się przemieniać i na koniec wyglądał całkiem jak Delimer z maską i tym ogromnym cielskiem.

Krzak pokiwał głową, choć widać było, że nie zachwyciło go to, co usłyszał.

— To był rodzący się Delimer. Dix opowiadała mi kiedyś o nich, podobno natknęli się kiedyś na jednego.

— No i co teraz, Krzaku? Dziki jest jednym z nas, przecież nie możemy go tak zostawić... — powiedział Mike błagalnym głosem.

Serce Dzikiego waliło jak oszalałe. Fakt, że mówili o nim, zupełnie ignorując jego obecność, sprawiał, że powaga tej sytuacji przygniatała go jeszcze bardziej. Czuł, że zaraz tego nie wytrzyma. Krzak oparł zrezygnowany ręce na twarzy.

— Porozmawiam z nimi. Armia Daniela pokonała Delimera. My też mamy broń i do tego mury. Ja spróbuję ich przekonać. — Jego głos zdradzał jednak, jak bardzo czuł się bezsilny w tej sytuacji.

Krzak wyszedł z samochodu. Kiedy zbliżył się do zebranego tłumu, wrzawa natychmiast stała się głośniejsza.

— Wyrzuć ich stąd! Na co czekasz? Delimer zaraz tu będzie!

— CISZA! — ryknął Krzak, unosząc ręce, by uciszyć zebranych. — To prawda, Dziki został dotknięty, wolę żebyście usłyszeli to ode mnie z potwierzonego źródła, bo widzę, że byle krzykacz potrafi was zmusić do wydawania sądów na swoich. — Krzak spojrział z wyrzutem na Mańka, który spuszczając głowę, starał wcisnąć się w tłum. — Dziki został dotknięty, robiąc coś dla was. Pojechał po leki, których potrzebowaliście, by wasi bliscy nie padli martwi na choroby, które na pewno ich nie ominą. — Zrobił tutaj przerwę, badając nastroje, niektórzy mieli dość niepewne wyrazy twarzy, więc

kontynuował: — Dziki jest jednym z nas, jest częścią Wspólnoty, każdy z nas oczekiwałby pomocy w takiej sytuacji. Armia Daniela pokonała Delimera, więc my...

— Czy ty się z dupą zamieniłeś na mózgi? — przerwał mu Ostry, wychodząc naprzeciw wszystkim. — Chcesz, żeby Delimer tu przyszedł i pozabijał nas wszystkich?!

— Chcę, żebyście spełnili swoją powinność jako Wspólnota — krzyknął Krzak w stronę Ostrego, ale tłum stanął za nim murem. Głośne buczenie i wyzwiska poleciały w stronę Krzaka.

— Jak chcesz, to idź sobie sam walcz z Delimerem! Nikt nie będzie zdychał za twoich pupili! Wyrzucić ich wszystkich!

— Dziki, to się nie skończy dobrze. — Mike spojrzał w jego stronę. — Musimy się stąd zabierać.

Słowa Mike'a docierały do niego z opóźnieniem. Wszystko, co działo się przed nim, było jak kolejny koszmar, z którego nie mógł się obudzić. Dopiero co zdążył przyzwyczać się do tego świata, powoli odnajdywał w nim swoje miejsce, a nagle spadł na niego nieubłagany wyrok śmierci.

Jakie to miało teraz znaczenie, ich krzyki pomsty, nawoływania. Co za różnica, kto zakończy jego żywot, co oni mogli mu zrobić gorszego od tego, co już go czeka. Fala bezsilnej złości przelała się przez niego. Odruchowo ścisnął mocniej pistolet, mając ochotę strzelić w ten tłum sukinsynów, jego dawnych towarzyszy, którzy teraz chcieli się go pozbyć jak chorego psa.

Narastający hałas przedzierał się coraz bardziej przez myśli Dzikiego, niczym młot wbijając mu się w czaszkę. Krzak nie był już w stanie powstrzymać tłumy. Dawni towarzysze zbliżali się do nich, krzycząc, by wynosili się ze Wspólnoty.

— Co robimy, Dziki?! — spytał panicznie Mike, biegnąc wzrokiem od Dzikiego do tłumy.

Ale on nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji, gromada doskoczyła do nich, waląc w szyby samochodu, ktoś złapał za drzwi od strony pasażera i otworzył je szarpnięciem.

— Wynoś się!!! — ryknął Ostry, łapiąc Dzikiego za kurtkę.

Dziki nie czekał nawet sekundy i natychmiast przycisnął mu pistolet do głowy. Ostry pobladł momentalnie i puścił kurtkę, po czym przewrócił się do tyłu, jakby już został postrzelony.

— Zabijcie go — powiedział drżącym głosem — na co czekacie, strzelać.

Kilka osób uniosło broń do góry, ale nim zdążyli oddać pierwsze strzały,

Mike wcisnął gaz i uderzył w tłum, kilka osób odbiło się od samochodu na boki. Dziki miał wrażenie, że musieli też po kimś przejechać. Mike nie tracąc czasu, wrzucił wsteczny i wyjechał przez ciągle otwartą bramę. Dziki usłyszał pierwsze strzały. Kule świsnęły, trafiając w maskę samochodu i rozbijając chłodnicę, z której buchnęła para.

Minęli bokiem wieżę defektu, której mieszkańcy stali na placu, obserwując całą sytuację. Mike obrócił samochód i ruszyli drogą.

Przez dłuższą chwilę żaden się nie odzywał. Dziki był pewien że Mike musi mieć w głowie nie mniejszy mętlik niż on teraz. Minęli zakręt i wjechali w małą osiedlową uliczkę, pełną starych jednorodzinnych domków i blaszanych ogrodzeń.

Mike odetchnął ciężko, wciąż kurczowo trzymając się kierownicy.

— Nie jest dobrze, Dziki, Delimer... — Mike wzdrygnął się, wymawiając nazwę Niewykształconego — ...na pewno jest już w pobliżu. Nie zyskaliśmy wiele czasu i...

— Wracaj do Wspólnoty — przerwał mu Dziki.

— O czym ty mówisz? Rozerwą nas...

— Mnie. Ty nie masz z tym nic wspólnego, to ja zostałem dotknięty...

— Dziki, nie zostawię cię, musimy...

— Mike, do cholery — krzyknął Dziki, przerywając przyjacielowi — koniec!!! I nie próbuj nawet pieprzyć czegoś w stylu, że wymyślimy coś. On mnie dopadnie i zabije, a jeżeli będziesz przy mnie, to ciebie też.

— Stary... — zaczął jeszcze raz Mike zrezygnowany, ale Dziki przerwał mu ponownie.

— Nie chcę, żebyś musiał patrzeć, jak umieram. Wiesz dobrze, że tego nie powstrzymamy. Być może palnę sobie w łeb, zanim ta bestia mnie dopadnie. Przynajmniej nie będę się męczył jak tamten banderowiec na Zatorzu. — Dziki poczuł, jak ogarnia go przerażająca niemoc. Te słowa wydawały się tak nierealne, a jednak wypowiadał je. Jak można było w ogóle rozważać coś takiego.

Mike kręcił głową z załamaną miną, nie będąc w stanie powiedzieć słowa.

— Mike, zrobiłeś dla mnie więcej niż ktokolwiek. Dzięki tobie przetrwałem tu pewnie nawet dłużej, niż powinienem i już nie zdołam ci się za to odwdziaczyć. Byłbym ostatnim dupkiem, gdybym jeszcze narażał cię po czymś takim. — Dziki starał się brzmieć jak człowiek pogodzony ze swoim losem. Za wszelką cenę chciał, by Mike odjechał, choć w środku czuł, że zaraz się załamie. — Dobrze wiesz, że już po mnie. Ciesz się, że możemy się chociaż pożegnać.

Dziki wyciągnął do Mike'a rękę, a ten podciągnął go w swoją stronę i uścisnął. Trwali tak przez chwilę, jakby widzieli się po raz ostatni i smutne było to, że prawdopodobnie właśnie tak było.

— Stary, tak mi przykro — wydusił z siebie Mike, łamiącym się głosem.

— Jeszcze raz, dzięki za wszystko. — Dziki wyszedł z objęć kompana i złapał za kłamkę, ale Mike zatrzymał go jeszcze przez chwilę.

— Idź do mojego starego mieszkania. Zgromadziłem tam zapasy na wypadek, gdyby coś we Wspólnocie poszło nie tak. Bierz, ile tylko chcesz.

Dziki skinął głową i miał już wychodzić, gdy przypomniało mu się coś jeszcze.

— Mike, jeżeli natkniesz się na Autobus do Wolności, przeproś ode mnie Oli, za to że nie dotrzymałem obiet... — słowa stanęły mu w gardle szarpnął za kłamkę i wypadł na zewnątrz.

Mike krzyknął coś za nim, ale już nie słuchał. Biegł, ile sił w nogach, mijając osiedle, do którego wjechali. Skręcił na jedno z podwórek i upadł oparty o mur. Łzy nabiegły mu mimowolnie do oczu.

„Zajebisty koniec” — pomyślał, tłukąc nerwowo pięściami o swoje kolana. Z oddali dobiegł go warkot samochodu, Mike musiał odjechać. „Może wróci do Wspólnoty. W końcu to nie o niego chodziło. W samochodzie ciągle były leki, mógł przecież wrócić... leki były im potrzebne”.

Podniósł się powoli i poczuł, że nachodzi go dziwna fala obojętności. To było tak nierealne. Skąd ta bestia mogłaby wiedzieć, że on tu jest. Tyle czasu minęło. Apteka nie była daleko. Gdyby Delimer go ścigał, powinien już tutaj być. Może to był jakiś inny Niewykształcony, tylko bardzo podobny. Przez chwilę Dzikiego naszła myśl, by wrócić do Wspólnoty zaraz za Mikiem i spróbować wyjaśnić, że może to była pomyłka...

Ale teraz i tak nikt by go nie posłuchał. Wszyscy byli przerażeni i wściekli. Może jakby udało mu się przeczekać parę dni, zaszyć się gdzieś. Gdyby zobaczyli, że Delimer go nie ściga, może przyjąłoby go z powrotem. Był w końcu nie byle jakim członkiem Wspólnoty. Krzak bardzo go cenił, chciał nawet by inni stanęli w jego obronie.

„Muszę to przeczekać” — pomyślał — „upewnić się, czy to był on” — stwierdził Dziki.

Gdy udało mu się pozbierać myśli, postanowił pójść do starego domu Mike'a, nieopodal osiedla kolejowego. Skoro były tam ukryte zapasy, miejsce musiało być w miarę bezpieczne. Dziki podniósł się i trzymając pistolet zaciśnięty w ręce, ruszył przez furtkę na ulicę.

Szedł spokojnie brukowaną drogą, mijając praktycznie nietknięte budynki. Często zastanawiało go, dlaczego im dalej od centrum, tym mniej zniszczone wydawało się Krańcowo. W tych domach mogło tkwić wiele naprawdę użytecznych przedmiotów.

„Może szabrownicy na obrzeżach są bardziej ostrożni? Albo domy były pełne Gospodarzy i nikt nie chciał ryzykować spotkania z nimi...”

Dziki wrócił w pobliże torów. W oddali zobaczył wznoszącą się nad budynkami Wieżę Ciśnień.

Zrobiło mu się smutno na myśl o Dix. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że został dotknięty. Jak bardzo by się przejęła? Czy po prostu stwierdziłaby, że takie rzeczy się tu zdarzają. Odgonił nachodzące go złe myśli, bo w oddali zauważył już kamienicę, w której znajdowało się mieszkanie Mike'a. Stary, od dawna wymagający remontu budynek stał otoczony przez metalowe garaże, Mike wynajmował tam kawalerkę ze względu na niski czynsz i była to chyba jedyna zaleta tego miejsca.

Dziki pchnął stare, drewniane drzwi i wszedł na zimną, ciemną klatkę. Zapach wilgoci unosił się w powietrzu, mieszając się ze smrodem zgnilizny bijącym spod najbliższych drzwi. Dziki zatrzymał się przezornie, nasłuchując, czy w którymś z mieszkań na parterze nie czai się Gospodarz. Stał przez kilka minut, czując przenikający z wnętrza chłód, ale kamienica wydawała się pusta. Było tak cicho, że na pewno usłyszałyby kroki z najbliższych mieszkań, zwłaszcza że Gospodarze nie zachowywali się cicho.

Jedną ręką złapał za metalową poręcz, bo schody były bardzo strome, drugą zaś wyciągnął z bronią przygotowaną do strzału i ruszył powoli na górę. Kawalerka Mike'a znajdowała się na drugim piętrze. Nim jednak wszedł do środka przez zniszczone brązowe drzwi, odczekał chwilę, nasłuchując ewentualnego Gospodarza. Gdy jednak ponownie nie usłyszał żadnego dźwięku, wszedł do środka.

Mieszkanie Mike'a nie zmieniło się ani trochę. Przez ciasny przedsionek wchodziło się od razu do kuchni, z której można było dostać się do pokoju i łazienki. Kuchnia wyglądała, jakby ktoś korzystał z niej przez dłuższy czas. Stół w kraciatą czerwoną ceratę pełen był brudnych talerzy i szklanek. Większość szafek była otwarta i świeciła pustkami. Dziki zląkł się nawet, że ktoś mógł dobrać się do zapasów jego kompana, ale po chwili stwierdził, że Mike nie byłby tak głupi i nie trzymałby zapasów w tak oczywistym miejscu, jak kuchenna szafka.

Wszedł więc do pokoju, bo w łazience i tak nie byłoby miejsca na ukrycie

czegokolwiek. Pokój Mike'a przypominał ciągle pokój nastolatka. Na ścianach wisiały plakaty z jego ulubionych gier. Łóżko w rogu przykryte było kocem z rysunkiem barbarzyńskiej wojowniczką o ogromnych piersiach. W drugim kącie zaś stała największa duma Mike'a: jego komputer, który pieszczotliwie nazywał bestią, bo pożerał nawet gry o największych wymaganiach.

Dziki ruszył prosto do dużej szafy przy ścianie i zaczął szukać w niej zapasów, ale oprócz ubrań, płyt z gramami i muzyką oraz całej masy gadżetów gamingowych nie znalazł nic. Następnie przeszukał biurko i okolice komputera, ale tam też nic nie znalazł. Zrezygnowany usiadł na łóżku i wtedy doszło do niego coś dziwnego.

Nigdy nie siadał na łóżku i nigdy nie widział tego koca, bo Mike nigdy nie ścielił łóżka...

Wstał i uchylił schowek na pościel pod siedziskiem. W środku na równo ułożonym prześcieradle leżała kołdra i poduszki. Dziki wyciągnął je, odsłaniając schowek. Pod pościelą leżały konserwy, sucharki, butelki z colą i wodą, parę puszek energetyków. Nie za wiele, ale na kilka dni powinno starczyć. Z szafy wyciągnął stary plecak Mike'a jeszcze z czasów szkoły i zapakował do niego, ile dał radę. Z tego, co pozostało, postanowił zrobić sobie kolację.

Kiedy usiadł tak spokojnie w dobrze znanej sobie kuchni i cieszył się smakiem tego wykwintnego jak na Krańcowskie warunki jedzenia, poczucie zagrożenia zupełnie minęło. Wszystkie wydarzenia ze Wspólnoty i sprzed apteki stały się tak irracjonalnie odległe, że prawie zrobiło mu się głupio po tym ckliwym pożegnaniu z Mikiem. Dziki najbardziej żałował jednak, że nie ma przy sobie zegarka, bo trudno było mu określić, jak długo tkwi już w mieszkaniu Mike'a. Popijał ostatnie łyki energetyka z puszki, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że gdyby cokolwiek go ścigało, już dawno musiałoby tutaj być. Znudzony zaczął nawet zastanawiać się, jak przygotować mieszkanie na noc. Zanim ruszy do Wspólnoty, by wyjaśnić całą sytuację musi minąć przynajmniej jeden dzień, by jej mieszkańcy utwierdzili się w przekonaniu, że zagrożenie było wyolbrzymione przez Mańka.

— Właśnie... Maniek — Dziki z lubością wyobraził sobie głupią minę, jaką zrobi Maniek po jego powrocie, gdy okaże się, że prawie doprowadził do linczu, nie mając realnego powodu. Dziki obiecał sam sobie, że przy pierwszej okazji znokautuje go na samym środku Wspólnoty.

Zamyślenie przerwał Dzikiemu niespodziewany dźwięk. Z przerażeniem spojrzął w stronę okna, na zewnątrz ktoś wystrzelił. Nie mógł się mylić. W nowym świecie słyszał więcej odgłosów strzału niż kiedykolwiek wcześniej, to

był strzał.

Skulony zbliżył się w stronę okna. To mogło być cokolwiek. Najbardziej obawiał się, że jacyś uzbrojeni psychole przyszli akurat przeszukać kamienicę. Ale po co i do czego strzelali.

Dziki wychylił się powoli za parapet i spojrzął w dół. Na pustej drodze stała jakaś postać, z bronią wzniesioną do góry. Dziki przyjrzał jej się uważnie. Miała na sobie czarną maskę gazową i równie czarny strój, jaki nosili na sobie antyterrorysty w amerykańskich filmach. Postać patrzyła się prosto w stronę okna, z którego wychylał się Dziki.

Nie mógł tego zrozumieć, przecież tylko Mike wiedział, że tu jest. Może to był jakiś jego znajomy weteran? Dlaczego więc dawał o sobie znać w tak głośny sposób? Może chciał zwrócić na siebie uwagę? Tylko po co? Dziki wychylił się tak, by postać na dole mogła go zauważyć, ale też by mógł cofnąć się, gdyby postanowiła do niego strzelić. Gdy tylko jednak stał się widoczny, tajemniczy przybysz opuścił broń i wskazał na coś ręką.

Dziki spojrzął we wskazanym kierunku i poczuł, jak przelewa go fala strachu... U szczytu drogi, z kierunku wskazanego przez obcego, zbliżał się Delimer. Nieśpiesznym, ciężkim krokiem bestia kroczyła prosto w stronę kamienicy. Dziki odpadł od okna na podłogę i poczuł jak ze strachu trzęsie mu się całe ciało.

— Boże, on tu idzie!!! — nie wiedział, co zrobić, ale nie mógł czekać. On tu na pewno przyjdzie.

Wbiegł do pokoju Mike'a i złapał plecak z zapasami, potem pędem zbiegł na dół i wybiegł przez drewniane drzwi. Delimer zbliżał się powoli do kamienicy, widok Dzikiego wypadającego z wnętrza budynku nie wpłynął na niego w jakiś szczególny sposób. Tym samym, nieśpiesznym tempem maszerował w jego stronę.

Tajemniczy mężczyzna wychylił się z bocznej drogi, krzyząc:

— TUTAJ!

Dziki pobiegł w jego stronę. Nieznajomy ruszył drogą, którą jeszcze w starym świecie nigdy nie miał okazji iść. Mijali pędem Krańcowskie slumsy pełne ruderowatych, drewnianych budynków i wielorodzinnych małych kamieniczek, które wyglądały nawet gorzej niż ta, w której mieszkał Mike.

Biegli tak przez dłuższy czas. Dziki miał wrażenie, że zaraz wypluje płuca, ale obcy nie zwalniał nawet trochę. Budynki w okolicy zaczęły się zmieniać, w oddali widział wyrastające bloki, musieli zbliżać się do centrum, choć Dziki nie znał tej drogi. Dopiero po kolejnych kilkuset metrach postać zatrzymała się w

końcu.

Dziki usiadł, opierając się o ścianę jakiegoś małego sklepu z chemią, nigdy jeszcze nie biegł tak szybko i tak długo.

— Pechowy dzień? — spytał obcy męskim głosem przytłumionym przez pochłaniacz maski.

Dziki nie odpowiedział, wciąż z ledwością łapiąc powietrze. Mężczyzna podał mu butelkę z wodą, którą wyciągnął ze swojej kamizelki. Dziki złapał pośpiesznie kilka łyków i poczuł, jak w głowie mu się przejaśnia.

— Dzięki... — wybełkotał dysząc ciężko. Mężczyzna skinął głową i usiadł obok niego, opierając się o ścianę. — Powiedz, przysłał cię Mike? Jesteś jakimś jego znajomym?

— Nie — odpowiedział krótko mężczyzna.

Dzikię trochę to zaniepokoiło. Przez maskę nie mógł odczytać nic z jego twarzy, a fakt, że nie przysłał go Mike, budził w nim lekki niepokój.

— Podejrzewam też, że się nie znamy, bo już dawno byś się przedstawił. Skąd wiedziałeś, że jestem tam w kamienicy?

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Czarna maska i strój nadawały mu dziwny, złowieszczy wygląd, a jego następne słowa jeszcze bardziej zaniepokoiły Dzikiego:

— Śledziłem cię — odpowiedział krótko.

— Dlaczego? — spytał badawczo Dziki, sięgając powoli ręką do kieszeni kurtki, gdzie trzymał pistolet.

— Z ciekawości — odpowiedział mężczyzna — usłyszałem tę wrzawę we Wspólnocie, a potem zobaczyłem, jak odbiegasz z płaczem od samochodu...

Ta odpowiedź jeszcze bardziej zaniepokoiła Dzikiego. Z ręką w kieszeni zaciśniętą na broni podniósł się i zrównał z mężczyzną.

— Jeszcze raz dzięki za pomoc, ale jeżeli kombinujesz coś, to gwarantuję ci, że jestem ostatnim przeciwnikiem, z którym chcesz się mierzyć. Jak zapewne wiedziałeś, mam wyrok śmierci na głowie. Ten Delimer ściga mnie, więc nie mam wiele do stracenia.

— Domyśliłem się — odpowiedział mężczyzna, patrząc w stronę drogi, z której przybiegli. — Sam nigdy nie pofatygowałby się tutaj, musiał kogoś ścigać.

— No właśnie, więc jak zapewne rozumiesz, nie mam wiele czasu. Muszę iść dalej. — Dziki minął mężczyznę i ruszył w stronę centrum, gdy usłyszał wołanie.

— W najlepszym wypadku zawsze będziesz miał godzinę — zawołał za nim

nieznajomy.

Dziki zatrzymał się, słuchając tego, co mówi.

— Delimer przyśpiesza, gdy znajduje się daleko od ciebie i zwalnia, gdy jest już blisko. Jeżeli zaczniesz uciekać przed nim z najdalszego punktu w Krańcowie, to dochodząc do przeciwległego końca miasta, będziesz miał godzinę, żeby zjeść i się przespać.

— Skąd to wiesz? — spytał Dziki, odwracając się w stronę postaci.

— Wiem sporo więcej i wiem też, że będziesz miał problem. Pierwszy dzień jeszcze jakoś minie, ale co potem? Kolejne dni przerywanego snu sprawią, że będzie ci coraz trudniej wstawać na czas i uciekać. Nie mówiąc już o tym, że będziesz musiał szukać w międzyczasie jedzenia i wody.

Dziki poczuł przerażenie i jednocześnie irracjonalny gniew na tego mężczyznę. Choć czuł, że to, co mówi, jest prawdą, ta prawda nie podobała mu się ani trochę.

— Więc co mam zrobić? Strzelić sobie w łeb?

— To też jest wyjście — odpowiedział chłodno mężczyzna.

Dziki był wściekły. Czyżby ten sukinsyn liczył na to, że się załamie i skończy ze sobą tutaj? Pewnie chciał potem szabrować jego ciało, nie brudząc sobie przy tym rąk. Niedoczekanie!

— Mimo wszystko spróbuję iść dalej — odpowiedział, starając się brzmieć pewnie.

— Oferuję ci pomoc — powiedział niespodziewanie mężczyzna.

— Jak to? — spytał Dziki, nie mogąc zrozumieć intencji obcego.

— Po prostu zawrzyjmy umowę. Będę ci pomagał przedzierać się przez Krańcowo, szukać jedzenia i będziemy spać na zmianę, tak by Delimer nas nie zaskoczył...

— A w zamian? — spytał Dziki, ciągle czując, że coś z tym jest nie tak.

— Gdy w końcu się poddasz albo umrzesz z wycieńczenia, wezmę wszystko co masz — odpowiedział chłodno mężczyzna, sprawiając, że Dzikiemu znowu prawie puściły nerwy.

Z drugiej jednak strony potrzebował pomocy, a w odróżnieniu od Mike'a ten człowiek w ogóle go nie obchodził, nie miał skrupułów, żeby narazić go na niebezpieczeństwo.

— Wiesz, że nie mam zbyt wiele, chyba tylko mój pistolet ma jakąś wartość.

— To wystarczy — opowiedział mężczyzna i wyciągnął dłoń schowaną w czarną skórzaną rękawicę.

Dziki uścisnął ją i razem ruszyli w stronę centrum.

Rozdział XVIII

Za Lasem Ludzi

Dziki obudził się przerażony i odruchowo spojrzął na zegarek. Choć do alarmu zostało jeszcze kilka minut, nie mógł pozbyć się wrażenia, że spał zbyt długo. Oczywiście, jeżeli godzinę można uznać w ogóle za namiastkę snu.

Pod powiekami czuł piekący piach, a organizm rozpaczliwie domagał się chociaż kilku minut więcej. Od prawie dwóch tygodni nie przespał dłużej niż godzinę na raz, a to dlatego, że granice Krańcowa nie pozwalały oddalić się od Delimera, choćby trochę dalej. Ostatnie dni spędził, podróżując nieustannie między dwoma najbardziej wysuniętymi punktami miasta. Kiedy tylko Delimer zbliżał się do jednego z nich, ruszał do tego drugiego. Czuł jednak, że już dłużej nie będzie w stanie tego wytrzymać. Schudł tak mocno, że spodnie musiał ścisnąć paskiem na ostatnią dziurkę, a przez nieustanny niedobór snu miał trudności z myśleniem i koncentracją. Właściwie to i tak był cud, że udało mu się przetrwać tak długo. Cud, który był zasługą jego tajemniczego towarzysza.

Choć od dwóch tygodni podróżowali razem, mężczyzna wciąż nie uznał za stosowne się przedstawić, a jego małomówność, która na początku nieco irytowała Dzikiego, teraz była prawdziwym błogosławieństwem. Czuł bowiem, że ze zmęczenia i tak nie mógłby skupić się na rozmowie. Drugim błogosławieństwem był fakt, że mężczyzna znał miasto niesamowicie dobrze. Z jego wiedzą bez trudu omijali wszelkie niebezpieczeństwa, które czekały w Krańcowie i zyskiwali tą cenną godzinę, przez którą Dzikiego mógł w końcu odpocząć.

Tak naprawdę był niemal pewien, że gdyby nie pomoc tego tajemniczego weterana, jego ucieczka przed Delimerem skończyłaby się dużo wcześniej. Jedzenie, które znalazł w mieszkaniu Mike'a tuż po ucieczce ze Wspólnoty, ledwo starczyło na dwa dni, a poszukiwanie czegokolwiek w trakcie przemieszczania się po mieście nie wchodziło w rachubę. Nie było po prostu na to czasu. Nowy towarzysz znał jednak całą masę miejsc, niemal wypełnionych po brzegi wszystkim, czego akurat potrzebowali. Dzikiego miał wrażenie, że sam musiał ukrywać te zapasy już od dłuższego czasu.

Siedzący przy oknie towarzysz zauważył, że Dzikiego się obudził, bo obrócił w jego stronę twarz zakrytą maską gazową. Była to jedna z cech tego człowieka,

której Dziki nie potrafił zrozumieć. Prawie nigdy nie ściągał gazówki z twarzy.

— Masz jeszcze czas — powiedział spokojnym głosem i z powrotem odwrócił się w stronę okna, wypatrując nadchodzącego Delimera.

— Chyba już się nie kładę. Wolę coś zjeść — stwierdził z bólem Dziki.

Braku snu tymi paroma minutami więcej na pewno już nie nadrobi, za to może przynajmniej nasycić żołądek. Jedynym plusem, jeżeli w ogóle można było ich szukać w tej sytuacji, było to, że mógł zjeść jak jeszcze nigdy w nowym świecie. Towarzysz przez moment, w którym Dziki spał, ustawił na stole kilka puszek z gotowym spaghetti i termos pełen kawy. Dziki dopadł do jedzenia. Nie potrafił zrozumieć, jak jedząc tyle, wciąż traci na wadze... tego jedzenia było tak dużo. Chyba tyle, że dałoby radę wyżywić całą Wspólnotę... Ile mogło być warte takie jedzenie na przykład u Siwego? Czy jakby przynieść dość jedzenia, to dałoby radę kupić broń? Czy pistolet Dzikiego był wart tych zapasów, które poświęcał teraz nieznanemu? Czy nie byłoby mu łatwiej przestać dzielić się tym wszystkim i przyśpieszyć nieubłagany moment, w którym Dziki się wykończy?

Weteran usiadł naprzeciwko Dzikiego i nalał sobie kawy do kubka.

— Skoro już i tak nie śpisz, nie będziemy na niego czekać. Jak zjesz, ruszamy na drugą stronę, może wpadnie gdzieś po drodze i zyskamy parę minut. W każdym razie na następnym postoju ja śpię — stwierdził nieznanemu, zdejmując na chwilę gazówkę, by napić się kawy.

Dziki nie mógł się nadziwić, widząc twarz swojego towarzysza. Całą tę eskapadę znosił bowiem wyjątkowo dobrze. Twarz Dzikiego już od dłuższego czasu prawie się zapadła, a cienie pod oczami miał tak wyraźne, jakby domalował je sobie kawałkiem węgla. Mężczyzna przed nim wyglądał co najwyżej na lekko niewyspanego. Za każdym razem, kiedy tak siadali naprzeciw siebie, w Dzikim rodziła się masa pytań, które chciał mu zadać, ale na ogół zmęczenie wygrywało. Czuł, że już niedługo to zmęczenie wygra całkiem i po prostu umrze ze zmęczenia. Ponieważ mieli te kilka minut zyskane kosztem snu, Dziki postanowił w końcu porozmawiać z weteranem. Kiedy podróżowali, był zbyt zmęczony, by jednocześnie mówić i chodzić.

— Pewnie się nie spodziewałeś, co ? — zaczął Dziki, a mężczyzna spojrzał na niego pytająco. — Że będziesz musiał tyle się ze mną męczyć, ta broń naprawdę jest tyle warta? — spytał badawczo, bo cała sytuacja wydawała mu się naprawdę dziwna.

Weteran zamyślił się przez chwilę z kubkiem kawy podniesionym do połowy. Dziki odniósł wrażenie, że odpowiedź na to pytanie przysparza mu sporo problemów.

— Nie męczę się — odpowiedział wymijająco, swoimi słowami sprawiając jednak, że Dziki pomyślał, iż zaraz oszaleje.

Czuł się jak wrak, ledwo zbierał myśli, a on zachowywał się, jakby to, co się dzieje, naprawdę było jakąś błahostką.

— Jak to możliwe? — spytał rozpaczliwie, licząc na to, że usłyszy coś, co będzie w stanie wyjaśnić mu tę irracjonalną sytuację.

— Pojawiłem się, gdy Krańcowo było dużo bardziej niebezpieczne niż jest teraz. Myślisz, że spałem dużo dłużej? Do tego jeszcze musiałem cały czas być czujny, teraz przynajmniej mogę się przespać w łóżku.

— To gdzie spałeś wcześniej? W namiocie? — dopytywał zirytowany Dziki, bo odpowiedź ani trochę go nie usatysfakcjonowała.

— W łazienkach na podłodze – to na ogół jedyne miejsce w domu, które ma dodatkowy zamek i nie ma żadnej większej szyby. Gdy coś wdarło się do mieszkania, jak spałem, miałem przynajmniej te kilka sekund, zanim sforsowało drzwi. Teraz, jak mnie pilnujesz, śpiam lepiej niż wtedy — odpowiedział pewnie nieznajomy.

Dziki opuścił głowę zrezygnowany. Mężczyzna widocznie dużo lepiej znosił krótki sen od niego. Ich wspólna podróż, która Dzikiemu wydawała się męczarnią, dla niego była czymś bardziej komfortowym, niż to, co znosił, podróżując samemu. Dziki nie mógł powstrzymać ironicznego uśmiechu i z bezsilnej złości wyrzucił w końcu z goryczą coś, na co zbierało mu się od dawna:

— Niestety nasza wspólna podróż już się kończy, nie wytrzymam kolejnego takiego tygodnia.

Mężczyzna nie skomentował natychmiast tego, co usłyszał. Szybkim tempem dopił kawę i włożył maskę gazową na twarz. Dopiero, gdy zbliżył się do okna i wyrztał na podwórze, odpowiedział Dzikiemu chłodnym głosem:

— Jeżeli się poddajesz, to strzelenie sobie w głowę będzie na pewno mniej bolesne niż powolne wykańczanie się w drodze. Pistolet mogę zabrać z twojego ciała, nie przeszkadza mi to. Obiecuję również pochować twoje ciało, żeby nie skończyło jako karma dla Grabarzy.

W Dzikim coś pękło i to nie po raz pierwszy, od kiedy się pojawił. W starym świecie choćby nie wiadomo, jak było źle, wszyscy zawsze mówią ci, że będzie lepiej, że wszystko się ułoży i żeby się nie martwić, choćby było to najbardziej wierutne kłamstwo. Tutaj najlepsze, na co możesz liczyć, to porada, jak zabić się najmniej boleśnie i obietnica niezostawienia twojego truchła na pastwę sępów.

Z drugiej strony skarcił się w myślach... Czego właściwie oczekiwał? Że

nieznajomy da mu odpowiedź, jak uratować się z tej sytuacji? „Przynajmniej był szczery” — pomyślał Dziki i spojrzął na swój pistolet leżący na stole. Naszły go jakieś dziwne mdłości, choć nie wiedział już nawet, czy ze strachu, czy z niewyspania.

— Nie w ten sposób... — powiedział, czując odrazę do samego siebie, jak mógł w ogóle myśleć o czymś takim.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę, przysłuchując się uważnie.

— Nie zabiję się. Zrobię wszystko, żeby dać sobie ten cień szansy, którego ten parszywy świat tak usilnie mi odmawia... Ja zatłukę tego Delimera — ryknął wściekle Dziki, podnosząc pistolet. — Jeżeli chce mnie dopaść, to będzie musiał mocno się postarać, bo nie zdechnę na kolanach, błagając o życie bezmyślnego potwora... — Nie potrafił powiedzieć, skąd wybiegło to desperackie wyzwanie. Być może ta bezsilność która się w nim gromadziła musiała w końcu dać upust. Niemniej zwróciła ona w wyjątkowy sposób uwagę jego towarzysza, bo odszedł od okna.

— Uspokój się — przerwał wylew gniewu Dzikiego, wpatrując mu się w twarz przez szkła w masce. — Skoro chcesz walczyć z Delimerem, to rozumiem, że to jest właściwy moment.

— Właściwy moment na co? — spytał Dziki, ciągle czując pulsujący w sobie gniew.

— Powiem ci potem. Zbliży się — odpowiedział mężczyzna, zerkając w stronę okna.

W drodze powrotnej do drugiej granicy miasta, Dziki nie potrafił powstrzymać chwiejących się w nim emocji. Obiecał sobie, że nie będzie tworzył żadnego poczucia fałszywej nadziei. Z drugiej strony tajemnicze zdanie wypowiedziane w tamtym momencie samo podsuwało, że może istnieje chociaż cień szansy. Może nieznajomy znał sposób? Pewnie na tyle niebezpieczny, że nie ośmielił się nim podzielić, póki Dziki nie zadeklarował, że jest gotowy na wszystko?

Droga, którą podróżowali, nie zmieniła się: od budynku przy południowej granicy Krańcowa, w którym spędzili ostatni postój, przez uliczki blokowe i drogą za starym kościołem wydeptaną w pobliskich krzakach przez wagarujących uczniów, następnie podwórkami prywatnych domów, mijając bokiem Strefę Głodu (gdyby wtedy uciekając z Dix, wiedział o tej drodze). Po

czym będąc już za centrum, w stronę cmentarza, na którym pojawił się Dziki, i na koniec drogą koło przedszkola, w którym zginął Primo, potem już prosto do przeciwległej granicy północnej.

— Ciemno się robi — stwierdził Dziki, licząc, że uda mu się zagadnąć nieznanego i wyciągnąć coś więcej o jego pomysły, ale towarzysz wydobył z siebie jedynie twierdzące: „Yhyy” i kontynuował swój marsz w milczeniu.

Na drugą stronę dotarli, tak jak Dziki się spodziewał, prawie przed zmrokiem. Tym razem jednak nie zatrzymali się w domu, gdzie zazwyczaj robili postój i skierowali się dalej w stronę granicy miasta. Ostatnim miejscem, które minęli, było boisko do piłki pobliskiej szkoły. Nieznajomy zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił i wyszedł razem z Dzikim na główną drogę. Idąc po asfalcie, zbliżali się już do samej granicy miasta, Dziki zobaczył wyrastającą przed nim tabliczkę oznaczającą koniec miasta Krańcowo. Na tabliczce znajdowało się ogromne wymalowane czerwonym sprayem ostrzeżenie:

„STREFA ZAMARCIA — ZAWRÓĆ!”

Nie zdziwiło to jednak Dzikiego tak bardzo, jak to, co zobaczył dalej: dziesiątki, jeśli nie setki, ludzi. Zatrzymał się zszokowany, a jego towarzysz stanął tuż obok. Przebiegł wzrokiem po stojących tam postaciach. Wszystkie odwrócone do niego plecami, zamrożone w różnych pozycjach, od spokojnego marszu, po desperacki bieg. Przypominali figury woskowe, które ktoś poustawiał bez ładu i składu na drodze.

— Las zamarłych — stwierdził nieznanomy, przerywając ciszę.

Dziki przełknął ślinę, nie mogąc oprzeć się przytłaczającej atmosferze tego miejsca. Dookoła absolutna cisza. Tylko ich dwóch i ci wszyscy ludzie, którzy stali tam ukarani za złamanie jednej z pierwszych zasad nowego świata, której się nauczyli: „Nie wychodź za granicę miasta”.

— Dlaczego jest ich aż tylu? Nikt im nie powiedział? — spytał Dziki wciąż przerażony dziwną aurą, która panowała w tej okolicy.

Towarzysz zamyślił się przez chwilę, zawsze gdy się nad czymś zastanawiał akcentował to długim: „hmmmm”.

— Początki tego miejsca są dość jasne. Ta droga, jak zapewne wiesz, prowadzi do najbliższego dużego miasta. Gdy ludzie pojawili się tutaj i zastali puste Krańcowo, kilkoro z nich zdecydowało się szukać pomocy właśnie tam... To ta grupa. — Mężczyzna wskazał palcem na małe skupisko, stojące mniej więcej po środku lasu.

Dziki zauważył dwie kobiety i trzech mężczyzn w zwyczajnych codziennych ubraniach zamarłych w pozie, która wskazywała na niepewny krok. Miał nawet

wrażenie, że za chwilę jedna z dziewczyn o czarnych, kręconych włosach odwróci się nerwowo w jego stronę.

— Spora część z nich wywodzi się z tego samego okresu. Ludzie zbliżali się do granicy i zauważali pierwszą grupę – zgubieni ciekawością, ruszali w ich stronę — kontynuował towarzysz.

Dziki przyjrzał się i rzeczywiście zauważył, że część ludzi w podobnych, codziennych ubraniach kieruje się jakby w stronę grupy, której przyglądał się wcześniej. Mężczyzna dał Dzikiemu chwilę na przyjrzenie się temu, po czym kontynuował:

— Po jakimś czasie ktoś napisał na znaku ostrzeżenie... — stwierdził towarzysz, wskazując palcem na znak który minęli. — Liczba nieświadomych, którzy zamierali, zaczęła maleć. Pojawili się jednak inni, spójrz. — Mężczyzna wskazał palcem na kolejną postać.

Dziki przyjrzał się jej i pomimo tego, że widział jej plecy, był niemal pewien, że nie był to ktoś, kto żył krótko w tym świecie, a już na pewno nie był to ktoś, kto nie znał podstawowej zasady. Mężczyzna miał na sobie stary wojskowy mundur, w rękę trzymał sporą siekierę, a z jego plecaka wystawały śpiwór, namiot i lampa podróżna.

— Mówili na niego Dziesiąty. Pierwszych dziesięciu nosiło pseudonimy odzwierciedlające kolejność ich pojawienia się w nowym świecie. Dziesiąty był też pierwszym weteranem, który zdecydował się na coś, co potem nazwano desperackim marszem.

— Moment, kiedy znający zasadę decyduje się przekroczyć granicę — domyślił się Dziki.

— Dokładnie — odpowiedział weteran — nim jednak wyjaśnię ci, po co tu przyszliśmy, poznasz jeszcze kogoś. — Mężczyzna przeszedł kilka kroków i stanął przy postaci, która znajdowała się najbliżej granicy. W odróżnieniu od reszty, ten zwrócony był twarzą do Krańcowa, zamarły w pozie gwałtownego zwrotu desperacko wyciągał rękę w stronę miasta. Dziki przyjrzał się jego twarzy, i z przerażeniem stwierdził, że jego oczy błyszczały jak u żywego człowieka.

— Ten, który zmienił zdanie — stwierdził kpiąco mężczyzna — pokazał jednak coś, co jest dla nas najważniejsze, że z desperackiego marszu można zawrócić..., a w każdym razie spróbować.

Dziki zaczął domyślać się, co planuje dla niego nieznajomy. Perspektywa ta jednak nie podobała mu się ani trochę. Przyjrzał się jeszcze raz mężczyźnie wyciągającemu dłoń i naszedł go dziwny lęk na myśl o próbie przekroczenia

granicy.

— Więc mam przejść...? — spytał, nie potrafiąc ukryć lęku w swoim głosie.

— Nie sam, Delimer ma pójść z tobą — stwierdził weteran, zupełnie ignorując przerażoną minę Dzikiego.

— A on też będzie zamierał?

— Nie ma wyjątków — stwierdził nieznajomy.

— Ale jak mam to zrobić?

— Hmm, zauważyłeś pewnie, że ci wszyscy ludzie znajdują się w różnej odległości od granicy, jedni zamierali tuż za tabliczką, inni jednak kroczyli całkiem daleko. I z tego, co zdążyłem zauważyć, nie ma tu znaczenia płeć, wiek czy doświadczenie..., to raczej siła woli.

Dziki spojrzał przerażony. Był przekonany, że to był tylko domysł mężczyzny, nic potwierdzonego. Równie dobrze mógł to być czysty przypadek, że jedni dochodzili dalej od innych.

— Czyli to nic pewnego, że dam radę zawrócić — stwierdził w końcu.

— Pewne jest tylko jedno: Delimer będzie cię ścigał, póki cię nie zabije, a sam powiedziałeś, że dłużej już nie dasz rady uciekać — skwitował weteran, przyglądając się pobliskiej zamarłej postaci.

Dziki przytaknął niechętnie, czuł się jak wrak i właściwie ledwo stał na nogach. Tutaj przynajmniej była jakaś minimalna szansa. Nie mógł jednak opanować lęku na widok tych wszystkich otaczających go ludzi.

— Więc to chyba pożegnanie — stwierdził, czując, że znowu łamie mu się głos. Sięgnął ręką do kieszeni, łapiąc pistolet. — Trzymaj, zgodnie z umową.

— Nie chcę. Może tobie tam przyda się bardziej — stwierdził niespodziewanie mężczyzna.

— Więc po co to wszystko? Dlaczego męczyłeś się razem ze mną tyle czasu? — spytał, nie mogąc ani trochę zrozumieć intencji jego tajemniczego towarzysza.

— Hmm, chyba po prostu chciałem mieć jakieś towarzystwo. Poza tym nie żegnam się. Poczekam najpierw na finał twojej opowieści — odpowiedział z przekonaniem weteran.

— Ta opowieść może nie mieć happy end'u — stwierdził gorzko Dziki, patrząc w stronę zamarłych postaci.

— Tak, czy siak, to finał. Ostatnia rada: postaraj się przekroczyć granicę równo z Delimerem. Będziecie mieli jednakowe szanse. — Mężczyzna spojrzał w ciemniejące niebo. — Chwilę już rozmawiamy, niedługo powinien tu być... Powodzenia. — Weteran wyciągnął rękę.

— Dzięki za wszystko. — Dziki uściskał dłoń mężczyzny, a ten odwrócił się i ruszył w stronę najbliższego budynku, skąd pewnie planował obserwować wszystko.

Przyglądając się malejącej sylwetce weterana, Dziki poczuł, jak znowu przeszywa go strach. Ten jednak nie był związany z Delimerem. Do perspektywy jego nadejścia zdążył się już przyzwyczać. To było coś związanego z tym miejscem, czuł się, jakby został sam na cmentarzu, a do tego miał ciągle wrażenie czyjejs obecności. Przełknął nerwowo ślinę i wyciągnął pistolet, by dodać sobie otuchy. Choć było to dziwne, nawet teraz czuł się o wiele pewniej z bronią w ręku.

Czekając na nieubłagane nadejście swojego prześladowcy, powiódł wzrokiem po okolicznych domach. Dachy budynków z sąsiedniego osiedla ciemniały powoli w mroku, jaki zaczynał ogarniać okolicę. Dziki poczuł, jak robi się coraz zimniej, zasunął więc kurtkę pod samą szyję. Naszło go jakieś dziwne uczucie, że cały nowy świat naigrawa się z niego. Gdy kładł się spać, miał wrażenie, że już po chwili nieznajomy budzi go, krzycząc, że zbliża się Delimer. Teraz, gdy czekał tu na niego, każda sekunda zdawała się trwać wiecznie.

Miał wrażenie, że mijają godziny, przy tym dokuczały mu nasilające się zawroty głowy i mdłości. Jeżeli to, czy będzie w stanie wrócić naprawdę, zależało od jego siły woli, to czuł, że w tym stanie nie wykrzesze jej zbyt wiele. Czyli to tutaj będzie jego grób, stanie jako jeden z zmarłych... Ciekawe, czy jego historią nieznajomy też z kimś się podzieli? Czy jak za kilka lat przyjdą tu jacyś weterani, to będą opowiadali sobie o Dzikim, który uciekał przed Delimerem...? Czy ktoś z jego znajomych przyjdzie tutaj i rozpozna go pośród dziesiątek innych zmarłych postaci...?

— DOŚĆ! — wykrzyczał nagle, wściekły sam na siebie za to jak rozszalały się jego myśli.

Ścisnął mocniej pistolet, by dodać sobie otuchy i wtedy dostrzegł w oddali zbliżającą się postać. Ciemny kształt rysował się na końcu drogi, niczym samochód bez świateł, jadący powoli w jego stronę. Sylwetka Delimera nabierała kształtu z każdym powolnym krokiem. Dziki niemal uśmiechnął się ironicznie, widząc jak Niewykształcony wcale nie śpieszy się z tym, by go wykończyć.

Obserwując nadchodzącego potwora, przykleił się plecami do granicy miasta. Choć za nim była jedynie pusta przestrzeń, czuł, jakby opierał się o niewidzialny mur. Nie ośmielił się jednak choćby machnąć ręką do tyłu.

Niewykształcony zbliżył się powoli, a Dziki po raz pierwszy mógł przyjrzeć mu się z bliska.

Podobnie jak ludzie, DDelimery różniły się od siebie fizycznie. Ten, który ścigał Dzikiego, był dużo wyższy od tego, którego kiedyś spotkał przed sklepem. Chodź Dziki nie należał do najniższych, z ledwością sięgał mu do pasa. Był jednak znacznie mniej potężny od swojego pod sklepowego odpowiednika, brakowało mu również jednej dłoni. Tę, w próbie ratowania Dzikiego, odcięli w aptece Mike i Maniek. To co jednak musiało łączyć wszystkie DDelimery to maska spawalnicza na twarzy. Prostokątna czarna osłona starego typu z jednym ciemnym szkłem na oczy, zdająca się wyrastać z tyłu głowy. Oprócz tego ich skóra była gruba jak u nosorożca.

— Więc jesteś... — stwierdził Dziki, choć sam nie wiedział czemu. Bezrozumny potwór i tak nie był w stanie go zrozumieć. Delimer zatrzymał się zaledwie parę metrów od niego, najwidoczniej przyglądając mu się. Dziki nie czekając, złapał za pistolet i wycelował w stronę Niewykształconego. Choć po tych wszystkich opowieściach wiedział, że nie będzie to miało sensu, postanowił jeszcze spróbować walczyć, zanim spróbuje przejść przez granice.

Wystrzelił kilka razy, celując w korpus Delimera, ale kule wbiły się w jego ciało bezgłośnie jak w worek z piaskiem i nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Wycelował więc w stronę maski i nacisnął spust jeszcze raz. Pocisk trafił z głośnym brzękiem, wginając delikatnie czarną metaliczną strukturę. W tym momencie Delimer poruszył się gwałtownie, wyciągając swoją długą rękę w stronę Dzikiego, jakby chciał chwycić go wpół. Dziki uśmiechnął się ironicznie pod nosem. Właściwie czego oczekiwał? Nie czekając dłużej, naparł na mur za swoimi plecami i cofnął się za granicę miasta...

Zobaczył oślepiającą biel. Nie wiedząc czemu, czuł że się unosi...

Dziki zajęczał cicho. Oczy paliły go żywym ogniem, czuł też straszny ból w plecach. Rozchylił powoli powieki, czując zlepiający je piasek. Nie miał pojęcia, skąd wzięło się to nagłe światło, ale musiał upaść, gdy się pojawiło, bo pod plecami czuł zimny, chłodny beton. Nie wiedział czemu, ale miał wrażenie, że już kiedyś czuł coś podobnego.

Podniósł się powoli i wtedy dotarło do niego, co wydarzyło się przed chwilą. Poderwał się przerażony, celując bronią w powietrze, ale po Delimerze nie było śladu. Jakimś cudem znalazł się na cmentarzu, obrócił się, zerkając na mogiłę, z

której się podnosił.

„Igor Wawrzyn... Czy wtedy leżał w tym samym miejscu?” Imię i nazwisko wydały mu się znajome. Przeszedł ostrożnie między nagrobkami, kierując się w stronę wyjścia. W mieście było całkiem cicho, dokładnie jak w dniu, w którym przybył. Zezując w głąb cmentarza, spróbował dostrzec, czy kręcą się tu Znicze albo inni niewykształceni. Był jednak całkiem sam.

Odchylił delikatnie czarną furtkę i wyszedł na chodnik przed cmentarzem. Dopiero wtedy dotarło do niego, że coś było nie tak. Niebo nad nim miało zwyczajną błękitną barwę, nie był jednak w stanie dostrzec słońca, mimo tego, że w mieście było całkiem jasno. Zrobił kilka niepewnych kroków, zastanawiając się, gdzie ma właściwie iść. Ciągłe niepokoił go fakt, że nie był w stanie dostrzec Delimera.

„Co tak właściwie się stało?” — pomyślał.

To, co miał przed sobą, nie było tym, co spodziewał się zobaczyć po przekroczeniu granicy Krańcowa. Skierował się w stronę Wspólnoty, choć sam nie wiedział czemu. Może po prostu ta droga wydała mu się czymś znanym i bezpiecznym?

Przeszedł kilka kroków i znowu dotarło do niego, że coś jest nie tak. W ogóle nie czuł swoich nóg, a zmysły miał całkiem otepiałe, jakby był bardzo pijany. Odruchowo spojrzął na swoją rękę, której w ogóle nie był świadomy. Gdy podniósł ją na wysokość oczu, poczuł niewyobrażalne przerażenie. Jego dłoń była gładka jak u lalki, pozbawiona jakichkolwiek zmarszczek czy paznokci.

Przerażony, dopadł do witryny pobliskiej kwiaciarni. W odbiciu szyby dostrzegł swoją twarz. Była zupełnie gładka, pozbawiona włosów czy brwi, jak u ludzi ciężko poparzonych. Jego nos był zaledwie dwoma szparkami wbitymi w jednolitą gładką strukturę jego skóry.

To był defekt, był tego pewien. Taki sam kolor i fakturę miały na sobie plamy Dix... Ale dlaczego? Czy to właśnie działo się z ludźmi przekraczającymi granicę?

Roztrzęsiony odszedł od witryny przyglądając się swoim dłoniom. Spróbował zacisnąć jedną z pięści i choć ta posłusznie wykonała polecenie, w ogóle jej nie czuł. Jakby należała do zupełnie innej osoby. Wyszedł za róg cmentarza, tam gdzie kiedyś razem z Dix spotkali Siwego.

Droga wydawała się pusta. Dziki miał już odejść, gdy za swoimi plecami usłyszał cichy szmer. Ponownie spojrzął w głąb ulicy i teraz dostrzegł, że w oddali ktoś leżał na chodniku. Spojrzął na swoją rękę, upewniając się, że pistolet

ciągle w niej jest. Nie czuł go bowiem wcale. Następnie powolnym krokiem zbliżył się do ciała.

Leżący bez ruchu blond włosy chłopak wydawał się martwy. Jego ciało zwinięte było w karykaturalny kłębek. Gdy Dziki zbliżył się bardziej, dostrzegł że nie oddycha.

Wzdychając pokręcił głową i miał już odejść, gdy zobaczył, że jedna z dłoni trupa bezszelestnie podnosi się do góry. Ten dziwny łukowaty ruch miał w sobie coś nienaturalnego, jakby ogromna niewidzialna postać rozkładała przed nim ludzkich rozmiarów lalkę.

Wiedział, że powinien uciekać, ale ten dziwaczny pokaz całkiem go zahipnotyzował. Blondyn podniósł się do góry jak marionetka pociągnięta na sznurkach. Jego kończyny i głowa zwisały bezwładnie. W pewnym momencie ludzka pacynka otworzyła usta i zawołała:

— Witaj, Dziki!

Dziki poczuł takie przerażenie, że zupełnie nieświadomie wypuścił pistolet z ręki. Głos który usłyszał zdawał się dochodzić zewsząd, a ruch ust blondyna w ogóle nie pasował do wypowiedzianych słów.

— Co się stało? Zgubiłeś gdzieś język? — zawołała postać i podfrunęła tak blisko, że niemal stykali się czołami.

— Kim ty... Czym ty do cholery jesteś? — zawołał Dziki, odsuwając się niemal natychmiast.

Istota zachichotała i obleciała go dookoła, jakby była przyczepiona do niewidzialnego wentylatora.

— Jestem kimś takim jak ty, tylko dużo później. Dla twojego uproszczenia: gdy jeszcze byłem bardziej podobny do ciebie, wołali na mnie Smutny. — Istota, przedstawiając się, wykonała w powietrzu karykaturalny ukłon, machając bezwładnymi rękoma. — Widzę, że masz mały problem, bo tuż za tobą jest... Delimer. — Ostatnie słowo zabrzmiało jak grom, niemal trzęsąc sąsiednimi budynkami.

Dziki odwrócił się przerażony, myśląc, że tuż za nim wyrośnie ogromna postać z maską na twarzy, ale ulica była pusta.

— Tuż za tobą to pojęcie względne po tej stronie Krańcowa — zakpiła istota, podlatując bliżej, tak że teraz obydwaj spoglądali w głąb ulicy.

— Skąd ty to wiesz? W ogóle skąd ty wiesz, kim jestem? — zapytał zupełnie zdezorientowany Dziki.

— O, wiem dużo więcej — odpowiedział natychmiast blondyn, okręcając swoją twarz tak, że jego martwe oczy wydawały się patrzeć w stronę Dzikiego.

— Wiem na przykład, kto czeka na ciebie przy granicy, zabawne że ci nie powiedział...

— Czego nie powiedział?

— To teraz nieważne. Masz na głowie dużo większe zmartwienie. Gdybyś jednak dał radę wrócić, pozdrów go ode mnie. — Istota zaśmiała się ponownie, unosząc w powietrze.

— Zaraz... wrócić, to znaczy gdzie? Gdzie ja właściwie jestem? — dopytywał, krzycząc w stronę oddalającego się ciała.

— Za lasem ludzi idziesz powoli krok przed Delimerem, chociaż na moje oko już ewidentnie... ZAMIERASZ!!! — Ostatnie słowo istoty ponownie zabrzmiało jak grom, niemal trzęsąc całą okolicą, i sprawiając, że przerażenie jeszcze bardziej opętało Dzikiego.

Po tych słowach istota runęła bezwładnie na ziemię, jakby ktoś przeciął podtrzymujące ją sznurki.

— Na twoim miejscu nie zostawałbym tu zbyt długo, on zaraz tu będzie.

Dziki podbiegł do leżącego na ziemi ciała.

— CZEKAJ! Jak ja mam się stąd wydostać? Powiedz cokolwiek!!! — krzyknął, próbując potrząsnąć leżącym na ziemi blondynem.

— Po prostu zawróć, bo na razie idziesz ciągle prosto... — zawołał głos, który tym razem nie zadał sobie nawet trudu, by poruszyć ustami w ciełe.

— CZEKAJ, PROSZĘ! To znaczy, że tak naprawdę idę dalej? Ale dlaczego tego nie widzę? Dlaczego jestem tu? Jak mogę być w dwóch miejscach naraz?

— A kto powiedział, że jesteś w dwóch miejscach naraz? Na to, co się tu dzieje, nie ma prostej odpowiedzi, ale mogę dać ci radę: rozwiąż swój pierwszy problem, a może rozwiązanie drugiego przyjdzie samo. Powodzenia, Dziki... — zawołał oddalający się głos.

— NIE! POCZEKAJ, JESZCZE JEDNO PYTANIE!!! — Ponownie potrząsnął ciałem blondyna, ale głos nie pojawił się ponownie.

Mimo usilnych prób i machania bezwładną głową ze wszystkich sił, nie było już żadnego odzewu. Odsunął się od leżącego na ziemi trupa i pobiegł do głównej ulicy.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Delimera, ale potwora nie było nigdzie w pobliżu. Wzdłuż ulicy ciągnęły się rzędy klockowatych budynków, a w oddali widać było sylwetki bloków. Budynki w pobliżu cmentarza były jednak dużo mniej zniszczone niż zapamiętał ze swoich wędrówek w nowym świecie.

Słowa blondyna docierały do niego jakby z opóźnieniem.

„Więc cały czas idzie? Ale jak? Czy to, co się tutaj działo, było tylko

wytworem jego wyobraźni? Czy zamarcie zamykało człowieka w jego własnej głowie? A jeżeli tak, to jaki miał wpływ na to, co dzieje się z jego ciałem w prawdziwym świecie...?”

Jedno było pewne, stojąc tutaj, na pewno nie uzyska odpowiedzi na to pytanie. Ruszył, tak jak zamierzał wcześniej w kierunku Wspólnoty, tym razem jednak nie bawił się w skradanie i chodzenie opłótkami. Pędził biegiem główną ulicą z myślą, że nic gorszego od Delimera i tak go nie spotka. Znieczulenie, które dał mu defekt, miało jeden gigantyczny plus. W ogóle nie czuł, żeby jego nogi się męczyły. Drogę do stacji przebiegł bez zatrzymywania, nie zwalniając tempa nawet na chwilę, a po dotarciu na miejsce, nie czuł nawet drobnej zadyszki.

Bez ceregieli wparował do budynku baru, ale zgodnie ze swoim przeczuciem, nie zastał tam żadnych śladów po istnieniu Wspólnoty. Wszystko wyglądało, jak gdyby wrócił do starego świata: drewniane ławki z logo znanych piw ustawione były dookoła ściany. Za barem w lodówkach stały butelki i puszki z alkoholem, a automat do gier stojący w rogu rozbrzmiewał skoczną melodią.

Odsunął się powoli, wychodząc na parking przed budynkiem dworca. Nie było śladu po murach czy namiotach. Autobusy stały ustawione jak w dniu, w którym przybył do Wspólnoty. Przy peronie zaś nie było pociągu, który od Nocy Latarni stał zwinięty w serpentynę, oddzielając ich od drugiej strony.

Usiadł przez chwilę na chodniku, sam nie wiedział, czego się właściwie spodziewał. Może, że znalezienie czegoś znajomego doda mu otuchy? Odruchowo spojrzął w stronę wieży górującej w oddali. Poczuł, jak zalewa go smutek. Teraz już na pewno nigdy nie zobaczy Dix. Gdy podróżował z nieznanym, był zbyt zmęczony, by myśleć, ale teraz to znowu wróciło. Te same myśli, które krążyły mu w głowie pierwszego dnia, nim jeszcze rwany sen pomieszał mu w psychice.

Poczuł się słaby, bardzo słaby, jakby nagle zachorował, ale ta słabość nie wychodziła z jego ciała, którego i tak nie czuł. Pomyślał przez chwilę, że może dobrze by było po prostu tutaj umrzeć...

„Nie poddawaj się...” — usłyszał w swojej głowie. — „Idź dalej!!!” — ten głos... znał ten głos. Należał do weterana, ale jakim cudem?

Podniósł się i rozejrzał, nie był jednak w stanie zlokalizować, skąd on dobiega. Wtedy tuż obok siebie dostrzegł jakiś ruch.

Smutny, a raczej ciało przez które rozmawiał, leżało tuż obok Dzikiego. Jakim cudem nawet nie zauważył, kiedy się pojawiło?

— Jesteś prawdziwym młotkiem. Aż szkoda, że on tak w ciebie wierzył — stwierdził ironicznie głos, poruszając niezgrabnie ustami w ciele.

— O co ci chodzi ? — spytał poirytowany Dziki.

— Chyba nie przeszedłeś przez granicę szukać mocnych wrażeń w nudnym życiu? Wydawało mi się, że dałem ci jasną wskazówkę — odpowiedział.

Dziki nie miał mimiki twarzy, bo cały pokryty był defektem, ale Smutny musiał wyczuć jego zdezorientowanie, bo zadrżał ciałem w wyraźnym poirytowaniu.

— Jakim cudem ty przeżyłeś do tej pory? — zawołał wyraźnie zirytowany i nagle stało się coś niespodziewanego.

Dzikiemu i Smutnemu zalała jakaś dziwna szarość, jakby wszystkie otaczające ich kolory wyblakły. To nie było jednak najdziwniejsze. Już po chwili Dziki zobaczył, jak na jego oczach wyświetlają się wspomnienia. I to całkiem dosłownie, czuł się, jakby miał w głowie projektor, który na gałkach ocznych wyświetlał całą jego historię w nowym świecie.

— No i wszystko jasne. — Kolory wróciły momentalnie na swoje miejsce. — To nie żaden naturalny talent ani bystrość umysłu. Tobie po prostu ciągle ktoś pomaga: Kuba, Autobus do Wolności, przyjaciel o imieniu Mike, ukochana Dix , a na końcu...

Dziki przysłuchiwał się uważnie, myśląc, że za chwilę usłyszy imię weterana, ale Smutny urwał w pół słowa.

— Wygląda na to, że ja również muszę poprowadzić cię za rękę. Posłuchaj, skoro pojawiłeś się tutaj, to znaczy, że Delimer również, matole... A skoro ty pojawiłeś się tam, gdzie pierwszego dnia, to znaczy, że gdzie pojawił się Delimer?

— W aptecę?

— Brawo, używanie mózgu nie boli. Przeszedłeś przez granicę, żeby od niego uciec, ale nie dasz rady, bo on jest z tobą związany i ściga cię wszędzie, nawet tutaj. Musisz więc go powstrzymać.

— A nie mogę po prostu uciec i uwięzić go tutaj? Mógłbyś mi po prostu wskazać drogę do wyjścia...— stwierdził z wyraźną nadzieją.

— Nie możesz, bo przyszedłeś tu w konkretnym celu. Nie opuścisz tego miejsca, jeśli nie pokonasz Delimera...

Dziki opuścił głowę.

— Więc to koniec...

— TAK?! — Smutny zaryczał wściekle.

Dziki poczuł, jak w jego ciele dzieje się coś przerażającego, jakby w jego

środku znalazła się nagle druga osoba. Po raz pierwszy od dłuższego czasu znów czuł swoją rękę, ale stracił nad nią kontrolę. Dłoń z pistoletem powędrowała w górę, przykładając mu lufę do skroni.

— Skoro to koniec, to nie traćmy czasu. Walnij sobie w łeb — zakpił Smutny.

— NIE! — wykrzyczał Dziki, łapiąc się drugą ręką za pistolet. Nie mógł jednak oderwać go od głowy.

— Spokojnie, jak nie masz jaj, żeby to zrobić, to po prostu ci pomogę — ponownie zakpił Smutny, a dźwięk jego głosu rozbił się po czaszce Dzikiego.

— PRZESTAŃ!!!

— To potrwa chwilę. Liczę do trzech i bum — zakpił, a jego śmiech sprawiał, że bębniaki w uszach Dzikiego pękały.

— Raz...

Dziki poczuł, jak serce wyrywa mu się z klatki piersiowej.

— Dwa...

Pchał ze wszystkich sił rękę z pistoletem, ale wciąż nie mógł jej przesunąć.

— T...

— NIEEEEE — Dziki poczuł zalewającą go falę gniewu, poczuł jak jego ręka uwalnia się, wyprostował ją z oporem i nacisnął spust, celując prosto w stronę blondwłosego ciała.

— STOP!!! — Krzyknął Smutny. Z niewiadomych przyczyn pistolet nie wystrzelił, mimo wciśniętego spustu.

Dziki stał tak przez chwilę z bronią ciągle wycelowaną w blondyna. Fale złości wylewały się z niego, a zdrowy rozsądek ledwo powstrzymywał palec od naciśnięcia na spust po raz kolejny.

— Teraz już wiem, dlaczego się tobą zainteresowałem. Jesteście tacy podobni... — stwierdził Smutny, a Dziki miał przez chwilę wrażenie, że usłyszał strach w jego głosie.

— No dobrze niech będzie. Pomogę ci... — powiedział w końcu niechętnie, jakby był starszym bratem, który musi pomóc młodszemu. Ciało uniosło się w powietrze i powoli zbliżyło do Dzikiego, krzyżując na piersi bezwładne ręce. — Mam nadzieję, że zauważyłeś, jak po przekroczeniu granicy coś się w tobie zmieniło... — zakpił.

Dziki jednak nie dał się sprowokować, tylko skinął twierdząco głową.

— Dobrze, więc zapewne rozumiesz, że podobne zmiany nie ominęły również twojego oprawcy. W świecie, w którym normalnie egzystujesz, Delimer jest niemal niezniszczalny... Ale w strefie przygranicznej wszystko się zmienia.

Ciebie przejście przez granicę odczłowieczyło, a jego uczłowieczyło, rozumiesz?

Dziki poczuł falę nadziei rozlewającą się w środku. Więc tutaj potwór jest słabszy, może nawet delikatny jak człowiek.

— Rozumiem, tutaj mogę spróbować z nim walczyć. A jeśli go pokonam, jak wrócę?

— Po prostu zawróć... A nie, czekaj, bo znowu się nie domyślisz. Po prostu przejdź przez granicę miasta od strony cegielni. Możesz to jednak zrobić dopiero, gdy pokonasz Delimera. — Ciało Smutnego uderzyło o ziemię, dając znak, że rozmowa jest skończona, ale Dziki miał jeszcze jedno pytanie.

— Jeżeli można stąd wyjść tak łatwo, czemu inni nie wrócili? — zawołał w powietrze.

— Bo chcieli iść dalej, to poszli, taki był ich wybór — odezwał się głos z nieba.

„Może i miałem szczęście, ale tym razem nie mam zamiaru liczyć tylko na nie” — pomyślał Dziki, opierając siekiere o płot swojego rodzinnego domu. Nie był w stanie wyobrazić sobie, ile czasu minęło, od kiedy po raz ostatni widział ten budynek. Mały parterowy domek, który należał do jego rodziny, stał nietknięty jak w dniu Błysku, gdy Dziki opuścił go po raz ostatni. W nowym świecie nigdy nie odważył się przyjść tutaj. Nie tylko dlatego, że trzeba było pokonać dość ryzykowną przeprawę przez tory tylko po to, aby powspominać to, co minęło. Bał się po prostu, że może tu spotkać kogoś ze swoich bliskich, przemienionego w Niewykształconego. Teraz jednak, gdy miał przygotować się do walki z Delimerem, nie chciał tego robić w żadnym innym miejscu. Budynki i ulica, którą znał niemal od dziecka, dodawały mu pewności, jakiej żadne inne miejsce nie byłoby w stanie mu dać.

Oczekując na przybycie potwora, postanowił nieco się przygotować. Z domów swoich dawnych sąsiadów powyciągał wszystko, co mogło służyć za prowizoryczną broń. Siekiery, widły, długie noże i tym podobne rzeczy ustawił wzdłuż płotów na całej długości ulicy. Postanowił zabezpieczyć się na wypadek, gdyby sam pistolet nie wystarczył. Przelał też benzynę do szklanych butelek po oranżadzie, a do kieszeni zapakował benzynową zapalniczkę.

Nie wiedział, czy to wszystko miało jakiś większy sens. Może Delimer po tej stronie będzie jak człowiek i już pierwszy strzał powali go na ziemię? Nie mógł

jednak czekać beczynnie. Przez cały czas, gdy przeszukiwał domy sąsiadów, miał wrażenie, że jest obserwowany. Może Smutny przyglądał się jego staraniom? Gdy jednak spróbował go wywołać, nikt mu nie odpowiedział.

W końcu jednak stwierdził, że chyba nie jest w stanie zrobić już nic więcej. Stanął więc po prostu na środku ulicy, czekając na pojawienie się Delimera. Chociaż od zakładów chemicznych do jego domu było maksymalnie dwadzieścia minut drogi, i to jeśli naprawdę się wlekło. Delimer nie pojawiał się przez dłuższy czas. W końcu jednak, po długim nerwowym oczekiwaniu jakaś postać wyrosła u szczytu drogi. Dziki poczuł wrastające w nim napięcie. Niewykształcony zbliżał się powoli. Czy bardzo się zmienił? Czy na tyle, że walka z nim będzie miała sens? Delimer kroczył nieśpiesznie, ale już z oddali widać było, że pozostał nieproporcjonalnie wysoki. Za wysoki jak na człowieka. Maskę spawalniczą wciąż tkwiła na jego twarzy, zdając się wyrastać z tyłu głowy, gdy jednak zbliżył się na tyle, że można było dostrzec szczegóły jego wyglądu, Dziki zobaczył coś, co podniosło go na duchu: jego skóra nie była już gruba, jak u nosorożca, wydawała się delikatna jak u człowieka. Delimer zatrzymał się kilka metrów od Dzikiego, przyglądając mu się przez szkło w masce.

— Lubisz to przeciągać, co? — spytał ironicznie Dziki.

Ku jego zdziwieniu Delimer skinął delikatnie głową, choć mógł to być czysty przypadek, a nie odpowiedź na pytanie. Dziki poczuł się jakoś dziwnie, nie czekał jednak, by sprawdzić, czy Niewykształcony naprawdę zmądrzał. Złapał za pistolet i wycelował w nogę potwora.

— Zaczynamy! — krzyknął i nacisnął spust.

Uradowany dostrzegł, że chwilę po wystrzale noga Delimera cofnęła się, a bestia przyklękła na kolano. Nie czekając, biegiem okrążył go dookoła i ponownie wystrzelił, tym razem celując w potylicę Niewykształconego. Delimer jednak wykonał gwałtowny zwrot głowy i kula trafiła w maskę, robiąc w metalu sporej wielkości dziurę.

Dziki zatrzymał się, chcąc oddać kolejny strzał, ale Delimer poderwał się na równe nogi i z niewyobrażalną szybkością przebiegł dzielący ich dystans. Nim Dziki zdążył zareagować, poczuł uderzenie. Cios dosłownie wyrwał go z butów, bo poczuł, jak unosi się w powietrzu i uderza o płot. Wciąż nie czuł żadnego bólu, bo jego ciało wydawało się obce, ale nie mógł złapać tchu. Złapał za pręt, podnosząc się i zobaczył jak Delimer niczym byk ponownie rusza w jego stronę. Tym razem zdążył odskoczyć i Niewykształcony z impetem wbił się w ogrodzenie, odrywając spory jego kawał i wpadając do ogródka po drugiej

stronie.

Dziki nie czekał, aż bestia zorientuje się, że nie trafiła. Złapał za leżące na ziemi widły i z rozpędu wbił je w plecy Delimera. Pchnięcie było tak silne, że metal prawie całkiem schował się w ciele Niewykształconego. Dziki musiał jednak odskoczyć do tyłu, bo Delimer rozszalał się i kręcąc się dookoła, próbował sięgnąć wystającą z pleców rękojeść.

Po chwili bezsensownej szamotaniny zatrzymał się i rozejrzał w poszukiwaniu Dzikiego. Ten dobiegł właśnie do płotu przy swoim domu i złapał za butelkę z benzyną. Cisnął nią z całej siły pod nogi Delimera. Butelka trafiła w asfalt, a paliwo rozlało się na drogę i spodnie potwora. Delimer ruszył w jego stronę, wyciągając swoją olbrzymią rękę. Dziki ponownie złapał pistolet i ostrzelał nogi Niewykształconego. Niestety kule nie zapaliły benzyny, jak działo się to na filmach.

Niemniej trafiony Delimer ponownie przykląkł na chwilę, co dało Dzikiemu czas na sięgnięcie po zapalniczkę.

Przeszukując domy sąsiadów, specjalnie zabrał z jednego właśnie tę konkretną. Benzynowa zapalniczka mogła być wypuszczona z ręki bez obawy, że zgaśnie. Podbiegł do Delimera na tyle blisko, by pozostać poza zasięgiem jego rąk i cisnął płonąca zapalniczką w jego wilgotne od paliwa nogawki.

Zgodnie z oczekiwaniami ogień momentalnie pokrył jego spodnie i piął się ku podbrzuszu. Delimer jednak nie zwrócił na to uwagi i zupełnie ignorując fakt, że jedna z jego nóg przypominała płonące sito, wparował w Dzikiego, chwytając go za bluzę. Uniósł go w powietrze, by tuż po chwili rąbnąć nim o ziemię, jakby był szmacianą lalką. Chociaż Dziki nie czuł bólu, miał wrażenie że coś w środku mu pękło, bo powietrze wystrzeliło z jego płuc przez usta razem z krwią. Na bezdechu uniósł broń i celując w szyję tuż pod maską Delimera, ostrzelał jego nieosłonięte gardło. Niewykształcony cofnął się, trzymając się za grdykę, co dało Dzikiemu czas na powstanie.

Coś było z nim mocno nie tak. Nie był w stanie złapać głębszego oddechu. Chociaż nie czuł bólu, wiedział, że w środku jest z nim nie za dobrze. Dysząc jak ryba wyrzucona z wody, dokuśtykał do płotu i chwycił kolejną z butelek. Spodnie Delimera wciąż płonęły, ale rana na jego szyi zdążyła już zakrzepnąć i Niewykształcony szykował się do kolejnego ciosu. Dziki nie czekając, cisnął w niego butelką benzyny i tym razem efekt był właśnie taki, jakiego oczekiwał. Ogromna kula ognia pokryła Delimera, sprawiając, że całe jego ciało zajęło się płomieniami. Niewykształcony zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi, więc Dziki wyrzucił kolejne butelki.

Raz za razem przy uderzeniu Delimer pokrywał się płomieniami. I choć właściwie przypominał już chodzącą pochodnię, to wciąż utrzymywał się na nogach. Dziękiemu przeszło nawet przez myśl, że może zbyt mocno przecenił swoje możliwości, albo Smutny go okłamał, i tak naprawdę Delimer jest tutaj tak samo wytrzymały i zabójczy.

Teraz już jednak nie było odwrotu. Kulał na jedną nogę, a powietrze, które wciągał do płuc, nie wypełniłoby dziecięcego balona. Nie był w stanie uciekać, walczyć też już właściwie nie, ale nie miał zamiaru się poddawać. Przeładował pistolet ostatnim magazynkiem, który dostał jeszcze w prezencie od Krzaka i biorąc spod swojego płotu długi nóż, zbliżył się do Delimera. Na Niewykształconym spłonęło już całe ubranie, a skóra przypominała jeden wielki kawałek węgla, niemniej natychmiast zareagował na nadchodzącego Dzikiego i ruszył do przodu, sprawiając, że w wielu miejscach jego zwęglone ciało po prostu popękało. Dzikie nie czekając, wystrzelił dwie kule, celując prosto w jego kolano. Delimer przyklęknął, cofając nogę, przez co jego głowa znalazła się w zasięgu Dzikiego. Tak szybko, jak pozwalały mu na to rany, Dzikie zbliżył się i pchnął nożem w grdykę potwora. Delimer zareagował natychmiast, uderzając go ręką tak, że potoczył się po ziemi. Poczuł, jak z ust wylewa mu się więcej krwi. Po raz kolejny nie mógł złapać tchu. Poczuł, że z każdą próbą złapania powietrza, jego krtani napełnia się jakimś płynem, który odcina drogę oddechowi. Podniósł się na czworaka, pochylając głowę. Posoka lała mu się ust, ale już po chwili z wielkim trudem złapał wilgotny oddech, który okazał się być niezwykle bolesny. Czyli jego rany były już tak rozległe, że nawet defekt ich nie znieczulał.

Spróbował się wyprostować, ale zanim podniósł głowę, poczuł uderzenie, które rozpląszczyło go na ziemi. Jego wnętrzności zapłonęły. Kaszłąc i wyrzucając z siebie bąble krwi, musiał walczyć o każdy oddech.

Nim zebrał myśli po pierwszym ciosie, poczuł, że się unosi. Delimer chwycił go ręką i trzymając za kurtkę, podnosił do góry, jakby nic nie ważył. Czuł, jak umiera, a jego zmysły zaczynają odpływać, nie wytrzyma kolejnego uderzenia. Nie wytrzyma kolejnego upadku. Tego już było zbyt dużo, ten potwór był tak silny...

„Boże, jednak umrę” — pomyślał. — „Więc po co to wszystko? Po co była ta cała męczarnia, którą przetrwałem do tej pory...”

— Nie, nie, nie! NIE MAM ZAMIARU TUTAJ ZDYCHAĆ! — ryknął, plując krwią. Delimer zamarł na chwilę, a Dzikie, przełamując ból, wyprostował dłoń z pistoletem. Dziękował opatrności, że pomimo wszystkiego, co zносиła

jego ręka, nawet na chwilę nie wypuściła broni. Przyłożył pistolet do kolana Delimera i wystrzelił. Niewykształcony puścił go, ale Dziki nie przestał. Raz za razem naciskał spust, celując w to samo miejsce. Gdy skończyły się naboje, wypuścił broń i obracając się na plecach, kopnął z całej siły w nogę bestii. Poczuł przez chwilę, jakby łamał grubą deskę. Kolano, które przez całą walkę było jego celem, nie wytrzymało. Noga Delimera wygięła się w drugą stronę, a bestia runęła na ziemię.

Dziki przeturlał się na bok, unikając ręki Niewykształconego, który mimo upadku wciąż starał się go sięgnąć. Leżał tak przez chwilę. Gdy się nie poruszał, ból zdawał się w ogóle zanikać, ale każda próba napięcia jakiegokolwiek mięśnia kończyła się natychmiastową agonią. Delimer podsuwał się powoli w jego stronę. Miał z tym jednak spore problemy, jedna z jego rąk była krótsza, a niesprawna noga ryła w ziemi jak kotwica.

Dziki przełamując ból, podsunął się pod ogrodzenie tak, by mógł oprzeć się o nie plecami. Czuł, że kręci mu się w głowie, a umysł zaczyna powoli odpływać. Jeżeli straci tutaj przytomność, to będzie koniec, Delimer choć był w tragicznym stanie napewno nie odpuści. Adrenalina po raz kolejny uderzyła w Dzikim, podniósł się powoli, czując ból tak silny, że łyzy nabiegły mu do oczu. Zagryzając zęby, by nie krzyknąć, złapał za jedną z odłożonych wcześniej siekier i zbliżył się do Niewykształconego. Delimer uniósł zamaskowaną głowę i wyciągnął w jego stronę okaleczony kikut.

Dziki wziął zamach i rąbnął potwora w głowę. Niewykształcony zamarł przez chwilę, ale zamiast umrzeć, już po chwili obrócił się gwałtownie na plecy, wyrrywając Dzikiemu siekiere z ręki.

— ZDYCHAJ W KOŃCU — krzyknął Dziki, opluwając potwora krwią. W odruchu niepohamowanej złości chwycił Delimera za maskę i z wielkim trudem oderwał ją od twarzy.

Bestia ryknęła wściekle, próbując zasłonić głowę rękoma, pod maską były bowiem gołe mięśnie i kości.

„Maska była jego twarzą” — pomyślał i nim przyszedł mu do głowy jakikolwiek lepszy pomysł, chwycił za boki maski i rąbnął jej krawędzią w czaszkę potwora. Delimer zawył, więc Dziki wiedział, że musiał w końcu trafić na jego słaby punkt. Uderzał raz za razem, wbijając maskę coraz głębiej w łeb potwora, aż w końcu poczuł, że uderza metalem o asfalt.

Cofnął się powoli, Delimer leżał bez ruchu. Przypominał ciało wyciągnięte z głębokiego pożaru, Dziki obrócił się, nie chcąc na to patrzeć. Położył się plecami na ziemi. To było coś potwornego. Jeżeli w przygranicznej strefie

Delimer był bardziej podobny do człowieka, to w Krańcowie zabicie go było naprawdę czymś nierealnym, albo wymagającym armii.

— To byłoby właściwie Pyrrusowe zwycięstwo — zawołał głos Smutnego tuż nad jego głową. — W tym stanie nigdy nie dotarłbyś do granicy i podejrzewam, że umarłbyś gdzieś w okolicach przejazdu.

— Przynajmniej umrę na własnych zasadach — odwarknął Dziki, rozglądając się w poszukiwaniu bezwładnego blond włosego ciała.

— Trzymajcie mnie! — syknął Smutny — podlatując tak, że unosił się centralnie nad Dzikim. — Powiedziałem: byłoby, gdyby nie to, że w moich oczach ktoś, kto pokonał Delimera, zasłużył na pomoc. — Smutny odleciał kawałek, prostując się w powietrzu i zarzucając bezwładne ręce na tors. — Chociaż muszę przyznać, że twój poprzednik poradził sobie znacznie lepiej. Przynajmniej odszedł stąd o własnych siłach.

— Ktoś jeszcze tu był? Walczył z Delimerem? — Dziki poderwał się nieco zbyt gwałtownie i poczuł, że swoją ciekawość przypłacił właśnie utratą jakiegoś organu w środku.

— Nie ruszaj się już więcej, dobrze? — skwitował to ironicznie Smutny, nim odpowiedział na pytanie. — Tak, był. Ten sam człowiek, który cię tutaj przyprowadził i przychodził doglądać, jak sobie radzisz przez cały czas, gdy zamierałeś.

— On? Ale dlaczego mi nie powiedział, że tu był? Ile czasu mnie już nie ma? Mam wrażenie, że minęło parę ładnych godzin... — Dziki musiał powstrzymać swoje ciało przed zbyt dużą ekscytacją, by znowu nie doznać porcji bólu.

— Nie wiem czemu ci nie powiedział, możesz go zapytać, jak wrócisz. A od twojego przejścia przez granicę minęło dokładnie 27 dni.

— Pytam poważnie — odszczeknął zirytowany.

— A ja poważnie odpowiadam. Poczucie czasu jest względne między tymi dwoma strefami. Delimer przeszedł zaraz za tobą, a mimo to potrzebował kilku godzin, żeby cię znaleźć. Ale to już nieważne. Jak zaraz cię stąd nie zabiorę, to umrzesz. Nawet ktoś z ciężkim defektem nie wytrzyma w tym stanie zbyt długo...

Dziki rozłożył się na ziemi. Choć postać Smutnego irytowała go tak bardzo, nie mógł zaprzeczyć, że potrzebował pomocy. W swoich pierwotnych założeniach nie przewidział, że zostanie tak poturbowany. Poczuł, jak w jego trzewiach rozlewa się piekące ciepło. Adrenalina powoli opuszczała jego ciało, a umysł zachodził mgłą. Teraz to już na pewno stał na granicy śmierci. Nie miał

pojęcia, co zamierza zrobić z nim Smutny, ale to i tak nie miało znaczenia. Nie był już w stanie walczyć, ani nawet poruszać się. „Przynajmniej już tak nie boli” — pomyślał, gdy jego umysł całkiem zaszedł mgłą.

Ostatnie, co pamiętał, to twarz Dix w momencie, gdy złączyli się w tym pamiętnym pocałunku. Dlaczego właśnie teraz ma w głowie takie rzeczy? Nie wiedząc czemu, znowu poczuł, że się unosi...

Szare Krańcowskie niebo ciemniało nad lasem ludzi, Dziki dał niepewny krok naprzód, zostawiając za sobą strefę przygraniczną. Obrócił się powoli, obserwując zamarłych.

Pośród wcześniej widzianych przez niego postaci, wyróżniała się teraz jedna całkiem nowa. Delimer w niebieskich spodniach, zwrócony plecami do Krańcowa, stojący najdalej ze wszystkich postaci.

„Wróciłem” — pomyślał Dziki i spojrzał na swoje dłonie. Były normalne, całkiem normalne. Z paznokciami i zmarszczkami, które znał niemal na pamięć. Dotknął swojej głowy, przebiegając ręką po nieogolonej twarzy i z radością poczuł ukłucie zarostu. „Zniknął!” — pomyślał uradowany — defekt zniknął, muszę o tym koniecznie powiedzieć Dix...

Dziki wsadził rękę do kieszeni, ale zamiast pistoletu poczuł w niej grubo zwiniętą kartkę papieru. Wyciągnął ją przed siebie i zobaczył treść zapisaną eleganckim czytelnym pismem:

„Kretynie. I tak nie masz amunicji, więc po cholere sięgasz po pistolet...”

Dziki już po pierwszym zdaniu poczuł, że to wiadomość od Smutnego.

„(...) Twoją bezużyteczną obecnie broń wsadziłem do plecaka razem z trofeum zwycięstwa. Tak wsadziłem ci na barki tornister i założę się, że byłeś tak podniecony oczyszczeniem z defektu, że nawet go nie zauważyłeś...”

Dziki ściągnął ramię plecaka, pełen jakiejś dziwnej irytacji, bo rzeczywiście na początku nawet nie zwrócił na niego uwagi. Odsunął suwak i zajrzał do środka. W środku oprócz jego tetetki leżała zakrwawiona maska Delimera. Serce zadrgało mu nerwowo na jej widok. „Po co on w ogóle wcisnął mu to do plecaka?”

„(...) W swojej bezgranicznej głupocie pewnie nawet nie pomyślałeś, że będziesz potrzebował jakiegoś dowodu na to, że pokonałeś Delimera. Twoi dawni towarzysze prędzej uwierzą, że do tej pory chowałeś się przed nim, niż, że udało ci się go pokonać. W każdym razie nie daj się zabić tak od razu. Sporo się namęczyłem, żeby poskładać cię do kupy, więc szanuj mój czas. A ponieważ jesteś mi teraz coś winien, to gdy spotkasz ponownie tego weterana, to przekaz mu ode mnie trzy rzeczy:

1) Widziałeś się ze mną.

2) To on się mylił, nie ja.

*3) Jeżeli chce spróbować jeszcze raz,
to nowe siedlisko mam obok szpitala.*

*Powodzenia
(będzie Ci potrzebne)”*

Dziki przeczytał list, dopiero teraz przyszło mu do głowy, że być może jego milczący kompan wciąż tutaj jest. Zamiast iść od razu do Wspólnoty, ruszył w stronę małego parterowego budynku, w którym sypiali po tej stronie Krańcowa, gdy jeszcze Dziki miał na głowie Delimera.

Domek nie różniący się z zewnątrz od większości innych stojących w pobliżu budowli znał aż za dobrze. Gdy wchodziło się do środka, wszystko wskazywało na to, że był już od dawna wyszabrowany. Szafki na korytarzu świeciły pustkami, na podłodze leżały porozrzucone buty i ubrania. A w kuchni opustoszałe było wszystko, łącznie z lodówką. Dziki jednak nie zwrócił na to uwagi i natychmiast udał się do salonu, gdzie przesiadywali razem z weteranem. W małym pokoju, w którym stał tylko stół i łóżko, na szarej ścianie nabazgrana była czarnym sprayem jakaś wiadomość:

„Dziki

Widziałem, że wracasz, ale nie mogłem czekać. Mam swoje problemy, które nie dają mi spokoju.

Przygotowałem ci prezent powitalny. Pamiętasz budynek przy ulicy Głównej w centrum miasta, gdzie nocowaliśmy, podróżując razem? W miejscu, z którego zawsze wyciągałem kawę, jest paczka dla ciebie.

Spotkaj się ze mną, jak już uporządkujesz swoje sprawy. Często jestem w miejscach, które razem odwiedzaliśmy.

Do zobaczenia.”

Dziki zastanowił się przez chwilę nad treścią wiadomości, nigdy nie nocowali w centrum miasta, bo zawsze spali w strefach przygranicznych. Za to doskonale wiedział, gdzie weteran ukrywał zapasy. Gdy była jego kolej na czuwanie, to on dbał o przygotowanie posiłku.

Bez ceregieli zbliżył się do stołu i odsunął go na bok. Pod grubym dywanem w kratę, który ściągnął z podłogi, znajdowało się wejście do piwnicy. Dziki otworzył wieko i zszedł do małego, ciasnego pomieszczenia. W ciemności wymacał jakiś pakunek, który wyciągnął na górę.

Rozkładając na podłodze dużą sportową torbę, odsunął powoli zamek. W środku było coś, od czego zabiło mu szybciej serce: długi karabin z drewnianą kolbą i magazynki. Dziki wziął dość ciężką broń do ręki.

— KBKS 5.6 mm — przeczytał na wytłoczeniu obok zamka. Nie było to jednak wszystko. Oprócz broni były tam też ubrania. Gruby wojskowy mundur w ciemnozielonym kolorze, czarna kamizelka kuloodporna z napisem Policja na piersi oraz małe ochraniacze na łokcie i kolana.

Dziki nie mógł uwierzyć, ten prezent wart był majątek, jak na Krańcowskie standardy. Nie czekając, wcisnął na siebie nowe wyposażenie. Mundur był na niego trochę za duży, ale dzięki ściągaczom udało mu się dopasować go do siebie. Kamizelka w uniwersalnym rozmiarze leżała idealnie, a karabin w dłoni był czymś, od czego szybciej zabiło mu serce.

„DZIĘKI!” — pomyślał w środku, nie wiedząc nawet, jak będzie mógł zrewanżować się za to wszystko, co weteran zrobił dla niego do tej pory.

Czując, że właśnie ten dzień stał się dla niego lepszy, wyszedł z budynku i ruszył w stronę Wspólnoty. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć Dix i Mike’a. Ciekawe, co powiedzą, widząc go żywego...

Rozdział XIX

Powrót

Wyrastający z oddali widok Wieży Ciśnień sprawił, że serce Dzikiego zabiło mocniej. W jego głowie rodziły się setki pytań: „Co działo się we Wspólnocie podczas jego nieobecności? Czy Dix jest cała? Czy z Mikiem wszystko w porządku?”. Ostatnie pół kilometra przebył praktycznie biegiem, chcąc jak najszybciej uspokoić swoje nerwy. Przechodząc przez dziurę w siatce, minął powyginane zielone ogrodzenie, oddzielające plac przed wieżą od drogi. Wyszedł akurat naprzeciwko barykady, na której kiedyś bronili się w czasie Nocy Latarni. Chciał już dać krok w stronę wyjścia, gdy nad jego głową odezwał się głos wartownika.

— Nie pomyliło ci się coś? Wspólnota jest w tę stronę... — zawołał ubrany w czerwony kombinezon i kominiarkę członek Defektu, stojący na szczycie barykady.

— Eee... cześć jestem Dzikie, nie wiem czy mnie pamiętasz albo czy w ogóle znasz... — Dzikie miał w tym momencie spory problem, bo choć znał kilku defektowców osobiście, to z wiadomych przyczyn nie potrafił ich od siebie odróżnić.

— Nie kojarzę cię. Jesteś ze Wspólnoty? Mi wyglądasz raczej na wolnego weterana... — odpowiedział nieco zmieszany defektowiec.

Dzikie westchnął zrezygnowany. Wartownik musiał albo niedawno dołączyć, albo nie mieli okazji spotkać się wcześniej. Nie widząc sensu w tłumaczeniu się obcej osobie, spytał po prostu:

— Dix jest w wieży?

— Nie, wyruszyła z chłopakami po zaopatrzenie... A czemu pytasz? Masz do niej jakąś sprawę? — spytał, przyglądając się Dzikiemu podejrzliwie.

— Ech, to już nieważne... Jeżeli mógłbyś, to przekaz jej po prostu, że był tu Dzikie. Pewnie będę przez jakiś czas we Wspólnocie... Spokojnej warty — zawołał, odchodząc powoli w stronę dworca.

Przechodząc placem w stronę swojego dawnego domu, dostrzegł w oddali mur Wspólnoty. Nie było sensu próbować dostać się do środka od strony torów, więc po prostu wyszedł na główną drogę. Gdy tylko minął budynek magazynów kolejowych stanowiących już część umocnień, przystanął zszokowany. Pod

murem Wspólnoty była masa ludzi, stały tam też rozbite namioty i paliły się małe ogniska. Widok ten od razu przypomniał Dzikemu Strefę Głodu, choć stojący pod murami ludzie nie wyglądali na szczególnie przymierających głodem.

Dziki minął pierwszą grupę stojącą na skraju drogi. Dwóch mężczyzn i kobieta przyglądali się mu z zainteresowaniem. Na pewno nie byli nowo przybyłymi, ubrani w porządne wojskowe ubrania o piaskowym kolorze ze sporej wielkości plecakami, bez wątplenia musieli to być weterani. Jeden z nich skinął Dzikemu niepewnie, więc ten odwzajemnił gest. Nie przyglądał się im jednak dłużej, tylko ruszył w stronę wejścia.

Dwa opancerzone autobusy tworzyły między sobą szczelinę służącą jako brama. Tuż obok niej ustawiony był półotwarty namiot, do którego ustawiała się kolejka ludzi. Dziki zbliżył się powoli i stając na końcu ogonka, zajrzał do środka. Wewnątrz ustawione było biurko i mała szafka. Siedzący tam ciemnowłosa mężczyzna wypisywał coś na kawałku papieru. Dziki zatrzymał się, a uśmiech wykwitł mu na twarzy. Przy biurku siedział bowiem Mike.

Ledwo powstrzymując się, by nie wyskoczyć z radości w stronę przyjaciela, schował się po prostu na końcu kolejki, by zobaczyć, co się tu właściwie dzieje. Nadstawił w skupieniu uszu, by wyłapać strzęp rozmowy.

— ... godzina musi ci wystarczyć, następny — zawołał Mike, wciskając mężczyźnie jakiś świstek papieru w rękę, a ten natychmiast ruszył w stronę bramy.

— Imię i cel wizyty?

Wysoki mężczyzna, którego Dziki widział tylko od strony pleców stwierdził znudzonym głosem:

— Mówią na mnie Lipa, przyszedłem pohandlować...

— Handlarze wchodzą za darmo, muszę tylko zobaczyć towar... — stwierdził spokojnie Mike, mężczyzna ściągnął spory plecak i położył go na stole, ukazując mu zawartość. — Możesz rozstawić się na rynku do wieczora, albo jak ci się śpieszy, to idź do Siwego, może mu się coś spodoba. Następny — zawołał ponownie Mike, wciskając mężczyźnie wypisany świstek w rękę.

Kolejny niski dość chudy chłopak doszedł do biurka.

— Mówią na mnie Zajac, chcę tylko trochę odpocząć za murami.

— Zatrzymanie się na terenie Wspólnoty kosztuje dwadzieścia srebrnych, możesz w tej cenie korzystać z noclegowni. Jak nie masz szmalcu, możesz to odpracować, są chyba wakaty na latrynach...

— Skorzystam z tej pierwszej opcji — odpowiedział chłopak, sięgając do

kieszeni i kładąc coś na biurku.

Mike tak jak poprzednio, wręczył mu świstek, a ten ruszył zadowolony w stronę wejścia.

Dziki odczekał tak jeszcze czterech petentów. Szpetny przyszedł pohandlować na rynku, Wilk i Szara chcieli spotkać się z lekarzem, a ostatni z przybyłych, Muras miał jakiś biznes do Siwego.

Dziki doszedł do biurka, a Mike nie podnosząc wzroku, zaczął wypisywać coś na małym kawałku kartki.

— Ksywa i cel wizyty... — spytał znudzonym głosem.

— Przyszedłem zobaczyć się z przyjacielem. Podobno tu mieszka... — odpowiedział Dziki.

— Musisz podać ksywę, będę musiał to potwierdzić. Jeśli chcesz wejść za darmo, to może chwilę zają... — zaczął tłumaczyć Mike, podnosząc głowę. Urwał jednak w pół zdania, gdy tylko jego wzrok spoczął na twarzy Dzikiego. Wyglądał przez chwilę, jakby zobaczył ducha, a język uwiązł mu gdzieś w gardle. Po chwili jednak poderwał się tak gwałtownie, że kolanami odsunął biurko, przy którym siedział.

— Nie wierzę!!! — ryknął, ledwo powstrzymując łzy. Odsuwając biurko, zbliżył się do Dzikiego i ścisnął go, prawie łamiąc mu przy tym żebra. — Stary, my cię już wszyscy dawno pochowaliśmy. Jak...? Jak to jest możliwe? Dwa miesiące bez znaku życia... a teraz stoisz tu! — zawył na koniec, nie kontrolując już nawet tonu głosu.

Ludzie, którzy stali za Dzikim w kolejce, przysłuchiwali się z ciekawością, więc podsunął się do Mike'a tak, by nikt nie widział i pokazał mu zawartość plecaka.

Mike spojrzał do środka, widok maski Delimera sprawił, że przyjaciel stracił głos. Machał przez chwilę ustami jak ryba, patrząc z niedowierzaniem do wnętrza tornistra, w końcu jednak przełknął ślinę i wybełkotał:

— Jakim cudem?

— To długa historia, masz chwilę żeby posłuchać? — spytał, zamykając pośpiesznie plecak, bo jakiś ciekawski weteran wyginał się tuż za nim, by dostrzec, co takiego było w środku.

— Jasne, daj mi sekundę. Nie mogę tak zostawić tego biznesu. Muszę ściągnąć tu kogoś na moje miejsce. Tylko sekunda... — Mike wszedł na chwilę za mury przez dziurę między autobusami.

Dziki został na początku kolejki. Za swoimi plecami usłyszał jakieś szepty. Jeden ze stojących za nim weteranów zbliżył się i łapiąc go za ramię, spytał:

— Złoty Strzał?

Dziki obrócił się niepewnie, spoglądając w twarz mężczyzny. Dość wysoki rudowłosy chłopak w wojskowej kurtce obserwował go badawczo.

— Jaki strzał? — odparł nieco zmieszany.

— No wiesz, mówię o twoim ekwipunku: mundur czyściutki i pachnący jak z pralni. Kamizelka bez śladu choćby draśnięcia, nawet karabin wygląda jak zdjęty z witryny sklepowej. Mieliśmy sporo szczęścia, co? — spytał rudowłosy z nutą wyraźnej ironii w głosie.

— Może miałem szczęście, a może po prostu nie lubię chodzić brudny. Bo jak rozumiem tym lepszy z ciebie weteran, im bardziej od ciebie wali? — odpysknął Dziki.

Rudowłosy chłopak zrobił zaciętą minę i zacisnął pięści, jakby miał zamiar rzucić się Dzikiego. Nim jednak zdążył wykonać ruch, jakiś inny weteran złapał go za ramię.

— Odwal się od chłopaka Pers, miał szczęście. Ty też miałeś, inaczej już dawno byś gnił — stwierdził nieco niższy brunet, który podobnie jak Kuba miał gęsty zarost i długie włosy spięte z tyłu w kitkę.

— Kurwa, Wiewiór, a może mnie po prostu denerwują żółtodzioby z fartem. Trafi taki jakimś cudem na mieszkanie starego psa, a potem lata po Krańcowie, chełpiąc się sprzętem, jakby już tu piąty rok kiblował — odszczeknął Pers, ignorując przez chwilę Dzikiego.

— To jak go coś zeżre, to sobie po nim sprzęt pozbierasz, a teraz powiedziałem, daj chłopakowi spokój — stwierdził ten nazwany Wiewiorem.

— Pozbieram albo nie. Jeszcze mnie ktoś ubiegnie. Może po prostu od razu sobie wezmę... — dodał, zerkając łapczywie w stronę Dzikiego.

— Pamiętaj o kodeksie, weterani nie kradną od siebie...

— Jaki z niego weteran? Widziałeś go kiedyś na oczy? — spytał, wskazując ręką na Dzikiego. — Czy ktokolwiek z was zna tego żółtodzioba? — ryknął, a pobliscy stojący tam ludzie spojrzeli na Dzikiego z ciekawością.

— Pers uspokój się. Dwie minuty temu wszedł tam Wilk. Jesteś pewien, że chcesz tu robić scenę? — zawołał zrezygnowany Wiewiór.

W tym jednak momencie do rozmowy wtrącił się Mike, który wyszedł właśnie ze Wspólnoty w towarzystwie jakiegoś szpakowatego młodego chłopaka.

— Ty, Pers, lepiej zamknij mordę, bo po pierwsze mówisz do mojego przyjaciela, a po drugie to nawet nie wiesz, kim ten przyjaciel jest...

— Żółtkiem, któremu robisz za mamuszkę? — spytał ironicznie, choć widok

Mike'a bez wątpienia ostudził jego zapal do bitki.

W tym momencie Mike uśmiechnal się pod nosem i nie pytając o zgodę, rozsunął Dzikiemu tornister na plecach, wyciągając z niego maskę Delimera. Podniósł ją do góry jak relikwie, tak by wszyscy zebrani przed murem ją widzieli.

Pers wygladał, jakby nagle stracił wszystkie kolory, nawet włosy zrobiły mu się jakby mniej rude.

— Zwykla spawalnicza — wysapał — mam uwierzyć ze ten gnój zabil Delimera? Moze jeszcze sam?

— To popatrz sobie. — Mike rzucil mu maskę w ręce.

Stojący z tyłu Wiewiór zblizyl się i wyciągając Persowi czarny kawał stali z ręki, spojrzal na jego tył.

— Są ślady zniekształcenia, to naprawdę delimeroska — stwierdzil, oddając maskę Dzikiemu. — Nie wiem, jakim cudem, ale gratuluje...

— DZIKI! — kobiecy głos przebil się przez tłum podnieconych rozmów, które wybuchły po słowach Wiewióra.

Dix biegła w ich stronę, wyprzedzając grupę defektowców. Dziki chcial ruszyć w jej stronę, ale nim zdązyl dać krok do przodu, dziewczyna wparowała w niego, przewracając ich oboje na ziemie. Gdy próbował się podnieść, jej twarz przykleila się do niego, objając go dziesiątkami mokrych pocałunków. W końcu zetknęli się obydwój ustami, zamierając przez chwile. Dziki poczul, jak zaraz rozplynie się z radości.

Obserwujący ich ludzie zaczęli gwizdać i klaskać. Ktos zawołal:

— Gorzko, gorzko!

Pers, który widzial to wszystko, zrobil się juz całkiem biały i o wiele mniejszy, bo jakimś cudem udalo mu się skryć za polowę nizszym Wiewiórem.

Dix oderwala się w końcu od niego.

— Dziki, mój Boze, ja nie wiem. Boze, jak ja się ciesze — zapiala, zalewając się łzami.

— Dobra, słuchajcie moze wstaniecie i wejdzimy do środka. Troche się tłoczno zrobilo — zawołal z uśmiechem Mike, podnosząc ich z ziem.

— Dziki, ja musze wrócić na chwile do wiezy. Kiedy się dowiedzialam, ja prostu... Boze, Dziki nie odchodz nigdzie. — Dziewczyna podniosla się i ciagle odkrecala się w jego stronę, jakby się bała, ze zniknie, po czym ruszyła do bazy Defektu.

Towarzysząca jej grupa, która dopiero zdązyla przybiec na miejsce, zawrócila komicznie za swoja liderką.

— Będziemy w środku! — krzyknął za nią Mike. — Dobra, wchodzimy, koniec przedstawienia.

Dziki z żalem wszedł do środka. Każda komórka w jego ciele chciała, by pobiegł za Dix, ale to tylko chwila, ona zaraz wróci. Wszedł więc razem z Mike’em przez szparę między autobusami, a widok, który zobaczył, sprawił, że zaniemówił.

Wspólnota tętniła życiem, wszędzie chodziły małe grupy ludzi. Od weteranów w mundurach z bronią przewieszoną przez ramię, po zwykłych ubranych w codzienne ubrania nowo przybyłych. Na placu, gdzie kiedyś stały namioty, było teraz pełno osób handlujących różnymi przedmiotami, od gadżetów pokroju przenośnych gier i laptopów, po mundury i ręcznie robioną broń, jak włócznie z rurki i długie noże. Budynek baru, w którym kiedyś mieli sypialnię, wrócił teraz do swojej pierwotnej, rozrywkowej formy. Przy stolikach ustawionych obok wejścia siedzieli ludzie popijający piwo z butelek, a młoda dziewczyna, która wyszła właśnie ze środka, niosła na tacy talerze z chipsami. Na schodach dworca, gdzie kiedyś była stołówka, siedzieli uzbrojeni mężczyźni debatujący nad czymś zawzięcie.

— Sporo się zmieniło... — stwierdził w końcu Dziki, gdy oderwał wzrok od jednego ze stoisk, gdzie jakiś wyjątkowo potężny mężczyzna próbował wcisnąć drugiemu samurajski miecz.

— Wspólnota się rozrosła... — stwierdził krótko Mike.

Dziki wyczuł jakiś smutek w jego głosie.

— Krzak dalej tym zarządza? — spytał.

— Zrezygnował, jakiś czas po tym, jak zniknąłeś — odpowiedział przyjaciel wyraźnie niezadowolony.

Dziki przystanął zszokowany.

— Jak to? Więc kto teraz tu panuje?

— Grupa, która nazywa się konglomeratem potrzebnych. Krzak zajmuje się teraz bezpieczeństwem Wspólnoty, odpowiada za mury i strażników oraz jest moim pracodawcą — dodał na koniec z ironicznym uśmiechem, kwitnącym pod nosem. — Chodź, napijemy się — stwierdził Mike, wskazując ręką na ich dawną sypialnię.

Weszli do budynku baru. W ciasnym pomieszczeniu, które kiedyś pełne było karimat i śpiworów, z powrotem ustawiono drewniane stoliki. Wnętrze było zatłoczone, a w powietrzu unosił się zapach piwa i papierosów. Mike musiał wypatrzeć w panującym dookoła harmidrze wolny stolik, bo ruszył do przodu, lawirując między pijącymi. Gdy w końcu usiedli w rogu, zaraz pojawiła się przy

nich młoda dziewczyna z włosami związanymi w ciasne kucyki, ubrana w krótką spódniczkę eksponującą jej długie nogi.

— Co wam przynieść, Mike? — spytała zalotnie, puszczając oczko w ich stronę.

— Dwa piwka, Zuziu i coś do przegryzienia. Chyba jesteś głodny, nie? — spytał Mike.

Dziki pokręcił głową.

— Właściwie to nie bardzo. — Nie wiedząc czemu, od momentu powrotu ze strefy przygranicznej czuł się wyjątkowo wyspany i syty.

— W takim razie dwa piwa i chipsy — zarządził Mike, a kelnerka ruszyła w stronę lady.

— No mów, bo aż mnie ciekawość zżera — szepnął do Dzikiego, łapiąc się rękoma stołu, jakby opowieść o walce z Delimerem miała go zwalić z nóg.

— Może poczekamy na Dix, nie chcę dwa razy zaczynać — stwierdził, spoglądając w oczekiwaniu na drzwi. — Myślisz, że nas tu znajdzie?

— Wszyscy wiedzą gdzie mnie szukać, prawda Zuziu? — zawołał Mike do zbliżającej się kelnerki.

— To chyba znaczy, że spędzasz tu za dużo czasu — zaśmiała się dziewczyna, odkładając na stół dwa kufle piwa i półmisek chipsów.

— Przychodzę tu tylko dla ciebie — stwierdził Mike, wpatrując się w dziewczynę jak w obrazek. Ta uśmiechnęła się i falując krótką sukienką, ruszyła w stronę sąsiedniego stolika.

— Teksty na podryw pisze ci wydawnictwo Forever Alone? — zakpił Dziki, jednocześnie parodiując sposób, w jaki Mike gapił się na Zuzę.

— Ja nie rozumiem, dlaczego ona nie chce się ze mną umówić — stwierdził, zupełnie ignorując żart Dzikiego.

— W starym świecie powiedziałbym, że brakuje ci hajsu, ale w tym... Może masz za mały karabin? — Dziki parsknął śmiechem z własnego żartu, a Mike obrócił się ze sztucznie obrażoną miną.

— Szmalcu to mi akurat nie brakuje — stwierdził złośliwym głosem i zademonstrował portfel pełen jakichś kolorowych papierków.

— Co to jest? — spytał Dziki, wyciągając jeden z banknotów. — Zaraz, to przecież bilet kolejowy, tylko jakiś pobazgrany — stwierdził, przyglądając się popisanemu papierkowi, na którym ktoś odbił atramentową pieczęcią nominał 20.

— To są srebrne, nasza waluta — odpowiedział Mike, wyciągając Dzikiemu bilet z ręki, by schować go z powrotem w portfelu.

— Więc system każdemu wedle potrzeby już nie obowiązuje... — stwierdził, wspominając stary sposób dzielenia dóbr we Wspólnocie.

— Proszę cię... — syknął Mike — wady tego dzielenia wychodziły jeszcze, kiedy była nas garstka. Wprowadzenie pieniędzy wyeliminowało pasożytowanie. Teraz jeżeli chcesz jeść, musisz pracować. A ponieważ zajęć nie brakuje, nikt, kto mieszka we Wspólnocie nie przymiera głodem. Poza tym łatwiej wymieniać towar za pieniądze niż przedmiot za przedmiot.

— To było do przewidzenia, nawet w Armii Daniela mają pieniądze. Nazywają się chyba talenty.

Mike złapał spory łyk piwa, prostując się na krześle, a Dziki rozejrzał się po barze. Miał wrażenie, że od kiedy weszli, zrobiło się jakoś ciszej. Sam również chwycił za kufel. Od momentu pojawienia się w nowym świecie nie miał okazji pić alkoholu. W otwartej Wspólnocie bez murów pozabawianie się trzeźwego osądu byłoby samobójstwem. Tutaj wszyscy jednak musieli czuć się bezpiecznie, bo nikt nie wylewał za kołnierz. Krzywiąc się od gorzkiego dawno zapomnianego smaku spytał:

— Dobrze zrozumiałem, że Siwy jest częścią Wspólnoty?

— Taa — odpowiedział Mike, odrywając się na chwilę od kufla. — Krzak przekonał go, że dołączenie będzie dla niego opłacalne. Teraz ma wysokie miejsce w konglomeracie. Jest bezpieczny za murami i znacznie więcej weteranów przychodzi tu handlować... Dla niego same plusy...

— A dla was? — spytał Dziki, obserwując Zuzię, która przyjmowała właśnie hojny napiwek, wsuwając go powoli między swoje wdzięki.

— Wbrew pozorom też sporo. Po pierwsze Siwy miał swoją przyboczną straż, która teraz wspomaga ochronę Wspólnoty. Po drugie Różowy nie ma skrupułów, więc kiedy jakieś głosowanie przechodzi po jego myśli, to możesz być pewien, że to, co postanowiono, będzie zrealizowane. To sprawia, że rada ma prawdziwą władzę, a nie jest tylko na pokaz. — Mike złapał kolejny łyk piwa i kontynuował: — No i dalej, sporo starych klientów Siwego zaczęło odwiedzać Wspólnotę i handlować tu towarami, a my zyskaliśmy dostęp do wielu przedmiotów, o które już naprawdę ciężko...

— Rozumiem. A co słyhać u Mańka? — spytał, czując, że jego głos przepełnił jakiś dziwny żal.

— Pracuje dla Siwego — odpowiedział Mike podobnie grobowym głosem.

— Nie chciał zostać strażnikiem? Dziwne...

— Był przez jakiś czas. Ale po tym, co odwalił, pod murami jakoś nie leżało mi jego towarzystwo. Pewnej nocy na warcie popstrzykaliśmy się trochę i

finalnie złamałem mu kinola. Poleciał potem ze skargą do Krzaka i kazał wybierać on albo ja... No i pracuje dla Siwego.

— Zdziwił się, co ? — spytał Dziki retorycznie, z uśmiechem łapiąc kolejny łyk z kufła.

— Ciekawe, czy w łóżku wyrabia nadgodziny... — zaśmiał się obelżywie Mike, również przechylając piwo.

Dziki oderwał się na chwilę od słów przyjaciela, coś bowiem mocno go zaniepokoiło. Głośne rozmowy zmieniły się w szepty, a kilkunastu weteranów uważnie przyglądało się ich stolikowi. Dzikiego naszedł jakiś dziwny lęk, być może usłyszeli już o prezentacji spod bramy? Albo może wyglądał na łakomy kąsek i podobnie do Persa, myśleli właśnie, jak pozbawić Dzikiego jego sprzętu. Nim jednak dał znać przyjacielowi, że coś jest nie tak, do wnętrza baru wszedł dawny lider Wspólnoty Krzak, a tuż obok niego Dix.

Dziki wybałuszył oczy, widząc, że dziewczyna zrezygnowała ze swojego czerwonego kombinezonu, na rzecz zwyczajnych codziennych ubrań. Rozpuszczone czarne włosy w połączeniu z fioletowym sweterkiem i ciemnymi spodniami sprawiły, że niezwyklej urody Dix prezentowała się jeszcze lepiej. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy dziewczyna usiadła obok niego i pewnie położyła schowaną w czarną rękawiczkę dłoń na jego własnej.

— Kuźwa, nie mogłem uwierzyć, dopóki sam nie zobaczyłem — wyszeptał Krzak, nachylając się nad Dzikim i wyciągając rękę na przywitanie. — A myślałem, że w tym świecie cuda się nie zdarzają... — Dawny lider Wspólnoty nie usiadł przy stole, rozejrzał się dookoła, a potem spojrzał karcąco w stronę Mike'a.

— Nie za swobodnie się czujesz? — spytał nagle.

— Daro mnie zastępuje... — zaczął tłumaczyć się Mike, ale Krzak zbliżył się bardziej i szepnął ponownie.

— Nie mówię o twojej pracy, ale o pokazie, który zrobiłeś pod bramą. Cała Wspólnota aż huczy od plotek... Niepotrzebnie zwracasz uwagę na Dzikiego i do tego jeszcze zabierasz go potem w publiczne miejsce... — stwierdził Krzak, kręcąc głową.

— Ale o co ci chodzi, chciałem tylko przytrzeć nosa Persowi, bo rzucał się do Dzikiego pod bramą ... — zaczął jeszcze raz Mike, nie siląc się nawet, by zachowywać się cicho.

— Mike! — syknął Krzak, by uciszyć rozmówcę. — Myśl czasem mniej prostolinijnie. Zdajesz sobie sprawę, że bycie znanym w tym świecie, to nic

dobrego. Dziki przeszedł przez Strefę Głodu tylko dlatego, że Daniel go nie kojarzył i nie miał do niego osobistego awersu. A oprócz tego mało nie zrównoważonych chodzi po tym mieście? Zabicie Delimera przez pojedynczego człowieka to coś, co zaraz dołączy do Krańcowskich legend... Jeszcze się znajdzie jakiś zapaleniak, co stwierdzi, że jak odstrzeli Dzikiego, to tak, jakby sam zabił tego potwora.

Wysłuchując reprimendy Krzaka, Mike opuścił smętnie głowę nad kufel, a potem spojrzął się z poczuciem winy na Dzikiego. Chociaż on sam nie czuł jakiejś szczególnej złości na przyjaciela, tak naprawdę, gdyby nie słowa Krzaka, w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że mógł znaleźć się przez to w tak dużym niebezpieczeństwie.

— Dobra, idziemy stąd, zrobiło się zbyt tłoczno — stwierdził Krzak i dał znak do wyjścia.

Podnieśli się więc i odprowadzeni ciekawskimi spojrzeniami, wyszli na zewnątrz. Krzak szedł na przodzie, prowadząc ich w stronę murów. Dix złapała oburącz dłoń Dzikiego i ścisnęła ją tak mocno, jakby bała się, że odleci jak balon. Mike szedł ostatni, ze opuszczoną głową, najwidoczniej dręczony poczuciem winy.

Zrobiło się już całkiem późno. Większość handlujących zniknęła z ulic, a przed wyjściem ze Wspólnoty ustawiła się kolejka weteranów z kwitkami w rękach. Krzak minął jednak te gromadę bokiem i skierował ich do budynku, który stanowił część murów.

Weszli do małego piętrowego domku z zamurowanymi oknami. W środku paliły się akumulatorowe lampy, które kiedyś oświetlały ich bazę w barze. Krzak, otwierając drzwi, zaprosił ich gestem do pokoju, który teraz służył za jego biuro. Układ pomieszczenia był bardzo podobny do tego z ich starego domu. Tak jak wcześniej stało tu ogromne drewniane biurko pełne notatek, a na ścianie wisiała mapa Krańcowa z oznaczonymi punktami.

Krzak zbliżył się w półmroku do ściany i uruchomił rozłożone w rogach lampy. Mdłe niebieskawe światło wypełniło pomieszczenie.

— Zamknij drzwi, Mike — polecił, a potem wskazał ręką drewniane krzesła stojące przed biurkiem. Sam usiadł na swoim skórzanym fotelu. — Tu możemy porozmawiać spokojnie — stwierdził, łącząc dłonie w daszek. — Chyba wszyscy umieramy z ciekawości, co się z tobą działo, Dziki ...

— Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? — wtrąciła się niespodziewanie Dix. Dziewczyna spojrzała na niego pełna jakiegoś tłumionego wyrzutu. — Mogłam ci pomóc, Defekt mógł ci pomóc. Razem dalibyśmy radę Delimerowi...

— Nie, nie mogłem was narażać, ani ciebie, ani ich — przerwał jej Dziki. — Z tego samego powodu nie pozwoliłem Mike’owi zostać ze mną do końca, nie zniósłbym, gdyby coś wam się przeze mnie stało.

— Jesteś... taki... o Boże, po prostu brak mi słów — stwierdziła Dix, ściskając mocniej jego rękę. — Wiesz, że cię szukaliśmy? Przez cały tydzień po twoim zniknięciu bez wytchnienia. Gdy nie znaleźliśmy żadnego śladu, ja myślałam że... — głos uwiązał dziewczynie w gardle, a jej oczy zaszkliły się.

Krzak wtrącił się, żeby powstrzymać ją od całkowitego rozklejenia się:

— Ledwo przekonałem ją, żeby nie zrobiła czystki we Wspólnocie. Chciała, żebym wydał wszystkich, którzy odmówili udzielenia ci pomocy...

Dziki spojrzął na Dix, a dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, chociaż jej oczy ciągle były pełne łez.

— Dlaczego oddałeś władzę? — spytał Dziki, jednocześnie obejmując Dix ręką.

— Jaką władzę, Dziki? — spytał Krzak ironicznie. — Ja nie miałem tutaj żadnej władzy, a twój przykład był na to dostatecznym dowodem. Chciałem ci pomóc i chciałem to zrobić za wszelką cenę. Zaslugiwałeś na to bardziej niż dziewięćdziesiąt procent ludzi, których spotkałem, a mimo to nie potrafiłem ich przekonać ani zmusić... — stwierdził z żalem. — To nie jest tak, że całkiem zrezygnowałem z kontroli. Mam swoje miejsce w konglomeracie, głosuję i wypowiadam się w ważnych sprawach. I chociaż nie zawsze decyzje większości zgadzają się z moimi, to jednak ludzie tacy jak Siwy zapewniają realizowanie tego, co postanowimy. To po prostu mniejsze zło. Gdyby nie decyzja o ściągnięciu tu przydatnych, to Wspólnotę przejęliby krzykacze pokroju Ostrego.

— Kto jeszcze jest w tym konglomeracie?

Krzak podrapał się po bródce.

— Większość pseudonimów nic ci nie powie, są to po prostu ludzie niezastąpieni ze względu na wiedzę, umiejętności bądź zasoby. Dla przykładu Ząbek to jedyna namiastka lekarza, jaką tu mamy. Przed Błyskiem był na czwartym roku studiów medycznych, więc jako jedyny ma realne pojęcie o lekach i chorobach, dlatego ma miejsce w konglomeracie.

— Rozumiem — odparł Dziki. System oparty na rządzeniu elit intelektualnych był czymś, co mógł zaakceptować...

— Dziki — zawołał Krzak, wrywając go z zamyślenia — wiem, że też masz sporo pytań, ale zdajesz sobie sprawę, że my również umieramy z ciekawości. Jakim cudem wróciłeś do nas? Jeżeli nie masz powodów, dla których chciałbyś to zataić, to czy mógłbyś podzielić się z nami swoją historią?

Jedyne co wiemy, to to, że Mike skierował cię do swojego mieszkania, po tym jak się rozdzieliliście...

— Nie mam nic do ukrycia, chociaż spora część tej historii może wam się wydać naprawdę dziwna... — wtrącił Dziki.

Po tych słowach Dix odsunęła się, ustawiając krzesło tak, by mogła obserwować Dzikiego. Krzak nachylił się w skupieniu, nawet Mike wyszedł z cienia, opierając się o biurko. Dziki wziął więc głęboki oddech i zamilkł na chwilę, by poukładać sobie wspomnienia w głowie.

Zaczął od swojego pobytu w domu Mike'a, o wątpliwościach, które go targały i niepewności, czy to, co spotkali w aptece naprawdę było Delimerem. Po tym opowiedział o nadejściu Niewykształconego i spotkaniu z tajemniczym weteranem, który zaoferował mu pomoc. Skupił się chwilę, wspominając dziwne zachowanie swojego nowego towarzysza oraz jego doskonałą znajomość miasta. A po tym dalej o męczarniach, jakie przeżywał w podróży, o wiecznym niedosypianiu i załamaniu, jakie przeżył w drugim tygodniu.

Wszyscy wsłuchiwali się w opowieść z takim skupieniem, że Dziki miał wrażenie, iż zapominają o oddychaniu. Dix zasłoniła sobie usta rękami. Krzak zamarł praktycznie bez ruchu za biurkiem. Nawet Mike nic nie wtrącał, ani o nic nie pytał. Dopiero gdy historia doszła do lasu ludzi, słuchacze nie wytrzymali.

Dix pokręciła głową, przechylając się na krześle, a Mike wydusił z siebie:

— Chyba tego nie zrobiłeś?

— Wtedy wydawało mi się to jedynym wyjściem, ale słuchajcie dalej, bo to co tam zobaczyłem, to dopiero kosmos. — Dziki kontynuował, opowiadając o tym jak defekt pokrył jego ciało, o wrażeniu odczucia, jakie niosło to za sobą. Wspomniał o spotkaniu ze Smutnym i o tym, jak dziwny był świat przygraniczny. Po tym opowiedział o swojej walce z Delimerem, o tym, jak ściągnął mu maskę i stwierdził, że była ona jego twarzą. W trakcie historii wyciągnął czarną osłonę z plecaka i położył ją na biurko, Dix spojrzała się na nią przerażona, ale Krzak wziął ją w ręce i oglądał przez resztę opowieści. — ... a potem... sam nie wiem, musiałem dochodzić do siebie pod okiem Smutnego, ale tego nie jestem pewien, bo byłem nieprzytomny. Ocknąłem się już, będąc po tej stronie z maską Delimera i wiadomością do przekazania weteranowi.

Gdy Dziki skończył, nikt jeszcze długo się nie odezwał. Mike wpatrywał się zszokowany w przestrzeń, Dix wyraźnie zamyśliła się nad czymś, a Krzak odłożył w końcu maskę i spojrzał w stronę zamurowanego okna.

— Słyszałem kiedyś o weteranie, na którego wołali Smutny, ale co się z nim stało? Jakim cudem przebywał po tamtej stronie i jaki miał interes do twojego

wybawcy, tego nie wiem. Cała ta historia niesie ze sobą coś interesującego. Ta strefa przygraniczna... Jak odbicie naszego świata... Może powinniśmy skontaktować się z Kubą? Co myślisz Dix?

Dziewczyna, słysząc swoje imię, wyrwała się z zamyślenia.

— Co? A z Kubą. Wiesz, czemu nie. Chociaż nie wiem, czy interesuje go jeszcze szukanie odpowiedzi na ten bajzel...

Słyszając o Kubie, Dzikiemu przypomniało się, że jest jeszcze jedna ważna osoba, która nie wie, że wrócił.

— Krzaku, czy macie jakiś sposób, żeby skontaktować się z Autobusem do Wolności i przekazać, że żyję? — spytał, myśląc o obietnicy, którą złożył kiedyś Oli.

— Mamy radiostację, myślę, że to nie będzie problem. Chociaż wolałbym nie puszczać tego w eter, nie wiadomo kto jeszcze słucha. Poproszę po prostu, żeby przyjechali jak najszybciej. Wspólnota ma z nimi dobry kontakt... Pozostaje teraz jeszcze jedno pytanie. Co zrobisz dalej, Dziki? — spytał Krzak, wpatrując się w niego badawczo.

Nim jednak zdążył coś powiedzieć, do rozmowy wtrącił się Mike:

— Jak to co? Dziki jest częścią Wspólnoty. Pomagał budować ten mur. Miejsce tutaj należy mu się jak psu buda — stwierdził buntowniczo.

— Dzięki Mike, ale sam nie wiem jeszcze co zrobić. Potrzebuję chwilę na przemyślenie...

— To może dołączysz do Defektu? — spytała niepewnie Dix.

Dziki spojrzał z niedowierzaniem w stronę dziewczyny. Przez cały czas, gdy był jeszcze we Wspólnocie, Dix twierdziła, że samo przebywanie w ich towarzystwie naraża go na zarażenie, co więc się zmieniło?

— Ale jak to? — spytał.

— Mamy już potwierdzenie, że defekt nie przenosi się przez ludzi... Wspólnota wszystkich swoich złodziei i tym podobnych szubrawców wysyła do nas jako robotników. Wielu z nich przebywa z nami już bardzo długo i żaden nie zachorował... Zresztą już od dawna podejrzewałam, że to kwestia błędów — wyjaśniła dziewczyna.

— Wiesz, że zawsze tego chciałem. Teraz z tym nowym sprzętem i doświadczeniem mogę być dla was o wiele bardziej pomocny... — stwierdził, czując, że ten dzień staje się coraz lepszy.

— Ale Dziki... — zaczął Mike.

Dziki jednak przerwał mu w pół zdania:

— Chłopie, nie odchodzę daleko, do wieży jest o rzut kamieniem. Obiecuję

wpaść na piwo w każdej wolej chwili — zaśmiał się, a przyjaciel po tych słowach pokiwał głową i klepnął go w plecy.

— No dobra, przekonałeś mnie, Dix dobrze się tobą zajmie — stwierdził Mike.

— A co z weteranem? Pójdiesz się z nim spotkać? — spytał Krzak, wtrącając się w rozmowę.

— Tak. Muszę mu podziękować no i obiecałem Smutnemu przekazać wiadomość...

Krzak oparł się przez chwilę o własne ręce.

— Słuchaj, Dziki, mam do ciebie prośbę, spróbuj przekonać tego weterana, żeby przyszedł do Wspólnoty. Powiedz, że zagwarantuję mu bezpieczeństwo i dam wszystko, czego zażąda. Naprawdę chciałbym móc z nim porozmawiać. Ten człowiek posiada niebagatelną wiedzę...

Dix spojrzała w stronę Krzaka z jakąś dziwną miną, choć Dziki nie był w stanie jej rozgryźć.

— Zastanawiam się, czy wszystkich, którzy przechodzą przez granicę spotyka to samo... — wtrącił niespodziewanie Mike.

Dix i Krzak spojrzeli na niego momentalnie.

— No, bo wiecie, sporo osób jednak nie wróciło... Myślicie, że tam zginęli? Albo znaleźli wyście z tego bajzlu?

Dziki zamyślił się przez chwilę. Do głowy przysły mu słowa wypowiedziane przez Smutnego. „Bo chcieli iść dalej, to poszli, taki był ich wybór”.

— Mam wrażenie, że możliwość powrotu zależy od tego, w jakim celu przeszedłeś przez granicę... — stwierdził nagle. — Gdy rozmawiałem ze Smutnym, powiedział, że nie będę mógł wyjść, dopóki nie rozprawię się z Delimerem...

— Może kłamał, żeby zmusić cię do walki z nim — stwierdził Krzak.

— Zależało mu na tym, żebym się wydostał i przekazał wiadomość weteranowi. Myślę że gdyby było inne wyjście, to nie ryzykowałby mojej śmierci. Raczej nie miał intencji, by pomóc mi z Delimerem.

— Przynajmniej mamy już jakiś sposób, gdyby któreś z nas zostało dotknięte — powiedział Mike wyraźnie zadowolony.

— Nie masz gwarancji, że ci się uda. Dziki wykazał się sporą pomysłowością, no i na koniec dostał jednak sporą pomoc. Walka z Delimerem nawet w tamtym świecie to prawie samobójstwo — powiedział Krzak, prostując się na krześle.

— Dziki, chyba będziemy się zbierać, było już ciemno, jak szliśmy tutaj. A pod murami nie jest zbyt bezpiecznie — stwierdziła nagle Dix.

— Odprowadzimy was do bramy — zarządził Mike.

— To dobry pomysł, ciekawscy mogą czekać na Dzikiego przed wejściem — stwierdził Krzak, podnosząc się z miejsca i zabierając strzelbę spod biurka.

Opuszczając mury Wspólnoty, Dziki przekonał się, jak trafne było spostrzeżenie Krzaka. Gdy tylko wyszli pomiędzy autobusów, służących za bramę, gromada weteranów siedzących przy małych ogniskach oświetliła latarkami wejście. Kilku podniosło się nawet, wyraźnie przyglądając się Dzikiemu, ale widok dodatkowych osób otaczających, go ostudził ich zapędy bez względu na to, jakie by one nie były.

Rozstając się z Mikiem i Krzakiem minęli obozowisko powstałe przy murze Wspólnoty i ruszyli główną drogą w stronę wieży.

— Mam nadzieję, że nie będziesz żałował swojej decyzji — stwierdziła nagle Dix, chyba odruchowo ściskając mocniej jego rękę.

— Dlaczego miałbym żałować? Dobrze wiesz, że od Nocy Latarni nie pragnąłem niczego bardziej. Wcześniej miałem jeszcze trochę wątpliwości ze względu na Mike'a i Wspólnotę. Ale to miejsce dobrze radzi sobie beze mnie — odpowiedział.

Nie dodał jedynie, że żal, który odczuwał do wielu ze swoich dawnych kompanów również był ważnym czynnikiem utwierdzającym go w tej decyzji.

Dix uśmiechnęła się, a on poczuł, że naprawdę kocha, gdy to robi.

Przechodzili właśnie na wysokości magazynów kolejowych, był to najciemniejszy punkt na ich drodze. Światło dobiegające ze Wspólnoty już tu nie sięgało, a to emitowane z wieży zaczynało się parę metrów dalej. Dziki pomyślał, że gdyby ktoś miał ich zaatakować, to wybrałby właśnie to miejsce. Prawie zaklął więc w myślach, gdy z otaczającego ich mroku wyłoniło się kilka postaci, odcinając im drogę. Dix westchnęła cicho, łapiąc za pistolet schowany w kaburze pod swetrem, a Dziki zsunął KBKS z ramienia i bez ceregieli wycelował w grupę.

— Spokojnie, nie ma sensu robić zamieszania. Chcieliśmy tylko chwilę pogadać z zabójcą Delimerów — zakpił jeden z przysłoniętych ciemnością mężczyzn.

— Nie ma tutaj żadnego zabójcy, jestem Dix z defektu i jeżeli naprawdę nie chcecie kłopotów, to radzę wam zejść z drogi — zawołała dziewczyna nienawistnym głosem.

— Tak? A mnie się jednak wydaje, że ten z KBKS-em ma w plecaku maskę

Delimera — zawołał znany Dzikiemu głos Persa.

— No i widzisz, po co było kłamać, naprawdę wolelibyśmy rozwiązać to grzecznie — stwierdził ten sam męski głos, co na początku.

— A ja bym wolał, żeby weterani z szacunkiem odnosili się do zasad — wtrącił jakiś obcy mężczyzna za ich plecami.

Dziki obrócił się odruchowo i zobaczył, jak jakiś wysoki, wyglądający na gogusia chłopak wyłania się za nimi z ciemności, świecąc latarką przyczepioną do czoła. Po chwili konsternacji, rozpoznał w nim jednego z ludzi stojących w kolejce, gdy przybył do Wspólnoty.

— Miło cię widzieć, Wilku — stwierdziła Dix, zupełnie ignorując zgromadzoną grupę. — Pracowita noc?

— Niestety, ale jak się musi pilnować porządku, to się nie sypia zbyt dobrze — stwierdził dopiero co przybyły chłopak, kłaniając się lekko w stronę Dix. — Słyszałem o zamieszanym przed bramą i miałem przeczucie, że ktoś może dziś w nocy zapomnieć o dobrych manierach...

Dziki nie wiedział czemu, ale poczuł, że banda stojąca przed nimi straciła nagle na pewności siebie. Kilka osób cofnęło się do tyłu, a paru weteranów rozejrzało się panicznie, jakby szukali drogi ucieczki.

— Mamy przesrane — zawołał ktoś z tłumu, obserwując jak mężczyzna nazwany Wilkiem stanął przed nimi, składając ręce na piersi.

— Dobra, słuchajcie, jest już późno, słabo widzę wasze twarze i obiecuję, że jak stąd teraz odejdziecie, to ich nie zapamiętam... Oprócz ciebie Pers, za długo już toleruję twoje wybryki i dzisiaj spotka cię kara... No więc jak będzie? — zapytał Wilk zupełnie spokojnym, a nawet nieco znudzonym głosem.

Kilka ze stojących w ciemności postaci obróciło się już gotowych do ucieczki, ale będący na przodzie Pers zbliżył się do Wilka. Ponieważ byli podobnego wzrostu, niemal zetknęli się czołami.

— A co mi kurwa zrobisz? Zabijesz mnie? Niektórzy już mają serdecznie dość tego twojego szeryfowania, kto ci w ogóle dał prawo ustalania zasad i rządzenia weteranami, he? — ryknął, prawie opluwając przy tym chłopaka.

— Pers uspokój się, bo ta suka wystrzela nas jak kaczki... — zawołał jeden z towarzyszy, łapiąc go za ramię.

— Masz szczęście, że Szara tego nie widziała, bo rzeczywiście byłbyś już martwy — zaśmiał się Wilk.

Pers odepchnął towarzysza, chwytając zręcznie za pistolet, a kolejne wydarzenia potoczyły się już w jednej sekundzie. Dziki usłyszał świst, jakby nagle dostał w uszach ciśnienia, a gdy dłoń Persa unosiła pistolet w górę... w

pewnym momencie po prostu eksplodowała. Broń upadła z hukiem na ziemię, a mężczyzna spojrział zszokowany na to, co zostało mu z ręki. Nie miał większości śródrečia, a z palców ostał się tylko kciuk i paluszek wiszący na kawałku skóry.

— AAAAAAAAAA!!! — Pers ryknął z bólu, upadając na kolana.

Kilku mężczyzn za nim rzuciło się do ucieczki. Jedynie stojący najbliżej Wilka spróbował szczęścia i szybkim ruchem, dobywając noża, spróbował dźgnąć go, wyraźnie celując w szyję. Wilk jednak chwycił go za rękę i przerzucając go przez plecy, rozbroił bez najmniejszego trudu.

— Doradziłbym ci raczej pozbierać kolegę, zamiast próbować kolejnych głupot — stwierdził Wilk ciągle spokojnym głosem.

Leżący na ziemi mężczyzna przytaknął nerwowo i po podniesieniu, zebrał Persa z kolan. Po chwili obydwaj zniknęli w ciemności.

— Poradzilibyśmy sobie. Mimo wszystko dziękuję za interwencję. Ale skąd w ogóle się tutaj wzięłeś? — spytała Dix.

— Wiem, że byście sobie poradzili, ale wtedy paru by zginęło. Jak się rozkręcisz, masz problem z kontrolą liderko Defektu — stwierdził Wilk, kłaniając się w stronę Dix. — Po za tym już od dawna polowałem na Persa. Chociaż nie miałem żadnego dowodu, krążyły pogłoski, że wystawił kilka osób na śmierć, żeby potem zabrać im sprzęt... Dlatego od dłuższego czasu kręciłem się w jego pobliżu. — dodał z uśmiechem, po czym obrócił się w stronę Dzikiego.

— Przepraszam cię za to żalosne przedstawienie. Niektórzy myślą że status weterana daje im jakieś przyzwolenie na robienie tego, co im się żywnie podoba...

Z ciemności wyłoniła się kolejna postać, przerywając swoim nadejściem wypowiedź mężczyzny. Tym razem była to bardzo wysoka, szczupła kobieta o jasnych, prawie białych włosach. Na plecach miała przewieszony karabin, bardzo podobny do tego, który miał teraz Dzikie, z tym że dłuższy i wyposażony w lunetę. Kobieta przyjrzała się im uważnie, a potem wykonała jakieś dziwne gesty rękami.

— Szara was wita — stwierdził Wilk, przyglądając się dłoniom towarzyski, które poruszały się w ciemności.

— Mówi też, że bez czerwonego kombinezonu ledwo cię poznała Dix i że do twarzy ci we fiolecie... — stwierdził mężczyzna.

Dix skinęła niepewnie głową w stronę blondwłosej.

Dzikie domyślił się, że Szara musiała być niema, a te dziwne ruchy były po prostu językiem migowym. W pewnym momencie oczy kobiety skupiły się na

nim, wykonała kolejny dziwny zawijas rękoma.

— Tak, to powód całego poruszenia. Szara nie jest w stanie uwierzyć, że ktoś samotnie mógł pokonać Delimera. — Dodał Wilk teatralnym szeptem w stronę Dzikiego.

W pewnym momencie blondwłosa kobieta nachyliła się nad nim, przyglądając mu się uważnie. Nagle jej oczy rozszerzyły się gwałtownie. Jej ręce zawirowały w powietrzu w jakimś dziwnym tańcu.

Wilk przyglądając się ruchom kobiety, wyraźnie zmarszczył brwi, po czym spojrzał na Dzikiego.

— Szara mówi, że ty i Mike zrobiliście kiedyś coś bardzo złego...

Dziki wstrzymał przerażony powietrze, a Wilk obserwował go badawczo.

— Na twoje szczęście człowiek, którego to spotkało, nie cieszył się zbyt dobrą opinią i bez wątpienia zasłużył na karę... W innym wypadku rozmawialibyśmy w trochę innych okolicznościach... W każdym razie Dziki radzę ci skorzystać z towarzystwa tak zacnej weteranki i dowiedzieć się od niej, czym jest kod weterana... Nie chciałbym, żebyśmy kiedyś spotkali się jako wrogowie... — Szara zmierzyła Dzikiego krytycznie, a Wilk obrócił się.

— Dobra, będziemy uciekać. Moja przyjaciółka jest już zmęczona. Pilnujcie się — zawołał na koniec, a kobieta skinęła im głową na pożegnanie.

Po chwili obydwójce ruszyli w stronę obozowiska pod murami.

— Kim oni byli? — spytał Dziki, gdy tylko tajemnicze postacie się oddaliły.

— Taka para weteranów. Bardzo niezwykli. Starają się wprowadzać trochę porządku w ten burdel między starymi mieszkańcami Krańcowa. A ty przeskrobałeś coś? — spytała Dix, obserwując Dzikiego badawczo.

— Stare dzieje... — odpowiedział Dziki, jakby to była już dawno zapomniana sprawa, nie mniej serce ciągle miał przy gardle. — To czym jest ten kod? — spytał, by zmienić temat.

— To taka obietnica. Gdy powstała Armia Daniela i istniało realne zagrożenie, że rozleje się po Krańcowie, Wilk zebrał weteranów i wymusił na nich przyrzeczenie, że gdyby tak się stało, wszyscy połączą siły, by z nim walczyć...

— No to zrozumiałe, ale w jaki sposób to odnosi się do innych rzeczy, na przykład do Persa?

— Cóż, po dość entuzjastycznym przyjęciu pierwszego z pomysłów Wilk próbował jeszcze wpleść w to ogólne zasady moralne. Weterani nie kradną od siebie, weterani pomagają sobie wzajemnie, weterani nie walczą ze sobą... — wyrecytowała Dix. — Oczywiście druga część kodu spotkała się już z

pomrukami niechęci. Jak w życiu, jedni czerpią satysfakcję z przestrzegania zasad, inni z ich łamania... Tak, czy inaczej, jeżeli otwarcie będziesz bydlakiem przyjdzie zły Wilk i cię zje.

— A ten strzał? Na pewno użyła snajperki, ale przecież huk powinno być słychać z daleka, kolejny błąd? — dopytywał dalej.

— Tak jakby, Szara jest głucha i jakimś cudem potrafi wygłuszać też inne dźwięki, na przykład wystrzał z broni. To na pewno jakiś błąd, ale niespotykany, bo powiązany bezpośrednio z nią... — stwierdziła dziewczyna, sama zagłębiając się we własnych myślach.

Po kilku minutach drogi zbliżyli się do barykady pod wieżą.

— To ja, Sven! — zawołała Dix do stojącego na warcie defektowca.

Dziki zauważył już że dziewczyna potrafi odróżnić każdego ze swoich ludzi po posturze i sposobie poruszania się.

— Witaj, szefowo, martwiliśmy się. Czyżbyśmy mieli gości? — spytał, schodząc z barykady, by się przywitać.

— Nie do końca gości, raczej nowego członka — stwierdziła, łapiąc Dzikiego za plecy.

— O, współczuję... — stwierdził smętnie Sven, wyciągając rękę na powitanie.

— To nie tak. Dziki jest tu z własnej woli, nie jest chory — zawołała radośnie, a Sven spojrzał w twarz Dzikiego.

— Dziki, ale chyba nie ten DZIKI? — spytał, jakby sam nie wierzył własnym oczom.

— No, dokładnie ten — zaśmiała się Dix, otwierając wejście do wieży. — Wygląda na to, że czeka cię jeszcze jedna opowieść, bo chłopaki nie dadzą ci spokoju — stwierdziła zadowolona, wpychając go do środka.

W starym świecie nie miał nigdy okazji zwiedzić tego miejsca. Mimo że sam budynek był bardzo charakterystyczny i stanowił niemal nieoficjalny symbol miasta, to jednak uważany był po prostu za nieużytkową ruinę. Dziki był niemal pewien, że jego obecny wygląd nie ma nic wspólnego z tym, co znajdowało się tu w starym świecie. Ogromne przestrzenie wewnątrz zostały teraz zaadaptowane do czegoś, co przypominało koszary. Na okrągłym parterze dookoła ścian ułożone były metalowe piętrowe łóżka, przy każdym z nich stała mała skrzynia na rzeczy osobiste. Ubrani w czerwone stroje mężczyźni i, o dziwo, kilka kobiet zajmowali się swoimi sprawami. Niektórzy czytali książki, jakaś grupa siedziała przy małym stoliku, grając zawzięcie w karty. Jakiś defektowiec rozkładał swoją broń na pryczy i czyścił jej elementy.

— Hej, zobaczcie kto wrócił z martwych — zawołała Dix z progu.

Kilka postaci w czerwonych strojach obróciło się w stronę Dzikiego. Ci nowi na pewno go nie poznali, ale jeden z defektowców, który musiał być tu wcześniej, zbliżył się, mówiąc:

— Nie wierzę własnym oczom...

Dziki zastanowił się przez chwilę, bo głos wydał mu się znajomy.

— Eee... Rengo, tak? — spytał niepewnie, wyciągając dłoń na powitanie.

— Zgadza się, ale jakim cudem, przecież ty byłeś dotknięty.... Delimer... Jakim cudem...

Słyszając nazwę Niewykształconego, znacznie więcej defektowców zbiegło się pod drzwi.

— Eee... to długa historia — stwierdził niepewnie Dziki, nie wiedząc, czy Dix na pewno chce, by ją opowiadał. Dziewczyna jednak podała mu piwo w butelce, które wyjęła z jednej ze skrzyń.

— Chętnie posłucham jeszcze raz — stwierdziła. — W Defekcie nie mamy przed sobą tajemnic.

Dziki ośmielony nieco zachowaniem dziewczyny zaczął jeszcze raz swoją opowieść, popijając piwo. Po skończonej historii musiał odpowiedzieć jeszcze na całą masę pytań, a członkowie Defektu raz za razem dbali, by butelka w jego ręce zawsze była pełna. Gdy Dziki poczuł już, że nie da więcej rady, Dix zabrała go na górę.

Idąc po spiralnych schodach, natrafiali na kolejne okrągłe piętra zaadaptowane do różnych użytkowych pomieszczeń. Pierwsza była spiżarnia, głównie pełna alkoholu i puszek z rybami. Następne piętro było czymś w rodzaju ambulatorium, stały tam kozetki i parawany oraz półki z medykamentami. Idąc po okrągłych schodach, Dziki poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

— Boże, ile oni mogą wypić — stwierdził, czując, że ledwo jest w stanie skupić wzrok w jednym punkcie.

— Oni cię trochę wrobili — zaśmiała się Dix. — Alkohol nie działa na nich, jak na ciebie. Defektowcy się nie upijają. Piją alkohol, bo to jedna z niewielu rzeczy, której smak jeszcze czują — wyjaśniła.

Pokój Dix znajdował się na ostatnim piętrze. Dziki miał wrażenie, że szli do niego ładnych kilka minut. Pomieszczenie było okrągłe jak poprzednie, z tym że dużo mniejsze (wieża zwężała się u szczytu). Dziki rozejrzał się po wnętrzu, pokój nie był zbyt okazały. Na pewno nikt obcy nie pomyślałby, że mieszka tu lider czegokolwiek. Stało tu tylko jedno proste łóżko, małe biurko wypełnione

książkami i szafa na ubrania. Dix stanęła przy niej i zaczęła się przebierać, a Dziki rzucił się na materac, czując że opuszczają go siły. Niepity od dawna alkohol zadziałał na niego ze zdwojoną mocą. Próbując okiełznać zawroty głowy, kątem oka spojrzął na plecy dziewczyny, były pełne tych samych dziwnych plam, które widział wcześniej. Dix założyła na siebie czarny, za duży T-shirt i położyła się na łóżku obok Dzikiego.

— Dobrze, że jesteś z powrotem... — wyszeptała, tuląc się do niego.

— Też się cieszę — odpowiedział, całując ją w czoło.

Rozdział XX

Droga weterana

Dziki obudził się, czując lekki szum w głowie. Po wczorajszej pijackiej nocy nie było szans, by mógł obudzić się bez kaca. Walcząc z nachodzącymi go sporadycznie mdłościami, spojrzął na kawałek łóżka obok siebie. Puste miejsce nieco go zaskoczyło, bo nie pamiętał, by Dix podnosiła się przed nim.

„Czemu mnie nie obudziła?” — pomyślał.

Po chwili walki z zawrotami głowy stwierdził, że może był po prostu zbyt nieprzytomny.

Ściągnął z siebie kołdrę i zbierając z podłogi ubrania, które wczoraj rozrzucił, włożył je powoli, by nie nadwyręzać swojego i tak lichego stanu. Pomyślał, że gdyby teraz błysnęło, to podwójny ból głowy bez wątpienia pozbawiłby go życia.

Gdy udało mu się w końcu doprowadzić do porządku, zszedł na dół, czując, że spiralne schody będą dzisiaj dla niego najgorszą karą.

Wszystkie piętra w wieży zdawały się być opustoszałe. Zarówno w ambulatorium, jak i w składowiskach z zapasami, nie spotkał żywego ducha. Dopiero gdy doczłapał się na parter, zobaczył całą grupę Defektu siedzącą razem przy bardzo długim stole.

Stół musiał zostać wniesiony z jakiegoś innego pomieszczenia, ponieważ w czasie swojej wczorajszej libacji na pewno nie dostrzegł go na tym piętrze.

— O, wstałeś już! Siadaj, musisz coś zjeść — zawołała Dix, wskazując mu puste miejsce obok siebie i spoglądając pobłaźliwie na jego niezbyt rozgarniętą minę.

Dziki przywitał się ze wszystkim, przechodząc wzdłuż stołu i usiadł na wolnym krześle u szczytu.

— Może kieliszek wódki, Dziki, na klina? — zawołał siedzący najbliżej defektowiec, celując w niego przezroczystą butelką.

— Już dość go wczoraj złoiliście — stwierdziła Dix, odpychając butelkę ręką.

A Dziki dziękował za to opatrności, bo czuł, że sam zapach alkoholu mógłby go przyprawić o wymioty. Choć czuł spory konflikt z własnym żołądkiem, sięgnął na środek stołu po otwartą puszkę sardynek. Miał nadzieję,

że tłusty rybny posiłek uspokoi trochę jego organizm.

— Mam nadzieję, że lubisz ryby — stwierdził Rengo — przez defekt mamy przytępały smak, więc tylko mocne rzeczy są dla nas zjadliwe.

— Ale dostanę chyba szklanę wody? — spytał niepewnie, z przerażeniem obserwując zastawiony alkoholem stół.

— Spokojnie, ja też jem normalnie — stwierdziła Dix, wyciągając spod krzesła butelkę. — Byłoby Ci ciężko przetrwać na samej gorzale — zaśmiała się, podając mu wodę.

Chociaż Dziki nie czuł się na siłach, by wtrącać się do panujących przy stole rozmów, musiał przyznać, że atmosfera panująca w wieży była o niebo lepsza, niż ta we Wspólnocie. Wszyscy defektownicy traktowali się naprawdę przyjaźnie, od czasu do czasu zagadywali Dzikiego, choć ten nie był dziś szczególnie rozmowny. Czasami ktoś rzucił jakimś żartem, który wywoływał salwę śmiechu przy stole. Pomyślał, że na pewno byli o wiele lepszą wspólnotą niż ta, którą opuścił.

Po środku zaś tego wszystkiego była Dix, uśmiechnięta dziewczyna która poświęcała każdemu przy stole czas i krążąc między ubranymi w kominiarki postaciami, znajdowała go dość dużo, by porozmawiać z każdym z osobna. Dziki pomyślał, że czegoś takiego musiał pragnąć Krzak dla jego byłego domu, problem jednak musiał leżeć u samej podstawy.

Ludzie w Defekcie byli identyczni, i to pod każdym względem. Wszyscy oprócz jednakowego, zmienionego przez chorobę wyglądu, musieli dzielić podobne przeżycia: zachorowali, zostali odtrąceni przez swoich dawnych towarzyszy i przyjęci tutaj, gdy nikt nie chciał się nawet do nich zbliżyć. Taka wspólna historia łączyła ich bardziej niż żelazne zasady, jakie panowały we Wspólnocie.

Dziki skończył śniadanie (dwie puszki sardynek i szprot w pomidorach) i musiał przyznać, że poczuł się znacznie lepiej. Dix przestała w tym czasie krążyć między swoimi towarzyszami i usiadła obok, chwytając jego rękę pod stołem, przez co poczuł się o wiele przyjemniej.

— Zamierzasz spotkać się dzisiaj z weteranem? — spytała.

— Nie wiem, czy na niego trafię, ale tak, pójdę do domu, w którym nocowaliśmy — stwierdził, choć jeszcze przed śniadaniem miał wątpliwości, czy da radę gdzieś się ruszyć.

— Chcesz, żeby ktoś ci towarzyszył? — spytał nagle Rengo, podsuwając się do Dzikiego, bo kątem ucha musiał usłyszeć o czym rozmawiają.

— Wolę pójść sam. Nie wiem, jak mój wybawca zareagowałby, widząc, że

przychodzę z kimś. Mógłby się wystraszyć, pomyśleć, że nabrałem złych zamiarów. Ale nie martwcie się, postaram się go przekonać, by przyszedł ze mną do Wspólnoty. — Choć Dziki nie chciał tego mówić na głos, bał się również, że weteran może wierzyć w plotki o przenoszeniu się defektu między ludźmi.

— Będę się martwiła, jeśli pójdziesz sam — stwierdziła Dix, wpatrując się w niego ukradkiem.

— Dwa tygodnie uciezek przed Delimerem nauczyło mnie unikać niebezpieczeństw, masz na to moje słowo — stwierdził pewnie.

— Weź chociaż radio, będziesz mógł nas wezwać w razie potrzeby — stwierdził Rengo, kładąc sporą czarną krótkofalówkę na stole.

— To nie jest zły pomysł — odpowiedział, przyczepiając sobie szczekaczkę do kamizelki. — Chyba będę się zbierał, pewnie jest już późno. Jeżeli nie zastanę go teraz, poczekam parę godzin i wrócę przed wieczorem.

— Tylko uważaj na siebie — stwierdziła Dix, ściskając mocniej jego rękę, gdy chciał już odejść od stołu.

— Spokojnie, nic mi nie będzie — odpowiedział, niechętnie wyjmując swoją dłoń z objęć dziewczyny.

Nim wyszedł, potrzebował jeszcze chwili, by odnaleźć swój KBKS, który podczas wczorajszego picia zostawił przy jednej z prycz. Po tym żegnając się z kończącymi śniadanie defektowcami, wyszedł na zewnątrz, otwierając podwójne zielone drzwi.

„Nic się nie zmieniło” — pomyślał natychmiast, obserwując szare pozbawione słońca niebo.

Z oddali dochodziła do niego wrzawa panująca pod murami Wspólnoty. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, jak wielu ludzi musi być teraz w jego dawnym domu.

Kilka głębszych oddechów świeżego powietrza poprawiło jego samopoczucie, więc nie zwlekając, ruszył w drogę. O dziwo, to właśnie początek swojej podróży uważał za najbardziej niebezpieczny. Po wczorajszych wydarzeniach nie miał najmniejszej ochoty na kolejne spotkanie z elitą Krańcowa. Na szczęście cel jego podróży wiódł w przeciwną stronę. Mijając bokiem główną drogę, przekradał się powoli przy torach, idąc w stronę przejazdu kolejowego. Uporczywe buczenie szyn zdradzało, że od jego zniknięcia wciąż stanowiły śmiertelną barierę oddzielającą Zatorze od reszty miasta.

Po kilku minutach przekradania się wzdłuż torów znalazł się na wysokości pierwszego szlabanu. Przezornie przeczekał chwilę, obserwując drogę i dopiero,

gdy upewnił się że jest pusta, ruszył biegiem w stronę skrzyżowania. Nie skręcił jednak główną ulicą, tylko wbiegł w małą osiedlową dróżkę, zaczynającą się parę metrów wcześniej. Stamtąd szedł już pewnie szlakiem, którego nauczył go weteran. Przechodząc podwórzami i małymi leszczynowymi opłotkami, mijał wszystkie newralgiczne miejsca i niebezpieczne punkty, w których mógł spotkać kogoś groźnego.

Po półgodzinnym pośpiesznym marszu dotarł w końcu do miejsca, w którym nocowali podczas ucieczki przed Delimerem. W oddali dostrzegł strefę przygraniczną i las ludzi. Widok ten sprawił, że dostał gęsiej skórki i przez chwilę przyglądał się z stojącym tam postaciom. W końcu jednak przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

Sięgając po radiostację, postanowił dać znak, że wszystko z nim w porządku.

— Tu Dziki, dotarłem tam, gdzie zamierzałem, droga bezpieczna... nie ma się czym martwić — zawołał do mikrofonu, by uspokoić Dix, która na pewno martwiła się o niego. Po chwili ze słuchawki odezwał się trzeszczący zniekształcony głos dziewczyny:

— Cieszę się, uważaj na siebie. Całuski. — Dziki uśmiechnął się i ruszył w stronę budynku.

Zbliżając się do wejścia, dostrzegł z oddali postać w masce gazowej, obserwującą podwórze. Weteran skinął na niego głową i zniknął we wnętrzu domu.

— Weteran jest na miejscu, wyłączę na trochę radio, żeby go nie denerwować. Bez odbioru — wyszeptał, po czym przekręcając włącznik na off, schował krótkofalówkę pod kamizelkę.

— To ja, Dziki! — zawołał z progu, wchodząc powoli do wnętrza budynku.

— Nie krępuj się! — odpowiedział mu spokojny głos z sąsiedniego pokoju.

Nie zwlekając, wszedł do pomieszczenia, w którym nocował parę razy podczas ucieczki. W małym opustoszałym pokoju stał tylko stół, łóżko i krzesła. Dom w starym świecie nie był pewnie nawet skończony. Dziki miał więc podejrzenia, że to jego towarzysz przyniósł tutaj wszystkie meble.

Weteran siedział właśnie przy stole, gotując wodę na butli turystycznej.

— Jednak jesteś — stwierdził, ściągając bulgoczący czajnik z palnika — napijesz się kawy?

— Chętnie — odpowiedział i usiadł do stołu ze swoim dawnym kompanem.

Weteran nasypał fusów z przygotowanego wcześniej słoika do dwóch czarnych kubków i zalał je wrzątkiem. Opierając się na krzesle, ściągnął z głowy maskę gazową, którą odłożył na stole. Dziki przyjrzał się jego twarzy. O dziwo,

zdawał się wyglądać znacznie gorzej niż gdy podróżowali razem. Cienie pod oczami miał tak wyraźne, że przypominały siniaki, a nieogolona twarz zdradzała, że nie miał nawet chwili, by ostatnio zadbać o siebie.

— Ciężki tydzień? — spytał, czując jakieś dziwne przygnębienie.

— Ciężkie życie — westchnął weteran, biorąc łyk kawy. — Nie było cię trochę ponad dwa miesiące, przychodziłem czasem popatrzeć, czy jeszcze nie zamarłeś...

— Wołałeś do mnie? Słyszałem twój głos po tamtej stronie... — spytał nagle Dziki, przypominając sobie pamiętny krzyk pod barem.

— Raz czy dwa, był taki moment, w którym pomyślałem, że się poddałeś — stwierdził, spoglądając w stronę okna. — Ale jesteś... to najważniejsze — stwierdził wyraźnie zadowolony. — Żałuję, że nie mogłem być w czasie twojego powrotu. Odciągnęły mnie pewne sprawy — westchnął ponownie, podnosząc kubek z kawą.

— Tak podejrzewałem... Chciałem się z tobą, spotkać jak najszybciej, nie tylko żeby podziękować, ale męczyła mnie też jedna rzecz... Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłeś po tamtej stronie? — spytał, obserwując reakcję towarzysza.

Gdy podróżowali razem prowadzili tylko strzępy rozmów. Nie zdążył wyczuć, jakim typem człowieka jest jego rozmówca, a chciał za wszelką cenę uniknąć urażenia swojego wybawcy.

Weteran podniósł z zaciekawieniem jedną z brwi.

— Więc domyśliłeś się? Cóż, powiem szczerze, że się bałem. Nie wiedziałem, czy to po tamtej stronie dzieje się naprawdę, czy tylko w głowie. Gdyby walka toczyła się w twoim umyśle, to moja interpretacja mogłaby wpłynąć na to, co byś tam zastał. Skoro mi się udało, będąc nieświadomym, to stwierdziłem, że z tobą będzie podobnie... — wyjaśnił.

— To nie jest tak, że się domyśliłem — wtrącił Dziki — i chyba jednak to dzieje się naprawdę, bo w tamtym świecie spotkałem kogoś. I ten ktoś kazał mi przekazać wiadomość. — Dziki sięgnął do kieszeni po kartkę od Smutnego i podał ją weteranowi. Ten nieco zdziwiony złapał liścik, ale gdy tylko spojrział na jego treść, oczy rozszerzyły mu się, a ręka w której trzymał zwitek, zadrżała.

— Mówi ci coś ta wiadomość? — dopytał Dziki, bo mężczyzna zamilkł na dłuższą chwilę, zapewne kilkakrotnie czytając wiadomość.

— Niestety — odpowiedział z goryczą, gniotąc kartkę w rękę. — Ale to sprawy między mną i Smutnym. Nie zaprzątaj sobie tym głowy...

— Czym właściwie jest Smutny? Bo chyba nie człowiekiem... — wypalił

natychmiast. Tożsamość Smutnego również była czymś, co niezwykle nurtowało go od momentu powrotu.

— Kiedyś był człowiekiem — stwierdził spokojnie mężczyzna. — Gdy go poznałem, był jak każdy weteran. Czym jest teraz? Myślę, że nawet on nie ma pojęcia...

Dziki złapał łyk kawy i skrzywił się mocno. Zapomniał już, jaką siekierę parzy jego dawny kompan.

— O właśnie, chciałem ci podziękować za prezent. To jest naprawdę warte majątek. Nie wiem, jak mógłbym się odplacić...

— Nie musisz, niech ci służy dobrze — stwierdził weteran, machając ręką, jakby ofiarowane Dzikiemu rzeczy były jakąś błahostką.

— Mogę ci zadać niedyskretne pytanie? — weteran ponownie podniósł brew, a Dziki nieco ośmielony swobodnym tonem ich rozmowy, spytał w końcu o to, co nurtowało go niemal od początku.

— Dlaczego mi pomogłeś? Tylko proszę nie mów, że chodziło ci o towarzystwo. Z twoim sprzętem i wiedzą znalazłbyś sobie znacznie mniej problematycznych towarzyszy.

Weteran nie odpowiedział od razu. Dziki miał wrażenie, że wyjaśnienie tego sprawia mu taką samą trudność jak wtedy, gdy spytał o to po raz pierwszy, jeszcze w trakcie wspólnej ucieczki. W końcu jednak rozmówca złapał głęboki wdech i wypalił nieco zbyt głośno:

— Bo przeżywaliśmy tę samą historię...

Dziki chciał już dopytać, co to znaczy, ale weteran opuścił głowę i patrząc się w podłogę, westchnął.

— Łączy nas nie tylko fakt, że obydwaj zostaliśmy dotknięci przez Delimera. Podobnie jak ty byłem częścią pewnej grupy. Tak samo jak ciebie, moi byli towarzysze zostawili mnie na pastwę losu, podobnie jak ty nie chciałem umierać... — stwierdził, kręcąc głową. — Ale jeśli mam być z tobą szczerzy... — dodał po chwili — to nie jest tak, że ratowanie cię od początku było moim celem... Najpierw to była tylko ciekawość. Drzemałem sobie w pobliżu dworca, bo to dość bezpieczny obszar. Niespodziewanie obudziła mnie wrzawa. „Dotknięty! On jest dotknięty!” — zawołał, naśladując głos Mańka, przez co do Dzikiego wróciły nieprzyjemne wspomnienia tamtej chwili. Weteran podniósł się i wyjrzał przez okno, obserwując przez chwilę okolicę. W końcu jednak ponownie spojrzął na Dzikiego i kontynuował: — Czułem, że takie poruszenie mógł wywołać tylko ktośznaczony przez Delimera. Choć nie wiedziałem jeszcze o kogo chodzi, zastanawiałem się, czy mieszkańcy miejsca, które tak

dumnie nazywa się Wspólnotą, postąpią inaczej, niż moi dawni kompani...

W tym momencie Dziki poczuł rozpierający go żal.

— Zapewne tutaj też mamy podobne doświadczenia...

— Oj tak... podkradłem się pod mury i zobaczyłem akurat jak uciekacie samochodem. — Weteran pokręcił z niesmakiem głową i ponownie spojrzął w stronę okna. — Na tym właściwie miałem skończyć swoją ingerencję. Zebrałem swoje rzeczy i ruszyłem w drogę, chciałem przenocować w jednym z pobliskich budynków... Ale traf chciał, że gdy opuszczałem okolicę stacji, natknąłem się na twojego prześladowcę...

Dziki nie miał nawet cienia wątpliwości, że chodziło mu Delimera. Serce podskoczyło mu do gardła na myśl, jak musiał wyglądać kroczący wtedy w jego stronę Niewykształcony.

— ...szedł sobie powoli ulicą, jakby w ogóle mu nie zależało — opisywał weteran. — Przypomniał mi się mój własny demon. Zdążyłem się na niego napatrzyć w trakcie swojej ucieczki. Wróciło do mnie to, co sam wtedy czułem. Sam do końca nie wiem, co mną kierowało, ale zamiast iść dalej, poszedłem za nim. Jeżeli obserwujesz te bydlaki przez jakiś czas, to zauważasz specyficzne zmiany w ich zachowaniu, gdy zbliżają się do swojego naznaczonego. Kiedy wiedziałem, że jesteśmy już blisko, wyprzedziłem go. Niestety na tej ulicy było sporo kamienic. Nie miałem czasu na przeszukiwanie każdej. Postanowiłem wystrzelić w powietrze, licząc, że się wyłoniś zwabiony ciekawością. Przez chwilę bałem się już, że nie zdążysz. Ten sukinsyn jakby wyczuł twój strach i przyśpieszył. Ale jednak uciekłeś, a ja razem z tobą, czy raczej ty ze mną...

Weteran uśmiechnął się niepewnie i był to chyba pierwszy raz, gdy Dziki widział to na jego twarzy.

— Jeżeli myślisz, że miałem wtedy ułożony w głowie jakiś plan, to bardzo się mylisz. Tak naprawdę nie wiedziałem, co z tobą zrobić, kim jesteś, albo czy w ogóle zasługujesz na uwagę... W końcu jednak uznałem, że skoro podjąłem już taką decyzję, to mogę trochę ci pomóc. Udałem, że chodzi o czysty biznes. Czułem, że nie uwierzysz w mój altruizm, a oferta broni za pomoc wydała mi się rozsądna. Przynajmniej na tyle, byś mi chociaż trochę zaufał... Potem było jeszcze dziwniej. Dni mijały, a w zasadzie nic się nie zmieniało. Twoja obecność nie przeszkadzała mi szczególnie. Taki tryb życia, jaki prowadziłeś, to dla mnie codzienność, ale naprawdę nie wiedziałem, co z tobą zrobić. Widziałem jednak, że giniesz w oczach i że już niedługo to będzie twój koniec. Nie wiedziałem, czy powinienem ci mówić o przejściu przez granicę. Gdyby ci się nie udało, to nie Delimer, a ja miałbym cię na sumieniu. Gdy jednak wybuchnąłeś tamtego dnia,

przypomniałeś mi, jak sam byłem gotów zrobić wszystko, by przeżyć... Dlatego zabrałem cię do lasu ludzi...

Dziki pokiwał głową, to było na pewno wiarygodne wyjaśnienie i w pełni odpowiadało temu, czego sam się już domyślał.

— W takim razie pozostaje mi cieszyć się, że tak wiele nas łączy... I naprawdę dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś, bez względu na motywację.

— Powiedziałem, że nie ma sprawy. Nie przysparzałeś kłopotów — stwierdził weteran, odchodząc w końcu od okna i siadając z powrotem przy stole.

— Czy po tym wszystkim będzie dziwne, jeśli spytam, kim tak naprawdę jesteś? Albo chociaż jak na ciebie wołają? — wypalił w końcu Dziki.

Weteran spojrzał niepewnie w stronę Dzikiego.

— Możesz żałować tego, co chcesz wiedzieć... — stwierdził tajemniczo.

— Żałować poznania ksywki, którą pewnie jeszcze sam sobie nadałeś? — zaśmiał się Dziki.

— Być może, w końcu mogę nie należeć do szczególnie lubianych ludzi — stwierdził mężczyzna krzywiąc się nieco.

— Nie wierzę. Gorszej renomy jak Pers chyba nie masz. Zresztą zawdzięczam ci życie, nawet gdybyś był Siwy II, i tak nic by to nie zmieniło.

— Hmm — mężczyzna spojrzał się w stronę Dzikiego. Widać było, że rozważa coś w głowie, w końcu jednak podniósł się i opierając rękami od stołu, powiedział:

— Mam tylko jedno przezwisko i tak, nadałem je sobie sam. A to dlatego, że nie było tu nikogo, kto mógłby mi je nadać. Bo ja byłem tu pierwszy i mówią na mnie Pierwszy — stwierdził weteran głosem, jakby tę formułkę od dawna układał w pamięci.

Dziki siedział jak sparaliżowany. Dopiero po chwili dotarły do niego słowa mężczyzny. Nie mógł powstrzymać szoku, który go zalał.

— To niemożliwie!!! — wykrzyczał, wciąż kręcąc z niedowierzania głową.

— Cóż, dokładnie takiej reakcji się spodziewałem — stwierdził Pierwszy, odwracając się od Dzikiego. — Więc powiedz, jakie pogłoski słyszałeś...

— Jestem członkiem Defektu — stwierdził nagle Dziki, nim zdążył ugryźć się w język.

Pierwszy obrócił się tak gwałtownie, że Dziki aż cofnął się do tyłu.

— Nie jesteś rozmyty... — wysapał niepewnie, obserwując jego twarz.

— To nie tak, że jestem chory. Ja i Dix, my jesteśmy jakby razem... — stwierdził.

Nie wiedząc czemu, czuł się teraz jak otwarta książka, po prostu nie mógł tego wytrzymać. Oczy Pierwszego przebiegły nerwowo w stronę drzwi, a potem z powrotem spoczęły na Dzikim.

— Nie przyprowadziłem jej tutaj! — zawołał przerażony, widząc, że ręka mężczyzny powędrowała w stronę kabury — ale obiecałem, że pomogę ci ścigać... Boże, co za cholerny świat, dlaczego pomogłeś mi akurat ty... — stwierdził, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Pierwszy obserwował Dzikiego przez chwilę, sam zapewne będąc w szoku po tym, co usłyszał. W końcu jednak uspokoił się i opierając ręce o stół stwierdził:

— To ironia, karma, czysty przypadek albo po prostu ten świat bardzo lubi psuć ludziom krew... Dla mnie ważniejsze jest, co masz zamiar zrobić dalej, Dziki... — stwierdził groźnie.

— A co mam zrobić? — odpowiedział zszokowany. — Uratowałeś mi życie, pomagałeś mi... Dix powiedziała, że Pierwszy to chory psychol, fanatyk tego świata i zimnokrwisty morderca...

— Dziki, Pierwszy to ja — wtrącił weteran.

— Nie, to nie prawda. Ty jesteś normalny, oczywiście jak na standardy tego świata, ale normalny. Masz jakieś głupie nawyki jak z tą maską, ale... — zaczął tłumaczyć sam sobie, jakby to był jakiś głupi żart.

Pierwszy wpatrywał się w niego już znacznie spokojniej. Dziki złapał głęboki oddech, jego głowa dawała mu znać, że zaraz oszaleje.

— Zabiłeś tego chłopaka Kamila, zaraziłeś Dix defektem, a potem pomogłeś mi, dałeś mi to wszystko, co mam na sobie. To niemożliwe, jak możesz tak postępować. Ludzie nie zachowują się tak chaotycznie. No, to jaki ty w końcu jesteś, zły czy dobry?!

— Normalny... — odpowiedział Pierwszy, krzyżując ręce na piersi.

— To nie jest normalne... — odpowiedział natychmiast Dziki, a weteran zmierzył go wzrokiem.

— Tak ci się wydaje? To ja też ci coś powiem... Nie wydajesz mi się złym człowiekiem, trochę nerwowym, nieco zbyt emocjonalnym, ale jednak całkiem w porządku...

Dziki spojrzał niepewnie, a Pierwszy kontynuował:

— Niemniej, gdy byłeś po tamtej stronie, postanowiłem dowiedzieć się o tobie czegoś więcej i wiesz co? Usłyszałem historię o pewnym nowo przybyłym, który spotkał we Wspólnocie swojego przyjaciela. Nowo przybyły potrzebował broni, by dostać się do Wspólnoty, więc jego przyjaciel wpadł na pewien

pomysł... Mam kontynuować?

Dziki poczuł się, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro zimnej wody. Chciał już coś powiedzieć, wykrzyknąć, że to był pomysł Mike'a, że tak naprawdę nie chciał brać w tym udziału... Ale jednak brał, nie potrafił powiedzieć nic z sensem, więc opuścił głowę.

— Ja cię nie oceniam. Miałeś ważny powód. Chciałeś przeżyć, dlatego więc nie możesz uwierzyć, że ja również miałem powód...

— Co może kierować człowiekiem, który zabija swojego kompana...? — stwierdził sarkastycznie.

— Naprawdę chcesz ze mną o tym rozmawiać? — Pierwszy pokręcił głową, uśmiechając się ironicznie. — Dobrze, odpowiem ci na to pytanie, ale musisz wysłuchać całej historii, jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, co mną kierowało... — Pierwszy odsunął się od stołu i ponownie stanął przy oknie, wyglądając na podwórze. — Nim stałem się Pierwszym, nim zostałem pseudo legendą tego miejsca, byłem zwykłym człowiekiem. Najprzeciętniejszym i najzwyklejszym, może z tą jedną różnicą, że nie pałałem szczególną sympatią do tego przeciętnego zwykłego życia — stwierdził dobitnie. — Od momentu, gdy zacząłem być świadomy, liczyłem na to, że stanie się w nim coś niezwykłego, spotka mnie jakaś wielka przygoda albo spłynie na mnie wyższy cel, który nada sens mojemu istnieniu. — Pierwszy zrobił przerwę i westchnął ciężko. — Nic jednak takiego się nie stało. Żyłem jako zwyczajna, szara jednostka do bólu przeciętna, przerabiająca tylko jedzenie na gówno. Nawet nie wiesz, jakim to było dla mnie koszmarem... Najbardziej dobijało mnie to, że jestem na tyle bystry, by dostrzec, że w życiu jest coś więcej niż praca i piwko w weekend, ale jednocześnie brakowało mi możliwości, by zająć się wyższymi celami. — Pierwszy pokręcił z obrzydzeniem głową. — I tak trwałem w tej nędzy życiowej, z przerażeniem obserwując lata, które uciekały mi bez spełnionych marzeń i celów innych niż przetrwanie do następnej wypłaty. Do tego ciągle byłem sam. Nie umiałem dogadywać się z kobietami, a nawet gdy natrafiłem na jakąś desperatkę, to bałem się angażować w związek. Chore, prawda? — spytał retorycznie i kontynuował — Ale tak właśnie było. Dlatego byłem sam... Pewnie już dawno strzeliłbym sobie w łeb, gdyby nie to, że śmierci bałem się jeszcze bardziej niż życia. Zawsze gdy o niej myślałem, spostrzegałem przerażony, że nic nie zrobiłem w tym cholernym świecie, a strach przed nicością po prostu mnie paraliżował... Aż pewnego kolejnego przeciętnego dnia gdy szedłem do swojej nędznej pracy, oślepił mnie tajemniczy Błysk. Jakby ktoś strzelił mi w twarz z aparatu... Mówi Ci to coś? — spytał.

Dziki potwierdził, kiwając głową.

— Obudziłem się na cmentarzu, jak ty i każdy inny. Pomyślałem, że nie żyję. Przez chwilę nawet się ucieszyłem, widząc, że jest życie pozagrobowe, ale to było tylko złudzenie. Wszystko było ze mną w porządku... to z miastem było coś nie tak. Wszędzie pustki, żadnego człowieka. Pomyślałem sobie, że może doszło do jakiejś katastrofy i mnie zostawili, bo myśleli, że nie żyję... Ale żadnego dowodu nie znalazłem, wróciłem więc do domu. Przesiedziałem tam jakiś czas bez prądu i wody, aż w końcu zdecydowałem się ruszyć. Poszedłem do sklepu, zabrałem, co chciałem i nie płacąc, wyszedłem. Pomyślałem że w razie czego jakoś to wyjaśnię... Ale nikt nie przyszedł. Nie było policji, nikt mnie nie ścigał, miasto było całkiem puste. Wtedy doszło do mnie, że może właśnie na to czekałem. Następnego dnia postanowiłem zaszaleć. Poszedłem na komisariat i zabrałem radiowóz, przebrany w policyjny mundur pędziłem po mieście na sygnale i bawiłem się świetnie. Potem zupełnie bez powodu ostrzelałem witryny sklepowe, a na kolację zjadłem chyba ze trzy kilo batonów, popijając piwem. Po kilku dniach bezsensownych rajdów i strzelania do przedmiotów martwych moja sielanka się skończyła. W mieście pojawili się Niewykształceni... — Pierwszy zbliżył się do stołu i szepnął tajemniczo — Widziałeś kiedyś Krańcowskiego Dziada?

Dziki pokręcił głową, nie kojarząc nawet nazwy.

— Tak myślałem, chyba już wszystkie zostały zabite, nieważne... Ale to właśnie Dziada wtedy spotkałem. Był wielki jak drzewo, miał chyba ze trzy metry, skórę jak kora i taką długą brodę zrobioną z czegoś jak drut. Próbowałem przed nim uciec, ale to bydle biegło naprawdę szybko. Stoczyłem z nim walkę. W duchu dziękowałem sobie, że zachciało mi się zabawy w policjanta, a nie na przykład w strażaka, bo przynajmniej miałem przy sobie broń. Ale to nie tak, że wyszedłem z tego bez szwanku. Byłem w tak ciężkim stanie, że chyba ze dwie godziny przeleżałem na ulicy obok trupa tej bestii. Gdy w końcu się podniosłem, ogarnęło mnie przerażenie. A jeżeli obił mi jakiś organ? Roztrzaskał płuca? Albo mam wewnętrzny krwotok...? Do kogo pójde? Kto mi pomoże...? Mój lęk przed śmiercią wrócił i zmotywował mnie do działania. Kilka dni dochodziłem do siebie w domu. Gdy jednak się zebrałem, nie marnowałem już ani chwili... — Pierwszy odsunął się od okna i zbliżył do kłapy w podłodze, gdzie ukryte były jego rzeczy, po czym obserwując wnętrze, kontynuował opowieść: — Zacząłem przygotowywać się do przyjścia następnych Niewykształconych. Zbierałem broń, gromadziłem zapasy. Wziąłem nawet pod uwagę, że mogą pojawić się tacy, z którymi nie będę w stanie wygrać, więc oprócz swojego

domu przygotowałem kolejną kryjówkę taką jak tu, a potem kolejną i kolejną. Sprawiało mi to niesamowitą frajdę. Może nie była to przygoda, której oczekiwałem, ale przynajmniej czułem, że żyję. Nie myślałem o śmierci, nie myślałem o smutnym życiu i nawet z podnieceniem czekałem na pojawienie się kolejnego potwora. Po kilku miesiącach i paru ciężkich walkach, potworów zrobiło się mnóstwo. Stwierdziłem więc, że nie ma sensu ciągle z nimi walczyć. Więc po prostu sobie żyłem, dalej bawiąc się tym światem. Czasem strzelałem do Niewykształconych, a czasem grałem na konsoli podłączonej do agregatu. W końcu jednak pojawił się ktoś, kogo się nie spodziewałem...

— Drugi? — wtrącił Dziki.

— Dokładnie, jego pojawienie się nie do końca było mi na rękę. Na początku strasznie mnie irytował. Cieszył się, że spotkał innego człowieka, strasznie dużo gadał, chciał, żebyśmy podróżowali razem.

— Ty wolałeś być sam? — spytał Dziki z niedowierzaniem.

— Nie chciałem się do nikogo przywiązywać. Ten świat był pełen potworów, myślałem sobie: „A co będzie, jeśli w końcu się skumplujemy, a on zginie...?”. Takie już po prostu mam myślenie. Tak więc nie trzymaliśmy się razem na początku. Wiedziałem, że z czasem pojawi się więcej ludzi. Liczyłem nawet, że o mnie zapomni, ale on ciągle wracał... Nawet gdy miał już ze sobą sporo nowych twarzy.

— Tworzył pierwszą grupę — stwierdził Dziki.

— Bzdurna nazwa... — stwierdził kpiąco Pierwszy, odwracając się na chwilę w stronę Dzikiego — ale widzę, że o tym też słyszałeś...

— Dix mi opowiadała i o tym, że dołączyłeś, gdy pojawił się Daniel...

— Ta, przychodziłem czasem na cmentarz zobaczyć, kogo Błysk wyrzucił tym razem. Nie, żeby nawiązać jakieś relacje, ale po prostu z ciekawości i któregoś dnia pojawił się on. W starym świecie nie byliśmy jakoś związani, ale był moją rodziną i z jakiegoś powodu poczułem się za niego odpowiedzialny, więc zabrałem go ze sobą. To w sumie przez niego dołączyłem na stałe do grupy Drugiego... I wiesz co? Wcale nie żałowałem...

Dziki spojrzał się pytająco.

— Było zupełnie inaczej, niż myślałem. Po raz pierwszy w życiu byłem częścią czegoś. Miałem grupę ludzi, na której mi zależało i której zależało na mnie. Naprawdę myślałem, że zyskałem przyjaciół, postanowiłem więc podzielić się z nimi tym, co miałem: broń, sprzęt, zapasy... Jedyne, w czym się nie zgadzaliśmy, to kwestie świata...

— Oni chcieli wrócić do tego, co było... — dokończył Dziki.

— Dokładnie. Bałem się, że jak wydostaniemy się z tego piekła, to się rozejdziemy, to wszystko znowu się rozpadnie, a ja zostanę sam... Drugi jednak przekonał mnie, że bez względu na wszystko będziemy już zawsze sobie bliscy, więc pomogłem im dostać się do granicy... mimo wątpliwości które miałem.

— I wtedy Drugi zamarł — dokończył Dziki.

— Niestety... — stwierdził Pierwszy z wyraźnym żalem, a oczy przez chwilę zaszyły mu mgłą, ale otrząsnął się i kontynuował. — Przeszedł przez granicę. Widziałem, że coś z nim jest nie tak... Ruszyłem za nim... Chciałem go wyciągnąć... ale było za późno. Finalnie jeszcze na sam koniec uratował mi życie, gdy przeszedłem na tamtą stronę, wypchnął mnie z powrotem... Nie wiem, jakim cudem, ale zdołał to zrobić...

— Brakuje ci go? — spytał Dziki.

— Czasami... Po jego zniknięciu było tylko gorzej. Grupa się rozpadała, kilka osób odeszło. Bałem się, że to wszystko szlag trafi, więc podjąłem najgorszą decyzję, jaką mogłem i poparłem kandydaturę Trzeciego, czyli Kuby, na nowego lidera. Wiedziałem, że jest podszytym tchórzem i egoistą, ale jako jedyny miał jakiegokolwiek pomysły. Liczyłem, że utrzyma to jakoś w całości, ale to był błąd. Jego pierwszym celem było sprawdzenie zakładów chemicznych i tego, co się tam kryje...

Dziki nadstawił uszu, bo wiedział, że historia zbliża się do punktu kulminacyjnego.

— Już na samym początku zaatakowały nas setki Niewykształconych. Siódma zginęła zgnieciona przez jednego z nich, a Trzeci w pewnym momencie po prostu zniknął. Musiał do tego użyć jakiegoś błędu, zaraz po tym rozdzieliliśmy się z Piątą. Została odcięta w hali magazynowej, a my na części produkcyjnej. Walczyliśmy o każdą sekundę przetrwania: ja, Daniel i Czwarty, czyli Kamil. Przebijając się przez hordy potworów, weszliśmy do pomieszczenia kontrolnego, a tam czekał na nas kolejny Niewykształcony... — Pierwszy skupił się przez chwilę, na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. — Pamiętam, że pierwszy raz takiego widziałem, mówił strasznie dużo coś o końcu i że jeden z nas zginie... Strzeliłem mu w głowę i wydawało mi się, że go załatwiłem. Pomieszczenie było puste, więc chwilę tam zostaliśmy, żeby połatać rany i wymyślić jakiś plan. Ale ten sukinsyn nie był takim zwykłym Niewykształconym...

— Rodzący się Delimer? — wtrącił Dziki.

— Dowiedziałem się, że miałeś podobne doświadczenia... Przemienił się pod moimi nogami, nawet nie zauważyłem kiedy, już byłem w jego uścisku. Z

pomocą Daniela udało mi się wyszarpnąć. Próbowaliśmy jeszcze raz pozbawić go życia..., ale finał był jasny do przewidzenia. Uciekaliśmy ścigani przez Delimera, a jednocześnie coraz ciężiej było przechodzić przez kolejne pomieszczenia pełne Niewykształconych... Kończyła nam się amunicja i wtedy Czwarty podjął decyzję, która zaważyła na jego dalszym losie. Strzelił mi w nogę...

— Co? Dlaczego? — przerwał oburzony Dziki.

— Żeby dać sobie szansę, Delimer ścigał mnie i nie pozwalał się nam zatrzymać. A jego obchodziło tylko tyle, żeby dostać się do Piątej. Nie miał nawet na tyle odwagi, by przynajmniej mnie zabić, chyba nie chciał brudzić sobie rąk. Pewnie miał zamiar tłumaczyć, że to jednak niewykształceni mnie zabili.

— Ale zaraz przecież po tym z nim walczyłeś? Jak? Ranny w nogę, z Delimerem na karku?

Pierwszy westchnął.

— Słuchaj dalej, Daniel chciał ze mną zostać. Z wszystkich moich towarzyszy to właśnie on, człowiek któremu w starym świecie nawet nie ufałem, postanowił być ze mną do końca... Ale ja kazałem mu uciekać, nie chciałem, żeby umierał razem ze mną... Pamiętam, że leżałem na podłodze, wykrwawiałem się... Nawet gdybym uciekł przed Delimerem, rana i tak by mnie zabiła. Muszę tutaj pominąć część historii, zdradza zbyt dużo moich słabości... W każdym razie w tym krytycznym momencie, gdy myślałem, że to koniec, nauczyłem się korzystać z błędów...

— Jak? W takim momencie? — wtrącił Dziki.

— Tak jak powiedziałem, celowo pomijam tę część... Udało mi się zasklepić ranę i uciekać dalej. Mogę ci przysiąc, że nie szukałem wtedy Kamila. Chciałem po prostu wydostać się jak najszybciej. Pech chciał, że trafiłem na niego prawie przy wyjściu. Usłyszałem jego głos, jak nawoływał Piątą i coś we mnie zawrzało. Zapraгнаłem zemsty za to, co mi zrobił... Moje ciało zareagowało samo, wpadłem do tego pomieszczenia, mając tylko nóż w ręku, bo broń oddałem Danielowi wcześniej. No i zaczęło się, błędy dały mi nadludzkie możliwości. Walczyliśmy długo i choć to on miał przewagę na początku, to jednak ja wygrałem... Pozbawiłem go życia na oczach Piątej... Okazało się, że widziała nas z podestu nad halą... Gdy dotarło do mnie, co właściwie zrobiłem, przeraziłem się... To nie miało tak być, wcale nie czułem się lepiej. Zacząłem uciekać... Chociaż wtedy mogłem zabić Dix bez problemu, to nie chciałem tego, naprawdę nie chciałem. Czułem od niej to samo, co do siebie przed chwilą,

pragnienie zemsty. Wiedziałem, że mi nie odpuści. Postanowiłem zamknąć ją gdzieś, żeby zyskać na czasie. Kolejny pech chciał, że archiwum, gdzie ją wepchnąłem było przemienione przez błąd, ale nie miałem czasu się zastanawiać. Jeszcze zanim spostrzegła, że się rozmywa, ostrzelała drzwi, licząc, że któraś kula mnie trafi. Więc chyba wiesz, dlaczego jej nie wypuściłem... Potem stamtąd uciekłem, a reszty historii już się pewnie domyślasz...

— Tak.

— Rozumiesz więc, Dziki, że nie do końca tak miało się to skończyć. Najgorsze jest to, że gdy myślę na spokojnie, ja naprawdę rozumiem tego chłopaka. Piąta była dla niego najważniejsza. Ze mną, ściganym przez Delimera, miał małe szanse, by się stamtąd wydostać... Nie chciał jej narażać... Przysięgam, że gdybym wtedy go nie spotkał, gdybym nie był taki wściekły, to skończyłoby się to wszystko inaczej...

— Strzelił do ciebie, zostawił cię na pewną śmierć. Wydaje mi się, że miałeś prawo... — stwierdził ostrożnie Dziki.

— Z perspektywy bezstronnego widza, ale nie z perspektywy kochającej kobiety.

— Próbowaleś przekazać to jakoś Dix?

— Dziki, jej jedynym celem jest mnie zabić. Myślisz, że zaproszę ją na pogaduszki przy herbacie? — zakpił.

— Więc może ja mógłbym spróbować to wyjaśnić...

— Przestań — ryknął Pierwszy. — Czy gdybym zabił twoją ukochaną, chciałbyś słuchać, jakie miałem pobudki? To jest bezsensowne. Dix będzie chciała mnie zabić, gdy tylko mnie spotka, a ja nie oddam życia za darmo... Prawda jest taka, że gdy się spotkamy, jedno z nas będzie musiało zginąć. Najlepsze co mogę zrobić, to uciekać.

— Chyba masz rację, gdybyś zabił Dix albo Mike'a, pewnie nie obchodziłoby mnie, że to oni strzelili pierwsi. Kamil jest mi obcy, łatwiej mi to zrozumieć...

— Sam widzisz — Pierwszy usiadł z powrotem przy stole, łapiąc za swoją kawę.

— Mogę cię jeszcze o coś spytać?

— Widzę że jeszcze ci mało... No słucham.

— Znasz lekarstwo na defekt? — spytał z nadzieją Dziki.

— Nie wykluczam, że takie może istnieć. Ale ja go nie znam... Mogę ci jednak powiedzieć coś, co przedłuży życie każdego chorego. Gdy już się rozmyjesz, abstynencja w błędach nie pomaga. By nie pogarszać swojego stanu,

musisz używać ich zgodnie z pierwotną wolą.

— Z czym? Nie do końca rozumiem...

— Przekaż to Dix albo któremukolwiek z defektowców. Będą wiedzieć, o co chodzi...

— Dziękuję za to... Powiedz mi jeszcze, znając błędy, nie próbowałeś walczyć z Delimerem tutaj? Dlaczego przeszedłeś przez granicę...

— Próbowałem, ale nawet znając je na takim poziomie jak teraz, nie wygrałbym z nim jeden na jednego... w każdym razie nie w tym świecie... — Pierwszy poderwał się nagle, ze swojego paska odpiął mały przypominający pager przedmiot. Dziwne urządzenie buczało w krótkich przerwach, wibrując raz za razem. — Ktoś tu idzie, duża grupa, jakieś piętnaście osób — stwierdził, przyglądając się przedmiotowi.

Dziki podbiegł do okna, przez podwórze przechodziła właśnie ubrana w czerwone stroje grupa Defektu...

— Mówiłeś im gdzie idziesz? — spytał Pierwszy podejrzliwym głosem.

— Nie, przysięgam, że nie — odparł Dziki tak samo zszokowany widokiem, jak jego rozmówca.

Pierwszy włożył maskę gazową na twarz.

— Wiec musieli cię śledzić... — wyszeptał, wyciągając pistolet.

— Nie, poczekaj, nie rób nic pochopnie... Pójdę ich zagadać. Może to tylko przypadek...? Może nic nie wiedzą?

Dziki wybiegł przez korytarz, próbując wymyślić cokolwiek, ale w tym momencie miał w głowie pustkę. Wyskoczył na zewnątrz, stając przed drzwiami, od siedzenia w półmroku nawet Krańcowska szarość oślepiła go przez chwilę.

— Dziki... — usłyszał głos Dix, wołający jego imię.

Rozejrzał się po grupie identycznych czerwonych postaci i dostrzegł dziewczynę wychodzącą z tłumu po środku.

— Wszystko w porządku?

— Tak, ale co wy tu robicie? — spytał, siląc się na spokój.

— Pierwszy... jest w środku, prawda? — spytała Dix, opuszczając głowę.

— Skąd ty...? Radiostacja! Podśluchiwaliście mnie? — krzyknął odruchowo, łapiąc się za krótkofalówkę.

— Nie musiałam. Wystarczyło mi to, co opowiedziałeś. Wczoraj, gdy zdradziłeś swoją historię przy Krzaku, nabrałam podejrzeń, kim może być twój wybawca. Potem gdy byłeś w wieży i opowiadałeś o tym po raz drugi podpuszczałam chłopaków, by zadawali pytania o weterana, to wystarczyło...

— Więc wiedziałaś... Czemu nic nie powiedziałaś? — Dziki był w szoku.

„Dix od samego początku wiedziała, że jego wybawcą był Pierwszy, a mimo to nic nie dała po sobie poznać. Rozmawiała z nim, śmiała się, spali obok siebie. Czy dziewczyna go wykorzystała? Czy to stąd wynikła ta niespodziewana propozycja, aby przyłączył się do Defektu?”

— Więc to było kłamstwo? Z tym, że defekt nie zaraża? Chciałaś po prostu mieć pewność, że zaprowadzę cię do Pierwszego? — ryknął wściekle.

— Dziki, jak możesz... Ja nigdy bym cię nie naraziła... Defekt się nie przenosi i to prawda — zawołała Dix, przez chwilę jej twarz naprawdę posmutniała. — Wiem, jaką jesteś osobą... — stwierdziła nagle, opuszczając głowę. — Bez względu na to, co ten sukinsyn zrobił wcześniej, to jednak uratował ci życie... Nawet gdybym ci powiedziała prawdę, a ty ze względu na to, co do mnie czujesz, przyprowadziłbyś mnie tutaj... Ja wiem, że to potem by cię dręczyło... Uznałam, że tak będzie lepiej — stwierdziła zaciskając ręce.

— Mimo wszystko powinnaś mi powiedzieć, ja może...

— Dziki, proszę — przerwała mu dziewczyna — to widać po tobie. Nawet to, że wyszedłeś tutaj, by dać mu czas na ucieczkę. Ale on już wie, że nie da rady. Budynek jest otoczony, moi ludzie są wszędzie dookoła, wyciągnęłam z wieży wszystkie siły... — wykrzyczała na koniec Dix, by mieć pewność, że dotrze to do Pierwszego.

Dziki przełknął nerwowo ślinę, rozglądając się dookoła. W oknach sąsiednich budynków dostrzegł obserwujących okolicę defektowców, a na pobliskich podwórkach co chwila pojawiał się czerwony uniform. Rzeczywiście byli otoczeni.

— To się źle skończy, Dix... — stwierdził, patrząc jeszcze błagalnie w stronę dziewczyny.

Ale nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, poczuł, że za jego plecami ktoś się pojawił. Pierwszy stanął w drzwiach, a defektowcy momentalnie zeszywnieli, celując w niego bronią.

— Witaj, Piąta... — powiedział Pierwszy, rozglądając się po okolicy przez szkła w masce gazowej.

— NIE NAZYWAJ MNIE TAK!!! — krzyknęła dziewczyna — jestem Dix...

— Hmm — syknął weteran, gdy skończył już obserwować okolicę — jeżeli zależy ci na tych ludziach, odejdz. Inaczej wszyscy zginiecie... — warknął przerażającym głosem.

— Oni są tu z własnej woli, by raz na zawsze zakończyć twoje życie zwykłego mordercy... — odpowiedziała mu wściekle Dix.

— Byłem tu przed tobą i będę tu po tobie... — stwierdził ironicznie Pierwszy, prostując rękę z pistoletem.

— Nie! — krzyknął Dzik, stając pomiędzy Pierwszym a siłami Defektu. — To się nie musi tak kończyć!!!

— Zejdź mi z drogi! — ryknął weteran i przepchnął Dzikiego na bok z taką siłą, że ten bezwładnie upadł na ziemię.

— Ognia! — krzyknęła Dix.

Kanonada pocisków przemknęła nad głową Dzikiego. Bał się poruszyć chociaż o milimetr, bo nad sobą słyszał niekończący się świst kul. Kątem oka spojrzął na Pierwszego, który zdążył zasłonić głowę skrzyżowanymi rękoma. Chociaż pociski rozbijały ścianę dookoła niego, żaden z nich nie sięgnął samej postaci. Jakby jakaś tajemnicza siła zmieniała tor ich lotu.

— STOP. Blokuje wszystkie strzały! — krzyknęła Dix, a kanonada ucichła.

Pierwszy opuścił dłonie. Mimo że wyglądało to jak egzekucja, na jego ciele nie było żadnego śladu od kuli albo chociaż zadrapania.

— Bezpośrednio — krzyknął Rengo i nie dając weteranowi chwili wytchnienia, ruszył w jego stronę, rozkładając pałkę teleskopową w dłoni, a kilku innych defektowców ruszyło za nim.

Rengo unosił już rękę, by zadać cios od góry, gdy Pierwszy wymierzył pistoletem, celując mu w głowę. Nim jednak nacisnął spust, przez ułamek sekundy obrócił się w stronę Dzikiego. Po krótkim zawahaniu opuścił broń i strzelił defektowcowi w nogę.

— Nie próbuj drugi raz — syknął wściekle, łapiąc upadającego Rengo, po czym cisnął nim o ścianę budynku, a ten osunął się nieprzytomny.

Kolejny defektowiec nadbiegł z boku, szykując się do ciosu maczetą. Pierwszy uskoczył na bok, bez trudu unikając ogromnego ostrza, nie skupiając się nawet na dokładnym celowaniu ostrzelał nogę atakującego, który już po chwili runął na ziemię.

Jeden z ludzi Dix czekający z tyłu podniósł broń, licząc zapewne, że w trakcie walki uda mu się trafić Pierwszego z zaskoczenia. Ten jednak poderwał leżącego na ziemi Dzikiego i zasłonił się nim jak tarczą.

— ZOSTAW GO! — ryknęła natychmiast Dix.

Ale Pierwszy nie zwrócił na nią uwagi, wyszeptał jedynie:

— Jest ich za dużo, jeśli nie będę zabijał, przegram... Widzisz, Dzik, po tym wszystkim Pięta nazwie mnie jeszcze większym mordercą, ale pamiętaj, że to ona wysłała ich na... — weteran urwał w pół zdania, Dzik zaś otworzył z niedowierzania usta.

Dix z niewyobrażalną szybkością doskoczyła do nich i wymierzyła potężny cios w jego brzuch. Choć kamizelka kuloodporna którą nosił, cofnęła się od siły uderzenia, to jednak nic nie poczuł, z jakiegoś powodu to Pierwszy za nim przyjął cały impet ciosu. Mężczyznę odrzuciło z taką siłą, jakby trafił go samochód, po chwili lotu gruchnął plecami o pobliski budynek, osuwając się na ziemię.

Dziki stanął naprzeciw Dix chcąc ja zatrzymać. Dziewczyna jednak machnęła w jego stronę ręką i choć musnęła go zaledwie czubkami palców, poczuł jak upada uderzony siłą małego byka. Liderka Defektu doskoczyła do Pierwszego, który ledwo zdążył się podnieść i wymierzyła kolejny potężny cios. Weteran jednak uchylił się sprawiając, że jej dłoń trafiła w ścianę odkruszając kilka cegieł. Wykorzystując chwilę oszołomienia przeciwniczki uderzył ją pięścią w brzuch. Jego ciosy, mimo że celne, wyglądały na całkiem zwyczajne, choć Dix bez wątplenia odczuwała ich siłę, to nie była to niewyobrażalna moc jaką ona sama stosowała.

Gdy ostatnie podbródkowe uderzenie trafiło w dziewczynę, sprawiając, że cofnęła się o kilka kroków, padł kolejny strzał, tym razem kula trafiła w nogę Pierwszego, rozrywając jego czarne bojówki. Weteran ryknął wściekle i z niewyobrażalną szybkością dobył pistolet. Strzelając prawie na ślepo, trafił w defektowca, który go zranił.

Dix poderwała się błyskawicznie, gotowa do ataku, ale niemal nadziała się na broń Pierwszego. Dziki zamarł przerażony, widząc, jak weteran naciska spust, gdy lufa pistoletu prawie stykała się z jej głową. Gdy huk rozdarł powietrze, poczuł przerażenie i ogromną wściekłość, która przelała się przez jego ciało. Zobaczył, jak Dix upada na ziemię. Nim zdążył pomyśleć, złapał za KBKS i wystrzelił.

Pierwszy machnął ręką, jakby odtrącał muchę. Dziki mógł przysiąc, że zobaczył, jak mężczyzna po prostu strącił kulę. Dziki spojrzał na maskę skrywającą jego twarz, był niemal pewien, że widzi pod nią Pierwszego szepczącego: „A nie mówiłem...”.

— NIE! — syknęła Dix, podnosząc się z ziemi. — TO MOJA WALKA — ryknęła po chwili, ocierając krew z czoła i zgarniając na bok pozlepiane nią włosy.

Dziki nie mógł uwierzyć, był pewien, że kula ją zabiła.

Dix odsunęła go na bok, stając naprzeciw Pierwszego.

— Nie umiem unikać kul tak dobrze, jak ty... Moja żądza zemsty prawie mnie zabiła, bo zamiast od razu zaatakować z całą mocą, chciałam cię

upokorzyć, stłamsić, pokazać wszystkim, jaki jesteś słaby... Ale już dość... — Dziewczyna złapała błyskawicznie za pistolet i bez trudu wyrwała go Pierwszemu z ręki, gniotąc go jednocześnie, jakby był aluminiową puszką.

Dziki spojrzał przerażony na jej oczy. Były tak samo puste, jak wtedy, gdy walczyła z potworem w kościele. Powietrze dookoła niej zdawało się elektryzować.

— Jeżeli to wszystko na co cię stać Pierwszy, to nie dziwię się, że przez cały czas uciekałeś... — syknęła z mściwą satysfakcją.

Pierwszy nie odpowiedział. Dziki miał wrażenie, że szkła w jego masce gazowej świeciły, odbijając moc, jaka biła od dziewczyny. Weteran opuścił jedną rękę i złożył pięść, jakby chciał chwycić niewidzialny przedmiot. Przez chwilę powietrze otaczające jego palce, zdawało się parować.

— Giń! — krzyknęła Dix, ruszając do przodu.

W tym momencie Pierwszy zamachnął się ręką, z której wystrzelił tuzin noży. Grube wojskowe ostrza z czarną rękojeścią przecięły powietrze z siłą, jakby były wyrzucane z jakiejś maszyny do miotania.

Kilku defektowców padło ranionych. Dwa noże wbiły się Dix w kamizelkę. Dziewczyna jednak nie zwróciła na to uwagi. Dосkoczyła do pierwszego, wyrzucając w jego stronę grad ciosów. Pierwszy jednak uchylał się przed każdym, poruszając się przy tym z prędkością nienormalną dla człowieka. Szybciej nawet niż wtedy, gdy Dix prawie uniknęła kuli w kościele.

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co działo się przed nim. Pierwszy wyskoczył w powietrze, przeskakując poza zasięgiem rąk dziewczyny, i jak z rękawa cisnął kolejnym nożem. Ta jednak odbiła ostrze z taką siłą, że gdy trafiło w fasadę sąsiedniego budynku, wbiło się w nią po rękojeść.

Lądując na ziemi tuż obok defektowców, Pierwszy wykonał obrót, ciskając dookoła serią ostrzy, która powaliła ich na ziemię. Dix obróciła się w jego stronę i próbowała zaatakować po raz kolejny, ale ten odskoczył do tyłu i cisnął kolejnym nożem.

— Możesz tylko się cofać?! — krzyknęła, lawirując między nadlatującymi ostrzami. — Nie jesteś niczym więcej niż fałszywą legendą. — Dziewczyna zrobiła piruet, o włos mijając kolejne noże, i doskoczyła do Pierwszego. Pogardliwy uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Weteran spróbował zamachnąć się ostrzem, które dopiero co zmaterializował się w jego ręce. Dix bez problemu uniknęła nadlatującego zbyt wolno ciosu.

— BŁĄD! — ryknęła, uderzając pięścią w kamizelkę Pierwszego.

Dziki spojrzał przerażony, jak mężczyzna unosi się w powietrze od siły ciosu

i ląduje metr dalej. Dix zatrzymała się, spoglądając z triumfem na leżącego przed nią Pierwszego. Dziki podbiegł do niego i zerknął przerażony: na kamizelce mężczyzny była odciśnięta pięść, jak wtedy na ciele potwora. Kilku członków Defektu podniosło się z ziemi, uciskając miejsca ran od noża.

— To koniec, szefowo? — spytał jeden z nich.

Ale wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich, Pierwszy podniósł się z ziemi. Dix pokręciła z niedowierzania głową, obserwując, jak mężczyzna odpina kamizelkę kuloodporną i rzuca ją na ziemię.

— Nie skończymy tego tutaj Piąta. Coś zrozumiałem w momencie, gdy strzeliłem do ciebie... Nie mam zamiaru zostać mordercą po raz kolejny... — Pierwszy złapał za swój pas i wyciągnął z niego granat. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, wyrzucił go na środek placu, odpinając zawleczkę.

— Ziemia!!! — krzyknęła Dix, rzucając się do tyłu, defektowcy padli tuż obok.

Dziki spojrzał przerażony, nie wiedząc, co zrobić, bo był zaledwie metr od granatu...

— Uważaj! — krzyknął Pierwszy, wyskakując przed niego, jakby chciał go osłonić własnym ciałem. Skrzyżował przy tym ręce, jak wtedy przed ścianą.

Już po chwili huk eksplozji wypełnił okolicę. Dziki poczuł, jak podmuch gorącego powietrza okala go ze wszystkich stron, ale oprócz tego, nic więcej. Żadnego uczucia rozrywanego ciała albo łamanych kości.

Pierwszy tuż po eksplozji odskoczył na bok i rzucił się do ucieczki, przeskakując między ogrodzeniami.

— Nie!!! — krzyknęła Dix, podrywając się z ziemi. — Walcz ze mną, słyszysz!!!

Dziki podniósł się powoli. Choć nie czuł, by oberwał, jego uszy były zatkane i wszystko dookoła słyszał jak wstudni.

— Dix, twoi ludzie... Musimy im pomóc! — zawołał w stronę dziewczyny, gdy ta ruszała już w pościg.

— Zajmij się nimi Dziki, nie pozwolę mu uciec... — krzyknęła, znikając po chwili za sąsiednim budynkiem.

Dziki nie mógł w to uwierzyć. Został sam. Dookoła niego leżała gromada rannych ludzi w czerwonych strojach.

— Ktoś może wstać? Potrzebuję pomocy! — zawołał błagalnie chyba zbyt głośno, bo ciągle czuł, że słabo słyszy.

— Już się podnoszę, Dziki... — stwierdził jakiś defektowiec, wstając. Z jego boku wystawała czarna rękojeść.

— Jesteś ranny, usiądź! — krzyknął, ale mężczyzna pokręcił głową.

— Mam za ciężki defekt, nie czuję... — powiedział, osuwając się powoli z powrotem na trawę.

— Dziki, podejdź tu... — krzyknął siedzący przy ścianie Rengo.

Ten podbiegł do niego, oglądając jego nogę. W czerwonym kombinezonie była dziura, ale rana zdawała się nie krwawić.

— Jak ci pomóc? Nie wiem, co robić...

— Spokojnie, Dziki, nie denerwuj się — stwierdził, kładąc mu rękę na ramieniu. — Mam ciężki defekt, nie krwawię i nie czuję bólu. Ale nie wyjmę sam kuli, bo mam nieczułą rękę. Z tkwiącą kulą w nodze rana się nie zasklepi, a ja nie będę mógł chodzić. Rozumiesz?

— Mam ją wyciągnąć? Ale jak? — zapytał przerażony.

— Ręką. Nie denerwuj się, nie zrobisz mi krzywdy...

Dziki spojrzał z lękiem na ranę, nie przypominała ludzkiej. Była jak wykonana z plastiku na jakiejś medycznej lalce. Biorąc głęboki wdech, wsadził rękę w udo Rengo i poczuł się, jakby wsadzał dłoń w zimną galaretkę...

— Auu — zawołał Rengo, potrząsając głową.

— Mówiłeś, że nie czujesz... — zawołał spanikowany Dziki.

— Pod spodem jest jeszcze trochę człowieka — zażartował Rengo wyraźnie ucieszony. — Nie przejmuj się, to nie jest nawet połowa tego bólu, jaki powinienem czuć.

— Dix pobiegła za nim... — wysapał nieco zirytowany — powinna zostać i wam pomóc.

— Dziki, nie bądź na nią zły. On odebrał jej kogoś naprawdę bliskiego...

— Zemsta nie powinna być ważniejsza od was — stwierdził, czując jak wzbiera w nim złość.

— A gdyby ktoś zabił ją na twoich oczach? Jakbyś się zachował? Co byłoby ważniejsze od sprawiedliwości?

Dziki przypomniał sobie jak chwilę wcześniej strzelił do Pierwszego. Nie było wtedy ważne nic innego. Czuł się jakoś dziwnie. Czy weteran zrobił to specjalnie? Wiedział, że Dix uniknie kuli? A może to tylko przypadek? Teraz jednak znowu myślał na chłodno i czuł się naprawdę źle. Zwłaszcza że Pierwszy bez wahania zasłonił go przed granatem...

— To nie jest tak do końca czarno-białe... — stwierdził, ciągle próbując wymacać kulę, ale w lodowatej nodze znalezienie zimnego pocisku nie było łatwe.

— Podejrzewam, że musi kryć się za tym jakaś głębsza historia. To byłoby

zbyt proste, gdyby Pierwszy był po prostu chorym psychopatą. Podejrzewam również, że miałeś okazję poznać tę historię, skoro targają tobą wątpliwości. Teraz musisz ocenić, co w twoim sumieniu jest sprawiedliwe...

— Ty to akceptujesz? To, że Dix stawia zemstę na pierwszym miejscu? — spytał zaskoczony.

— Dix zebrała nas z ulicy, Dziki, kiedy wszyscy traktowali nas gorzej od Niewykształconych. Nasi przyjaciele przepędzali nas, a weterani gardzili jak trędowatymi. Opiekowała się nami, pielęgnowała. Płakała nad każdym, którego rozmycie w końcu zabrało... Ona przywróciła nam wiarę, że wciąż jesteśmy ludźmi. Jednak nie mówiła, że zapomniała o zemście, a my to akceptujemy i pomagamy jej z własnej woli...

Dziki macał jeszcze przez chwilę w nodze, aż udało mu się wyciągnąć małą spłaszczoną kulę. Noga zdawała się zrosnąć niemal od razu.

— Dobra... — powiedział Rengo, podnosząc się natychmiast — musimy zająć się ludźmi z mniejszym defektem, oni mogą jeszcze krwawić. Jak zobaczysz krew albo kogoś nieprzytomnego, daj mi znać. — Pomachał jeszcze przez chwilę nogą, jakby była odrętwiała, po czym ruszył w stronę pobojuwiska.

Dziki wyjrzał przez okno, z pokoju Dix był doskonały widok na całą okolicę. Wieża górowała nad wszystkimi budynkami wokół niej. Gdyby miał lornetkę, mógłby nawet zobaczyć, co dzieje się za murami Wspólnoty. Teraz jednak bardziej interesowało go to, co dzieje się w przy lesie ludzi. Czy Dix dogoniła Pierwszego? A jeśli tak, to które z nich wygrało? Czy jeżeli Pierwszy wygrałby, to darowałby życie Dix? Przecież powiedział, że nie chce zostać mordercą po raz kolejny.

Dziki westchnął, nie wiedząc, co zrobić, kiedy usłyszał kroki. Spojrzał z nadzieją w stronę klapy w podłodze, ale zamiast Dix na górę wszedł Rengo. Dziki rozpoznał go po dziurze na kombinezonie w okolicach uda.

— To prawdziwy cud, ale wszyscy żyją — zawołał uradowany. — Kiedy te noże cięły powietrze, myślałem, że nikt nie przeżyje.

— To nie był cud, tylko jego decyzja... Widziałem, jak celował ci w głowę, a potem spojrzał się na mnie i zmienił zdanie... — westchnął Dziki.

— Hmm, czyżby ruszyło cię sumienie? — spytał Rengo, stając obok Dzikiego przy oknie.

— Widziałem, że on też nie jest zadowolony z tego, jak to wszystko się

potoczyło. Ale kiedy się bronił... wydaję mi się, że mógł zrobić znacznie więcej...

— To na pewno, ale powiedz mi... Nie czujesz, że on chce wprowadzić ci mętlik w głowie? Że może chce zaszkodzić przez ciebie Dix? Że wszystko, co powiedział, mogło być wyssane z palca...?

Słowa Rengo przerwało kolejne otwarcie klapy w podłodze, tym razem była to Dix.

Dziki poderwał się z łóżka. Dziewczyna spojrzała na niego, po czym zalała się łzami. Podbiegł do niej, nagle całe zdenerwowanie, jakie czuł, po prostu ustąpiło. Wtulał ją przez chwilę w siebie, gdy nagle dziewczyna załkała:

— Uciekł, znowu... już prawie go miałam, a on znowu...

Dziki pogładził ją po głowie. Dziewczyna nie odrywając się od niego, spytała:

— Co z naszymi Rengo?

— Wszystko w porządku, żaden nie dostał zbyt poważnie — odpowiedział.

— Cieszę się, naprawdę się cieszę. — Dix przetarła oczy odchodząc od Dzikiego. — Nie powinnam była was tam zabierać...

— Jesteśmy z tobą, szefowo, bez względu na wszystko. — Mówiąc to, spojrzał na chwilę w stronę Dzikiego. — Zostawię was samych, macie sobie pewnie coś do powiedzenia... — Rengo wyszedł, a jego kroki rozbijały się jeszcze przez chwilę po klatce schodowej.

Przez chwilę trwało milczenie. Dix usiadła na łóżku, a Dziki stanął nad nią.

— Powinnaś była mi powiedzieć — stwierdził wzdychnąwszy.

— Nie chciałam cię tym obarczać... — Dix opuściła głowę, jej policzki zrobiły się czerwone. — Przepraszam, ukrywanie prawdy to też kłamstwo, ale zrobiłam to w dobrej wierze...

Dziki czuł, że powinien się złościć, ale nie potrafił. To wszystko, co się stało, zrodziło spory mętlik w jego głowie. Myślał o tym, co powiedzieć przez cały czas. Gdy był tu sam, zastanawiał się, czy warto powtórzyć jej opowieść Pierwszego... Ale jakie miałyoby to znaczenie?

— Kamil chciał poświęcić Pierwszego, żeby ratować ciebie... — zaczął.

Dix spojrzała na Dzikiego, w jej oczach pojawiło się zacięcie.

— Jeżeli masz zamiar usprawiedliwiać tego...

— Nie — przerwał jej natychmiast — nie mam zamiaru usprawiedliwiać nikogo. Gdyby ktoś zrobił krzywdę tobie, nie darowałbym mu bez względu na wszystko, bo kocham cię, tak jak Kamil kochał ciebie. Zrozumiałem to w momencie, gdy bez wahania strzeliłem do Pierwszego... Gdy myślałem, że

zrobił ci krzywdę... Ale co do jednego miałaś rację, za bardzo kieruje mną sumienie, by pogodzić pewne rzeczy...

Dix spojrzała niepewnie, a Dziki przełamał się, by powiedzieć coś, co do tej pory skrywał.

— Pamiętasz, jak spotkaliśmy wtedy Siwego pod cmentarzem? Wspomniał wtedy o pewnym chłopaku Michale Modrzewie. Nie zrobił tego przypadkowo, ja mu go sprzedałem...

Dix otworzyła szeroko oczy, kręcąc głową z niedowierzania.

— Potrzebowałem broni, by móc zostać członkiem Wspólnoty, a jedyną nadzieją na jej uzyskanie był Siwy. Chociaż pomysł był Mike'a i realizacja w dużej mierze też jego, to jednak nie powstrzymałem tego, chociaż mogłem. Brałem w tym czynny udział, chociaż wiedziałem, co się stanie z tym chłopakiem... To takie naturalne, że stawiamy czyjeś życie poniżej swojego. Ale jednak ten chłopak wraca do mnie każdej nocy, w wielu chwilach przypominam sobie jego twarz i czuję, jak wyrzuty sumienia palą mnie od środka...

— Dziki... — Dix chciała już coś powiedzieć, ale znowu jej przerwał.

— Miałaś rację, Pierwszy uratował mi życie. Nie mam zamiaru przekonywać cię, żebyś zaniechała zemsty. Ba, masz do niej ogromne prawo, ale ja nie mogę brać w tym udziału. Nie wiem, jakbym zareagował, czy nie próbowałbym cię powstrzymać, a to naraża ciebie i defektowców. Nie mogę zostać członkiem Defektu. Przepraszam cię, Dix.

— Dziki! — Dix poderwała się i rzuciła na niego. — Proszę cię, nie odchodź....

— Nie odchodzę. Rezygnuję z Defektu i ścigania Pierwszego, ale nie z ciebie. Uważam, że powinniśmy wrócić do tego, co było, gdy byłem jeszcze członkiem Wspólnoty. Będziemy razem, gdy już uporasz się ze swoją zemstą...

Dix wtuliła się w niego.

— A do tej pory? Dziki to może jeszcze potrwać...

— Znajdę sobie miejsce i będę na ciebie czekał.

— Dziki, zrobię wszystko, by skończyć to jak najszybciej. Obiecałam mu to i muszę skończyć, żebym mogła być już tylko twoja...

Dziki spojrzał się na nią i ją pocałował. „Czy w tym świecie nic nie może być proste?” — pomyślał.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale chyba mamy gości... — stwierdził Rengo spod uchylonej kłapy w podłodze.

Dix i Dziki wyjrzeni przez jedno z okien na zewnątrz. Na plac przed wieżą wjeżdżał właśnie Autobus do Wolności. Krzakowi musiało się udać przekazać

im wiadomość. Ucieszony Dzikie ruszył razem z Dix na dół, ponownie mijając wszystkie piętra. Nim w końcu doszli na parter i przez ogromne zielone drzwi wyszli na zewnątrz, mieszkańcy autobusu zdążyli już opuścić swój pojazd.

Stojąca przed wieżą gromada zawrzała radośnie, widząc Dzikiego wychodzącego z wieży. Z tłumu ludzi niczym mały pocisk wyskoczyła Oli, krzyząc:

— DZIKI!!!

Dziewczyna wbiła się w niego tak mocno, że ledwo utrzymał równowagę. Ze łzami w oczach zaczęła okładać mu klatkę piersiową pięściami.

— Idiota, idiota, idiota! Jak ja się przez ciebie martwiłam, ile łez z siebie wylałam...

— Mam podobne odczucia — zaśmiała się Dix, obserwując to powitanie.

Oli oderwała się od Dzikiego i spojrzała do góry.

— Nie wierzę, — zapiała — ty jesteś Dix, liderka Defektu, najtwardsza weteranka w całym Krańcowie — stwierdziła Oli, obserwując Dix z iskrami w oczach.

— Przesadzasz... — stwierdziła Dix, czerwieniąc się, gdy Oli zupełnie niespodziewanie się w nią wtuliła.

— Chciałabym być taka jak ty. Wtedy Kuba nie musiałby z nami jeździć, to ja ochraniałabym Autobus...

— Kuba jest tutaj? — spytał Dzikie, obserwując jak Dix zmarszczyła czoło.

— Jest. Oczywiście, że jest. Od śmierci Primo to on nas pilnuje... — stwierdziła Oli, odrywając się w końcu od Dix, która obserwowała teraz zgromadzonych ludzi.

Dzikie po rozmowie z Pierwszym wiedział już czemu zarówno ona, jak i wszyscy z pierwszej grupy mają do niego tak ogromny awers.

Oczy Dix spoczęły w końcu na brodaczu stojącym z tyłu grupy. Kuba czując pewnie, że nie ma sensu się chować, wyszedł naprzeciw wszystkim.

— Witaj Piąta... — zawołał, a Dzikie czuł sporo niepewności w jego głosie.

— Dawno się nie widzieliśmy Trzeci, i nigdy więcej nie używaj mojego starego przydomka... — odpowiedziała Dix, obracając się na pięcie, najwidoczniej dając do zrozumienia, że wciąż nie ma ochoty na rozmowę ze swoim dawnym kompanem.

— Oczywiście Dix, przepraszam — stwierdził Kuba, opuszczając głowę, ale Dix już go nie słuchała.

Gdy tylko oddaliła się na bok, brodacz uśmiechnął się, patrząc na Dzikiego.

— Nie mogłem uwierzyć, kiedy się dowiedziałem. Ale to naprawdę

wspaniała wiadomość, wiele bym oddał, żeby dowiedzieć się, jak pokonałeś Delimera...

— Musiałem po prostu dotrzymać pewnej obietnicy — stwierdził Dziki mrugając w stronę Oli, a ta uśmiechnęła się szeroko.

— No tak, ale na pewno kryje się za tym coś więcej — odpowiedział wyraźnie zaciekawiony. — Twój przyjaciel Mike powiedział mi, że dołączyłeś do Defektu... — stwierdził Kuba, patrząc w stronę Dix.

— Nie do końca. Właściwie to pomyślałem sobie, że kiedyś złożyłeś mi pewną propozycję... — powiedział Dziki, odwracając wzrok od Dix, bo ta wyraźnie spochmurniała. Kuba uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście, Dziki. Ona dalej jest aktualna, zwłaszcza teraz, gdy nabrałeś jeszcze więcej doświadczenia. Nie ukrywam, że nie znalazłem jeszcze nikogo na miejsce Prima, a kiedy podróżuję razem z Autobusem, zaniedbuję wiele innych rzeczy... — stwierdził tajemniczo.

— Więc skorzystam z twojej oferty, choć nie obiecuję, że na stałe. Gdy Dix upora się z pewną sprawą, mam zamiar wrócić do Defektu.

— Oczywiście, przecież cię nie przyspawam do drzwi... — zaśmiał się Kuba — nawet parę miesięcy będzie dla mnie sporą ulgą.

Oli klasnęła radośnie w dłonie i chwyciła Dzikiego za ramię, chcąc pociągnąć go w stronę autobusu.

— Dobra pozwólcie mi jeszcze ogarnąć parę rzeczy. Poczekacie na mnie pod murami Wspólnoty? — spytał, wyswobadzając się z objęć Oli.

— Och jasne, nie będziemy ściągać kłopotów do wieży. No, gromadka, ładować się do autobusu — zarządził Kuba, a mieszkańcy Autobusu ruszyli posłusznie do auta.

Dix spojrzała niepewnie, a Dziki podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

— Przejdziemy się? — spytał.

Dziewczyna przytaknęła. Ruszyli więc wzdłuż torów, słysząc złowieszcze buczenie.

— Nie wiem, ile w tym prawdy, ale Pierwszy powiedział mi jedną rzecz. Jeśli już złapiesz defekt, to nie wolno pozostawać w abstynencji z błędami. Żeby powstrzymać jego poszerzanie się, należy używać ich zgodnie z pierwotną wolą — zacytował dokładnie, bo nie wiedział, o co mogło z tym chodzić.

— Podejrzewałam to od dawna, ale dzisiaj potwierdziłam — stwierdziła dziewczyna, marszcząc czoło.

— Ale jak? — spytał.

Dix ściągnęła rękawiczkę, demonstrując swoją dłoń. Była normalna, ludzka,

z krótkimi jasnymi paznokciami.

Dziki poczuł niewyobrażalną radość.

— Ale jakim cudem? Kiedy?

— Po walce z Pierwszym mój stan jakby znacznie się poprawił. Mam więc dodatkowy powód, żeby go ścigać. Możliwe, że zabicie go wyleczy mnie z defektu...

— Rozumiem. — Dziki opuścił głowę. — Mam nadzieję się, że nie gniewasz się za Autobus...

— To bezpieczne miejsce, nie będę musiała martwić się o ciebie. Ale obiecuj, że będziesz na siebie uważał. I jeszcze jedno, nie ufaj bezgranicznie Kubie... Wiem, że wydaje się w porządku i dużo mówi o swoich szlachetnych czynach... ale tak naprawdę on dba tylko o siebie.

— Obiecuję, że będę uważał. W końcu mam dla kogo żyć — stwierdził pewnie, przytulając się do dziewczyny.

Stali tak w objęciu, obserwując zniszczony pociąg.

Dziki czuł w sobie radość, jakiej nigdy nie doświadczył w starym świecie. To było takie ironiczne, że miejsce, które dla wszystkich było koszmarem, dla niego stało się jak sen. Po raz pierwszy poczuł, że jego życie nabrało jakiegoś większego sensu, miał w końcu kogoś, na kim mu zależało i niezależnie od przeciwności i niebezpieczeństw, jakie spotykał na swojej drodze, chciał być z Dix.

Dzisiaj poczuł, że to pierwszy raz, gdy mógł pomyśleć o sobie, że właśnie stał się prawdziwym nowofanem.